

TRYGYE GULBRANSSEN

A lasy wiecznie śpiewają

Dziedzictwo na Bjorndal

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

## CZEŚĆ PIERWSZA

Ostre kontury skał, wznoszące się ponad Jomfrudal \*, łagodniały w zapadającym mroku jesiennego wieczoru. W głębi, za ciemniejącą masą gór, niebo rozbłysło nagle i słońce zniknęło za horyzontem, pozostawiając za sobą krwawą lunę ogni. Na wyniosłym zrębie stał ciemny jak skała niedźwiedź. Węszył. Spoglądał w dół na nisko położone tereny, na zasnuęte mgłą jeziora i strumienie.

Niedźwiedź miał kanciastą głowę i długą, chudą, pokrytą cienkimi kłakami szyję. Od kilku lat dopiero późną jesienią układał się do snu zimowego. Wiele zwierząt padało jego ofiarą i żarł dużo, a mimo to czegoś mu brakowało. Uczucie sytości i błogiego odrętwienia, które ogarniało go zawsze w jesieni, nie chciało się jakoś pojawić. W tym roku zaś działo się z nim coś naprawdę niedobrego. Gdzieś w głębi jego cielska czaił się ból. Teraz nic mu już nie smakowało. Nie rozszarpywał swych ofiar z tą samą chciwością, co kiedyś. Większą część zabitych przez siebie zwierząt pozostawiał niemal nietkniętą. Ssał ciepłą krew, pożerał drgające jeszcze serce i inne lżejsze do strawienia kąski — i tym się nasycił.

Ciało jego stało się dziwnie ciężkie i prędko się teraz męczył. Nie miał już sił, aby tropić łosia po leśnych ostępach, a przy tym ów głuchy, czający się wewnątrz ból nie ustępował nawet na chwilę. Być może ból ten wstąpił weń owego dnia, kiedy jakiś człowiek z lasu bjrndalskiego oddał do niego strzał, który rozległ się straszliwym echem dokoła. Zdawało mu się, że sam piorun wbił się w jego ciało. Z rany lała się krew. Odtąd jakiś nie-

• Dolina Dziewicy

S

określony ból przypominał mu nieustannie o tym okropnym zdarzeniu. Niezdolny ścigać łośia, porywał teraz owce i zabijał krowy. Na domiar złego tej jesieni ludzie o wiele wcześniej spędzili bydło do wsi. Niejednokrotnie niedźwiedź był zmuszony skradać się w ciemnościach nocy aż do domostw, wyłamywać drzwi od obór i stajen, aby zdobyć krew i pożywienie. Ludzie z krzykiem i hałasem rzucali się za nim. Ale raz dosięgnął łapą jednego ze swych prześladowców. Człowiek nie podniósł się więcej. Od tego czasu pozostawiono niedźwiedzia w spokoju.

Tutaj, na otwartej równinie, ludzie i psy byli inni aniżeli na północy, w Bjórndal\*, gdzie przebywał za młodych lat. Psy w Bjórndal szczekały tak głośno i uporczywie, że można było ogłuchnąć. Ludzie natomiast zachowywali się tak cicho i spokojnie, że dopiero kiedy byli już zupełnie blisko, zauważało się ich obecność. A wówczas rozlegał się straszliwy strzał, który przesywał wnętrzności i druzgotał kości. Potem długo pozostawał ból. Tu, na otwartej równinie, psy chowały się ostrożnie za ludźmi. Robiły dużo wrzawy i hałasu, ale nie kąsały. Tutaj zatem pozostanie. W nocy zaś, gdy pogasną światła, będzie mógł wygodnie i podkraść się do jakiejś stajni lub obory.

Czarny, groźnie odcinający się na tle czerwonego nieba niedźwiedź stał długo, nieruchomo. Miało się już ku nocy i niebo coraz bardziej ciemniało. Łeb niedźwiedzia był kanciasty, szyja wyciągnięta ku przodowi, na niej sterczały skołtunione kłaki; potężnie zbudowany tułów był teraz skurczony w sobie, pod futrem ostro wystawały łopatki.

Dawny człowiek — olbrzym — zabijaka...

Tego samego wieczoru ludzie z okolicy tłumnie podążyli na plebańnię. Pan Diderich, pastor, sprawował władzę i opiekę w obrębie parafii, kiedy pułkownik von Gali z Borgland był, jak teraz, nieobecny.

Pan Diderich dopiero niedawno przybył w te strony. Ale pokazał już wszystkim, co potrafi. Umiał leczyć ludzi i zwierzęta, a o zdrowie moralne parafii dbał swym krasomówczym talentem. Powinien więc znaleźć radę i na niedźwiedzia, i na inne nieszczęścia.

• Dolina Niedźwiedzi

Wielu uważało wieczorną czerwień nieba za oznakę zbliżającego się nieszczęścia. Ktoś nawet twierdził, że na tle czerwonego nieba ujrzał krwawy, płonący miecz. Potem i inni wmawiali sobie, że widzieli to samo.

Siedzieli w pokoju duchownego i rozprawiali o ciężkich czasach. Duszono im owce, zabijano krowy. Na długo przed właściwą porą spędzili z gór bydło. I wtedy stało się coś niesłychanego:

drzwi stajen i obór zostały wyłamane i doszczętnie roztrzaskane, bydło poduszone; zaś do ocalałych zwierząt, szalonych z przerażenia, nie można się było nawet zbliżyć.

Per Velt, młody parobek z Bjórkland, otrzymał tak potężny cios w głowę, że jeszcze teraz leżał bezwładny, nie odzyskawszy przytomności.

To nie był zwykły niedźwiedź! To był potwór, jakiego jeszcze nikt nie widział. Olbrzymi, silny, chudy i kanciasty, miał zielone, błyszczące oczy. Na jednym boku — każdy to widział — była jasna plama. To był niedźwiedź nie z tego świata.

Czekali.

Pan Diderich kazał im czekać na siebie. Wiedział, czego chcieli od niego. Musiał się zastanowić, powinien przecież wystąpić stosownie do sytuacji.

W pokoju ucichło. Ludzie bladymi twarzami patrzyli bezradnie ku sobie. Jedni myśleli prawdopodobnie o krwawym mieczu na niebie jako zapowiedzi najgorszych nieszczęść, inni myśleli może o tym, że do domu przyjdzie im wracać po ciemku i że mogą być napadnięci przez potwora. Jeszcze inni czuli gniew do starego samotnika z Bjórkland, który spowodował, że musieli przyjść o tak późnej porze. Ale każdy obawiał się, że może właśnie w tej chwili potwór włamuje się do jego stajni i morduje mu zwierzęta.

Po cóż właściwie tutaj przybyli? Jakiej pomocy mogli oczekiwać? Ubiegłej niedzieli pastor modlił się z ambony do Pana, aby oszczędzał swoje owieczki i nie doświadczał ich ciężkimi próbami, a szczególnie aby bronił je przed krwiożerczymi bestiami. Słowa modlitwy brzmiały w kościele jak grzmoty, lecz w dwa dni potem niedźwiedź włamał się do obory w Bjórkland. Co zatem mógł tu zdziałać pastor?

Uzbroili się w strzelby, kilku z nich zabrało psy i ruszyli na obławę. Ale psy się bały, a strzelby były zardzewiałe; poza tym

nikt nie zdobył się na strzał, gdy niedźwiedź odwrócił się ku nim. Doprawdy to wstyd, ale krzyząc uciekli sromotnie, gdy zobaczyli, jak niedźwiedź jednym uderzeniem łapy powalił na ziemię Pera Velta.

Gdyby przynajmniej pułkownik był teraz w Borgland! To bardzo dzielny wojak, ale i on z pewnością nie chciałby zadzierać z takim zwierzem. Wdawać się w sprawy nie z tego świata to rzecz bardzo drażliwa.

Nareszcie zjawił się pan Diderich.

Wszyscy podnieśli się z szacunkiem, a człowiek z Bjórkland powiedział, o co chodzi. Pastor poprosił, aby zajęli swe miejsca. Wszyscy usiedli, a pastor wygłosił do nich kazanie, komentując słowo Boże dotyczące kary i poddania się temu, co nieuniknione.

Nie zbywało im na odwadze, a teraz resztki jej zaczęły ich opuszczać — owo „nieuniknione” może już czai się gdzieś na nich, czekając chwili, kiedy będą wracali w ciemności do domu.

Jedynym człowiekiem zdolnym odezwać się jeszcze po mowie pastora był skąpy, stary chłop z Bjórkland. Żądał on zemsty na niedźwiedziu za zaduszone owce i jałówkę, którą rozszarpał mu ów krwiożądny potwór. Jemu też przyszła do głowy myśl, na jaką nie zdobyłby się żaden ze współtowarzyszy. Chrząknął i wtulił ostrożnie głowę w ramiona, bo wiedział, jaką reakcję wywoła jego propozycja. Jeżeli Bóg odmawia pomocy, pozostaje tylko jedno wyjście. Należy zobaczyć, czy Zły i jego pomocnicy, których ma tutaj na ziemi, mogą w istocie zdziałać to, czego nie potrafią inni.

Znów odchrząknął i wykrztusił:

— Jeżeli już nie ma lepszej rady, to należy chyba zwrócić się do ludzi z Bjórndał, do tych na północy, może ktoś z nich zechce pomóc. Niektórzy wstali z udanym oburzeniem, inni zaś pochylili się,

jak gdyby nie śmieli nikomu spojrzeć w oczy. Dla dumnych, pyszałkowatych chłopów była to przykra, bardzo przykra sytuacja. Oni, którzy pod każdym względem przewyższali tych leśnych włóczęgów z Bjórndał, mieliby zebrać pomocy u tej hołoty! Ale równocześnie widać było, jak wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy owe słowa zostały powiedziane. Najgorsze już minęło, złe słowo zostało wyrzeczone. Nikt nie miał odwagi się przeciwstawić.

Ale kogo wyprawić na północ? Nie wypadało posłać tam byle kogo, gdyż ta hołota z Bjórndal strasznie zadzierała nosa. Każdy to widział, ilekroć spotykali ich na swej drodze lub gdy — co prawda z rzadka — pokazywali się w kościele.

Ciemny mur lasu oddzielał otwartą równinę od Bjórndal. Był to górski las, do którego od południa, jak daleko pamięć ludzka sięga, żaden chrześcijanin nie ważył się wstąpić. Droga do Bjórndal prowadziła przez ten las, ale co znajdowało się po tamtej stronie? Niewątpliwie był tam znowu las i chyba także niedźwiedź, z którym można się było zetknąć oko w oko na samym środku drogi. A ludzie stamtąd — zawsze tak wyniośli i tak powściągliwi w rozmowie, kiedy przychodzili tutaj — okazały się przy spotkaniu może jeszcze gorsi niż niedźwiedź. Tradycyjnie, z ojca na syna, ludzie na równinie utrzymywali złą opinię o leśnych ludziach z północy, tak że teraz, pod działaniem własnego uprzedzenia, bali się z nimi spotkać. Nikt nie chciał myśleć o tym, że mógłby zostać powołany do odbycia tej podróży. Nikt nie miał odwagi wymienić jakiegoś nazwiska. Ale ktoś musiał spełnić misję.

I znów pan Diderich okazał się prawdziwym ojcem parafii. Jeżeli znajdzie się ktoś, kto go zawiezie, jutro będzie gotów do drogi. Zdecydowano, że sam projektodawca będzie służył za przewodnika. I stary skąpiec z Bjórklund musiał się zgodzić.

Od dawien dawna równina miała swych stałych mieszkańców. Była to ziemia uprawna. Coraz więcej lasu wyrąbywano na wschód i na zachód. Najpierw ukazywały się z rzadka rozrzucone pólka i łąki, potem pojawiły się samotne gospodarstwa, a karczowiska zamieniały się w szerokie pola i pastwiska. Jedynie wzdłuż łożyska strumienia i pomiędzy domostwami pozostawiono trochę drzew jak gdyby na pamiątkę dawnych lasów, które tutaj królowały.

Dopiero daleko za płaszczyną pól ku wschodowi i ku zachodowi, rozciągał się bór. Prawdziwy, śpiewający bór. Gaje leśne pozostawione w pobliżu najbardziej odległych domostw, służyły tylko do zaspokojenia potrzeb gospodarskich, wykorzystywano je na budulec lub na drzewo opałowe.

W dawnych czasach lasy znajdujące się daleko w głębi lądu nie posiadały wartości. W rozległym terenie chłop osiedlał się

wśród pól i łąk, z trzodą zabezpieczoną w oborze. Nie przebiegał lasów w poszukiwaniu zwierza lub przygody — nie był przecież przestępcą. I tak zasięg ziemi uprawnej rozszerzał się coraz dalej na wschód i na zachód, zaś od strony południowej budowano coraz gęściej. Nowe osiedla parły coraz dalej na południe.

Jednak istnieje także północ. A na północ od otwartej równiny las pozostał nietknięty. Majestatyczny i ciemny, śpiewał swą starą baśń, niosąc ją poprzez górskie wzniesienia ku nieskończonym przestrzeniom północy.

W lesie mieszkwały trolle, czarownice i wszelkiego rodzaju upiory. Na otwartej równinie straszono dzieci lasem. Nic więc dziwnego, że dzieci wzrastały w przekonaniu, iż wszystko zło czyha na górze, w lesie. Ta trwoga przed lasem miała zresztą swoje uzasadnienie. Gdy niedźwiedź zstępował na dół na krwawe łowy — przychodził z lasów północy. Gdy jak za dawnych czasów wilki napadały ludzi — nadciągały one z gór i lasów położonych na północy. Gdy nad pastwiskami krążył orzeł i porywał jagnięta i inne pomniejsze stworzenia — przylatywał z północy. Chciwy łupu jastrząb, spadający na kurczęta, przybywał z północy. Gdy złodziej-lis skradał się po najtłustszą gęś — ślady jego prowadziły z północy. Gdy jesienią i zimą lodowata zamieć szalała nad pustymi polami i drogami — napędzał ją wichur z północy. Wszystko zło pochodziło z północy, z lasów.

Jednak ludzie chodzą różnymi ścieżkami. Mieszkańcy otwartej równiny nie mieli odwagi iść do lasu, ale na ich miejsce znaleźli się inni, wszędzie bowiem dotrze stopa ludzka. Więc też i w owych lasach żyli ludzie. Nikt w osiedlach nie wiedział, skąd przybyli, ze wschodu czy zachodu, i nikt nie wiedział kiedy. Musiało to być już dawno, dawno temu. Z czasem tam na górze powstało osiedle i wtedy na drogach pomiędzy wioskami zaczęli się pokazywać jego mieszkańcy. Ale ludzie z lasu i ludzie z równiny nigdy się do siebie nie zbliżali, jedni do drugich się nie odzywali. Ci z równiny mijali ludzi z lasu z wysoko podniesionymi głowami, uważając ich za hołotę, za coś na j podlejszego i unikali zetknięcia z nimi w ciemnościach.

Tymczasem chłopci coraz częściej spotykali na swej drodze ludzi z północy. Musieli się do tego przyzwyczaić. Podobno kiedyś istniała droga przez las, która prowadziła do osiedli od strony

zachodniej, ale ponieważ droga od południa była lepsza, tamta poszła w zapomnienie. Ludzie z północy przynosili ze sobą swoje towary, skóry i inne przedmioty, które sprzedawali na południu. Zdarzało się, że handlowali nawet w wysuniętych daleko na południe osiedlach, ale tutaj, wśród swoich sąsiadów — nigdy. Byli pomiędzy nimi mężczyźni ogromni i dumni, którzy z góry spoglądali na tutejszych chłopów. Prawdopodobnie także z tego powodu chłopci spoglądali na nich spode łba.

Z wolna, gdy ludzie z północy coraz więcej stykali się z mieszkańcami otwartej równiny, dowiadywano się czegoś o ich życiu na górze. Ale choć wreszcie przestano uważać ich za hołotę, bynajmniej ich nie szanowano. Byli przecież ludźmi stamtąd, zza lasu, pogardzano nimi tak jak i lasem. Nie traktowano ich jak chrześcijan, posądzano ich o czary, gwałt i wszelkiego rodzaju wybryki.

U

Rankiem po zebraniu na probostwie przejechał przez Borgland powóz, w którym siedziało dwóch mężczyzn. Powóz skręcił na północo-zachód, okrążył ponure czeluście Doliny Dziewicy, przeciskając się pod ostrymi występami czarnych skał, „po czym wjechał do lasu stanowiącego granicę Bjórndal.

Stary chłop z Bjórklund gorzko żałował całego przedsięwzięcia i żywił nadzieję, że pastor jeszcze się rozmyśli. Ale na plebanii wczesnym rankiem otrzymano wiadomość, że dzisiejszej nocy widziano niedźwiedzia w Bo, we wschodniej części parafii. Pastor był ogromnie rozgniewany i przynaglał, żeby jechać co koń wyskoczy. Niedawno przybył w te strony. Jakkolwiek dobrze już wiedział, jaką opinią cieszy się Bjórndal i jego mieszkańcy, nie bał się ich jeszcze w tym stopniu, co stali mieszkańcy równiny. W czasie jazdy obaj podróżni nie zamienili ze sobą ani słowa, uchylając się ciągle przed sterczącymi nisko występami skał w Dolinie Dziewicy.

W głębokich wąwozach przebywały niebezpieczne, wabiące syl-



fidy, a w ciemne wieczory dochodziły z dołu śpiewy i tony trącanych strun. Ludzie, którzy odważyli się iść tamtędy w nocy, nie wracali już nigdy. W szczelinach skalnych po drugiej stronie drogi mieszkałytrolle i koboldy. Nocami dochodziły stamtąd jakieś dziwne głosy i hałasy.

Las górski graniczący z Bjórndal był cieńmy. Olbrzymie drzewa szumiały głucho i groźnie. Podróżni zatrzymali się na skraju wysoko położonej polany. Ziemia załamywała się tutaj stromym stokiem w dół aż do osiedla bjórndalskiego. Stary chłop zatrzymał konie.

Patrzyli przed siebie oniemiałi. Błade promienie jesiennego słońca wyczarowywały widok tak piękny, że wszystko, co dotąd słyszeli o ciemnych i złych siłach, rozplynęło się w nicość. Pastor chrząknął, towarzyszący mu chłop milczał. Ruszyli w dalszą drogę. Zjeżdżali wciąż w dół, aż wreszcie dotarli do pierwszej z brzegu zagrody. Wjechali w obejście Hamarrbó.

Od niepamiętnych czasów najstarsi synowie osiadłego tutaj rodu nosili imię Ornulf, dziś nazywano ich po prostu Orn \*. Zdarzało się, że dwóch, trzech, a nawet i czterech synów nosiło jednocześnie imię Orn.

Przybyli z południa podróżni spotkali na podwórzu dziewczkę od krów i posłali ją do domu, żeby oznajmiła o ich przyjeździe. Sami tymczasem rozglądali się dokoła. Patrzyli na ciemne zabudowania o dachach porośniętych gęstą trawą, na wylaniający się za nimi las i skały, które wznosiły się ku jasnemu niebu sine i pełne surowej dzikości. Wyglądały groźnie i ciężko, jak gdyby zamierzały zmiażdżyć sobą dom i ludzi.

Najstarszy Orn, podpierając się kijem, wyszedł na próg domu. Pastor skinął na niego, ale stary Orn Hamarrbó stał przed swoim domem i nie poruszył ani nogą, ani kijem. Powiedział:

— A, to nasz pastor na objeździe?

Pastor zmarszczył czoło, wyjawiał jednak cel swojej podróży.

— Aha, łowców nadźwiedzi — powtórzył za nim starzec i wskazał kijem na północ, na wskroś doliny. — To Gammel-Bjorndal" — dodał.

Pastor spojrział we wskazanym kierunku. Wysoko ponad wsią

• Orzeł

\*• Stara Dolina Niedźwiedzi

w dolinie, niby osadzony na tronie, stał dwór wśród obszernych zabudowań, ciemnych jak sam las, oświetlanych jedynie chwilami odblaskiem słońca w szybach okien. Pastor i chłop z Bjørkland słyszeli już o dworze, który nazywał się Gammel-Bjorndal, i uświadomili sobie niejasno, że z tym łączy się coś ogromnego. To stąd pochodzili owi wysokiego wzrostu mężczyźni, przewyższający wszystkich innych. Oni to jeździli owymi dzikimi, czarnymi końmi, które prześcigały wszystko na drodze. Coś wspaniałego było w tych ludziach, coś, co mieszkańcy równiny uznawali jedynie u najwybitniejszych w swoim własnym środowisku, ale czego nigdy nie przyznaliby ludziom z lasu. O ludziach z Bjørndal zawsze krążyły złe pogłoski: że dopuszczali się gwałtów, że mordowali.

To złe wyobrażenie zaczęło jednak pryskać, gdy zobaczyli przed sobą dwór i zabudowania. Tworzyły one obraz tchnący pewnością i siłą — czegoś podobnego nigdy dotąd nie widzieli. Może zrozumieli teraz, że ludzie stamtąd mieli prawo tak dumnie występować. Pastor i chłop uświadomili sobie jednocześnie, jak mało znaczyli tutaj razem ze swoim niedźwiedziem, i wstydzieli się złych plotek, których wysłuchiwali i które podawali dalej. Kierując się prawdopodobnie tymi uczuciami, pastor ponownie zwrócił się do starego Orna z pytaniem, czy nie można by gdzie indziej znaleźć ludzi gotowych spotkać się z niedźwiedziem.

— O — stary wyciągnął to „o” bardzo długo — obcy muszą zgłosić się tam, we dworze.

Dwie rzeczy w tej odpowiedzi zwróciły uwagę pastora. Po pierwsze, że on, pastor, został nazwany obcym, po drugie, że informacja brzmiała jak zarządzenie administracyjne: obcy mają zgłosić się w Gammel-Bjorndal. Nie mieli więc nic więcej do powiedzenia. Pożegnali się i pojechali dalej.

Droga wiodła teraz w dół. Zagrody, które mijali w dolinie, wyglądały ubogo, ale było ich więcej, niż się spodziewali. Ludzie i zwierzęta ze zdziwieniem patrzyli za nimi. Tutaj dróg nie nawiedzały żadne niedźwiedzie, poza tym osiedle nie było zagrzebane w gęstwinie ciemnego lasu. Były tu widne, brzoźowe gaje, a między nimi pola i pastwiska, zaś pośród domów drzewa liściaste rzucające na nie cień w porze słońca.

W głowie pastora kiełkowała pewna myśl. Słyszał kiedyś, iż je-

den z jego poprzedników karmił surowo ludzi z lasu za to, że przychodzili z bronią na ramieniu do kościoła. Nie przystoi chrześcijaninowi — napominał — przychodzić do domu Bożego w uzbrojeniu. Od tej pory ludzie z lasu nie pojawiali się więcej w kościele. Przychodzili w wyjątkowych wypadkach, gdy trzeba było ochrzcić noworodka, kogoś pochować lub dopełnić ceremonii małżeństwa. Był to bunt przeciwko Kościołowi. Teraz pastor poznał źródło tego buntu i rzucał ponure spojrzenia ku dworowi na skraju lasu. Jednak gniew jego szybko minął. Chciał sądzić tych ludzi za to, że byli uzbrojeni, a przecież sam przybył, żeby prosić ich właśnie o zbrojną pomoc. Przed chwilą wydawało mu się, że będzie mógł wystąpić wobec nich z surową powagą, a tymczasem sam znalazł się w dwuznacznej sytuacji.

Droga przez dolinę była dłuższa, niż się spodziewali, a jazda pod górę uciążliwa. Gdy nareszcie dotarli na górę i jechali przez pola i łąki, nie chcieli wierzyć oczom. Choć wszystko już zwieziono z pól, widać było, gdzie rosło zboże i len, gdzie zaś kwitły łąki. W każdym razie przybywali do osiadłych tu na stałe chrześcijan.

Zdumienie ich doszło chyba do szczytu, kiedy podróż się skończyła i powóz zatrzymał się na podwórze. Podwórze to, jeszcze nie tak obszerne jak w późniejszych czasach, było dość okazałe, otoczone wielu masywnymi zabudowaniami. W tej chwili stało ciche, dziwnie ciche, jakby opuszczone. Prawdopodobnie była to pora posiłku. Lecz nawet zamknięty dom ma oczy. Na ganku ukazał się młody człowiek. Był to blondyn o spleśniałych od słońca włosach i jasnym, pięknym obliczu. Oczy jego, niezwykle niebieskie, miały ostre spojrzenie.

Pan Diderich był zaskoczony. Zwiedził już kawał świata, wiele poznał i wielu różnych ludzi spotkał w swoim życiu. Ten młodzieniec o ostrożnym, lekkim kroku, wysmukłej postaci i pięknej, wysoko podniesionej głowie ma w sobie coś z wielkich ludzi, bardzo wielkich ludzi.

Nie, nie myli się. To nie hołota.

Młody człowiek tymczasem przyglądał mu się badawczo i wyczekująco. Pastor skinął na niego. Taki już miał zwyczaj. Nigdy nie schodził z wozu, gdy objeżdżał parafię, chyba że w czyimś domu zagościła śmierć. Ludzie musieli wychodzić z domu i z usza-

nowaniem stać przed nim. Jedynie do starego, szlacheckiego dworu w Borgland, do którego należała ziemia na otwartej równinie, pastor wchodził ze skromnym uśmiechem na ustach.

Młodzieniec zbliżył się i stanął we wskazanym mu miejscu. Pastor chce pomówić z jego ojcem — bo niewątpliwie należy do rodziny?

Tak, należy. Odwrócił się i poszedł po ojca. Zaraz powrócił, ale sam. Ojciec prosi pastora do domu. Pan Diderich zaczerwienił się.

— Ja jestem tutaj pastorem i chcę z ojcem pomówić, może zechcesz mu to powtórzyć i powiedzieć, że mnie się spieszy.

Ale młodzieniec znów powrócił sam. Ma powiedzieć, że i pastor będzie mile widziany w domu. W słowach jego dźwięczał ostry ton. Pan Diderich podniósł brwi wysoko do góry. Kąciki jego ust drgały, gdy wysiadał. Wielkimi krokami przemierzył podwórze i wszedł za młodzieńcem do domu. Stary chłop z Bjórkland dreptał za nimi w milczącym zdumieniu.

UJ

Pastor i chłop weszli do ciemnego hallu. Na lewo i na prawo były drzwi. Młodzieniec otworzył drzwi po prawej stronie i poprowadził przybyłych przez jedną izbę do następnej.

Twarz pastora przybrała inny wyraz. W nie byle jakiej stali izbie. Ogromne belki podpierały niski pułap, słupy ścian były potężnych rozmiarów. W dłuższej, południowej ścianie znajdowało się niskie okno o małych, ciemnych szybach. Słońce przepuszczało przez nie swe złote promienie. W północnym końcu ściany zachodniej wybudowana była nisza na drzwi. W południowym końcu znajdowało się drugie, takie samo okno. Było otwarte i światło dzienne padało ukośnie na stół. Leżała na nim Biblia i jakaś inna księga, obok stał kałamarz oraz pióra świeżo nacięte do pisania. Pastor musiał stwierdzić ponownie, że bynajmniej nie

17

» A lasy wiecznie  
śpiewał;

przybył do barbarzyńców. Podówczas niewiele jeszcze było dworów, w których umiano czytać Biblię i pisać. Wszystkie przedmioty tu były ciężkie, masywne i artystycznie rzeźbione. Na górze pod stropem połyskiwała w półmroku zimna stal rozwieszanej broni.

Pastor i chłop patrzyli na siebie w milczeniu. Potem otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Wszystko wskazywało na to, że był ojcem młodzieńca. Ale cerę miał ciemniejszą, a twarz jego była jak wykuta z żelaza, jak gdyby całe pokolenia uczyły ją sztuki nieokazywania żadnych uczuć: ani troski, ani radości. Surowe słowa, które pastor miał na końcu języka, pozostały nie wypowiedziane.

— Tu jest miejsce do siedzenia — powiedział ów mężczyzna, sadwiąc się pod ścianą, gdzie promienie słońca już nie docierały. Pastor usiadł, chłop z Bjórkländ zrobił to samo.

Pan Diderich nie wyobrażał sobie, że wykonanie tej misji będzie takie trudne. Na widok tego opartego o ścianę człowieka myśli jego zatrzymywały się, słowa grzęzły w gardle.

Chmura przesłoniła słońce i w pokoju zrobiło się ciemno. Bynajmniej nie ułatwiło to pastorowi zadania. W tej wielkiej, mrocznej komnacie odnosił wrażenie, jakby znalazł się w jakimś obcym świecie. Ale musiał jakoś zacząć, a gdy już zaczął, słowa same się dobierały. Opowiedział o wszystkim, co się stało na równinie, potem także o wizycie w Hamarrbó i o tym, jak skierowano go tutaj. Przychodzi teraz prosić o pomoc, zresztą także innych tutejszych ludzi, aby zapobiec dalszemu spustoszeniu.

Gospodarz na Bjórndał nazywał się Torgeir. Siedział teraz przed pastorem na ławie i uparcie milczał. Milczał, na przemówienie pastora nie odparł ani słowa. Więc pastor musiał mówić dalej. Zwrócił uwagę na to, że chrześcijanie powinni sobie pomagać w potrzebie, zaznaczył również, że ludzie z równiny chyba będą mogli przysłużyć się kiedyś ze swej strony, w złych czasach czy przy innej sposobności, ludziom z północy.

Torgeir Bjórndał podniósł powoli głowę i spojrzał na pastora:

— Nie potrzebujecie mi przypominać obowiązków chrześcijańskich — odpowiedział. — Dotychczas my z północy ani w złych czasach, ani w innej potrzebie nie zwracaliśmy się o pomoc do

ludzi z południa. Myślę, że potrafimy sobie sami poradzić, tak jak to jest obowiązkiem człowieka.

Pan Diderich podniósł się i dał mu do zrozumienia, że zapłaci mu za jego trudy, jeżeli pójdzie z nimi. Nie wątpił, że propozycja jego wydawać się będzie bardzo nęcąca. Torgeir Bjórndal także się podniósł i obrócił ku oknu, jak gdyby chciał wyjrzeć przez nie. Lecz szyby były grube i matowe i służyły jedynie do przepuszczania światła, nic przez nie nie było widać. Torgeir obrócił się do pastora i powiedział;

— Sami mamy tutaj kilka niedźwiedzi, z którymi musimy się rozprawić. Nie potrzebujemy więc szukać ich po wioskach.

Wówczas pastor odrzucił całą swą godność i w imię Boże prosił pokornie o opiekę i pomoc. Opowiedział dokładnie o wszystkim, o ich wysiłkach i niepowodzeniu. Dał opis olbrzymiej, okrutnej bestii o zielonych, niesamowicie błyszczących ślepiach i o jasnej plamie na boku. Niedźwiedź był tak olbrzymi i groźny, że widokiem swym wprawiał wszystkich w śmiertelną trwogę.

Torgeir siedział teraz twarzą zwrócony ku oknu. Gdy pastor wspomniał o bladej plamie na boku niedźwiedzia, nagłym ruchem odwrócił się i przeszył go wzrokiem. Pan Diderich mimo woli cofnął się w tył. Wzrok ten ugodził go jak stal. Torgeir Bjórndal długo patrzył na pastora, po czym powoli zwrócił oczy ku północnej ścianie. Wisiała tam strzelba na niedźwiedzie:

błyszcząca i groźna, bez śladu rdzy. Wreszcie odwrócił się i utkwiał na długo wzrok w otwartym oknie zachodnim. Jesienne słońce siało blade promienie na zbocze odległej góry. Spojrzenie Torgeira jak gdyby straciło swą przenikliwość, ale rysy były jak z kamienia. Niczego nie można było wyczytać z tej twarzy. Zajął swe poprzednie miejsce przy oknie południowym, gdzie słońce znowu złociło szyby. Oparł łokcie na kolanach, zaciśnięte pięści podtrzymały głowę. Pastor także usiadł. Nie miał odwagi mówić dalej, usiłował przypomnieć sobie, czy nie powiedział czegoś, co mogło tego człowieka rozgniewać. Torgeir Bjórndal nie zmieniał pozycji, lecz coś drgnęło dookoła jego brody i ust i wreszcie przyszły słowa. Mówił jak gdyby do siebie samego, głos był ponury i ochrypły.

— Ojciec mojego ojca umarł...

»•

Zamilkł. Pastor zdziwiony patrzył na niego, a chłop z Bjórk-land ukradkiem spojrział w stronę drzwi, jak gdyby chciał się upewnić, że droga jest wolna.

— On umarł... — odezwał się znowu Torgeir. — Zabił go niedźwiedź.

Pastor zaczynał rozumieć i patrzył przed siebie z wyteżoną uwagą. Stary chłop z Bjórkland pochylił się naprzód. I on wyteżył słuch. Z podziwu otworzył usta.

— Mój ojciec umarł zabity przez niedźwiedzia. Stary chłop z Bjórkland westchnął głęboko. Pastor poczuł się bardzo mały.

— Miałem brata. On także spotkał się z niedźwiedziem i poniósł śmierć.

Torgeir zamilkł. Nie odzywał się przez dłuższy czas. Pastor siedział jak skamieniały. Jego towarzysz patrzył przed siebie z otwartymi ustami; oczy jego były rozwarte szeroko i nieruchome, aż łzy spływały mu po policzkach. Torgeir mówił teraz jeszcze ciszej.

— Miałem także trzech synów. Teraz mam tylko dwóch. Starszy ubiegłego roku poszedł na niedźwiedzia. Był jeszcze młodym chłopcem. Zabroniłem mu, ale on poszedł. Nie wrócił więcej do domu.

Po każdym słowie zatrzymywał się. Ostatnie wyszło jak ciężkie westchnienie. To, co słyszeli, brzmiało w ich uszach jak baśń z innego, dalekiego świata. Mężczyzna przed nimi wyprostował się i obrócił ku otwartemu oknu:

— Mój dziadek zabił siedemnaście, przy ostatnim został. Znów pauza.

— Niedźwiedź miał na boku jasną plamę barwy gniadego konia...

Pastor wysoko podniósł brwi, ręce jego drżały nieco. Stary chłop siedzący za nim opuścił dolną wargę i ślina ciekła mu na brodę, a kolana się trzęsły. Torgeir Bjórndał mówił dalej ledwo dosłyszalnym głosem:

— Mój ojciec zabił siedemnaście, ostatni zadał mu śmierć. Miał na boku jasną plamę barwy gniadego konia.

Krzesło pod chłopem zatrzeszczało, a pastor zapomniał oddychać.

— Mamy tutaj dwie skóry niedźwiedzie. Na każdej z nich przyniesiono do domu trupa.

Przy ostatnim słowie słońce raptownie zaszło; ponura ciemność wypełniła pokój. Torgeir wstał i spojrział w okno. Słowa jego brzmiały teraz mocno:

— Ja sam zabiłem szesnaście. Nie miałem zamiaru polować więcej. Ale jeżeli wasz niedźwiedź ma jasną plamę, to pochodzi z tych samych, które zabiły mojego ojca i mego dziada; więc pójdę jeszcze raz. Tam u was, na dole, kończą się już niedźwiedzie i być może ja... też.

Pastor powinien był coś powiedzieć, nie mógł jednak znaleźć słów. Nie był przygotowany na tak silne wrażenia. Torgeir dał im do zrozumienia, że mogą jechać do domu.

— Ja pojedę za wami — dorzucił. — Jeżeli pragniecie coś zjeść, zanim wyruszyacie w drogę, proszę, jedzenia jest dosyć.

Obaj podnieśli się i cicho opuścili pokój. Po tym, co usłyszeli, nie chciało im się jeść.

W drodze powrotnej nie wymienili ze sobą nawet jednego słowa. Także później z nikim na ten temat nie mówili.

Następnego dnia wczesnym rankiem na plebanie przybył jakiś mężczyzna z północy. O szerokich barach i długich nogach, szedł jak łoś — krokiem elastycznym, zdecydowanym. Głowę trzymał wysoko i prosto. Daszek niewielkiej czapki chronił mu oczy przed słońcem. Miał krótką obcisłą kurtkę, spod której widać było kamizelkę z garbowanej skóry, spodnie do kolan sznurowane, skórzane owijacze mocno ściągnięte dokoła łydek, buty miękkie, ale solidne. Przez jedno ramię był przewieszony na rzemieniu worek, przez drugie — strzelba. Na prawym biodrze miał przymocowany do pasa krótki, szeroki nóż w pochwie. Prowadził na smyczy dwa szare, o ostrej sierści psy.

Cały ten myśliwski ekwipunek był już mocno zużyty i zniszczony przez wędrowniki po lasach i połoninach. Nie robił wrażenia stroju paradnego, ale dookoła szyi i przegubów rąk koszula lśniła tak białą, jak tylko słońce może wybielić, zaś guziki u kamizelki błyszczały srebrem.

Był to Torgeir Bjórndal.

Zaskoczony pastor zapytał, czy przybywa sam.

— Nie — odparł Torgeir — mam ze sobą strzelbę i psy. —



Twarz jego była jak z kamienia, zaś ton głosu taki, że pastor wstrzymał się od wszelkich dalszych uwag.

Torgeir pragnął się jeszcze dowiedzieć, czy od wczorajszej nocnej wizyty niedźwiedzia w Bo nie zdarzyło się nic nowego. Pastor odrzekł, że o niczym nie słyszał.

I Torgeir odszedł. Pastor długo patrzył za nim.

Po przeżyciu wielkiego strachu ludzie nabrali otuchy. Od zagrody do zagrody biegła wieść, że myśliwy wyruszył już w drogę. Dwaj wysłannicy, którzy udali się do ludzi z północy z prośbą o pomoc, nie opowiadali nic ani o tym, co widzieli, ani o tym, co słyszeli. Chłop z Bjórkland powiedział tylko tyle, że ludzie jeszcze bardziej utwierdzili się w przekonaniu, iż w niedźwiedziu siedział diabeł. To, że myśliwy poszedł sam, dowodziło niesłychanej odwagi. Musiały się w tym kryć jakieś czary.

W izbach i po różnych kątach stare baby w spódnicach i stare baby-mężczyźni opowiadali niestworzone rzeczy. Opowiadali o płonącym niebie i o krwawym mieczu, który ukazał się poprzedniego dnia, o zielonkawych, niesamowicie błyszczących oczach niedźwiedzia, błyszczących jadem i piekielnym światłem, wreszcie o jasnym piętnie na boku, które wystąpiło wtedy, gdy demon posiadał jego ciało. O myśliwym zaś, który odważył się wyruszyć zupełnie samotnie, opowiadali, że w worku nosi czary, a w strzelbie proch piekielny i że będzie strzelał kulami z poświęconego srebra.

#### IV

W znacznej odległości od Bo, na wschód od granicy, gdzie zaczyna się obszar innych gmin, las przechodzi w wielki, dziewiczy bór. Za nierównymi wzniesieniami teren opada gwałtownie ku rwącej i spienionej rzece, która toczy swe wody w przepastnej niemal głębi. Skały porasta gęstwina starych drzew i krzaków, które przesłaniają rzekę i przepaść.

Tego dnia, gdy Torgeir tropił niedźwiedzia, las nad przepaścią wyglądał tak jak zwykle. Ogromne głuszcze przechadzały się bez-

trosko po zielsku i zajadały się owocami lata: jagodami czarnymi, czerwonymi, niebieskimi. Ostre kopyta łośi pozostawiły głębokie ślady na mchu. Wysoko na tle bladego, jesiennego nieba zataczał kręgi orzeł, szeroko rozpościerając skrzydła. Biel słonecznego światła legła na wszystkich lasach.

Czy nie spadła tam z drzewa szyszka? Głuszcac hałaśliwie wzbił się w powietrze i jak strzała pomknął ponad przepaścią, i zniknął.

Czy to nie trzask łamanej suchej gałęzi? Po kępkach wrzosu i płatach mchu przesuwiał się jakiś kanciasty cień. Przesuwiał się ku skalnym występom na krawędzi przepaści. Za tym cieniem toczyło się duże, ciemne zwierzę. Był to niedźwiedź o potężnych rozmiarach, ale chudy i powolny ze starości. Głowa zwisała na cienkiej, kudłatej szyi, pysk był na wpół otwarty. Węszył i nasłuchiwał szumu rzeki. Ciężkie łapy pozostawiały ślady z szerokim odstępem. Rozdeptywały jagody i rozplaszczwały kępki wrzosu.

Czy to nie wiewiórka skoczyła z gałęzi? Niedźwiedź nagłym ruchem odwrócił się, po czym nasłuchiwał z przekrzywioną głową. Jego małe, błyszczące oczka patrzyły wstecz w kierunku, z którego przyszedł.

Ciche stąpanie, potem tupot łap szybko pędzących, zadyszanych zwierząt — i naraz wściekłe ujadanie przeszło ciszę.

Cóż to się dzieje ze starym, zgrzybiałym niedźwiedziem? Cóż to za potwór stoi na polanie, podnosi się i jak oszalały bije łapami w powietrzu? Puścił je w wir niby koło młyńskie pod rwącym strumieniem, a psy ujadały, wyły, odskakiwały do tyłu i z najeżoną sierścią i dzikim skomleniem rzucały się znów do ataku. Wszystko zagłuszał ochryply ryk, wydobywający się ze spienionego pyska potwora.

Czy to piorun uderzył? Jednemu z psów udało się zatopić zęby głęboko w udzie niedźwiedzia, ale wtedy trafiło go uderzenie łapy. Zatoczył koło w powietrzu i padł na ziemię z rozszarpanym brzuchem i wylewającymi się z rany wnętrznościami między te same drzewa, z których przed chwilą wyskoczył. Drugi pies widząc, że został sam, zatrzymał się na chwilę niepewnie, ale gdy niedźwiedź posunął się o kilka kroków bliżej ku przepaści, zaczął znów szczekać i rzucił się do walki.

Ruchy niedźwiedzia stały się spokojniejsze. Śledził bacznie każde poruszenie swego rozszalałego wroga. Za każdym razem,

gdy pies podchodził bliżej, gotował się do zadania mu ciosu. Cios taki zdolny był zabić wołu. Ale pies dopadał i odskakiwał jak błyskawica.

Krok za krokiem niedźwiedź przysuwał się ku krawędzi przepaści. Znowu błyskawiczny atak. Niedźwiedź wymierzył cios. Nie trafił w środek ciała, musnął jedynie przez grzbiet. Wystarczyło to w zupełności — szerokim łukiem pies runął w dół.

Niedźwiedź zdumiony rozglądał się dookoła. Czy to był koniec jego udreki? Ach, nie, zbyt dobrze pamięta. Pewnego razu, jeszcze za czasów swej młodości, spotkał się z takimi psami. Wówczas to ów grzmiący cios wgrzył mu się w bok. Teraz należało oczekiwać pojawienia się najniebezpieczniejszego ze zwierząt — człowieka z północy, z Bjórndała.

Chyłkiem jak czający się ryś przemknął na skraj jaru. Nie, ta rozpadlina prowadziła tylko na wielki blok skalny, a stamtąd nie wiodła już dalej żadna droga. Wciągnął się na krawędź z powrotem, przetoczył się przez zwalony pień jodły, skulił się i wpełził w jamę tuż za drzewem. W tym momencie zeszywniał i znieruchomiał. Żył tylko jego błyszczące oczy. Spojrzenie pełne nienawiści i ogromnego strachu utkwiał tam, skąd przybiegły psy.

Człowiek wreszcie nadszedł. Nie przybywał z krzykiem i hałasem, tak jak to zwykle czynili ludzie z wiosek na równinie. Szedł pochylony, przyczajony jak lis w trawie lub ryś na gałęzi drzewa. Wyteżył wzrok, nastawił uszu, wietrzył. Najniebezpieczniejsze zwierzę na świecie.

Prawdopodobnie człowiek znalazł w lesie swego psa. Oczy szukały czegoś na ziemi. Szerokie ślady wskazywały, że był na właściwym tropie. Długo stał w miejscu, gdzie rozegrała się walka z psami. Trzymał w pogotowiu długi i niebezpieczny piorunujący pręt.

Niedźwiedź poczuł, że pali go całe ciało. Miejsce na udzie, ukąszone przez psa, bolało i piekło tak, że z ledwością mógł wysiedzieć. Gdzieś w głębi ciała szarpał go stary ból. Niedźwiedź szalał. Czego szuka tutaj ten człowiek, który potrafił zadawać tylko ból? Ach, jak dojmujący jest ten ból, jak bardzo pali świeża rana!

Człowiek podchodzi coraz bliżej, czujnie i cicho. Lekko ześliznął się do rozpadliny, w której niedźwiedź zostawił swoje pierwsze ślady. Teraz stanął na bloku skalnym tuż pod jego kryjówką.

Ból w ciele niedźwiedzia zamienił się w żrący ogień. Ukąszenie paliło, jak gdyby ranę rwały jeszcze psie zęby. Krew szumiała jak wodospad i uderzała do głowy. Stracił panowanie nad sobą. W porywie ślepej nienawiści jednym dzikiem skokiem wypadł z kryjówki i rzucił się poprzez krawędź na mężczyznę stojącego na bloku skalnym.

Torgeir Bjórndal badał dokładnie spadzisty stok poniżej — może niedźwiedź tam się ukrywa? W ostatniej chwili spostrzegł nagle niebezpieczeństwo i zdążył jeszcze odskoczyć do tyłu. To go uchroniło od zmiżdżenia. Ale strzelba spadła w dół do przepaści. Wszystko się skończyło.

Nie, jeszcze nie. Człowiek z północy, człowiek z Doliny Niedźwiedzi może okazać się niebezpieczny i bez strzelby. I tak się też stało. Torgeir Bjórndal, zwinniejszy od niedźwiedzia, skulił się, rzucił się na niego pochylony jak byk i wbił głowę w szyję zwierzęcia. Napreżył ramiona i grzbiet w potężną klamrę, przypierając łokciami z góry. W tej samej chwili niedźwiedź zamknął go w uścisku swoich łap.

Wszystko rozegrało się przez kilka mgnień, jednym tchem. Nad głową Torgeira rozlegał się wściekły ryk niedźwiedzia, a jego pazury szarpały mu plecy, rozdzierały ubranie, wyrzywały ciało z krwią. Torgeir przesunął ramię w dół, wydobył nóż, odchylił się z całych sił do tyłu, przystawił go w miejscu, gdzie winno znajdować się serce, i wepchnąwszy ostrze, obrócił je. Po ciele niedźwiedzia przebiegł skurcz. Łapy zatopiły się głębiej w plecach Torgeira, i zwierzę, a z nim razem i człowiek runęli ciężko na ziemię.

Torgeir przebudził się. Leżał ściskając kurczowo w dłoni rękojeść noża. Druga ręka była zagłębiona w futrze na karku niedźwiedzia. Ostrożnie spojrzął w bok, na skałę. Czy żył jeszcze? Czy było to przebudzenie po śmierci?

Ale... chyba jeszcze żył! Widział, jak chwiały się źdźbła drzączki, a liliowe dzwoneczki wychylały ze szczelin swe jedwabne kielichy. Zupełnie jak za życia. Więc żył, a niedźwiedź był pokonany. Po twarzy przesunął mu się twardy uśmiech. Więc nie był mniej wart niż jego ojcowie. Nagle przeszył go zimny strach. Czy to tylko był ten niedźwiedź?

Usiłował się podnieść, lecz kręgosłup miał jakby złamany.

Niepokojący chłód owładnął całym jego ciałem. Udało mu się obrócić tak, że widział teraz cały bok niedźwiedzia. Nie, bok nie był płowy! W oczach zamigotały mu gwiazdy. Spróbował ostrożnie obrócić głowę. Zimny dreszcz i niepokój paraliżowały mu ciało. Długo tak leżał, zanim odważył się spojrzeć na drugi bok zwierza. Powoli, z zamkniętymi oczyma, unióśł głowę, odpoczął chwilę, wyciągnął szyję i z wolna podniósł powieki. Szeroko rozwartymi oczyma wpatrywał się w bok niedźwiedzia — futro było w tym miejscu bladożółte, barwy gniadego konia.

Kurczył się z bólu i z zimna. Lód obejmował całe ciało. Ale nie odrywał oczu od płowej plamy. Twardy, zimny uśmiech błąkał się na ustach. Naraz czerwień przesłoniła mu widzenie, płomienna, pełna blasku, a potem wszystko zapadło w ciemność, w noc.

Utykając, na trzech nogach, powoli zbliżał się pies. Czwarta była złamana i zwisała bezwładnie. Podróż powietrzna zaszkodziła bardzo biedakowi, był dotkliwie [potłuczony. Ale węszył i obchodził dopóty, dopóki nie znalazł, czego szukał. Najpierw obszczekiwał trupa niedźwiedzia, po czym, zobaczywszy swego pana, zaskomlał ze szczęścia. Ale nic się nie poruszyło, ani pan, ani niedźwiedź. Skomlał, machając ogonem i poszczekując, kuśtykał dokoła. Wreszcie stanął jak wobec czegoś niepojętego. Po lesie rozległo się żalosne wycie.

Nazajutrz, gdy zaczęło świtać, biedny pies pokulał przez równinę i znikł na drodze prowadzącej do Bjórndał. Jeszcze tego samego dnia nadszedł wóz, na którym siedziało dwóch mężczyzn i pies. Czarny koń pędził szybko tą samą co zawsze drogą. Zatrzymali się chwilę przed probostwem i skręcili w stronę Bo. Tam wjechali na podwórze.

Obaj mężczyźni na wozie byli prawie jeszcze chłopcami. Jeden z nich smukły i szczupły, i jasny jak letni poranek; drugi starszy, mocniejszej budowy i ciemniejszy. Obaj byli wysokiego wzrostu i mieli śmiałe twarze. Pozostawiwszy konia i wóz w pełnej gotowości, udali się z psem do lasu.

Gdy zapadł mrok wieczorny, widziano, jak obaj młodzieńcy schodzili na dół na równinę. Szli wolno jeden za drugim, pochyleni pod ciężarem czegoś, co nieśli. Wreszcie dotarli na podwórze w Bo i złożyli ostrożnie swój ciężar. Stary gospodarz nieśmiało i trwożnie przybliżył się do nich. Na ziemi leżała skóra niedźwie-

dzia. Przez łapy były przeciągnięte żerdzie tak, żeby mogła być użyta jako nosze. Futro było rzadkie, takie jakie mają stare niedźwiedzie. Z jednej strony widniała płowa plama. Na skórze spoczywały zwłoki myśliwego, który poprzedniego dnia wyruszył z Bo. Prawica jego zeszywniała ściskając kurczowo rękojeść krótkiego szerokiego noża. Ręka i ostrze były czarne od zakrzepłej krwi. Lewa dłoń zaciśnięta, spomiędzy palców wystawały kłaki niedźwiedziego futra. Oblicze było jak z kamienia, na ustach twardy uśmiech.

— Złe polowanie — odezwał się stary chłop z Bo, żeby tylko coś rzec. Młodzieńcy nie odpowiedzieli i opuścili wzrok ku ziemi. Chłop częstował ich jedzeniem. Potrzęsneli przecząco głowami. Podnieśli nosze na wóz, odmawiając przyjęcia wszelkiej pomocy, i odjechali na północ.

Czy teraz na równinie spoglądano innym wzrokiem na ludzi z osiedla leśnego na północy? Należałoby tak przypuszczać. Niestety, ludzie na ogół są niewdzięczni, a mieszkańcy równiny bynajmniej nie lepsi. Zostali upokorzeni odwagą tego człowieka z północy, który nie wahał się oddać nawet życia po to, aby pokonać zwierzę, opętane przez diabła. Tak, u ludzi małostkowych wstyd budzi nienawiść. Niebawem zapomniano na równinie o odwadze, a z tego samego wstydu zrodziły się zawiść i oszczerstwa przeciwko wszystkiemu, co pochodziło z północy. Następne pokolenia opowiadały to zdarzenie z różnymi dodatkami. Tych z Bjórndal okrzyczano jako grabarzy zwierząt i grabarzy ludzi.

Taka jest wdzięczność świata.

V

Co do czasu opisanych wyżej wydarzeń minęło wiele dni i wiele lat. Na równinie nie było już więcej wypadków z niedźwiedziami. Wprawdzie zdarzało się jeszcze, że latem znikła ta lub inna owca i że natrafiono na ślad niedźwiedzia, lecz bywało to coraz rzadziej.

Później ludzie z północy coraz częściej ukazywali się na drogach. Niekiedy ludzie z południa szli do tamtych na służbę, stąd też nareszcie dowiedziano się prawdy o życiu ludzi z Bjórndal.

Nauczono się rozróżniać, z jakiego folwarku pochodziły konie i ludzie. Koń o płowej grzywie pochodził z Hamarrbó. Gdy był czarny jak kruk i niespokojny, ludzie wstrzymywali oddech i wlepiali weń oczy. Był to koń z Gammel-Bjórndal. A właśnie najczęściej pokazywały się czarne konie. Nie ulegało wątpliwości, że Gammel-Bjórndal stawało się coraz większą i rosnącą w znaczenie posiadłością. Wystarczało to, by wzbudzić złe uczucia. Zazdrość jest niemal tak stara jak świat i w sercach ludzkich znajduje chętne przyjęcie.

Coraz częściej widywano te czarne konie, konie-demony, małe, lecz silne i szybkie, pędzące i na południe, i na północ na drodze pomiędzy wioskami. Czasami jechały przez dolinę ku miastu, gdzie zawsze pozostawały przez kilka dni. Wozy wyjeżdżały załadowane i wracały często tak samo pełne. Tak, ci z północy umieli się obracać. Zastanawiano się na równinie, co też tamci wozili do miasta, ale niewiele można się było dowiedzieć.

W czasie, kiedy dzięki owym transportom droga do miasta tak się ożywiła, na Bjórndal gospodarowało dwóch młodzieńców. Byli to ci sami, którzy owego pamiętnego dnia przywieźli swojego ojca z lasu na wschód do Bo. Poważni a zdolni zabrali się do dzieła z całym zapalem młodości. Starszy, Torę, miał właściwie decydujący głos w sprawach dotyczących zarządzania majątkiem, choć nie znaczyło to bynajmniej, by jasnowłosy Dag, który wyrósł na przystojnego mężczyznę, nie dorównywał bratu.

Wielki, barczysty Torę robił wrażenie człowieka silnego i nieugiętego. Miał ciemniejszą cerę i ciemniejsze włosy aniżeli Dag. Oczy jego były surowe i przenikliwe. Wykapany ojciec — mówili o nim ludzie.

Dag nie był tak szeroki w barach, ale również miał silną budowę, a przy tym był zwinny i zręczny. Miał jasną cerę i jasne włosy, zaś w ciemnoniebieskich oczach zawsze jaśniała radość. Starzy mówili, że tak piękny młodzieniec nie kroczył jeszcze po tej ziemi, i uważali, że jest podobny do ojca swego ojca.

To, co opowiadano sobie w parafii, było prawdą. Już wówczas Gammel-Bjórndal było zasobną posiadłością. Prawdopodobnie

młodzieńcy nie gospodarowaliby tak dobrze, gdyby stary Om, z Hamarrbó nie udzielał im swych rad. Przy jego pomocy przeżyli pierwsze, ciężkie lata, potem jednak radzili sobie sami.

Już od dawnych czasów wysyłano do miasta wozy naładowane skórą i innymi artykułami. Dobry towar, który przynosił ładne pieniądze. Wszelkie produkty mniej wartościowe, pochodzące tak z lasu, jak z gospodarstwa, sprzedawano w pobliżu, gdzie ceny były co prawda niższe, ale za to dogodniejsza komunikacja. Z biegiem lat nawiązali w mieście stosunki z wielkim domem kupieckim Holdera, który handlował bezpośrednio z zagranicznymi firmami i płacił najwyższe ceny za towar pierwszej jakości. Utrzymywali z nim stałe stosunki i nigdy się na nim nie zawiedli.

Tak było przez wiele lat. Raz jednak zwrócono im uwagę na to, że wszelkie inne produkty znajdują w mieście również dobry zbył i że będą mogli ponadto zaopatrzyć się we wszystko, cokolwiek tylko im będzie potrzebne. Odtąd jeździli z wszystkimi produktami do Holdera i przywozili od' niego nie tylko potrzebny im towar, ale również dobry pieniąż. Wielki dom towarowy mógł wiele uczynić dla kogoś, kto mieszkał daleko w głębi kraju. Wszystko kupował i dobrze płacił, udzielając równocześnie wskazówek, co mogłoby znaleźć w mieście dobry zbył, a czego ludzie ze wsi i z lasu mogli dostarczyć. Takim sposobem ludzie z Bjórndal mieli możliwość niejedno spieniężyć. Była to korzyść, o którą inni nie dbali.

Pewnego dnia, gdy Torę Bjórndal w drodze do miasta przejeżdżał koło folwarku Gistad, położonego wśród gospodarstw wysuniętych daleko na południe od szerokiej równiny, złamało mu się koło u wozu. Torę doznał uprzejmej pomocy ze strony właściciela gospodarstwa. Przy tej okazji między nim a rodziną gospodarza wywiązała się żywa i miła pogawędka. Od tego czasu Torę chętnie zatrzymywał się w Gistad w drodze do miasta. Wreszcie nie mógł już nawet przejechać, żeby nie przystanąć tam na chwilę odpoczynku. Wkrótce pomiędzy nim a córką gospodarza zawiązała się wzajemna sympatia, a zimą odbyło się wesele. Uroczystości weselne odbyły się w Gistad i trwały przez wiele dni, tak jak nakazywał obyczaj.

W jakiś czas potem starzy gospodarze z Gistad udali się do



Bjorndal, aby zobaczyć, jak wiedzie się ich córce. Pogłoski które krążyły na temat wielkiej zamożności bjórndalskiego dworu, zostały przez nich skwapliwie potwierdzone. Rodzice nie mieli bynajmniej powodu ukrywać, jak szczęśliwą partię zrobiła ich córka.

Ludzie z Bjorndal mieli sposobność dalszego spokrewniania się z chłopami z równiny — druga córka gospodarzy wyszła za mąż za właściciela gospodarstwa w Bóhle. Nikt z Bjorndal nie był obecny na weselu. Odbyło się ono zimą, po ślubie pierwszej córki, która właśnie spodziewała się potomstwa i nie mogła podróżować. Wszyscy pozostali więc w domu.

Wesele odbywało się w czasie świąt Bożego Narodzenia. Zaraz potem wydano przyjęcie powitalne w Bóhle. Dag musiał pojechać, gdyż młoda pani i rodzina z Bóhle przysłali gońca do Bjorndal z usilną prośbą, aby krewni z północy nie stronili od przyjęcia wydawanego na jej cześć. Po raz pierwszy oto zdarzyło się, że ludzie z Bjorndal zostali zaproszeni na uroczystość urządzaną przez mieszkańców równiny. Dag pojechał. Ale miał tego później gorzko żałować, gdyż stało się tam coś...

## VI

Każdy co ważniejszy mieszkaniec równiny uczestniczył w przyjęciu w Bóhle. Starsi nie przyszli, gdyż miało to być przyjęcie dla młodych, z muzyką i tańcami. Jedzenia i picia było w bród, jak przystało w okresie świąt Bożego Narodzenia. Gdy rozpoczęły się tańce, młodzież była już podochocona. W czasie zabawy pito dalej.

To, czego Dag miał później gorzko żałować, stało się późną nocą. Przed weselem w Gistad Dag nigdy jeszcze nie tańczył, ale nie potrzebował wiele czasu, aby się tej sztuki nauczyć. Był nie tylko zręczny i muzykalny, ale po prostu stworzony do tańca. W Bóhle tańczył dużo, i to z wieloma pannami. Okazało się, że jest jednym z najlepszych tancerzy. Nie wszystkim jednak podobało się, że dziewczęta tak często i chętnie tańczyły z tym leś-

nym chłopakiem z północy. Ba, dziewczęta wciąż oglądały się za nim, nawet gdy miały innych partnerów. Podsyciło to dawną nienawiść. W pewnym momencie Dag poprosił do tańca dziewczynę, która siedziała z narzeczoną. Tańczył z nią już przedtem, ale teraz narzeczony sprzeciwił się i musiała odmówić. Ci, którzy to widzieli, śmiali się, a ktoś powiedział, że dziewczęta chcą mieć partnerów, którzy nie wypadają z taktu. Dag zrozumiał to jako przyczynę do niezręczności, jaka przydarzyła się jego bratu podczas własnego wesela w Gistad. Torę w ogóle nie umiał tańczyć i nie udało mu się wówczas ani jeden taniec.

Wielu śmiało się z tego dowcipu, a Dagowi nietrudno było zauważyć, że o niezręczności jego brata musiano sobie często opowiadać i że sobie z niego pokpiwano. Nigdy jeszcze nie opanowała go tak ślepa złość, jak tym razem. Nie chodziło mu już o to, że sam został zaczepiony, oburzało go to przede wszystkim, że przez cały rok drwili z jego brata z powodu takiej drobnostki, i myśl o tym doprowadzała go wprost do wściekłości.

Spojrzał ironicznie na osobnika, który wypowiedział te słowa, i zwrócił mu uwagę, że człowiek, który sam nie czuje się pewny na nogach, nie powinien zabierać głosu. Głos Daga drżał. Oczy rzuciły stalowe błyski. Nikt z ludzi równiny nie miałby odwagi powiedzieć choć jednego słowa. Wiedzieli, że Dag był naprawdę rozgniewany, a strach przed ludźmi z Bjorndal był w nich zakorzeniony. To, co o nich opowiadano i co sami stale powtarzali, nie było bynajmniej zachęcające. Jednak obok człowieka, który wyraził się tak nieopatrnie, siedział inny, obcy w tych stronach mężczyzna, należący do zaproszonych gości. Był ogromnego wzrostu, o niedźwiedzych łapach, szerokiej klatce piersiowej i potężnych barach. Człowiek ten podniósł się ciężko i radził Dagowi, żeby się pospieszył, jeżeli chce stąd wyjść cało! Dag odparł, że on sam zadecyduje o tym, czy ma zostać, czy też nie. Rzuciło się od razu w oczy, że obcy był przyzwyczajony do komenderowania. Zaczerwienił się gwałtownie i wymierzył pięścią cios zdolny powalić wołu. Zwinny jak kuna Dag uchylił się zręcznie. Jednocześnie zaparł się i zadał błyskawiczne uderzenie.

Wszyscy zerwali się i utworzyli koło. Trzymali się jednak w przyzwoitej odległości. Teraz dopiero mieli się przekonać na własne oczy, czy istotnie ci z Bjorndal [potrafili się tak bić, jak

o tym głośno była fama. Ludzie z północy mieli wrodzony instynkt walki. Walczyli o życie i mienie z naturą, z dzikimi zwierzętami i z ludźmi. Walczyli tak już od wieków, byli tego nauczeni. Byстрыm okiem oceniali niebezpieczeństwo i nie tracili czasu na namysły. Działali jak piorun.

Dag Bjorndal bynajmniej nie odrodził się od swych przodków. Całą siłą swego młodego ciała, zwarłszy żelaznym napięciem mięśnie klatki piersiowej i wyteżywszy prawe ramię, posłał błyskawiczny, twardego cios w brodę obcego, tak że ciężki mężczyzna runął jak długi na ziemię. Nie był to słaby człowiek, szybko stanął znów na nogach. Ale natychmiast nastąpił drugi cios. Tym razem padł pod nim ciężko i już się nie poruszył. Otaczający ich ludzie byli jak oniemiała. Człowiek leżał na ziemi, a Dag skierował się ku drzwiom. Wtedy nagle jak szalejący wodospad wybuchła nienawiść ku tym z Bjorndal. Rozległy się obelżywe okrzyki, wołano: „leśny włóczęga” i „morderca”, a równocześnie liczne razy i kopnięcia posypały się na Daga. Atak nastąpił tak niespodziewanie, że Dag niemal upadł na ziemię; naraz przed oczyma błysnął mu nóż i poczuł ostry, piekący ból od skroni aż do ucha.

Zrobiło mu się czerwono w oczach i wszystko dokoła zawirowało. Odwrócił się szybkim, błyskawicznym ruchem i naparł na gromadę. Żelaznym chwytem złapał pierwszego z brzegu człowieka i wywijając nim młyńca kładł wszystkich, którzy stawali mu na drodze. W końcu rzucił trzymanym człowiekiem jak workiem o ziemię i szybkimi krokami skierował się ku drzwiom. Wszyscy usuwali mu się z drogi. Wyszukał swoje sanie i konie, wsiadł i odjechał. Nikt nie śmiał go zatrzymać.

Świtało za ledwie, gdy Dag wszedł do ciemnego hallu w Bjorndal i osunął się na ławę przed kominkiem. Torę zbudzony dzwonkiem u sań, wyszedł do sieni w samej tylko koszuli, niosąc zapaloną świecę. Chciał dowiedzieć się od brata, jakie było przyjęcie. Zobaczywszy go jednak na ławie, uniósł światło do góry i wlepił w niego przerażony wzrok. Gdy Dag odwrócił ku niemu głowę, Torę musiał mocno ścisnąć świecę, gdyż byłby ją wypuścił z rąk. Twarz była blada i okrwawiona, ręce powalane skrzeplą czarną krwią, ubranie w strzępach.

Co się stało? Podszedł, postawił świecę na gzymsie kominka.

Drżał — on, żelazny Torę; trochę z zimna, ale więcej z podniecenia.  
— Biłeś się? — zapytał.

Dag podniósł się. I on drżał. Odwrócił twarz od światła i potwierdził — tak, bił się. Zachował się tak, że wszystko zło, o które posądzają ich tam na dole, tej jednej nocy potwierdziło się raz na zawsze. Torę poczuł się bardzo nieswojo. Dag opowiedział o całym zajściu. Torę przysunął się do niego bliżej. Jego potężne bary drgały, stawy palców trzeszczały, obrośnięte nogi przywarły do podłogi. Żyły, ścięgnięta i mięśnie drżały jak u zamęczonego konia.

— Chwyciłem jednego, który stał najbliżej — zakończył Dag — i wywijając nim dokoła zrobiłem sobie wolne przejście. Potem wyszedłem i pojechałem do domu.

Po tych ostatnich słowach Torę uspokoił się, lecz niemiłe uczucie jak gdyby zazdrości ścisnęło mu serce. Kiedy wreszcie nadarzyła się okazja, że można się było bić i zemścić na ludziach z równiny za ich złośliwe języki, on musiał leżeć w domu i chrapać, a jego piękny, jasnowłosy brat mógł załatwić sam wszystko to, czego sobie Torę, jego ojciec i wielu ich przodków tak gorąco życzyło. Ale sprawa jest już zakończona. Nawet tak dobrze, że nie było już czego poprawiać. Usta ściągnęły się twardym uśmiechem, spojrział na brata z błyskiem zadowolenia w oczach.

— Nikt nie szedł za tobą, gdy wychodziłeś? — dopytywał się.

— Nie, nikt.

— I nie potrzebowałeś się spieszyć, aby bezpiecznie odjechać?

— Nie, nie spieszyłem się.

— I nikt nie miał odwagi odprowadzić leśnego włóczęgi? Gniew, który wstrząsnął nim tak gwałtownie, już Daga opuścił. Mógł teraz zebrać myśli. Wcale nie były przyjemne. Ani wesołość, ani żarty brata nie dosięgały go.

— Może tam kogoś przetrąciłem? — powiedział ponuro.

— Słaby przegrywa, mocny wygrywa — odparł Torę twardo.

— A może kogoś zabiłem? — powtórzył Dag. — Ten obcy upadł ciężko jak kłoda. I nie podniósł się. A ten, którego na końcu rzuciłem o ziemię, tak samo leżał bez ruchu.

— Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi — zauważył Torę, jakkolwiek trochę mniej zadowolony.

33

3 A lasy wiecznie  
śpiewają

— Nieprzyjemna historia — ciągnął dalej Dag. — O ile dotąd nie było dobrze pochodzić z północy, to od dziś nie ma nic gorszego. Wszystko zaś tylko dlatego, że człowiek nie potrafi się opanować.

Tego już było Toremu za wiele. Głos jego brzmiał ostro:

— Chyba ci rozum z głowy wybili. Czy pamiętasz, żeby oni kiedykolwiek coś o nas dobrego powiedzieli? Zawsze robili z nas najgorszych. A teraz, jeszcze tej samej nocy, kiedy rzucali tobie prosto w twarz najzjadliwsze obelgi, masz skrupuły, że dałeś im taką odprawę? Jak bym ja na to zareagował? A ojciec, a wszyscy inni z naszego rodu? Ci ludzie dostali teraz prawdopodobnie taką nauczkę, że jej tak prędko nie zapomną. Za to, co się stało, sami ponoszą winę.

Torę zabierał się do odejścia. Odwrócił się jednak jeszcze raz i przyjrzał się bratu. Nigdy nie okazywał słabości i jeszcze nikt nie widział u niego łez wzruszenia. Teraz jednak oczy jego były wilgotne, a głos drżał:

— A przecież zachowałeś się jak mężczyzna — obdarzył brata ciepłym spojrzeniem. Nigdy nie wydał mu się tak piękny, jak teraz, gdy stał pokrwawiony, z potarganymi włosami i ubraniem podartym na strzępy.

Ludzie z rodu Bjórndalów mieli mściwe serca. Torę był nieodrodnym synem swego rodu. Dla niego było rzeczą wielkiej wagi, że Dag wyzwolił wreszcie starą, zadawnioną nienawiść rodu do mieszkańców równiny i zapłacił im za ich pogardę i szyderstwa. Dag pomścił swój ród. Torę odchodził z uśmiechem zimnego zadowolenia na ustach. Ale Dag patrzył na to inaczej. Mszcząc się, był nieubłagany jak jego brat, jednak miał znacznie szerszy horyzont myślenia. Tej nocy zaś nasunęło mu się niejedno.

W całej okolicy rozprawiano wiele o owym wydarzeniu w Bóhle. Zarówno obcego jak i młodzieńca, którym Dag rzucił o ziemię, musiano nieprzytomnych położyć do łóżek. Wprawdzie obcy już następnego dnia wstał, ale dolna część twarzy i oczy były tak zapuchnięte, że nie mógł się nigdzie pokazywać. Bardziej groźny był stan drugiego. Co prawda i on odzyskał przytomność, doznał jednak jakiegoś porażenia w plecach, cierpiał wielki ból i musiał leżeć w łóżku zupełnie nieruchomo. Można było spodziewać się śmierci.

Opowiadano sobie, że Dag chwycił za nóż i że jest mordercą, przed którym niech Bóg człowieka strzeże. Szczęściem pewien chłop z Bóhle widział bijatykę na własne oczy. Był to jedyny ze starszych, obecny wówczas na miejscu. Zaświadczył, że Dag nie wyciągnął noża, i dodał, iż jest to najodważniejszy młodzieniec, jakiego zdarzyło mu się widzieć. Jednak mimo to, gdziekolwiek tylko ludzie zbierali się wieczorami na plotki, wymyślano jeszcze wiele innych oszczerczych zarzutów — wszystko dyktowała nienawiść.

Twierdzono też uparcie, że Dag wyciągnął nóż, że czarował, że trzyma z diabłem, bo przecież żaden chrześcijanin nie mógłby sobie dać rady z tyloma przeciwnikami naraz.

W trzy tygodnie po świętach Bożego Narodzenia do Bjórndal przyjechał urzędnik z policji wraz z pomocnikiem. Mieli ze sobą kajdany. Musieli jednak odjechać z niczym, gdyż Dag przebywał w lesie, a same plotki nie mogły stanowić dowodu rzeczowego, na którym można by się oprzeć. Kiedy urzędnik wystąpił z twierdzeniem, że Dag posługiwał się nożem, został wraz ze swoim pomocnikiem tak potraktowany przez Torego, że obaj byli szczęśliwi, gdy powrócili cało do domu.

Człowiek, którego Dag rzucił na ziemię, wyzdrowiał i nie wniesiono skargi o zabójstwo. Ale na równinie gadano dalej: ludzie z Bjórndal są gorsi od morderców. Powstają oni przeciwko królowi i władzy, nie boją się ani Boga, ani diabła.

## VII

Blizny po ranach odniesionych podczas uroczystości w Bóhle pozostały Dagowi na całe życie. Trwałe ślady owego zajścia nosił na ciele i w duszy. Od czoła do ucha rysowała się głęboka szrama, na zawsze zachowało się też przykre wspomnienie. Początkowo, gdy obawiał się o życie owego człowieka, był tak przygnębiony, że nie chciał nikogo widywać. Nie mógł się

pogodzić z tym, aby go nazywano mordercą. Gdy się dowiedział, że ranny ma się lepiej, doznał uczucia takiej radości, jak jeszcze nigdy w życiu. Rychło zatarło się wspomnienie wizyty urzędnika policji i cała sprawa stawała się dla niego coraz mniej poważna. Mimo to nie widział już wszystkiego tak po prostu jak dawniej.

Pewnego dnia Dag przypiąwszy narty odjechał i przepadł na długi czas w lesie. Podówczas w lasach należących do Bjórndal grasowały jeszcze łaknące krwi wilki i nikt nie miał odwagi zapuszczać się zimową porą dalej niż do ostatnich domów osady. Ale Dag był człowiekiem innego pokroju. On był sam najgroźniejszym zwierzęciem lasów, ulubioną zaś jego bronią — topór. Przy spotkaniu z wilkami strzelba mogła w swym zasięgu uśmiercić tylko jedno zwierzę. Natomiast każdy cios topora był śmiertelny, gdy zaś trzon jego znajdował się w ręku Daga, wówczas śmierć pieniała się na jego ostrzu. Sam pilnował kucia topora w kuźni. Musiał być tak wąski i długi, a głowica tak ciężka, jak sobie życzył. Własnoręcznie wykonał trzon, który obrabiał, poprawiał i wygładzał tak długo, aż nabrał kształtu i smukłości ściśle według jego wymogów. W Bjórndal znajdowało się jeszcze kilka zardzewiałych toporów wojennych z dawniejszych czasów. Na ich wzór był wykonany topór Daga. Wielokroć rozłupywał niedźwiedzie czaszki i wbijał się głęboko w grzbiety wilków. Nieraz krew czerniała na jego ostrzu i trzonie.

W lesie Dag nie polegał jednak wyłącznie na toporze. Do nóg miał przypięte narty swojej roboty. Były lekkie i krótkie stosownie do warunków na nierównym, pełnym skrętów i uskoków leśnym terenie. Umiał używać nart jak nikt inny. Jedynie ptaki leciały szybciej niż on — mawiali ludzie, którzy widzieli go w biegu.

Dag wybrał się dzisiaj ku zachodniej stronie lasu. Zatrzymał się na najwyższym szczycie skalistego wzniesienia, zwanego Elg-kollen\*, i podparłszy się kijkami, patrzył przed siebie. Zdjął czapkę, a jasne loki jego włosów lśniły jak złoto w czerwonym, zimnym blasku słońca. Blizna pod opaską na czole pulsowała. Oddech zamieniał się w białą parę. Było mu gorąco. Szybkim pędem wbiegał na stromo wznoszące się stoki, wymijał zręcznie drzewa

\* Wzgórze Łosi

i wystające korzenie, pochylał się zwinnie pod zwisającymi gałęziami, na otwartej przestrzeni parł przeciw silnie dmącemu wiatrowi, przy nagłym rozbiegu ugiął kolana, by lepiej brać łożyska strumieni i wądoły, błyskawicznymi zygzakami omijał głązy i pniaki, przelatował nad pniami zwałonych drzew i zaznaczał w miękkim śniegu ślady swoich nart, mieszając je ze śladami zwierzęcych i ptasich łap. Czynił to wszystko bezwiednie. Zupełnie inne sprawy zaprzętały mu głowę.

Długo spoglądał w przestrzeń ponad lasami, ku bladoczerwonej tarczy słonecznej, prześwietlającej przez zimowe mgły, ale oczy jego nic nie widziały. Ciężkie, ponure myśli zasłaniały mu wszystko. Był już tak blisko jakiejś niepojętej sytuacji. Niewiele brakowało, a nazwano by go mordercą, zaś urzędnik policji zaprowadziłby go skutego w kajdanach do więzienia. Musi teraz sam siebie ująć w cugle, opanować namiętności i podziękować Bogu za ocalenie. Nie jego to zasługa, że sprawa tak szczęśliwie się zakończyła. Będzie się musiał wystrzegać wszelkich wybuchów. Ludzie ci byli nie dość wytrzymali, aby znosić gwałtowne traktowanie. Pochodzili ze słabej rasy.

Ale wspomnienie owej okropnej nocy znów odżyło. Wiedział o kłamstwach i plotkach, które krążyły na temat Bjórndal i jego mieszkańców. Co innego jednak było słuchać o tym, a co innego znosić obelgi rzucane prosto w twarz i wbijane do głowy za pomocą kopnięć, pięści i noża. Jak przeraźliwy krzyk uderzyła weń nienawiść i zazdrość ludzi z doliny.

Do duszy jego wsączyła się trucizna. Na nienawiść tę odpowiedział owej nocy straszliwym, żywiołowym gniewem, a twarz skamieniała mu od zaciętości. I oto teraz, ze wzrokiem wpatrzonym w obraz słońca na płomiennym niebie, ten jasny młodzian o pogodnej duszy i łagodnych, błyszczących oczach stał się zimnym i zamkniętym w sobie człowiekiem.

Wysłano po niego policjanta z kajdanami, chciano łamać go kołem. Nie mógł ich bić, gdyż słabe ich ciała nie wytrzymały Jego razów. Oczy ich puchły, a szczęki były tak kruche, że z ledwością mogły żuć kaszę. Cóż miał z takimi począć!

Nagle wyprostował się i spojrział dumnie dookoła. Tak, wszystko przez zazdrość. Ci z równiny byli zazdrośni o dobrobyt w Bjórndal, zazdrośni o konie, o bogate ładunki zwożone do mia-



sta. Zazdrośni o osiedle w lesie, które się tak rozrosło i rozwinęło, a które woleliby widzieć pogrążone w niedostatku i biedzie. Ci na równinie myśleli wyłącznie o dobytku i bogactwach i byli pewni siebie, ponieważ posiadali pola, bydło w oborach i stajniach, talary w skrzyniach i mogli się żywić zbożem, masłem i mięsem. Tymczasem tutaj na górze musiano mieszać zboże z korą drzewną, mięso dzielić, a masło spożywano jedynie w dni świąteczne. Zrozumiał teraz ich złośliwość. Zazdrościli im kęsa strawy w ustach, koszuli na grzbiecie, koni z saniami. Ludziom z Bjórndal nie mogli przebaczyć tego, że prowadzili mniej nędzne życie niż ludzie z lasu. Najchętniej widzieliby ich na kole tortur.

Tylko w jeden sposób mógł im za to odpłacić — nie miało sensu próbować swych sił na tych marnych kreaturach z równiny. Należało całą mocą swych możliwości i rozsądku starać się o powiększenie dobrobytu w Bjórndal. Niech patrzają, jak rosą tu bogactwa, i niech pękają ze złości.

Promienie słońca odbijały się czerwonożłotym blaskiem od jego silnej postaci.

Nigdy jeszcze Dag nie czuł się tak zdecydowany jak teraz, gdy wepchnął czapkę do kieszeni, sprawdził, czy topór należycie za tknięty za pasem, poprawił przepaskę na czole, wyprostował się i wzniecając tumany śniegu dookoła, zjechał z powrotem... na odwet. Słowa wędrują od człowieka do człowieka, do niewiast, do wszelkich gadatliwych istot. Słowa żyją i wędrują coraz dalej, •dopóki nie dotrą tam, gdzie wyrządzają zło. Tak poszła wieść 3. równiny do Hamarrbó i dalej do Bjórndal — wieść o wizycie urzędnika policji. Do uszu Torego dotarła wtedy, gdy Dag był w lesie.

Nigdy jeszcze Dag nie widział takiego gniewu u swego brata. Nie był zdolny wykrztusić słowa.

— Powinniśmy zaprząć sanie i zjechać w dół, na równinę — powiedział wreszcie Torę.

— Czego tam chcesz? — zapytał Dag, domyślając się jego zamiarów.

Torę spojrzał na niego dzikim i ponurym wzrokiem.

— Czego chcesz? Jeździć od domu do domu i wypędzić tę sza-

tańską złość z każdego z tych śmierdzących gadów. No, co ty na to?  
— Sądzę, że powinniśmy się mieć na baczności — odparł spokojnie Dag.

— Mieć się na baczności! Nie uchronimy się od ich przeklętych kłamstw i złości, jeśli będziemy siedzieć w domu za piecem.

Dag zrozumiał grożące niebezpieczeństwo. Torę znajdował się teraz w takim nastroju, że mógłby na nic nie zważając pojechać na równinę i szaleć tam jak opętany. Pamiętał jeszcze z dziecięcych lat, że gdy Torę raz wpadł w złość, nie potrafił się pohamować. Musiał podsunąć mu coś, co by skierowało jego myśli w inną stronę.

— Zapominasz, że tym razem to, co nazywasz kłamstwem, jest właściwie prawdą.

Torę popatrzył na niego, otworzywszy szeroko usta.

— Czy człowiek ma być mordercą dlatego, że broni się własnymi rękami przeciwko zgrai zdziczałych napastników, którzy rzucają się nań jak sfora wilków? Czy naprawdę należy nazywać kogoś buntownikiem przeciwko władzy dlatego tylko, że trochę dosadnie tłumaczy swoją rację urzędnikowi policji, słuchającemu bezkrytycznie starych plotkarek?

Dag zawahał się chwilę i odparł:

— To, co mówisz, jest może słuszne i sprawiedliwe; jednak ja patrzę na to nieco inaczej. Nie moja to zasługa, że nie jestem mordercą, Torę. Gdyby ten człowiek umarł, wtedy policjant przyszedłby po mnie. Czy sądzisz, że poszedłbym za nim łańcuchy? Nigdy, Torę! Wówczas uczyniłbym to, co o nas mówią: zbuntowałbym się przeciwko królowi i władzy. Uciekłbym do lasu i chodziłbym drogami, po których nikt nie odważyłby się mnie ścigać. Tacy już jesteśmy.

Podniósł się. Oczy jego błyszczały.

— Tym razem byliśmy o włos od nieszczęścia i dlatego powinniśmy się mieć na baczności, i trzymać się raczej z dala od ludzi. Nie powinniśmy jednak zapominać przyczyny nieszczęścia, którego byliśmy już tak blisko: jest nią zawiść mieszkańców równiny! Złość ich pochodzi z zazdrości. Zazdroszczą nam tego, że nie jesteśmy tacy mali i pokorni, jakimi powinni być ludzie z lasu. Wybrałem się dziś do lasu, aby wszystko przemyśleć i za-

stanowiłem się już, co należy uczynić. Powinniśmy wytrząsnąć z nich szatana albo też wpędzić im ich zazdrość tak głęboko, że się nią udławiają. Nie może się to stać na poczekaniu, w ciągu jednej godziny czy jednego dnia. Na to jest inny, bardziej skuteczny sposób.

Torę musiał przyznać rację rozumowaniu brata. Zresztą był przyzwyczajony do tego, że Dag znajdował na wszystko najlepszą radę. Milczał więc i pozwolił mu się wypowiedzieć.

— Pokażemy im tam na równinie, że mamy prawo postępować i działać, jak nam się podoba — powiedział Dag. — Poszerzymy obszar naszych pól, zamienimy lasy w łąki, powiększymy nasz inwentarz. Nie poprzestaniemy na tym, co obecnie posiadamy, co nam przekazali nasi ojcowie. Pokażemy im, czego potrafią dokonać prawdziwi ludzie. Oto zadanie dla mężczyzny, równie dobre jak rozgromić słabeuszów i uczynić z nich kaleki. Baty sprawiają ból, który szybko przemija, gdy tymczasem to, co my mamy zamiar zrobić, będzie kłuć, i palić, a z biegiem lat będzie dopiekać coraz głębiej i coraz dokuczliwiej.

Torę wydawał się niezupełnie zadowolony z wypowiedzi Daga.

— Śmielej i inaczej myślisz niż inni. Obawiam się, że nie przyjdzie nam tak łatwo przysporzyć sobie bogactw. Nasi przodkowie ciężko pracowali, żeby zebrać to, co mamy dzisiaj, i nikt nie ma prawa twierdzić, że się nam źle dzieje.

Dag milczał ze wzrokiem wpatrzonym w przestrzeń. Był przyzwyczajony do tego, że Torę woli widzieć wszystko w dawnym stanie i porządku i że niechętnie patrzy na wszelkie innowacje. Jednak Dag za bardzo już zżył się ze swoim planem — był stanowczo zdecydowany go przeprowadzić.

— Jutro wyjeżdżam — rzekł.

— Jak to? Co? — Torę patrzył na niego zdumiony. — Co ty zamierzasz?

— Chcę pojechać do miasta i tam zostać.

Torę spojrzał szybko na twarz brata; była dziwnie blada. Zdjął go wielki, zimny strach. Dag musiał się tą sprawą przejąć więcej, niż mu się zdawało, a teraz gniewał się na niego za to, że nie spotkał się z oczekiwanym poparciem. I dlatego chciał pojechać do miasta i zostać tam...

Nie, nigdy — powiedział sobie Torę — nawet gdyby Dag na

złość ludziom z równiny chciał wybudować własny kościół w Bjórndal, nigdy nie wolno im się pogniewać ze sobą. Co się z nim stanie, gdy Dag wyjedzie? Wprawdzie można było dalej żyć i jakoś przetrwać, ale z kim będzie rozmawiał i kogo się radził?

— Co chcesz robić w mieście? — zapytał drżącym głosem.

— Chcę się czegoś nauczyć — wyjaśnił mu Dag — chcę nauczyć się rachunków i prowadzenia ksiąg, w ogóle chcę skorzystać z możliwości wszelkiej nauki. Chcę się przekonać, jakich tam można spotkać ludzi, może usłyszę coś, co będziemy mogli zastosować z pożytkiem dla siebie. Kiedy powrócę, zabierzemy się do przeprowadzenia różnych zmian.

Oczy Torego zabłysły radością. Zgodził się chętnie na wszystko, co uplanował sobie brat.

Torę zajął się przygotowaniem do podróży gorliwiej niż sam Dag. Dag nieraz jeździł do miasta, tym razem jednak sposobiono się tak, jak gdyby wybierał się w o wiele dłuższą podróż. Torę uważał, że powinien otrzymać rzeczy jak najwspanialsze i jak najlepsze. Zarządził specjalne czyszczenie koni i uprzęży, sań i futrzanych der. Torę dbał o wszystko. Gdy jednak przydźwigał worek napełniony talarami, które wystarczyłyby na podróż aż do Londynu, Dag wybuchnął dawnym serdecznym śmiechem, którego już od owej pamiętnej nocy nie słyszano.

Torę wtórował mu trochę swym na pół warczącym śmiechem, był jednak zdania, że nie powinien pogardzać pieniędzmi, zważywszy, że przez długi okres czasu będzie pozostawiony samemu sobie. Nauka będzie kosztowna, książki są drogie. Zresztą także inne rzeczy mogą okazać się potrzebne i pożądane. Wprawdzie mieli pieniądze w mieście na koncie u kupca Holdera, ale mają one procentować, nie należy więc ich ruszać. Stało na tym, że Dag zabierze pieniądze ze sobą. Co mu z nich pozostanie, wpłaci Holderowi.

Torę i Dag byli dobrymi przyjaciółmi — w każdej okoliczności życia.

## VIII

Dag powrócił z miasta w okresie zasiewów wiosennych. Dużo widział, niejedno słyszał i mądra jego głowa nauczyła się wielu interesujących rzeczy.

Zaszła w nim wyraźna zmiana. Najbardziej odczuł to Torę.

Było w nim coś innego, coś nieuchwytnego. Wydawał się taki wytworny i obcy w swym nowym ubraniu i od czasu do czasu posługiwał się jakimś niezwykłym słowem. Lecz już trzeciego dnia Dag przebrał się w swój stary ubiór myśliwski i poszedł do lasu.

W mieście przywykł do nowych, obcych dźwięków — do turkotu kół, odgłosu kroków na wybrukowanych ulicach i gwaru rozmów. Tu w domu, w rodzinnych stronach, koła inaczej zgrzytały, ludzie ciszej chodzili, w Bjórndał zaś niewiele i rzadko mówiono. W mieście wszystkie dźwięki były głośne i przenikliwe. Tak, w domu było inaczej; szczególnie zaś w lesie, gdzie panowała taka cisza. Odgłosy miasta jeszcze teraz tętniły mu w uszach. Był nimi zupełnie ogłuszony. Teraz, gdy znalazł się w lesie, odżyły w nim wszystkie zmysły. Uświadomił sobie tysiączne, najbardziej nikłe dźwięki lasu — tchnienie wiatru w jodłach, trzask gałązek, gwizd ptaków, odgłosy strumyków i wodospadów. Równocześnie trwała tak głęboka cisza, że słyszał bicie własnego serca. Teraz poczuł się znów u siebie i przyrzekł sobie, że już nigdy na tak długi czas nie wyjedzie.

Wieczorem po owej wędrówce po lesie rozmawiał z Torem. Usiedli w sieni przed kominkiem, każdy miał szklankę napełnioną mocnym napojem. Aby zejść się i wypić z okazji powrotu trzeba im było aż trzech dni. W Bjórndał każdy zawsze potrzebował dużo czasu, zanim zaczął się przed drugimi wywnętrzać. Dag opowiadał o ludziach, z którymi spotkał się w mieście. Umiał obrazowo wszystko przedstawić. Był spostrzegawczy. Torę uważał, że wyjazd do miasta opłacał się chociażby ze względu na same te świetne relacje, zresztą nauka ani inne sprawy nie interesowały go w najmniejszym nawet stopniu.

Było późno, gdy Dag skończył opowiadanie. Przekazał wszystko, co wiedział. Nie! Jedną rzecz umyślnie zataił. Zrobił w mieście pewne głupstwo i teraz gniewało go to niepomiernie.

Któregoś wieczoru zaznajomił się z pewnym szyprem. Miał on starą broszkę, całą ze złota, cudownie rzeźbioną, którą nabył w Holandii. Dag kupił ją, lecz potem tego żałował. Do czego może mu się przydać złota broszka? Nie mógł przecież tłumaczyć się teraz przed bratem i powiedzieć mu, że wydał tyle talarów na bezużyteczny przedmiot.

W mieście od czasu do czasu bywał zapraszany do domu zamożnego kupca. W przeddzień swego wyjazdu otrzymał również zaproszenie. Najmłodsza córka kupca, Teresa, darzyła go swymi względami, zaś tym razem była w szczególnie wesołym nastroju. Ciągle śmiała się i żartowała. Podarował jej broszkę jako podziękowanie za gościnę.

— Śliczna broszka, za śliczna, aby ją dawać w prezencie — powiedziała zwracając mu ją.

Ale on położył ją na stole i oświadczył, że podarował jej tę broszkę i chciałby, aby ją wzięła — jeżeli zresztą można w ten sposób wyrazić swoją wdzięczność za gościnę, taka mała broszka bynajmniej nie stanowi za dużo. Przyjęła broszkę i jakoś szczególnie na nią popatrzyła.

Tak, panna Teresa zachowała się dziwnie. Może nie przystało darować wytwornej pannie tak drobnego klejnotu? Okoliczność ta musiała ujawnić istniejące między nimi różnice stanowiska i przynależności, ale on nic jeszcze nie rozumiał.

Naraz zrobiło mu się gorąco. Może panna myślała, że on się w niej podkochuje? I że dlatego ofiarował jej broszkę? Albo też uważa go za głupca, który sobie za dużo wmawia, sięgając tak wysoko. Dobrze, że nie przyszło mu to na myśl wtedy, gdy byli razem. Zapadłby się chyba pod ziemię ze wstydu.

Dag potrafił wykorzystać to, czego się w mieście nauczył. Trzeba było koniecznie prowadzić rachunki i zlikwidować zadawniony bałagan. Cała gmina tu na górze należała do Gammel-Bjórndal. Wszystko: budynki, chaty, gospodarstwa, dzierżawy we wsi oraz w lesie stanowiły część dworu.

Dotychczas każdy osiadły tutaj chłop był odpowiedzialny za to, co dzierżawił i dzielił na równi z właścicielem wszelkie straty i zyski.

Od dawien dawna po osiedlu snuli się włóczędzy, a wędrowni «

kramarze chodzili od domostwa do domostwa i skupowali skóry i inne towary. Dawali w zamian bardzo mało, o poza tym zatrzymywali się gdzie chcieli, i nic ich to nie kosztowało.

Teraz wszystko, co można było spieniężyć, musiano przynosić do dworu. W zamian za swój towar każdy otrzymywał albo zboże, albo taki towar, na jakim mu najbardziej zależało. W odpowiednim czasie wysyłano wszystko do miasta i tam sprzedawano.

Ludzie zaczęli wykorzystywać swój czas lepiej niż dotychczas. Chodzili częściej na polowania do lasu, z jezior i strumieni wyląwiali więcej ryb, niż sami mogli zużytkować. Siali teraz więcej lnu; zwiększyła się liczba owiec, gdyż wełna nabrała wartości, a kobiety przędły i tkwały więcej, aniżeli trzeba było na pokrycie własnego zapotrzebowania.

Z biegiem lat pola i łąki zajmowały coraz większy obszar. Skutki tych przeobrażeń dały się odczuć tak w osiedlu, jak i w Bjórndal. Zdarzało się, że ludzie, którzy dawniej siedzieli beczynnie w domu, przychodzili do Daga z prośbą o pozwolenie karczowania lasu. Otrzymywali nie tylko pozwolenie, ale i pomoc w postaci podwód i narzędzi. Zjawiali się więc coraz częściej w tej sprawie.

Tak oto dzięki radom, udzielanym ludziom przez Daga, zaczęło rozwijać się nowe życie. Wszystko udawało się o wiele lepiej, aniżeli śmiało przypuszczać.

Coraz częściej spotykano na drogach konie z północy — czarne z Bjórndal albo jasnogniade z Hamarrbo. Ludzie z Hamarrbó, cieszący się wielkim zaufaniem, jeździli do miasta wtedy, gdy Torę i Dag mieli inne sprawy do załatwienia.

Karę konie szły równo i spokojnie, jak długo znajdowały się w obrębie osiedla i lasu. Ale gdy tylko poczuły otwartą równinę, pędziły jak wichry i wpadały wszędzie jak ciemny, grozę siejący tuman.

Pewnej jesieni zbudowano nową drogę na równinie. Prowadziła ona do alei borglandzkiej na północ aż do skraju lasu. Państwo na Borgland chcieli w ten sposób zademonstrować, że bynajmniej nie zależy im na tym, aby owe dzikie konie pędziły przez ich tereny. Na Bjórndal powitano nową drogę z wielkim zadowole-

niem. Dotychczas musieli korzystać z określonej drogi wiodącej nad urwistymi stokami Doliny Dziewicy.

Z nadejściem jesieni zaczęli ściągać ludźmi do wyrębu lasu, który tak długo trwał w ciszy i spokoju. Zawrzała tu teraz gorączkowa praca. Nie ścinano wszakże drzew na budulec dla nowych domów w okręgu ani na opał. Nie. Kierowano je do rzeki, która bierze swój początek na wyżynach północy. Spieniony jej nurt przewala się z hukiem przez progi wodospadów niedaleko Bjórndał, następnie toczy się między zabudowaniami, skręca na południe i przeciska się przez wąwóz, oddzielający las południowy od lasów wschodnich, aż połączywszy się z wielką rzeką, płynie dalej wśród innych lasów, w których mieszkają inni ludzie.

Tą oto drogą transportowano olbrzymie leśne z Bjórndał na cały świat, przede wszystkim jednak do Holandii i Londynu.

Myśl wyrębu drzew na sprzedaż została im podsunęta przez dom handlowy w mieście. Dokładny plan wyrębu ustalono w mieście, tam też podpisywano transakcje. Dag podjął się kierowania robotami w lesie, Torę zaś zajął się nadzorowaniem prac we dworze oraz stawianiem nowych budynków dla pomieszczenia ludzi, żywego inwentarza i zbiorów.

Torę był zrazu przeciwny powiększeniu majątku, czego domagał się Dag, gdy jednak w końcu przystąpiono do robót, pracował gorliwie od świtu aż do późnego wieczora. Był niezmordowany.

Dawne pastwiska zostały teraz zamienione na ziemię uprawną, pastwiska zaś przesunięto głębiej w las. W lesie karczowano polany, na których potem stawiano chaty. Nie było w tym nic nowego — to samo działo się kiedyś na równinie: lasy musiały ustąpić. Zachodziła tu jednak istotna różnica, bo na północy lasy ciągnęły się w nieskończoność, wobec której powierzchnia karczowisk zupełnie się nie liczyła.

Dag coraz więcej czasu spędzał w lasach. Jesienią i zimą nadzorował wyrąb drzew i ich transport, w pozostałych porach roku polował. Rzadko można go było spotkać we dworze. Torę więc musiał nauczyć się od Daga prowadzenia ksiąg. Robił to dobrze i dokładnie. Dopilnowywał wszystkiego i na próżno wysiłałby się ten, kto by go chciał oszukać. Nadzwyczaj skrupulatny, sam nigdy by nikogo nie oszukał.



Minęło kilka lat.

W porze letniej zielone pola dokoła dworu rozszerzały się coraz bardziej; coraz dalej też rozciągały się pola w osiedlu.

Późną jesienią w lasach rozbrzmiewały uderzenia siekier, zimą ludzie i konie zajęci byli wywożeniem drzewa. Wiosną, gdy wody wzbierały, drzewo spływało w dół rzeki — do miasta.

Coraz częściej biegły konie do miasta i z powrotem. Z każdym rokiem dwór przysparzał sobie bogactw i znaczenia.

Ale na niebie zbierały się chmury.

Żądza zemsty odnowiła się w sercach Torego i Daga. Równocześnie zaś z powodzeniem materialnym wzrastały w nich, niby złe ziele, pycha i arogancja. Uporczywe myśli o zemście krążyły nad ich głowami jak czarne zwiastuny nieszczęścia.

Tego rodzaju uczucia musiały sprowokować jakieś ostrzeżenie z niebios.

Przyszło nagle, brutalnie pewnego wieczoru z końcem zimy.

Torę pojechał z żoną i synkiem do Bóhle, aby odwiedzić szwagierkę. Wybrali się wczesnym rankiem i przejechali bezpiecznie po zamrzniętej powierzchni jeziora Lysne, utworzonego przez rzekę w miejscu, gdzie spływała na równinę. Spędzili przyjemny dzień w Bóhle, ale kiedy wieczorem wracali tą samą drogą przez jezioro, lód załamał się pod nimi, koń, sanie i ludzie zniknęli pod lodową skorupą, która skruszała w ciągu dnia pod wpływem pierwszego tchnienia wiosny. Sprowadzono z lasu Daga i ludzie wraz z końmi podążyli czym prędzej na brzeg. Ale było już za późno. Wyrąbali lód i wyłowili trupy. To wszystko.

Odbył się pogrzeb, a potem zgodnie ze starym zwyczajem wyprawiono stypę. W Bjórndal zapanowała cisza. Dagowi zdawało się, że nie należy już do tego świata, że został zawieszony w przestrzeni, odsunięty od ziemi. Spoglądał ze zdziwieniem dookoła jak małe dziecko, dla którego wszystko jest nowe i niezrozumiałe. Chodził jak we śnie, wszystko wydawało mu się dziwne, niedosiężne, niepojęte. Nie obchodziło go nic, zaledwie zdawał sobie sprawę z tego, że upływa czas.

Minęła wiosna i lato, potem jesień i zima, a Dag nie zajmował się niczym. Nie znajdował nigdzie spokoju. Gdy wracał do

domu, każdy przedmiot przypominał mu zmarłych. W lesie wspomnienia o tych, o których myślał, ilekroć tam przebywał, tłoczyły się doń ze wszystkich stron. Gdy odważył się iść na cmentarz, zdawało mu się, że groby wołają go do siebie. Leżeli tam pod ziemią wszyscy jego najbliżsi. I malec, który miał odziedziczyć majątek. Czy opłaca się gospodarować dalej? Dla kogo? Sprawdziło się stare powiedzenie: co powstaje w ciągu wielu lat, może runąć w ciągu jednej chwili.

We dworze zapanował teraz nieład. Co dotąd było utrzymywane we wzorowym porządku, zaczęło się szybko rozpadać. Takie rzeczy zdarzają się ludziom, niejednym ludziom. Zwłaszcza jeśli są przyzwyczajeni do tego, aby ich pilnowały bystre, czujne oczy. Gubią się i tracą orientację, gdy tych oczu zabraknie. Nie wszyscy, ale wielu. W okolicy pojawili się znowu kramarze i włóczędzy — zaczęli się rządzić we wsi i wciskać pomiędzy ludzi jak za dawnych lat. W tym roku niewiele ładunków przewieziono do miasta, gdyż kramarze zabierali ze sobą tłumok po tłumoku... Był to zły rok także i dla łąk i pól. Nie obchodzono się zbyt troskliwie z plonami. Nie suszono ich już tak dokładnie i często zwożono je jeszcze wilgotne. A to, czego w ogóle nie zebrano z pola — gniło, nie dając nikomu żadnego pożytku. Dlatego też zima ta była najgorsza, jaką ludzie pamiętali. Nie starczyło zboża na chleb ani paszy dla bydła.

Mieszkańcy osiedla znów zaczęli zatrzymywać dla siebie plony z pól i łąk, które uprawiali dla Gammel-Bjórndal. Zdarzało się to i dawniej, lecz Torę wystąpił stanowczo i ukrócił tę samowolę. Zaledwie jednak złożono go do grobu, złe zwyczaje powróciły.

Majątek Bjórndal zmuszony był tej zimy kupować w mieście zboże na własne potrzeby i dla innych, którzy jednak nigdy tego długu nie zwrócili. Nie zbierano już liści i mchu jak dawniej, za nieurodzajnych lat. Dlatego też zimą musiano zabić wiele sztuk bydła.

Dag na nic nie zwracał uwagi, o nic się nie martwił. Wszystko1 było dlań obojętne. Kiedy wójt zameldował mu, że ludzie bezprawnie zwożą sobie zbiory z jego pól, odwrócił się zagniewany:

— A dlaczego nie? — odparł. — Za kilka lat nie będzie ani ich, ani mnie, ani ciebie.

## JX

Ludzie zaczęli powtarzać coraz uparciej, że Dag stracił rozum. Omijali go z daleka, a gdy się przypadkowo z nim zetknęli, patrzyli na niego z przerażeniem. Nie sypiał po nocach. Za dnia chodził jak lunatyk. Jak wielu innych, również i on miał swój pogląd na śmierć i życie. Nieraz, gdy siadywał przy kominku w chatce leśnej lub przy polnym ognisku, rozmyślał w samotności o znaczeniu śmierci dla jednostki. Myślał o tym, że śmierć jest wieczna, a życie trwa tak krótko!

To, co teraz zaszło, nie dotyczyło już tylko jednostki; było to coś znacznie większego. Instynkt wspólnoty rodowej jest najsilniej rozwinięty u ludzi lasu. U Daga był tak mocno zakorzeniony, że uważał się tylko za ogniwo łańcucha, który łączy tych, co byli, z tymi, co będą. Śmierć jednego człowieka nie oznaczała jeszcze zakończenia. Zmarły będzie żył dalej życiem swego pokolenia. Tak było, gdy umarł jego ojciec, tak myślał też o swojej własnej śmierci. Ze śmiercią Torego wszystko się tak straszliwie zmieniło. Torę był dla niego uosobieniem całego rodu — był najstarszy, był dziedzicem, miał żonę i dziecko. Dagowi nie przyszło wcale na myśl, że teraz on był dziedzicem i że mógł się ożenić.

Od czasu kiedy dorósł, zżył się do tego stopnia ze swą rolą pomocnika brata, że teraz, w ciemnościach żałobnych, inne myśli nie miały do niego dostępu.

Rzadko się zdarzało, aby dwóch żonatych braci mieszkało pod jednym dachem. Najczęściej wśród nich następował podział, tego jednak ani Dag, ani Torę nie uważali za słuszne. Toteż nie dokonali podziału majątku. Zamieszkiwali we dworze razem i byli ściśle ze sobą związani. Zmuszały ich do tego dawniejsze, ciężkie czasy, a potem wroga postawa ludzi z równiny.

Według wielu zasłyszanych dawniej opowiadań w Bjórndal stale mieszkał ten sam ród, zawsze liczne grono. Teraz pozostał tylko on jeden. Jeden nie stanowi rodziny. Nie miał nikogo, z kim mógłby dzielić dobro i zło. Ród jego wygasał.

W myśl poglądów swoich ojców Dag mniemał, że to Bóg doświadczył go i karał. Nic nie działo się bez woli Bożej. Nie-

zliczone godziny spędzał na rozmyślaniu o tym, dlaczego Bóg zesłał mu taki los. Gdyby to było spotkało jego samego! Omal nie .popelnił przecież morderstwa. Ale Tore, Tore, który nigdy nikomu nie zrobił krzywdy! A jego żona, która tak spokojnie pracowała i spełniała swoje obowiązki... A malec...

Nie mógł się w tym dopatrzeć celu. Rozmyślał i zastanawiał się dzień i noc. Cała egzystencja wydała mu się szara i beznadziejna jak bezkres oceanu, który toczy swoje fale spokojnie i nieustannie, bez końca.

Czas mijał. I znów upłynął rok, znowu nastala wiosna, a potem lato. Na drzewach pojawiły się liście, kwiaty zabarwiły się różnymi kolorami, zazieleniły się pola. Lecz Dag niczego nie dostrzegał, zajęty był ciągle swoimi myślami. Prawie nie sypiał, a wobec otoczenia był jakby nieobecny. Ludzie mijając go kiwali głowami i patrzyli na siebie porozumiewawczo. — Zwariował — mówili.

Pewnego dnia zdarzyło się coś nadzwyczajnego.

Dag chodził pomiędzy budynkami — to przystawał, to siadał, to znów wstawał i szedł dalej.

Gdzie on jest? Co to za szmery i głosy wokół niego? •Musiał znajdować się gdzieś w pobliżu budynków dworskich. Widział w głębi wieś i otaczające ją lesiste wzgórza. Widział zabudowania, chaty, drogi, gaje, łąki i pola. Zwykły jego świat, na który patrzył co dzień i co noc. Ale teraz nad tym wszystkim unosiło się coś dziwnego, niezwykłego, jakieś huczenie, jakaś wrzawa, jakiś szum dochodzący ze wszystkich stron.

Cóż to się działo z lasem? Żył, poruszał się, podchodził ze wszystkich stron. Drzewa chwiały się jak trawa na wietrze. Zginały się z szumem do ziemi i prostowały się z wielkim hałasem. Poruszały się, podchodziły coraz bliżej ku niemu. Czyżby udawały się na wędrówkę? Coś w nich huczało, szumiało i żyło. Słyszał zewsząd stapanie wielu, nieskończenie wielu zwierząt, łap ciężkich oraz delikatnych, miękkich. Tuż, tuż od wschodu i południa i z wielkich lasów na zachodzie i północy. Ziemia chwiała się w posadach, a drzewa z trzaskiem łamiących się gałęzi i łoskotem upadku kładły się jedno za drugim. Ukazały się zwierzęta, tłoczyły się gromadnie, tratowały las, parły naprzód z wol-

4S

\* A lasy wiecznie  
śpiewają

na lecz pewnie: wielkie niedźwiedzie, skradające się wilki, zwinne lisy, stare łosie o rogach rozgałęzionych jak drzewa. Coraz bliżej, setki, tysiące, powoli — bez końca. Grzbiet przy grzbiecie. W powietrzu unosiły się chmary orłów, sępów i innych ptaków. Cicho leciały naprzód, gotowe rzucić się każdej chwili w/ dół ku ziemi.

A na dole we wsi szli ludzie. Szli po drogach, szli tłumnie. Szła hołota, szli włóczędzy. Ludzie, których dawniej wyganiano z majątku. Wyglądali zza węglów domów i uśmiechali się szyderczo. Roilo się od nich, byli coraz bliżej. Szemrali i grozili;

za nimi skradali się spomiędzy wzgórz Hamarrbó i spod spadzistych ścian lesistej wyżyny ludzie z otwartej równiny. Chowali się tchórzliwie za krzewy i drzewa. Ale widział ich wszystkich. Trzaskały gałęzie, trzeszczały drzewa, pełno było hałasu od nadchodzących tysięcy zwierząt i tchórzliwie przyczajonych istot ludzkich.

Poczuł się bezsilny i bezwolny. Kulił się coraz bardziej w sobie.

Ludzie zbliżali się nieustannie. Wyraźnie widział złośliwe spojrzenia, widział błyszczące ślepia zwierząt i na wpół otwarte, chciwe pyski, ociekające śliną i krwawą pianą.

Nagle usłyszał coś tuż za sobą. Coś go dotknęło. Tuż obok niego przechodzili ludzie, człowiek przy człowieku. Wszyscy uzbrojeni. Niektórzy szli z ponurymi, ciemnymi twarzami, inni szli lekko i tak jak on mieli złociste włosy i niebieskie oczy, choć dookoła ich ust igrał zimny uśmiech. Wszyscy mieli szerokie bary. Ci jasnowłosi szli lekko i zwinnie jak gdyby na zabawę. Otwierano bezpieczniki u strzelb, sypano proch do luf. Wszyscy poruszali się wolno, szli, nie spiesząc się, przed budynkami. Dagowi zdawało się, że zna ich wszystkich. Ciemnowłosi przypominali mu Torego, drudzy zaś jego samego — byli to ludzie z jego rodu.

Nagle wszystko w lesie i na polach ucichło. Znikli ludzie i zwierzęta, hałas oddalił się i zamarł jak lekki podmuch wiatru w (powietrzu. Uzbrojony tłum zatrzymał się i stał długo na skraju lasu. Tworzył mur odgradzający świat. Zapanowała cisza w niebiosach i na ziemi...

Lecz Dag nie mógł zrozumieć, gdzie się wszyscy podziali. Przed chwilą stali tam jeszcze, a teraz już ich nie było. I znowu

doszedł go zewsząd wzrastający hałas, przybierający gwałtownie na sile. Nadchodził coraz bardziej, podchodzili ludzie, skradały się zwierzęta, z ziemi wylaniała się nienawiść. Morze nienawiści płynęło z ziemi, lasu i powietrza. Hałas wzrastał się nieustannie, łoskot walących się drzew zagłuszał ryki zwierząt. Grzmiało. Śmiertelna ciemność przesłoniła wszystko...

Nagle rozległ się huk. Jak jedna potężna salwa ze wszystkich strzelb świata, przejmująco zimny. Zadrżała ziemia, zakołysały się niebiosa, błękitne płomienie zawisły jak mgła nad osadą i lasem. Potem wszystko ucichło. Tylko szum i szmer jak w czasie ulewy przechodził ponad lasami.

Wielka brzoza, rosnąca z boku na południowy wschód od starej komnaty, stała tam od wieków. Największa brzoza, jaką kiedykolwiek widziano. Mówiono, że gdyby brzoza doznała jakiejś krzywdy, byłby to zły omen dla rodu Bjórndalów.

Stało się to teraz. W brzozę trafił piorun. Ścięty wierzchołek runął w dół. I stał na ziemi niby nowe, okazałe drzewo. Spod gałęzi starej brzozy wydostał się człowiek, Dag. Przyzwyczajeniem jego było chronić się od deszczu pod starą brzozę. Siedział tam i śnił. Obudził go piorun. Po raz pierwszy od długiego czasu zasnął, aż naraz zbudził go piorun. Sen i uderzenie pioruna ocuciły go.

Przetarł oczy, przyjrzał się nowej brzozie przed sobą i rozmyślał o swoim śnie. Prawdopodobnie działo się tak z człowiekiem, gdy postradał zmysły. Wtedy widziało się takie nieprawdopodobne rzeczy, jak na przykład wielkie drzewa wyrastające z ziemi w przeciągu jednej minuty. Zebrał odwagę i zbliżył się do nowej brzozy. Chwycił za gałęzie i powąchał świeże listowie. Doprawdy! Przejęty tym, że mógł chwytać rękami gałęzie i czuć zapach liści, cofnął się do tyłu i wlepił w brzozę przerażone oczy.

Odszedłszy kawałek zauważył, że stara brzoza nie wyglądała tak jak dawniej. Zbadał uważnie jej wierzchołek, po czym przeniósł wzrok na podstawę cudownego drzewa i dostrzegł dwa czarne ślady wypalone przez piorun. Zrozumiał, co się stało. Nie postradał więc zmysłów, skoro widział, dotykał i wąchał drzewo, które właściwie nie istniało. Ale piorun uderzył tuż obok niego

i uszkodził najstarszą brzozę. Tak! Bóg chciał przemówić do niego i aż nadto wyraźnie objawił mu swoje zamiary.

Deszcz przestał w końcu padać, a Dag stał ciągle jeszcze na tym samym miejscu. Był przemoczony aż do samej skóry, ale nie zdawał sobie z tego sprawy. Patrzył w stronę doliny, jak gdyby widział ją po raz pierwszy w życiu. Nawet teraz na jawie zachował tak żywe wspomnienie swego sennego widzenia, że oczekiwał niemal jego powtórzenia. Ale tylko szum, jak tęskne echo, dochodził do niego sponad leśnych wzgórz — pośród śmiertelnej niemal ciszy, jaka zapanowała po burzy. Czarna warstwa chmur rozdzieliła się z wolna na zachodzie. Słońce zdążające ku wieczorowi przecisnęło się przez szczelinę, śląc długie cienie od zachodniej grani gór wskroś zamilkłej wsi. Ostatnimi promieniami złociło wierzchołki najwyższych drzew, a na wschodzie oświetlało jeszcze dalekie stoki wzgórz. Ciemne i jasne pasma światłocieni odcinały się ostro od siebie, sprawiając złudzenie nieskończonej dali i nadając osiedlu dziwny i nieziemski wygląd. Na tle ponurych, ciemnych chmur na południu widniała tęcza, rozpięta szerokim, mieniącym się łukiem ponad lasami.

Oczy Daga, od dawna już ślepe na wszystko, co się dokoła niego działo, wchłaniały całą pełnią spojrzenia ten niezwykle obraz. Kiedy zaś zwrócił twarz ku zachodzącemu słońcu i wpatrywał się w złociście rozświetloną szczelinę chmur, zdawało mu się, że patrzy przez bramę rajy niebieskiego.

Padał cichy deszcz. Od czasu do czasu z oddali dochodził odgłos grzmotu.

Wróciwszy do domu, Dag przebrał się w suchą odzież i wszedł do pokoju, którego progu nie przestąpił od czasu pogrzebu To-rego. Była to stara komnata, w której zwykle odbywały się uroczystości.

Na stole i pod oknem od wschodniej strony leżało kilka książek o pobożnej treści. Po tym wielkim objawieniu chciał przeczytać kilka fragmentów. Bóg przemówił dziś do niego, do całego rodu. Był tego pewny. Ostrożnie ujął starą Biblię w swe szorstkie ręce i zaczął przerzucać stronicę. Natrafił na Stary Testament. W każdym wierszu powtarzały się uporczywie słowa kary, zemsty, gniewu Boga. Zamknął Biblię, usiadł na krześle i podparłszy

głowę łokciem, pograżył się w zadumie. Tak, dosięgnął go gniew Boga. Na nic się zdało przerzucanie kart książki. Był to sąd nad nim. Nie wątpił. Ale za co?

Myślał o swoim ojcu i o przodkach, o których mu opowiadano. Wiedział też o nich, że wszyscy mieli wielki respekt przed Bogiem. Rozmyślał dalej o swoim ojcu. Był to sługa Boży. To było pewne. Ale trudno było wybadać, jakie jeszcze myśli chodziły mu po głowie. Był tak skąpy w słowach.

Nagle podniósł głowę, wyprostował się. Znalazł drogę do myśli ojca. Przypomniawszy sobie słowa często wypowiedziane przez niego w chwilach uroczystych i wobec spraw codziennych: „Obowiązek człowieka”. Słowa te przywiodły mu wiele wspomnień o ojcu. Zawsze uważał, że największym obowiązkiem człowieka jest praca. Praca od wczesnego rana do późnego wieczora, aby zapewnić byt sobie i swoim najbliższym. Drugim ważnym obowiązkiem człowieka było nie przeklinać i nie używać bezbożnych słów. W tych sprawach nie wolno było z ojcem żartować. Dag przypomniawszy sobie, jaką okropną chłostę, największą w swoim życiu, otrzymał raz za to, że w porywie złości kłął, a ojciec to usłyszał. Tak, ojciec był zdania, że należy spełniać przykazania Boże, odmawiać Ojciec nasz, obchodzić święta. Dobrze pamiętał słowa ojca. Dag był wychowany w tym duchu i sądził, że prowadził życie zgodne z otrzymaną nauką.

Tę samą naukę ojciec jego otrzymał od swego ojca; każdy ojciec przekazywał ją swojemu synowi. Dlaczego więc ściga ich gniew Boży? Czyż nie spełniali wszystkich swoich obowiązków względem Boga? Wobec tego niepojętego dlań gniewu w Dagu wezbrała atawistyczna, arogancka pewność siebie, właściwa jego rodowi. Powoływał Boga przed sąd. Nie, ród na Bjórndal jeszcze się nie skończył. Był samotny i opuszczony, nie mógł się jeszcze otrząsnąć z nieszczęścia po śmierci brata i nie zapomniał niebieskiego płomienia pioruna, który uderzył w brzozę, ale — nie dał się nastraszyć. Był jeszcze zdolny świadczyć swoją własną wolę, nawet przed Panem Bogiem.

Pochylił się znów nad stołem, ręce wyciągnęły się do Biblii, lecz nie dotknął jej. Wzrok jego padł na małą książeczkę do nabożeństwa, tak małą, że mógł ją schować w garści. Bawił się nią, aż się otworzyła. Na pierwszej stronie było napisane: Dr Din-



nyson Jersin Myśli pobożne. Następował tekst. Przewracał bezmyślnie kartki i czytał machinalnie: „Pierwszym obowiązkiem każdego chrześcijanina jest walczyć z świadomymi, wyraźnymi i pospolitymi grzechami oraz złymi uczynkami, zakazanymi przez Boga i prawo ludzkie...”

Myśli Daga zajęły się tym, co widziały jego oczy. Przeczytał jeszcze raz ten fragment z obudzonym zainteresowaniem, następnie przewrócił kartkę. Na drugiej stronie wyczytał: „Bóg żąda jeszcze od nas, abyśmy zwalczali złe skłonności i przewrotne pragnienia naszego serca”.

Zdumiony patrzył przed siebie. Więc nie tylko dziesięcioro przykazań i Ojciec nasz było słowem Bożym? Czytał potem jeszcze tu i tam, niewiele rozumiejąc, aż natrafił na słowa, które zupełnie nim wstrząsnęły: „Gdy człowiek, na przykład, czuje złość lub niechęć do bliźniego swego, nie zawsze obraca to w czyn, gdyż nie zawsze ma po temu sposobność. Dzień po dniu chodzi i myśli, wynajduje środki, snuje plany, jak by się mógł zemścić, i myślami tymi z lubością syci swoje serce”.

Krew uderzyła Dagowi do głowy. Czyż on i Torę całymi latami nie myśleli o tym, jak zemścić się na mieszkańcach równiny? Czy nie cieszyli się skrycie w poczuciu zemsty przy każdym udanym przedsięwzięciu, przy każdej sposobności, kiedy Bóg używał im powodzenia? Spoglądał trwożnie na brzozę za oknem i myślał o wszystkich dawniejszych członkach rodu i o swoim ojcu. Wszyscy od niepamiętnych czasów wierzyli, że zemsta należy do obowiązków każdego mężczyzny. Gdy stara Ane Hamarrbó opowiadała mu o jego krewnych różne szczegóły, których znała tak wiele, zawsze kończyła dumnym zwrotem: — Nikt nie leży w grobie nie pomszczony! — Przypominał sobie dzień, w którym do ojca przybył pastor z prośbą o pomoc przeciwko niedźwiedziowi. Stał wtedy w przedsionku i słuchał. Wiedział, że ani prośby, ani obietnice nie poruszyły ojca. Dopiero gdy się okazało, że był to niedźwiedź pochodzący z legowiska tych, które zabiły jego dziadka, a później jego ojca, Torgeir nagle się zgodził. Dopóki żyły niedźwiedzie z tego legowiska, przodkowie w grobie nie byli jeszcze pomszczeni! Zemsta — zemsta — zemsta.

Myślał dalej o opowiadaniach Ane Hamarrbó o bardzo dawnych czasach. Wiele było na temat krwawych zemst. Serce jego

wzbierało również dumą. Ojcowie jego odznaczali się odwagą. A teraz szedł od nich strach. Na chwilę głęboko się zamyślił. potem wyprostował kark i plecy. Czyż przykazaniem Bożym nie było: Czcij ojca swego!? Czyż nie należało zemścić się na tych, którzy byli przeciw ojcu? Podniósł wyniośle głowę i zmarszczył brwi.

Obrazy ze snu znowu przechodziły mu przed oczami. Widział bardzo żywo, jak wszelkie zło szukało czym prędzej ukrycia, gdziekolwiek pojawiali się ludzie jego rodu. Strach przed mściwą ręką tych z Bjórndal trzymał w karchach nikczemników i dzikie zwierzęta. Tylko dzięki strachowi życie na miejscu było jako tako znośne.

Podniósł się. Czuł się związany silnymi korzeniami z pniem swego rodu, tak jak olbrzymia brzoza za oknem zakorzeniła się w swym gruncie. Pomimo że piorun ściał jej wierzchołek, korzenie tkwiły głęboko w starej ziemi. Nie można jej było wyrwać jednym szarpnięciem. Nie podobają mu się myśli nowe, dziwne, które przychodzą mu teraz do głowy. Czcił dotąd swoich przodków na równi z Bogiem, a oto nagle ośmiela się potępiać ich czyny.

Spierał się zawzięcie z Bogiem, ale równocześnie uświadomił sobie, że ludzie jego rodu nie byli — tak jak we śnie — zgromadzeni wokół niego. Wszyscy spoczywali w ziemi, a on niebawem połączy się z nimi.

Powiodł ręką wzdłuż krzesła i mała książeczka, którą przedtem odsunął od siebie, dostała mu się znów do ręki. Skórzany grzbiet starej książki skurczył się, drewniane okładki popękały. Pod dotknięciem jego ręki książka otworzyła się sama. Na jednej z ostatnich stronic przeczytał: „Wiem, że zemstę winienem pozostawić Bogu...” Zastanowił się głęboko. Wiedział, że słowa ludzkie można było tłumaczyć w różny sposób. Słowo Boże było nienaruszalne. Tutaj było to wydrukowane. Myślał. Jeżeli trzeba pozostawić zemstę Bogu, czy pewne jednak było, że Bóg zechce i znajdzie czas, aby... Tak! Siedziało mu to we krwi: każda niesprawiedliwość musi zostać wcześniej lub później pomszczona.

Naraz przeszedł go zimny dreszcz. Czy to nie Pan Bóg pomógł mu zemścić się i użyczył mu siły wówczas w Bóhle, tak ze mógł

szczęśliwie oprzeć się liczebnej przewadze? I czy nie za łaskawym zrządzeniem Boga uniknął winy morderstwa oraz kajdan przygotowanych przez policjanta? A kiedy pracowali, aby zdobyć bogactwa, czy to nie Bóg okazał im swą pomoc i pozwolił lasom nabrać takiej wartości? Nie zważali na pomoc Bożą, dlatego przysłała na nich kara...

Mimo to nie mógł zrozumieć, dlaczego przodkom jego wolno było przeżyć tyle pokoleń w atmosferze ciągłych sporów, zabójstw i rozlicznych gwałtów, a dopiero teraz na ród' spada wyrok unicestwiający jako kara za zemstę, którą Torę i on żywili tylko w myślach.

Mijały godziny. Wieczór zapadał powoli ponad wsią i dworem, a Dag z głową opartą na rękę ciągle jeszcze siedział w starej komnacie. Walczył uporczywie z narzucającymi się myślami. Punktem, do którego ciągle powracał, była myśl o obowiązku człowieka. Zrozumiał teraz dobrze sens tych dwu wyrazów. Zdawało mu się, że nareszcie pojął, dlaczego spadła na nich kara.

Obowiązki nie są zawsze jednakowe. Zmieniają się one tak, jak zmieniają się czasy. Stwierdził to po swoim dzisiejszym śnie. W dawnych czasach ludzie musieli bronić zaciekle życia i mienia przed dzikimi zwierzętami i zawalidrogami. Dlatego ojcowie jego szerzyli dokoła siebie śmierć i spustoszenie, a mimo to wolno im było zakładać rodziny i pozostawiać potomków. Teraz było inaczej. Dag sam miał okazję śmiertelnie przerazić mieszkańców doliny, tak że uciekaliby od niego za lasy, za góry, gdyby tylko obrzucił ich ostrym wzrokiem. Na wędrownych kramarzy potrzebował raz tylko spojrzeć, aby zaraz na łeb, na szyję umykali. Torę i on umieli zaprzęgać ludzi do ciężkich robót, podczas gdy sami chodzili z nie zgiętymi plecami, pokazując tylko, co i jak ma być zrobione.

Tak. Ojcowie wykonali już najcięższą pracę. Nadeszły nowe czasy, w których te ogromne lasy nabrały wartości. Obowiązki nie były już tak ciężkie na tym świecie, więc Bóg ustanowił cięższe na tamym. Teraz nie można było znaleźć pretekstu, aby radować serce myślami o zemście. Ale czy wobec tego mógł jeszcze żyć? Czy nie miał obowiązku pomszczenia swoich ojców za brak poważania, za lekceważenie, jakiego doznawali ze strony

tylu ludzkich pokoleń? Czy nie ciążył na nim dług honorowy, jako spuścizna w tragicznym dziedzictwie?

Letni mrok snuł lekkie, przejrzyste zasłony za oknami. Ale w starej komnacie ponura i czarna ciemność czaiła się na niego ze wszystkich ścian i kątów. Pod pułapem dochodzące jeszcze z zewnątrz światło zatrzymywało się na wypolerowanych mosiężnych lub żelaznych krawędziach starej broni, wiszącej tam od niepamiętnych czasów. Gdzieś, tam w górze, wisiał podobno stary topór. Była to najstarsza broń w Bjórndal i mówiono, że w żelazo został zakuty srebrnobiały krzyż. Nikt nie wiedział, czy krzyż miał służyć jako ochrona przeciwko nieszczęściu, czy też czarom. Opowiadano, że krzyż w toporze splamił się nie tylko zwierzęcą krwią. Także inna broń tam zawieszona mogłaby opowiedzieć o niejednym ostrym starciu człowieka z człowiekiem, o gwałtownych słowach i dzikich okrzykach, o przelewanej krwi i ciałach, które padały, aby się więcej nie podnieść.

Tego wieczoru pod pułapem jakby coś drgało, dochodził stamtąd jakiś upiorny chrzęst żelaza... Jak gdyby silni jak łosie mężczyźni powstali i w groźnym milczeniu stanęli pod ścianami i po rogach pokoju. Podstępna, żywa ciemność napierała na Daga, który starał się utrwalić w sobie swe nowe postanowienie zaniechania zemsty i w myśli, i w czynie. Czy przodkowie jego nie ujęli się teraz mocno za ręce, wszyscy, od najstarszego aż do ojca i Torego? Czy nie trzymali i jego za rękę? Był to uścisk mający zaświadczyć, że będą trwać zawsze razem przy sobie za dni życia i przez wieczność śmierci. Czy ma teraz cofnąć swoją rękę i wyrwać się z prastarej wspólnoty?

Dag pochylił się ku przodowi i oparł czoło na zaciśniętych pięściach. Miał wrażenie, jakby coraz głośniejsz chrzęściła broń pod pułapem, że w komnacie poruszają się posepni mężowie, zbliżający się ku niemu z wolna i nieubłaganie.

U belki nad jego głową coś zaskrzypiało, zgrzytem przecięło ciszę. Zaświszczało w powietrzu, uderzyło stuknięciem młotka w krawędź stołu tuż obok niego i spadło na podłogę. Dag był pod tak silnym urokiem wrażeń z nierzeczywistego świata, że dopiero po chwili zareagował na ów dźwięk. Podniósł głowę i nasłuchiwał pochylony. Wreszcie wstał i spojrzał na podłogę. W cieniu stołu, tuż u jego nogi, tkwił w podłodze swoim górnym

«

ostrzem stary, długi topór. Dag z ledwością zdołał go wyrwać, tak głęboko zarył się w drzewie.

Przyjrzał się wąskiemu ostrzu. Czerniało od dymu i nosiło ślady rdzy od krwi. Czy to nie znak krzyża widnieje z jednej strony ostrza, pomiędzy rdzawymi plamami? Potarł mocno palcem i srebrnoszary krzyż zaśnił na czarnym żelazie. Wiedział o istnieniu tej starej broni, lecz za życia ojca nie odważył się ruszać żadnej broni przodków. Tylko raz miał w rękę inny, podobny topór, który pożyczono mu na wzór, gdy kuto jego własny. Później miał tyle spraw na głowie, że nie stało mu czasu na słuchanie starych podań i opowieści. Teraz przekonał się, że podanie głosiło prawdę: legendarny topór istniał.

Prawdopodobnie z pułapu wypadł stary, zardzewiały gwóźdź. Dziwne jednak było, że stało się to właśnie wtedy, gdy po raz pierwszy siedział przy tym stole, i że topór upadł tak blisko niego, jak przedtem uderzył piorun. Dziwne — był to właśnie ten topór, wokół którego, jak opowiadano, zaciskały się ręce jego przodków w chwilach złości i zemsty.

Powoli uniósł głowę. Stalowe oczy patrzyły długim, twardym spojrzeniem w ciemności letniej nocy, nie zatrzymując się na niczym. Szczęki naprężyły się, usta zacisnęły, brwi zjeżyły, nozdrza drgały jak u wietrzącego psa — twarz wyglądała jak u człowieka pędzącego pod ostry wiatr.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości — Bóg chciał go dzisiaj poskromić. I chociaż raniło mu to serce, nie tak trudno było poddać się Bogu, jak mu się początkowo wydawało. Pozostawić zemstę Bogu, nie oznaczało stchórzyć. Bóg miał przejąć zemstę i karać surowo, tak jak to było napisane w Biblii. Na nic się zdało sprzeciwić się Bogu. Miał widome znaki. Niech zatem ojcowie sądzą go, jak chcą, jeżeli naprawdę mogą go teraz widzieć.

Jednym świszczącym zamachem wbił topór w belkę tuż pod przewiewnikiem. Niech tkwi tam na pamiątkę tego dnia, w którym stanął twarzą w twarz wobec Boga, i na rzecz tych, którzy, być może, byli niewidzialnymi świadkami tego, co zaszło w półmroku tej izby, wreszcie też na swoją własną pamiątkę.

Przez wiele, wiele lat topór pozostawał tam, gdzie go wbił Dag. Nikt by nawet nie przypuszczał, że od jednego uderzenia zarył

się tak głęboko w twardym jak krzemień drzewie dębowym. Tylko Dag wiedział, że topór tkwił tam jak kamień graniczny pomiędzy starymi czasami i nowymi.

X

Ale nie tylko rozprawa z Bogiem zbudziła Daga do nowego życia. Rankiem następnego dnia, po nocy spędzonej w starej komnacie, otrzymał list. Ktoś, kogo wysłano w jakieś sprawie do miasta, przywiózł go w drodze powrotnej. Listy były jeszcze wtedy rzadkością. Dostarczono go wozem z Hamarrbó i Dag nie mógł zapytać, kto go przysłał. Można było po prostu otworzyć list, lecz Dag obracał go na wszystkie strony w swoich wielkich rękach i nie mógł się zdecydować. Wreszcie skierował się do starej komnaty, gdyż była to sprawa uroczysta.

Otworzył zachodnie okno i siadł na tym samym miejscu, co ubiegłego wieczoru. Jeszcze raz obrócił list w jedną, potem w drugą stronę, następnie wyciągnął nóż z pochwy i ostrożnie rozciął kopertę. Był to ten sam nóż, którym już niejednokrotnie zdzierał skórę ze zwierząt, narzędzie służące mu do wszystkiego. Wyjął kartkę i spojrzał czym prędzej na podpis. Czy to trzęsła się jego ręka, czy też wiatr powiał od okna? Papier drżał mu w dłoni. List był podpisany przez Teresę Holder.

Długo siedział i patrzył na brzozę przed oknem oraz na dalekie wzgórza, zanim odważył się czytać. Czy to wspomnienie o broszce z Holandii przemknęło mu przez głowę? Ale od tego czasu upłynęła chyba cała wieczność. Może myślał o czasach, gdy mieszkał w mieście i bywał w domu zamożnego kupca? Czy było w tym coś dziwnego? Nie, ojcu jego i bratu okazywano tę samą gościnność.

Jedynie u ludzi z otwartej równiny Bjórndalowie nie cieszyli się poważaniem. U siebie w domu i w mieście byli kimś. U bogatego kupca zostawiali w stajni swoje konie tak jak i inni, ale nie sypiali tam w pokojach gościnnych, przeznaczonych dla chłopów.

Mieszkali gdzie indziej i byli panami siebie. Ba, nawet wyróżniali się swym wyglądem. Nie tylko mieli słuszniejszy wzrost, ale i głowy nosili inaczej — wyżej, mocno, spokojnie. Szybko przybywali, szybko znikali. Nie można ich było zapraszać na szklaneczkę wina do karczmy. Nie zadawali się z nikim, nie mieli czasu na próżną gadaninę w stajniach ani na picie wódki. Dlatego to, zresztą też jako dobrzy klienci, bywali niekiedy zapraszani do domu kupca. Innego powodu ku temu nie było, stąd też Dag nie przywiązywał do tego zbyt wielkiej wagi.

Pomyślał znowu o złotej broszce. Przypomniawszy sobie także dziwne zachowanie się panny Teresy i wrażenie, jakie to w nim wywołało.

Od owego pożegnalnego dnia zwykle tylko Torę jeździł z ładunkiem do miasta, czasami zaś ludzie z Hamarrbó. Dag nie miał po temu najmniejszej chęci. Po ofiarowaniu broszki starał się nie mieć żadnej styczności z rodziną kupca.

Siedział w starej komnacie i dumał. Niewiele zrozumiał po przeczytaniu listu. Doznał jednak nowego, nieznanego uczucia. Nie wiadomo, czy pochodziło ono z ciepłego powietrza, które napływało przez otwarte okno, czy też zjawilo się właśnie po przeczytaniu listu. Nigdy nie otrzymywał listów. Sam fakt, że znalazł się ktoś, kto myślał o nim i kto pisał do niego, był zadziwiający. To było powodem, że przywiązywał do listu większe znaczenie, niżby należało. Panna Teresa pisała do niego na wieść o wielkim nieszczęściu, które go spotkało. Wiedziała, że był teraz sam jeden na świecie. Donosiła o nowinach z miasta. Ojciec jej umarł tego samego dnia, gdy wyłowiono z rzeki zwłoki Torego. Czy nie było to zrzędzeniem losu? — pisała. Co miała na myśli? Pisała też, że nie była tak osamotniona jak on. Miała siostrę, miała rodzinę stryja i innych. Obecnie syn stryja chciał się ożenić i zająć się przedsiębiorstwem; było więc rzeczą naturalną, że pragnął zamieszkać w domu, który one teraz zajmują. Więc niebawem przeprowadzą się do innego mieszkania. Nie, jeszcze nie wszystko. Panna Teresa zapytywała, czy Dag nie przyjedzie znów do miasta. Chętnie z nim porozmawia.

Tylko tyle. Lecz przez swój list stała mu się jakby bardzo bliska. Miała zaufanie do niego jako do dobrego znajomego. Ale cóż mógł o tym wiedzieć taki człowiek, jak Dag?

W majątku zapanowało powszechne zdziwienie, gdy Dag pojechał do miasta. Wiele czasu upłynęło od jego ostatniej tam bytności. Na ogół wszyscy dostrzegli, że przechodził jakąś wielką przemianę. Zaczął znowu zajmować się sprawami zaniedbanymi w ostatnim roku. Niczego nie znajdował w takim stanie i porządku, jaki kiedyś zaprowadził, i oczy jego przybrały tak surowy wyraz, że ludzie zaczęli go unikać.

Dom Holderów, wciśnięty pomiędzy inne, anemiczny, od strony ruchliwej ulicy wyglądał dosyć skromnie. Nawet szyld nad drzwiami wyblakł już od starości i niepogody. Trudno byłoby przypuszczać, że mieszkają w nim tak możni kupcy. W sklepie, obecnie takim samym jak przed laty, wzbogaciły się już dwa pokolenia, najwidoczniej dlatego też uważano, że nie potrzeba wprowadzać doń żadnych ulepszeń.

Dom był dwupiętrowy. Sklep znajdował się na parterze. Od wczesnego ranka do późnej nocy wrzało tam od ciągłego ruchu i krzątania. Stare biuro i składy mieściły się od podwórza. Stamtąd schodziło się do piwnicy. Na pierwszym piętrze było kilka dalszych pokoi biurowych oraz izby dla pomocników i uczniów. Z tyłu tego domu znajdowało się brukowane podwórze zamknięte przez dwa długie skrzydła. Na dole jednego mieściły się stajnie i szopy dla wozów i sań, nad nimi zaś kilka izb dla chłopów, strych i dalsze składy. Wzdłuż ścian ciągnął się istny labirynt schodów, galeryjek, zakamarków i daszków — trzeba było dobrze znać rozkład domu, aby nie zbłądzić.

Oficyna, zamykająca podwórze z drugiego końca, przylegała do innej ulicy. Była to mała, spokojna uliczka i z tej strony budynek wyglądał zupełnie inaczej. Dopiero tu uzewnętrzniało się bogactwo domu Holderów. Tutaj mieszkała rodzina.

Liczne okna wychodziły na podwórze. Na parterze poza nowym biurem, w którym załatwiano najważniejsze interesy, znajdowała się jedna kuchnia, na pierwszym piętrze była druga oraz izby dla służby. Stronę frontową od' uliczki zamieszkiwali państwo. Na parterze mieszkał najstarszy z rodziny Holderów; jego zmarły niedawno brat, ojciec Teresy, mieszkał na piętrze. Tam również spędzała swe pracowite dni Teresa.

Od wczesnej młodości była przyzwyczajona do pracy. Miała zawsze mnóstwo spraw do załatwienia, musiała wszystko nadzo-



rować, zwłaszcza od czasu, gdy zachorowała matka. Po jej śmierci zarządzała kuchnią, piwnicami i całym domem. Miała niemało kłopotów, ponieważ ojciec był człowiekiem bardzo towarzyskim i chętnie zapraszał do siebie kompanów, skorych do śmiechu i zabawy.

Tak, panna Teresa miała dużo roboty. Tymczasem nagła śmierć zabrała jej ojca i w obszernych pokojach zapanowała niesamowita cisza. Od roku dopiero żyła w tej ciszy i pustce, lecz wydawało się jej, że trwa to już długie lata.

Niekiedy odnosiła wrażenie, że się starzeje. W czasie bezsennych nocy, a nawet w jasny dzień, przenikał ją dreszcz przerażenia. Nabrała przekonania, że będzie musiała dopełnić swych lat w staropanieństwie. Za życia ojca miała tyle zajęć, że ledwie tylko wspominała przeżyte lata, nigdy zaś nie znajdowała chwili na rozmyślanie o sobie ani o swojej przyszłości. I tak upływał czas. Uważała pracę domową za normalne panięskie zajęcie, stanowiące wstęp do rozpoczęcia prawdziwego życia, które miało dopiero nadejść. Tymczasem została nagle wykolejona i oto stwierdziła, że zaczyna więdnąć, zanim je rozpoczęła.

W młodości wielu starało się o jej rękę. Ale żaden nie wydawał jej się odpowiedni. Uważała, że ma jeszcze dużo czasu przed sobą. Coraz bardziej zamknięta w sobie, nigdzie się nie udzielała; każdemu też z gości przebywających w ich domu wydawało się coraz bardziej nieprawdopodobne, aby można było ożenić się z Teresą Holder.

Będzie zupełnie taka sama jak jej babka — mówiono, a to miało swoją wymowę. Wielu sądziło, że stara pani Holder ugruntowała bogactwo domu. Tak aktywnej kobiety jeszcze nikt nie widział. Mogła jednocześnie być tu i tam, czuwała nad porządkiem, ale nie należało do przyjemności być jej mężem. Im więcej zatem uwidoczniło się podobieństwo Teresy do babki, tym mniej było kandydatów do jej ręki. Niektórzy uważali jej sposób wyrażania się za nieco szorstki, a to niekoniecznie musi się podobać.

Zresztą już od wczesnej młodości musiała być samodzielna, spędzając wiele czasu w kuchni, jak również na podwórzu. Bez wątplenia tam nauczyła się okropnego języka, jakim się posługiwała.

Mogli się przecież znaleźć i tacy, którzy pragnęliby się z nią

ożenić ze względu na jej majątek, ale było powszechnie wiadomo, że Teresa jest za mądra, aby się dać w ten sposób oszukać.

I tak dokoła panny Teresy panowała cisza.

Od czasu, gdy dorosła, uważała za rzecz zupełnie naturalną, iż musi wyjść za mąż. Ale teraz nic na to nie wskazywało. Czy cisza dookoła niej była tą atmosferą, wśród której spędzają swe dni stare panny? Czy zaczął się dla niej ten okres? Liczyła trzydzieści jeden lat i na twarzy jej ukazały się drobne zmarszczki. Czy naprawdę zaczęła się już starzeć?

Siostra jej, panna Dorota, była żywym tego ostrzeżeniem. O pięć lat starsza, była niepodobna do Teresy. Przypominała ich matkę: była bardzo ładna, jeszcze teraz ładna, mimo że wiek już znaczył swoje ślady. Była wytworna i wysmukła — prawdziwa dama. W młodości często zapadała na zdrowiu i dlatego Teresa musiała objąć gospodarkę po śmierci matki.

Panna Dorota miała swoje przeżycia. W ciągu czterech czy pięciu swych najpiękniejszych lat była zaręczona z pewnym przystojnym oficerem. Miało to być utrzymane w tajemnicy, ale całe miasto wiedziało o zaręczynach. Nie można ich było ogłosić oficjalnie, gdyż rodzina oficera sprzeciwiała się jego związkowi i „rodziną kramarza”. W końcu ożenił się z inną, także bogatą, ale której stanowisko społeczne bardziej odpowiadało jego szlacheckiej krwi. Od tego czasu życie straciło dla panny Doroty wszelką wartość.

W pierwszą rocznicę śmierci ojca wuj jej we własnej osobie udał się na górę, żeby powiedzieć kilka słów okolicznościowych. Było to ładnie z jego strony, ale Teresa domyśliła się niebawem, że wuj od dawna oczekiwał końca żałoby.

Wuj miał coś na sercu. Syn jego zamierzał się ożenić i wuj prosił głosem łagodnym i ojcowskim, aby Teresa rozejrzała się za innym mieszkaniem. Syn bowiem chciałby się tutaj wprowadzić. Niezbyt taktownie nazwał siostrę i ją „dwojgiem samotnych ludzi”, przy czym Teresa zrozumiała to jako aluzję, że pozostaną samotne do końca życia i że wobec tego nie będą potrzebowały tak obszernego mieszkania. Miały się więc usunąć w cichą samotność, oszczędzać, a tymczasem wuj dalej będzie zarządzał majątkiem. Nie, teraz chciała wyjść za mąż, nawet gdyby sama musiała iść w konkury.

Wśród strapień, jakie gnębiły ją w ciągu całego tego roku, przyświecał jej zrazu słaby promyk nadziei podsycany później coraz silniejszym pragnieniem. Zrodził się on z kilku drobnych pamiątek, które od lat w cichości przechowywała. Z nimi łączyło się wspomnienie o kimś, kto podarował jej kiedyś broszkę. Posiadała wprawdzie wiele innych kosztowności, także broszki podarowane jej przez ojca lub odziedziczone po matce. Ta broszka jednak była nieporównana — miała idealny kształt i była z masywnego złota. Nie domyśliła się nigdy, dlaczego ją dostała. Należała jej się, ponieważ gościli go w swym domu — powiedział. Od nikogo z gości, którzy tak licznie w ciągu lat odwiedzali ich dom, nie otrzymała nigdy żadnego takiego prezentu. Czyż nie miała prawa przypuszczać, że była w tym jakaś ukryta myśl?

W chwilach rozsądku dochodziła do wniosku, iż podarował jej broszkę dlatego, że leżało to w jego usposobieniu. Wiedziała coś o nim. Nosił imię Dag. Ładne, stare imię. Kiedyś pytała o nie pewnego pastora, przyjaciela rodziny Holderów, który znany był wszędzie ze swej wielkiej wiedzy. Pastor tłumaczył, że Dag to imię wodza z dawnych czasów i że obecnie jest już nie używane. Odrzekła, że zna kogoś, kto nosi to imię, a kto na jej zapytanie, jakim sposobem je otrzymał, odpowiedział, że od dawna jest ono dziedziczone w jego rodzinie. Pastor uznał to za rzecz niezwykłą, zgodził się jednak, że jest zupełnie możliwe, iż żyją jeszcze potomkowie jakiegoś starego rodu, chociaż rody takie przeszły już do historii.

Teresa nie powtórzyła Dagowi słów pastora, ale ilekroć nań patrzyła, słowa te zawsze przychodziły jej na myśl. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości: był kimś niezwykłym.

Taki człowiek ma pewno inne projekty, niż pojąć za żonę starą pannę z miasta. Jej pieniądze też chyba nie miały dla niego znaczenia, sam bowiem pochodził z zamożnego domu, o czym wiedziała od ojca.

Zwykle panna Teresa myślała trzeźwo i rozsądnie i nie dopuszczała do siebie tak łatwo marzeń o takim mężczyźnie jak Dag; ale broszki i wspomnień nie mógł jej nikt zabrać. Myśli jej częstokroć niepowstrzymanie wędrowały ku niemu. On był inny niż wszyscy, on był prawdziwym mężczyzną.

Rozmyślała o tym długi czas. Tymczasem wuj wystąpił ze

swoimi planami, co dla niej oznaczało zniweczenie wszelkich szans. Od tego dnia niełatwo było wytrzymać z nią razem w jednym mieszkaniu, gdy zaś wuj latem znów ją zagadnął w tej sprawie, napisała bezzwłocznie list do Daga. Z okna kuchni zauważyła wśród koni płomiennozłotą grzywę. Wiedziała stąd, że musiał tam być wóz z Bjórndal. Nadarzała się więc sposobność wysłania listu.

Długo łamała sobie głowę nad ułożeniem treści. Już po napisaniu kilku wierszy stwierdziła, że byłoby niedorzecznością pi-ać tak ni stąd, ni zowąd do mężczyzny. Niemniej przecież wiedziała o nieszczęściu, jakie go spotkało, wiedziała także, że stało się to w dzień śmierci jej ojca. Stanowiło to doskonały pretekst do napisania. Wszelkie pokusy, jakie nachodziły ją w czasie pisania listu, zdecydowanie od siebie odsuwała.

Potem jednak dzień i noc żałowała, że wysłała list. Nie mogła zmrużyć oka, z ledwością potrafiła przełknąć kęs strawy. Najgorsze jednak było, że nie pamiętała, co właściwie napisała. W czasie pisania tyle myśli przechodziło jej przez głowę, że nie mogła sobie teraz przypomnieć, co ostatecznie znalazło się w liście. Niemniej odtąd co dzień i co chwila, od wczesnego rana do późnego wieczora, wychodziła pod różnymi pretekstami do kuchni, aby śledzić przez okno, co się dzieje na podwórzu. Kręciło się tam wiele osób, zajeżdżało wiele wozów, ale tego, którego oczekiwała, nie było. Przyjmowała to za każdym razem ze smutkiem, ale i z ulgą. Z ulgą, bo to byłoby straszne, gdyby naprawdę przyszedł; wprawdzie prosiła go, żeby przyjechał — dobrze to pamiętała — lecz co miała mu powiedzieć, gdy przyjedzie?

Dziewczyny kuchenne nie mogły zrozumieć tych ciągłych wędrówek, sądziły, że panna chyba zwariowała.

Po obiedzie obie siostry siadły w oknie wykuszowym — Dorota ze swoim wiecznym szyciem, zaś panna Teresa, „ta pracowita mrówka”, siedziała beczynn timer, spoglądając od czasu do czasu przez okno na sąsiedni dom. Letnie słońce złociło wszystko dokoła łagodnymi promieniami.

Panna Teresa podniosła się. Czyżby w ten sposób miało upływać jej życie? Czy tylko to jej zostało, aby przypatrywać się ze swego okna żyjącemu na zewnątrz światu? Nie, nie byłaby tą, ^ jaką się uważała, gdyby pozwoliła, aby życie przeszło obok

niej. Wyprostowała się i zacisnęła pięści na piersiach. Aż strzeliło w stawach.

Pomimo wszystko nie żałowała swego listu.

Jeżeli przybędzie, powie mu wszystko. Po prostu. Zwyczajnie i obyczajnie byty dla niej obojętne. Nigdy nie kierowała się konwenansem, a teraz stawiała wszystko na jedną kartę.

Jeżeli nie przybędzie, cóż, poradzi sobie w inny sposób. Przynajmniej skończy się niepokój wyczekiwania, jakkolwiek co do tego nie czuła się teraz taka pewna, skoro myśli jej krążyły wciąż

wokół jego osoby.

Siostra Dorota spojrzała na nią nagle swymi pięknymi, spokojnymi oczyma i szła dalej. To, co widziała, wystarczyło. W ciągu minionego roku zdołała się zorientować, co dzieje się w sercu jej siostry. Zaobserwowała w niej to, co sama kiedyś przeżyła:

bunt przeciwko śmierci za życia.

W przedsionku rozległy się kroki. Najpierw szybkie kroki służącej, potem ciężkie kroki mężczyzny.

Panna Teresa odrzuciła głowę do tyłu i nasłuchiwała. Również Dorota podniosła oczy i spojrzała na siostrę, potem na drzwi — z uwagą i zdziwieniem.

Służąca otworzyła, do pokoju wszedł mężczyzna i drzwi zamknęły się za nim.

Dag nieco ostrożnym, ale zdecydowanym krokiem podszedł do Teresy i podał jej rękę. Oczy Doroty znieruchomiały ze zdumienia. Teresa wydawała się teraz jakby zamieniona w posąg — wielki, śmiało zarysowany. Na twarz wystąpił ciepły rumieniec, oczy zalśniły radosnym błyskiem, twarz o grubych rysach była prawie ładna.

Powiedziano sobie dzień dobry, życzonego pokoju Bożego, wyrażano radość powitania. Teresa podsunęła gościowi krzesło, po czym nastąpiła zwykła w takich wypadkach rozmowa: jak dawnej już tutaj nie był, jak mu się wiodło, jak straszne przeżywał strapienie, jaki to smutek spadł także na ich dom — i tak dalej. Teresa mówiła dużo, jak się to zwykle robi, kiedy się chce zamaskować ważniejsze, drastyczne sprawy.

Podano francuskie wino i ciastka. Nastąpił czas niezwykle przyjemnej rozmowy o wszystkim i o niczym. Po pewnej chwili panna Dorota podniosła się i dyskretnie opuściła pokój.

Dagowi wydawało się, że śni. Siedział i słuchał ożywionego radością głosu panny Teresy. Wychodził z mroku śmiertelnych ciemności, jakie otaczały go przez cały ten rok. Trudno mu było pojąć, że to nadzwyczajne przeżycie, jakiego oto doznaje, to coś rzeczywistego.

Ocknął się. Panna Teresa umilkła nagle i położyła mu rękę na ramieniu. Spojrzał na nią wielkimi oczami. Pochyliła się z ożywieniem ku przodowi, położyła rękę tuż nad przegubem jego dłoni, tam gdzie jaśniał rękaw koszuli. Siedzieli naprzeciw siebie twarzą w twarz. Z oblicza Teresy biła śmiertelna powaga. Pierś jej oddychała ciężko. Usta poruszały się, nie wyszło jednak z nich ani słowo. Oczy zalśniły wilgocią. Spuściła wzrok, ale po chwili znowu spojrzała na niego.

Zmieniła się znacznie od czasu, kiedy znał ją młodą. Teraz była to wysoka i tęga kobieta, na twarzy zaczęły pojawiać się zmarszczki. Jednak w tym momencie ta twarz o surowych rysach tchnęła takim ciepłem i taką dobrocią, że jeszcze nigdy nie wydawała mu się piękniejsza.

W toku rozmowy dowiedziała się, jak to dom jego teraz, kiedy tamci odeszli, stał samotny i opuszczony. Wówczas odezwała się:

— Dagu Bjórndal, powinien się pan ożenić.

Siedział nieruchomo, jak gdyby nasłuchując jakichś dalekich, bardzo dalekich odgłosów. Zwrócił ku niej twarz, a wzrok jego był jak przenikliwy, ze czuła się jak sparaliżowana.

— Musiałbym znać osobę, która by mnie zechciała — powiedział.

Ręka na jego ramieniu zadrżała.

— Znam taką — odrzekła spokojnie.

Dag zmrużył oczy jak przed rażącym blaskiem słońca, wyprostował się i wyprężył pierś pełnym oddechem, jak gdyby w obronie przed jakimś miażdżącym go ciężarem. Otworzył oczy szeroko, bezradnie, tak jakby szło o życie lub śmierć:

— To znaczy... — zapytał tylko.

— Siebie samą... jeżeli zechcecie! — powiedziała szybko i bardzo cicho.

Podnieśli się oboje jednocześnie. Po raz pierwszy w życiu Teresie wydawało się, że jest malutka — na szerokiej piersi Daga. Powoli zapadał wieczór, z zewnątrz sączył się mrok.

»•

— Czy mogę powiedzieć Dorocie? — spytała.

— Czy to konieczne? — zauważył nieśmiało, ale poprawił się szybko: — Tak, tak. — Nie wiedział sam, co mówi.

Teresa wyszła, aby przynieść światło, a do pokoju wsunęła się Dorota, cichutko jak zaczarowana. Był niezdarny jak mały chłopiec, gdy składała mu życzenia i ścisnęła rękę. Jej głos był dziwnie miękki i drżący. W pokoju było jeszcze na tyle widno, że Dag mógł zauważyć jej ogromne wzruszenie. Twarz jej była delikatnie zaróżowiona, a zgrabna postać miała w sobie tyle dziewczęcej czystości, kiedy uśmiechnięta wypowiadała miłe słowa życzeń, że odczuwał wielką chęć, aby ją także przycisnąć do siebie.

Oczy panny Doroty nie można było zapomnieć. Jej uroda przede wszystkim w nich się wyrażała. Przymykały się, kiedy miała się uśmiechnąć. Gdy były otwarte, odzwierciedlała się w nich ogromna dobroć i życzliwość. W uśmiechu oczy jej lśniły \ niby błyszczące Izą. Panna Dorota współczuła z każdym — |

i w strapieniu, i w radości.

' Tego wieczoru

przed Dagiem życie otworzyło nowe perspek-tywy. Wszystko, co było za nim, usuwało się coraz dalej i niknęło

niby mgłą.

Oto istota ludzka ofiarowała mu się — w bezbrzeżnej dobroci, której nie był wart. Nadto jeszcze jedna istota podeszła do niego niby dziecko, przykładając swój policzek tkliwie i z ufnością. Tam, gdzie wzrósł Dag, rzadko słyszało się czułe słowa, pieszczoty prawie nie istniały. Były to świeże kwiaty na jego ziemi. Znal jedynie twardych, zdecydowanych ludzi czynu. Takimi byli jego krewni, takim był on sam.

Dotychczas spotykał się wyłącznie z zawiścią i perfidią mieszkańców z otwartej równiny. Ludzie, których tutaj spotkał, wydawali mu się z innego świata.

Pod pretekstem, że ma jeszcze coś do załatwienia wieczorem w mieście. Dag chciał opuścić dom Teresy. Pragnął się udać do swej kwatery, aby w samotności zebrać myśli. Dorota była ogromnie zaskoczona słysząc, że ma jeszcze jakieś inne plany na ten wieczór. Kazała nakryć do stołu, musi zostać na wieczerzy. „Tak — myślał w duchu — ona lepiej zna się na obyczajach”.

I został. (8)

Siedział i rozmawiał z Dorotą, Teresa musiała tymczasem wyjść do kuchni i do piwnicy. Od czasu do czasu zaglądała do pokoju jak ktoś, kto chce się nacieszyć pewnym rzeczywistym faktem. Stół w sali jadalnej był uroczyście nakryty, co w domu Holderów miało szczególne znaczenie. Adamaszkowy obrus, samo ciężkie srebro, kosztowne wina południowe oraz najwytworniejsze jedzenie, jakie tylko sobie można wyobrazić.

Dag nigdy jeszcze nie zasiadał do takiej uczyty. Ani w tym domu. Dotychczas podejmowano go tutaj jedynie codzienną strawą. Zdawał sobie sprawę, że w tym nowym dla niego świecie nie będzie brakowało trudności.

Jak sobie Teresa, przyzwyczajona do wytwornego życia, przedstawiała życie w Bjórndal? Czy wiedziała, że był to ponury, leśny dwór o ścianach z poczerniałych belek i niskich pułapach?

— Jaki pan poważny — powiedziała nagle Teresa, kładąc mu rękę na ramieniu.

Dag patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Tak, z nią można było pomówić otwarcie. Opowiedział jej, jak inaczej było u niego w Bjórndal, jak inne było wszystko, do czego przywykła tutaj. Nie upiększał niczego. W porównaniu było to jak niebo i ziemia. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale panna Teresa przerwała mu z twarzą tak beztroską i spojrzeniem tak ciepłym, że panna Dorota czuła się zażenowana. Teresa odrzekła, że jest osobą dorosłą i wie, co czyni. Nie zaręczyła się z jego domem; musi wziąć dom taki, jakim jest, i być z niego zadowolona.

xz

W idocznie Bóg

naprawdę przejął na siebie zadanie wymierzenia zemsty na mieszkańcach równiny za ich podłość. Odwet był potężny. Nastąpił w pierwszych dniach jesiennych w postaci wielkiego wesela w mieście oraz dwu światowych dam, które zjechały do Bjórndal z ogromnym taborem wozów, załadowanych kosztownym towa-



rem. Na równinie obserwowano to z wielkim zdziwieniem. Wszyscy czuli się głęboko dotknięci. Prastara przemoc wymykała im się z rąk. Panie były kobietami z wyższych sfer i przywiozły ze sobą niezliczoną ilość talarów i wspaniałych rzeczy.

Nawet panowie w Borgland zaczęli się zastanawiać. Nazwisko Holderów było im znane. Kiedy niby od niechcienia zaczęli wypytywać swoich krewnych w mieście, dowiedzieli się, że dom Holdera chlubi się olbrzymim bogactwem i że nazwisko pewnego oficera, spowinowaconego z rodziną z Borgland, było kiedyś łączone z jedną z dwu córek Holdera, które teraz zamieszkały w Bjórndal.

Państwo z Borgland nie uważali wprawdzie, żeby świetność ich domu choćby cokolwiek na tym ucierpiała. Posiadali przecież tak wielki majątek, że nic nie mogło go zaćmić. Zbyt pewni byli swojej wyższości, aby obawiać się czyjejkolwiek konkurencji. Granice Borgland były bardzo szerokie. W owym czasie posiadali kilka tuzinów folwarków i gospodarstw. Mieli też ziemię w innych częściach kraju. Nikt nie mógł nawet marzyć o tym, by się porównywać z nimi; na tym terenie byli niepokonani.

^

A jednak ten dwór na północy zaczął ich irytować. Wiał z niego niepokój. Tylko państwo z Borgland mogli mieć tutaj znaczenie, nikt inny. Potęga i bogactwo należały do nich od niepamiętnych czasów i dla żadnych intruzów nie było tutaj miejsca. Nikomu nie wolno było panoszyć się na terenie ich wpływów. A przecież w ostatnim czasie tacy się właśnie pojawili. Jeździli sobie po szosie i popędzali ostentacyjnie konie, ilekroć spotykali państwa z Borgland. Nie zwalniali tempa i nie kłaniali się unizenie jak wszyscy inni. Nie! Ostro i wyzywająco jechali dalej, nie patrząc na nikogo. A teraz bogactwo wzmocniło jeszcze tę hardość.

Był jesienny wieczór przed zachodem słońca. Przez równinę przejeżdżał Dag z żoną i jej siostrą, Dorotą. Udawali się na północ. Gdy wjechali do ciemnego, górskiego lasu, siostry umilkły. Dag zauważył to i nigdy jeszcze droga przez las nie wydała mu się tak daleka jak dzisiaj. Gdy las się przerzedził, otwierając widok na osiedle, odzyskał pewność siebie i poczucie swojskości po owych dniach przeżytych w mieście, zaś widok słońca odbijającego się w oknach uczynił go zupełnie szczęśliwym i zadowolonym.

TQ

lonym. Zatrzymał konia i wskazał na północ —• tam był cel ich podróży.

Teresa wiedziała, że mieli zajechać pod wieczór. Już długo siedziała, wyczekując w napięciu końca podróży. Na ogół dość rozmowna, teraz milczała. Trzymała tylko męża mocno pod rękę. Liczyła dni i godziny, myśląc o tej chwili. Nareszcie zobaczyła to miejsce, gdzie miała spędzić swe najlepsze lata i gdzie miały się wychować jej dzieci. Gdzie w końcu miała dokonać żywota. •Panna Dorota także milczała. Z oczu jej wykradła się łza.

Koń pędzi} teraz w dół. Minęli posiadłość Hamarrbó i wjechali do osiedla. Nikt nie wyszedł im na powitanie. Jednak zza okien w przedsiionkach i zza uchylonych drzwi wyglądały ku nim niewyraźne twarze, czuli na sobie ciekawe spojrzenia. W Bjórndal wyszedł przed dom stary stajenny i zaczął wyprzęgać konia. Od strony zachodniej zabudowania dworskie rzucały długi cień na podwórze. Było tak cicho i pusto, jak gdyby nikt tutaj nie mieszkał. Wprawdzie Dag uprzedził, że nie ma tam nic wspaniałego, ale nawet dla przybywających z miasta taki stary dwór wyglądał jak bardzo duży dom. Teresa i jej siostra miały uczucie zimna i pustki, jaką tchnęły zabudowania i ogromne podwórza. Zamyślane, niespiesznym krokiem weszły na ganek. Dag otworzył drzwi. Usłyszał niemiły zgrzyt zawiasów.

W szczególnych chwilach życia obrazy utrwalają się w pamięci, by nigdy nie zaniknąć. Teresa i Dorota często potem wspominały mile wrażenie ciepła, jakie biło od polan wesoło trzaskających na kominku, gdy po raz pierwszy weszły do tego domu.

Zmęczenie po dalekiej podróży szybko minęło. Teresa musiała zaraz wszystko obejrzeć. Dag był także zmęczony po wrażeniach dnia, ale towarzyszył Teresie, aby jej dogodzić. Wiele było drzwi w Bjórndal, toteż wędrówka po domu stała się bardzo długa. Ale Teresa nie czuła się znużona. Gdy wróciła do sieni, w której Dorota rozkoszowała się jeszcze błogim ciepłem kominka, odkryła w sobie taką ufność i taką szczęśliwość, że zarzuciła siostrze ręce na szyję, przy czym oczy jej napełniły się łzami.

Gdziekolwiek przechodziła, ludzie podnosili się z szacunkiem, milcząc i przyglądając się jej zdumionymi oczami. Był to dla niej zupełnie nowy świat ludzi i zwierząt. Nie jacyś przygodni pobożni ani obce konie, które zjawiały się i znikwały, jak bywało

u niej w domu. Były to istoty i stworzenia, którymi odtąd miała się na zawsze opiekować.

Gdy minęło pierwsze wrażenie, odzyskała mowę i zaczęła opowiadać Dorocie o tym, co widziała. Wkrótce powrócił Dag, zapraszając je do stołu w drugiej izbie. Dorota szła pierwsza, za nią Teresa, objąwszy mocno ramię Daga.

— Jakże się ze wszystkiego cieszę — powiedziała. Stare powiedzenie mówi, że kto chce prowadzić gospodarstwo wiejskie, musi wychować się na wsi. Nie było chyba nikogo w Bjórndal, kto by się spodziewał, że taka wytworna pan' z miasta będzie miała dostatecznie sprawną rękę, aby gospodarować. Ale inaczej jest z ludźmi pojętnymi. Przystosują się i nauczą przez jeden rok więcej, aniżeli inni przez całe swoje życie. Była stworzona do pracy i do rządzenia. Posiadała poza tym ogromne zapasy energii, której dotychczas nie mogła wykorzystać.

Wkrótce już dało się odczuć, że we dworze jest kobieta, i to dzielna kobieta. Najpierw uwidoczniło się to w kuc'ini, w zmianie jedzenia. Kucharka gospodarująca tam w ostatnim roku była kobietą starą i niedbałą. Robotę tylko zbywała. Często jedzenie bywało źle przyrządzone lub nieświeże. Ale narzekanie na nową gospodynię nie zdało się na nic. Dobre jedzenie jest bardziej przekonywające aniżeli złe słowa. Ludzie szybko nauczyli się cenić swoją nową panią. Wyrzekania starej kucharki na jej surowość i wymagania sprawiły tylko tyle, że do nowej ipani odnoszono się z jeszcze większym respektem. Opowiadania zaś, że w kuchni bije po twarzy na prawo i lewo, przyjmowano tylko ze śmiechem.

Teresa nie ograniczyła się tylko do interwencji w kuchni. Pojawiała się o każdej porze dnia w stajni, w oborze. Jakkolwiek nie wtrącała się od razu do każdej roboty, ludzie poczuli się niepewnie, zdając sobie sprawę, że lenistwo i niedbalstwo obecnie nie popłaci.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Z osiedla zaczęły przychodzić do dworu kobiety. Teresa dziwiła się, że gdy wchodziła do kuchni, kobiety podnosiły się nieśmiało i nisko się kłan-ały. Skinęła im głową i zaraz pospieszyła do Daga. Wpisywał różne liczby do swych ksiąg. 72

— Przyszło tak dużo kobiet — powiedziała mu. — Czego one chcą?  
— Zbliżają się święta — odpowiedział po prostu. — Tak, ale po co ci obcy ludzie tutaj przyszli? Dag zapomniał powiedzieć żonie wiele rzeczy. Odłożył pióro i podniósł się.

— To nie są obcy ludzie. Jest tu taki zwyczaj, że przychodzą, aby pomagać przy przygotowaniach świątecznych i przy innej w tym okresie pracy.

— A!eż to bardzo dużo rąk do pracy — zauważyła niepewnie.

— One przynależą tutaj — powiedział Dag.

— Ależ one mieszkają w osiedlu! — rzekła Teresa, nic nie rozumiejąc. — One chyba pochodzą z gospodarstw w dolinie.

— Tak — Dag patrzył poważnie przed siebie — ale widzisz, wszystkie te gospodarstwa i grunty również przynależą tutaj.

— Przynależą! — Teresa zdziwiła się zaskoczona. — Czy chcesz przez to powiedzieć, że stanowią naszą własność?

— Od dawien dawna całe osiedle Bjórndal jest nasze. W Teresie odżyło niejasne wspomnienie. Pewien pastor opowiadał jej kiedyś o imieniu Dag. Kryło się za tym więcej, niż przypuszczała. Zatrwożyła się. Przywiozła z sobą wiele, - bardzo wiele talarów, ale posiadać domy dla tylu ludzi było dla niej więcej niż bogactwem. Popatrzyła mocno na męża i odeszła, ale przy drzwiach zatrzymała się.

— Tak. Zbliży się Boże Narodzenie. W domu także urządzaliśmy uroczystość świąteczną, ale tutaj zapewne są inne zwyczaje?

— Tak, to możliwe. Czy Ane Hamarrbó już przyszła? Teresa nie знаła żadnej Ane Hamarrbó. Opuściła ją odwaga. Za dużo wszystkiego naraz.

— Poznasz Ane po jej wzroście. Jest wyższa od innych kobiet. Gdy przychodzi Ane, wtedy nadchodzą święta. Dopóki Ane nie przybędzie, nie wolno palcem ruszyć! O ile wszystko ma pójść dobrze — dodał z uśmiechem.

— Czy to niebezpieczna osoba?

— Nie... — odpowiedział z wahaniem. — Nie jest niebezpieczna, ale tutaj we dworze wszyscy jej słuchają. Jeszcze zanim ja się

n

urodziłem, Ane kierowała przygotowaniami do świąt Bożego Narodzenia. Robi to zresztą już od osiemdziesięciu lat.

— Od osiemdziesięciu lat? — zawołała Teresa. — To ona ma chyba ze sto lat!

— Taka stara chyba nie jest, ale dziewięćdziesiąt na pewno przekroczyła i cieszy się doskonałym zdrowiem.

— I ona ma tutaj rządzić? — głos Teresy brzmiał ostro.

• Dag popatrzył na nią.

— Uważają, że tak jest najlepiej.

— Dlaczego? — Teresa chciała wiedzieć. To wszystko wydawało jej się nader dziwne.

— Takie są stare obyczaje — wyjaśnił Dag z poważną miną. —

Należy na tyle rzeczy uważać, trzeba wszystko zacząć właściwego dnia. Wszystko, co żyje na ziemi i pod ziemią, musi być właściwie traktowane. W okresie świąt Bożego Narodzenia działają różne złe siły.

— Ależ to są przesady! — powiedziała przestraszona Teresa.

— Cóż my o tym wiemy? Pewnego razu, gdy Ane zachorowała i nie mogła przybyć, piwo przygotowane na święta skwaśniało. Świece nie chciały się palić, syczały i gasły. Działy się jeszcze inne rzeczy, których już nie pamiętam.

Teresa czuła się bezradna. Ale Dag tłumaczył jej, że znajdzie tutaj wiele rzeczy całkiem innych niż to, do czego była przyzwyczajona. Jeżeli pozwoli Ane w tym okresie zająć się wszystkimi sprawami gospodarstwa domowego, będzie mogła obserwować, a później przejąć je sama, kiedy Ane już nie będzie na świecie. Przyzwyczajonej do rozkazywania Teresie nie mogło się to podobać, ale musiała się przystosować. Wyszła z pokoju.

Przez chwilę Dag siedział zamyślony. Uśmiechnął się. Ostrzegł Teresę, żeby nie zadzierała z najniebezpieczniejszą osobą w osiedlu. Stare, dobre obyczaje nie zejdą wraz z Ane do grobu. Zna przecież swoją Teresę i wie, że weźmie sobie za punkt honoru postępować zawsze zgodnie ze starymi zwyczajami, dopilnuje też, aby wszystko odbywało się przynajmniej tak dobrze jak za życia

Ane.

To samo myślała Teresa, kiedy wchodziła do sieni po drodze do kuchni. W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe i do środka

U

weszła stara kobieta. Postać wysoka i koścista. Ane HamarrbO. Teresa poznała ją natychmiast

Przez krótką, naprężoną chwilę mierzyły się wzrokiem: stara, która w życiu tylu ludzi stanowiła potęgę, respektowaną w całym osiedlu i znała każde urodzone w nim dziecko, i która od czasu dłuższego, niż ktokolwiek mógłby pamiętać, organizowała wielkie uroczystości na Bjórndal — i nowa pani, która nie znała nikogo, ale która miała tutaj rządzić, być może, jeszcze wiele lat po śmierci Ane.

Ane stała w świetle kominka, tak że Teresa mogła widzieć wyraźnie część twarzy, nie zakrytej chustką. Twarz ta wyglądała jak zrobiona ze starej stwardniałej skóry. Była nieruchoma, tylko oczy świeciły niebiesko i przenikliwie w cieniu chustki. Teresa przyglądała się jej z ciekawością, lecz zaraz zauważyła, że sama też znajduje się pod baczłą obserwacją. Podeszła do Ane i podała jej rękę. Wyciągnęła się ku niej sucha, twarda i zimna od mroźnego powietrza dłoń.

— Nie wiem — odezwała się Teresa — czy jako nowo przybyła mogę powitać tu kogoś, kto od tak dawna mieszka w tym dworze.

Ane zdjęła chustkę z głowy i zaczęła ją powoli składać. Przez ten czas Teresa mogła się jej dobrze przyjrzeć — oglądała jej srebrne włosy jeszcze wciąż falujące, jej pokryte bruzdami czoło, długi, zakrzywiony nos, jej zasuszone usta bez warg i pomarszczone, jak gdyby pozszywane licznymi ściegami, stanowczy podbródek, wystający mocno do przodu, nie przegrodzony, choć z wyraźnym dołeczkiem.

Twarzy, tchnącej taką powagą i takim spokojem, Teresa nie widziała jeszcze u żadnej kobiety. Ane wciąż milczała, i Teresa zaczęła już podejrzewać, że jest głucha i niema...

Tymczasem Ane złożyła nareszcie chustkę i znów podniosła wzrok na Teresę. Przemówiła. Nie była'to odpowiedź na słowa Teresy, mówiła teraz to, co myślała.

— Widzę, że nie jesteś młodziutka.

Czegoś podobnego Teresa nigdy jeszcze nie słyszała. Nie wiedziała, czy się uśmiechnąć, czy też przyjąć te słowa z poważną "nną. Staruszka me zważała na jej zakłopotanie i mówiła, a ra-ezej myślała głośno dalej.

— Tak. Silna kobieta była tutaj bardzo potrzebna. Mówiono mi, że jesteś energiczna. Bij ich. Im to potrzebne, tym leniuchom! Teresie krew uderzyła do głowy. Więc już po drugiej stronie osiedla wiedziano o tym, że kilka razy straciła cierpliwość i nie poskapiła razów.

Staruszka myślała głośno dalej:

— Jeżeli wśród ludzi ma zapanować dawny porządek i ład, to musi rządzić ten, kto jest do rządzenia powołany. Mówiono mi, że dobrze karmisz ludzi, długo gotujesz mięso, nie dolewasz wody do zupy. Nikt ci za to nie będzie wdzięczny. Kto dobrze gotuje, ludzi sobie psuje. Dziewczyny wieczorami szyją u ciebie koszule dla siebie. Czyż nie mają wolnych wieczorów na Wielkanoc, Zielone Świątki i na Boże Narodzenie? Jeżeli chcesz, aby trudy twoje były owocne, musisz trzymać tych leniuchów stale przy wrzeczonie. Inaczej wygryzą cię z twego własnego domu, moje dziecko.

Przez całe swoje życie Teresa nie musiała słuchać tylu nauk.. Ale nie mogła się gniewać na Ane, dawała jej dobre rady; miała wrażenie, jak gdyby słuchała słów wypowiedzianych przez umarłych, słów słyszanych za czasów jej własnej babki, nie, chyba jeszcze dawniej, gdyż babka jej miałaby dopiero osiemdziesiąt lat. Doznawała czegoś niemal niesamowitego, słuchając głosu osoby, która żyła już dziesięć lat, zanim urodziła się jej własna babka. Ale nie słyszała jeszcze najważniejszego.

Ane Hamarrbó zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głowy i powiedziała:

— Jesteś już cztery miesiące lub więcej ipo ślubie, a wcale jeszcze nie zgrubiałaś w pasie. Jeżeli masz zostawić potomstwo, wykorzystaj czas, póki jesteś młoda. Wyobrażałam sobie, że da-pomogę jeszcze tutaj przy porodzie, zanim mnie pogrzebią; nie godzi się więc, abyś przespała czas na n-lczym.

Teresa nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby ktoś głośno mówił o takich sprawach; a jednak nie mogła się gniewać. Polubiła starą Ane. W jej twarzy było coś, co wzbudzało zaufanie, nie umiała jednak tego określić. — Czy nie chciałabyś się posilić czymś gorącym po tak długiej

jeździe na mrozie? — zapytała Teresa, aby zmienić temat rozmowy.  
— Zwykle częstują mnie zupą, ale ty tego nie mogłaś wiedzieć, więc też się nie odzywałam. Teresa czuła się zawstydzona, ale nie dała za wygraną.

— Nie. O tym nie wiedziałam. Ale może byś chciała skosztować czegoś, co obecnie piją ludzie w mieście? To się nazywa kawą i cudownie rozgrzewa w czasie mroźnej pogody.

— Słyszałam o tym — odparła Ane. — Podobno jest okropnie drogie.

— Tak, owszem... — Teresa przyznała. — Ale ja przywiozłam to ze sobą z domu.

— Tak, ludzie w mieście dogadzają sobie. Słyszałam o tym. Warto by chyba tego skosztować.

Teresa szła już do kuchni, ale naraz przypomniała sobie o wszystkich innych przybyłych kobietach. Zwróciła się więc do Ane zapytaniem, co należało im podać.

— Wilki znajdują sobie żer — odparła. — Same dbają o siebie, kiedy przychodzą i kiedy odchodzą.

Teresa zrozumiała, że nie ma obowiązku wobec innych kobiet, i poszła zaparzyć kawę.

Gdy wróciła, Ane nie było. Teresa zajrzała do sąsiedniej izby. Siedziała tam wygodnie jak osoba od dawna zadomowiona. Teresa przyniosła ciastka i filiżanki. Ane śledziła bacznie każdy jej ruch.

— Widzę, że umiesz zabrać się do rzeczy. Upiekłaś także ciastka dla mnie.

Teresa pomyślała sobie, co by było, gdyby Ane wiedziała, że Dag i ona mają co niedziela kawę z ciastkami.

Oto nadeszła chwila, kiedy Ane po raz pierwszy w życiu piła kawę. Nie wiadomo, czy z wrażenia, czy też dlatego, że miała już słabą, drżącą rękę — była to dhga ceremonia.

Kosztowała i doszukiwała się smaku raz i znowu, bardzo powoli.

— Wcale niezła i dobrze rozgrzewa — powiedziała. Ane nie mogła siedzieć bez końca nad swoją kawą. Jednak kawa z ciastkami, jako coś dla niej nowego, mocno ją intrygowała. Chciała bowiem wiedzieć o kawie jak najwięcej, również



\1^

w jaki sposób się ją przyrządza. Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat Ane Hamarrbó dowiedziała się o czymś nowym w sztuce kulinarnej, a pani na Bjórndal miała ją tego nauczyć.

Ane otrzymała obietnicę, że dostanie trochę kawy do domu, aby syn jej. stary Orn mógł również pokosztować.

Dzięki temu Teresa zyskała sobie potężnego sprzymierzeńca i dziękowała Bogu całe życie za to, że nie okazała Ane żadnego niezadowolenia z powodu jej bezpośredniej, nie przebiegającej w niczym mowy.

Dopiero gdy wyszła do izby sypialnej, Teresa zrozumiała, kogo jej Ane przypominała. Przypominała jej Daga. Powiedziała mu to. Spojrzał na nią zdziwiony.

— Ależ ty masz bystre oko — powiedział śmiejąc się — trzeba się mieć na baczności przed tobą. Nie zrozumiała go.

— Masz rację. Mówią, że Ane jest ciotką mojego ojca, choć o tym nie trzeba za dużo opowiadać.

— Czy ona o tym wie?

— Na pewno. Ane wie wszystko o wszystkich z tak dawnych czasów, że nie sposób zrozumieć, jak ktoś może tyle spamiętać. Była obecna przy przyjściu na świat każdego dziecka, była przy każdym chorym, przy każdym łożu śmierci w okolicy, a przy takich okazjach wiele sobie ludzie opowiadają.

— Czy nie mogłabym z nią jakoś porozmawiać i nakłonić do tego, aby mi opowiedziała o tych rzeczach?

— Ona sama o tym zadecyduje. Jeżeli cię nie lubi, nie powie ci ani słowa. Będzie mówiła tylko „tak” i „nie”. Jeżeli cię polubi, miej się na baczności, bo ona używa różnych słów. Później, jeżeli będziesz jej ulegać, nabierze zaufania do ciebie i wtedy <xj czasu do czasu coś ci opowie. Nie każdemu i nie co dzień opowiada o tym, co wie.

Nadeszły święta. Rządziła Ane Hamarrbó. Od wczesnego ranka do ciemnej nocy ubijano zwierzynę i warzono, pieczono, szorowano i prano, jak gdyby nadchodził koniec świata. Święta obchodzono wówczas przez wiele, wiele dni i kobietom nie wolno było w tym czasie pracować, o ile nie chciały sprowadzić na siebie nieszczęścia.

Kobiety z osiedla i dziewczki folwarczne szły do pracy szeregami jak żołnierze. Parobcy zabijali niezbędne bydło i drób, przynosili wodę i drzewo, pomagali przy cięższych robotach. Nikt nie odważył się szemrać. Ane nie traciła słów na próżno. Orzy jej były wszędzie, palące i przenikliwe, jej kościste palce groziły. Więcej nie trzeba było. Miało się wrażenie, że koścista jej postać posiada jakąś magiczną władzę nad ludźmi. Kto chciał się narazić na wstyd urodzenia dziecka bez pomocnej obecności Ane Hamarrbó? Kto miał człowieka uleczyć lub bydło uzdrowić? Czyż można więc być w złych stosunkach z Ane?

Dawno, dawno temu znalazł się ktoś, kto się sprzeciwił Ane. Nie zdarzyło się to już nigdy więcej.

Teresa robiła to, co i wszyscy. Słuchała Ane i dziękowała Bogu za to, że postąpiła tak mądrze. Jakże by dała sobie radę z tym wszystkim bez Ane Hamarrbó? Stałaby się pośmiewiskiem dla całej okolicy, także dla Daga.

W swojej izbie sypialnej zapisywała dokładnie co do dnia i godziny wszystko, co się teraz działo. Po babce swojej Teresa odziedziczyła starą książkę; na pierwszej stronie było napisane wielkimi, niezdatnymi literami: „Pieczenie, zaprawy, ekstrakty”.

W książce były jeszcze żółte, nie zapisane kartki — tam Teresa pilnie notowała to, czego się nauczyła.

Zdarzało się czasami, że nie zgadzała się z Ane. W niektórych rzeczach znała lepsze sposoby, ale milczała. Pamiętała słowa Ane: „Musi rządzić ten, kto jest do rządzenia powołany”.

W czasie wszystkich posiłków Ane zjawiała się w izbie i jadła razem z Dagem, Teresą i Dorotą.

Pewnego dnia powiedziała do Teresy:

— Palisz światło w swojej izbie aż do północy. Czy boisz się ciemności?

Teresa wiedziała, że niepotrzebne palenie świecy było wielkim grzechem, i tłumaczyła się tym, że zapisuje do książki wszystko, czego się teraz uczy w sprawie przygotowań świątecznych. Ane siedziała ze wzrokiem utkwionym przed siebie i długo nic nie mówiła. Teresę zdjął śmiertelny strach. Może jej się coś nie podobało?

Wreszcie Ane przemówiła:

•— Umiesz więc również pisać?

— Tak.

Następnie Ane zauważyła:

— Ten musi zapisywać, kto ma złą pamięć.

Teresa pomyślała sobie, że raz przecież będzie mogła próbować zmienić sąd Ane. Dlatego wyjaśniła jej, że nie pisze wyłącznie dla siebie, bo nadejdzie dzień, kiedy nie stanie ani Ane, ani jej. Wtedy może przyjdzie nowa pani i będzie z chęcią czytała z notatek Teresy, jak to Ane Hamarrbó przygotowywała święta gwiazdkowe.

— Myśli twoje sięgają daleko — powiedziała stara. Patrzyła przed siebie swymi niebieskimi oczami.

Po chwili nadszedł Dag. Gdy zjedli, Ane podniosła się i powiedziała do niego:

— Masz więcej rozumu w kwestii małżeństwa niż wielu z twoich krewnych.

Daga zmieszało to trochę, ale zrozumiał i spojrzał ukradkiem na Teresę. Oczy ich spotkały się rozbawione.

Gdy święta Bożego Narodzenia nadeszły, praca dla kobiet z osiedla skończyła się. Wróciły do domu, niosąc ze sobą reszki mięsa pozostałego z uboju. Ostatnie dni pracowały już tylko te kobiety, które na stałe należały do dworu. Ane miała pozostać do ranka wigilijnego. Na Hamarrbó jest dosyć rąk do pracy — mówiła. Teresa me wątpiła, że ręce te pracowały tak, jak je tego nauczyła Ane.

XIJ

Ieresa, a jeszcze bardziej panna Dorota, dziwiły się, że od czasu, gdy mieszkały w Bjórndal, nikt jeszcze nigdy nie pojechał do kościoła. Pewnego wieczoru, trzy dni przed Bożym Narodzeniem, Teresa spotkawszy w przedsionku Daga, zapytała:

— Pojedziemy chyba na pasterkę do kościoła? Na ręce miała zimową odzież, którą wyjęła do wywietrzenia.

80

Twarz Daga stała się nagle tak nieruchoma, a wzrok tak twardy, że Teresa przeraziła się. Głos jego brzmiał obco i ochryple, gdy po długiej chwili milczenia odrzekł, że Biblię i wszelkie tego rodzaju rzeczy mają w domu. Teresa czuła, że za słowami Daga coś się kryło, Dag nie był bezbożnikiem. Wiedziała to. Dlaczego więc nie chciał iść do kościoła?

— Ani Dorota, ani ja nie byliśmy jeszcze tutaj w kościele. Cieszyliśmy się, że będziemy na pasterce — powiedziała cicho.

Dag odwrócił się od niej i usiadł przy kominku. Oparł głowę na pięściach, które zaciskały się aż do białości.

— Nie ma u nas zwyczaju jeżdżenia na pasterkę. Teresa dobrze rozumiała, że najchętniej nie mówiłby więcej o tym. Choć sama była nieustraszona, nie chciała, znając jego charakter, sprzeciwić mu się w niczym. Teraz jednak czuła, że musi go trochę nawrócić.

— Dlaczego nie ma u was tego zwyczaju?

Dag siedział bez ruchu. Nie przypuszczał, że nadejdzie taka chwila. Mógł coś wymyślić, ale Teresa nie da się zbyć byle czym. Dla niej i dla Doroty była to sprawa poważna. W ostateczności mógłby pozwolić im pojechać, a sam zostać w domu. Ale nie miałby żadnego słusznego powodu odmowy, chyba że opowiedziałby o starej historii ze zbroją, ale o tym Teresa nie powinna wiedzieć, a już najmniej Dorota.

Można było wątpić, czy taki człowiek jak Dag mógł w ciągu kilkumiesięcznego okresu, jaki Teresa i Dorota spędziły na Bjórndał, poznać i zrozumieć umysły dwóch kobiet pochodzących z całkiem innego świata. Był jednak spostrzegawczy, w sprawach wielkiej czy małej wagi umiał zorientować się z wyrazu ich twarzy, tonu głosu i gestów, co już na Bjórndał widziały i słyszały i co o tym myślały.

Owszem, poznał je. Ale poznać, nie oznacza jeszcze chcieć naśladować, Dag zaś nie należał do tych, którzy dobrowolnie przystosowują się do nowych form życia. Siedząc przy kominku myślał i zastanawiał się. Przeraziłyby się, gdyby im opowiedział o buncie przeciwko kościołowi, datującym się od z górą stu lat. Nie mógł także opowiadać o ciągłych zatargach pomiędzy ludźmi z osiedla a mieszkańcami otwartej równiny. Wzbudziłoby to w nich nowe uczucie strachu, a dosyć się już bały starej zbroi

81

• A lasy wiecznie  
śpiewają

pod pułapem i wielu innych rzeczy, które widziały lub o których słyszały. Nie należało przerażać ich jeszcze więcej. Ciężkie to były dla niego chwile, gdy musiał wyjaśnić im to i owo, ale z tej sytuacji nie widział już żadnego wyjścia. Do kościoła nie .pojedzie — powodów nie brakowało.

Nagle podniósł głowę, jak gdyby nasłuchiwał. Niezwykłe wydarzenia ostatnich kilku miesięcy przesłoniły ową walkę wewnętrzną, jaką stoczył wczesną wiosną ze sobą, aby rozprawić się z Bogiem. Odtąd osiągnął pełniejsze życie; sądził przy tym, że w takich chwilach Bóg jest skłonny trochę ustąpić; teraz wszakże zdał sobie sprawę z czegoś, czego przedtem nigdy jasno nie pojmował: kościół jest domem Bożym. Bóg miał słuszne powody ku temu, by tak srogo doświadczyć jego rodzinę. Wtedy nie myślał w ogóle o tym, by chodzić do kościoła. Słowa Teresy wydały mu się ostrzeżeniem od samego Boga.

Owego wieczoru w starej komnacie przeczytał coś, czego nie mógł objąć swoim rozumem. Teraz dopiero to .pojął: występowanie przeciw sługom Bożym jest ciężkim grzechem. Bóg pokazał mu to dziś niedwuznacznie. A jednak Pan był dla niego haidzo surowy, jeśli jeszcze tego wymagał. Jak mógł spojrzeć w oczy ludziom w kościele? Bo przecież wszyscy wiedzieli, jak jego rodzina ustosunkowała się do tej sprawy. Poza tym po raz pierwszy od owego zdarzenia w Bóhle miał spotkać się z mieszkańcami otwartej równiny. Mogło to nosić pozory przeprosin nie tylko w stosunku do Boga, ale i do ludzi. Jakże się będą złośliwie uśmiechali, gdy zobaczą, że ci dumni i sztywni Bjórndalowie w końcu ulegli i okazali się zwykłymi, przeciętnym ludźmi, I co na takie zrywanie z tradycją powie Ane Hamarrbó?

Była to prawdziwa, ciężka kara. Ale Dag miał teraz szacunek dla Boga. Widział w swym małżeństwie wolę Bożą. Stanowiło ono zarówno pomstę, jak i rehabilitację dla niego i jego rodu. Jeżeli teraz będzie się buntował, sprowadzi na siebie i na swoich klęskę i nieszczęście. Nie było innej drogi — musiał iść do kościoła, nawet gdyby na całe życie miał się okryć wstydem. Bo Pan jest zazdrosnym Bogiem — tak napisane jest w Biblii.

Dag podniósł głowę tak ciężko, jak gdyby czynił to po raz ostatni w życiu, i powiedział suchym, bezdźwięcznym głosem:

•— Tym razem... pojedziemy.

Bez jakichkolwiek wyjaśnień wstał i poszedł do izby sypialnej. Teresa patrzyła za nim zadumana.

Tej nocy Dag długo nie mógł zasnąć. Ugiął się już raz przed Bogiem — ale w cztery oczy. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się w jego rodzinie, żeby ktoś się ugiął na oczach wszystkich. Bolało go to bardziej aniżeli najgłębsza rana.

Następnego ranka pierwszy raz od ożenku przypiął znów narty i podążył po świeżym śniegu do lasu. Jak bywało dawniej, również i teraz las podniósł go na duchu.

Gdy późnym wieczorem powrócił do domu, nie czuł już żadnego ciężaru — był swobodny i pewny siebie jak za życia brata. Dookoła ust rysował się jak gdyby uśmiech, twarda twarz wyrażała spokój mocy. Przywołał starszego parobka i powiedział mu parę słów. Parobek szybko zaprzęgnął konia i wyjechał przez osiedle wprost do Hamarrbó. Przystawał przy każdej zagrodzie, gdzie były konie, i rzucał kilka słów. Powróciwszy do domu, udał się do drwalni, zabierając ze sobą jeszcze dwóch ludzi. Aż do późnej nocy (upali drzewo na łuczywo.

W czasie posiłku Dag powiedział do Ane.

— Pojedziemy do kościoła na pasterkę.

— Dawno to już czułam — odparła krótko. Co przy tym myślała, tego z jej kościstej twarzy nie sposób było wyczytać.

Nadeszła pora wieczery wigilijnej. Wszyscy ludzie z dworu i majątku zebrali się w starej komnacie. Świeca Trzech Króli paliła się pośrodku długiego stołu, a dwie świece woskowe stały po obu stronach Biblii, która leżała otwarta przed miejscem Daga. Dag i Teresa siedzieli w dwóch wielkich fotelach, ustawionych w połowie długości stołu, zaś wszyscy pozostali siedzieli dokoła w głębokim uroczystym milczeniu. Dorota miała wrażenie, że znajd- -Je się w kościele, gdy Dag czytał Pismo zwinie. Teresa niejedno wydawało się dziwne we dworze, szczególnie nie mogła pogodzić się z obecną rolą Daga. Ale najbardziej niezrozumiałe było to, że przestrzegali pobożnego zwyczaju, który jak słyszała, miał bardzo starą tradycję, a mimo to nigdy nie chodzili do kościoła, chyba że byli do tego zmuszeni.

Po wieczery Dorota grała kolędy na szpinecie. Śliczne, delikatne tony brzmiały tak nieziemsko pięknie, że nikt nie ważył się wchodzić do izby w chwili, kiedy grała. Również trochę śpie-

wała. Jakąś dziwną moc miała pieśń w tych izbach. Melodie te zapowiadały nowe życie, a dźwięki muzyki drgały niby światło gwiazdy w ponurych ciemnościach nocy.

Wszyscy udali się wcześniej na spoczynek, ponieważ mieli wyruszyć na długo przed świtem.

Była jeszcze czarna noc, gdy wstali. Dookoła kominka w sieni były rozwieszona futra i pledy, aby się nagrzały. W powietrzu unosił się ostry zapach starych skrzyń i ziół używanych do odstraszenia moli, a także zapach tłących się włosów, na futra oo-wiem spadały czasami strzelające z kominka iskry. Dag mruczał, należało bowiem kłaść do kominka tylko sosnowe lub brzozowe drzewo; wtedy nie byłoby pryskających iskier.

Z podwórza dochodziły odgłosy żywej krzątany, słychać było stąpanie koni i dźwięczenie dzwoneczków. Wszyscy wyszli w ciemną zimową noc. Teresa i Dorota zostały otulone w skóry niedźwiedzie, a nogi ich wpakowano do trzymających ciepło worków. Dag siadł wysoko z tyłu i wziął do rąk lejce. Za nimi uszykowały się jeszcze trzy pary sań z co ważniejszymi domownikami. Wszyscy trzymali sosnowe łuczywa zapalone przy ognisku w sieni. Ter<sup>a</sup> i Dorota miały również pochodnie, każda swoją. Zabrano też ze sobą zapas, aby zastąpić te, które się wypalą. Siostry nie zdążyły się jeszcze dobrze usadowić, gdy sanie ostro ruszyły z miejsca. Szybko sunęły po śniegu, zostawiając za sobą smugi dymu. W osiedlu migotały wszędzie palące się łuczywa; z oddali dobiegał słaby dźwięk dzwoneczków u sań. Im dalej jechali, tym więcej spotykali sań i coraz wyraźniej śpiewały dzwoneczki.

Na Hamarrbó czekały jeszcze dwie pary sań. Wsunęły się za ich sanie i Teresa oczom swoim nie wierzyła, gdy zobaczyła spiczastą twarz Ane, wychylającą się spośród futer. Dziwne. Ci z Hamarrbó także nie zważali na dawne obyczaje, i nawet Ane jechała do kościoła! Później Teresa zorientowała się; w osiedla istniało tylko jedno prawo — wola pana na Bjórndal. Siary czy młody, kto tam rządził, miał posłuch. Teresa zauważyła dalej, że słowa starej Ane nie były częścią gadaniną. Miała swoje zasady i była konsekwentna. Powiedziała, że ten rządzi, kto jest do tego powołany. Gdy Dag rozgłosił, że pragnie jechać do kościoła ze swiątą, z Hamarrbó pośpieszyli bez wahania.

Spokojnie i pewnie jechano pod górę na leśne stoki. Było teraz mnóstwo sań i głos dzwonek rozbrzmiewał dokoła.

Panna Dorota przytuliła się do swej silnej siostry i patrzyła na gwiazdy na niebie, które jak gdyby nieustannie sunęły razem z nimi. Pamiętała niejedną radosną jazdę do kościoła z uroczystości minionych lat, ale takiej nie przeżywała jeszcze nigdy. Oparła głowę na ramieniu siostry i spod przymkniętych powiek śledziła procesję gwiazd, podczas gdy głos dzwonek to podnosił się, to opadał lub brzmiał melodią pieśni.

Naraz spokój się skończył. Dag mocno chwycił za lejce, krzyknął na konia i zjechali błyskawicznie w dół ku nizinom, wzniecając tumany śniegu i sypiąc za sobą deszcz iskier. Wyjechali z lasu i Dag dostrzegł w oddali dwór w Borgland. Paliło się tam wiele pochodni, prawdopodobnie sanie wjeżdżały już w szeroką aleję. Oczy Daga zabłyśły dziecięcą radością. Zgodnie z tradycją nie wolno było nikomu wjeżdżać na drogę wiodącą do kościoła, dopóki sanie z Borg'and nie przejechały pierwsze. W tych czasach szlachta i oficerowie byli wszystkim i nadawali piętno świetności i przywilejów królewskich okolicom, które zamieszkiwali.

Od lasu do zjazdu aleją na drogę było daleko. Dag postanowił osiągnąć zbieg alei i drogi, zanim dojadą tam sanie z Borgland. Aby ten wyczyn się udał, trzeba było niezmiernego wysiłku, ale Dag był człowiekiem szybkich decyzji. Czarny koń pomknął w szalonym galopie, zanim dźwięk dzwonek i rozplomienione pochodnie zdążyły spłynąć na aleję z podwórza borglandzkiego. Na alei ci z Borgland musieli najpierw ochłonąć ze zdumienia, bo przecież było rzeczą niesłychaną, aby ludzie z lasów północnych uczestniczyli w jeździe do kościoła parafii.

Ludzie z najbliższych zagród obserwowali tę straszliwą jazdę, o której opowiadano sobie później jeszcze przez szereg pikoleń. Czegoś podobnego, jak te dwie rzeki sań płynące w ciemność w blasku rozpalonych pochodni i odgłosie rozspiewanych dzwonek — jedna z północy, druga z zachodu — jeszcze nigdy nie widziano. Był to wyścig szaleńców. Niech Bóg dopomoże ludziom i koniom, jeśli obie te rzeki wpadną na siebie.

Panna Dorota przytuliła się do siostry. Teresa krzyczała z całych sił, żeby Dag zwolnił. Lecz Dag stał za nimi w swej kurcie



z wilczej skóry, niewzruszony, z twarzą jak gdyby wykutą z kamienia i niebezpiecznym uśmiechem w rozpalonym wzroku. Zbliżali się coraz bardziej, zdawało się, że ani siła boska, ani ludzka, nie będą mogły przeszkodzić zderzeniu się sań na rozwidleniu

dróg.

Znowu rozległa się krótka komenda. Kary koń Daga rzucił się naprzód — kopyta jego niemal nie dotykały ziemi. Gdy pierwsze sanie z Borgland były już na szosie, minęły je w szalonym tempie sanie z Bjórndal. Bułany z Hamarrbó .pozostawały nieco w tyle za koniem Daga. Ale konie z Borgland wjechały zaraz, wbrew dobrem, uświęconym tradycją zwyczajom, pomiędzy sanie bjórndalskie. Słysząc było ostre głosy męskie, krzyki kobiet, trzask sań najeżdżających na siebie. Dag nie zwrócił na to uwagi. Jechał dalej, wzbijając tumany śniegu.

Tuż za sobą usłyszał sapanie zbliżających się koni. Uświadomił sobie, jak ciężkiego podjął się zadania. Wojskowe konie z Borgland były niebezpiecznym przeciwnikiem, zaś koń Daga miał już za sobą daleką drogę z Bjórndal, przy czym dużą jej część przebył w galopie. Droga została na Boże Narodzenie świeżo oczyszczona. Była, co prawda, wąska, ale dwie pary sań mogły się na niej zmieścić. Nie mógł też zatrzymywać tamtych, gdyby chcieli wyjść do przodu. Nie miałby na to usprawiedliwienia. W tym samym momencie usłyszał za sobą rozkazujący głos:

— Z drogi, człowieku!

Dag wyobraził sobie, że musiał to być sam kapitan. Zjechał na bok. Mógł popędzić swego konia, ale uważał, że należało oszczędzać sił. Droga do kościoła była jeszcze daleka. Tuż obok Daga ukazał się łeb gniadego konia. Po budowie czaszki Dag poznał, że był to bardzo groźny przeciwnik. Blask płonącego łuczywa, trzymanego przez Teresę, wyraźnie przeszkadzał koniowi.

— Precz z łuczywem tam z lewej! — zawołał kapitan i Teresa spieszenie rzuciła je w śnieg. Koń z Borgland biegi teraz coraz żywiej naprzód. Dwoje ludzi, siedzących na przedzie, odwróciło się do Daga. Patrzyli na niego z wściekłością i oburzeniem. Tak, był to kapitan i jego żona, o której mówiono, że jest „zła”. Dag już ich nieraz spotykał na drodze. Jechali teraz obok i Dag rzucił okiem na tego, który trzymał lejce. Był to przystojny człowiek o ostrym, orlim profilu, prawdopodobnie jakiś

porucznik. Łuczywo kapitanowej otarło się z sykiem o futro Teresy. Po raz pierwszy rozległ się na równinie rozkazujący głos Bjórndala. — Precz z łuczywem tam na prawo! — grzmiał Dag, a kapi-tanowa rozdrażniona rzuciła łuczywo. Mimo woli oboje, dama i jej mąż, odwrócili głowy, patrząc na siebie oniemiała ze zdumienia. Na jaki to sposób przemawiania pozwala sobie taki prosty człowiek? I co za niezwykła siła w tym głosie!

Było to dopiero pierwsze spotkanie państwa von Gali na Borgland z Dagiem Bjórndalem. Miało dojść między nimi jeszcze do dwu ważnych spotkań, ale o tym wówczas nie wiedzieli.

Jedne obok drugich, sanie sunęły dalej. Teresa skuliła się trwożliwie, kiedy ostre uderzenia kopyt tamtego konia dzwoniły niemal przy jej głowie. Ale teraz miała sanie i ludzi obok siebie. Wyprostowała się i nadała swej twarzy wyraz godności i dumy. Możliwe, że zła pani von Gali na Borgland i Teresa Bjórndal wykorzystały ten czas, aby kilku szybkimi spojrzeniami przypatrzeć się sobie nawzajem — nawet przy tym szalonym, zapierającym dech tempie jazdy.

Człowiek powożący saniami z Borgland naraz wykonał szybki manewr. Koń jego wyskoczył nagle do przodu, wyprzedzając konia Daga o całą długość. Pędził teraz przed siebie w tempie szalonego galopu, a równocześnie napierał na karego konia Daga, spychając w ten sposób jego sanie na zasypany śniegiem skraj drogi. Tak to sanie z Borgland były, jak zresztą zawsze, pierwsze na drodze do kościoła na pasterkę.

Ale za nimi, jak nieodstępny cień, pędził kary koń z Bjórndal. W tyle na saniach stał teraz całkowicie wyprostowany olbrzymi mężczyzna w kurcie z wilczej skóry. Oczy Daga nie były już wesole — były zimne jak stal. W saniach znajdował się bal. Dag rzadko go używał, wydobył go jednak teraz.

Odsunął się z wolna od drugich sań. Znajdowali się na szczycie wzgórza opodal Voll, skąd można już było dostrzec kościół niby maleńkie światełko, zagubione w ciemności. Stąd droga biegła już bez żadnych zakrętów wprost do kościoła.

— Wolna droga! — zagrzmiał Dag, popuszczając cugle. Jednak sanie przed nim jechały samym środkiem drogi, uniemożliwiając przejazd. Zawsze panowie na Borgland jechali na

czele sań udających się na pasterkę — byli zawsze panami tych okolic i ich szlachecką ozdobą. A teraz przybywał ten człowiek z lasu i nakazywał im zejść z drogi. Sanie z Borgiand uparcie i niewzruszenie trzymały się środka drogi.

Dag znał doskonale swojego konia. Podczas wielu przejazdów do miasta w okresie ostatnich kilku miesięcy niejednokrotnie rozpędzali się, nabierając wcale przyzwoitego tempa. Znał go też jak samego siebie i wiedział, że po chwilowej uldze, na którą mu pozwolił, koń był znowu w doskonałej kondycji. Gdyby mógł teraz wyjść do przodu, pokazałby im, jak się jeździ! Ale droga uciekała, a kościół był już niedaleko. Uczciwie ich wyminąć było niemożliwe, a jak dokonać tego siłą? Bo on musiał ich minąć, musiał! Postanowił to sobie! Musi przyjechać pierwszy i pokazać, że nie tylko zmienia obyczaje w Bjórndał, ale także i na równinie, wierny tradycji swoich przodków i własnym obyczajom. W ten sposób, rozumował, ludziom odechce się złośliwie uśmiechać. Gdyby teraz dał za wygraną, mówiono by o tym w całej parafii na jego wieczny wstyd i znów wszędzie spotykałby się ze złośliwymi uśmiezkami. Ale jak ich wyminąć?

Już wiedział. Jak dobrze, że tak doskonale pamiętał tę drogę. Bo nawet w migotliwym świetle pochodni orientował się, gdzie się znajduje. Owszem, ryzykował życie, ale tu chodziło o coś ważniejszego niż życie. On musi wyprzedzić tamte sanie! Nieco dalej ziemia na skraju drogi opadała stromymi zboczami w dół i w tym miejscu pług na pewno zepchnął śnieg i poza krawędzie, tak że żadne zapory śnieżne nie zatrzymałyby tam jego sań.

Owinął dwukrotnie lejce dookoła lewej ręki. Teraz oto zbliżał się ten odcinek drogi. Bat świsnął w powietrzu, jedno, jedyne uderzenie — i czarny koń jak strzała pomknął skrajem drogi tuż nad przepaścią. W ostatniej chwili Dag popędził jeszcze raz swego konia, który zaraz wyprzedził tamtego. W momencie mijania von Gallów, sanie Daga zawisły na sekundę niemal całą połową nad czarną czeluścią, ale wszystko działo się z tak błyskawiczną szybkością, że nikt nie miał nawet czasu krzyknąć. Kiedy potem sanie Bjórndałów sunęły po drodze z niedoścignioną wprost szybkością, zimny strach ogarnął tak Teresę i Dorotę, jak i samych von Gallów. Dokonano niesłychanie zuchwałego wyczynu, o którym nie można było pomyśleć bez uczucia zgrozy.

SS

Gdy zajechały sanie z Borgiand, Dag już stał spokojnie wycierając swego konia. Spotkało go śmiertelnie nienawistne spojrzenie, lecz Dag z niebezpiecznym błyskiem w oczach starannie i z niewzruszonym spokojem ścierał pianę ze swojego konia. „Takim sposobem — myślał sobie w duchu — zarówno Bóg jak i ci z równiny otrzymają każdy to, co mu się należy”. Ale ni? przyszło mu w ogóle na myśl, że nawet w kajaniu się przed Bogiem nie popuścił nic ze swej dumy.

Powoli nadjechały pozostałe sanie i wypełniły wolną przestrzeń przed kościołem. Dag oddał swego konia pod opiekę starszego parobka i spokojnym, pewnym krokiem wszedł wraz z Teresą i Dorotą do kościoła. Krótki wyścig ze śmiercią nie pozostawił żadnych śladów na jego surowej twarzy. Za nimi szli ludzie z Hamarrbó i wszyscy inni. Tak wielu było pobożnych, niezwykajnych kościoła, że ostatni z trudem mogli się pomieścić.

Zaszły jeszcze dwa niesłychane zdarzenia. Po pierwsze — rzecz niewiarygodna! — pani von Gali, siedząca w stallach panów borglandzkich, odwróciwszy się do połowy, rzuciła szybkie spojrzenie w stronę, gdzie siedział Dag Bjórndal. Może chciała sobie utrwalić w pamięci twarz człowieka, który na chwilę zmusił ją do posłuszeństwa? Nie leżało w jej naturze kogokolwiek słuchać! Drugie zdarzenie: pastor, pan Diderich, człowiek już stary, podszedł później do sań z Bjórndal i podał całej trójce rękę na pożegnanie, tak ja państwu na Borgiand. W puszcze ofiarnej znalazł dzisiaj ciężką, złotą monetę. Wielka suma pieniędzy w jednej, jedynej monecie. Rzecz taka zdarzyła się po raz pierwszy za jego czasów, po raz pierwszy też ci na Bjórndal przybyli do kościoła bez koniecznej potrzeby, a przy tym z tak wielką świtą. Na pewno między jedną rzeczą a drugą zachodził jakiś związek.

### XIII

W raz z Teresą i Dorotą przybyło do Bjórndal wiele dobrze załadowanych wozów. Nie pozostawiły nic. Zabrały to wszystko, co dom ich dzieciństwa

uczyniło jednym z najbogatszych domów w mieście. Przywiozły nawet ze sobą wino i koniaki, które stały nie naruszone w piwnicach, w butelkach i beczułkach, od czasu śmierci ich ojca. Lecz w Bjórndal poszło wszystko inaczej, niż sobie to wyobrażała Teresa. Dom w Bjórndal by) już całkowicie umeblowany i wszystko, co nadeszło z miasta, zostało umieszczone w spichrzach i na strychach. Z początku Teresa bardzo się tym martwiła, ale nie śmiała głośno o tym mówić.

Tego samego dnia, w którym Teresa przybyła do Bjórndal, przywieziono też ostatnią partię jej ruchomości, tym razem dwie skrzynie. Mniejszą wniesiono do izby przeznaczonej dla Doroty; większą, którą musiało dźwigać kilku ludzi, ustawiono w dużej izbie sypialnej, gdzie stały łóżka obojga małżonków. Dag ledwie spojrzał na skrzynię i nigdy nie zapytał, co się w niej znajduje. Stała pod ścianą. Była okuta tak dokładnie, że wydawała się cała z żelaza. Miała trzy bardzo solidne zamki, a na przedzie figurowało nazwisko Holder i anno...

Szpinel panny Doroty umieszczono w jednej z izb środkowych, w je.1 izbie zaś wszystko to, czego sobie życzyła. Urządziła aie całkowicie według swego gustu.

Niejednokrotnie już Teresa zamierzała pomówić z Dagiem, czy nie dałoby się usunąć niektórych sprzętów, a na ich miejsce wstawić jej własnych mebli. Ale z czasem przekonała się, że na Bjórndal było niezmiernie trudno przeprowadzić jakieś zmiany. Wszystko musiało zostać po dawnemu. Nie odważyłaby się odzywać w tej sprawie.

Z czasem zrozumiała też, że wszystkie sprzęty bjoendalskie doskonale pasowały do izb, w których się znajdowały. Od czasu do czasu jednak smuciła się trochę, że nie mogła widzieć koło siebie na co dzień swych dawnych, ulubionych przedmiotów.

Wina i koniak ustawiono starannie w najciemniejszej piwnicy. Nigdy nie przyjeżdżali tu ani goście, ani podróżni. Pobudzających napojów, pochodzących z piwnicy Holderów, nigdy nie przynoszono na górę gwoli rozweselenia tych, którzy mieszkali w tym pełnym surowej powagi domu. Chyba też stąd pochodził ów dziwny nastrój, który jej się udzielał, ale dni miała tak zajęte, że na smutki i melancholię niewiele pozostawało czasu.

Posiadała wszystkie umiejętności potrzebne do prowadzenia

gospodarstwa. Najstarsze niewiasty musiały jej opowiadać o pracach wyznaczonych kobietom z dworu. Raz po raz jechała też do Ane Hamarrbó i na wszystko miała zawsze otwarte oczy i uszy. Kto się chce uczyć, ten zawsze znajdzie sposobność, a Teresa nigdy żadnej nie zaniechała. Kobiety na folwarku mówiły, że Teresa była wszędzie: w kuchni, w spiżarni, w spichrzu, w stajni, w oborze, w chlewie, wszędzie jednocześnie! Wieczorami zaś kręciły się kołowrotki i czółenka chodziły tam i z powrotem — jak za dawnych dni.

Życie Teresy nabrało jeszcze innej treści. Minęła zima. Ożywcze tchnienie wiosny ogarnęło wzgórze — a wiosna sprawiała wielkie przemiany w dolinie bjórndalskiej, schowanej między osłaniającymi ją lasami. Dla Teresy zaś ta wiosna znaczyła wiele więcej niż wszelkie inne, które już minęły.

Pewnego dnia kazała się zawieźć do starej Ane, z którą pragnęła pomówić w cztery oczy. Kiedy od niej wychodziła, Ane wbrew swoim zwyczajom odprowadziła ją aż przed dom, przy czym ręce trzęsły się jej bardziej niż kiedykolwiek. Również oczy jej patrzyły cieplej niż zwykle. Gdy Teresa odjechała, Anr długo jeszcze patrzyła za nią, czy tylko bezpiecznie zjedzie ze wzgórza. Poza samą Teresą Ane była jedyną osobą, która wiedziała, że w jesieni na Bjórndal miało urodzić się dziecko. Jeszcze nigdy Ane nie czuła się tak pewna, kiedy chodziło o zabezpieczenie przyszłości jej świata, jak teraz.

Za czasów starej pani na Bjórndal, matki Daga, Ane zapraszano z konieczności w porze świąt gwiazdkowych, do porodul i w wypadku choroby, ale we wszelkich innych sprawach zupełnie ją ignorowano.

Za czasów młodej pani, żony Torego, nic się w tym względzie nie zmieniło. Żadna z nich nie pokazała się nigdy w Hamarrbó. Wołały się obywać bez jej rady i nie czuć na sobie wzroku, który śledził wszystko, co tylko czyniły.

A potem przybyła nowa pani — z pieniędzmi, władczą, łatwo rozdzielająca policzki. Ane sądziła, że nadszedł kres jej starych, z dumą wypełnianych obowiązków i że zostanie zlekceważona i zdana na samotność pustej, czczej starości. Niemniej przecież udała się na okres świąteczny do Bjórndal, przygotowana jednak na to, że spotka się z nowymi metodami, przywiezionymi z wiel-

kiego miasta i że — gdy przybędzie — nikt nie pokwapi się, aby ją powitać. Ale postanowiła sobie, że wejdzie, a potem wyjdzie z podniesioną głową i że ta kobieta z miasta będzie musiała wysłuchać trochę gorzkiej prawdy. W rzeczywistości jednak stało się zupełnie inaczej. Poprzednie panie na Bjórndał nigdy nie zachodziły do kuchni w okresie przygotowań świątecznych, tymczasem Teresa przychodziła i bez słowa przyłączała się do pracy, wieczorami zaś przesiadywała do późna, aby zapisywać słowa, które w jej księdze pozostaną na zawsze. Rankiem w dzień wigilijny Ane otrzymała podziękowania — chyba po raz pierwszy w życiu. Ale nie tylko to; dostała również piękny prezent. Była to chustka z białego jedwabiu, na którym panna Dorota wyszyła własnoręcznie piękne, rozkwitłe róże. Tę chustkę można było tylko schować, zbyt śliczna była, aby jej używać. Nigdy jeszcze Ane nie posiadała jedwabnej materii, toteż doznawała wielkiej radości za każdym razem, kiedy jej dotykała.

Jedwab tak cicho i miękko szeleścił pod jej stwardniałą ręką. Potem Teresa wielokroć przyjeżdżała do Hamarrbó, aby zasięgnąć rady Ane. Teraz zaś przybyła z ważną nowiną o nowym życiu, i ona, Ane, pierwsza się o tym dowiedziała. Przy takiej pani Ane mogła spokojnie wyczekiwać dnia, w którym jej własne życie zgaśnie. Dzieło jej nie zaginie.

Tego samego wieczoru Teresa zwierzyła się Dagowi ze swego stanu. Skinął tylko głową milcząc. Potem podszedł do niej, objął ją za szyję i przyłożył swą twarz do jej twarzy, policzek do policzka. Zaraz jednak odstąpił kilka kroków i stanął z twarzą odwróconą przed jej wzrokiem. Jak wszyscy inni z jego rodu — nie umiał zdobyć się na kilka czułych słów i w takich chwilach był zawsze bezradny i zmieszany. Ale Teresa wiedziała, że nowina, jaką mu zdradziła, poruszyła go do głębi. Może dlatego też skorzystała z okazji, aby go o coś poprosić.

Powiedziała mu, że w czasie ostatnich nocy źle się czuła — co zresztą było prawdą — i że wyświadczy jej wielką przysługę, jeśli każe wstawić do pokoju jej własne duże łóżko, które przywiozła z domu rodziców. To, w którym teraz sypia, jest krótkie i bardzo niewygodne.

Zdziwiła się niemało, kiedy się zgodził, a nawet zapytał, czy chce je mieć jeszcze tego samego wieczoru.

Nie, nie zaraz. Najpierw musi wszystko przygotować, ale z wielką przyjemnością wyszuka tymczasem swą wykwintną bieliznę. Należy do tego łóżka. Tego dnia nie będzie jeszcze gotowa.

Następnego dnia łóżko z domu Holderów stało już w ich izbie sypialnej. Było bardzo długie i szerokie, ozdobione wieloma misternymi rzeźbami. Z baldachimu zwisały prosto miękkie zasłony z wyhaftowanymi na nich scenami rodzajowymi. Wewnątrz znajdowały się napęczniałe kołdry puchowe i poduszki — wszystko w poszewkach z najszlachetniejszej bieli, z koronkami i ozdobną mereżką.

Teresa uważała, że teraz dopiero ma małżeńskie łożo. Była niezmiernie zadowolona, że znowu znalazł się przed jej oczyma znajomy przedmiot z domu rodzinnego.

Tymczasem jednak miały nadejść inne, ważne i doniosłe wydarzenia.

Któregoś razu w Borgland gościł pewien kapitan. Przybył w jakiejś misji o charakterze wojskowym i siedział tam kilka dni. Nazywał się Klingę. Słyszał, jak mówiono o Bjórndal, jak również i o tym, że obecna tamtejsza pani pochodzi z rodziny Holderów. Ponieważ kapitan bywał ongiś na wielu wesołych biesiadach u Holderów, poprosił o konia, aby odwiedzić państwa na Bjórndal. Von Gali przyjął tę prośbę z ponurą miną, lecz żona jego w zupełności aprobowała zamiar kapitana. Powiedziała, że kapitan z pewnością chciałby się trochę przejechać i rozejrzeć w okolicy. Spodziewała się, że przywiezie ze sobą jakieś wiadomości o tajemniczym dworze na północy. W ten sposób zaspokoi swoją ciekawość. Klingę dostał więc konia i pojechał.

Serce Teresy zabiło żywiej, gdy go zobaczyła. Przynosił jej niejako pierwsze pozdrowienia z miasta, w którym wzrosła. Dag dobrze pamiętał pewien orli nos należący do tego młokosa, porucznika, który w czasie owej pamiętnej jazdy do kościoła ścigał się z nim niezbyt uczciwie; stąd też spoglądał z pewną nieufnością także na kapitana Klingego. Ponieważ jednak zarówno Teresa, jak



i Dorota przyjęły go bardzo serdecznie, ustosunkował się do niego z należną gościowi uprzejmością.

Klingę był wesołym człowiekiem i zwiedził kawał świata. Mógł wykazać się bliznami po ranach, otrzymanych na wojnie w południowych krajach i w drobnych utarczkach ze Szwedami. Wiele widział, umiał również wychylić niejedną kielich za zdrowie swoje i innych. Przepijał ciągle do Teresy i do Doroty. Wypijał przy tym jeden kielich za drugim — Dag nie widział jeszcze nikogo, kto by potrafił pić w tak szybkim tempie.

W środku jakiegoś opowiadania kapitan nagle przerwał i z ogromnym zdumieniem rozglądał się po izbie. Potem wstał, zajrzał najpierw do starej komnaty, następnie do sieni i powiedział, zwracając się do Teresy:

— Wasze piękne meble zostały, zdaje się, na swoim starym miejscu.

Teresa rzuciła okiem na Daga. Widziała, że uwaga ta była mu niemiła, jakkolwiek uśmiechał się jeszcze po ostatnim dowcipie kapitana.

— O, nie — odparła — zabrałyśmy wszystko ze sobą, ale tutaj jest i tak dosyć mebli.

— W takim razie musicie powiększyć ten dom — powiedział wesoło kapitan.

— O tym mój mąż na pewno nie będzie chciał słyszeć — odparła Teresa, rzucając mu szybkie spojrzenie. Dagowi nie podobało się to. Twarz miał ponurą.

— Nie — powiedział. — Jest całkiem dobrze tak, jak jest. Kapitan zorientował się, że poruszył niebezpieczny temat, ale równocześnie mu uszło jego uwagi, że projekt ten zainteresował Teresę.

— Tak, oczywiście — przyznał — to jest ładny, piękny dom. Jednak ludzie często dobudowują nowe skrzydła, a przy tym żona pana zapewne przykłada niemałą wagę do tego, by mieć koło siebie swoje dawne, własne rzeczy. Czy nie można wybudować nowego domu obok starego?

Twarz Daga nic nie wyrażała. Milczał.

— Mógłbym wam zrobić projekt takiego domu, jakie dzisiaj budują. Możecie się potem zastanowić — upierał się kapitan.

Dag uśmiechnął się i powiedział, że owszem, można projektować i namyślać się.

Gość uznał, iż w ten sposób sprawa została załatwiona, i przyrzekł, że sporządzi i przyśle plany, gdy tylko czas mu na to pozwoli. Po czym wesoły kapitan wychylił ostatni kielich i odjechał.

Panna Dorota nie potrzebowała wiele miejsca dla siebie na tym świecie. W czasie pierwszej zimy nieczęsto ją widywano. Zjawiała się w porze posiłków, ale zaraz potem znikwała. Wszyscy na Bjórndal byli ciekawi, czym się właściwie zajmowała. Z biegiem czasu najpierw jedno, a potem drugie dzieło artystycznie wykonanych haftów znalazło się w izbach, świadcząc, jakim to zajęciom, między innymi, poświęcała dni. Czasami zaś przytłumione dźwięki szpinetu dochodziły z pierwszej izby do uszu pozostałych domowników. Dziewczyny służebne opowiadały, że panna Dorota ma u siebie w pokoju jakiś instrument podobny do lutni i że grywa na nim, równocześnie sobie przyśpiewując.

Poza tym wszystko, co robiła, było okryte tajemnicą.

Gdy przybyła do Bjórndal, oddano do jej dyspozycji izbę na piętrze, tuż przy schodach prowadzących na górę od tylnej strony sieni.

Dotychczas była to izba gościnna, której jedyne umeblowanie stanowiły stół, łóżko i piecyk żelazny, ozdobiony figurkami aniołków i innymi szczegółami.

Dorota radziła się Teresy, czy nie mogłaby wstawić paru własnych mebli do swej izby. Teresa nie umiała odpowiedzieć:

w tej sprawie powinna zwrócić się do Daga. Było to jeszcze w pierwszym tygodniu ich pobytu na Bjórndal.

Dag nie miał nic przeciwko temu. Przeciwnie, przysłał jej Jórna Mangfoldiga, który wykonywał w Bjórndal wszystkie roboty ciesielskie i stolarskie i po którego posyłano zawsze, gdy trzeba było coś zmienić lub poprawić.

Jórna pracował w izbie panny Doroty kilka dni, Dag bowiem polecił mu wykonać jak najstaranniej wszystko, czego sobie panna Dorota życzyła. Do jej życzeń Jórna dorzucił jeszcze swoje własne sugestie i wtedy przedsięwzięto wielkie zmiany.

Przede wszystkim chodziło o okna. Dotychczas znajdowało się tam jedno małe okno, ponieważ izba była przewidziana tylko na

noclegi, a nie na użytek dzienny. Jörn uważał, że należało poszerzyć otwór w ścianie i wstawić większe szyby, aby wpuścić więcej światła do izby.

Z następnym transportem z miasta przywieziono szkło. Jörn zabrał się do roboty, a panna Dorota musiała i przez kilka dni spać gdzie indziej. Kiedy potem przyszła obejrzyć pracę Jórna, nie mogła wyjść z zadziwienia. Tak, Jörn, zanim przybył do Bjórndal, był już tu i ówdzie, niejedno widział i wiele się nauczył.

Kiedy zabrał się do wypilowywania ściany, zauważył, że belki podłogowe wychodziły kawałek na zewnątrz — widocznie kiedyś planowano tu balkon. Jörn wypilował więc duży otwór i wstawił weń drzwi z szklanymi szybami.

Niebawem Dorota miała balkon, balkon wiszący na ścianie niby gniazdko. Stamtąd miała daleki i wyraźny widok na osiedle aż po Hamarrbó.

Następnie Jörn wyniósł z izby stare meble i z pomocą innych wstawił wszystko to, czego sobie panna Dorota życzyła.

Najpierw wniesiono wielkie, wspaniałe łóżko z rzeźbionymi nań kwiatami i figurami i z zasłonami z aksamitu. Było niesłychanie ciężkie, ale wreszcie stanęło na swoim miejscu. Potem przyniesiono coś, co panna Dorota nazywała sekretarzykiem i co zaopatrzone było w niezliczone szufladki, skrytki i drzwiczki. Potem przyszła kolej na komodę, dwa fote;e, stolik i lustro w ramie tak dużej i szerokiej, że na samo szkło zostawało już tylko bardzo mało miejsca.

Na podłodze rozłożono dywany. Zawieszono zasłony i firanki nad oknami i drzwiami balkonu. Z jaką przyjemnością wydobywała potem panna Dorota różne ozdóbki z szufladek i skrzynek, aby je porozkładać dokoła. Dziewczyna, która u niej sprzątała, opowiadała, że w pokoju Doroty było tyle pięknych rzeczy: obrazy na ścianach, srebra, puzderka, czarki, biżuteria — że po prostu bała się w nim poruszać.

Nad łóżkiem panna Dorota zawiesiła dziwny przedmiot, przywieziony jej przez ojca z jakiegoś katolickiego kraju. Był to krucyfiks. Figura Chrystusa była rzeźbiona z kości słoniowej, krzyż ze srebra, gwoździe i litery ze szczerego złota. Jedna z dziewczyn służebnych widziała raz, jak krucyfiks jarzył się

w ciemności. W izbie stale unosił się zapach kwiatów. W kuchni mówiono, że w pokoju panny Doroty pachnie jak w letni dzień w ogrodzie.

Dorota dziękowała Bogu pokornym sercem za to, że użyczył jej tak miłego miejsca dla spędzenia reszty swego życia. W jednym ze swych puźderek przechowywała trzy ciężkie, złote monety, które dostała od ojca i po jego powrocie z jednej z zagranicznych podróży. Chciała oddać jedną z tych monet w ofierze dziękczynnej, gdy po raz pierwszy pojedą do kościoła. Dlatego to pan Diderich znalazł tak niesłychanie wartościowy pieniądz w puszcze ofiarnej po owej pasterce.

Zimą panna Dorota siedziała przy piecu nagrzanym szczapami brzoźowymi i haftowała o świece. Gdy nadeszła wiosna, a później lato, zrozumiała, jak doskonałym mistrzem był Jörn Mangfoldig. Ileż to razy wczesnym, rankiem lub późnym, wieczorem patrzyła z balkonu, zbudowanego dla niej ręką Jórna, na pełną uroku dolinę, szczęśliwa i zadowolona. W młodości doznała ciężkiej straty, ale jakże dużo zyskała teraz — myślała sobie.

Nadeszła jesień i pierwsze podmuchy zimy.

Ane Hamarrbó przybyła do starego dworu w Bjórndal. Nie ze względu na zbliżające się święta, ale z powodu mającego przyjść na świat dziecka.

Mijały dni i Teresa czuła się bardzo źle. Musiała zmobilizować całą swą wolę i siły, aby wytrwać do końca.

Właśnie w tym czasie nadeszły z miasta dokumenty: plany wraz z listem od kapitana Klingego. Nie zapomniał obietnicy, pisał. Ale miał z tym dużo pracy. Dziękował jeszcze raz za dzień spędzony w Bjórndal i nadmienił, że jeśli dostąpi zaszczytu służenia im radą, gdy rozpocznie się budowa — oczywiście, o ile zamierzają zrealizować projekt — będzie ogromnie uszczęśliwiony.

Dag skrzywił się. Miał kapitanowi za złe, że nie zdobył się na uprzejmość niepamiętania owej rozmowy na temat budowy. Ale Teresa niemal zapomniała o swoich dolegliwościach, kiedy zabrała się do studiowania tych pięknych rysunków i planów.

Jednak po kilku dniach poczuła się jeszcze gorzej i Dag, chcąc podnieść ją na duchu, powiedział jednego wieczoru, że mogą za-

97

1 A lasy wiecznie  
śpiewają

prosić kapitana na przyszłe lato i zacząć coś budować. Teresa była niezmiernie wzruszona tym wspaniałomyślnym ustępstwem, które — wiedziała doskonale — kosztowało Daga wiele samozaparcia. Śmiała się i płakała ze szczęścia, nie umiejąc wydobyć z siebie słowa.

Kilka dni później urodził się chłopiec.

Teresa doznawała dość dziwnego uczucia, ile razy pomyślała o tym, że twarde, lodowate ręce Ane Hamarrbó miały pierwsze dotknąć tej maleńkiej, ciepłej istotki. Ale wszystko poszło szybko i sprawnie, toteż kiedy cała przeprawa skończyła się szczęśliwie, dziękowała Bogu za to, że w tej okropnej chwili miała przy sobie tak umiejętną w tych sprawach osobę.

Do kapitana wysłano list. Poza uprzejmym podziękowaniem za plany zaproponowano mu, aby — jeśli mu tylko czas pozwoli — przyjechał do Bjorndal.

Zaraz w pierwszych dniach lata przyjechał kapitan Klingę, a z nim rozpoczęła się nowa era na Bjorndal. Kapitan chciał rozebrać niektóre stare budynki, lecz Dag stanowczo się temu sprzeciwił. W rezultacie więc nie wszystko poszło tak, jak sobie

kapitan uplanował.

Budowali nowy dom. Przylegał do wschodniej, szczytowej ściany starego domu. Miał otrzymać duże okna i widne pokoje. Nie miał być smołowany, ale malowany, całkiem odmiennie od

pozostałych budynków.

Dag dał swoje słowo, nie robił też żadnych obiekcji, jakkolwiek bynajmniej nie podobało mu się to, co się teraz działo. Przychodzili obcy ludzie, którzy wykonywali różne prace przy budowie. W końcu zaś zjawiał się człowiek, który miał malować obrazy na ścianach wielkiej sali nowego domu. Od czasu do czasu kapitan musiał wyjeżdżać. Z ostatniej podróży wrócił z malarzem i jeszcze jakimś człowiekiem, który miał umieścić wielkie lustro pomiędzy oknami i udekorować cały pokój.

Na jesieni poprawił się humor Dagowi. Nauczył się grać w karty i spędził wiele wesołych wieczorów z kapitanem i inną kompanią.

Z początkiem zimy nowy dom w Bjorndal był już gotowy. Ze strychów i stodoł przyniesiono i ustawiono w nim meble

Holde-

rów. W sali umieszczono szeregiem krzesła obite skórą, połączane i ozdobione wzorami oraz zawieszono wieloramienne kandelabry z mnóstwem świec, których blask odbijał się w zwierciadłach. Zawieszono też portrety ojca Teresy i jej dziadka, matki, babki i innych członków rodziny, a artysta, który dekorował ściany, namalował portrety Teresy i Doroty. Nie oddawały wprawdzie dokładnego podobieństwa, ale za to miały żywe kolory i złocone ramy.

Meble Holderów nie zapełniły wszystkich pokoi, ale Dag nie chciał wydawać pieniędzy na nowe, więc Jörn Mangfoldig musiał sam je dorobić, kopiując wykwintne krzesła i stoły. Zabrało mu to dużo czasu, bo zagraniczne meble były robione bardzo fantazyjnie. Ale jego honor i dobre imię zostały wystawione na próbę. Ponieważ trwało to już bardzo długo, ludzie zaczęli przezywać go Jörn Enfoldig \*. Wreszcie jednak nadszedł dzień, kiedy Jörn opanował tę trudną sztukę i wtedy z rąk jego zaczęły wychodzić jedno za drugim krzesła, a potem stoły. Nie były takie same, jak owe zagraniczne, ale wszyscy podziwiali artystyczne wykonanie, i Jörn odzyskał znowu swe miano Mangfoldig \*\*. Nikt nie [podejrzewał, że w tych krzywych, steranych od pracy palcach mogło być tyle zręczności.

Wiosną dom był zupełnie wykończony, ale jakoś nikt nie kwapił się do przeprowadzki.

Teresa nic nie mówiła. Dag również milczał.

Pewnego dnia, udając się na posiłek, Dorota spotkała Daga w sieni. Był w doskonałym humorze, a oczy błyszczały mu przekornie jak dwa chochliki.

— Tak, w najbliższych dniach trzeba będzie przenieść twoje rzeczy do nowego domu — odezwał się do niej.

Ach, jakże smutno spojrzała na niego Dorota. Wiedziała, że to głównie Teresa nastawała na budowę nowego domu, cóż więc miała teraz powiedzieć?

— Przygotowaliśmy dla ciebie ładną, widną izbę — powiedział Dag, a wesołe chochliki w jego oczach zamigotały żywiej].

\* Nedorajda

\*\* Obrotny

T

Panna Dorota nie mogła już dłużej wytrzymać.

— Chciałabym pozostać w mojej starej izbie. Nie pragnę żadnej innej.

— Tak sobie zaraz myślałem!

— Więc mogę zostać?! — zawołała, umierając z niepewności. Spędziła niejedną bezsenłą noc modląc się o to, by mogła pozostać w swojej starej izbie.

— Jeśli tylko sobie życzysz. My chyba też jeszcze się nie przeprowadzimy.

Tak więc nowy dom stał prawie pusty i nie zamieszkanym.

Wprawdzie gotowano w nowej, obszernej kuchni, a na piętro wprowadziło się kilka kobiet i dziewczyn ze służby, ale to było wszystko. Stara kuchnia, która była podzielona na dwie części i znajdowała się między sienią a nowym domem, została całkowicie wyprzątnięta i zamieniona na izbę mieszkalną. Jörn Mang-foldig dorobił do niej nowe krzesła według starych wzorów bjórndalskich, ponadto ławki, szafy, kredensy, jak też stoły z klapami do wydłużania. Z dawnej kuchni zrobiła się piękna izba.

Co jakiś czas Teresa udawała się do nowego budynku, aby dopilnować tam czystości i porządku. Czasami siadywała tam wśród swoich starych, znajomych mebli i szyła coś. Na wiosnę i jesień kazała tam zanosić krosna i kołowrotki, bowiem dzięki dużym oknom było tam bardzo jasno. Ale nawet ona nie chciała wprowadzić się ze swojej izby sypialnej.

Wielką słabością Teresy była miłość do Daga. Wiedziała, że wolałby, aby wszystko było dalej tak, jak dotychczas. Czuła się naprawdę szczęśliwa, że w tym względzie mogła respektować jego życzenia, sama nie tracąc niczego.

Teresa urządziła przyjęcie dla starego wuja Holdera, jego syna, kapitana Klingego i innych miejskich gości. Zaprosiła także rodziny z Bóhle i Gistad i znajomych z dalej położonych gospodarstw. Była muzyka, śmiech i zabawa w nowym domu w wielkim pokoju. Dom więc nie stał całkiem bezużytecznie. Na Bjórndal nie brakowało teraz pokoi i goście z miasta i okolicy nie przesadzali bynajmniej opowiadając, jak imponujący jest dom bjórndalski.



Roboty leśne były regulowane stosownie do ogólnych warunków ekonomicznych i sytuacji światowej; jednak wszelkie inne prace kontynuowano w osiedlu pewnie i nieprzerwanie, z widocznym efektem. Czujne oko Daga nie zaniedbywało niczego.

#### XIV

W okresie pomiędzy zaręczynami a weselem Dag starał się doprowadzić do należytego porządku dwór i folwark. Ciągłe jednak powracał myślą do Torego, zastanawiając się nad tym, co on by powiedział o tych zmianach. Dag odnosił niekiedy wrażenie, że dwór został mu tylko na przelotną chwilę wydzierżawiony. Nie mógł po prostu uwierzyć, że on jest wyłącznym właścicielem dworu bjoernal-skiego i przynależących lasów, pól i osiedla, uświadamiał sobie bowiem równocześnie, że tylko w niewielkiej mierze przyczynił się do jego świetności.

Kiedy się ożenił i nie czuł się już więcej taki osamotniony, zdawało mu się, że stał się bardziej dojrzały. Ale wciąż jeszcze miał wrażenie, że śledzą go czujne oczy jego przodków, którzy przed nim stoczyli długą i zaciętą bitwę, aby usunąć przeszkody, a następnie doprowadzić posiadłość do obecnego stanu i wreszcie zachować to wszystko, nad czym obecnie sprawował władzę pana i gospodarza. Z tej też niewątpliwie przyczyny nie ważyłby się naruszyć starych budynków ani niczego, co się w nich znajdowało. Małżeństwo i wpływ, jaki wywarły dwie osoby, które wprowadził do swojego domu, dopomogły mu znacznie, nby dotrzymać obietnicy zrzeczenia się myśli o zemście. Ale silny charakter nie znosi sprzeciwu. Ów duch oporu, wzmocniony tradycją wieków i stanowiący dziedzictwo Daga, nie mógł być pokonany naraz, w okresie krótkiego żywota jednego człowieka. Szuka sobie ujścia jak wtedy, podczas jazdy na pasterkę. Dag poddał się Bogu, ale równocześnie żywioł starego oporu zareagował "a to 'z większą dzikością i gwałtownością niż kiedykolwiek

przedtem. Jedno ślubowanie, jedno dobre postanowienie, powzięte pewnego dnia, nie wystarczy, aby pokonać na zawsze dawną zaczepność. Toteż Dag z czasem powróciłby do dawnego życia wewnętrznego i z najdzikszą rozkoszą puściłby folgę mściwym myślom, gdyby umysł jego i zainteresowania nie znalazły innego ujścia.

Do Bjórndal nadeszły dokumenty dotyczące udziału spadkowego Teresy i Doroty. Przesłano je do wglądu i podpisu. Dag zajął się tą sprawą w ich imieniu.

Chodziło o ogromne sumy. Wiele pieniędzy pozostało na razie na koncie księgowym Holdera, ale mieli dużo także do bezpośredniej dyspozycji. Dag musiał zwrócić się do adwokata o poradę. Adwokat miał zakupić dla niego akcje na różnego rodzaju nieruchomości. Poza tym do skrzyni Daga znajdującej się w piwnicy napływało coraz więcej talarów. Stopniowo zaczął zdawać sobie sprawę z tego, jaka to potęga rządzi światem. Wielki trud na twardej drodze zdobywania pieniędzy stał się teraz ujściem dla jego niespokojnego ducha. Prawdopodobnie też w związku z tym wielkim bogactwem, jakie wniosły mu obie siostry, był tak pobłażliwy dla Doroty, gdy chodziło o jej izbę, i zgodził się spełnić życzenie Teresy nalegającej na wybudowanie nowego domu.

Dwie siostry natomiast nigdy by nie przypuszczały, że wniosły ze sobą do Bjórndal niebezpieczną truciznę — truciznę pieniądza. Owszem, Dag był już przedtem wystarczająco bogaty i miał dość pieniędzy, aby doprowadzić do doskonałości dwór i osiedle, jak również podnieść wydajność pól i lasów — to wszystko posiadało wielką wartość potencjalną. Ale pieniądze Holderów były zbytkiem i jako takie — niebezpieczeństwem.

Pierwszy syn Teresy miał już trzy lata, kiedy urodziło im się drugie dziecko. Był to znowu chłopczyk i również tym razem przyjęła go Ane Hamarrbó. Pierwszy syn nosił imię brata Daga — Torę. Drugi otrzymał imię Dag. Chrzcziny obchodzono z wielką pompą przez trzy dni. Było mnóstwo gości z różnych stron. Działo się to zimową porą, przy bardzo ponurej pogodzie. Długo jeszcze opowiadano sobie o niezliczonej ilości świec, które wypalono wówczas w Bjórndal. Ludziom w osiedlu bynajmniej nie znudziło się patrzeć na jarzące się wciąż od świateł okna.

Niedługo ipo chrzcinach nadeszła z Hamarrbó wiadomość, że

Ane jest chora. Prosi Teresę, aby przyjechała do niej z młodszym dzieckiem.

Teresa pojechała tam natychmiast. Skierowano ją do izdebki, której progu jeszcze dotąd nie przekroczyła. Nie było w niej żadnych okien. Na kominku palił się słaby ogień, panowała prawie zupełna ciemność. W powietrzu unosił się ostry zapach ziół.

Gdy drzwi zamknęły się za Teresą, poczuła się nieswojo. Siedziała zupełnie sama w ciemnościach. Jeszcze bardziej przestraszyła się, gdy do uszu jej doszło jak gdyby westchnienie. Usiłowała wytłumaczyć sobie, że szmer ten pochodzi zapewne z rozżarzonego popiołu na kominku. Naraz o mało nie upuściła małego Daga na podłogę. Usłyszała znowu westchnienie, ale tak dziwnie głębokie, że zdawało się pochodzić gdzieś z głębi ziemi. Przerażona rozejrzała się dookoła. Oczy jej przyzwyczyły się już do ciemności. Po drugiej stronie kominka dostrzegła łóżko. Starym obyczajem Ane spoczywała w pozycji siedzącej na krótkim łóżku, a oczy oświetlone łuną żaru z kominka błyszczały w ciemności jak gorejące węgle. Gładko wyprasowana chustka opadała jej na twarz, stare, pokurczone palce jak szpony drapieżnego ptaka zacisnęły się na krawędziach łóżka. Usta wyglądały jak wąska szpara, zaszyta nitkami licznych zmarszczek. Nos sterczał niby ostrze noża, a broda wystawała do przodu twarda jak skała.

— Dzień dobry, Ane! — przywitała ją Teresa. Wstała jeszcze dość wystraszona i podeszła do łóżka. — Słyszałam, że chorujesz.

Z piersi Ane wydobyło się znowu westchnienie niby z głębi otchłani. Zaczepnęła powietrza, a potem padły ostre słowa:

— To jest śmierć!

— Ach nie, nie możesz tak mówić — odparła Teresa, a oczy jej zaszkliły się łzami.

— Jeżeli ktoś już do niczego się nie nadaje, powinien odejść — brzmiała odpowiedź.

— Ale jeszcze w czasie świąt gwiazdkowych czułaś się zupełnie zdrowa — odparła Teresa. Ane milczała. Jej rozpalone oczy wlepiły się w Daga.

— Podaj mi małego! Popraw ogień na kominie! — rozkazywała, a głos był twardy i stanowczy.

Równocześnie zdziwiona i przestraszona Teresa podała dziecko Ane, która siedziała z podciągniętymi kolanami, sterczącymi api-

czasto pod baranicą. Potem dołożyła kłód sosnowych do ognia i znów zajęła miejsce przy łóżku. Ane chwyciła malca swymi kościstymi i zakrzywionymi jak szpony palcami. Siedziała jak wielki ptak-drapieżca, zapatrzona w maleńką istotkę przed sobą.

Malec nie wydawał głosu, patrzył tylko na nią swymi dużymi, niebieskimi oczami. Ogień poruszony przez Teresę palił się żywiej, rzucając czerwony blask na Ane i rysując jej cień na ścianie. Wyglądał jak cień zwierzęcia. Kolana Ane zlewały się z dzieckiem i tworzyły grzbiet i zad, ciało jej i głowa — kark i łeb zwierzęcia. Wyginało kark i podnosiło łeb za każdym razem, kiedy płomienie wybuchały wyżej. Cień na ścianie rósł i zdawał się wisieć nad nimi niby groźba nieszczęścia. Teresa nie mogła oderwać oczu od straszliwego cienia — widok ten napawał ją trwogą.

Wzdrygnęła się na dźwięk głosu Ane. Ane patrzyła teraz tylko na malca; słowa jej również przeznaczone były wyłącznie dla niego.

— Ty masz krew ... inny umrze. — Głos jej był głuchy, zabrakło jej tchu. Westchnęła głęboko i mówiła dalej.

— Ty będziesz żył... a potomkowie twoi... zajdą tak daleko, jak tylko ludzie zajść mogą.

Jakieś wielkie, czarne ptaki zdawały się ulatywać z jej ust i znikać w ciemnościach.

Teresa słuchała z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, pochyliwszy się kurczowo do przodu, aby nie stracić żadnego słowa. Wychodziły z jej ust powoli i bezgłośnie i brzmiały jak słowa jakiejś starej bajki. Za każdym razem, gdy Ane zaczerpywała oddechu, następowała długa pauza.

— Król poniósł klęskę... jego rodzina musiała uciekać, wszyscy... Niektórzy udali się na okrętach do obcych krajów, stali się tam wodzami... inni pociągnęli do lasów... Na północ, do Bjórndał, przyszedł on... pierwszy z twoich ojców... tam się osiedlił... — Ludzie z Hamarrbó podpalili mu dom... on i jeden z jego synów... zdołali ujść przez płomienie i twardą stal... uszli... do lasów... — Następnego roku spaliło się Hamarrbó... doszczętnie, do gruntu... ze wszystkimi, którzy tam mieszkali. Nowy dwór stanął na północy... stoi od tego czasu.

Teresa patrzyła na cień zwierzęcia na ścianie. Poruszał s'ę przez

cały czas. Przy ostatnich słowach zwierzę dumnie podniosło łeb, po czym opuściło go z godnością i legło bez życia. Z ust Ane nie wydobyło się już więcej żadne słowo.

Teresa spojrzała na Ane i z głośnym krzykiem zerwała się z miejsca. Staruszka siedziała sztywno jak posąg, z głową opartą o tylną ścianę łóżka, jak zawsze wyniosła i pełna godności.

Teresa oswobodziła dziecko ze sztywniejących szponów. Trzymały dziecko jeszcze po śmierci jak swoją prawowitą własność.

Teresa kazała zaciąć konie i odetchnęła z ulgą, gdy znalazła się z powrotem w domu. Wbrew wszelkim zwyczajom kazała zapalić w sieni duże świece. Potem usiadła, trzymając w ramionach małego Daga i wpatrując się w niego bez przerwy, jak gdyby w obawie, że mu się stało coś złego. Ale on patrzył jej spokojnie w oczy, jak gdyby to, że Ane przy wymawianiu ostatniego w swym życiu słowa trzymała go w swych kościstych rękach i w nim utkwiała swe śmiertelne spojrzenie, było najzwyczajszą w świecie rzeczą.

Kiedy Dag zastał ją w sieni przy świecach i zobaczył jej twarz, powiedział tylko:

— Umarła?

— Tak. I mówiła tak dziwne rzeczy, że zapomniałam dać jej lekarstwo z francuskiego koniaku, które zabrałam ze sobą.

— A jakież to dziwy opowiadała?

— Ach! Jeszcze teraz przebiegają mnie dreszcze. Mówiła coś w tym sensie, że mały Dag będzie żył, a ktoś inny umrze. Potem coś o krwi, o jakimś królu i o krewnych tego króla.

Dag zaśmiał się krótko, ale oczy jego zachowały powagę.

— O ile wiem, Ane nie powiedziała tego dotychczas jeszcze żadnej kobiecie.

— Nie, ona mówiła to do małego.

— W takim razie do samego końca pozostała sobie wierna. Zawsze była zdania, że dzisiejsze kobiety nie są godne słuchania takich rzeczy. Jakkolwiek o tobie inaczej myślała, nie chciała się sprzeniewierzyć swoim zasadom. Więc opowiadała to chłopcu, ale tak, żebyś ty mogła słyszeć jej słowa.

Teresa była dumna z tego wyróżnienia. Nigdy nie słyszała od Ane miłego słowa; nie okazała jej też, jak zresztą nikomu, że żywiła wobec niej przyjazne uczucia. Szła swoją drogą jak po-

zbawiona uczuć istota, a przecież w ostatnich chwilach swego życia użyczyła jej możliwie największego zaszczytu, wyróżniając ją spośród wszystkich innych kobiet.

— Czy dużo zdążyła opowiedzieć? — zapytał Dag. Teresa zdała mu relację z wszystkiego, on zaś kiwał głową przytakująco. Był zadowolony, że nie wyjawiała więcej. Ane mogła opowiedzieć wiele niepożądanych rzeczy, gdyby jej czasu zostało.

Dag był zatem ostatnim człowiekiem, który wiedział od niej o wszystkich tych sprawach. Od niego teraz zależało, co z tej wielowiekowej tradycji, przekazywanej z pokolenia na pokolenie, miało przejść do potomności.

— Czy to, co Ane opowiadała o pierwszym człowieku na Bjórndal, jest prawdą? — zapytała Teresa, patrząc Dagowi prosto w oczy.

Dag zauważył tylko, że gdyby brać poważnie wszystko, co zostało przez kogoś powiedziane, ludzie utrudniliby sobie niemało życie. Ale Teresa miała własny pogląd na tę sprawę i jeszcze tego samego wieczoru zapisała wszystko, co zapamiętała ze słów wypowiedzianych przez umierającą Ane.

Nie mogła doszukać się żadnego znaczenia w tym, co Ane powiedziała najpierw: że mały Dag miał „tę krew” i że „będzie żył”, podczas gdy „ktoś inny umrze”. Dag jednak rozumiał, co to miało znaczyć.

Słyszał już przedtem, że Ane powiedziała to samo o nim i o jego braciach — bracia jego zmarli, nie pozostawiając po sobie potomstwa. Może Dag dlatego siedział wieczorem tak długo przy łóżku

swego starszego syna i prawdopodobnie z tego samego powodu był odtąd bardziej pobłażliwy dla Torego, pozwalając mu iść swoją własną drogą już od wczesnych lat dzieciństwa. Widocznie Dag wierzył słowom Ane więcej, niż się do tego przyznawał.

Ane miała uroczysty pogrzeb. Na stypę, która odbyła się na Hamarrbó, przybyli nawet sami państwo z Gammel-Bjórndal. Ane, choć surowa i nie znająca litości, była przecież obecna przy urodzeniu prawie wszystkich ludzi w osiedlu, była ich niezawodnym lekarzem i umiała zapobiec wszelkiemu złu. Nikomu

nie chciało się zmieścić w głowie, że już odeszła. Każdemu zdawało się, że jeszcze powróci. Powoli zrozumieli, że ta postać wysoka i koścista już nigdy nie pojawi się na progu domu, nawiedzonego przez chorobę i nieszczęście. Ane Hamarrbó odeszła na zawsze — i ludzi w osiedlu ogarnęło uczucie pustki i nieznany lęk.

Teresa dużo nad tym rozmyślała i kiedy zdarzyły się wypadki, że nowo narodzone dzieci umarły przez ignorancję lub zaniedbanie, zaczęła zdawać sobie sprawę, że Ane pozostawiła jej swoje dziedzictwo. Sama miała już pewne umiejętności w pielęgnowaniu chorych, poza tym wiele nauczyła się od Ane. O sposobach leczenia chorych uczyła się dawniej z notatek swojej babki, jak też z innych źródeł.

Tak więc Teresa zaczęła odgrywać wielką rolę w życiu mieszkańców osiedla. Zjawiała się wszędzie, gdzie przychodziła choroba lub śmierć, a wśród tych, którzy cierpieli niedostatek, rozdzielala odzież i jedzenie. Przywracała ludziom spokój i poczucie bezpieczeństwa. Cieszyła się szacunkiem od pierwszych dni swego pobytu, ale nikt nie wiedział, że posiadała tak wszechstronne umiejętności, i każdy — we dworze mieszkał czy w chacie — podziwiał, jak jedna osoba mogła wiedzieć i umieć tak dużo.

Teresa była teraz ciągle zajęta albo pracą we dworze, albo podjętymi przez siebie nowymi obowiązkami. Stąd w słowie, jak i w całym zachowaniu stała się szorstka i surowa. Tylko w ten sposób mogła opanować ogrom swoich zadań. Sama pracowała bardzo dużo, wymagała też dużo od innych. — Praca powinna być rozpoczęta, zanim zdążę wydać dyspozycje — powtarzała często. Ludzie mówili, że dokoła Teresy przez cały rok panuje taki ruch, jak zwykle tylko w czasie świąt.

I tak wzrastał jej wpływ i autorytet, a imię jej wymawiano w całej okolicy z największym respektem.

Często jeździła do kościoła, lecz za każdym razem, mimo całego swojego dlań szacunku, gniewała ją powolność i niezaradność starego pastora i chętnie, jak mówiła, przejęłaby na siebie choć część obowiązków w kierownictwie spraw domu Bożego.

Mimo tej ciągłej pracy i surowego stylu życia Teresa zachowała jedną wielką słabość — miłość do męża. Czymkolwiek

miała się zająć, zawsze najpierw pomyślała o nim. Zepsułaby go w krótkim czasie, gdyby miał inny charakter. Ale Dag daleki był od tego. Zachowywał się tak, jak gdyby tego w ogóle nie zauważał. Poza tym musiał załatwiać swoje własne sprawy i szedł swoimi drogami. Był jedyną osobą, która wymykała się spod jej opiekuńczego skrzydła. Mało mieli czasu na rozmowy, ale nawet gdy zdarzyła im się jakaś wspólna wolna chwila, Dag niewiele miał do powiedzenia. Stawał się z czasem coraz bardziej małomówny. Zarządzał majątkiem pewną i silną ręką, a ponadto często udawał się do lasu na nadzór wyrębów albo na polowanie i nieraz całymi dniami nie pokazywał się w domu. Poza tym jeździł też do miasta i porządkował sprawy pieniężne — swoje, Teresy i Doroty. Inwestował kapitał w różnych przedsiębiorstwach, po trochu chcąc się tym sposobem lepiej zabezpieczyć. Miał dobre wyczucie dla tego rodzaju spraw. Wprawdzie srebra mieli już w Bjórndal dosyć, ale gdy zdarzyła się okazja, kupował nowe i często przywoził z miasta ciężkie, szczerozłote łańcuchy i bransolety dla żony i Doroty.

Cieszyły się obie z tych dowodów pamięci. Jednak Dag prawdopodobnie miał jeszcze coś innego na myśli — złoto i srebro zachowuje zawsze swą wartość i może się przydać, gdyby czasy się zmieniły. Poza tym złoto i klejnoty dodają splendoru przyjęciom — o tym Dag również mógł być pomyśleć. Zresztą chętnie widział teraz gości, którzy wnosili dużo wesela. Oni sami również bywali zapraszani w gościnę, niejednokrotnie nawet do miasta.

Z miasta sprowadzono też krawca, który kiedyś szył dla ojca Teresy. Krawiec ten szył teraz Dagowi ubrania według mody, panującej wtedy w wielkich domach.

Trzy lata po śmierci Ane Teresa wracała z osiedla z wizyty u chorego i nagle poczuła się niedobrze. Od siedmiu miesięcy była już w ciąży i tego samego wieczoru urodziła dziecko. Była to dziewczynka — przyszła na świat martwa. Teresa bardzo nad tym bolała i przez osiem dni nie opuszczała łóżka. Widziała w tym karę Bożą i przyjęła komunię, aby uzyskać rozgrzeszenie. Przez pół roku Teresa była nieco bardziej pobłażliwa dla ludzi, ale później wszystko szło starym trybem. Panna Dorota była więcej przejęta tym nieszczęściem niż Teresa. W owym wyjątkowym okresie, kiedy Teresa łagodniej obchodziła się z ludźmi, panna



Dorota odważyła się nawet ostrzec siostrę. Przestrzegła ją, że gdyby kiedyś spodziewała się dziecka, powinna więcej na siebie uważać. Cała ta nerwowa biegania od jednej pracy do drugiej spowoduje tylko ponowną katastrofę.

Tak, Dorotę bardzo to dręczyło. Nie wyobrażała sobie większego błogosławieństwa na ziemi nad małą dziewczynką, którą mogłaby ubierać i stroić i przy której przeżywałyby ponownie swoje własne dzieciństwo.

Panna Dorota była również tą osobą, która najbardziej dbała o małych chłopców. Rozumieli już wszystko, co się do nich mówiło, a co sobota po kąpielu wolno im było przychodzić do niej na górę. Dostawali tam łakocie i słuchali bajek, czasami również piosenki. W pokoju ciotki spędzali najszcześniejsze chwile w swoim życiu.

XV

Afijały lata. Na

świecie zachodziły zmiany, jednak w Bjórndal wszystko pozostało po staremu. Dag rzadziej jeździł do lasu, za to częściej do miasta. Miał teraz do załatwienia szereg spraw pieniężnych i majątkowych, musiał pilnować swoich udziałów w różnych nieruchomościach i inwestycjach. Ludzie zaczęli mówić, że ma spryt do interesów; mówili też, że w załatwianiu swoich spraw pieniężnych jest zanadto bezwzględny. W domu rządziła gospodarstwem Teresa, bardziej teraz łaskawa i wielkoduszna. Troszczyła się o ludzi, dbała o żywność i inwentarz. Wszystko przebiegało jak za dawnych dobrych czasów. Tak upływały lata.

Pewnego dnia do dworu przybyła jakaś kobieta z dość dużą dziewczynką. Chciała się zobaczyć z Teresą. Byłaby to rzecz zupełnie normalna, gdyby nie to, że nie przychodziły z osiedla. Mąż owej kobiety, trębacz Kruse, był na komornem daleko stąd. Mieli dziesięcioro dzieci, ta zaś dziewczynka była najstarsza

109

z rodzeństwa. W domu panowała bieda. Dzieci wcześnie musiały iść w świat. Gdyby więc najstarsza córka mogła się dostać na naukę gospodarstwa do tak nadzwyczajnej gospodyni, jaką jest Teresa, pracować sumiennie i zyskać uznanie — byłoby im łatwiej ulokować później również pozostałe dzieci. Kobieta mówiła gładko niczym pastor. Nie można powiedzieć, żeby Teresa niechętnie słuchała o poważaniu, w jakim ją mają nawet w tak odległych stronach. Nie jest też wykluczone, że z biegiem lat zorientowała się co do stosunków, jakie panowały pomiędzy mieszkańcami osiedla Bjórndalskiego a ludźmi z sąsiedniej parafii. Teresa nie miała nic przeciwko temu, żeby ta gadatliwa kobieta opowiadała dokoła, w jakim to wspaniałym domu udało się jej ulokować córkę.

W ten sposób Krystyna Kruse jako dwunastoletnia dziewczynka przybyła do Bjórndal, kiedy Teresa od szesnastu już lat sprawowała tam swoje rządy.

Teresa szybko orientowała się, do czego ktoś się nadawał. U Krystyny musiała zauważyć coś wyjątkowego, bo wieczorami — wbrew zwyczajom — Teresa zwalniała ją wcześniej od zajęć, a wolne godziny dziewczyna spędzała na górze w izbie panny Doroty, która uczyła ją czytania i pisania. Może Teresa myślała też o tym, że siostrze przyjemnie będzie mieć kogoś, z kim mogłaby trochę porozmawiać; bo ona sama nigdy nie miała czasu.

Krystyna uczyła się artystycznego haftu, ponadto, jak mówić przyciszonym głosem, jak chodzić, jak stać i siedzieć inaczej niż zwyczajni ludzie. Uczyła się też odczuwać i myśleć tak samo sprawiedliwie i wspaniałomyślnie, jak panna Dorota.

Między Dorotą a Krystyną zawiązała się serdeczna przyjaźń. Dorota była niezmiernie uszczęśliwiona, że wieczorami miała do towarzystwa Stine, jak nazywano Krystynę. Niewielu było ludzi, z którymi mogłaby dzielić się swoimi myślami i wrażeniami. Egzystowała poza nawiasem życia, jak większość niezamężnych kobiet w owych czasach.

Wprawdzie w Bjórndal odbywały się przyjęcia i panna Dorota uczestniczyła w nich, ale ze spraw życia codziennego była całkowicie wyłączona. Od dzieciństwa przyzwyczała się do rządów Teresy, a tutaj także nie działo się inaczej. Owszem, w czasie posiłków mogła wymienić z siostrą kilka uwag, ale to trwało

zawsze bardzo krótko, a poza tym duchowo nie miały -zc sobą nic wspólnego. Między nimi nigdy nie mogło dojść do prawdziwej serdeczności.

Gdy Dorota spotykała Daga, miał dla niej zawsze kilka miłych słów. Chętnie by z nim porozmawiała, bo on także rozmyślał dużo nad różnymi rzeczami. Dobrze o tym wiedziała. Ale rzadko widywała go samego, a przy tym było w nim coś nieodgadnionego: jakaś nieśmiałość, a równocześnie jakaś niedostępna wyniosłość, co utrudniało zbliżenie. Dopóki chłopcy byli mali, miała w nich miłych towarzyszy. Ale nie mogła dzielić z nimi swoich myśli. Teraz byli już na pół dorośli, jej bajki już ich nie interesowały. Lubiła ich jak zawsze i oni byli dla niej uprzejmi i grzeczni. Sam ich widok wystarczał, aby radowało się jej serce — mieli urodę i takie żywe usposobienie. Ale, niestety, nie mogła otworzyć przed nimi swoich myśli i swego serca.

I tak upływało życie panny Doroty. Nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzać, i głównie z tego powodu Stine stała się jej tak bliska. Niejednego wieczoru nasłuchiwała z niecierpliwością jej szybkich kroków na schodach i ostrożnego pukania do drzwi. A gdy wreszcie wchodziła do izby czyściutka i rozpromieniona, rada, że praca już się skończyła, Dorotę ogarniało miłe uczucie ciepła. Stine dzieliła jej zapał do pięknych robótek. Również w wielu innych rzeczach miały te same upodobania. Rozumiały się dobrze. Stine była tak pojętna, że Dorota mogła wykladać jej swoje poglądy i opowiadać o tym, co widziała w świecie. Szczególną przyjemność sprawiało Dorocie wysłuchiwanie wszystkiego, co Stine widziała i robiła w ciągu danego dnia. W ten sposób mogła utrzymywać pewien kontakt z codziennym życiem we dworze.

Dorota zdobyła dla Stine oddzielną izdebkę. Jorn Mangfoldig zrobił dla niej odpowiednią małą szafkę. Otrzymał za to od Doroty srebrnego talara. W owych czasach było rzeczą nie do pomyślenia, aby dziewczynka służebna posiadała swoją własną izbę. Teresa nie miała wprost słów, gdy usłyszała tę propozycję. Jednak panna Dorota poruszyła tę sprawę umyślnie w obecności Daga, oczekując od niego poparcia. Nikt z całego domu, wyjaśniała, nie będzie Teresie tak pomocny na stare lata, jak Stine. Jest nadzwyczaj inteligentna przyswaja sobie wszystko z łat-

wością. Po prostu rozsądek nakazywał, aby stworzyć jej odpowiednie warunki w tym domu. Na pewno to wyróżnienie nie uderzy dziewczynie do głowy — Dorota będzie już o to dbała.

Teresa mruczała coś pod nosem. Ale Dag orzekł, że Dorota ma zupełną słuszność.

— Tereso, może nadejść taki dzień, kiedy będziesz zadowolona z jej pomocy. Ona jest młoda i prędką — tłumaczył jej Dag.

Myślał zresztą i o tym, że Teresa coraz bardziej tyła i że w przyszłości nie będzie mogła poruszać się tak swobodnie jak dawniej.

Zdanie Daga przeważało. Teresa już nie oponowała. Stine otrzymała izdebkę na górze w pobliżu Doroty. Ludzie we dworze zazdrościli jej tego wywyższenia, wiedzieli jednak, że jest pod opieką Teresy, i starali się nie dać tego ipso sobie poznać. Dorota czuwała nad tym, aby Stine pozostała zawsze skromna i pokorna. Ale dziewczyna nigdy nie uważała swego wyróżnienia za powód do zarozumiałości. Cicho i spokojnie uwijała się między ludźmi we dworze. Puszczala też mimo uszu wszelkie uwagi i docinki, jakimi jej od czasu do czasu dogryzali.

O dwóch chłopcach z Bjórndal można powiedzieć, że miłość do lasu odziedziczyli we krwi, toteż ciągnęło ich doń każdej wolnej chwili. Jako malcy towarzyszyli ojcu na polowania i zaledwie trochę podrośli — już umieli obchodzić się ze strzelbą. Teresa sprzeciwiała się temu, Dorota — bladła ze strachu. Dag tylko uśmiechał się zadowolony. Jeżeli mają stać się prawdziwymi mężczyznami, powinni nauczyć się znosić coś więcej niż huk wystrzału. I Dag postawił na swoim.

Gdy chłopcy byli mali, Dorota wpajała im trochę wiadomości, później zaś obowiązek ten spadł na nauczyciela, który przyjeżdżał co jakiś czas. Najczęściej jednak uciekali z lekcji, jak zwykle bywa z chłopcami. Pędzili czym prędzej do lasu na łowy.

Starszy z nich, Torę, pod wieloma względami przypominał swego zmarłego stryja, którego był imiennikiem. Miał szeroką, ciężką budowę i ciemną cerę. W oczach jego pojawiały się jednak jakieś obce błyski, a także w usposobieniu było coś odmiennego. „W żyłach jego płynie krew Holderów” — myślał Dag.

Zaledwie Torę skończył piętnaście lat, zaczął oglądać się za dziewczętami na folwarku, zdążył nawet niejedną wycalować.

Teresa, dowiedziawszy się o tym, odbyła poważną rozmowę z mężem. Sprawa ta leżała jej na sercu, użyła też wielu twardych i surowych słów. Dag zareagował na to tylko chłodem i zimnym spokojem. Ani on, ani nikt z jego rodziny nie zdradzał takich skłonności. Unikali dziewcząt, dopóki nie doszli do dwudziestu, trzydziestu lat, a nawet późniejszego wieku.

Widocznie chłopiec miał coś we krwi po ojcu Teresy, który od młodu podobnie sobie poczynał. Dag był o tym przekonany. Ale zatrzymał to dla siebie. Powiedział jedynie tonem, który zamykał wszelką dyskusję:

— To da się załatwić. Muszę się zastanowić. Potem powiem mu kilka słów.

I poszedł. Przypomniawszy sobie słowa starej Ane Hamarrbó. Według tego, co powiedziała, chłopiec prawdopodobnie niewiele lat życia miał przed sobą. Muszą być dla niego pobłażliwi jak długo jeszcze przeznaczone mu było żyć. Bynajmniej jednak nie był rad z tego, że jego własny syn wykazuje takie cechy charakteru.

Następnego dnia wezwał go do siebie. Powiedział mu, co o nim opowiadają. Chłopiec zaczerwienił się; ze wstydu nie mógł wydobyć głosu. Ojciec był dla niego najwspanialszym człowiekiem na świecie. Ze też on musiał się o tym dowiedzieć! Nie mógł sobie wyobrazić nic gorszego.

— Nie wolno ci tak postępować. Takie dziecko jeszcze! — powiedział po prostu. — Zapanuj nad sobą, inaczej źle się to skończy.

Nie wiadomo, czy Torę trzymał się odtąd w korbach, czy też robił dalej to samo po kryjomu, w każdym razie ani matka, ani ojciec już potem więcej nie słyszeli, aby ich syn brnął dalej po tej samej drodze.

W Dagu ojciec widział dokładne powtórzenie swego własnego dzieciństwa. Dostrzegał w nim tyle własnych cech, że czasami wydawało mu się to wprost niepojęte. Jego chód, postawa, ruchy i sposób bycia stanowiły wierną kopię ojca, tylko chłopiec był subtelniejszy i łagodniej usposobiony niż ojciec, który wychowywał się w bardziej surowych warunkach i otoczeniu. Ale bynajmniej nie zbywało mu na odwadze. Niejednokrotnie napędzał wszystkim strachu, gdy zapuszczał się w las tak daleko, że nie zdążył wrócić na noc do domu. Był ciałem i duszą myśliwym.

\* A lasy wiecznie śpiewają

Nigdy nie wracał bez jakiejś zdobyczy: czy to ptactwa, czy zwie" rzy. W czternastym roku życia pozostał raz przez trzy noce w lesie. Czwartego dnia powrócił, niosąc na plecach skórę niedźwiedzia. Ojciec Dag — tak go teraz we dworze nazywano — dumny był ze swego chłopca. Z trudem powstrzymywał łzy. Był dumny, gdyż chłopiec odziedziczył nieokiełznaną krew swoich przodków.

Ojciec Dag najpierw wytłumaczył synowi, jaką lekkomyślnością jest udawać się samemu na niedźwiedzia, a potem skarcił go w ostrych słowach za jego długą nieobecność. On i matka po pierwszej nocy nie zaznali chwili spokoju.

Dag postanowił wygarbować mu porządnie skórę, jeśli tylko wróci żyw i cały, w końcu jednak do tego nie doszło. Udzieliwszy mu swego surowego upomnienia, Dag nakazał mu, aby opowiedział dokładnie, co mu się przydarzyło.

Chłopiec położył najpierw skórę, potem grzebał palcami przy strzelbie i patrzył w ziemię. Wreszcie uniósł głowę, spojrzał ojcu prosto w oczy i odezwał się w te słowa:

— Twój ojciec również sam chodził na niedźwiedzia!

— Taaak — odpowiedział mu na to ojciec Dag, ukrywając rozbawienie — ale nie był wtedy takim dzieciaczkiem, jak ty.

Potem chłopiec musiał opowiedzieć, jak to było. Uczynił to w paru prostych słowach, ale z tych kilku zwięzłych zdań wyłonił się obraz małego chłopca natrafiającego na ślady niedźwiedzia tuż przy chacie Róisla i tropiącego go jak pies myśliwski — kosztem snu, bez kęsa w ustach, prawie całą noc i cały dzień — aż do chwili oddania strzału.

Dag sam położył swojego pierwszego niedźwiedzia, gdy skończył lat szesnaście. W sumie zabił ich siedem. Mógł więc z łatwością wyobrazić sobie, jak chłopiec przeprowadzał się przez zręby skał, wspinał się po stokach wzgórz i szukał przejścia w gęstym lesie. Powiedział mu tylko:

— Umyj się i idź do kuchni coś zjeść.

Dag opowiedział potem Teresie, co ich chłopiec wyczyniał. Była pełna oburzenia i trwogi, ale i dumy.

Na zakończenie całej historii chłopiec musiał złożyć przyrzeczenie, że nie będzie już więcej nocował w lesie i samotnie polował na niedźwiedzia, dopóki nie stanie się dorosłym mężczyzną.

W

## XVI

obiegami czasu ojciec Dag coraz rzadziej udawał się do lasu, aż w końcu zaprzestał zupełnie tych wycieczek. Coraz częściej jeździł do miasta i po okolicy. Pieniądz wiele żąda od swego właściciela — zabierze mu nawet duszę, jeśli nie będzie na siebie uważał.

Adwokat poradził kiedyś Dagowi, żeby stopniowo wycofywał pieniądze ze swego konta u Holdera i lokował je w posiadłościach na wsi, najlepiej w okolicy własnego dworu. Człowiek powinien trzymać się wartości, na których się rozumie i które może mieć stale na oku. Dag pojmował siłę tego argumentu. Gdy kuzyn Holder, który obecnie od dawna już sam prowadził interesy, zauważył, co się święci, zaopiniował, że adwokaci nie są aniołami i że należy mieć się przed nimi na baczności. Na to Dag odparł z twardym uśmiechem, że on sam także nie jest aniołem.

Ciągle jeszcze w księgach Holdera figurowały znaczne sumy Bjórndalów. Wiele pieniędzy umieszczono jednak na rzecz udziałów oraz z tytułu hipotek w okolicznych folwarkach, nie wyłączając ziem na nizinie. Jego jasny, a bezwzględny umysł znalazł sobie dostęp do tych spraw, toteż ze swymi zdolnościami i doświadczeniem stał się z czasem doskonałym mistrzem w pomnażaniu swoich kapitałów. Prowadząc różne sprawy u swego adwokata, doszedł do zrozumienia prostego faktu, że droga pieniądza jest drogą bezwzględności, zaś ród, z którego pochodził, nigdy nie kierował się pobłażliwością, kiedy chodziło o wyegzekwowanie tego, co uważał za swoją należność. Toteż gdy dłużnicy przychodzili do Daga z prośbą o przedłużenie im terminu, odpowiadał tylko, że prawu musi stać się zadość.

Z upływem lat znów cień zimnego strachu padł na parafię z ponurego dworu na północy. Dag nie był dla nikogo niesprawiedliwy i względem nikogo nie postępował nieuczciwie. Ale nigdy nie odstępował od swego prawa i wymuszał dla siebie do ostatka wszystko, co mu się należało, bez względu na to, w jakim położeniu był dłużnik. Prawo działało jak ślepa machina i dlatego w ciężkich, krytycznych latach jedno gospodarstwo za drugim, a nawet duże folwarki, przechodziły na własność Daga.

"

I znów czarne konie z północy niosły zapowiedź nieszczęścia, a na odgłos ich kopyt każdy oglądał się trwożliwie jak przed zbliżającą się burzą.

Z osiedla także szedł ku Dagowi chłód. Stał się obcy. Słowa jego były krótkie i skąpe. Starzy ludzie utrzymywali, że jest jakoś dziwnie podobny do Ane Hamarrbó. Niektórzy nawet twierdzili, że duch Ane Hamarrbó wstąpił w niego po jej śmierci.

Od wczesnej młodości Dag żywił nieufność do mieszkańców otwartej równiny i do wszystkich obcych ludzi. Uczucie to wzmocniło się ipotem, gdy przyszło mu załatwiać z nimi sprawy pieniężne. Gdy chodziło o pieniądze, ludzie tak prędko ujawniali swój fałsz! Płaszczyli się przed nim, starając się równocześnie go oszukać. W rezultacie nauczył się patrzeć na nich w sposób właściwy bogaczom, którzy ze swego piedestału widzą człowieka zdegradowanego moralnie, upodłonego, nie dostrzegając, że jest on niejednokrotnie tylko ofiarą gorzkiej konieczności życiowej, jeśli nawet nie gorzej: łupem ich własnej chciwości.

Na twarzy Daga wyryło się stopniowo piętno nieufności. Patrzył na wszystko z boku, podejrzliwym okiem. Ponieważ przewyższał innych wzrostem, przy rozmowie pochylał głowę w dół, jednocześnie obracając twarz na bok. Rozmówca wdział Jedną, bliższą siebie brew uniesioną nieco do góry, tak że patrzące spod niej oko przybierało badawcze, surowe spojrzenie, podczas gdy drugie zerkano chytrze spod zwisającej kępki włosów tworzących drugą brew. Do tego dochodziła jeszcze stara blizna na skroni oraz usta, które wykrzywiały się nieprzyjemnie, zanim ipadła z nich odpowiedź dla wyczekującego petenta.

Trucizna pieniądza działała na niego tak silnie, że powoli zmieniła zarówno jego charakter, jak i wygląd zewnętrzny. Rzadko znajdował dla innych dobre słowo. Nie obchodziło go nic prócz pieniędzy i tego, co kosztowało pieniądze.

Co jednak myśleli o tym jego najbliżsi? Bo ci najczęściej nie widzą tego, co jest wyraźnie widoczne dla drugich. Zmiany bowiem zachodzące w ludziach wraz z wiekiem, zaznaczają się tak powoli, że tylko człowiek o bystrym oku potrafi dostrzec je u tych, z którymi współżyje. Być może, Teresa uświadamiała



sobie, że Dag był bardzo skąpy dla ludzi z osiedla, ale kochała go nadal i umiała znaleźć dlań wytłumaczenie.

Zresztą niewiele miała czasu na to, aby zastanawiać się nad takimi rzeczami. Pomagała wszędzie, gdzie jej pomoc była najbardziej potrzebna. Odpowiadało to jej czynnej naturze bardziej niż rozmyślanie nad błędami innych. W rezultacie więc, gdy ludzie z osiedla mieli coś do załatwienia, zwracali się do Teresy.

Dag obojętniał dla spraw, które zachodziły w życiu codziennym dworu i osiedla. Coraz bardziej pochłaniał go jego nowy świat.

Każdy w rodzinie obracał się w swoim własnym kręgu. Chłopcy chodzili swoimi drogami, u Teresy każda godzina dnia była dokładnie wypełniona, a Dorota przeważnie przebywała w swojej izbie.

Mimo wszystko nawet w człowieku o najbardziej zatwardziałym charakterze tkwią także inne bardziej ludzkie uczucia. Dag nie czuł się zupełnie tym szczęśliwcem, za jakiego ludzie go uważali. Czasami, gdy wieczorami siadywał w gronie rodzinnym, zdarzało się, że podnosił głowę, odrywając się od swego zajęcia, i rozglądał się dookoła stołu. Z tak podniesioną głową wydawał się niby orzeł, silny, lecz osamotniony, a oczy jego jak gdyby szukały czegoś straconego. Wtedy zdarzało się, że czyjaś inna głowa podnosiła się i czyjeś inne oczy zwracały się ku niemu:

oczy panny Doroty. Na chwilę spojrzenia ich spotykały się, a potem oboje pochylali się znowu nad swoją pracą.

Pod ścianami starych budynków od strony południowej, gdzie grunt był pochyły i staczał się w dół ku dolinie, od dawnych lat kwitły róże. Za czasów Teresy przybyło ich więcej; sprowadzała je z Holandii i z innych krajów i teraz ogród róż był piękny jak bajka. W dni bezsłoneczne były to białe róże, bladobiałe i żółte, bladożółte i czerwone, przeważnie jednak różowe; kiedy zaś słońce wyłaniało się zza chmur, były to wspaniałe, lśniącobiałe róże, złociste, różowojedwabne i czerwone jak krew. Słodki ich zapach unosił się dokoła.

Panna Dorota chętnie przechadzała się po ogrodzie różanym w wieczornym słońcu. Siadywała na ławce w końcu ogrodu. Lato rozśpiewało się tam brzęczeniem niezliczonych owadów — od

cienkiej, żałośliwej nuty komarów do basowego brzęczenia trzmieli. Pewnego dnia, gdy szła przez ogród, zatrzymała się zdumiona pośrodku ścieżki. Na ławce siedział ojciec Dag. Panna Dorota nie chciała przerywać mu spokoju wypoczynku i miała zamiar cicho cofnąć się i odejść. Odwrócił się jednak i skinął ku niej głową. Musiała więc usiąść obok niego na ławce. Jak to się stało? To było niepojęte, Dag objął ją za szyję swym pewnym, silnym ramieniem. Wzrok jego szedł daleko ku siniejącym teraz na wschodzie zalesionym wzgórzom.

— Róże pachną dzisiaj tak słodko — odezwał się do niej. — Odbywasz swą zwykłą, wieczorną przechadzkę?

— Tutaj jest tak spokojnie — powiedziała tylko. Głos był cichy jak szept.

— Czy często żałujesz, że przyjechałaś tutaj? Panna Dorota przymknęła oczy.

— Nie — odrzekła. Nigdy tego nie żałowała; przeciwnie, każdego dnia i każdej godziny dziękowała Bogu i im wszystkim za to, że może tutaj przebywać.

— Jesteś ostatnio taka blada, czy masz jakieś zmartwienie? Dorota zaczerwieniła się. Nie mogła już powstrzymać łez. Dag zaś, zakłopotany, trzymał ją troskliwie i myślał o tym, co też jej mogło dolegać. A przecież przyszedł tutaj, aby z nią porozmawiać.

— Nie — odpowiedziała wreszcie, głęboko wzruszona jego troskliwością — nie mam zmartwienia. Wszystko jest tutaj takie piękne. Ale może nie czuję się tak jak dawniej — dodała zaraz.

- Tutaj, w piersi, w okolicy serca, odczuwam często klucie i ciężko mi oddychać. Gdy idę po schodach, kręci mi się w głowie.

Czy to słońce zachodziło za krawędzią zachodnich wzgórz, albo może skarga Doroty rzuciła cień na twarz Daga? Bruzdy na jego czole pogłębiły się.

— Może powinnaś poleżeć w łóżku — poradził, postanawiając sobie w duchu posłać kogoś do miasta po doktora.

Słońce zaszło już, kiedy się podnieśli. Krzewy róż pograżyły się w cieniu. Gdy szli przez ogród, Dag ciągle jeszcze obejmował Dorotę i raczej ją niósł, niż prowadził.

- W porze letniej drzwi do sieni były stale otwarte dla dostępu -powietrza i światła. Teraz zalegał ją szary mrok letniego wie-

czoru. Dorota zatrzymała się przy schodach prowadzących do jej izdebki i zwróciła się do Daga:

— W ostatnim czasie często myślałam o moim ojcu... i o tobie — powiedziała łagodnie. — Ojciec także był bardzo zajęty różnymi sprawami pieniężnymi... i zmarł nagłą śmiercią.

Dag wzdrygnął się. Domyślał się, co kryło się za tymi słowami. Po raz pierwszy zdarzyło się, że ktoś odważył się powiedzieć mu coś, co brzmiało jak wyrzut. Za każdym razem, gdy spotykał się ze wzrokiem Doroty, oczy jej miały jakiś dziwny wyraz. Miał wrażenie, jak gdyby to było współczucie, lecz nie mógł sobie tego wytłumaczyć. Zaczął więc przypatrywać się pilnie jej twarzy i wtedy zauważył cierpiący wyraz jej oczu. Postanowił porozmawiać z nią w ogrodzie. Teraz zaczynał rozumieć znaczenie tego spojrzenia. Twarz jego przybrała wyraz bardziej chytry niż zwykle i na ustach pojawił się krzywy, na pół zakłopotany uśmiech, kiedy jej odpowiadał:

— Ojciec twój nie umarł z powodu pieniędzy.

Dorota stała ze spuszczonej oczyma i drżała na całym ciele, jak gdyby zbyt dużo wysiłku kosztowało ją, aby powiedzieć otwarcie, co miała na myśli, i przemóc ten obezwładniający strach, jaki na równi z innymi odczuwała przed Dagiem. Niemniej z odwagą, na którą osoby o subtelnej naturze zdobywają się niekiedy wobec siły onieśmielającej innych, panna Dorota powiedziała prosto i wyraźnie:

— Tak, Dagu. Mój ojciec nie dlatego umarł, ale... śmierć może zaskoczyć każdego z nas. Należy być zawsze do tego przygotowanym i nie oddalać się ciągle myślami w przeciwnym kierunku.

— Można się do tego przygotować, naturalnie, ale i troszczyć się równocześnie o inne sprawy — głos Daga był nieco urażony.

Tak jak i przedtem Dorota stała ze spuszczonej oczami, ale oddech przychodził jej z trudnością. Musiała zebrać wszystkie siły, aby powiedzieć teraz to, co sobie już przedtem tyle razy postanawiała, na co jednak nie miała sposobności albo brakowało jej odwagi. Podniosła ku niemu oczy:

— Od pieniędzy serce staje się twarde!

Ludzie, którzy stoją jakby poza nawiasem życia i nie biorą udziału w pracy i rozmowach innych, mogą stać się bardzo uczuleni na drobnostki i wyciągać wnioski lepiej niż ci, którzy znaj-

dują się w samym centrum. Dag czuł się zawstydzony wobec tego, co powiedział. Znał ją dostatecznie dobrze i wiedział, że za tymi bojaźliwymi słowami kryło się więcej, coś, czego nie śmiała nazwać po imieniu. Widocznie dobrze go poznała, lepiej niż mógłby przypuszczać. Jego obrażony ton znikł i z widocznym wysiłkiem starał się nadać siłę swoim słowom:

— Sprawiedliwy człowiek nie może uchylać się od swoich obowiązków.

W tej trudnej dla siebie sytuacji szukał oparcia w przykazaniach swego ojca.

Dorota postawiła już nogę na pierwszym stopniu schodów, lecz odwróciła się ku niemu i powiedziała cicho, ale dobitnie:

— Dagu, najwyższym obowiązkiem jest miłosierdzie!

Następnego ranka znaleziono pannę Dorotę w łóżku nieżywą. Cicho, tak jak chodziła po ziemi, przeszła do krainy śmierci.

Teresa była niepokieszona. Robiła sobie wyrzuty, że zaniedbywała ją za życia. Cały dom wraz z chłopcami i służbą pograżył się w głębokiej żałobie. Najbardziej jednak śmierć Doroty dotknęła Stine, która wciąż zalewała się gorzkimi łzami i modliła się gorąco o to, aby i ona mogła umrzeć.

Panna Dorota została przeniesiona na cmentarz, odprowadzona przez tłum ludzi, którzy zebrali się z całego osiedla. A potem znów upływał dzień za dniem — jak zwykle. Lecz gdy nadeszła jesień ze swymi cieniami, ludzie twierdzili, że widzą pannę Dorotę chodzącą po ogrodzie jak za życia lub stojącą na swym wysokim balkonie i patrzącą w dal ponad dolinę i osiedle. Inni twierdzili ponadto, że w ciche wieczory słyszą, jak gra na szpinecie.

Moce ciemności działają różnie na ludzi — jednym dodają odwagi i zachęcają do zła, innych zaś napawają trwogą.

Na równinie i dalej na południu wielu ludziom śmiertelny strach spędzał sen z oczu; myśleli nieustannie o kimś tam na północy, który trzymał ich w swojej mocy. Inni, którzy nie byli jeszcze na jego łasce, również spędzali bezsenne noce w rozpaczliwej obawie, że przez zmianę właściciela ich weksli z tytułu długów hipotecznych mogą znaleźć się w żelaznym uścisku jego rąk.

Jeszcze nigdy, nawet w owych dawnych czasach, ich strach przed tymi z północy nie był tak wielki, jak obecnie.

Po śmierci Doroty w Dagu zbudziło się coś, co odbierało mu sen w ciągu długich nocy. Ciemności nocne nie dawały zasnąć zarówno jemu, jak i jego dłużnikom. Na ich bezsenność działała ta sama przyczyna; bo pieniądz rządzi światem, tak biednymi, którym go brak, jak i bogatymi, którzy są jego niewolnikami. Słowa Doroty stale powracały — pamięć przywodziła mu przede wszystkim jedno słowo, jej ostatnie: miłosierdzie. Choć tylko szeptem wyszło z jej ust, słowo to przemawiało doń wielkim głosem. Brzmiało mu w uszach tylko wtedy, gdy był sam — w ciemności nocy. W dzień nic nie słyszał. Było to jakby uroczyste, świąteczne słowo, którego nie godzi się słuchać w zwykły, powszedni dzień; z pewnością zaś nie godziło się ono z chwilą obecną. Teraz bowiem objął w pełne posiadanie cały majątek Doroty i musiał czym prędzej uporządkować wiele spraw, do których przedtem niechętnie się zabierał, potrzebując jej podpisu.

Dotychczas trzymał pieniądze Doroty na osobnym koncie, teraz wszystko połączył razem: bogactwo Bjórndalów i duży majątek Teresy i Doroty. Stanowiło to ogromną sumę, wystarczającą dla niejednego, aby żyć w spokoju i beztrosce, ale wystarczającą też, by stępić słowa Doroty i jego własne sumienie.

## XVII

-A-apitan Klingę, ten niegdyś tak wesoły pan, zestarzał się. Podagra i stare blizny — pamiątki z czasów wojny i młodości — dawały mu się teraz we znaki. Za często zaglądał kiedyś do kieliszka i pomimo dobrych kwalifikacji niezbyt gorliwie spełniał obowiązki związane ze służbą. Nie zaszedł dalej niż do stopnia kapitana, a niebawem w ogóle zwolniono go z wojska. Jego Królewska Mość łaskawie przyznał mu kilka marnych talarów emerytury, z której, według własnego uznania, mógł żyć albo umierać.

W domu wdowy po nauczycielu, Maren Jens, wynajął sobie pokój, w którym potem całymi dniami chodził tam i z powrotem jak zwierzę w klatce.

Uważał, że na świecie było teraz bardzo cicho. Ludzie tak jakoś sposepniali i chodzili jak mruki, nie umieli się już więcej cieszyć. Inaczej działo się w czasach, kiedy on był młody. Stary kapitan nie zdawał sobie sprawy, że teraz nad nim zapadła cisza. Wielu z jego przyjaciół już nie żyło, a ci, którzy pozostali, nie przyjmowali go zbyt entuzjastycznie, gdy zjawiał się, aby pożyczyć sobie talara, bez którego musiałby chyba umrzeć z głodu. Nawet Barre, ten prawdziwy rycerz, jego najlepszy kolega ze służby i kompan od kieliszka, nie zdał się teraz na nic. Dosłużył się, co prawda, rangi majora, ale na tym też się zatrzymał. Także i jego przedwcześnie zdymisjonowano, zaś za kilka talarów emerytury, którą mu łaskawie przyznano, mógł tylko umierać z głodu.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, kapitan Klingę znajdował się w większej biedzie niż kiedykolwiek. Nie miał przy duszy nawet jednej marki, aby przeżyć jakoś te święta, przy czym na domiar złego surowa gospodyni groziła mu, że jeśli w czasie świąt chce mieć dach nad głową, musi jej dać jakąś zaliczkę na komorne.

Włożywszy więc swe wytarte palto, wziął laskę do ręki i skrzypiącymi schodami zszedł powoli na swą codzienną przechadzkę po ulicach. Rozmyślał nad swoją sytuacją. Trochę prochu i honorowa kulka to też uczciwe rozwiązanie, nie gorsze od innych.

Tak, mogło dojść nawet do tego. Ale mimo wszystkich swoich wad nie był aż tak straconą duszą i bynajmniej nie mógł pogodzić się z myślą, że musi zbiec z pola bitwy, na którym przypadło mu walczyć. Czasy mogły się zmienić, bo przecież teraz były zupełnie zwariowane! Cisza, pustka, martwota — niepodobna, aby tak na zawsze pozostało. Wdowa musi mieć tyle chrześcijańskiej litości, aby pozostawić go w mieszkaniu przez święta. Ale co będzie jadł przez cały ten czas, zanim nastąpi kolejna wypłata? Czym będzie palił w piecu? Tytoniu nie zakosztował chyba już całe wieki, a kieliszek — to było już dziecinne marzenie, to było tak dawno temu...

Mróz szczypał go w uszy, oczy łzawiły. Musiał je bezustannie wycierać. Właśnie przyciskał do oczu rękawiczkę, gdy o mało

nie przewrócił go jakiś ogromny, ubrany w wilcze futro człowiek, który wyłonił się nagle zza rogu z bocznej ulicy.

Obaj stanęli przyglądając się sobie. Kapitan pamiętał owe szczęśliwe czasy, kiedy pół życia wstecz bywał w wielkich domach. Tego człowieka poznałby wśród tysięcy. Nikt tak nie nosił głowy, nikt tak nie trzymał ramion, jak on. Ale kapitan patrzył w bok. Ten człowiek na pewno nie przyzna się do takiego biedaka jak on.

— Klingę!

Olbrzymich rozmiarów rękawiczka wystrzeliła ku niemu. Klingę popatrzył szybko na twarz w wilczych skórkach. Oczy ich spotkały się i ręce wymieniły uścisk.

— Nie zapiera się pan starego człowieka? — powiedział kapitan, czytając z zawstydzaniem w oczach Daga Bjorndala, iż ten domyślił się całej prawdy jego aż nadto widocznego nędznego stanu.

— Ależ nie, dlaczego — odparł Dag. Surowe oczy patrzyły ku niemu przyjaznym spojrzeniem. — Miałbym zapomnieć tak wesołego kompana?

Wiał zimny, dokuczliwy wiatr. Dag obrócił się trochę, aby osłonić kapitana przed silnymi podmuchami. Myśli jego pracowały gorączkowo — to spotkanie obudziło w nim wiele wspomnień. Było mu jakoś dziwnie. W czasie tych świąt miejsce panny Doroty będzie puste. Kto wie, czy nie byłoby w myśl jej życzeń, gdyby ktoś zajął jej miejsce, ktoś, kogo to by cieszyło. Od czasu odejścia panny Doroty we dworze zrobiło się smutno i pusto. Tak! Musi spróbować. Zapytał najpierw kapitana, czy się ożenił, czy też jest wciąż jeszcze tym samotnym orłem. Otrzymałszy odpowiedź, wyraził żal, że musi nazajutrz wracać rychło rano do domu, cieszyłby się bowiem, gdyby kapitan zechciał mu towarzyszyć.

— Tak, owszem — odrzekł kapitan — z przyjemnością... naprawdę z wielką przyjemnością... odwiedziłbym znowu te strony, gdzie zawsze było tak wesoło.

— A może by pan mógł uporządkować dziś prędko swoje sprawy i przygotować się na jutro rano? — zapytał Dag.

— Hm, tak, mógłbym spróbować... prawdę powiedziawszy nie

byłoby to takie niemożliwe. Właściwie, jeśli się zastanowić, nic nie stoi na przeszkodzie, absolutnie nic.

Następnego ranka sanie ciągnięte przez karego konia wyjechały ciemnymi ulicami z miasta. Kapitan Klingę opatulony w pledy i skóry siedział obok Daga.

I tak stało się, że Klingę obchodził święta gwiazdkowe w Bjorn-dal. W tym czasie Dag mógł wyrobić sobie należyte pojęcie o środkach materialnych kapitana i jego rozpaczliwej sytuacji.

W święto Trzech Króli siedzieli sobie wygodnie przy kominku w sieni. Kieliszki były napełnione mocnym trunkiem, z fajek dobrze się kurzyło; Dag był w wyjątkowo dobrym humorze. Kapitan odkładał swój wyjazd z dnia na dzień, dziś jednak będzie musiał powiedzieć parę słów na temat powrotu do domu, toteż dotychczasowy wesoły nastrój opuścił go.

Wreszcie przemógł się i powiedział, że nazajutrz musi się ze wszystkimi pożegnać i wyjechać.

— Hm — odpowiedział mu na to Dag — gdyby pan mógł odłożyć wszystkie swoje inne sprawy, i pozostać u nas, aby dopomóc mi przy pisaniu, moglibyśmy spędzić jeszcze parę ładnych i przyjemnych lat razem...

Klingę podniósł się. Zapatrzył się w ogień na kominku. Twarz jego była bardzo poważna. Dag jeszcze nigdy go takim nie widział. Kapitan Klingę był kiedyś bardzo dumnym wojownikiem, a teraz duma ta przełamywała się w nim. W głosie jego było nieledwie żełkanie, gdy odpowiedział Dagowi, dziękując mu za szlachetną propozycję, że właściwie byłoby to o wiele za dużo, tak, o wiele, wiele za dużo, aby on, obcy człowiek, mógł ją przyjąć.

Dag nie odpowiedział zaraz, pozostawiając zarówno Klingemu, jak też i sobie dość czasu do namysłu. Bo on również musiał zastanowić się nad tymi dziwnymi uczuciami, które odzywały się w nim od' czasu śmierci panny Doroty. Gdy odpowiedział, kapitan mógł wyczuć w jego głosie, że myśli poważnie o tym, co mówi:

— Musi mi pan wyświadczyć tę uprzejmość, mam bowiem jeszcze wiele innych spraw do załatwienia, nie tylko prowadzenie ksiąg. Poza tym znajdzie się dla pana niejedna inna praca. Widzi pan więc, że proszę go w swoim własnym interesie.



Kapitan nie miał właściwie wyboru. Skończyło się na tym, że na razie zgodził się zostać. W ten sposób kapitan Klingę zamieszkał w Bjórndal.

Załatwienie tej sprawy dawało Dagowi potrójną korzyść. Po pierwsze miał już teraz jakieś usprawiedliwienie dla siebie wobec owych ostatnich słów Doroty; po wtóre zyskał (potrzebnego sobie sekretarza, a wreszcie — nie każdy mógł się pochwalić, że ma w swym domu kapitana. Być może, iż poza tym zdobywanie pieniędzy stało się dla Daga już tylko nazwykiem i miał już tego dość. Zresztą pragnienie władzy może występować pod rozmaitymi postaciami. Posiadać kapitana — było niemałym dowodem władzy, nawet chociaż był to tylko upadły kapitan.

Lata mijały.

Pewnego wiosennego dnia, gdy po krótkotrwałej cieplejszej pogodzie przychwycił znowu mróz, Teresa pośliznęła się na gołolodzi i całym swoim wielkim ciężarem upadła na ziemię. Od tego czasu nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Sprowadzono z miasta lekarza, ale żadne krople ani sztuki nic nie pomogły. Widocznie miała uszkodzony kręgosłup. Skończyły się ruchliwe dni Teresy. Przez pewien czas leżała w łóżku, potem jednak chciała wstać i pracować dalej. Teraz błogosławiła godzinę, w której Stine przybyła do dworu. Miała bowiem kogoś, kto mógł się nią zająć.

Jórn Mangfoldig zrobił dla niej specjalny fotel na kółkach. Dzięki temu można ją było przeprowadzać z miejsca na miejsce. Teresa jak dziecko cieszyła się z tego wynalazku i wynagrodziła Jórna dwoma błyszczącymi talarami. Jórń był bardzo dumny i zadowolony.

Dawniej od rana do wieczora była ciągle na nogach, teraz mogła się zaledwie trochę poruszać. Najczęściej siedziała cicho w sieni. Ulokowała się przy oknie, aby widzieć każdego, kto tylko przechodził przez podwórze.

Początkowo wierzyła, że się wyleczy, ale z czasem zrozumiała, iż w tym stanie będzie musiała dożyć końca swoich dni. Bóg pokarał ją za to, że myślała tylko o bycie doczesnym, a mało obchodziło ją to, co będzie na tamtym świecie. Miała teraz czas, aby rozmyślać nad tymi sprawami, i dzięki czyniła za to, że

ostrzeżenie przyszło wówczas, kiedy nie było jeszcze za późno na poprawę.

Rozmyślała tak całe dni, tygodnie, a nawet miesiące, ale potem znów zaczęła nawracać do wszystkiego, do czego przywykła:

do kuchni i obory, i do innych miejsc, w których dawniej spędziła najwięcej czasu. Teraz Stine musiała być wszędzie. Cały dzień biegała na swych szybkich nogach, zanosząc dyspozycje Teresy to tu, to tam, zależnie od jej kaprysu. Później zdawała dokładne sprawozdanie z tego, co widziała w ciągu całego dnia.

Takim sposobem niezadługo Stine patrzyła na wszystko oczami Teresy, słyszała jej uszami i robiła swe cierpkie uwagi dokładnie według manieri Teresy. A niebawem zaczęła ujawniać jakąś staroświecką surowość; była bowiem bardzo spostrzegawcza i w każdym szczególe kopiowała swoją panią.

Po zakończeniu najważniejszych prac dnia musiała dotrzymywać towarzystwa Teresie, tak że nie miała ani minuty czasu dla siebie. Teresa uczyła ją wszystkiego, czego sama zdołała się nauczyć we własnym, zapelnionym ciągu i długoletnią pracą życia.

Początkowo służba nie mogła się przyzwyczaić do tego, aby przyjmować surowe upomnienia z młodych ust Stine. Lecz kiedy ludzie przekonali się, że uczyła się coraz więcej i że niebawem będzie umiała więcej niż oni wszyscy, przestali czynić jej wstręty.

Stine dostała po pannie Dorocie wiele z jej rzeczy i mienia. Wkrótce odróżniała się od wszystkich innych dziewcząt i kobiet we dworze zajęciami, ubiorem, sposobem mówienia i ogólnymi manierami. Ponieważ nosiła suknie panny Doroty, poczęto ją nazywać panną Kruse. Początkowo były to tylko drwiny, ale tak pozostało i wkrótce nikt już inaczej nie mówił.

Lata mijały i najmłodszy potomkowie rodu Bjórndalów byli już dorosłymi ludźmi.

Młody Dag najczęściej przebywał w lesie. Jesienią i zimą asystował przy wyrębie i zwożeniu drzewa, latem wypuszczał się na łowy za gospodarstwa położone ponad doliną, a potem coraz dalej na zachód i na północ aż do podnóży wysokich gór. Tak jak jego przodkowie — niebawem stał się na j niebezpiecznie j szym zwierzęciem w lesie: ścigał i zabijał niedźwiedzie i wilki, rysie i łosie,

lisy i kuny, orły i jastrzębie, i wszelkie stworzenia, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Inaczej było z Torem.

I on odziedziczył silną budowę swoich przodków i ich ogromną, a zgrabną postać. Miał jednak bardziej wesołe usposobienie i pociąg do przyjemności tego życia. Niejeden raz ojciec ostrzegał go przed zbytnią słabością do płci pięknej. Ale to nic nie pomagało. Z wiekiem namiętność ta stawała się coraz silniejsza i niebawem w całej okolicy opowiadano sobie, że jeszcze nie narodziła się taka dziewczyna, która mogłaby się oprzeć potędze jego oczu.

Pomimo że wszyscy o tym wiedzieli — a można by pomyśleć, że każda niewiasta będzie uciekać przed nim w okropnym strachu — kobiety garnęły się do niego jak ćmy do światła, gdziekolwiek się tylko pokazał.

Posłano go do miasta, żeby się nauczył czegoś więcej niż zwyczajni ludzie, a może też aby usunąć go na pewien czas z Bjórndal. Ale i w mieście nie działał się lepiej niż w domu. I Torę wrócił.

Mówiono potem, że z jego powodu niejedna dziewczyna wypłakiwała sobie oczy zarówno w mieście, jak i na wsi, blisko i daleko.

## XVIII

C/d czasu, gdy zbudowano nową szosę do Bjórndal, nikt nie korzystał już ze starej drogi. Nikt już nie jeździł ani nie chodził, jak ongiś, ze strachem w sercu, nad przepastnymi głębiami Doliny Dziewicy, ale to, co sobie opowiadano o niej, urosło z latami do rozmiarów grozy. Nie było też nikogo w całej okolicy, kto by nie słyszał o starej drodze.

Po zachodniej stronie drogi poszarpane skały wznosiły się niby ponure olbrzymy wysoko ku niebu, po wschodniej zaś ziemia urywała się raptownie i spadała w ciemną otchłań przepaści.

W skałach krzychały sowy i inne tajemnicze stworzenia. Czasami głązy, które obłuźniły się wskutek mrozów i tających śniegów, ze straszliwym łoskotem leciały w dół ku przepaści. Na skraju drogi leżało niezliczone mnóstwo kamieni, dużych i małych, które spadały tam w ciągu wielu wieków. Na największych z nich wyrastały drzewa, które wznosiły się jak małe góry ponad młodym lasem rosnącym dokoła. Spomiędzy kamieni wyrastały kwiaty i zioła, przede wszystkim jednak paprocie. Żmije, ropuchy, jaszczurki — słowem, wszelkiego rodzaju gady i płazy — roily się w cieniu głązów, krzaków i paproci. Jesienią zaś i na wiosnę, jak też w deszczowe dni lata, bez przerwy sączyła się tam woda.

Żadne oko ludzkie nie mogło przeniknąć przepaścistych głębi po wschodniej stronie drogi. Przesłaniały je drzewa i krzaki oraz gęste podszycie. Z przepaści zaś dochodziły dniem i nocą dziwne tony. Niektórzy uważali, że było to szemranie i bulgotanie potoku, skrytego w cieniu głębokiego jaru, ale starzy wiedzieli lepiej...

W całej okolicy mówiono o owej dolinie ze strachem. Żaden prawdziwy chrześcijanin nie śmiałyby teraz tamtędy przechodzić. W dawnych czasach nieraz znaleźli się tacy przemądrzali, którzy odważyli się iść tamtą drogą o wieczornym zmierzchu. Nikt ich już potem więcej nie widział.

Tak, starzy mieli coś do powiedzenia...

Zhańbione dziewice, które same sobie lub swoim dzieciom odbierały życie, i inni nieszczęśliwi, którzy nie spoczywali w poświęconej ziemi — te wszystkie istoty zamieszkiwały przepaść Doliny Dziewicy. Dlatego to oko ludzkie nie mogło przeniknąć zalegających ją cieni, dlatego też dniem i nocą dolatywał stamtąd płacz i łkania.

Nawet w najpiękniejszą pogodę unosiły się wieczorami nad tą głębią mgły. Ale bystre oko dostrzegało zaraz, że nie były to mgły, lecz nagie dziewice, tańczące z rozpuszczonymi włosami. Wtedy dochodziły stamtąd tak urzekające tony, że żaden żywy nie mógł się im oprzeć. A gdy na spadzistych stokach wyło i grzmiało, wtedy grasowały tam czarownice, zbłąkane dusze, trolle. Kto to usłyszał, powinien zaraz uczynić znak krzyża.

Na Hovland, w dużym majątku, położonym na wschód od Borgland, po drugiej stronie szosy, strojono skrzypce na bal, na który

1

zaproszono całą okoliczną młodzież — wszystkich, którzy coś

znaczyli. Z Bjórndal także ktoś przyjechał. Koń przywiózł tylko jednego

gościa — Torego.

Wszyscy mu się przypatrywali. Tak przystojnego mężczyzny nie oglądało się codziennie. Wzrok jego niósł groźbę, ciało było prężne siłą i prędkością. Ale dzisiejszego wieczoru nie będzie chyba taki groźny, bo na przyjęciu ma być wiele znakomitych osobistości, nawet z Borgland. W Borgland było teraz dużo gości z miasta. Wszyscy otrzymali zaproszenie na przyjęcie do Hovland.

Nie przybyli powozami, przyszli pieszo. Przecież to śmiesznie krótka droga! Dla młodych ludzi przejść się piechotą na przyjęcie, a później znów pieszo wrócić do domu — było po prostu zabawnym urozmaiceniem.

Aż pojaśniało od mundurów, świecących butów, połyskujących guzików i sprzączek i iskrzących się wesołością oczu, gdy młodzież z Borgland przy akompaniamencie pobrzękujących u boku szabel przybyła do dworu hovlandzkiego. Na przedzie tego wspaniałego orszaku płynęła Elżbieta von Gali, pani na Borgland, ze wszystkich najpiękniejsza.

O nie, w tym świetnym towarzystwie oczy Torego Bjórndala nie mogły zagrozić nikomu. Byli tu oficerowie z najlepszych rodzin w kraju, Sjynowie starych rodów, pierwsi żołnierze armii królewskiej.

Kto by tam zwrócił uwagę w takiej okoliczności na jakiegoś prowincjonalnego osobnika, ha, na jakiegoś draba z jakiejś tam leśnej wioski na północy?

Wyprostowany i milczący, ze skrzyżowanymi na piersi rękami, Torę stał niewzruszenie, gdy towarzystwo z Borgland wchodziło do środka. Wszyscy w Hovland oczekiwali ich z niecierpliwością, a to wyczekiwanie tłumilo wesołość i hamowało rozmowy. Kiedy wreszcie przybyli, wszyscy podnieśli się z krzeseł i obrócili się ku drzwiom, wszyscy oprócz Torego Bjórndala.

Stał odwrócony plecami do drzwi, z rękami założonymi na piersi i na powitanie przybyłych nie poruszył ani ręką, ani nogą. Zaś ci z Borgland — jak gdyby się zmówili — powitali wszystkich z daleka tylko skinieniem głowy i łaskawym

uśmiechem, podając rękę jedynie gospodarzom.

9 A lasy wiecznie śpiewają

229

Torę widział, jak przechodzili obok niego, widział ich łaskawie skłonione głowy — i stał tak jak przedtem. Nic go nie obchodzili. Ale czy on ich obchodził? Czy w Borgland kiedykolwiek o nim mówiono?

Spojrzenie ipanny Elżbiety przesunęło się po jego postaci, po czym zaraz powróciło i spoczęło na nim natarczywe, pytające. Znała go z widzenia z kościoła, jeszcze z młodszych lat. Wiedziała więc, kim był.

Czy wieści o bogactwie na Bjórndał dotarły do uszu panny Elżbiety? Lub to, co sobie opowiadano o magnetycznej sile jego oczu i jego niebezpiecznej władzy nad kobietami?

Drży skrzypiec, altówki i wioli śpiew, Gra klarnet z obojem i flecistów zew. Sarabanda, fandango i rytm menueta Płyną lekko i cicho po lustrze parkietu...

Torę stał ciągle jeszcze ze skrzyżowanymi rękami, gdy ipanna Elżbieta wyszła z rzęsście oświetlonej sali balowej i skierowała się ku drzwiom do sieni. Czy nie spojrzała na niego w przejściu? Czy nie szła tędy dla niego?

Czy wszyscy ci kawalerowie, których tutaj przyprowadziła, tak mało dla niej znaczyli? Czy też mogła ich wodzić, gdzie zechciała, a tylko tego jednego nie? Czy dlatego ją tak intrygował? Wyszła do sieni, zaraz jednak wróciła. Oczy jej tryskały ogniem, kiedy spojrzała ku niemu. — Dlaczego pan nie tańczy? — zapytała i nie czekając na odpowiedź, zażądała bez ogródek: — Niech mnie pan raz poprowadzi.

Skłonił głowę, podniósł wzrok — i spotkał się z jej wzrokiem. Poczula niebezpieczeństwo w jego oczach. I ona także, Elżbieta von Gali! To, co mówiono, było więc prawdą. Nikt nie może wymknąć się swemu przeznaczeniu. Torę stał i przez cały czas myślał o słowach ojca, których musiał wysłuchać, wyjeżdżając z domu; o jego przykazaniu, aby zachował się przyzwoicie i nie uwodził panienek z dobrych rodzin. Jakaś ręka zdawała się go dzisiaj powstrzymywać, nie pozwalając mu tańczyć. A teraz właśnie ta rezerwa stała się przyczyną wy-, stąpienia Elżbiety, tego upartego, rasowego konia. Znudzona swy-

mi kawalerami, z którymi świętowała i tańczyła dzień w dzień, a równocześnie zaintrygowana jego osobą, musiała koniecznie z nim zatańczyć.

Biedna Elżbieta von Gali!

Była silna jak niejeden mężczyzna i słaba jak niejedna kobieta. Miała pięknego konia, za którym przepadała i którego pieściła i całowała. Ale innymi razy biła go batem i kłuła Nielitościwie ostrogami, tak że cały drżał z bólu. Miała też ślicznego psa. Tuliła go dziko do siebie i psuła ciągłymi pieszczotami. A później go biła. Jego żalosne wycie nic mu nie pomagało; z tym większą złością cięła go swoją szpicrutą.

Taka była Elżbieta von Gali, ta „zła”, jak ją nazywano, podobnie zresztą jak matkę. Mężczyźni jednak nazywali ją: „piękna”.

Lubiła zdobywać mężczyzn, doprowadzać ich do szału, a później mrozić ich jednym, jedynym spojrzeniem. Taka była.

Czy szukała czegoś w życiu? Czy szukała czegoś u mężczyzn? Owszem, nawet i ona. Ale wszyscy, nie wyłączając marsowych żołnierzy ze sprzączkami i pasami, stawali się bezwolni i słabi, gdy słowem lub spojrzeniem udawała, że jest im życzliwa.

Być może, szukała kogoś, kto miałby wolę równie silną jak jej własna, lub jeszcze silniejszą. Szukała mężczyzny, prawdziwego mężczyzny — chociażby nawet wrogo się do niej odnosił. Może właśnie dlatego, na przekór konwencji i opinii, sama podeszła do tego jednego, który tylko stał i przyglądał się tańcom?

Pamiętała, co o nim mówili, i może chciała się sama przekonać, czy mówiono prawdę o jego niebezpiecznym wzroku, i wypróbować siłę jego woli?

Tańcząc przesunęli się na salę, panna Elżbieta i Torę. Dlaczego oczy wszystkich patrzyły za nimi?

Czy dlatego, że byli piękniejsi niż wszyscy inni, lub dlatego, że tak wspaniale do siebie pasowali? O tak — powodów było dużo...

Od wielu pokoleń mieszkali obok siebie — jedno w Borgland, drugie w Bjórndal — ale nigdy jeszcze nie widziano, żeby się sobie choć tylko kłaniali. Zawsze rozdzielała ich nienawiść i pogarda.

A teraz tych dwoje młodych tańczyło ze sobą, tutaj, w tej sali... Wszyscy oniemieli ze zdumienia. Przecież panna Elżbieta śmia-



ła się głośno i rozmawiała, twarz Torego również jaśniała radością, a oczy rzucały dziwne błyski.

Tańczyli jeden raz ze sobą, następnie zmienili partnerów, ale potem znowu wracali do siebie i tańczyli albo stali razem, wymieniając wesołe, błyskotliwe uwagi.

Gospodarz na Hovland miał córkę — dojrzałą dziewczynę, dla której właśnie zaproszono Torego. Panna ta poznała go kiedyś i zapalała ku niemu głęboką miłością. Szybko się zakreśliła, gdy Torę przez chwilę był sam, podeszła do niego, a potem zaraz zatańczyli.

Panna Elżbieta nie opuściła żadnego tańca, lecz uśmiech jej znikł. Śledziła wzrokiem tylko tego jednego, który raz po raz przesuwał się koło niej. Ilekroć spojrzała na jego partnerkę, lico jej bladło od złości.

W przerwach między tańcami podawano napoje i przekąski. Od śmiechu i rozmów stawało się coraz gwarniej.

Panna Elżbieta odeszła jeszcze przed końcem zabawy. Powiedziała, że nie czuje się zbyt dobrze, po czym wezwała swego ostatniego partnera, aby odprowadził ją do domu. Był to lew wieczoru — porucznik Ludwik von Margas.

Swoje wyjście wymanewrowała tak, aby przechodzić obok Torego Bjorndala.

Rzuciła mu w twarz kilka słów. W oczach jej było wyzwanie, usta wykrzywiły się szyderczo. Towarzyszący jej porucznik zaśmiał się głośno.

Torę stał przez długi czas w milczeniu. Potem zawrócił i poszedł za nimi.

Elżbieta i porucznik skręcali właśnie w aleję prowadzącą do Borgland, gdy usłyszeli za sobą czyjeś kroki. Ktoś szedł szybko za nimi. Zatrzymali się i ze zdziwieniem obejrzelili za siebie. Porucznik-olbrzym stanął mocną nogą między Elżbietą a Torem. Torę chciał pomówić z panną Elżbietą sam na sam, jeśli mu pozwoli. Chciał bowiem dać odpowiedź na jej ostatnią uwagę. Lecz piękności Elżbieta powiedziała już swoje ostatnie słowo i nie miała najmniejszego zamiaru powracać do rozmowy. Dumnie podniosła głowę, zmierzyła zimnym wzrokiem przybysza i weszła w cieniastą aleję.

Torę chciał pójść za nią, ale olbrzymia ręka porucznika von Margasa spoczęła na jego ramieniu, aby odepchnąć natręta na bok. Padło błyskawiczne i śmiertelnie twarde uderzenie — i porucznik jak długi rozciągnął się na chłodnej, jesiennej ziemi. Torę tymczasem wszedł w aleję. W gałęziach drzew szumiał wiatr, ścieląc u stóp jego zwiedłe liście.

Tą samą aleją, oddzielającą szosę od domu na Borgland, szła panna Elżbieta, dumna jak królowa. Torę dogonił ją, gdy była na połowie drogi.

W świetle księżyca twarz jej zbladła jak kreda, gdy zauważyła, że to nie nadchodzi silny i olbrzymi porucznik, lecz Torę Bjorn-dal, którego swym złośliwym szyderstwem śmiertelnie obraziła. Jednym spojrzeniem za siebie mogła się przekonać, że porucznika nie było w pobliżu.

— Łaskawa pani — odezwał się Torę głosem trzęsącym się od pasji — podziękowała mi pani odchodząc, a potem powiedziała, żebym czym prędzej odszedł i nadal bawił się głupiutkimi kobietami, które, według pani, darzę szczególnymi względami. Wybawiłem ją od nudów, powiedziała mi pani — Torę podszedł do niej bliżej — ale nie otrzymałem pocałunku na pożegnanie, panno von Gali!

I oto pośrodku owej pysznej alei borglandzkiej Torę objął i przycisnął do siebie Elżbietę von Gali. Z gniewu i strachu była na pół przytomna. Nie mogła wydobyć głosu.

Pomimo stawianego oporu leżała w jego potężnych ramionach jak przystrojony w jedwabie manekin i podczas gdy księżyc rzucał bladoniebieski blask, a liście jesienne szeleściły na drodze, Torę całował pannę Elżbietę, aż pękła jej warga i z ust poczęła sączyć się krew.

— Tak więc i ja dziękuję za naszą zabawę, piękna pani — powiedział Torę, po czym uklonił się z uszanowaniem i odszedł aleją ku Borgland.

Z rozwianym włosom, bez płaszcza, w eleganckim stroju wieczorowym maszerował długim krokiem w kierunku północnym, aby zejść na starą drogę do Bjórndal, prowadzącą nad przepaścią Doliny Dziewicy.

Po tym incydencie nie miał żadnej ochoty wracać do Hovland. Można było na drugi dzień posłać kogoś po konia.

Pośrodku drogi stała panna Elżbieta, milcząca i sztywna jak posąg. Koronkową chusteczkę przyciskała do krwawiących ust.

Może to nie tylko usta krwawiły? Twarda i butna szła zawsze swoją drogą, odnosząc się z pogardą do wszystkich i do wszystkiego, bo zawsze jej wola była prawem i rozkazem — aż do tej chwili.

Teraz otrzymała karę.

Po raz pierwszy natknęła się na kogoś, kto zlekceważył jej wolę i odplacił pogardą za pogardę. Czy znienawidziła go za to?

Ktoś nadchodził spieszenie aleją. Elżbieta obróciła się i skierowała się wolnym krokiem do dworu. Był to porucznik, który wreszcie ocknął się po owym straszliwym uderzeniu.

— Czy uczynił pani jakąś zniewagę? — zapytał ochryłym, zrozpaczonym głosem.

— Sam się go zapytaj, dzielny rycerzu —• odparła wskazując, którądy poszedł Torę.

Elżbieta udała się prosto do domu. Porucznik von Margas wyciągnął szablę i ruszył w kierunku Doliny Dziewicy. W świetle księżycyca twarz jego czerwieńiła się i bladła na przemian.

Wiatr się wzmógł. Skarżył się i zawodził w gałęziach drzew, zmiatał liście na kupki i znów je rozrzucał po alei. Gdzieś daleko na równinie zawył pies, a ze skał nad doliną odezwał się przenikliwy krzyk sowy.

Porucznik wrócił. Trzymał jeszcze w ręku szablę, ipcz nie lśniła już tak pięknie w księżycowym świetle. Dziki sza) miotał nim tak długo — oprzytomniał teraz dopiero, gdy wszedł do alei. Wlepił przerażony wzrok w zakrwawione ostrze i chwycił się za głowę.

Na miłość boską, do jakiego to czynu dał się doprowadzić? : Królewska broń w ręku oficera, użyta przeciwko bezbronnemu! O, dzielny i odważny poruczniku von Margas! Elżbieta, ta z piekła rodem, splamiła jego imię na zawsze, złamała mu karierę, spustoszyła jego życie. Jak we śnie zeszedł z drogi i wbił szablę głęboko w ziemię. Aż po rękojeść. Wyczyścił ją i wytarł ręce o trawę. Potem przez długi czas stał nieruchomo, oparty o jedno z drzew. Raz tylko jęknął, a w tym jęku drżał ból nieopisanej męki.

Naraz ziemię jak gdyby coś uniosło do góry. Drzewo, o które się opierał, zachwiało się. Grunt zakołysał się pod jego stopami zaś stamtąd, gdzie popełnił ten ohydny czyn, dobiegł straszliwy huk, jak gdyby od uderzenia dwudziestu piorunów, a potem rozbrzmiewał długo i głucho odgłosem bezdennej otchłani. Blady jak śmierć, drżąc na całym ciele, stał oniemiały, nie mogąc dobyć tchu. Nie wierzył w żadne czary, ale chyba tej nocy wrota piekieł stanęły otworem.

Zabawa w Hovland prawdopodobnie już się skończyła; słyszał bowiem głosy osób nadchodzących z tamtej strony. Szybko skradając się w cieniu drzew, przemknął się niepostrzeżenie do dworu.

Całą noc przeleżał bezsennie, namyślając się nad tym, co należało robić następnego dnia. Czy miał powiedzieć pułkownikowi o tym, co się stało, i pozostawić mu decyzję, czy... Co, na Boga, miał zrobić?

Rano wstał bardzo wcześnie. Ręce mu się trzęsły, twarz była śmiertelnie blada.

Pierwszą osobą, z którą się zetknął, był sam pułkownik.

— Czy słyszał pan już, co się stało dzisiejszej nocy? — zapytał go von Gali.

„Czyżby już się wydało?” — pomyślał von Margas i wyschnięty język przywarł mu do podniebienia.

Ale pułkownik nie czekał na odpowiedź.

— Wierzchołek Wielkiego Młota stracił swój kształt. Blok wielki jak góra runął do Doliny Dziewicy. Dawno już tego oczekiwaliśmy; dziwne jednak, że stało się to teraz, na jesieni. Takie rzeczy dzieją się zwykle wiosną, gdy puszczają lody. Ale blok przechylał się już przez całe lato, a tej nocy wichura dokonała reszty, przyspieszając jego obsunięcie.

Pułkownik mówił dalej na ten temat; z tego, co jeszcze usłyszał, młody człowiek zorientował się, że skała stoczyła się w bardzo dogodnym dla niego miejscu, gdzie... Po wielu godzinach mógł nareszcie znowu odetchnąć!

Ale męki jego jeszcze się nie skończyły.

Nieco później tego samego dnia jakiś człowiek przybył pojąłem zaprzężonym w czarnego konia. Po raz pierwszy w dzie-

jach dwóch rodów koń z Bjórndal pojawił się w tym miejscu.

Koniem tym przyjechał ojciec Dag.

Pragnął pomówić z panną Elżbietą i z pewnym porucznikiem o nazwisku Margas. Sam pułkownik wyszedł do niego. Twarz jego tchnęła chłodem.

— Czego pan sobie od nich życzy?

— Chodzi mi tylko o kilka słów w bardzo ważnej sprawie. Tak oto doszło do drugiego spotkania między Dagiem Bjórndalem i von Gallem.

Kiedy tamtych dwoje nadeszło, Dag zapytał ich, czy rzeczywiście syn jego poszedł za nimi z Hoyland tej nocy. Mówili mu o tym ludzie z równiny.

— Tak — odparła panna Elżbieta. — Udał się potem starą drogą na północ. Tam, gdzie dzisiejszej nocy obsunęła się skała — dodała.

Dag słyszał już o obsuniętej skale. Czoło jego zmarszczyło się; poza tym twarz jego ani drgnęła.

— Czy nie macie mi nic więcej do powiedzenia? — spytał ponuro.

Nie. Nie mieli nic więcej do powiedzenia.

— Czy... on nie wrócił do domu? — spytała panna Elżbieta. Na twarzy jej widać było walkę między radością i strapieniem.

— Nie znalazł go pan? — zapytała. Wzrok Daga zatrzymał się na długo na pięknych, a twardych rysach twarzy panny Elżbiety, a potem na niespokojnych oczach

i drżącej ręce porucznika. Dag Bjórndal siadł do powozu i odjechał, kierując się na starą

drogę nad przepaścią Doliny Dziewicy. Już z daleka docierał stamtąd śwąd, jaki wydzielają rozcierane o siebie kamienie. Blok skalny zrobił wielką wyrwę w drodze, prawie zupełnie ją przecinając, i stoczył się dalej na dno przepaści.

Dag wysiadł i zsunął się, jak mógł najgłębiej, po stromym zboczu jaru. Nie znalazł żadnych śladów po Torem — zresztą obsunięty blok skalny był tak wielki, że mógł pogrzebać na zawsze nawet pięćdziesięciu ludzi. Droga była już nie do przebycia, musiał więc zawrócić i jechać znowu przez Borgland.

W miejscu, gdzie droga łączyła się z aleją, stała panna Elżbieta.

— Nie znalazł go pan? — zapytała.

— Nie.

— Czy schodził pan w dół do jaru? — dopytywała, przy czym głos jej drżał; nie wiadomo: ze zgrozy, czy radości?

— Tak — odparł krótko i odjechał.

Porucznik von Margas dowiedział się od panny Elżbiety, że nie natrafiono na żadne ślady.

Widziała, jak na jego umęczonej twarzy zaraz pojawił się wyraz ulgi, i powiedziała:

— Przebił go pan z nienacka, od tyłu, przypuszczam? Zrobił się szary jak popiół na całej twarzy, obrócił się i odszedł bez słowa.

Czy widziała, jak wrócił i jak wycierał szpadę przed obsunięciem skalnego bloku? Tego się von Margas nigdy nie dowiedział. Ale następnego dnia wyjechał i więcej już do Borgland nie powrócił.

Warga panny Elżbiety nie chciała się zagoić. Na zimnym powietrzu znowu pękała i krwawiła. Czasami krwawiła z zupełnie niewiadomego powodu. A może ipanna Elżbieta sama dbała o to, aby się nie zagoiła — na pamiątkę po tym jedynym prawdziwym mężczyźnie, jakiego spotkała?

Odtąd ludzie w sąsiednich parafiach kiwali tajemniczo głowami, ile razy rozmowa schodziła na temat śmierci Torego Bjórndala. Było zupełnie jasne, że został zabrany przez istoty zamieszkujące Dolinę Dziewicy. Pomyślcie tylko, jak on traktował niewinne dziewczyny, póki żył na tym świecie! A na domiar wszystkiego poszedł tam sobie w noc księżycową! Nikt by nie uwierzył, że człowiek może posunąć się aż do takiego zuchwalstwa — i proszę, czym się to skończyło.

W Bjórndal śmierć Torego pozostawiła głębokie ślady.

Najspokojniej zniósł ten dotkliwy cios ojciec Dag. W każdym razie nie dał nic po sobie poznać. Zapowiedź Ane Hamarrbó sprawdziła się. Oczekiwał tego i był na to przygotowany. Ale ze strapieniem myślał o tym, że chłopiec jego nie spoczywa w poświęconej ziemi.

Młody Dag był niepokojony i odtąd stale przebywał w lesie. Był teraz rzadkim gościem w domu.

Najbardziej cios ten dotknął Teresę. Zdrowie jej doznało no-

wego wstrząsu i siły tej zawsze wytrzymałej kobiety poczęły poważnie zanikać.

Pewnego wieczoru pod koniec zimy panna Kruse spokojnie jak zwykle weszła do sieni, gdzie Dag rozmawiał z kapitanem. Poprosiła go, aby udał się do Teresy. Podniósł się szybko i pospieszył do jej izby. Teresa siedziała w swoim fotelu. Zobaczywszy go, wyciągnęła ku niemu obie ręce. Oczy jego były dziwnie wilgotne, gdy się do niej zbliżył.

— Moja godzina już przyszła — powiedziała. — Tak mi zimno w plecy. Życie uchodzi z mego ciała.

Dag przyniósł sobie krzesło i usiadł naprzeciw niej. Ujęła go za ręce i pochylila głowę zmęczona i bezradna.

— Dziękuję ci, Dag — powiedziała za chwilę — dziękuję za wszystkie te szczęśliwe dni, które przeżyliśmy razem. I niech Bóg przebaczy mi wszystko, co źle czyniłam i spełniałam.

Dag trzymał jej ręce ostrożnie, delikatnie, jak gdyby to były malutkie pisklęta. Głowa jego pochylała się i opadała coraz niżej, przygniatana straszliwym ciężarem. Głos mu się załamał, ledwie wykrztusił słowa:

— To ja powinienem podziękować tobie za wszystkie trudy, które przez całe te lata ponosiłaś dla mnie i dla dzieci.

Panna Kruse obawiała się już od kilku dni, że coś się stanie, i wysłała kogoś do lasu, aby sprowadził młodego Daga. Ojciec Dag domawiał właśnie tych słów, kiedy otworzyły się drzwi i cichutko jak duch młodzieniec wsunął się do izby i przyklęknął przy fotelu matki. Pędził z lasu tak szybko, że o mało serce nie wyskoczyło mu z piersi. Teresa widziała go jak przez mgłę — bo już pierwsze cienie śmierci przesłaniały jej oczy.

— Czy to ty, mój chłopcze? — powiedziała cicho, kładąc mu drżącą rękę na głowie. — Niech cię Bóg błogosławi za to, że przyszedłeś..

Teresa Bjórndal wyrzekła swe ostatnie słowa.

Młody Dag płakał po raz pierwszy od czasu, kiedy dorósł. Długo nie mógł się uspokoić, długo opłakiwał matkę. Miał jej teraz tyle do powiedzenia, tysiące dobrych i kochanych słów, które nigdy nie wyszły z jego ust. Teraz było już za późno.

Jego silna, wielkoduszna matka odeszła na zawsze.

Takiego pogrzebu, jaki miała Teresa Bjórndal jeszcze w tych okolicach nie widziano. Mimo bezwładu prawie całego ciała, który od kilku lat zmuszał ją do bezczynności, ludzie przychodzili do niej, szukając rady i pomocy w swej niedoli i troskach. Aż do ostatniego dnia dzielnie opanowywała swe własne cierpienia i dbała o ludzi z całego osiedla, niosąc ulgę i pomoc każdemu, kto jej potrzebował.

Ci, którzy mieli konie, jechali, zaś ci, którym nie udało się uczepić jakiegoś wozu, szli pieszo — wielcy i mali, starzy i młodzi — szli całą drogę do kościoła.

Tak, nawet ludzie z otwartej równiny przybywali i dołączali się do pochodu.

A potem, kiedy było po wszystkim, śmiertelna cisza zapanowała dokoła. Cisza w osiedlu i cisza we dworze. Ludzie poruszali się w milczeniu i oglądali się nieśmiało za siebie...

Młody Dag ruszył znowu w lasy. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewał. Panna Kruse chodziła cicho jak duch, wykonując swoje zwykłe czynności, zaś stary kapitan siedział pilnie nad księgami i dokumentami, tak jak i przedtem.

A ojciec Dag? On, który ostatnie słowa Doroty i wszelką pamięć o niej zagłuszał brzękiem pieniędzy. On, który zajechał przed dwór w Borgland i stanął oko w oko z tym wielkim panem von Gali. On, który zeszedł bez wahania niemal na same dno osławionej przepaści, nie tkniętej jeszcze stopą ludzką — czyż taki człowiek nie umiałby sobie poradzić z czymś, co jest wspomnieniem po żonie?

Czyżby nie chodził już tak pewnie po ziemi? Czyż nie jeździł z tą d. ^wna bezwzględnością po różnych drogach, aby tratować szczęście ludzkie?

Ale człowiek, który prawie przez trzydzieści lat chorował na najbardziej nieuleczalną chorobę tego życia, nie może być uleczony w ciągu jednego dnia.

Nie. Przy śmierci Teresy Bjórndal nie stał się żaden cud, jak to ongiś zdarzało się przy grobach świętych. Również w rocznicę Jej śmierci nie został uzdrowiony żaden chory i cierpiący. Ale dobrzy ludzie są silni; jakże często pomagają życzliwym słowem i czynem, a nade wszystko — sercem.

Po zgonie Teresy ojciec Dag doświadczył tego samego uczucia,



co kiedyś w młodości, gdy musiał przeżywać nagłą śmierć brata. Teresa przez długi czas była złożona niemocą i śmierć jej nie nadeszła nieoczekiwanie. Ale stary Dag był stale tak zajęty, że nie zauważył żadnych oznak pogorszenia. Stąd śmierć żony była dla niego ciosem, na który absolutnie się nie przygotował. W godzinę jej śmierci i w czasie dni, które po niej nastąpiły, odezwały się w nim dawne zapomniane uczucia. Głęboko, gdzieś bardzo głęboko poruszyło się w nim coś, co kiedyś było uczuciem, lecz zostało sparaliżowane na twardej drodze pieniądza.

Po śmierci Teresy jego tryb życia stał się bardziej spokojny. Odczuwał ciszę, która nastąpiła, i bolał na swój sposób. Bolał nad swym własnym, wątpliwej wartości zmartwieniem, nad czymś, co nie istniało. Bolał nad tym, że nie odczuwał żalu nad stratą takiego człowieka, jakim była Teresa. Kiedy tak się nad tym zastanawiał, stała się przedziwna rzecz: doszedł do odkrycia swojej własnej choroby.

Dobrzy ludzie posiadają moc. Nie tylko w życiu, nie, nawet i po śmierci. Teresa powracała na ten świat w myślach Daga, w czasie jego samotnych, nocnych godzin.

W dolinie znowu zapanowała wiosna. Brzozy i inne drzewa, porastające stoki wzgórz, pokryły się świeżą zielenią; jaskółki wesoło fruwały w powietrzu; kwiaty z uśmiechem kiwały główkami w trawie tak jak każdej wiosny. Nie potrzebowały się lękać, śmierć im nie groziła.

Młody Dag szedł pogrążony w ponurych myślach. Ale oczy jego były otwarte i widziały wszystko tak jak dawniej. Widziały, jak pierwsze kaczeńce wyrastały na przydrożach i jak malowany błękitem zawilec wychylał się spod topniejących śniegów w zacisznym lesie. Jego szeroka pierś chłoneła zapachy wiosny i jej ożywcze tchnienie, a w młodym ciele krążyła i pulsowała krew. Tak to jest z życiem!

Klinge, ten stary wojak, przez całą zimę wygrzewał swoją podagrę przy nigdy nie wygasającym ogniu kominka i piekł się w łóżku pod futrzanymi skórąmi. A kiedy wiosenne słońce ozłociło znowu drogi i wzgórze, wyprostował grzbiet i pomaszzerował bez laski.

Przez pierwsze tygodnie po śmierci Teresy ojciec Dag spał bardzo źle. Leżał i rozmyślał o różnych rzeczach. Czas, który upłynął od chwili przybycia Teresy do Bjórndal aż do jej śmierci, wydawał mu się nieprawdopodobnie krótki. A jednak było to Już trzydzieści długich lat! Zdawało mu się, że nie zdążył z nią nawet porozmawiać, tak szybko uleciał czas. Niekiedy miał wrażenie, że jej dobrze nie znał, dopóki nie umarła. I wtedy paliło go uczucie wstydu, dręczącego wstydu. Było ciepłe jak krew i nie nrógł się zeń otrząsnąć. Zupełnie tak, jakby zaciągnął dług, któ-

rego już nigdy nie będzie mógł spłacić, ponieważ wierzyciel odszedł na zawsze.

On, który nie znał litości dla swych dłużników, obecnie sam dźwigał na sobie dług. Nie uświadamiał sobie, na czym właściwie polegało to zobowiązanie, ani czy w ogóle konkretnie istniało. A jednak coś go dręczyło, coś w głębi jego jestestwa — tam szarpał go jakiś tępy, nieokreślony ból. Jakby wyrzut sumienia. Wstyd... Dług...

Jeździł tak jak dawniej do miasta i po okolicy. I tak jak dawniej spadał na ludzi jak chciwy łupu jastrząb. Czarne konie niosły ze sobą złowieszczy stuk kopyt, siejąc trwogę i postrach, gdzie tylko się zjawiały, i pozostawiając za sobą rozpacz i beznadziejność. Tak jak zwykle. Teraz jednak udawał się w drogę raczej z przyzwyczajenia i nie cieszyło go to tak, jak dawniej. Jeździł więc potem coraz rzadziej, a z biegiem czasu zdarzało się, że czarny koń z Bjórndał nie zjawiał się nawet wtedy, kiedy był oczekiwany.

Pewnego dnia do Bjórndał przyszedł jakiś stary człowiek. Chciał zatrzymać się przez chwilę we dworze, aby wypocząć. Panna Kruse nie umiała sobie poradzić, jak się go pozbyć. Starzec nie miał domu i prosił tak bardzo, że w końcu, choć było to nie do pomyślenia, musiała powtórzyć jego prośbę Dagowi. Początkowo ojciec Dag obrzucił ją zimnym wzrokiem. Potem zapulsowało w starej bliźnie na skroni, zęby zacisnęły się, głowa podniosła się powoli i oczy zapatrzyły się w dal. Wreszcie padła odpowiedź.

— Zrób tak, jak się to zwykło robić za czasów Teresy.

Panna Kruse zarządziła więc tak, jak bywało za rządów Teresy: starzec otrzymał dach nad głową, a potem przyjmowano także innych. Na folwarku, w osiedlu i w całej okolicy zapanowało powszechne zdumienie.

Ojciec Dag zaczął wychodzić poza obręb podwórza. Tylko parę kroków, ale już od kilku lat nie zdarzało się, aby gdziekolwiek wychodził. Czasami przystawał, zakładał ręce do tyłu, zaciskając je silnie jedną na drugiej, i pochylał głowę, jak gdyby czegoś nasłuchiwał — najczęściej wtedy, kiedy wiatr niósł ku niemu głucho poszumy lasu.

Pewnego dnia .wczesną wiosną Dag wydał pannie Kruse niezwykle polecenie. Miała przygotować prowiant dla dwóch osób na jeden dzień i wyszukać dla niego i dla kapitana jakieś stare ubrania i buty ze skóry łośiowej. Ludzie ledwie wierzyli swoim oczom, gdy następnego ranka zobaczyli, jak ojciec Dag założył na ramiona plecak i pomaszerował swoim zwykłym długim krokiem w kierunku odległych łąk, tak jak za dawnych czasów. Klingę dreptał za nim.

Dla starego kapitana było to bardzo uciążliwe; często też musiał przystawać. Jeszcze nigdy nie widział człowieka, który by stawiał tak długie kroki, jak ojciec Dag.

Słońce stało już wysoko, kiedy doszli do jakiegoś wielkiego jeziora. Nazywa się Róisla, objaśnił Dag kapitanu. Na północnym brzegu stała mała chata. Z komina wydobywał się słaby dym. Przyspieszyli kroku i weszli do chaty. Zastali tam młodego Daga, który smażył ryby na żarze między kamieniami paleniska. Szybko wstał i uśmiechnął się do nich zaskoczony. Ojciec i syn nie patrzyli na siebie, byli nieco zażenowani... Tak, dziwne to było spotkanie. Jak gdyby władcy lasu — stary i nowy — po raz pierwszy ujrzeli siebie. Z pewnością jednemu i drugiemu ta sama myśl przemknęła przez głowę; jak to już dawno temu, kiedy razem chodzili po lasach. Dag był wtedy jeszcze małym chłopcem, a tymczasem te lasy stały się jego własnością, wszystkie, jak długie i szerokie.

A teraz zjawił się tutaj stary Dag, on, który może w swych młodych latach działał i panował w tych lasach bardziej potężnie, niż ktokolwiek przed nim. Młody człowiek stał onieśmielony, nie wiedząc, co począć ze sobą, a wszechwładny pan licznych włości i lasów, rozporządzający ludźmi na przestrzeni wielu parafii, stał teraz, jak gdyby pytał skromnie o pozwolenie, czy może usiąść w swej własnej starej chacie.

Młody Dag znalazł wyjście z tej krępującej sytuacji. Miał jeszcze gdzieś więcej ryb i cieciorkę, którą należało oskubać. Najlepiej znaleźć coś do roboty. To pomaga i ułatwia wszystko. Klingę usiadł i zdjął buty. Miał obtarte nogi. Ojciec Dag także zajął miejsce. Jakiś czas trzymał głowę nisko pochyloną, lecz potem oczy jego zaczęły oglądać wszystko dokoła, a nozdrza za-<sup>ę</sup>ły mu się podnosić jak u psa na tropie. Widział, jak syn jego

wybierał się do lasu wczoraj po południu, i domyślał się, że zapewne zostanie tutaj przez jeden dzień, aby łowić ryby. Ale czego właściwie chciał od tego młodego człowieka? I po co ciągnął za sobą biednego kapitana?

Nie wiedział dokładnie, o co mu chodziło. Pamiętał tylko, że w młodości, kiedy coś wyprowadzało go z równowagi, szedł do lasu. Zaś dzisiaj różne myśli chodziły mu po głowie i nie mógł się od nich opędzić. Może coś ciągnęło go do syna — do jego syna i Teresy. Wziął kapitana ze sobą, aby nie znaleźć się sam na sam z chłopakiem. Gdyż stary i młody, ojciec i syn, byli sobie obcy. Tak obcy, jak to się zdarza u ludzi twardych i zamkniętych w sobie. Ojciec Dag coraz częściej rozmyślał o tym młodym, który dorastał pod jego bokiem. Pewnego dnia ożeni się, a wtedy — zgodnie z tradycją — stanie się mu równy. Dla starego nie była to miła perspektywa. Był zbyt samowładny i przyzwyczajony do absolutnego posłuchu, aby dopuścić kogokolwiek do równości na swoim własnym terenie. To prawda, chciał zanieść swe myśli do lasu, głównie jednak przyszedł tu po to, aby znaleźć się blisko tego młodego człowieka, zrodzonego z jego własnej krwi, i aby się przekonać, czy w ten sposób umniejszą w pewnej mierze tę wielką i dotkliwą samotność, w jakiej był pogrążony od tylu lat. Młody Dag starał się zwalczyć w sobie to nieznośne uczucie obcości. Wyczyścił ryby, obłożył je gliną i zręcznie wsunął do żaru. Równocześnie na różnie z sykiem piekły się ptaki. Jego giętka postać to podnosiła się na wysokich jak u łosia nogach, to opadała sprawnym ruchem zwinnego zwierzęcia. Przez ciągłe przebywanie w lesie wyrobił sobie prędkie, elastyczne ruchy. Kapitan wypoczywał utrudzony i tęsknym okiem śledził młode ruchy chłopca. Stary Dag wyciągnął tymczasem z plecaka chleb i masło, wydobył pocięte czarki ze srebra i cyny i manierkę z wódką. Tej przyjemnej godzinki, jaką potem spędzili, nikt

z całej trójki nie zapomni.

Kapitan jadł ryby, ptaki i chleb, przy czym łykał wódkę, tak że ryby pluskały, a ptaki podskakiwały — jak mówił. Młody Dag poruszał się zręcznie i szybko i pomimo że sam dużo jadł, miał jeszcze czas nakładać starym ryby i mięso. Powoli podniosła się głowa ojca, rysy jego twarzy wygładziły się, dobrotliwy humor zaczął patrzeć mu z oczu.

Ojciec i syn nie odezwali się do siebie ani razu. To, co mieli do powiedzenia, opowiadali kapitanowi, który mówił za jednego i drugiego.

Od tego dnia ojciec Dag regularnie odbywał małe wycieczki do lasu. Nigdy nie zapuszczał się daleko, szedł tylko kawałek drogi, po czym wyszukiwał sobie miejsce, gdzie mógł usiąść i skąd mógł mieć daleki widok na okolicę. Rozkoszował się chłodnym tchnieniem wielkich lasów, przynoszących ze sobą zapach sosnowych drzew i echo dalekich poszumów, a z nimi wspomnienia czasów, kiedy był jeszcze młody.

Szukał czegoś w sobie samym, czegoś, co już dawno zatracił, a co — miał nadzieję — może odnajdzie tutaj, w lesie. Kiedyś, owych dawnych dni zawsze tak silnie odczuwał radość i strapienie, gniew, nienawiść i wstyd, i wszystkie więzy łączące go z rodziną, dworem i osiedlem. Tak, tego w sobie szukał — szukał człowieka. Ale szukał daremnie. Może wspomnienia owych dawnych leśnych wędrówek dopomogą mu trochę i sprawią, że te wyschnięte korzenie prawdziwego życia zakiełkują w nim na nowo. W rzeczy samej miał już uczucie, jak gdyby coś się w nim rodziło, co może nabrać sił i życia, jeśli tylko będzie powracał do owego świeżego i życiodajnego świata swej młodości.

Teresa strzegła go po swojej śmierci. Kiedyś, gdy żyła, czuwała u łóża tyłu chorych. Teraz, gdy umarła, czuł, że ciągle pozostawała przy nim.

Już po owej pierwszej wycieczce do lasu twarz Daga zmieniła wygląd — nie była już tak skrzywiona, a wyraz chytryści stracił na ekspresji. Najbardziej ożywiał się wszakże, gdy syn był w domu. Jeśli wiedział, że go nikt nie obserwuje, przypatrywał mu się długo i ciekawie, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie naprawdę sprawę z tego, że ma syna.

XX

-/V adeszło lato, potem jesień i zima. Wreszcie znowu wiosna i znowu lato zapanowało w lasach i dolinach. Przez całe najgorętsze miesiące w Borg-

!• A la«y wiecznie śpiewała

land byli goście. Jedni przyjeżdżali, drudzy wyjeżdżali. A kiedy lato miało się już ku końcowi, przybył do Borgland major Barre wraz z córką Adelajdą. Major był kolegą pułkownika. W młodości spędzili razem wiele poważnych i wesołych chwil. Obecnie jednak żyli w odrębnych warunkach. Podczas gdy pułkownik von Gali był dumnym panem na Borgland, major Barre borykał się w mieście z biedą i długami.

Lato doszło swego kresu i mgły jesienne snuły się nad drogami i polami. Niezadługo major wraz z córką mieli wracać do miasta, ale nie śpieszyło im się. Ani major, ani jego córka nie mieli żadnych ważnych spraw do załatwienia.

Panna Adelajda i panna Elżbieta spacerowały po ogrodzie i po drogach, ale nie zawiązały ze sobą przyjaźni. Bo tak jednej, jak i drugiej obce były wszelkie cieplejsze uczucia serca. Panna Elżbieta przeżyła kiedyś ciężkie zmartwienie. Jedyny człowiek, którego przypało jej pokochać, umarł w momencie, kiedy rozbudził w niej wielką miłość ku sobie. Od tego czasu warga jej jakoś dziwnie krwawiła. Ocierała wtedy usta koronkową chusteczką i długo przyglądała się krwawym plamom.

Panna Adelajda, córka majora, miała za sobą życie dość urozmaicone. W latach dzieciństwa mieszkała na wsi. Ojciec był wtedy porucznikiem dragonów, później kapitanem i kiedy był w domu, Adelajda wszędzie mu towarzyszyła. Nauczyła się powozić, jeździć konno — jak mężczyzna. Wszystkie zwierzęta były jej przyjaciółmi, dzieci stale gromadziły się dookoła niej. Wnosiła ruch i życie do całego otoczenia.

Gdy miała dziesięć lat, matka zabrała ją do babki, wdowy po biskupie. Odtąd Adelajda nie widziała już więcej swojego ojca, przynajmniej dopóki żyły matka i babka. I tak upłynęło wiele lat. Z pochwyconych urywków rozmów pomiędzy matką i babką domyśliła się, że ojciec zeszedł na monawce — mówiono o jakiejś aferze miłosnej i roztrwonionych pieniądzech jej matki.

Po szczęśliwym i swobodnym życiu u ojca dostała się pod surową opiekę babki. Babka była wytworną, ale arbitralną i nie znoszącą sprzeciwu osobą. Żyła wspomnieniem lat, kiedy rodzina jej zaliczała się do najpierwszych w kraju. Do tego stopnia wzywała się w ową świetną przeszłość, że wydawała się niby duch tych odległych czasów. Surowo przestrzegała form towarzyskich

— wszyscy drżeli przed bezlitosnym, krytycznym spojrzeniem tej niedostępnej, wielkiej pani.

Teraz wszystkie trzy miały się utrzymywać z majątku babki; a kto posiada środki, zwykle posiada władzę rozkazywania. Adelajda została wychowana w duchu starych zasad swojej babki. Codziennie wpajano w nią przestarzałe poglądy o różnicy stanowisk społecznych, aż wreszcie młody jej umysł wchłonął i przyjął cały sposób myślenia despotycznej babki. W tym sztywnym otoczeniu wspomnienia o szczęśliwym dzieciństwie zacierały się coraz bardziej i być może zatarły się na zawsze.

Adelajda musiała się nauczyć również wielu innych rzeczy: muzyki i ręcznych robót, francuskiego i niemieckiego, powinna była nawet coś niecoś wiedzieć o łacinie i greczyźnie. Tak uważała babka, która posiadała ogólne wykształcenie, obowiązujące w owych surowych czasach wszystkie szlacheckie córki. W domu było wiele książek pozostawionych przez zmarłego biskupa i Adelajda nie miała nawet tyle czasu, aby marzyć o dzieciństwie i szczęśliwszych dniach.

Zarówno matka, jak i babka przeżyły gorzkie rozczarowania i młoda dziewczyna często musiała wysłuchiwać, że miłość i tym podobne sprawy nie są niczym innym, jak kłamstwem. Mężczyźni — tłumaczyła jej matka — to bezwzględni oszuści; dlatego też należy trzymać się od nich z daleka.

Gdy Adelajda skończyła dwadzieścia lat, umarła jej matka, wkrótce po niej babka. Nie miała wyboru, musiała zamieszkać z ojcem, dla którego czuła pogardę zaszczerpioną jej przez matkę. Właśnie w tym czasie major otrzymał dymisję. W konsekwencji skończyły się też i pieniądze. Major był więc w nie najlepszym nastroju, gdy przyjechała Adelajda. Nie cieszyła go bynajmniej perspektywa współżycia z osobą, która śledziła każdy jego ruch krytycznym i potępiającym spojrzeniem i jeszcze bardziej była cierpka niż jego zmarła żona. Jednak major musiał mieć jakieś zalety, gdyż mimo niepowodzenia, liczne grono jego przyjaciół i znajomych nie zmniejszyło się. Jeden z dalszych jego krew-<sup>^</sup>ch dopomagał mu różnymi sposobami, i powoli wszystko stało się łatwiejsze do zniesienia, zarówno dymisja, jak i powrót córki. Ta okoliczność przywróciła mu też jego dawny dobry humor.

Otrzymywał tak jak i dawniej wiele zaproszeń, ale teraz już

u\*



wraz z córką. Czy dzięki swej świeżości, czy też dlatego, że zetknęła się z weselszą stroną życia, Adelajda zaczęła rozkwitać. Gdy zmieniała krój sukien i sposób uczesania i gdy równocześnie sposób jej bycia stał się mniej wymuszony, major odkrył jednego dnia, że miał u siebie w domu — piękność! Odtąd patrzył na córkę z prawdziwym respektem, bo piękność to było coś, co zawsze znajdowało u niego uznanie i poważanie. Dopiero teraz zauważył, że miała w sobie wytworność swojej babki i coś z owego dumnego spojrzenia i ruchów jego samego, kiedy był młody. Major, zaczął jeszcze bardziej ograniczać własne wydatki, aby córka miała jak najwięcej na udoskonalenie swojej garderoby. Tak rozpoczął się tryumfalny pochód Adelajdy. Szły za nią spojrzenia wszystkich, wszędzie, ale... Tak, było jedno „ale”. Zmieniły się czasy. Pieniądze i majątek zyskały bardzo na znaczeniu. Tego zaś Adelajda nie posiadała. A co gorsza, przez swą odrębną indywidualność była niejako odgradzona od' otoczenia niby niedostępnym murem. W połączeniu z posiadanymi wiadomościami, a nade wszystko z chłodnym, krytycznym spojrzeniem — odstraszało to wszystkich, z którymi się spotykała.

Początkowo major miał jakieś nadzieje co do jej przyszłości, ale nie znajdował dla niej żadnej dobrej partii spośród licznych wielbicieli, którzy przyciągnięci, mimo wszystko, jej niezwykłą pięknnością, gromadzili się dokoła niej. Tak przeszło prawie siedem lat, kiedy tuż przed ich wyjazdem do Borgland pannę Adelajdę spotkało przeznaczenie — poznała pewnego aptekarza. Co prawda młodość miał już za sobą, jednak uchodził za zamożnego. Nowy konkurent stał się przyczyną ostrego starcia między ojcem a córką. Nie chciała słyszeć o aptekarzu, w ogóle nie chciała wychodzić za mąż. Major wściekał się i dawał jej do zrozumienia, że w takich czasach, jak obecne, należy kierować się rozsądkiem. Tak, powiedział jej nawet, że aż po uszy tkwi w długach i że nie widzi już wyjścia z sytuacji. Adelajda była głęboko wstrząśnięta, kiedy zrozumiała, że ojciec uważał jej piękność za źródło utrzymania. Pomimo całej swojej dumy zdążyła zauważyć w ciągu lat przeżytych w mieście, że życie nie składa się wyłącznie ze starych konwenansów i grzecznych manier towarzyskich; tak, zauważyła również, że we współczesnym życiu szlachta i ludzie na stanowiskach odgrywają znacz-

nie mniejszą rolę niż dawniej i że w ogóle wszystko się jakoś zmieniło. Zresztą bieda też zostawiła na niej swój ślad. Ale ten aptekarz — nie! Tupnęła nogą; zawsze tupnęła nogą, ilekroć o nim pomyślała.

Tak przedstawiało się życie Adelajdy Barre, gdy w rozkwicie młodości, ale zimna i zgorzkniała, spacerowała z Elżbietą von Gali. Nie były sobie bliskie, nie, ale miały sobie wiele do opowiadania. Adelajda dużo bywała w towarzystwie miejskim, zaś temat ten bardzo interesował Elżbietę.

Zdarzało się, że raz ippo raz, kiedy się zgadały albo zamyśliły, przechodziły całą aleję do końca i wychodziły na główny trakt. Tutaj musiały czasami odskoczyć na bok przed końmi pędzącymi z północy. Konie były czarne jak kruki i przelatowały jak wiatr, zaś ci, którzy nimi powozili, nie kłaniali się nikomu. Wszyscy inni w okolicy pozdrawiali pannę Elżbietę z najgłębszym szacunkiem, tamci natomiast pędzili naprzód, jak gdyby piekło otworzyło się za nimi.

Już nieraz ipanna Adelajda dopytywała się, skąd pochodzą te czarne konie. Ale zawsze otrzymywała lakoniczną odpowiedź: — Z północy. — Niewiele mogła się z tego dowiedzieć i podniecało to tylko jej ciekawość.

Aż pewnego dnia spotkała w ogrodzie na rannym spacerze brata Lorenca. Nikt nie nazywał inaczej tego człowieka. W rzeczy samej był to rodzony brat pułkownika, ale dziwak i zabroniono mu pokazywać się, gdy byli goście. Dlatego spacerował po ogrodzie zawsze bardzo wczesną porą, dopóki inni nie zaczęli wychodzić z domu.

Jakoś dziwnie trzymał głowę, jak gdyby ciągle nasłuchiwał i miał się przed czymś na baczności. Zresztą wszystkiego się bał, a straszono go jeszcze więcej, aby tym pewniej ukryć go przed ludźmi. Był bowiem na pół obłąkany i nieraz zaskakiwał dziwnymi uwagami. Opowiadał, że kiedyś był bogaty i posiadał dużo pieniędzy — złoto, srebro, papiery wartościowe — ale że wszystko to stracił. Mówił jeszcze wiele innych dziwnych rzeczy.

Pułkownik musiał mieć swoje powody, aby trzymać go w ukryciu przed ludźmi.

Adelajda wiedziała o jego dziwactwach i nie zlekła się, gdy nagle spotkała go na jednej z ogrodowych ścieżek. A może właśnie

wyszła tak wcześnie do ogrodu, aby spotkać brata Lorenca? Może nieraz już zamierzała u niego zaspokoić swą ciekawość, kiedy inni nie chcieli mówić.

Pozdrowiła nieszczęśliwca uprzejmie kilku zdawkowymi słowami o zimnej pogodzie i nadchodzącej zimie. Brat Lorenc niespokojnie mrugał powiekami, jak gdyby raziło go słońce, i powiedział, że według niego Adelajda jest o wiele ładniejsza od Elżbiety. Nie tylko imię jej jest ładniejsze. I dodał:

— Elżbieta to zła istota. Zęby diabli żywcem porwali ją do piekła!

Adelajdzie zrobiło się trochę nieprzyjemnie, ale bynajmniej nie odniosła wrażenia, żeby był takim beznadziejnym wariatem. Zniżyła głos i szeptała. Wiedziała, że trzeba szeptać, żeby wzbudzić jego zaufanie i uwagę, bo inaczej myśli jego uciekają gdzie indziej. Powiedziała mu, że widziała jakieś okropne czarne konie, przelatujące w szalonym pędzie po drodze i zapytała jak gdyby w wielkim strachu, skąd one mogły pochodzić.

Lorenc słuchał z otwartymi ustami i odpowiedział najcichszym szeptem, jak gdyby powierzał jej największą tajemnicę, że konie są z dworu Bjorndal, tam na północy, na górze pod lasem i aby nadać sprawie jeszcze większej tajemniczości, opowiedział o czymś, co mu z pewnością wmawiano, by go tylko więcej nastraszyć.

— Oni mają tam jakiegoś kapitana — szeptał — który nazywa się Klingę. Trzymają go w zamknięciu zimnym i ciemnym. Nigdy mu nie dają pokoju i nigdy nie dają mu światła. Elżbieta mi to opowiadała. Mnie także chcą tam posłać, jeżeli po nocach będę głośno mówić w mojej izbie.

Adelajda dowiedziała się więcej, niż oczekiwała. O tej historii z kapitanem musi opowiedzieć ojcu, który wszędzie poszukiwał swojego starego przyjaciela. Podziękowała bratu Lorencowi i pozwoliła 'mu pocałować się w rękę — ta galanteria dla dam pozostała mu z dawnych czasów. Odszedł teraz swoją drogą z podniesioną głową, dumny jak orzeł.

Adelajda rozmyślała o starym kapitanie. Jak on się tutaj znalazł? Tak czy owak, coś z nim było nie w porządku. Prawdopodobnie i pił. 2>le się z nim obeszli, za surowo — mówił ojciec — był zawsze takim dobrym kolegą, ten kapitan Klingę. Ale dla-

czego ten biedny człowiek, nie mający grosza przy duszy, miał siedzieć w zamknięciu w ponurym dworze na północy?

Gdy tylko nadarzyła się po temu okazja, Adelajda wzięła ojca na bok i powtórzyła mu rozmowę z bratem Lorencem. Usłyszana wiadomość wywarła na nim piorunujące wrażenie. Major Barre nie posiadał się z oburzenia. Jego stary, serdeczny przyjaciel — jeśli jeszcze żyje — jest trzymany w zamknięciu niedaleko stąd? Natychmiast musi się tam udać.

Adelajda nie mogła opowiedzieć ojcu o tej sprawie wcześniej niż dopiero przed samym obiadem. Pułkownik von Gali miał duże zastrzeżenia co do wyjazdu majora w odwiedzinach do przyjaciela właśnie tam na północ, i to o tak późnej porze. Major musiał przedtem obiecać córce, że nie zdradzi brata Lorenca, gdyż ten mógłby mieć nieprzyjemności. Dlatego też w ogóle nie wspominał, że wie coś więcej o kapitanie. Napomknął jedynie, iż pragnie go przed wyjazdem do miasta odwiedzić, słyszał bowiem o jego pobycie w Bjorndal. Nie zauważył, jak twarz pułkownika spochmurniała, gdy zaanonsował swój plan podróży.

Major przynaglał i dano mu konia i powóz. Ku ogólnemu zdziwieniu i niezadowoleniu Elżbiety, Adelajda także przygotowała się do jazdy. Elżbieta dała jej do zrozumienia tonem gorzkiego wyrzutu, że nie wypada jechać do takiego miejsca. Ale Adelajda nie dała się przekonać.

Takim sposobem po raz drugi powóz dumnych panów z Borg-land pojechał na północ do Bjorndal. Major, zresztą jak każdy obcy, zatrzymał się w Hamarrbó, aby uzyskać informacje o dworze bjórndalskim i kapitanie Klingom jeszcze przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Aleja prowadząca do dworu była bardzo stroma, toteż nieiprzyzwyczajony do niej koń z wielkim trudem wspinał się pod górę. Posuwali się bardzo powoli. Mieli za to czas, by oglądać stare, o powykręcanych konarach drzewa i mchem porośnięte kamienie, ułożone w mur ciągnący się od pnia do pnia. Przez ogromne wrota, zbudowane z potężnych drzew, wjechali na podwórze i utrzymali się na zajeździe. Wszystko było utrzymane w naj-<sup>^^</sup>szym porządku, a pokryty delikatną trawką gazon robił wra-

żeniu czyściutko zamiecionej podłogi. Dąb o trzech olbrzymich konarach wznosił się jak gigant pośrodku.

Panna Kruse, czujna jak zwykle, wyszła na ganek. Patrzyła na przyjezdnych z rezerwą, ponieważ ipowóz był z Borgland, ale gdy zapytano o kapitana Klingego, skłoniła głowę już bardziej łaskawie. W sieni panowała zawsze ciemność, gdyż nie było tam okna. Wchodzącym, z zewnątrz przed zapadnięciem zmierzchu ogień na kominku wydawał się tylko słabym światełkiem. Toteż nowo przybyli nie mogli od razu przyzwycząić oczu do ciemności, dostrzegli jednak ogromną postać mężczyzny, podnoszącą się z ławy przy kominku. Mężczyzna ten mocno uściśnął im ręce. Jednocześnie z tyłu po schodach zstępował Klingę. Ponieważ blask z kominka padał prosto na przybyłych, kapitan mógł ich widzieć zupełnie wyraźnie. Ze zdumienia musiał uchwycić się poręczy.

— Nie, co moje oczy widzą! — zawołał. — Drogi, kochany Barre, to naprawdę ty, stary korsarzu!? I piękna panna Adelajda!

Major i kapitan stali, trzymając się mocno za ramiona. Barre przypatrywał się dokładnie przyjacielowi, aby z twarzy wyczytać, czy rzeczywiście był trzymany w zamknięciu. Ale oblicze jego było ogorzałe od słońca i wiatru i w ogóle wyglądał tak świeżo jak w owych czasach, kiedy był jeszcze młodym żołnierzem. Tak. Cała ta historia z zamknięciem to bajki wyssane z palca. Adelajda trzymała się w pobliżu drzwi, jak gdyby gotowała się do ucieczki. Tymczasem panna Kruse powróciła, niosąc dwie zapalone świece. Postawiła je na gzymsie kominka.

Na próżno major i Adelajda przekonywali gospodarza, że powinni natychmiast wracać. Musieli zdjąć wierzchnią odzież i usiąść. Nie chcieli jednak wejść do izby, trzeba było bowiem wracać, zanim zapadną ciemności. Ale z Bjórndal niełatwo było się wydostać, jak o tym się niebawem major przekonał, gdyż, wkrótce na stole pojawiły się kieliszki, fajki i tytoń.

Major podniósł brwi do góry i zrobił wielkie oczy, skosztowawszy pierwszego kieliszka. Co, u licha, miał na swoim wrażliwym języku? Skosztował drugi raz i to wystarczyło. Jakże to było możliwe? Wyjechać gdzieś daleko na wieś, nie, do lasów, i znaleźć stary, wyszukany koniak francuski! Skosztował jeszcze raz i przetykał powoli. Zdziwiony spojrzął na ojca Daga, ale ten spokojnie palił swą fajkę i patrzył w ogień kominka.

W Borgland nigdy ani słowem nie wspomniano o Bjórndal i jego mieszkańcach. Dlatego też major nie miał pojęcia, że w tutejszych piwnicach było tyle szlachetnych trunków z piwnic Hol-dera. Wiele z nich było już starych, bardzo starych, kiedy je tutaj przywieziono, zaś przez dalsze przechowywanie bynajmniej nie stały się młodsze! Panna Kruse nauczyła się od swojej surowej pani dobrze je pielęgnować, a ponieważ mieli dzisiaj takich wytwornych gości, przyniosła od razu to, co miała najlepszego.

Kiedy w kieliszkach znajduje się błyszczący płyn, rozwiązują się języki. Wkrótce też nastąpiła ożywiona wymiana słów. Major otrząsnął się ze swego zdumienia nad niepojętą zagadką koniaku i oczarował wszystkich swym świetnym darem rozmowy. Nawet Dag się ożywił, a kapitan czuł się jak w raj.

Nieco z tyłu za kominkiem stało krzesło z wysokim oparciem i szerokimi poręczami. Było wykonane dość prymitywnie, ale za to bogato wyłożone skórą i poduszkami. Na nim siadła panna Adelajda — nieco z dala od mężczyzn, schowana w cieniu. Poczęstowano ją dużą szklanką słodkiego wina, którą postawiła sobie na poręczy krzesła. Nie wiadomo, czy się teraz nudziła, czy też swym bystrym wzrokiem śledziła rozmawiających mężczyzn. Siedziała dziwnie cicho.

O nie, panna Adelajda nie należała do istot, które się nudzą, kiedy nikt się nimi nie zajmuje. Siedziała sobie samotnie w cieniu, pełna cichego zadowolenia. Tylko na poręczy szklanka z winem odbijała czerwonym refleksem światło kominka. Nie była taką znawczynią trunków, jak jej ojciec. Ale wiedziała, że wino, którego jej nalano, nadawało się do wyjątkowych okoliczności. Myślała o tym przez chwilę; zdawało jej się, że to kosztowne wino pasuje do otoczenia. Wszystko było tutaj takie dostojne, jakkolwiek odmienne od tego, co już знаła. Być może, ten starszy człowiek przyczynił się do tego, że odnosiła takie wrażenie, albo też sama się. Oczy jej rozpoznawały już teraz przedmioty. Na ścianie wisiała makata. Stara, ale tkana niezwykle umiejętną ręką — lekkie postacie i łagodne kolory, czyniły z niej prawdziwie piękną całość. Również drzwi, którymi weszli, nie były zwykłą robotą ciesielską. Masywne i pomysłowo rzeźbione, miały artystycznie kute zawiasy. Tak, wiele tu było do zobaczenia, a panna Adelajda miała spostrzegawcze oczy.

Na dworze podniósł się wiatr. Słyszała jego szum. Niósł z sobą jakąś przytłumioną melodię. To na pewno śpiewały lasy. Słuchała i czuła w sobie napływ czegoś nowego, co pochodziło z otaczających ją ścian i przedmiotów, i ze śpiewnego poszumu wiatru. Tutaj wszystko było takie inne od tego, co знаła od dawna, a co się jej już sprzykrzyło. Jakaś cicha, napawająca spokojem moc roztaczała się tu wszędzie. Czuła się jakby bliżej samego życia, a życie było inne, niż je sobie wyobrażała, i większe.

Przy stole nie próżnowano — nalewano sobie gorliwie. Major wesoło rozprawiał, a stary Klingę przysłuchiwał się uszczęśliwiony opowiadaniom, które przypominały mu dawne, dobre czasy.

Nagle na ganku rozległy się kroki. Otworzyły się drzwi i w ciemnościach zarysowała się postać mężczyzny. Drzwi się zamknęły, mężczyzna zaś stał ze strzelbą w ręku, mrużąc oczy przed światłem. Wyglądał dziwnie: odzież podarta, włosy zwichrzone.

Był to młody Dag. Powracał z lasu. Skłonił głowę w stronę stołu, gdzie zwykle wieczorami siadywał jego ojciec lub kapitan. Ale dzisiaj siedziało tam trzech mężczyzn. Musiał więc podejść, aby się przywitać i dowiedzieć się, kim był ten trzeci. Kapitan wyjaśnił majorowi, że nowo przybyły to syn domu. Następnie zwrócono młodzieńcowi uwagę, że na krześle przy kominku siedzi córka majora. Pochyliła się nieco naprzód i skinęła konwencjonalnie głową. Młody Dag odpowiedział jej podobnym ukłonem.

Adelajda nigdy jeszcze nie widziała kogoś tak dziwnego. Doznała najpierw uczucia strachu, o mało nawet nie krzyknęła. Gdy jednak przywitał się z panami i uśmiechnął się, robił zupełnie inne wrażenie. Uważała, że uśmiech był miły. Kiedy przypatrzyła mu się dokładniej i dostrzegła jego silne, śmiałe rysy twarzy, zaszyła się znów w cień, aby dalej go obserwować, sama nie będąc widziana.

Dag wziął stołek i usiadł tuż przed kominkiem. Pocierał sobie ręce i ścigał ramiona, jak gdyby naprawdę rozkoszował się ciepłem. Panowie zaproponowali mu, aby wypił z nimi kieliszek. Wychylił jeden, ale więcej nie chciał. Stary pies, który leżał u nóg kapitana, podbiegł do niego z radosnym skomleniem, poszczekując ze szczęścia. Potem położył się przed nim, węsząc leśne zapachy i liżąc głaskającą go rękę.

Adelajda siedziała schowana w cieniu. Nikt nie widział, że nie mogła wprost oderwać swych pięknych oczu od młodego człowieka. Przeraziła się początkowo na widok jego podartej odzieży i zwichrzonych włosów. Nigdy jeszcze nie widziała, aby ktoś pokazywał się w takim stanie między ludźmi. Strzelba wskazywała jednak, że wracał prosto z lasu. Kurtka i bryczesy były wytarte, nawet wystrzępione, w wielu miejscach wyświecone; lewa nogawka rozerwana aż do kolana. Na nogach miał stare, znoszone sztylpy skórzane; doskonale harmonizowały z całym jego wyglądem. Wśród tych łachmanów dostrzegła różek koszuli. Była rażąco biała i odcinała się ostro od opalonej szyi. Spojrzała niżej na mankiety i wzdrgnęła się — lewa ręka od przegubu prawie aż po łokieć była owinięta bandażem, rękaw kurtki zawinięty do góry. Bandaż pewnie był biały, ale teraz przesiąknął krwią. Przyglądała mu się, gdy bawił się z psem. Twarz ogorzała, nacechowana silną wolą, równocześnie jednak tchnąca młodzieńczym humorem. Cała postać była aż przerażająca napiętą w niej siłą. Ruchy jego miały w sobie lekkość i giętkość zwierzęcia. Czegoś podobnego jeszcze nigdy nie widziała.

Oczy jej mimo woli pobiegły znów do bandaża. Zrazu nie miała śmiałości zadawać mu pytań, ale gdy wciąż uśmiechał się i mówił do psa, dostrzegła w jego twarzy coś tak prostego i chłopięcego, że w końcu zdobyła się na odwagę.

— Zranił się pan w rękę w lesie?

— Ach, to.. to jest tylko draśnięcie. Przez orła — dodał. Przez orła! Otworzyła szeroko oczy. Słyszała o orłach, czytała o nich, widziała na obrazach, ale w jej wyobraźni żyły one w jakimś innym świecie, daleko stąd, a teraz ten człowiek siedział tutaj i mówił o orle, jak o najzwyczajniejszej w świecie rzeczy.

— Czy walczył pan z orłem? — zapytała z zapartym oddechem.

— Nie walczyłem, ale strzelałem do niego. I wtedy spadł. Nie mógł poruszać skrzydłami, ale kiedy do niego podszedłem, zaatakował mnie.

— I wówczas go pan. zabił — powiedziała. Przeszył ją zimny dreszcz.

— Tak — odpowiedział spokojnie.

Major podchwycił ostatnie słowa i obrócił się do młodych.

— Orzeł — odezwał się — pan widział orła?



— Zabił orła — wyjaśniła Adelajda. Major widział już świetny temat do opowiadań, gdy powróci do miasta.

— Czy macie go tutaj? — pytał zadowolony.

Tak, Dag przyniósł go ze sobą.

Major chciał koniecznie zobaczyć orła i domagał się szczegółowej relacji, jakkolwiek Dag nie kwapił się z opowiadaniem. Nic szczególnego, najzwyklejsza, codzienna drobnostka.

Panna Kruse weszła na chwilę, aby sprawdzić, czy niczego nie brakuje, i Klingę szepnął jej do ucha, że major chce zobaczyć orła, którego Dag przyniósł ze sobą. Skinęła głową i wyszła.

Panna Adelajda nie mogła oderwać oczu od zabandażowanej ręki — sama nie wiedziała dlaczego. Może pragnęła zająć się opatrunkiem? Znała się trochę na tym. Ale siedziała dalej cichutko na krześle ukryta w cieniu. Przeżywała teraz zupełnie nowe wrażenia; miała uczucie, jak gdyby czegoś jej brakowało; odczuwała głód za prawdziwym, nowym życiem. Tutaj, czuła to, życie mogło być prawdziwe!

Jakże dalekie od tego prawdziwego życia były jej własna egzystencja i jej otoczenie! Przed oczyma jej duszy przesunęły się obrazy ludzi, których spotykała: uśmiechnięte twarze, rozmawiające z nią poufnym szeptem kobiety, które w następnej chwili obmawiały ją za jej plecami, szepcąc i szepcąc; mężczyźni, którzy pochylali się przed nią w ukłonach, całowali jej dłoń, schlebiali grzecznymi słówkami, a potem śmiali się między sobą z ubogiej a dumnej panny. Znała ich wszystkich i ich fałszywe, puste życie.

Zapukano mocno do drzwi. Jakaś dziwaczna istota wsunęła się do wnętrza. Czy człowiek, czy zwierzę, czy karzeł — trudno było rozpoznać. W każdym razie stworzenie zamknęło za sobą drzwi. Był to Mistrz. Jak w swoim czasie Jörn Mangfoldig robił i naprawiał wszystko, co było do wykonania z drzewa, tak Mistrz działał w swojej dziedzinie i robił wszystko, co należało, przy wyprawianiu zwierząt i skór. Dano mu więc orła, przy czym wszyscy byli ciekawi, co z nim zrobi, bo czasami miewał dziwaczne pomysły. Gdy zaś panna Kruse dała mu znać, że w sieni są goście, którzy pragną zobaczyć orła, zaraz go przyniósł.

Mistrz był niewielkim człokiem, natomiast orzeł ogromnym, niezwykle okazem. Opuszczone skrzydła objęły się niosącemu

o nogi. Człowieczek podreptał cicho na środek izby i podniósł olbrzymiego ptaka za oba skrzydła do góry. Mistrz cieszył się zawsze wielkim zaufaniem i nikt nie podejrzewałby go o jakieś sztuczki kuglarskie; nie bez powodu jednak nazywano go mistrzem. Być może, przygotował ptaka specjalnie na pokaz. Przeciągnął mu przez szyję żelazny pręt aż do samego dzioba. Teraz stanął i trzymając koniec pręta między zębami, z lekka nim poruszył. Z szeroko rozpostartymi skrzydłami orzeł sunął z wolna w stronę kominka, podnosząc dziko łeb i dziobiąc swym ostrym i okrutnym dziobem. Wywierał straszliwe wrażenie, jak przystało zresztą władcy przestworzy.

Mistrz złożył orła i wyniósł go z izby. Gdy wychodził, z ciemności od zewnątrz wtargnął do sieni zimny wiew. Młody Dag siedział na wprost kominka, odwrócony plecami do tego widowiska, i rozmawiał z psem. Zmarszczył niechętnie brwi, gdy odbywał się ipokaz, ale się nie odwrócił. Nie był to jego pierwszy orzeł. Podczas gdy major rozprawiał o orłach i rozmowa znów się ożywiła, panna Adelajda siedziała, nie odzywając się żadnym słowem, i patrzyła na zwichrzone włosy Daga.

Panna Kruse zameldowała o podaniu wieczerzy, ale to przypomniało tylko majorowi i jego córce, że powinni natychmiast odjechać, gdyż zrobiło się już późno.

Płomienie na kominku buchały wysoko i świece na gzymsie rzucały jasne światło na postać Adelajdy, kiedy żegnała się przy drzwiach. Młody Dag długo się jej przyglądał, a i stary Dag, przez tyle już lat nie dostrzegający wielu rzeczy, on też z zainteresowaniem przypatrywał się ładnej postaci gościa, który przez cały czas trwania wizyty trzymał się na uboczu, w cieniu za kominkiem.

Nadeszła w swojej kolei pora krótkich dni i długich nocy. Zima objęła ziemię, jeziora i moczary zawieruchą, śniegiem i lodem. Ludzie pociągnęli z siekierami do lasu; wieczorami niebieski dym unosił się nad chatami, skrytymi w leśnej ciszy. Mężczyźni-siłacze wyrąbывali drzewa, a konie wyciągały pnie. Spokojnie i pewnie upływało życie tam, gdzie rządził baczny na wszystko stary Dag. Konie biegły do miasta jak przez wszystkie inne lata.

## XI

^egar wydzwonił

godzinę. Wieczór przechodził powoli w noc. W pokoju majora Barrego siedziała samotnie Adelajda. Jakaś robótka, rozpoczęta, leżała przed nią. Ręce wypuściły igłę z nitką i spoczywały bezwładnie na stole. Oparła się plecami o krzesło. Była jakaś inna, odmieniona. Miętko pochylona głowa nadawała jej niezwykle łagodnego wyglądu. A przecież zawsze była wyniosła i chłodna — przynajmniej wobec ludzi. Może poza tą dumą i obojętnością kryły się jakieś inne uczucia? Jej piękne oczy przysłoniły się do połowy powiekami i zapatrzyły w przestrzeń rozmarzone.

Nagle drgnęła. Popatrzyła na wskazówki zegara i szybko zgarnęła robótkę. Znow skończył się jeden dzień. Szyja wyprostowała się prawie niepostrzeżenie; miętka łagodność zniknęła w jednej chwili. Podniosła się i szybko podeszła do lustra. W pokoju panował półmrok, paliła się tylko jedna cienka świeca. Śliczna twarz dziewczyny i pewnie zarysowana szyja wylaniały się niby świetlany portret z ciemnego tła lustra. Pod czystą linią brwi oczy jej świeciły spokojnie i cicho jak gwiazdy. Łagodnie wykrojone usta miały stanowczy wyraz. Stała długi czas w tej niemej rozmowie ze sobą...

Znow skończył się dzień, jeszcze jeden dzień najpiękniejszego wieku młodości. Na ustach i oczach legł cień zmęczenia, ale przemknął i znikł w jednej chwili.

Myśli jej szły znowu tam, gdzie błąkały się każdej godziny dnia i każdej bezsennej nocy już od tygodni, ba, nawet od miesięcy. Czy miał ją spotkać ten sam los, co i matkę? Los wszystkich kobiet w jej rodzinie, los, który i jej przepowiadano? Czy ową „ziemię obiecaną" miała tylko oglądać, ale nie mieć do niej nigdy dostępu?

Los jej matki.

Wstrząsnęła się, jak gdyby lód nagle tknął jej żyły. Los jej matki — dlaczego nie? Matka jej była córką biskupa, wielkiego dostojnika; była taka ładna, a chociaż nie bogata, to przecież dość zamożna. Mimo to umierała jako zapomniana żona biednego

oficera. Adelajda ze strachem wspominała ostatni uścisk matczynej ręki, jej ostatnie bolesne słowa: „Niech Bóg ma cię w swojej opiece, moja córko, i niech zaoszczędzi tobie podobnego losu”. A jakimż prawem ona, Adelajda, oczekiwała lepszego losu? Jej matka miała posag i pochodziła z domu, który cieszył się poważaniem w całym kraju, gdy tymczasem ona była tylko córką zadłużonego oficera. Śmiech i szyderstwo! Jak wszystkie kobiety w jej rodzinie, tak i Adelajda wmawiała sobie, że jest osobą nieprzeciętną, że jest piękniejsza, mądrzejsza, dojrzałaśza aniżeli inne — a przecież myślała tak samo jak każda naiwna kobieta. Nie dość tego — myślała wciąż o czymś, co było niedościgłym marzeniem.

Była tylko jeden raz w tym wielkim dworze pod lasem, ale to jej wystarczyło, by podsycać w swym próżnym sercu złudną nadzieję, by odrzucając wszelki rozsądek, roić wielkie sny niby młoda, niemądra dziewczyna. Ale dlaczego miała się ich wyrzec?

Dlaczego las śpiewał tę urzekającą melodię, gdy siedziała wówczas w sieni? Dlaczego czuła w sobie wtedy ów dziwny przypływ ciepła i życia, jakiego przedtem nigdy nie zaznała? Dlaczego w sercu jej zrodziło się pragnienie, by wstać i zdjąć zakrwawiony bandaż i opatrzyć mu ranę? Dlaczego pamiętała to obszerne podwórze dworskie i głęboki cień dębu lepiej i wyraźniej niż zajazd przed dworem borglandzkim, gdzie spędziła tyle dni? Dlaczego pamiętała każdy, nawet najdrobniejszy szczegół — płomienie buchające z palących się polan sosnowych i trzeszczenie belek w ścianach, gdy zerwał się wiatr?

Naraz lustro gdzieś znikło. Coś dziwnego działo się z jej oczami; coś wilgotnego i ciepłego spływało po policzkach. Odwróciła się raptownie od lustra i wyjęła chusteczkę. Krótkie wycieranie i już nie było ani łez, ani myśli. Panna Adelajda wyprostowała swój dumny kark i była znowu sobą.

Ale dzisiaj nie mogła się opanować. Kark ciągle miękł i głowa pochylała się pod nieprzewyciężonym naporem myśli. Wszystko, co w niej było z uczucia, z serca i z kobiety, trzymało się kurczowo tego jednego marzenia.

To, co dotąd słyszała o złych stronach małżeństwa, o kłamstwie miłości, nosiła codziennie jako pancerz przeciwko wszelkim cieplejszym uczuciom. Zimno i spokojnie myślała o miłości. Towa-Kysze z komnat balowych i wycieczek na śniegu przeciągali przed

jej oczami. Wszelkie hołdy i zaloty uważała za czczą komedię, zaś wszystkich młodzików ze swojej sfery miała jedynie za pionki w grze, która jej nie interesowała.

Mając dwadzieścia lat, dała swego pierwszego kosza. Wyśmiewała konkurenta głośno i bezlitośnie. Jego święte zapewnienia i prośby były dla niej bez znaczenia. Potem przyszli inni — ze strachem o tym myślała — w końcu zaś ten aptekarz, stary, wyżyty, ale bogaty. Jej własny ojciec zasypywał ją gradem przykrych słów, dając do zrozumienia, że świat i życie to przede wszystkim pieniądze, a nie duma i smy serca. Pienił się niemal z wściekłości, gdy kazała aptekarzowi odejść. Ale aptekarz ciągle powracał: czał się i czekał, aż bieda złamie jej dumę i ugnie jej sztywny kark. Zresztą... kiedyś będzie musiała wyjść za mąż. Wolała raczej to, niż znosić smutny los ciotki Eleonory.

Zawsze tak wtedy myślała. A i teraz myślała tak samo, kiedy tylko dopuściła do głosu rozsądek. Jej serce, które trzymała w okowach zimnej obojętności przez wszystkie lata swego dojrzałego życia, odezwało się teraz tylko jeden, jedyny raz, lecz tak silnie, że jeszcze wciąż drżała na całym ciele.

Obudziło się owego wieczoru, kiedy siedziała opodal kominka, schowana w cieniu wielkiej sieni. Wówczas po raz pierwszy poczuła nieodpartą moc życia. Poczwała w sobie, gdzie głęboko w sobie, pragnienie, aby uchwycić zranioną rękę, pochylić się nad nią i poczuć na sobie spojrzenie władczycy oczu. Po raz pierwszy odczuwała potrzebę, aby być dobrą i zakosztować ciepła wdzięczności.

Gdy tak o tym myślała, pojęła wreszcie, na czym polegała jej omyłka. Szydowała z tego szumnie brzmiącego słowa „miłość”, ponieważ obiecywało tak dużo, a potem — wiedziała przecież od swoich najbliższych i od innych — przynosiło przykre rozczarowanie. To, co teraz czwała, niewiele miało wspólnego z nadzieją uzyskania czegoś. Czyż mogła oczekiwać czegokolwiek od człowieka, który miał tak twarde wyraz twarzy, jak tamten młody przed kominkiem? Nie! Odczuwała tylko niewypowiedzianą potrzebę dawania, serdeczną potrzebę świadczenia. To na pewno była miłość.

Tak myślała Adelajda Barre i być może uważała, że i w tym jest mądrzejsza od innych, że miała szerszy i bardziej szlachetny

pogląd na tę sprawę, zapominając zapewne spytać siebie, co wzbudziło w niej ową chęć dawania. Czyż nie pragnęła, aby te mocne i zniewalające oczy patrzyły ku niej z uczuciem wdzięczności? Czyż nie widziała wówczas uśmiechu, który jak złoty promyk przemknął po jego twarzy, uśmiechu, który właśnie na tych surowych rysach robił takie jasne wrażenie? Czy nie życzyła sobie, żeby ten uśmiech raz, nie, wiele razy, był przeznaczony dla niej? Czyż nie widziała, jak dwoje silnych rąk bawiło się z psem, i czy nie słyszała pieszczotliwych słów? I czy nie dostrzegła, z jaką wiernością i przywiązaniem stare, poczciwe psisko wpatrywało się w swojego pana?

Biedna Adelajda Barre! Spotkała brata człowieka, którego spojrzenie szturmem zdobywało kobiety. A przecież ten był jeszcze bardziej niebezpieczny, bo równocześnie wzbudzał zaufanie swą prawością, czego brakowało jego bratu.

Adelajda walczyła ze swymi myślami, usiłując — jak niejedna inna kobieta — zrozumieć siebie samą. Jak dużo z tej jednej wieczornej sceny utkwilo jej w pamięci!

W pojęciu surowej babki Adelajdy ubierać się nie dość godnie w stosunku do stanowiska i majątku było grzechem nie do wybaczenia. Obojętność w tym względzie świadczyła o najgorszym spodleniu. Adelajda przez całe życie stosowała się do wpojonych jej zasad i w ciągu ostatnich lat ubóstwa i niedostatku męczyła się nieraz dniami i nocami, aby odzież jej i ojca była zawsze bez zarzutu. A przecież tam w Bjórndał syn wrócił do domu w podartym ubraniu i ze zwichrzonymi włosami, jak gdyby na przekór wszelkim konwenansom. Pomimo to zdawało jej się, że właśnie w tym człowieku znalazła coś, co poruszyło jej serce. Nie umiała tego określić, ale po długich rozmyślaniach doszła do wniosku, że był on o tyle szczerzy, o ile inni byli fałszywi; był więc takim, jakim winien być mężczyzna. Adelajda wyczuwała to instynktownie.

Często spotykała się ze zdaniem, że jest nieodrodną córką rodziny swojej matki. Wiedziała, co ludzie przy tym sobie szeptali. O kobietach z jej rodu mówiono, że były wysokie, piękne, reprezentacyjne, że posiadały wszechstronne zdolności i wielką inteligencję. Ale poza tym, mówiono, były to kobiety o zimnych sercach i nieugiętej dumie, które mężom swoim przynosiły nieszczę-

11 A lasy wleemle śpiewaj

ście. To było okropne. Pamiętała, co kiedyś powiedziała jej ciotka Eleonora, coś, co właśnie teraz napełniało ją przerażeniem — że kobiety w ich rodzinie są, co prawda, dumne, ale nie mają zimnego serca, bo ich duma pochodzi z serca; że jeśli kiedy pokochały, to tylko raz i już nigdy potem nie mogły zapomnieć swojej miłości; a jeśli później wychodziły za mąż za kogoś innego, to nigdy z miłości, i potem zawsze wynikało z tego nieszczęście. Dlatego to ciotka Eleonora nigdy nie wyszła za mąż — jak to sama stwierdzała, Adelajda zaś, zdaniem jej, również powinna pozostać niezamężna. Bowiem wszystkie prześladował ten sam los — nigdy nie dostawały za męża człowieka, którego pokochały. Widocznie, jak twierdziła ciotka, jedna z kobiet z ich rodu musiała kiedyś ciężko zgrzeszyć przeciw Bogu i za to na ród ich spadła wieczna kara.

Głowa Adelajdy ciężko spoczywała na złożonych dłoniach. Więc i jej było przeznaczone pokochać kogoś, kto pozostanie dla niej nieosiągalny i kogo nigdy nie zapomni. Przeznaczenie kazało jej jechać do Bjórndal tylko po to, aby rozpoczęło się strapienie. Tak, to się już stało. Zresztą dlaczego właśnie ona, uboga panna, miałyby być pierwszym wyjątkiem i wyzwolić się spod przekleństwa? Inne kobiety z ich rodu, o ile wiedziała, nie sięgały wyżej, niż im przystało według stanu i majątku. A ona sama? „Chłopa chce sobie wziąć!” — krzyczano by w jej otoczeniu ze zgrozą, załamywano by ręce i czyniono znak krzyża, a w skryteści radowano by się jej upadkiem.

— Ty kłamiesz, Adelajdo! — słowa te zabrzmiały tak głośno i wyraźnie, że aż się zerwała. Wyszły z jej własnych ust. Nasunęła je własna jej uczciwość. Wyprostowała się i rozejrzała po pokoju, jak gdyby nie była już sama.

— Tak — powtórzyła ciszej — ty kłamiesz! Sama przed sobą chcesz coś ukryć. Udajesz, że myśli twoje krążą tylko dokoła miłości i przeznaczenia, a zupełnie pomijasz rzeczy doczesne i materialne. Udajesz, że żyjesz jeszcze w czasach twojej babki, i sama sobie wmawiasz, że w twojej sferze wytykano by ci „chłopa”, gdyby rzeczywiście doszło do tego, o czym teraz ciągle myślisz...

— Nie, moja kochana Adelajdo! — znów mówiła głośno. Miała wrażenie, że był to głos jej babki. Przerażona ścisnęła w rękach robótkę. 162

— Wiesz doskonale, że czasy się zmieniły i że wiele osób z twojej sfery popadło w biedę. Wiesz, że szlachectwo i pochodzenie nie mają już takiego znaczenia, jak dawniej. Wiesz aż nadto dobrze, że niejedna panienka z dobrej rodziny poczytałaby sobie za wielkie szczęście, gdyby mogła założyć dom w jednym z tych starych dworów wiejskich. Wiesz także z różnego zozdaju aluzji i uwag wypowiedzianych w Borgland, jak też i z tego, co twój ojciec słyszał w mieście, że Bjórndal to zamożny dom. O co się więc targujesz, o swoją dumę, czy o ten tak mile widziany majątek? Życzysz tym wszystkim, którzy w twoim mniemaniu są twoimi nieprzyjaciółmi, aby dożyli tego dnia, kiedy z biednej staniesz się bogatą. Życzysz im też, aby cierpieli niedostatek, kiedy w kraju nastaną przepowiadane od lat złe czasy, podczas, gdy ty sama będziesz dobrze zabezpieczona.

Podniosła się uroczyście jak w kościele, złożyła powoli ręce i szeptała słowa modlitwy: — Wiem, że sięgam za wysoko. Wiem, że Bjórndal jest wielkim i bogatym dworem, ale nic o tym nie wiedziałam, ani też o tym nie myślałam, gdy poczułam pragnienie być czymś dla niego, dla tego chłopca. Ty wiesz, o Panie, że to jest prawda. Wypróbuj mnie, dopomóż mi w tym, abym oddaliła się od wszystkiego, co czyni mnie złą i nikczemną. Pozwól, abym go znowu zobaczyła, pozwól, abym należała do niego. Pozwól mi pokazać, że jestem gotowa być jego żoną w doli i niedoli, i ukarzać mnie, jeśli zawiodę...

Osunęła się na fotel, ukryła twarz w robótce i kurczowym ruchem wyciągnęła przed siebie ramiona. Szeptała jeszcze inne słowa gorącej, namiętej modlitwy.

Piękna, uczciwa Adelajda zasnęła nad stołem, a piętno dumy jak gdyby znikło z jej twarzy na zawsze.

Zegar, sprowadzony ongiś z Anglii, głośno tykał. Na jego tarczy wypisane były dwa słowa: Memento mórz. Pamiętaj o śmierci. Ale dla Ade.ajdy oznaczały już o'd dawna: Bądź uczciwa. Życie, jakie w swoich warunkach prowadziła, bynajmniej nie usposo-b-ało do szczerości; było to zatem dla niej najsurowsze przykazanie, jakie myśl o śmierci mogła jej przypomnieć.

A zegar tykał i tykał, i wybijał godzinę za godziną.

Właśnie wybił drugą, gdy w zamku drzwi wejściowych obrócił ^ klucz. Major Barre wszedł do środka. Był u swoich dobrych

u\*



przyjaciół i wrócił z lekka podniecony alkoholem. Stróż nocny uklonił mu się w przejściu z wielkim uszanowaniem — wszystko na świecie było tak, jak się należało, poza tym jednym, że w oknach jego pokoju błyszczało światło. To coś wręcz niezwykłego! Potraktował to jako zły omen.

Śpiewał sobie właśnie jedną ze starych niemieckich piosenek, których nauczył się w czasie swoich kampanii wojennych w Niemczech, gdy zauważył światło, i to jeszcze w pokoju, w którym stało jego łóżko. Gdyby światło paliło się w pokoju Adelajdy, nie dziwiłby się — w ostatnim czasie była taka dziwna. Ostrożnie otworzył i zamknął drzwi. Nie chciał robić niepotrzebnego hałasu. Aha, więc to tak, usnęła nad szyciem. Nabrała pewnie rozsądku w sprawie aptekarza i zaczęła poważnie myśleć o swojej wyprawie.

Major zawsze umiał łatwo wytłumaczyć sobie wszystko na korzyść. Nie był dobrym znawcą duszy ludzkiej, ale posiadał! rów- | nież tę zaletę, że nie zrażał się do ludzi ich błędami i przywa- | rami — u każdego umiał znaleźć coś, co mu się podobało. Może miał powód ku temu, by odkrywać zalety u drugich, sam bowiem z siebie nie był zadowolony. Zbliżało się już Boże Narodzenie, szylingów było coraz mniej, czasy złe. Nikt z jego przyjaciół nie napisał do niego nawet słowa, nikt nie kwapił się, by zaprosić go wraz z córką na święta. Bał się tych świąt szczególnie teraz, kiedy Adelajda znajdowała się w takim dziwnym nastroju, a zanosilo się na to, że będą musieli spędzić je razem w domu — w biedzie i opuszczeniu.

Zatrzymał wzrok na córce i może odczuwał dla niej politowanie, ale u majora Barrego takie stany uczuciowe nie trwały długo.

Na stole leżał list. Czekał na niego. Major często otrzymywał listy, gdyż załatwiał różne sprawy dla oficerów, którzy mieszkali na wsi. Czerpał z tego małe dochody. Rozerwał list, czytał i twarz jego stawała się coraz bardziej zamyślona.

— Adelajdo! — powiedział głośno. Wzdrygnęła się, spojrzała na wół przytomnie dokoła. Wzrok jej padł na zegar. Było pół do trzeciej. Jak każda prawdziwa kobieta nie czekała, aż ojciec wygłosi jej kazanie za to, że zasnęła i niepotrzebnie paliła światło, ale odezwała się pierwsza;

— Jak późno wracasz!

— Głos córki, słowa matki — odparł major z humorem. Adelajda przesunęła ręką po oczach i wpytrywała się w jego zadowoloną twarz. Śniło jej się własne, że rozmawiała z ojcem o tym, czy nie można by spędzić świąt u von Gallów, bo przecież ich zapraszali, gdy byli u nich latem; nawet jeżeli czynili to tylko z uprzejmości, mogliby ostatecznie tam pojechać, wszak nie mieli na razie inngo zaproszenia. Gdy zobaczyła zadowoloną twarz ojca, uważała, że można mówić o tym nawet zaraz.

Ale tymczasem major chrząknął głośno i powiedział jej, że otrzymał list.

— Wiem o tym przecież — odrzekła Adelajda.

— Ale zgadnij, od kogo?

Z tonu jego głosu domyśliła się, że nie był to zwykły list handlowy, ale chociaż przebiegła w myślach wszystkie osoby, które wchodziłyby w rachubę, nie mogła na nikogo natrafić.

— Nie możesz zgadnąć? — pytał zadowolony.

— Nie — odpowiedziała. Ale w tej samej chwili przeszył ją strach, zimny strach.

— Czy on jest... z... Borgland? — wykrztusiła.

— Całkiem nieźle — odparł major.

Adelajda zamknęła oczy i wzniosła swe myśli ku niebu. Czyż nie prosiła dzisiaj wieczorem Boga o to? Czy to prawda, że szczerze modlitwy zostają wysłuchane? Ale z tych refleksji szybko została wytracona, ojciec bowiem powiedział jej z rozbawieniem, że musi dalej zgadywać.

Nie. Adelajda nie miała już po co zgadywać. Opuściła głową zmęczonym ruchem. Obojętne, skąd list przyszedł, skoro nie jest z Borgland. Major nie mógł wiedzieć, co było powodem tej nagłej zmiany — najpierw takie ożywienie, a teraz taka obojętność. Uznał jednak, że prawdopodobnie sprawa ta nie interesuje jej w takim stopniu, jak jego samego. Może w ogóle nie będzie chciała słuchać o tym; co on ma zrobić? Jeżeli odpowie mu po Prostu: nie — na wszystko, co tam jest napisane?

Zwiesił głowę, ręka machinalnie zmięła list. Gdyby się przy-Rajmniej rozgniewała, wtedy miałby pretekst, aby wystąpić bezwzględnie i stanowczo — on tak chce i basta! Opary z wypitych kieliszków i wyziewy z wypalonych! fajek zamały mu wzrok.

Nie mógł widzieć zupełnie wyraźnie, ale zdawało mu się, że Adelajda, ta dumna pani, wygląda teraz jak cień.

— Hm! — zauważył. — Jest już ipół do trzeciej; skoro nie chcesz dalej zgadywać, będę ci musiał powiedzieć. To pisał tylko Klingę, stare biedaczysko.

Major zwrócił wzrok na list, by odszukać najważniejsze miejsca, i przez to stracił możliwość zobaczenia czegoś przerażającego.

Adelajda z cienia przemieniła się nagle w lwicę. Zapomniała o rozsądku, względach, pochyliła się całym, ciałem do przodu, trzymając się kurczowo poręczy fotela.

— Klingę? — wyszeptwała.

— Tak — odpowiedział major, wciąż jeszcze szukając w liście odnośnych miejsc. — Wiem, że będziesz rozczarowana, ale trzeba się z tymi pogodzić. Ostatecznie jest to mój dobry, stary przy-Ai jaciel i towarzysz broni, no i zresztą tym razem nie mamy wy-ii| boru. Ciężkie czasy. Mało pieniędzy. Słabe nadzieje. Musimy być| radzi z tego, co nam się nadarza.

Adelajda opanowała się; cicho i spokojnie przechyliła się do tyłu na oparcie fotela. Siedziała z głową wysoko podniesioną, choć ręce zaciskały się tak silnie, że kłykcie były zupełnie białe.

Major czytał jej teraz list. Było to zaproszenie do Bjórndal na okres świąt. Na zakończenie Klingę pouczał, jak najlepiej urządzić się w podróży, gdyż było bardzo zimno. Gdyby woleli, mogliby dostać konia z Bjórndal na całą drogę, ale wówczas musieliby robić długie i męczące postoje. Najlepiej więc brać świeże konie od postoju do postoju, a na ostatnim przesiąść do czekających już sań z Bjórndal. Może zechcą oddać list z odpowiedzią u kupca Holdera. Odbierze go ktokolwiek z Bjórndal, kto przyjedzie do miasta.

Adelajda nie przygotowywała się jeszcze do świąt i dlatego miała teraz bardzo dużo pracy z praniem, naprawianiem, prasowaniem i maglowaniem zarówno dobrze już podniszczonych rzeczy majora, jak i swojej własnej garderoby. Dawniej zawsze ogarniało ją przerażenie, ilekroć miała zabrać się do tej pracy — teraz przyszło jej to wszystko lekko i łatwo. Ostatnie dni i przed świętami były pełne radosnego podniecenia i emocji — przeżywała je tak samo, jak w najpiękniejszych latach swego dzieciństwa.

Dzwonki u sań w owych latach miały zawsze taki radosny ton, kiedy towarzyszyły w gościnnej podróży na święta Bożego Narodzenia. Dla Adelajdy jeszcze nigdy nie dźwięczały tak cudownie, jak tego ranka, gdy koń wyruszył w długą drogę do Bjórndal.

## XXII

W ad Bjórndal była już noc. Przedostatnia noc przed wigilią. Panna Kruse cicho zamknęła drzwi do kuchni. Nareszcie mogła odpocząć. Przez cały miesiąc nie miała niemal chwili spokoju. Żaden zwykły człowiek nie był zdolny opanować ogromu prac związanych z przygotowaniem świątecznym w Bjórndal, i panna Kruse dziękowała Stwórcy, że nie była zwykłym człowiekiem. Gdy nadchodził wieczór, wszyscy dokoła niej zasypiali ze znużenia. Ona jedna zachowała siły. Dzień i noc, w świętek i piątek, była na nogach. Wszyscy potrzebowali jej pomocy i wszystkiego musiała dopilnować. Sprawowała przecież nieograniczoną władzę w kuchni, na terenie magazynu piwnicznego, jak też w oborze i spichrzu.

Weszła do sieni, podniosła do góry latarnię i badawczo rozejrzała się dokoła. Wszystko było zamiecione i posprzątane. Jutro wyłożą podłogi jałowcem. Jałowiec odświeża powietrze. Pogrzebaczem rozgarnęła popiół, aby sprawdzić, czy żar na spodzie nie wygaśnie. Wzięła latarnię do ręki i poszła po cichu na górę.

Przygotowania świąteczne nie były chyba jeszcze nigdy tak żmudne, jak w tym roku. Wszystko musiało być zrobione tak samo, jak za życia Teresy i za czasów Ane Hamarrbo. Panna Kruse słyszała wiele o Ane, bo ludzie we dworze i w osiedlu żywo ją jeszcze pamiętali.

Tak więc wszystko było już zrobione. Pozostały jeszcze tylko drobnostki, które załatwi się następnego dnia, a potem, gdy nadejdzie wieczór wigilijny, trzeba będzie napalić w łaźni i przygotować kąpiel. I to będzie już koniec.

Utrudzone nogi ledwie nosiły ją po schodach. Była bardzo Leczona, ale też bardzo zadowolona. Wszystko się tego roku

udało, nawet piwo słodowe. Mięso w galarecie i rolady trzymały się doskonale i można je było krajać w cienkie plastry jak ser. A ciasto — to prawdziwa radość dla oka i podniebienia.

Zaś flatbród \* były cieniutkie i kruche jak zeschnięte liście. A to było najtrudniejsze ze wszystkiego. Ale też nie spuściła ani na chwilę oczu z piekarki Marty, żeby ta znów nie zasnęła przy pieczeniu, tak jak ostatnim razem.

Tak, tym razem miały to być szczególne święta. Choćby nie wiem jak była zmęczona, nie położy się wcześniej do łóżka, aż podziękuje Bogu za wszystką Jego dobroć. Na pewno Bóg pozwolił, aby wszystko się tak dobrze udało, ponieważ wiedział, jakich gości będą przyjmowali. Panna Kruse stale tylko o tych gościach myślała.

Niemało wytwornych ludzi widziała w swoim życiu, ale nigdy jeszcze takiej osoby, jak córka majora Barrego. Żeby osoba tak nieprawdopodobnie piękna i dystygowana pokazała się tutaj za sprawą tego biednego kapitana — w tym musiała być ręko Opatrzności. A oto teraz miała zjawić się ponownie. Oczekiwana wizyta nasuwała jej zresztą różne myśli. Młody Dag dawno był w tym wieku, żeby się ożenić, ale w mniemaniu panny Kruse żadna kobieta nie była jego godna.

Chyba przecież przyjadą — major i córka? Wprawdzie w swoim liście odpowiedzieli tylko połowicznie na otrzymane zaproszenie, ale kapitan twierdził, że przyjadą, chociaż bardzo pewny tego nie był.

Wzdrygnęła się na myśl, jak przykre byłyby te święta, gdyby goście zawiedli. Kapitan siedziałby przygnębiony, ponieważ wyrzucałby sobie, że nie umiał ściągnąć nawet dwu osób, zaś stary Dag, który wieczorami chętnie grywał w karty, również odczuwałby brak majora jako partnera. Tak, jeżeli się zastanowi, również i dla niej cała uroczystość świąteczna zależała właściwie od przyjazdu panny Barre. Gdyby nie przyjechała, nie miałyby prawie żadnej satysfakcji ze swego tak dobrze udanego dzieła.

Panna Kruse pragnęła owych gości, jakkolwiek zdawała sobie sprawę z tego, że przybycie damy do Bjorndal może położyć kres jej własnemu panowaniu. \* rodzaj ciastek

Przyjrzała się dobrze córce majora i zauważyła, w jaki sposób podnosiła głowę. Tak, tego rodzaju ludzie nie pozwalają 2 sobą żartować. Panny Adelajdy nie można było lekceważyć.

panna Dorota uczyła ją, że nie należy nigdy myśleć o sobie. Niech Bóg błogosławi jej pamięć. Jednak niełatwo było stosować się do tych nauk. Bo panna Kruse także była człowiekiem, chociaż nikt o tym nie myślał. I ona miała swą miłość niech jej Bóg przebaczy, nawet dwie! Jedną miłością było dla niej stanowisko, które zajmowała w Bjorndal; a to znaczyło niemało, skoro stary Dag powierzył jej nadzór nad całym gospodarstwem domowym. Tak, to było coś. Nie lada zaszczyt, którym jej gadatliwa matka i ojciec-pijak z dalekiej równiny nie omieszkali się chwalić, ilekroć znaleźli się między ludźmi. Przecież i na nich spadło coś w rodzaju zaszczytu. Drugą jej miłością był młody Dag. Nigdy ani słowem, ani gestem nie uczynił nic takiego, co mogłoby jej dać jakąś nadzieję. Ale niejednokrotnie dziękował jej za to lub tamto; te słowa podziękki karmiły jej miłość. Przychodził do niej regularnie po prowiant na wyprawy leśne i po czyste koszule. Pod tym względem był bardzo wymagający. Gdyby tylko wiedział, z jaką cierpliwością szyla mu koszule i jak starannie bielila je na słońcu!

Jedną i drugą miłość panny Kruse mógł odebrać przyjazd panny Barre. Ciężko było być człowiekiem według przykazań panny Doroty, ciężko kochać swego bliźniego.

Panna Kruse szła schodami na górę, po czym zatrzymała się przed drzwiami swojej izby. Stała tam przez chwilę pogrążona w myślach, potem zawróciła i udała się korytarzem aż do pokoju panieńskiego. Weszła i zamknęła drzwi za sobą. W ostatnich dniach zachodziła tutaj wiele razy, ale chciała sprawdzić jeszcze raz, czy wszystko było w porządku. Nie zaszkodzi bynajmniej zwrócić na wszystko uwagę, jeśli wizyta ma przynieść w rezultacie to, czego oczekiwała. Przejrzała starannie cały pokój. Nie był obszerny, ale. pokoje gościnne w nowym budynku wydawały 5'ę pannie Kruse mało przytulne. Pokój panieński jest najpiękniejszy na świecie, gdyż tutaj mieszkała panna Dorota. Tyle jej ^lała do zawdzięczenia. Takiej duszy chyba nie spotyka się nigdy na świecie. Panna Dorota pozostawiła list, w którym napisała, że Krystyna Kruse ma po jej śmierci otrzymać jej zegarek.

Zegarek był z kosztownego złota i taki piękny, że każdemu, kto go widział, przypominał jakąś świętość. Został przywieziony z Holandii.

Panna Kruse rozejrzała się jeszcze raz po pokoju. Chyba niczego nie brakowało. Łóżko było zasłane do spania. Wspaniałe, niebiańskie wprost łóżko. Na bokach były wyrzeźbione delikatne figurki, zaś na słupach i stropie kwiaty i arabeski, nadzwyczaj artystycznie wykonane. Piękniejszej rzeczy nie zobaczyłoby się nawet w kościele. Nowe zasłony tkano tutaj, we dworze, koronki i wstawki wyhaftowała sama panna Dorota. W poduszkach i kołdrach był kaczki puch, lekki i miękki jak powietrze; powleczenia na poduszkach i prześcieradła ze śnieżnobiałego płótna — włókno wyhodowano na polach bjórndalskich, a we dworze przyrządzono je, uprzedzono i wreszcie utkano; gotowe płótno wybielono na osłonecznionych stokach wzgórz otaczających dwór. Przed łóżkiem leżała skóra rysia, najcieplejszy i najbardziej miękki dywanik, jakiego można życzyć stopie ludzkiej.

Na ścianach wisiały obrazy i różne drobnostki, nad komodą —• piękne lustro. Pod nim panna Kruse umocowała wianek z nieśmiertelników i trawy-drzączki. Kazała splatać takie wieńce latem, aby rozweselały izby w ciemne, zimowe dni.

Panna Kruse wdychała powietrze w izbie. Opalała ją już od|| trzech dni. Do pieca kładziono świeże gałęzie świerkowe, aby'1'1 usunąć z izby stęchłe zapachy. Tak, panna Barre mogła teraz przyjechać. Niech się przekona, że i w Bjórndal można mieszkać zupełnie przyzwoicie, chociaż jest przyzwyczajona do wytwornego życia.

Nazajutrz o brzasku, kiedy niebo nad lasami od wschodu nie zdążyło jeszcze przyblednąć, zatrzeszczały drzwi od izby czeladnej. Niesiona przez kogoś latarnia przesuwiała się chybotając przez ciemne podwórze, aby w końcu zniknąć za wrotami stajni. To sam starszy stajenny, Syver Bakpaa, rozpoczął swój dzień.

Tym razem chodziło o wielką, uroczystą jazdę, i sam Syver będzie musiał powozić — powiedział stary Dag. Ma przywieźć pewnego majora i jego córkę; major był na wojnie w wielu obcych krajach; to major dragonów, bardzo srogi pan; wszystko musi być w idealnym porządku, i koń, i sanie — panna Kruse

pouczała Syvera. Musi wziąć tego dużego ogiera, nawet gdyby koń był w swoim najgorszym humorze. Major dragonów może jechać tylko prędko, to jasne jak słońce.

Tak, musi wziąć Bamsena. Ten ma najszersze piersi z całej stajni i pędzi jak wicher. Ale jedna wielka szkoda: trolle tak opadły tego konia, że żaden chrześcijanin nie może się już prawie do niego zbliżyć. Toteż nikt nie miał odwagi nim jeździć. Ogier stojąc bezczynnie wyrósł, a równocześnie zdziczał do tego stopnia, że nawet Syver musiał się czasami zastanawiać, czy w ogóle warto mu się z nim zadawać.

Syver człapał po stajni. Słychać było stuk kopyt o ziemię i szcęk łańcuchów. Ze wszystkich stron dobiegało parskanie i rzenie koni. Ponad przegrodą jednego ze środkowych boksów Bamsen podniósł swój łeb i parsknął na niego. Nozdrza miał rozszerzone, dokoła ślepiów białawe obwódki. Aha! Więc tej nocy miał znów gości. Syver ostrożnie wśliznął się do boksu i zajrzał do koryta. Naturalnie, zostało w nim jeszcze trochę siana. Trolle dały mu go tak dużo, że nie mógł podołać. Spojrzał na niego z boku. Grzywa i ogon, jeszcze wczoraj tak pięknie wyczesane, były zwichrzone i splątane. Musiały grzebać w nich i przeplatać tam i z powrotem przez całą noc — to było całkiem jasne.

Syver przeszedł do boksu Borki. Rżała — widać było, że jest wygłodzona i niespokojna. Jej koryto było puste i wylizane. Biedna Borka. Widocznie karzełki nie lubiły gniadych kconi. Zabrały Borce całą paszę i zaniósły Bamsenowi, który codziennie przybierał na wadze, a Borka w tym samym czasie coraz bardziej chudła. Co one wyprawiały z tym Bamsenem — to było po prostu okropne. A jak czysto utrzymywały jego boks. U każdego innego konia przez noc gromadziło się w przedziale siano i gnój, ale u Bamsena było zupełnie czysto. Jeśli tylko coś spadło na ziemię, zaraz mu to wymiatały i wносиły na środek stajni. W boksie Bamsena było zawsze jak wylizane.

Syver nagle podskoczył. Czy ktoś nie chichotał? Zupełnie tak, jak delikatne miauczenie kota. Przerażony, odmówił czym prędzej Ojcie nasz. Szeptem. Wiedział, że po takiej modlitwie trolle "yły bezsilne aż do następnej nocy. Napoił i nakarmił Bamsena. -"y jednak chciał wyczesać mu grzywę, zwierzę wykręciło na-616 łeb i kłapnęło szczękami, aż się rozległo; z pyska wyszczerzyły



się na niego błyszczące zęby. Nieźle. Tym razem trolle porządnie go rozdrażniły. Syver wymyślał im teraz do woli, wiedząc, że po zmówieniu Ojciec nasz nie mogły go już usłyszeć.

Gdy Syver skończył obchód stajni, napełnił worek owsem potrzebnym na drogę i sprawdził jeszcze raz uprząż i dzwonki. I znów w stajni zapanowała ciemność i cisza. Słyszać było jedynie monotonny szmer poruszających się końskich szczęk, jak rozcierały siano; od czasu do czasu stuknęło kopyto, przerywając ciszę. Latarnia trzymana przez Syvera kołysała się znowu w czarnej ciemności podwórza, posuwając się w stronę kuchni. Syver zawsze z przyjemnością myślał o śniadaniu, które dostawał przed podróżą; a przecież dziś była już prawie gwiazdka — tym razem będą nie lada kąski do zjedzenia!

Dopiero świtało, gdy Syver wyciągał sanie, szerokie sanie, używane do dalekich podróży. Tutaj miał już pomocników, choć raczej tylko dla pozorów. Tam gdzie pracowały potężne ręce Syvera, inni niewiele mieli do roboty.

W końcu nadeszła chwila, kiedy trzeba było wyprowadzić Bam-sena ze stajni. Teraz dopiero rozpoczęła się zabawa! Koń bez przerwy miotał się, gryzł i kopał — można się było do niego zbliżyć tylko z narażeniem życia. Ale Syver dostał od panny Kruse uczciwą szklankę mocnego grogu świątecznego, więc wszelkie wybiegi Bamsena nie zdały się na nic. Wprawdzie tańczył wciąż na śniegu jak szalony, wzniesając dokoła tumany, ale Syver chwycił go za grzywę i trzymał go olbrzymimi rękami jak w kleszczach. Na swoich sprężystych nogach mógł teraz tańczyć z nim razem. Nie puści go, chociażby się nie wiem jak wykręcał i obracał. Ho ho, stary Syver umiał sobie z takimi poradzić. Przecież całe życie miał do czynienia z końmi. W czasie najgwałtowniejszego szamotania między szczękami Bamsena znalazło się wędzidło i zanim koń zdołał ochłonać, już uprząż ze świstem spadła mu na grzbiet. Dopiero teraz trochę się uspokoił. Czuł się jak gdyby dumny z całej tej błyszczącej skóry i świecących sprzączek. Lecz gdy przyszło do zaprzęgania, taniec rozpoczął się 6d nowa. Rzucił łbem do dołu, stawał dęba i wierzgał na wszystkie strony, aż śnieg fruwał dokoła. Ale kiedy już raz uprząż była założona, Syver był panem sytuacji. Koń musiał iść pomiędzy dyszle.

T7?

Syver sprawdził już poprzedniego dnia, czy sanie są w należyтым porządku, teraz zaś dziewczyny, pod okiem panny Kruse, przyniosły wszystko, co potrzebne na taki mróz, a więc derki i futra. Były one zawsze przechowywane w starym magazynie, do którego myszy nie mogły się dostać i gdzie wszystko było -dobrze zabezpieczone zamkami. Otwierały je tylko klucze z wielkiego pęczka, który panna Kruse stale nosiła przy sobie. Syver wciągnął na nogi buty z cholewami i włożył na siebie futro z wilczych skór, po czym wspiał się na kozioł. Był to teraz prawdziwy Bakpaa \*, jak nazywano go w całym osiedlu i na równinie. W ręku trzymał lejce i bat, zaś pomiędzy dyszlami — parszającego czarnego konia.

Panna Kruse patrzyła za nim i kiwała głową. Przez chwilę zdawało się, że koń chce wzlecieć prosto do nieba, ale potem przejechali przez podwórze, minęli wrota i pomknęli w dal. Panna Kruse uśmiechnęła się i zamknęła drzwi. Tak, major i panienska będą mieli nie lada jazdę!

W miarę jak dzień upływał, do dworu na Bjorndal zaczął wkra-dać się niepokój. Początek dał stary Dag. Co chwila wychodził. poza zabudowania dworskie i badał pilnie stoki wzgórz Hamarrbó widoczne za osiedlem.

— Czy sądzi pan, że zaryzykują tę daleką jazdę w takim mrozie? — pytał kapitana.

Stary kapitan był już całkowicie zarażonym tym samym niepokojem, ale wyprostował się zaraz i chociaż założone do tyłu ręce mocno mu drżały, miał minę pełną godności.

— O tak — odpowiedział. — Zęby odstraszyć Barrego. trzeba czegoś innego niż tylko mrozu i długiej drogi. Jeśli w ogóle ma zamiar przyjechać — dodał ostrożnie.

Stary Dag ściągnął brwi na oczy. Twierdził, że chodziło mu głównie o to, że mógłby grać w karty. Ale sprawa była znacznie poważniejsza. Z największą bowiem obawą myślał o możliwości spędzenia świąt bez gości. Przykre by to było świętowanie. Boże Narodzenie przynosiło ze sobą wiele wspomnień, zaś z tego rodzaju refleksjami, w jakie popadał w czasie ostatnich dni i nocy

\* Nakoźle, siedzący na koźle

— byłoby naprawdę ciężko przeżyć w samotności cały ten długi okres spokoju i bezruchu. A przy tym bynajmniej nie przyjemna to perspektywa jechać do kościoła bez chociażby jednego gościa. Z majorem i jego córką można się było pokazać. Dlatego to, a może i z innych powodów stary Dag nie chciał widzieć Syvera powracającego z pustymi samami. Po niepewnej odpowiedzi majora zaczął się zastanawiać, a wątpliwości jego spotęgowały się jeszcze, gdy przyszedł mróz. Śnieg aż piszczał ipod nogami i śpiewał niedwuznacznie pod płozami sań. Powietrze wprost stężało od mrozu, słońce wisiało na niebie jak wielka czerwona plama.

Na stacji pocztowej w Korsvoll Syver Bakpaa został iprzyjęty z wielkimi honorami, jak zresztą przyjmowano tam każdego, kto przyjeżdżał z Bjórndal. Syver rozsiadł się w wielkim krześle za stołem, jak gdyby był co najmniej pastorem lub pisarzem. Podano mu jedzenie i coś do wypicia. Wielkie to były dla niego dni, gdy mógł jechać przez okolicę. Stary Dag dał mu pieniądze, żeby mógł za siebie zapłacić. Wcale przyzwoitą sumkę. Właściwie mógłby coś z tego zatrzymać dla siebie, ale Syver był uczciwym człowiekiem; zresztą lubił zawsze zajeżdżać z całą okazałością, jak i z potrzebnym do takich okazji wypchanym trzosem pieniędzy przy sobie. Owszem, wielka maniera bardzo mu odpowiadała.

Zgodnie ze swoim zwyczajem jadł długo i dobrze, po czym położył się w izbie sypialnej na spoczynek. Mieli go obudzić, skoro tylko przybędą oczekiwani goście z miasta.

Czas upływa bez zmian. Zbliżał się wieczór. Poczmistrz-ober-żysta stale podchodził do południowego okna, ale na drodze ani śladu. Ani znaku życia. Mróz nakładał na szyby grube kwiaty, tak że trzeba było chuchać i zdrapywać je paznokciem, by widz'eć jednym okiem, co się dzieje na zewnątrz. Może ci ludzie z miasta, którzy mieli jechać do Bjórndal, zawrócili z powodu silnego mrozu? Jeżeli teraz nie zajadą, musi obudzić Syvera, bo może będzie wolał wrócić do domu, póki noc nie zapadnie. Jeszcze raz podszedł do okna i chuchał, i drapał. Coraz trudniej było zdrapywać

lód z szyby.

Ale zaraz! Co to za cień na zamarzniętej szybie? Czy to nie koń wlokący się z trudem na zakręcie drogi? Tak, to koń, teraz widział już wyraźnie.

Sanie były wąskie i wyrotne, kołysały się i przechylały, zaś stara chabeta człapała powoli, chwilami tylko podbiegając truchcikiem. Był to najbardziej rozklekotany ekwipaż, jakim dysponowała stacja Ródmyr.

Major Barre i panna Adelajda weszli do poczekalni na stacji w Korsvoll. Major zżymał się, bo dojechać na miejsce był już najwyższy czas. Ledwie mógł mówić ze wzburzenia. Oboje prawie umierali z głodu, a od mrozu niemal całkiem zeszywnieli. Major przez całą drogę wymyślał na konie i na sanie, na stangreta i na całą podróż. Jego córka była blada i wyczerpana. Ich ubiór nie nadawał się do długiej drogi w takim mrozie. Mieli wprowadzić w domu cieplejsze rzeczy, ale nie były one już w takim stanie, aby można było w nich jechać z wizytą. Sanie były zaopatrzone w dery bardzo skąpo, tak że o mało nie zamrzli na śmierć po drodze. Najgorzej było z nogami, których w ogóle już się nie czuło.

Major złościł się i wymyślał.

— Czy nie było tutaj kogoś z Bjórndal? — dopytywał się niecierpliwie. Jednak niezadowolenie jego ustąpiło nieco, gdy się dowiedział, że koń czeka już od wielu godzin, że jest dobrze wypoczęty i że może zaraz wyruszyć, o ile tylko major zechce.

— Jak sądzisz? — pytał, patrząc na córkę. — Może by najlepiej jechać zaraz dalej? Niedługo już będzie noc.

Dobrze, zgadza się na wszystko. Oberżysta wybiegł i zaraz w izbie sypialnej i w stajni zrobił się wielkich ruch. Podróżni włożyli z powrotem swoje płaszcze i wyszli na zajazd.

Na dworze już się ściemniało, ale major zdołał jeszcze zobaczyć tyle, aby powstrzymać się od dalszych uwag i wyrzekań. Co przede wszystkim przykuło jego wzrok i zmusiło do milczenia? — Ogromny koń z wysoko [podniesionym łbem, ognisty, pełen energii i siły. Ani chwili nie mógł ustać spokojnie. Uprząż połyskiwała na nim jak na koniu z bajki: ułożone w dwóch rzędach dzwonki pobrzękiwały melodyjnie przy każdym jego poruszeniu. Chłopak stajenny trzymał konia z całych sił za łeb, ale zwierzę biło kopytami w ziemię i wyrывało mu się to do tyłu, to do przodu, to znowu na bok; ani chwili nie stało spokojnie.

Syver krzątał się koło sań. Wykładał dery, futra i baranice.

m

Wysoki, barczysty, o potężnych ramionach, w swych wysokich butach, futrzanej czapce i futrze z wilczych skór wyłaniał się z mrocznej szarżyny niby jakiś olbrzym.

Może te ciepłe skarpety dla pani? Może pan major chciałby te wysokie futrzane buty? Z kolei włożono na nich futra tak ciężkie, że panna o mało nie uklękła na śniegu pod ciężarem swojego. W saniach były jeszcze worki z podwójnie złożonych skór futrzanych do otulenia nóg. Kiedy usiedli, położono na nich trzy warstwy skór, najpierw baranicę, potem skóry wilcze, a na koniec olbrzymią skórę niedźwiedzia. A jak starannie Syver pozakładał wszystko i pozapinał!

— Teraz to już chyba będzie tego dosyć — powiedział major, ale pieczołowitość, z jaką ich otulano, bardzo mu pochlebiała.

— Będziemy jechać szybko — odparł Syver — a w nocy na drogach północnych jest bardzo ostry mróz.

Gdy Syver z miną wyrażającą pewność siebie wziął do rąk lejce i bat, a następnie zajął swoje miejsce z tyłu, major czuł w kościach, że zobaczą nie byle jaką jazdę. W tejże chwili chłopak puścił łeb konia i Bamsen zerwał się z miejsca jak huragan. Przelecieli tamującym oddech pędem przez zajazd tylko na jednej płozie, zjechali błyskawicznie po zaspie i już byli na głównej drodze. Ciężkie, szerokie sanie sunęły równo i pewnie. Poprzednie sanie wytrzęsły ich niemiłosiernie, ale za to ta jazda dawała im prawdziwy odpoczynek. Major Barre zaraz odzyskał dobry humor. Oswobodził się nieco z futer i derek, aby spojrzeć na córkę, podczas gdy ona wygrzebywała się spod swoich, by popatrzeć na ojca.

— Wspaniale! — powiedział. Skinęła tylko głową, a oczy jej błyszczały. Major wsunął się z powrotem pod warstwę futer i zadowolony mruknął jeszcze raz: — Wspaniale...

Serce Adelajdy rozpieierała radość na myśl o tym, że jechała do Bjórndal. Teraz jednak zaczęła się zastanawiać, o ile gorzej to będzie dla niej, jeśli przyjedzie i zobaczy, a potem wszystko to straci. Jakież miała prawo przypuszczać, że Dag się w niej zakocha? To wszystko było tylko nieziszczalnym snem, który rozwieje się w próżni, gdy już tam przybędą. Może on wcale nie był taki, jakim widziała go w swoich snach, może bynajmniej nie był tym, którego szukało jej serce?

Tak argumentował mózg, ale nowe uczucie, które się w niej obudziło i rozpierało jej pierś aż do bólu, nie szło za tokiem tych myśli, lecz podążało swoją własną drogą, ciepło, tkliwie, w cichości — i parło prosto naprzód jak ten ogromny koń przed saniami.

Jakiś czas jechali Sipokojnie. Dzwonki śpiewały rytmicznie niby strumyk przemykający się przez skutą lodem ziemię, zaś sanie sunęły na płozach przy akompaniamencie skrzypiącego śniegu. Nagle koń przyspieszył i poderwał sanie. Dzwonki zabrzmiały kaskadą głośnych tonów i wyrwały podróżnych z uśpienia. Bamsen parł do przodu, tak że sanie zdawały się lecieć w powietrzu. Panna Adelajda wytknęła głowę i rozejrzała się dokoła. Było ciemno, ale światła rozsianych daleko gospodarstw zorientowały ją, gdzie się znajduje. Znała tę okolicę — była to otwarta równina. Wiatr hulał nad polami niepowstrzymany i ciał ją po twarzy. Zagrzebała się z powrotem w futrach. Mijali zamożne dwory na równinie, mijali wielkie połacie śniegu i tylko tu i Lnn napotykali gołe, poczerniałe od mrozów drzewa, wystające wzdłuż brzegów strumieni wśród tej białej monotonii. W zafałdowaniach ciemniały jak plamy budynki gospodarstw świecące w noc żółtymi oczami okien. Odsunięte od dróg, wydawały się dalekie.

Lodowaty wiatr szalał zamiecią pośród otwartych przestrzeni. Minęli kościół i plebanię. Teraz droga raz szła pod górę, raz na dół. Nadeszła chwila, kiedy z oddali zamigotały przed nimi światła Borgland. Patrzyli w tę stronę oboje, ale nie padło żadne słowo, zaś panna Adelajda schowała się znowu w swych futrach, kiedy tamtędy przejeżdżali. Czowała gwałtowne bicie serca. Teraz jechali wielkiej przygodzie naprzeciw, na życie lub śmierć, ku szczęściu lub ku wiecznemu żalowi. Ale cokolwiek ich czekało, ta podróż do krainy przeznaczenia była pełna wspaniałości i uroku.

Bamsen otrząsnął się. Dzwonki zakrzyczały szalonym chórem, posyłając ostatnie pozdrowienie szerokiej równinie. Same zniknęły w lesie bjórndalskim.

Mad Bjórndal zapadała noc.

Kapitan Klingę chodził po sieni tam i z powrotem, wciąż podgajając założone na piecach trzęsące się ręce. Na swoim krześle Przed kominkiem siedział ojciec Dag zapatrzony w ogień. Był sa^lotny na świecie. Nikt z tych wszystkich ludzi, którzy pod-

legali jego władzy — czy to we dworze, czy w osiedlu, czy też i w dalszych okolicach — nie szukał z nim zbliżenia. Los wielu ludzi spoczywał w jego rękach, a oto teraz tęsknił do ludzi, tęsknił do tego, aby byli blisko niego, naokoło niego. Lecz coś go od nich oddalało. Tak bardzo liczył na to, że zaproszeni goście pozwolą mu uniknąć samotności, choćby na okres świąt. A oni nie przyjechali.

Panna Kruse przyniosła piwo, aby im skrócić czas wyczekiwania, ale piwo stało na stole nie tknięte. Kapitan całymi godzinami wysiadywał w nowym budynku przy oknie i wypatrywał jak sęp w stronę Hamarrbó, dopóki ciemność nie skryła wszystkiego; zaś Dag iprzec cały dzień wychodził i wracał, tam i z powrotem. Już przez wiele godzin nie wymieniono żadnego słowa.

W pewnej chwili weszła panna Kruse. Zdawało jej się, że od strony drogi usłyszała dzwonki. Wyszła zaraz z powrotem, ledwie wypowiedziawszy swych słów. Kapitan patrzył na nią z rozwar- . tymi ustami. Dag nawet się nie poruszył. Zauważył tylko ze ; , skrzywioną miną, że Syver nie mógł przecież zostać w Korsvoll~, } na zawsze. Raz przecież musiał wrócić. Nic w tym dziwnego. Dag był rozgoryczony — głos zdradzał to wyraźnie.

Naraz i oni usłyszeli dźwięk dzwonek Bamsena. Nie brzmiały; głucho jak po daremnej podróży, ale tętniły żywą kaskadą ra- ; dości. Syver nie jechałby tak dla własnego widzimisie. Dzwonki były coraz głośniejsze, coraz bliższe. Nawet Dag odwrócił głowę i nasłuchiwał z naprężoną uwagą, jak gdyby ich dźwięk mógł mu oznajmić oczekiwanych gości. Wydawało się, że w istocie niosą jakieś ważne wieści — tak głośno rozlegały się po ipodwórzu. Nasłuchiwali znowu. Poznali głos Syvera, słyszeli, jak panna Kruse coś mówiła, i wówczas kapitan opuścił z pleców ręce i wyprężył się do przodu. Komenderujący ton głosu majora doszedł jego uszu. Również Dag podniósł się zaraz. Podeszli obaj do drzwi i otworzyli je. Wionęło ostre, mroźne powietrze. Ale oni na to nie zważali. Major w swoim pełnym rynsztunku podróżnym wchodził pod okap wejściowego ganku.

Jeszcze nigdy panna Adelajda nie była tak bezradna, jak teraz.

Wygrzebywała się z futer i der, i worków, ale szło to bardzo wolno. Jak gdyby chciała się bronić i odsunąć jak najdalej moment przebudzenia z przepięknego snu. Być może, chciała zyskać trochę na czasie, aby jeszcze raz uporządkować swe myśli, zanim

przestąpi próg tego domu. Przez całą drogę nie mogła zwalczyć w sobie lęku przed tym spotkaniem, które tak niepodzielnie zajmowało wszystkie jej myśli i sny. Gdy wjeżdżali na podwórze, księżyc wychylił się zza obłoków. Wszystko było takie dziwne i wielkie, tak jak przedstawiała to sobie w swych snach — budynki, podwórze, długie, smęte cienie. Ale najcięższe jeszcze ją czekało — spotkanie z tymi, którzy byli wewnątrz.

Ciemne futro matki, które przerobiła stosownie do swojej figury, - przylegało przyjemnie do jej smukłego ciała. Ale że było jej gorąco od tych wszystkich ciepłych rzeczy, jak też i z podniecenia, i prawdopodobnie także z innych powodów — rozpięła płaszcz na piersi, odsłaniając biało-żółty, koronkowy szal, który układał się bogato dokoła jej mocnej, pięknej szyi.

Powoli weszła na ganek; uroczyście — jak przystało komuś, kto idzie na śmierć lub ku życiu — wkroczyła do sieni. Może spodziewała się znaleźć tam kogoś, bo wzrok jej błędził bezradnie dokoła. Jego nie było. Powitał ją stary Dag i kapitan. Poza tym stali tam ojciec i panna Kruse. Nie było młodego Daga... Oczy jej zaszkliły się łzami, i cała izba jak gdyby zatonała w ciemnościach. Potem otworzyły się drzwi i mroźny wiew zimy wtargnął znowu do izby. Drzwi zamknęły się. Powoli odwróciła głowę i oczy jej spotkały się z oczami młodego Daga.

Mieszkał przeważnie w starym budynku, wysuniętym na podwórze od strony dawnej izby mieszkalnej, do której przytykał ścianą. Nazywano go „domem”; mówiono też, że był to najstarszy budynek na obszarze dworu bjordalskiego. Na środku izby stał kominek, ale ściany nie miały okien, jedynym otworem był dymnik. Już jako chłopiec wybrał sobie „dom” na mieszkanie i odtąd najchętniej w nim przebywał, bo właśnie tam, wśród swoich nart, broni, ekwipunku do łowienia ryb i ze swymi psami — czuł się zawsze najlepiej. Wyszedł, usłyszawszy dzwonki nadjeżdżających sań, a potem obce głosy. Oczy jego potrafiły wypatrywać najmniejszy znak życia w lesie, toteż musiały zauważyć coś, co malowało się na twarzy panny Barre — na tej białej twarzy, która zarumieniła się tak gwałtownie; te duże, piękne oczy, które zrazu zwilżyły się uczuciem zawodu, a naraz zaświeciły życiem; tę szyję i te koronki, i tę smukłą postać. Czy zauwa-

ył to wszystko? Pochylił głowę witając się, ale gdy ją uniósł, zo-



baczył w jej oczach jeszcze ten sam wyraz, jaki miały przedtem. Czy dobrze widział? Ale właśnie w tej chwili zbliżyła się do niej panna Kruse, ofiarowując jej cichym głosem swoje usługi. Panna Barre musiała udać się za nią na górę.

Cóż na świecie da się porównać z uczuciem, jakiego się doznaje, gdy po długiej, męczącej podróży wśród mrozu i wichrów wchodzi się do domu pełnego ciepła i ciszy? Serce majora Barrego wezbrało aż do bólu, gdy witano go z taką serdecznością, z jaką, o ile tylko pamięta, jeszcze się w życiu nie spotkał. Stary Dag ścisnął mu rękę, że aż kości trzeszczały; młodemu także nie brakowało krzepy w dłoni, zaś Klingę trzymał jego ręce w swoim drżącym uścisku tak mocno, jak tylko mógł, a potem dreptał wciąż za nim, gdziekolwiek tylko szedł, albo stawał przy nim i klepał go po ramieniu powtarzając, jak diabelnie się cieszy, że go widzi.

Major słyszał w mieście, że dwór w Bjorndal rozporządza niezmiernym bogactwem, spodziewał się więc, że zastanie tutaj wiele innych gości. Sądził przecież, że zaproszono go z córką tylko jako ubogich znajomych, i to aby zrobić przyjemność kapitanowi, temu biedakowi wśród bogaczy. Tymczasem witano go tu jako honorowego gościa, a stary Dag, o którym opowiadano, że jest człowiekiem twardego serca i traktuje wszystkich jak pełen pychy despota, witał go najbardziej serdecznie i słowem, i spojrzeniem, i mocnym uściskiem ręki. Major z miejsca uznał wszystko, co o nim mówiono, za oszczerstwo.

Panna Adelajda upadała niemal ze zmęczenia po tej długiej i ciężkiej podróży, jak też z rozczarowania, że nie zastała tego, którego spodziewała się ujrzeć po wejściu do sieni. Gdy przyszedł i gdy zobaczyła jego twarz taką, jaką widziała w swych snach, ba, nawet mocniejszą — najchętniej padłaby mu prosto w ramiona.

Tak. serce nakłaniało ją do tego, ale wola i rozsądek wzięły górę. Zapanowała nad sobą. Zrazu nie miała tyle siły; by oderwać oczy od jego twarzy, tak jak to wypadało uczynić; ale potem całkowicie się opanowała. Szybkim krokiem szła po schodach do izby, do której prowadziła ją panna Kruse.

Panna Adelajda gościła już w niejednym dużym domu, gdzie

przyjmowano ją jak najlepiej, z wielkimi grzecznościami. Jednak pokój paniński, do którego ją teraz wprowadzono, był niepodobny do żadnego z tych, jakie dotychczas widziała. Surowa matka uczyła ją, że nie należy nigdy zdradzać się ze swymi myślami i uczuciami przed służbą. Ale panna Kruse nie wyglądała na służącą, a pannie Adelajdzie trudno było tego wieczoru zatrzymać w sobie swe myśli i uczucia. Owszem, odwróciła się, aby tamta nie widziała, że oczy jej świecą od napływających łez, ale nie mogła powstrzymać słów, które dyktowało serce.

— To ten prześliczny ipokój ma być dla mnie? — zauważyła. W głosie jej można było wyczuć, jak głębokie znaczenie przywiązuje do swych słów.

— Jeśli pani łaskawie zechce — odrzekła panna Kruse. Adelajda Barre uśmiechnęła się swoim ślicznym uśmiechem i skierowała wilgotne oczy na pannę Kruse.

— Kto nie byłby zadowolony z takiego pokoju, zasługiwałby na to, aby w ogóle nie miał dachu nad głową — odpowiedziała. Słowa te panna Kruse zachowała dobrze w swoim sercu.

xxm

Jtanna Barre była teraz sama. Jedna ze służebnych przysłała już przedtem na górę, przynosząc jej dzbanek ciepłej wody do umycia rąk i miseczkę gorącego bulionu. Adelajda zamknęła za nią drzwi na klucz; mogła siedzieć spokojnie. Świeca na komodzie ipaliła się wysokim i spokojnym płomieniem. W piecu huczał ogień, trzeszczały brzoźowe polana. Delikatna woń jak gdyby gałązek świerkowych mieszała się z wonią brzoźowego drzewa. A poprzez ten aromat przenikał jakiś lekki, ledwie uchwytny zapach — co to właściwie było? Tak, przypomniała sobie — w szafach i w szufladach u jej babki tak samo pachniało.

Usiadła na dużym, głębokim krześle i Oiparła głowę na oślepiająco białej kapie. Jeszcze nigdy w życiu nie zaznała, co to jest

prawdziwa przytulność i wygoda. Matka jej była surowa i niedostępna; dookoła niej stale był jakiś zimny cień, którym mroziła życie własne i innych. Nie potrafiła udzielać swemu otoczeniu spokoju i pociechy; źródło cichych i pogodnych uczuć wyschło w niej, zanim Adelajda przyszła na świat. Adelajda zaś szła uparcie swoją drogą i myślała zawsze tylko o sobie. Siedząc teraz w tej izbie, uświadamiała sobie czyjeś łagodne, delikatne istnienie i podziwiała pieczołowitą rękę panny Kruse.

Ach, żeby święta Bożego Narodzenia trwały tym razem długo, dłużej niż kiedykolwiek przedtem.

Podniosła się, podeszła do komody i stanęła przed lustrem. Przemawiała do tego lustra, dotykała drobnych przedmiotów ozdobnych, rozłożonych na komodzie, gładziła palcami haft serwety. Potem umyła się, uporządkowała przed lustrem loki i koronkę przy szyi; zaraz potem zaskrzypiały schody i ktoś zapukał do drzwi. Panna Kruse przyszła powiedzieć pannie Barre, że jeżeli zechce zejść na dół, będzie mogła trochę się posilić. Panna Kruse szła pierwsza, aby pokazać gościowi drogę przez sień do pierwszej izby.

Panna Adelajda jeszcze nigdy w życiu nie przeżywała tak brzemiennej chwili. Spotkanie w sieni ograniczyło się prawie do sekundy, ale teraz będzie siedziała z nim przy stole. Będzie dość czasu, aby mu się dokładnie przyjrzeć, ona sama także pokaże im się teraz w pełnym świetle. Była uszczęśliwiona, ale zarazem bała się.

Gdy wchodziła, widziała wszystkich jak przez mgłę. Stopniowo wszakże odzyskała jasność wzroku. Nie szukała wcale ani j ojca, ani kapitana; w umyśle jej trwał obraz starego i młodego 1 Daga. Zdawało jej się, że byli obaj inni, niż początkowo przypuszczała, i że są bardziej podobni do ludzi z jej własnego świata, aniżeli tego oczekiwała — przynajmniej z wyglądu zewnętrznego. Adelajda nie mogła wiedzieć, że ubranie szył im krawiec sprowadzony z miasta. Więc tylko dziwiła się, jakim sposobem mogli być tak wytwornie odziani. Młody mężczyzna czuł się jakoś nieswojo w tym odświętnym stroju, ale żaden strój nie potrafiłby zmienić jego figury i postawy. Był dokładnie taki sam, jakim go pamiętała, niepodobny do innych. Stary Dag, który z pewnością, wiele podróżował i wiele widział, a przy tym posiadał taki ogro-

ranny majątek, zachowywał, stosownie do etanu, zimny spokój. Postać jego tchnęła siłą. Oczy, głębokie i niezbadane, zdawały się patrzeć na każdego z pewną wyższością. Jeszcze przy nikim nie czuła się taka mała i nic nie znacząca, jak przy tym człowieku. Robił wrażenie człowieka, który przemyślał i ocenił wszystkie problemy życiowe, i patrzył teraz na nią i na wszystkich z ostrożną i badawczą nieufnością.

Usiedli przy stole bez wybierania miejsc, na chybił trafił.' Adelajda znalazła się obok swego ojca, naprzeciw młodego Daga. Naprzeciw jej ojca siedział kapitan Klingę, a stary Dag przy końcu stołu. Nie tronował na wysokim krześle z baldachimem, o jakich czyta się w starych książkach, jednakże to, na którym siedział, było większe niż jakiegokolwiek krzesło, które dotychczas widziała. Zdobiły je liczne rzeźbione figury. Wyobrażała sobie zasiadających w ten sposób dawnych wodzów, gdy przewodniczyli swojej radzie. Pozostałe krzesła były również bardzo masywne, tak że ojciec musiał sam przysunąć jej jedno, aby mogła usiąść.

Wszystko w tym pokoju było wielkie, stare i takie dziwne, jak gdyby przynależne do odległych, dawno minionych epok, w których żyli inni ludzie. Tylko szpinet stojący pod ścianą należał do jej czasów. Czuła jakiś przygniatający lęk zarówno przed tymi ludźmi, jak też ich otoczeniem, ale kiedy otrząsnęła się z tych myśli i spojrzała na stół, była naprawdę zdumiona.

Żaden nawet najbardziej wystawny obiad nie mógł się równać z tym, co tu podano. Nakryto odświętnie stół w pierwszej izbie, tak jak za czasów Ane Hamarrbó z pewnymi tylko dodatkowymi zmianami, wprowadzonymi przez Teresę. Właściwie należało go nakryć dopiero w pierwszy dzień świąt, ale święta zaczynały się tutaj z chwilą, gdy przybywali goście. W pierwszy wieczór bytności trzeba dać im godne przywitanie.

Być może, że w owych czasach dochowywano tego zwyczaju po to, aby pokazać, ile to żywności znajdowało się w domu. Każdy wtedy mógł jeść bez skrupowania i wybierać to, co najwięcej lubił. Tak, bo na stół świąteczny w Bjorndal podawano — i dawnej, i teraz — taką obfitość jedzenia, że starczyłoby dla stu ludzi. Ze spiżarni, kuchni i z piwnicy szły na stół całe szynki, pieczenie ogromnych rozmiarów, wszystko, co tylko mógł dać las,

woda i majątek — z wieprza i wołu, cielęcina, barana i jagnięcia, gęsi oraz dziczyzny: zająca, kuropatwy i cietrzewia, których miody Dag niemało upolował w znanym sobie miejscu, gdzie karłowate brzozy rosną tuż u podnóża wzgórz. Prócz tego suszone mięso z łosia, wędzone mięso z niedźwiedzia i różnego gatunku ryby ze strumieni i jeziora, wszelakiego rodzaju pieczywo, sery i masło oraz miód i konfitury. A do picia mocne piwo i wódka. Ciężka skrzynia, którą Teresa kiedyś kazała wstawić do izby sypialnej, stała tam nadal, a stary Dag miał klucze od niej. W czasie wielkich uroczystości panna Kruse mogła z niej wyjmować wszystko, co jej było potrzebne: kosztowne obrusy, srebro stołowe przywiezione z mieszkania Teresy z miasta. Obecnie spoczywało w tej skrzyni także i srebro dziedziczne Bjórndalów. Dzisiaj widać było, że panna Kruse sięgała do skrzyni: ciężkie srebro leżało obok półmisek, wspaniałe obrusy lśniły bielą od-

świetnie.

| Adelajda nigdy nie czuła

się tak onieśmielona, jak podczas)

owych pierwszych chwil przy stole. Odetchnęła też z prawdziwą ulgą, gdy stary Dag przerwał milczenie. Dziękował gościom za to, że nie ulekli się tak długiej podróży, aby spędzić święta w obcym dla siebie domu. Potem witał wszystkich w serdecznych słowach, życząc każdemu z okazji świąt pokoju i wesela. Wychylono pierwszy uroczysty kieliszek i niebawem rozwiązały się języki.

Adelajda była bardzo głodna po podróży i jedzenie smakowało jej nadzwyczajnie.

Wódka również była dobra, piwo świeże i mocne, a major był serdecznie spragniony po tylu suchych dniach w mieście. Twarz jego zaczerwieniła się, z oczu wojaka zaczęły tryskać iskry. Głos jego brzmiał coraz donośniej, a gdy się śmiał, to na całe gardło. Stary Dag należał do ludzi, którzy zawsze zachowują spokój i godność, ale teraz i w jego oczach migotały wesołe błyski. Po tak długim oczekiwaniu i dręczących chwilach niepewności radował się swymi gośćmi i nie pozwolił majorowi wychylić samemu ani jednego kieliszka. Najślabszy w tym gronie był kapitan, ale ostatecznie tylko raz do roku jest Boże Narodzenie — biedak starał się, jak mógł najlepiej. I tak stało się, że w izbie zapanowała wesołość, słychać było wybuchy śmiechu i głośne rozmowy.

Również i młodzi rozochocili się nieco wobec ogólnego dobrego nastroju, zresztą też nie bez wpływu jedzenia i napojów. Policzki panny Adelajdy zarumieniły się, oczy błyszczały jak gwiazdy. Oczy młodego Daga stały się bardzo ciemne i głębokie, pociemniała również jego opalona skóra. Raz po raz rzucał jej szybkie spojrzenie, ona zaś ostrożnie podnosiła oczy ponad s<sup>ł</sup>, kierując ku niemu błyszczący wzrok. Aż wreszcie oczy ich spotkały się i zatrzymały na sobie na przeciąg jednego wolnego oddechu. Po twarzach ich przesunął się uśmiech. Młody Dag wznosił ku niej swój kieliszek.

— To jest mocne — odezwała się, żeby tylko coś powiedzieć.

— O tak — przyznał — to jest mocne. — Nieśmiało odwrócił oczy i pochylił głowę. To było wszystko, co powiedzieli sobie tego wieczoru.

Zaraz ipo jedzeniu udano się na spoczynek. Po tak długiej podróży goście musieli odpocząć. Major Barre mrucząc z zadowoleniem położył się w starej izbie na górze, w zgodzie z całym światem. Ale gdzieś, na ciemnej ścianie od strony doliny, widać było światło. Czyżby to świeciło się w pokoju panińskim? Tak, panna Barre jeszcze nie spała. Chciała uporządkować swoje rzeczy w komodzie zaraz pierwszego wieczoru, żeby móc w pełni wykorzystać każdy dzień, który miała tu jeszcze spędzić. Musiała uczesać się na noc i włożyć czepeczek. Wypoczynek może poczekać, aż będzie na to czas. No i ten pokój — nic dziwnego, że nie chciało się jej spać. Tyle ślicznych w nim rzeczy — prawdziwa bajka! Ale teraz trzeba już zgasić światło. Wzrok musi odpocząć. Pod żadnym warunkiem nie może mieć jutro zmęczonych, matowych oczu. Bosymi nogami stanęła na miękkiej, rysiej skórze — jakie tu wszystko było miłe i wygodne! — i zajrzała do pogrążonego w cichym cieniu łóżka. Tu więc miała spać? Córka biednego majora w łóżku księżniczki?

Cofnęła się przestraszona. Na ścianie coś tak się dziwnie świeciło. Wpatrywała się w to szeroko rozwartymi oczami. Tak, teraz Poznała. Coś takiego można zobaczyć w kościele. Zbawca na krzyżu. Ale dlaczego to tak dziwnie lśniło? Stała jak zaczarowana, &z wreszcie zrozumiała. Cienka smuga światła przecisnęła się Przez szparkę między zasłonami i dotarła aż tam. A przecież

pierwsze wrażenie jak gdyby jakiegoś nadnaturalnego światła nie chciało tak łatwo ustąpić, toteż z przejęciem wpatrywała się w ipozólkłą kość słoniową i złote litery.

Przez całe życie z przyzwyczajenia odmawiała pacierz każdego wieczoru; mały, dziecinny pacierz. Modliła się do Boga, który był tak jakoś obcy i niedostępny, nieskończenie daleki. Lecz teraz odczuła tak wielką potrzebę modlitwy, że ręce jej same się złożyły i splotły, a usta gorąco szeptały do Boga na niebie, choć może więcej do znajdującej się bliżej figury na ścianie. Na pewno nie była to pierwsza gorąca modlitwa, którą spowodował krucyfiks wiszący tutaj na ścianie.

Ostatnie światło pośród ciemnych ścian dworu bjórndalskiego zagasło. Noc spowiła czernią niebo i świat ludzi.

#### XXIV

W pokoju panińskim na dużym krześle przy oknie siedziała Adelajda z robótką w ręku, wykonując ścieg za ściegiem. Zbliżał się wieczór wigilijny. Igła migała w jej ręku, ale myśli biegły jeszcze szybciej. Myślała o Dag. Nie pokazał się przez cały dzień, nikt o nim nic nie mówił. Nie śmiała pytać. Gdzież on mógł być, i to właśnie w dzień wigilijny.

Prawdopodobnie wyszedł, by kogoś odwiedzić — teraz wpadło jej to na myśl — kogoś, z kim chciał się zobaczyć. Na pewno upodobał sobie jakąś dziewczynę. Był przecież już w tym wieku. Z bladą twarzą podniosła się i zwróciła oczy na oszklone drzwi. Na dworze zapadał już zmierzch. Tak, więc był ktoś, kogo on odwiedzał, kogo kochał...

Tego dnia o świtaniu ktoś na nartach wyruszał z zajazdu w kierunku północno-zachodnim, w stronę lasu. Młody Dag, po kiepskim wypoczynku i niespokojnych snach, zateśknił do lasu. Jeszcze nigdy te porośnięte wzgórza nie były dlań tak upragnione

jak dziś i nigdy myśli jego nie były tak niesforne jak ostatniej nocy.

Stanął nieruchomo na Wzgórzu Łosi i patrzył wstecz na dwór i osiedle leżące daleko w dole. Pierwszy blask słońca słał się jak krew na wzgórzach od wschodu.

Teraz był dorosły. Więcej niż dorosły, jeśli chodzi o siłę. W barach i plecach był krzepki jak niedźwiedź, na nogach pewny jak koń, zwinny jak leśne zwierzę. Wiedział, co sądzić o życiu, przy czym swoje pojęcia o wszystkim uważał za pewne i niewzruszone. Tymczasem tej nocy myśli zupełnie mu się zbuntowały.

Miał nadzieję, że tutaj na wolnej przestrzeni, gdzie wszystko pozostało po starym, dojdzie ze sobą do ładu. Las szumiał przeciągle, wiatr niósł swoją pieśń ponad śniegami na zachodnich stokach w stronę Utheim. Omylił się jednak sądząc, że tutaj łatwiej mu będzie rozprawić się z myślami. Te najzupełniej nowe uczucia jeszcze mniej pasowały do niego tutaj, w jego dawnym świecie chłopięcym, niż w domu.

Już raz tak się z nim działo. Było to jesienią, gdy major ze swą córką przybyli tutaj po raz pierwszy. Dziwne, jak dobrze potem twarz jej utkwiała mu w pamięci. Nie sprzeciwiał się wcale, kiedy mu powiedzieli, że ona ma znowu przyjechać, na święta. Nie była bynajmniej pierwszą kobietą, której się przyglądał. Często bywał w mieście na przyjęciach u Holderów i w innych domach. A kiedy żyła jeszcze jego matka, i u nich często przyjmowano gości.

Niektóre kobiety uśmiechały się do niego i chciały mu się przypodobać, ale nic go nie obchodziły. A potem ta tragiczna śmierć brata — było to jak gdyby ostrzeżenie. Co prawda, coraz częściej chodził do Utheim.

Był powód ku temu, nie można było zaprzeczyć. Barghild, córka gospodarującego tam chłopca, miała takie duże, łagodne oczy i takie czerwone, miękkie usta. Oddech jej był gorący i krótki. Piersi jej podnosiły się i opadały niespokojnie, kiedy rozmawiał z nią przy stole. Borghild poruszała się po izbie kołyszącym ruchem bioder i pewnym krokiem silnych nóg. Jeszcze nie doszło do tego, żeby ją obejmował lub żeby jej coś powiedział, ale zaczął już poważnie o tym myśleć.

2 córką tego majora była zupełnie inna sprawa. Czyż można



było myśleć o niej podobnie? Nigdy, przenigdy. A jednak — czy nie słabł z wielkiej radości, gdy była w pobliżu? Dlaczego ogarniała go taka błogość, gdy czuł na sobie jej wzrok? A co to miało znaczyć, że nosił ją w swym sercu, jak gdyby należała do niego? On i panna Barre — co się z nim dzieje?! Owszem, mógł ją wziąć za rękę. Każdemu podawała rękę. Ale pomyśleć sobie, że można by ją chwycić za przegub ręki — niemożliwe. Wysunęłaby się i znikła jak cień. Borghild z Utheim należała do tych, które można było dotykać. Ale panna Barre? Z taką szyją i z takimi oczami — nie, tej nie można było dotykać rękami. A przecież oczy jej nie były zimne. Poprzez zasłonę dumy wyglądało z nich spojrzenie pełne żaru i życzliwości. Zdawały się wszystko

rozumieć i niczemu się nie dziwić. Kiedy on to wszystko u niej zauważył? Dotychczas przecież nie zdobył się na odwagę, by się jej dobrze przypatrzeć. Ale dzisiejszego wieczoru będzie ją oglądał w pełnym świetle; nie będzie siedział jak ta wczorajsza niemowa. Wprawdzie nie wiedział, o czym by miał z nią rozmawiać, ale musi znaleźć jakiś temat, żeby mógł znowu słuchać jej głosu, tego ciepłego, miękkiego głosu.

Podrapał się w głowę. Tak, to było nieźle pomyślane; żeby tylko wykonał, co sobie postanowił, i nie zaciął się w milczeniu jeszcze bardziej niż wczoraj. A może lepiej przez święta zostać w lesie? I nie wrócić, dopóki ona nie wyjedzie?

Wyjedzie? Dag uświadomił sobie z przygnębieniem, że taka chwila nadejdzie; pewnego dnia ona wyjedzie.

Wyprostował się. W co się tu wikłał? Naturalnie, że ona wyjedzie, kiedy miną święta. To było jasne. Ale równocześnie... Tak, nie mógłby znieść myśli o tym, że wyjedzie, a potem uda się gdzie indziej, do innych domów, prawdopodobnie będzie chodziła na bale i na przyjęcia; że będzie spotykała innych, że będzie tańczyła i że byle kto będzie ją obejmował. Później wyjdzie, oczywiście, za mąż za jakiegoś oficera lub pastora — za kogoś ze swego świata.

Spojrzał na swoje ręce. Nosiły ślady lasu, siekiery, piły, żywicy, oparzeń i sadzy od ognisk rozpalanych w chatach leśnych. Tak, uprawiał nimi ryby i zwierzyne, plamił je krwią wnętrzości małych i dużych zwierząt. Miał ręce silne i szorstkie, opalone

i stwardniałe od powietrza. Pomyślał o rękach pastora, kapitana, majora i tylu innych, które widział. Jakże były białe i czyste! Hm. Podniósł znowu głowę i objął pewnym wzrokiem las i osadę. Nie był wcale gorszy od pastora, kapitana czy majora i wogóle od nikogo — nie! Wiedział o tym bardzo dobrze, a jednak istniała duża i wyraźna różnica.

Ale po co te wszystkie ciężkie rozmyślania? Z nią nie można się było ożenić i niczyje ręce nie mogły jej dotykać. Ona nie była dla nikogo na całym świecie.

Dag zdawał sobie sprawę z tego, że warunki, w jakich wzrastała jego matka, różniły się bardzo od tych, które kształtowały psychikę członków jego rodu. I wiedział, że wychowanie matki, jak również subtelność ciotki Doroty wywarły wpływ na jego charakter. Lecz w żyłach jego płynęła krew ojca i tak jak ojciec i jego przodkowie — był przede wszystkim człowiekiem lasu i myśliwym. O ile rozumiał doskonale ludzi z własnego osiedla, o tyle zupełnie nie znał się na ludziach innego pokroju. Jak dziko żyjące stworzenie unikał wszystkiego, co obce.

Ale oczu Adelajdy Barre nie można było zapomnieć. Nie wolno było dopuścić do tego, aby odjechała. A zatem o co mu jeszcze chodziło? Skierował narty ku zachodniej krawędzi wzgórz. Tutaj zbocza spadały stromo w dół; niżej przepływał strumień. Nieco dalej za porośniętymi drzewami wzniesieniem leżało Utheim.

Niebieski dym unosił się nad zrębami głównego grzbiotu gór, a wiatr przynosił jego zapach aż do niego. Zjrzyj do Utheim. zobaczy się z Borghild, a potem het do wielkich lasów! Co prawda, nie miał zwyczaju oddalać się poza dom na czas świąt, ale gdy wszystko szło na opak, nie będzie kłopotał się o zwyczaje. Dzikim pędem zjechał w dół i znikł w tumanach śniegu u podnóża góry. Przejechał przez strumień, potem stromym zboczem wspinał się na górę i niebawem znalazł się po drugiej stronie.

W Utheim musiał coś zjeść, bo tego ranka zapomniał zupełnie o żywności. Borghild przyniosła mu jedzenie, jak zresztą tyle razy przedtem. Stary też zasiadł do stołu i opowiadał o prostych i codziennych sprawach. Siedzieć i patrzeć, jak wszystko idzie swoim starym torem, było dla niego prawdziwym wypoczynkiem. Borghild była taka sama jak zawsze. Jasne, świeżo umyte włosy

wiły się dokoła jej głowy; oczy błyszczały szczęściem, duże łagodne, niebieskie.

Tak, tutaj w UtheLm u starego Gundera i Borghild — tutaj we wszystkim był sens. Tutaj nie było niczego, co mogło zmacić myśli. Znali go od dawna, gdyż folwark znajdował się w obrębie jego własnego królestwa. On tu był wodzem. Nikt nie zabierał mu mocy i nie czynił go małym i niepewnym.

A jednak i tutaj nie było już dziś tak samo jak zawsze. Oczy panny Barre szły wszędzie za nim, nawet tu.

Salę w Bjórndal stanowiła ogromna komnata, znajdująca się w „nowym” domu, jak go ciągle jeszcze nazywano, mimo że zbudowano go o całe pokolenie wstecz.

Pannę Adelajdę mógł naprawdę ogarnąć wielki podziw, gdy zaprowadzono ją tam na wieczerzę wigilijną. A może tylko spostrzegła, że to była wielka sala, bo myśli jej mogły być gdzie indziej, a oczy szukały zapewne tylko ludzi. Patrzyła na zgromadzoną tu licznie służbę dworską. Jedni szeptali coś między sobą, inni stali w poważnym milczeniu. Naraz dojrzała chyba coś, co uradowało jej serce, gdyż oczy jej zabłyśły i stały się duże, promienne.

Czyżby młody Dag wrócił jednak na wieczerzę wigilijną do domu?

Tak, wrócił. Zapisał się daleko w lasy, ale w miarę, jak upływały godziny, zaczął odczuwać przemożne, nieodparte pragnienie — pragnienie, aby znaleźć się w domu na uroczystości wigilijnej i aby być blisko tej, do której rwało się jego serce. Więc pędził szybko z powrotem. Nawet teraz, kiedy już był umyty i miał na sobie swoje najlepsze ubranie, na twarzy były jeszcze rumieńce, a oczy skrzyły się od zawrotnej jazdy.

Zbliżyli się do siebie, gdy podchodzili do stołu. Przez cały ten długi dzień Adelajda przyrzekała sobie, że stawi czoło swemu przeznaczeniu i jeśli młody Dag przyjdzie na wieczerzę, podejdzie do niego z uśmiechem i przyjemnym słowem. Jak łatwo sobie przyrzekać, a jak trudno wykonać taką rzecz komuś, w kogo bez przerwy wpajano, by szedł przez życie z dumnie podniesioną głową i odnosił się do wszystkich z rezerwą. A przy tym młody Dag również ostudził jej szczerze zamiary swym po-

ważnym spojrzeniem i imponującą, wysoką postacią. Był taki inny niż wszyscy. Gdy się spotkali przy stole, spojrzał jej prosto w oczy. We wzroku jego było coś, co przypominało spojrzenie jego ojca, gdy przyglądał się jej wczoraj, pytające spojrzenie, ale o co jego oczy pytały, tego nie mogła odgadnąć.

Dagowi bynajmniej nie powiodło się lepiej. Wracając do domu, życzył sobie niemal, aby przyjęła go w taki sposób, że mógłby uwolnić się od wszelkiej myśli o niej na zawsze. Gdyby choć trochę była wyniosła, jaką najprawdopodobniej była w rzeczywistości, i zmierzyła go zimnym spojrzeniem, na pewno zniknęłaby z jego myśli. Stało się jednak inaczej.

Szła wyprostowana jak królowa. Zimna, niemal arogancko dumna, gdy przechodziła przez salę — ale gdy spotkali się przy stole, jej długie rzęsy zatrzepotały z lekka, i wtedy — weszło słońce. Boże, jakie piękne miała oczy! A uśmiech jej stał się dziwnie słodki, gdy spojrzała na niego.

W Bjórndal — według starego zwyczaju — wszyscy ludzie z obszaru dworskiego przychodzili do dworu na wspólną wieczerzę wigilijną. Dawniej wystarczała stara komnata, ale z biegiem lat, przez ciągły napływ nowych ludzi, stała się ciasna. Już od dwudziestu lat jadano wieczerzę wigilijną w wielkiej sali. Zbudowano ją specjalnie na uroczyste przyjęcia jeszcze w czasach, kiedy styl rokoko kwitł i tryumfował w krajach północnych. W wysoko sklepionej sali było zwykle widno dzięki licznym, ogromnym oknom; ściany ozdabiały figury, obrazy oraz zwierciadła.

Krzesel wystarczyło dla wszystkich. Większość ich była naprawdę pięknej roboty. Niektóre pochodziły podobno z Holandii, niektóre z Anglii, inne zaś były zrobione w Norwegii — część wykonał w Bjórndal sam Jórń Mangfoldig. Nie były wszystkie Jednakowe, gdyż pochodziły z różnych czasów. Najpiękniejsze z nich miały wysokie oparcia i były wykładane skórą, zdobną w pozłacane wzory. Takich krzesel było osiemnaście.

Dawniej w tej sali odbywały się przyjęcia z muzyką i tańcami. Adelajda pomyślała, że musiało to być już bardzo dawno temu, gdyż obecnie sala robiła takie uroczyste wrażenie.

Świeczniki pod sufitem nie paliły się. Ściany, okna i kąty były

nie oświetlone. Dziś blask bił od stołu, od świątecznych ^ • wigilijnych. Ustawione w prostych, równych szeregach + ec w srebrnych, żelaznych i mosiężnych lichtarzach. Pośrodku t ^ stała świeca Trzech Króli w ciężkim, srebrnym lichtarzu n u nią leżała Biblia. Po obu jej stronach wysokie, woskowe św p — zupełnie tak jak w kościele.

Adelajda nie uświadomiła sobie wszystkich s-zczepófów odczuła wagę uroczystej chwili. W sali było zupełni-g cicho m obecności tak wielu ludzi.

Do szklanek i kielichów stojących przy każdym nakryr' nalano piwa i wódki. Podano jedzenie.

Wówczas stary Dag odczytał z Biblii tekst o narodzinach Dziecięcia; jak każdego roku. Ręce złożyły się, głowy pochylły. Major Barre, ten stary wojak i zawadiaka, położył najpie rw lewą rękę na prawą, potem prawą na lewą, ale w końcu także złożył ie razem. Adelajda spoglądała ukradkiem na młodego Daga, siedzącego obok niej. Ręce jego były mocno zaciśnięte jał^ żelazo w żelazie. Był pochylony nieco nad stołem, głowę misił opuszczoną, jak gdyby nasłuchiwał czegoś z dalekiej, bardzo dalekiej strony.

Głos starego Daga niósł słowa Pisma świętego mocno i uroczyście w głąb sali. Słysząc było jeszcze tylko, jak syczały świece, zapalające się większym płomieniem. Powietrze było nasycone zapachem żywności, świec, świeżo wykąpanych ludzi i uroczystością ceremonii. Adelajda uświadamiała sobie to wsz-ytsko, siedząc właśnie obok tego, którego bliskości pragnęła. Jak jeschcz.2 nigdy przedtem udzielił jej się ów szczęśliwy, z dziecięcych wspomnień wywołany nastrój wigilijnoświąteczny. Obrazy biblijne — pasterze, gwiazda betlejemska, stajenka i żłobek oraz Królowie ze Wschodu — przechodzili przed oczyma jej duszy, jak kiedyś w latach szczęśliwego dzieciństwa.

Z obecnych przy stole wszyscy ci, którzy mieszkali w Bjornda od szeregu lat — a było ich wielu — patrzyli ze zdurfiie"161" na s rego Daga. Głos jego był dziś jak gdyby bardziej uroczysty i s 0\ bardziej brzemiennie w treść niż kiedykolwiek w ] litach P°P1' nich. Zamknął Biblię powolnym gestem pełnym godność', i -rzekł słowo amen. Teraz nastąpiło odprężenie. Zasi:^1'2^?18 y sła, zrobiło się gwarno. Przystąpiono do spożywa n 53 wlecz . . ^ Potrawy były takie same, jak każdej innej wi^^11'

• c tradycyjne płatki owsiane, ipotem wszelkiego rodzaju mię-  
Jedzono, ile tylko kto zmieścił: wódka była dobra, piwo nie sl -  
gbować było mocniejsze. Zarówno w mieście, jak i na wsi  
tvm roku skromniej obchodzono święta, bo w kraju nastały w 7kie  
czas. Ale w Bjórndał wszystko było po staremu. Ojciec c g umiał  
tak gospodarować, że choć na świecie panowała dro-• zna i  
niedostatek, jego królestwo nie odczuło tego.

Tak, wieczerza wigilijna w Bjórndał to była wielka uroczystość.  
Gdy każdy zaspokoił pierwszy głód, stary Dag ujął swój kielich i  
spojrzał dokoła.

\_ Wieczór ten przypomina nam tak wiele — zaczął — tak wiele  
dobrego z tego roku, który minął. Każdy winien być zatem  
wdzięczny Temu, który prowadzi nas wszystkich — mówił dalej.  
On sam czyni Bogu dzięki za to, że mu pozwolił zachować zdrowie  
i jeszcze raz widzieć ich wszystkich, zebranych dookoła niego.  
Następnie wznosił prośbę o pokój boży dla domu i dla każdego. Był  
to równocześnie znak, że wolno już było chwycić za kieliszki.

Rozpoczęła się ogólna rozmowa, wprawdzie nieco nieśmiała i  
przyciszona, lecz wystarczyło to, aby wnieść trochę życia do tej  
wielkiej sali. Na ścianach poruszały się cienie siedzących, a pośród  
ludzi i cieni stał na stole świetlisty rząd jarzących się świec.  
Niejedno oko zaszklilo się łzami, a tam gdzie siedziały kobiety,  
pokazywały się chusteczki; kto zaś nie miał żadnej, ręką ocierał  
oczy... a może także nos.

Adelajda spoglądała ukradkiem spod swoich długich rzes na  
wszystko dokoła i starała się utrwalić w pamięci obraz tego, co  
Odziała. Nie przyszło jej nigdy na myśl, by mogła kiedykolwiek  
zasiadać do biesiady w tak różnorodnym gronie ludzi. Gdyby to si?  
stało dawniej i gdzie indziej, odrzuciłaby dumnie głowę do  
yłu i kręciłaby nosem. Ale obecnie wkraczała w prawdziwe ży-  
^i które ukazywało się jej oto w jednej ze swych rozlicznych ^onn.  
SJblizej drzwi siedzieli przeważnie bezdomni, wędrowni nę-^e,  
niektórzy zupełnie osiwiali; niejeden z nich trzął się od ^J słabości.  
Jedni siedzieli z pochylonymi głowami, chowa-^strachane oczy,  
drudzy rzucali chytre, pożądliwe spojrze-

193

A la^ wiecznie  
śpiewa],

nią na jedzenie i jedli, jak gdyby już nigdy potem nie mieli włożyć kęsa do ust. „Życie obeszło się z nimi źle i rzadko trafiały im się dobre kąski” — pomyślała sobie Adelajda. Patrzyła na każdego z życzliwym współczuciem.

Tak, w Bjórndal było w owym czasie wiele różnych ludzi i każdy miał swoje miejsce przy stole. Byli tam Hans Brzydki i Espe Łachmaniarz, i Piotr Zawadiaka, i Długi Ola, i Jens Niemowa, i Anetta Nędzarka \* — ci i wielu innych, którzy nie nadawali się już do żadnej pracy i na których nikt nie zwracał uwagi. Byli jednak i tacy, których praca mogła się jeszcze na coś przydać, jak na przykład Jorn Mangfoldig, ten tak zręczny kiedyś cieśla. Pomimo słabych oczu i drżących rąk uważał, że może jeszcze pracować przy różnych naprawach; miał w Bjórndal pewne schronienie aż do końca swoich dni. Pośród innych i on otrzymywał odzież, którą stary Dag rozdzielał, stąd na tę uroczystość był nader porządnie ubrany. Następnie był tam również Mistrz, który znał się na wielu rzeczach i który utrzymywał, że stale jest do czegoś potrzebny.

Tu i tam na różnych miejscach dokoła stołu siedzieli młodzi i starsi jeszcze w pełni sił. Wśród nich znajdował się Syver i inni z izby czeladnej; nie zabrakło też między nimi tych młodszych, którzy lubią swawolić, lecz którzy tutaj trzymali się w karchach. Robotnicy z lasu także tu byli, również sam Marcin Hogger •\*, . najpotężniejszy w lesie władca siekierą. Z kwitnącej zdrowiem twarzy biły moc i siła wiatrów, kołysały się szerokie i ufne w siebie bary. Był tu też kowal i dojarki, kobiety folwarczne i wiele innych ludzi. Krzesła odsuwały się z hałasem i słychać było tupot -wielu nóg,

gdy wszyscy powstawali od stołu. Potem każdy ippo kolei, według starszeństwa, przechodził przed starym Dagem i podawał mu rękę, dziękując za jedzenie i składając mu życzenia szczęśliwych świąt. Tego roku stary Dag jakoś szczególnie mocno i serdecznie ścisnął każdemu dłoń. Następnie ustawiono krzesła pod ścianami, niektóre wyniesiono do drugiego pokoju. Sprzątnięto ze stołu i wszyscy udali się do swoich siedzib.

\* W oryginale: Stygg-Hans, Espen Filiehaug, Ruske-Per, Lang-Ola, Stum-

Jens, Anetta Paasa.

•• Walidąb

## XXV

1V1 ajor z kapitanem, ojciec Dag i syn udali się do starej komnaty. Adelajda poszła z nimi. Ani major, ani Adelajda jeszcze tam nie byli; prawdopodobnie dziwili się nieco, gdy ją zobaczyli. Nie wszędzie był taki zwyczaj, by budować nowy dom nie zmieniając niczego w starym. W dawnym, bardzo dawnym urządzeniu komnaty nic się nie zmieniło: stały tam te same ławy, sofy, krzesła, szafy, na ścianach wisiały te same makaty; kominek był czarny od dymu, okna matowe, ołowiane; stara broń zawieszona u pułapu, na stołach kamienne i cynowe dzbany; drewniane naczynia i żelazne lichtarze.

Panna Kruse osobiście podała na srebrnej tacy kawę i ciastka. Zajęli miejsca przy stole przed kominkiem. Panna Kruse nalewała kawę, a kapitan przyniósł tytoń i fajki. Po kawie panna Kruse podała dzban mocnego ponczu, a dla panny Barre przyniosła wina.

Major domyślał się, że stary Dag wolałby, aby tego świętego wieczoru zachowali powściągliwość. Nie mówił więc głośno, ale nie potrafił powstrzymać się, by nie mówić wiele. Rozgadał się o sali i o tych, którzy się tam zebrali. Zapytywał o różnych ludzi i o różne rzeczy, a Dag chętnie udzielał mu wyjaśnień, opowiadając ciekawe rzeczy o wszystkim, co interesowało majora.

Młody Dag kroczył u boku Adelajdy, kiedy przechodzili z sali do starej komnaty, ale dzisiejszego wieczoru znowu brakowało mu słów. Panna Barre próbowała sama nawiązać z nim rozmowę, czyniąc uwagę, jak uroczysty nastrój panował w sali podczas wieczerzy.

Odpowiedział jej, co prawda, ale tylko skąpym „tak, owszem”. Jego małowówność paraliżowała jej język.

Czy stary Dag zauważył milczenie młodych, czy też myślał o czymś innym — nie wiadomo; w każdym razie zwrócił się do syna: — Gdyby ciotka Dorota jeszcze żyła, zagrałaby nam kolędy na szpinecie.

Młody Dag podniósł głowę i spojrzał pustym wzrokiem, jak gdyby wytracony z całkiem innych myśli. Ojciec był dziś taki dziwny.

u«



— Ciotka Dorota — odparł, a w oczach jego zamigotały ciepłe błyski. — Tak, ona by zagrała. Czy panna Adelajda nie przełękała się czegoś? Nie, chyba nie.

Nieruchomo jak posąg siedziała na swoim miejscu.

Ale co to było z kapitanem? Wzrok jego pobiegł szybko od Adelajdy do majora i z powrotem do Adelajdy. Wreszcie Klingę zwrócił się do Barrego z zapytaniem, czy jego córka nie odziedziczyła po matce talentu do muzyki. Adelajda broniła się lekceważącym ruchem ręki, ale major już wpadł w nastrój.

Owszem, nie może powiedzieć, by Adelajda nie znała się na muzyce.

Ojciec Dag spojrział na nią mocnym, ale wyrażającym prośbę spojrzeniem.

Adelajda zaczerwieniła się i patrzyła na niego błagalnym wzrokiem. Wreszcie jednak podniosła się i poszła do pierwszej izby.

W starej komnacie zapanowała teraz cisza. Wiatr tłukł się z jękiem o ściany, ogień na kominku migotał i płomienia!. Ojciec Dag słuchał z napięciem, jak Adelajda ustawiała sobie krzesło i otwierała wieko szpinetu. Młody Dag siedział pochylony do przodu, wsparł łokcie na kolanach, wtulił głowę w dłonie i patrzył w ogień.

Szpinet panny Doroty wydawał niezmiernie delikatne dźwięki.

Adelajda próbowała wydobyć jego ton, biorąc najpierw kilka akordów poprzez całą klawiaturę. Potem dźwięki przeszły w melodię i zabrzmiały nutą pieśni, ulubionych, dawnych pieśni, które umarły wraz z Dorotą. W cichy wieczór unosiły się jak dobrze\* znajome obrazy.

Dla niektórych były one czymś więcej niż obrazami. Młodemu Dagowi przywodziły najpiękniejsze wspomnienia z jego życia — o tym aniele, co chodził po ziemi. Zaś dla starego Daga musiały być nie mniej drogie, bo oczy jego miały wyraz dziwnej bezradności.

Wiele wspomnień nasuwało się mu w taki wieczór jak ten.

Te tony nie rozbrzmiewały już więcej w tych ścianach od czasu śmierci Doroty, od śmierci Teresy. Obie żyły jeszcze, gdy na szpinecie grano po raz ostatni.

Młody Dag wciągnął powietrze pełną piersią; być może, za-

(pomniał przedtem oddechu. Odwrócił się na krześle i mógł teraz oglądać pannę Adelajdę; widział ją tylko z, profilu — aie jakież to był obraz!

Panna Kruse zapaliła dwie świece, które zawsze stały na szpincie. Jasno oświetlały twarz Adelajdy. Jej włosy połyskiwały jak ciemne złoto, a ręce, te delikatne, dobre ręce, przesuwały się wdzięcznym ruchem po klawiszach.

Twarz młodego człowieka ciemna była jak noc. Więc panna Adelajda i to także umiała? Tak jak i ciotka Dorota — umiała grać melodie wielu pieśni, nawet w większym wyborze. W jego myślach przewyższała coraz bardziej inne kobiety i coraz bardziej oddalała się od jego własnego świata.

Głos majora zabrzmiał donośnie, niemal jak rozkaz:

— Adelajdo, zaśpiewasz nam chyba coś na zakończenie?

Młody Dag nie mógł oderwać oczu od owej zjawy w drugiej izbie. Widział, jak usłyszawszy słowa ojca spuściła głowę z zawstyżeniem i jak zaraz się wyprostowała i podniosła czoło. Ręce wyczarowywały nowe tony. Zaczęła śpiewać. Głos był piękny, modulowała go w czystej, miękkiej wymowie. Słowa i tony drgały nutą smutku. Zaśpiewała tylko jedną pieśń, po czym przymknęła wieko szpinetu. Podniosła się i cicho wróciła na swoje miejsce przy stole.

Ojciec Dag wstał i bez słowa wyszedł do pierwszej izby, stamtąd zaś przeszedł nie do sieni, ale do izby sypialnej. Wziął swoje klucze i otworzył ciężką skrzynię Teresy. Szukał przez chwilę czegoś w małych puzderkach, po czym zamknął skrzynię i powrócił do starej komnaty. Usiadł z powrotem na swoim miejscu, ale obrócił się teraz twarzą do Adelajdy.

Młody Dag zawsze żywił dla ojca wielki szacunek, ale dzisiaj patrzył na niego wprost jak urzeczony. On sam, młody człowiek, siedział nie odzywając się słowem, nie mając nawet odwagi podnieść wzroku na pannę Barre, podczas gdy jego ojciec "le tylko na nią patrzył, ale mówił do niej jak do zwykłego człowieka, bez mała tak, jakby była jego dzieckiem!

— Mógłbym pani wiele powiedzieć, panno Barre, ale jestem już stary i damy temu pokój. Przeżyłem już wiele świąt Bożego Narodzenia. Przez wiele lat towarzyszyły mi te drogie osoby, Które potem jedną po drugiej straciłem. Gdy pani grała na szpi-

necie, widziałem je znowu koło siebie w tej izbie. Jest pani młoda i piękna. Z pewnością dużo wielkich domów otworzyłoby przed panią swe podwoje. Ze swoimi zaletami może pani zbierać podziękowania i wnosić radość wszędzie, gdziekolwiek się pani pojawi. A jednak przyjechała pani do Bjórndal. Ten dom może się pani wydawać ponury, ale — niech mi pani wierzy — dzięki jej grze i śpiewowi ten wieczór wigilijny pozostanie dla mnie na zawsze pięknym i jasnym wspomnieniem. Niech panią Bóg za to błogosławi. Mam tu w podarunku taką małą drobnostkę — oczywiście, jeśli zechce ją pani przyjąć — na pamiątkę jej p.ibtu w Bjórndal. Może kiedyś wspomni pani ten wieczór z czasów . swojej młodości.

Coś złotego błysnęło w twardej dłoni Daga, gdy wyciągnęła się ku białej ręce Adelajdy; była to broszka o niezwykle oryginalnym kształcie i cała ze szczerego złota. Pochodziła z Holandii. Stary Dag ofiarował ją w młodości pannie Teresie Holder. Od czasu jej śmierci broszka spoczywała w skrzyni, ale przypomniał ją sobie, słuchając melodii panny Adelajdy, które zbudziły w nim tyle żywych obrazów przeszłości.

Zdumiona Adelajda wyszeptwała kilka bezładnych słów podziękui, wzbraniając się jednak ją przyjąć. Ale równocześnie napotkała wzrok starego Daga — wiedziała, że nie może odmówić przyjęcia.

Cóż to się stało? Dlaczego zbladła tak mocno, dlaczego podniosła się i wyszła, i udała się zaraz do swego pokoju?

Adelajda była silna w nieszczęściu, w zmartwieniu i przeciwnościach. Dla takich powodów nigdy nie wylewała łez; ale dobre słowo... Nie przykładala nigdy najmniejszej wagi do bezsensownych pochlebstw partnerów z sali balowej — ale dobre słowo z serca płynące... Kiedyż je słyszała? Teraz, kiedy ogarnął ją taki smutny nastrój, ojciec Dag powiedział jej wiele dobrych słów w ten wieczór, który znaczył tak dużo dla nich wszystkich. Straciła panowanie nad sobą i wyplakała na łóżku w pokoju panińskim swój bezmierny żal, żal minionych lat, które przeszły obok niej bezradosne i bez treści serca. Od czasu gdy dorosła, pierwszą osobą, która przemówiła do niej życzliwymi słowy, był człowiek o najsurowszej twarzy, jaką kiedykolwiek widziała. Jakże dziwny był ten świat, jak dziwni ludzie...

A wszystko tylko dlatego, że zagrała kilka medolii, jak to czyniła wiele razy przedtem, i zaśpiewała jedną skromniutką piosenkę. Nie przyszłoby jej nigdy na myśl, że właśnie smutek nadał takiej mocy grze i tyle żaru jej śpiewaniu. Nie przypuszczała, że pod niskim pułapem starej komnaty dźwięki mogły wywołać inny efekt.

Powiedział, że dużo wielkich domów otworzyłoby przed nią swe podwoje. Wielkie domy, tak, w których oczerniano ją wśród złośliwych szeptów. Czy sądził, że nie znała tego rodzaju miejsc, jakim był jego dom? Dużo się zmieniło w ciągu ostatnich lat. Wielu z tych, którzy należeli do wielkich, obecnie prawie nic nie znaczyło. Bogactwo obróciło się w nędzę i w mięście, i na wsi. Wielkie domy! Znała takie domy, których wielkość była tylko powierzchowna, a które od wewnątrz zżerała nędza, tak że w ciągu niewielu lat rozpadną się w proch i w pył. Niejedno już słyszała, co sobie ludzie na ten temat szeptali.

Tutaj bogactwo nie krzyczało głośno ze wszystkich stron. Lecz z każdym dniem, z każdą godziną dom ten stawał się w jej oczach coraz bardziej wspaniały. Gdyby dawniej wiedziała to wszystko, co teraz poznała, nie pozwoliłaby sobie na takie marzenia, jakim oddawała się jesienią i w czasie tej podróży. Dzisiejszego wieczoru w tych ludziach wypełniających salę oraz w bogato wyposażonych izbach mogła dostrzec tę wielkość, która otacza prawdziwie wielkich ludzi.

Ręka jej ścisnęła kosztowną broszkę, która miała przypominać jej o gościnie na Bjórndal z czasów młodości — jak powiedział ten starszy pan. Tak, zapewne tak będzie — ta broszka stanie się dla niej drogą pamiątką również i tych czasów, gdy serce jej było zimne i nieczułe.

W starej komnacie jak gdyby nikt nie zauważył, że zaszło coś niezwyłego. Gdy Adelajda wyszła, młody Dag spojrział ze zdumieniem na ojca, ale spotkawszy jego wzrok zrozumiał, że w tym drobnym incydencie nie należy dopatrywać się żadnego dziwu. Wzrok kapitana poszedł w tym samym kierunku i dowiedział się rógo samego. Na Bjórndal był tylko jeden pan, a gdy stało się goś niezwykle, z czym sobie nie umiano poradzić, zwracano ^y na niego: jak on to przyjmie? A skoro teraz stary Dag siedział i patrzył spokojnie przed siebie, tak jakby się nic nie stało,

no, to po prostu nic się nie stało. Owszem, major spoglądał na tamtych trochę powątpiewająco i złorzeczył w duchu kaprysom wszystkich kobiet, ale i on wyczuł, że należało milczeć.

Nikt nawet nie spojrział, gdy panna Adelajda weszła znowu do komnaty — wysoka i cicha.

Podeszła do starego Daga i wyciągnęła ku niemu rękę. — Jakże mam panu podziękować za tak kosztowny dar? — powiedziała.

Ujął jej rękę i spojrział jej w twarz. Nic więcej — ale oczy jego były wymowne i tak pełne wyrazu, że Adelajda czuła, iż szczerze użyła jej tego prezentu i wiele innego... Dobrze, gdy nie wie się wszystkiego. Gdyby Adelajda odgadła, że osoba, która dla starego Daga była najdroższa i najukochańsza na świecie, nosiła tę broszkę przez czterdzieści lat jako swą najpiękniejszą ozdobę, może by przywiązywała zbyt wiele znaczenia do tego daru.

Po deszczu zawsze świeci słońce. Teraz dla Adelajdy w starej, zamierzchłej komnacie zaświeciło słońce. Lekkim krokiem podeszła do ojca i pokazała mu broszkę, którą przypięła już do sukni. Major uniósł brwi do góry, oczy zaokrągliły się z zastanowienia na myśl o tym, ile talarów musiała kosztować. Kapitan na pewno zauważył, co to była za broszka — oczy jego patrzyły niemal z przestraczem.

Stary Dag przerwał ciszę. Chyba wszyscy pojedą z nimi jutro rano na mszę? Chociaż major nie zaliczał się do tych, którzy chodzą do kościoła, jednak był żołnierzem starej daty i miał jakie takie poszanowanie dla trzech rzeczy: Boga, króla i ojczyzny. Kapitan prawdopodobnie dał mu już uprzednio do zrozumienia, że jedynym jego obowiązkiem w czasie pobytu świątecznego będzie pojechać z innymi do kościoła w pierwsze święto rano. Major Barre więc opowiedział się za zachowaniem starego zwyczaju, na co ojciec Dag odrzekł, że pragnąłby mieć zaszczyt jechać z nim razem w pierwszych saniach: młodzi — zaproponował, patrząc na Adelajdę i młodego Daga — mogą jechać razem w drugich, kapitana zaś i pannę Kruse powiezie Syver Bakpaa w trzecich saniach.

Adelajdzie zapłonęły policzki. Zamknęła oczy i oparła się plecami o grzbiet krzesła. Więc stary Dag i to umiał urządzić...

Stary Dag podniósł się. Uważał, że jeśli jutro rano mają być

wcześniej na nogach, byłby czas, aby się położyć. Więc wszyscy życzyli sobie dobrej nocy i zgaszono światło.

Ostatni udał się na spoczynek stary Dag. Jak było jego zwyczajem, wyszedł do sieni, aby zamknąć drzwi wejściowe. Umilkły już wszystkie kroki w domu, dokoła zaległa cisza. Nagle drgnął. Czy dobrze słyszał? Czy to wiatr tak dziwnie śpiewał na dworze, czy rzeczywiście był to jęk dzwonek? Tak, brzmiały coraz głośniejsze, coraz bliżej, aż zadzwoniły na podwórzu i zamilkły przed samymi drzwiami.

Któż, w imię Boże, mógł przyjeżdżać tu tak późno w noc wigilijną? Słysząc było stłumiony śniegiem odgłos kroków — ktoś wchodził po stopniach i dalej gankiem, a potem z trzaskiem otworzyły się drzwi.

Dag nie ruszył ani ręką, ani nogą. Nigdy jeszcze nie zaznał uczucia strachu. Wlepił oczy w ciemny otwór, przez który wiatr i śnieg wdzierały się do środka. Ale nikt nie wchodził. Podszedł i wyrzwał na zewnątrz. Księżyc świecił pomiędzy pędzącymi szybko chmurami, tak że mógł się nieco rozeznać w ciemnościach. Nie było widać żadnych sań, ani jakiegokolwiek śladu konia czy człowieka na śniegu.

Wyszedł na ganek i nasłuchiwał. Gwałtowny wicher przeciągnął nad odległymi lasami. Śpiew ich dochodził z oddali (poprzez najbliższe położone pola. Pomyślał sobie: „Wszyscy ci, którzy zmarli, a nie mogą się wyzwolić, są tej nocy wolni”. Tak mawiała Ane Hamarrbó. Ale ona wierzyła, że w noc wigilijną dzieją się różne dziwne rzeczy: że zwierzęta rozmawiają ze sobą w swych przegrodach, że trolle robią zamęt w stajni i oborze i że wszystkie dusze potępione wychodzą na świat, czyniąc dużo hałasu na ziemi i pod ziemią.

Wszedł z powrotem; zamknął i zaryglował drzwi. Nagle znieruchomiał. Przecież to samo podobno zdarzyło się już kiedyś w czasie świąt, dokładnie o tej samej porze. Opowiadała mu o tym panna Kruse. Wtedy nie zwracał najmniejszej uwagi na takie rzeczy, dziś jednak myślał inaczej.

Miał syna, który spoczywał przygnieciony wielkim odłamem skały w czeluściach Doliny Dziewicy. Nie pogrzebano go dotąd w poświęconej ziemi. Czyżby to on nawiedzał w taki sposób ^ój dom rodzinny? A może chciał czegoś?

Dag długo nasłuchiwał — ale teraz była to już tylko burza szalejąca na dworze. Myśl jego pracowała usilnie, czoło poorano się głębokimi zmarszczkami. Wreszcie wyprostował się — tak, teraz to zrobi. Każe kowalowi wykuć żelazny krzyż, zabierze go do kościoła do pastora i każe poświęcić. Sam zejdzie na dół do przepaści — na pewno nikt inny się nie odważy — wyłobi dziurę w skale i postawi krzyż. Może jego biedny chłopiec będzie wtedy miał spokój wieczysty.

Zgarnął popiół w kominku, zgasił świece, które paliły się na szpince w pierwszej izbie i udał się do swej izby sypialnej. Dlaczego przystanął w ciemnościach? Czy miał jeszcze coś do obmyślenia, że zamiast się zaraz położyć, wrócił do starej komnaty? Może przeżywał jeszcze raz wspomnienia zbudzone grą panny Barre? Może myślał o Dorocie i Teresie? O ich ciepłych, ludzkich uczuciach? O tym, co dały wszystkim dookoła siebie — i jemu także. A może o tym, jak mało dał im w zamian, jak mało się im udzielał? Jak zatracił swoje najlepsze lata, stwarzając sobie i najbliższymi życie samotne i bezradne, zaślepiony na wszystko w zapamiętałej gonitwie za pieniędzmi?

Dobrzy ludzie mają moc. Mogą żyć jeszcze po śmierci w niejednym wspomnieniu, nawet w tonach zwykłego szpinetu.

Od owego wieczoru wigilijnego w Bjórndal straszło. Byli tacy, którzy przez całą noc słyszeli jakieś ciche kroki w starej komnacie i w pierwszej izbie. Jakaś kobieta zaklinała się na wszystkie świętości, że kiedy przechodziła gankiem po drodze do nowego domu, zobaczyła w oknie pierwszej izby w świetle księżyca jakąś bladą, zrozpaczoną twarz o zapadniętych oczach i że mogłaby przysiąc, iż była to twarz Ane Hamarrbó. Inni słyszeli o północy dziki krzyk, a kobieta, której ukazała się twarz Ane, zaprzeczała, jakoby to miał być jej własny krzyk. W każdym razie nie przypominała sobie, żeby krzyczała.

Odtąd więc w starym dworze straszło. W izbach słyhać było ciche kroki, za oknami ukazywały się blade twarze, niesamowite krzyki rozlegały się o północy...

## XXVI

1\ anek rozpoczął się od kieliszka wódki wypitego na czczo, lekkiej przekąski i ciepłego napoju podanego do łóżka. Następnie ubrano się i zajęto •w ciemnościach miejsce w saniach.

W stallach zajmowanych przez państwa z Borgland z ciekawości aż wykręcano sobie szyje, gdy major z Adelajdą zjawili się w towarzystwie Bjórndalów. Bystre oko panny Kruse dostrzegło, że twarz złej Elżbiety zbladła jak płótno, gdy zobaczyła Adelajdę u boku młodego Daga. Cóż to mogło znaczyć?

Zanim odjechano z kościoła, major i jego córka musieli, naturalnie, przywitać swoich starych znajomych i zamienić z nimi kilka słów. Tak chłodnego powitania jeszcze nigdy nie doznali. Adelajda zauważyła przy tym, że ci z Borgland i Bjórndalowie starali się wzajemnie nie widzieć.

Gdy powracano do domu, w pierwszej izbie oczekiwał stół tak samo obficie zastawiony jak pierwszego wieczoru.

Najbardziej uroczyste są godziny wigilii i pasterki. Bezpośrednio po nich zapanował wesoły, świąteczny nastrój.

Na dworze było jeszcze na wpół ciemno i na stole paliły się liczne świece. Major jeszcze nigdy w swoim życiu nie przeżywał tak wesołych chwil o tak wczesnej porze dnia. Już teraz cieszył się, ile to będzie miał do opowiadania po powrocie do miasta. Był dotąd przekonany, że on i jego kompani w mieście wiedzą, co to znaczy zjeść i wypić i że znają sztukę picia wódki, a tymczasem teraz na Bjórndal dawano mu dopiero prawdziwą lekcję w tych sprawach. Dzisiejszego ranka jeszcze nie zdążył dobrze otworzyć oczu ani wygrzebać się z łóżka, a już dostał coś na wzmocnienie serca oraz solidną porcyjkę peklowanego mięsa i dobry łyk moc-"ego piwa. A potem ta rześka jazda w pysznej paradzie sań z płonącymi pochodniami i grającymi dzwoneczkami; z kolei uroczy-^e nabożeństwo w kościele, a potem, kiedy inni nie zdążyli jeszcze przetrzeć sobie zaspianych oczu, u nich było już głośno 1 wesoło od dobrego jedzenia i mocnego napoju. Takie życie °dpowiadało majorowi — powiedział to otwarcie. Wielu już ludzi SPotkał w Norwegii i w obcych krajach, lecz tak pod każdym



względem solidnego człowieka, jak stary Dag, jeszcze nigdzie nie spotkał. A teraz jego wytworny przyjaciel na Borgland może iść razem ze swym sztywnym ukłonem do diabła!

Niejedną walkę stoczył już major, zarówno z bronią w ręku, jak i z kieliszkiem. Ale ta walka tutaj przy stole była ciężkim zadaniem nawet dla niego. Zjadł tyle, że musiał się porozpinać, zaś stary Dag przepijał do niego nieustannie, tak że już ledwie mógł dotrzymać mu kroku. Ale właśnie wtedy stary Dag wstał i powiedział, że wybiera się na krótką drzemkę; goście mogą iść za jego przykładem, jeśli tylko mają ochotę.

— Panna Kruse już nas obudzi, kiedy znów będziemy potrzebowali jedzenia! — dodał na koniec.

Ręka w rękę major z kapitanem udali się na górę, choć chwiali się nieco na nogach.

. Stary Dag poszedł do swej izby sypialnej. Szedł wcale pewnym krokiem, choć przy stole nie czuł się całkowicie we właściwym nastroju i wyglądał bardzo zmęczony, gdy wstawał z krzesła. Może nie spał dobrze w nocy.

Młody Dag pił umiarkowanie, Adelajda miała aż nadto dosyć po pierwszym kieliszku. Ale i oni poszli do siebie. Nie mieli wzajem nic do powiedzenia i prawdopodobnie byli takżs zmęczeni wczesną jazdą do kościoła.

Czas upływał mile i przyjemnie. Adelajda z ciężkim sercem liczyła mijające dni. Dag zabierał swoje narty i jeździł do lasu, kiedy nie mógł już znieść dręczących go myśli. Czasami pozostawał tam nawet przez cały dzień. Zdawało się, że przepaść pomiędzy nim a Adelajdą staje się coraz większa. Teraz wyszło na jaw, że umiała lepiej grać na szpincie i jeszcze piękniej szyć niż panna Dorota. Kapitan zaś wspomniał przy sposobności, że owszem, Adelajda umie też posługiwać się językami, którymi rozmawiają w Niemczech i we Francji.

Adelajda z ciężkim sercem zegnała każdy dzień, który mijał. Ze też nie mogła sama kierować swoim przeznaczeniem! Może był ktoś na świecie, kto potrafiłby je odmienić? Zdarzały się przecież różne jeszcze dziwniejsze rzeczy.

Na dwór bjórndalski zajechał jakiś człowiek. Chciał rozmawiać ze starym Dagiem. Był z Borgland. Panna Kruse weszła do izby

i cichym głosem' powiedziała o tym staremu Dagowi, który zaraz wyszedł do sieni. Posłaniec miał przekazać państwu na Bjórndal zaproszenie na bal gwiazdkowy do Borgland. Kazano mu powiedzieć, że państwo na Bjórndal będą bardzo mile widziani. Gdyby nie wszyscy mogli przybyć, spodziewano się, że przynajmniej panna Barre i młody pan przyjmą zaproszenie, gdyż miała to być zabawa dla młodych. Panna Kruse, która właśnie w tym momencie wchodziła do sieni, niosąc coś do zjedzenia i wypicia dla posłańca, omal nie wypuściła tacy z rąk. Jeśli dochodziło do takich rzeczy, to chyba niezadługo nastąpi koniec świata!

A stary Dag — czyż nie otworzył szeroko oczu i nie kazał sobie powtórzyć zaproszenia? O nie! Zbyt dużo przeżył i zbyt dobrze znał świat i drogi, jakimi ludzie szli w życiu. Posłaniec nie mógł przecież opowiadać potem w domu, że stary na Bjórndal miał zdziwioną minę! Nie. Obrócił się więc tylko nieco do kominka, a gdy po chwili zbliżył się znowu do posłańca, ten otrzymał odpowiedź, że jutro dadzą znać, czy ktoś będzie mógł przyjechać. Na razie dziękuje za zaproszenie.

Posłaniec i panna Kruse wyszli z sieni. Stary Dag usiadł przed kominkiem. Za młodych swych lat nie potrzebowałby się zastanawiać cały dzień nad odpowiedzią, gdy chodziło o tych z Borgland. Bez chwili wahania odpowiedziałby „nie”, ale od tego czasu tyle się na świecie zmieniło. Ponadto teraz w domu byli goście, z nimi przede wszystkim należało się liczyć. Major i jego córka mieli wszelkie prawo pojechać na ten bal, a jeżeli życzyli sobie towarzystwa, nie wypadało powiedzieć im „nie!” Ale poza tym całkiem inne myśli przychodziły mu do głowy.

Tak. Zdążył poznać drogi życia ludzkiego, może nawet lepiej, niż sądzono. Miał w mieście adwokata, który sporządzał dokumenty i załatwiał sprawy pożyczek i hipotek dla niego i dla innych. Możliwe, iż Dag dowiedział się za jego pośrednictwem, że ciężkie czasy dotknęły już także i tych na Borgland. Od czasu do czasu brali pożyczki pod zastaw któregoś ze swoich folwarków. Może Dag nawet sam z drugiej ręki kupował ziemię nale-<sup>^</sup>cą dawniej do von Gallów.

Zamyślili się głęboko; oczy tkwiące pod zmarszczonym czołem zwięzły się i przybrały wyraz chytrłości. Czy coś w tym wszyst-

kim nie przypominało mu takiego czy innego dnia z młodości, gdy tropił w lasach ślady lisa lub rysia? Oczy jego robiły wrażenie, jak gdyby nawet w tej chwili tropił jakieś przebiegłe, nieuchwytnie zwierzę.

Wielu ludzi z innych osiedli i majątków odwiedzało go w czasie ostatnich lat. Niektórych znał od dawna, inni byli obcy — jeszcze ich nigdy przedtem nie widział. Przychodzili pod różnymi pretekstami, ale w końcu zawsze wychodziło na to, że potrzebowali pieniędzy.

A dzisiaj przybył ktoś z Borgland — z zaproszeniem na bal...

Wstał i chwilę pochodził po izbie. Potężne mięśnie nóg pęczniały pod opinającymi je pończochami. Klamry u butów połyskiwały odbłaskiem starego srebra. Kurtka dobrze leżała na ogromnych ramionach i przylegała ściśle do talii. Na piersi i na przegubach rąk jaśniała czystobiała kryza, odcinając się od ciemnej, ogorzałej skóry. Srebrne włosy wiły się swawolnymi lokami dookoła głowy. Przystanął i wyprostował się. Plecy zeszywniały mu z biegiem lat, lecz teraz z tej wyprostowanej postaci tchnęło młodzieńczą wprost siłą.

Natura ludzka jest zmienna, niestała i trudno ją oswoić — tak jak dziko żyjące stworzenia.

Przez trzydzieści lat Dag pracował usilnie nad tym, aby zdusić w sobie instynkt zemsty, a w ciągu ostatniego roku starał się o to, by w sercu jego zakiełkowały nowe, dobre uczucia. Podczas świata miał przed oczami kobietę, która przypominała mu Dorotę i Teresę, kobietę o łagodnej dobroci jednej i silnej naturze drugiej! Swoją grą wywołała wspomnienia, które wzbudziły w nim uczucie szczerego żalu, tak że wiedział dokładnie, na czym polegała jego wina i jakie były jego zobowiązania wobec tych, którzy odeszli. Tak, był już na najlepszej drodze.

Aż naraz przybył ten posłaniec i nazwa Borgland wtargnęła z hałasem do jego duszy. Uparty duch zemsty podniósł się znowu ze swej zepchniętej pozycji, przypuścił gwałtowny szturm i obrócił w niwecz to tak dobrze rozpoczęte dzieło odrodzenia. Cóż znaczy trzydzieści lat surowej dyscypliny, co znaczy jeden rok nawracania się i kilka szlachetnych, pokojem bożym natchnionych myśli — wobec tej pierwotnej siły rasy i rodu?

Nie kończące się szeregi leśnych ludzi o obliczach posepnych

i twardych wtargnęły do izby. Okrążyli zewsząd starego Daga, nakazując mu, aby patrzył tak jak i oni i aby szedł tą samą drogą, którą oni szli przez setki lat. Przed oczyma zjawiły mu się obrazy ze starych opowiadań, jego własne wspomnienia o zaciętej walce, jaką toczyć musiał jego ród, aby ratować życie wobec licznych przeciwności i podłych intryg ludzi z otwartej równiny. Borgland było ostoją i twierdzą wrogiego dlań kraju. Pamiętał, jak był tam tylko jeden raz i z jak lodowatą pogardą przyjął go pułkownik.

Oczy Daga wpatrzyły się mocno i zdecydowanie w tę samą wizję, która przyświecała jego przodkom — tym, co byli przed nim i co byli w nim: za krzywdy zemsta, cios za cios. Nareszcie!

Zaciskając założone do tyłu ręce chodził tam i z powrotem po izbie.

Dziś zatem przyszedł posłaniec z Borgland...

Czy im chodziło o majora i jego córkę? Chyba nie. W każdym razie zaproszenie brzmiało: przynajmniej panna Barre i młody pan. Oczy jego widziały wszystko. Widziały w kościele twarz, która zbladła — twarz złej panny Elżbiety. A teraz to zaproszenie młodych na bal...

Stary Dag ściągnął groźnie brwi, ze zmrużonych oczu biły zimne, stalowe błyski. Czy dostrzegł tropionego rysia, to przebiegłe, chciwe krwi zwierzę? Raz już napadło i zabrało mu kogoś z jego własnego ciała i krwi. Czy zwierzę znów gotowało się do skoku, aby zadać cios? Czy tym razem chodziło o życie, czy o pieniądze? Jeśli chodzi o pieniądze, miał już do czynienia także z owymi szlachetnie urodzonymi. Zawsze się im zdawało, że mogą się do niego zwracać tylko z wielką łaskawością i ładnymi słówkami. To, co opowiadała Ane Hamarrbó, pomogło mu zachować swą dumę. Nie, on nie potrzebował, aby się ktokolwiek do niego zniżał. Jego egzystencja tkwiła głębszymi korzeniami w norweskiej ziemi aniżeli takich jak oni. Ludzie z jego rodu mogli poszczycić się dobrymi sprawami, które były o całe pięćset lat starsze niż szlachecka świetność tamtych.

Podszedł ciężkim krokiem do kominka, pochylił głowę. Podrosły się barki niemal potwornie wielkie. Jeśli ryś teraz przyj-uzle — napotka tu łosia samca o szeroko rozłożonych rogach.

Wyprostował się, pokiwał nieznacznie głową. Więc pułkownik nie ^r.zeciwiął się, aby posłano kogoś do Bjórndal z zaprosinami!

Pozbywał się ziemi, która była ich prastarą własnością. Tak, ten pułkownik obnoszący się z pięknym pasem sprzedawał ją partiami już od wielu lat, może nawet dłużej, niż wiedział o tym o tym stary Dag. Wyprostowany, wyszedł spokojnie do drugiej izby. W oczach były błyski — wesołe, ale zarazem niebezpieczne.

W starej komnacie siedzieli przy kuflu piwa major z kapitanem. Przy wschodnim oknie Adelajda przewracała kartki jakiejś książki. Ojciec Dag siadł na krześle, pociągnął łyk piwa, po czym spojrzał ku niej.

— Czy nie miałaby pani ochoty trochę potańczyć, panno Barre? — zapytał.

Adelajda poruszyła się i spojrzała na niego zdziwiona. Co miał na myśli? Czy chciał tutaj wydać świąteczny bal? Miała ze sobą suknię, w której by się chętnie pokazała — tak, jednej osobie. Nie była to wprawdzie nowa suknia, ale śliczna, z pięknymi haftami, które sama wyszyła, i tak dobrze na niej leżała. Przede wszystkim więc myślała o sukni i o tym, jak korzystnie w niej będzie wyglądała, gdy odpowiedziała, że owszem, bardzo chętnie: potańczy.

— Nadeszło zaproszenie — wyjaśnił, zwracając się do majora. — Ja jestem za stary i najlepiej się czuję, gdy jestem u siebie w domu; ale jak by to było z wami, wojakami?

Major wystawił brzuch i wysunął dolną wargę. Cieszył się, że może spędzić tutaj spokojnie święta, a teraz ma się nadwierać, żeby grać rolę bawidamka na jakimś tam balu, a przy tym spijać jakiegoś mizernego cienkusza, zamiast łykać porządny koniak, i paplać z kobietami i różnymi typami o ciężkich czasach, kiedy tymczasem może siedzieć sobie wygodnie na miejscu, jeść, ile wlezie, i pić prawdziwy, męski trunek, ech, i zapomnieć o wszelkich troskach tego życia.

— Melduję się posłusznie do służby dotrzymywania wam towarzystwa — odpowiedział major — i nie dam się stąd ruszyć, chyba przemocą. — W oczach Daga dostrzegł błysk zadowolenia.

Kapitan oświadczył, że taki zreumatyzmowany, stary niedołęga, jak on, nie będzie nikomu na balu potrzebny i zameldował się do tej samej służby, co major.

— Więc będzie pani musiała zadowolić się Dagiem jako swoim kawalerem — powiedział stary Dag, patrząc przez ramię na pannę Adelajdę.

— A gdzie ten bal ma się odbyć? — zapytała z twarzą odwróconą ku oknu.

— W Borgland — odpowiedział sucho stary Dag.

## XXVII

-/V adszedł dzień, w którym miał odbyć się bal, a potem wieczór tego dnia.

Syver Bakpaa zmagał się z Bamsenem, aż pot lał mu się z czoła, aby utrzymać go w spokoju, gdy panna Adelajda i Dag zajmowali miejsca w saniach. Kiedy młody Dag wybierał się raz w drogę, musiał mieć konia z ogniem w krwi. Sam ojciec Dag i panna Kruse przynieśli im worki do nóg, futra i dery, jak gdyby mieli jechać w daleką podróż. Młodzi ludzie otrzymali po dużym kieliszku dobrego francuskiego koniaku, żeby im było ciepło i... dla dobrego nastroju. Jechali przecież tańczyć — powiedział stary Dag nie bez ukrytej myśli. Adelajda zostawiła kołnierz nieco rozchylony, tak że widać było jedwabny szalik i silną, białą szyję. Usta były uśmiechnięte, duże oczy promieniały życzliwością. Młody Dag spoglądał na nią i odwracał oczy, potem patrzył znowu — koniak dodawał mu odwagi. Teraz na mrozie ogniste krople alkoholu przedostawały się do jego krwi. Niech się ma na baczności, gdy posyła mu tak ciepłe spojrzenia. I on był tylko człowiekiem; mógł się do niej przysunąć i przycisnąć trochę do siebie — w drodze.

Ale Adelajda Barre nie miała tego szczęścia.

Musnęła go wzrokiem, gdy pochylił się do przodu, aby chwycić lejce. Twarz jego wyrażała siłę i pewność siebie. Bamsen ruszył 2 kopyta — podwórze, drzewa, słupy bramy mignęły za nimi, śnieg wzbijał się po bokach jak spienione fale morza. Adelajda SPOJ rżała na Daga z boku. Jeszcze nigdy nie widziała go w takiej

14 A lasy wiecznie śpiewają

^09

sytuacji, a właśnie gdy człowiek jest w akcji, natura jego uwydatnia się najwyraźniej. Futrzana czapka była zsunięta na tył głowy, kołnierz rozpięty, zacięta twarz tchnęła mocą i siłą. Opuściła ją ostatnia wątpliwość — czy tylko jego osoba, czy też niezwykle otoczenie w jakim się znalazła, pociągało ją ku niemu. Teraz wiedziała na pewno — to był tylko on, on ponad wszystko. Wszystko inne nie było niczym więcej, jak wielkim, śpiewnym szumem dokoła jego osoby.

Rozważania Daga szły ciągle tym samym torem. Zrobiło mu się zarazem zimno i gorąco, gdy zobaczył ją stojącą w sieni. Zęby choć pomyślał... ale nie, nie, nie był aż tak naiwny! Jedynie o tym tylko, żeby została tutaj na długi, długi czas. Ale teraz, tak, widział to: była tylko zjawiskiem, które lada chwila uleci z jego ociężałego świata. Jej oczy... ach! to nie były oczy, to były... nie, nie mógł nawet pomyśleć! A jej policzki, szyja, ten podbródek i usta — to wszystko teraz dopiero widział. Usta właściwie nie były zamknięte; jej miękkie wargi dochodziły tylko do siebie w łagodnym... nie, w szczęśliwym uśmiechu.

Gdzież on był? O czym myślał? Czy w ogóle myślał? Nie, jechał, trzymał lejce. Byli już za osiedlem. Wszystko szło samo, gdzieś za nim, gdzieś poza nim.

Na podwórzu w Borgland stały szeregiem sanie. Wszędzie migotały światła, chłopcy stajenni trzymali latarnie. Wyciągnęły się pomocne ręce, szybko i sprawnie załatwiły się z koniem i saniami. Odziane w futra postacie wsunęły się w wielkie drzwi wejściowe. Panie skierowywano na górę, panowie zdejmowali podróżne futra w hallu na dole.

Ludzie przechodzili wciąż koło Daga, gdy stał i czekał, aż panna Barre zejdzie na dół. Mijali go oficerowie w mundurach, panie w powiewnych sukniach, ale dla niego były to tylko cienie; oddalił się zupełnie od rzeczywistości; znalazł się w jakimś obcym świecie, do którego nie należał i w którym czuł się jak intruz.

Dag Bjorndal stał w hallu wielkiego dworu w Borgland. Czego tu szukał? Pośród owej nieustającej wrogości, z jaką ród jego spotykał się na przestrzeni wieków, Borgland było tym miejscem, skąd doznawali zawsze największej pogardy — bo młody Dag również już coś o tym wiedział. A teraz był tutaj jako gość, w swoim odświętnym ubraniu, uszytym na miarę przez krawca

z miasta na jesieni. Ubranie opinało go tak ciasno, że ledwie mógł się ruszać. Ten podły kołnierz i chustka na szyi uwierały go jak postronek. Jutro wybierze się na daleką wyprawę do lasu, aby odetchnąć w swym obszernym ubraniu myśliwskim. W tych wytwornych szatach czuł się sztywny jak kij.

Dzisiaj wszystko wydawało mu się nieprawdziwe. Już samo to, że był tutaj, i to ubranie, i to, że czekał na nią. Co miał właściwie z nią wspólnego? Jej miejsce było tutaj pomiędzy tymi oficerami i zwiewnymi jak mgiełka paniami, do których z takimi rękami jak jego nie wolno się było przybliżyć.

Wszyscy, którzy go mijali, przyglądali mu się ciekawie. Panie oglądały się za nim, a nawet panowie nieraz ukradkiem zerkali ku niemu. Szeptano między sobą — kim też mógł być ten okazały człowiek? Wśród gości jednakże znajdowali się ludzie z sąsiedztwa, którzy go znali i którzy po cichu opowiadali drugim, że jest to przybysz z północy i dziedzic wielkiej fortuny. Dag nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Oczy jego patrzyły na broń, na obrazy, na wykonane z wielką sztuką świeczniki na ścianach i wszystkie inne wspaniałości, ale niczego z tych rzeczy nie widział, nic nie docierało do jego świadomości. Świat zewnętrzny nie miał do niego dostępu. Czego więc tutaj chciał?

Lecz wówczas coś się stało. Do hallu z jednego z dalszych pokoi weszła jakaś pani, witając gości po drodze... Dumna, piękna pani. Była to gospodyni balu, Elżbieta von Gali na Borgland. Widywała już nieraz Daga w kościele, ostatnio zaś znowu na pastercie, ale zawsze z daleka i zawsze wtedy, kiedy zakrywało go futro zimowe. A przy tym panna Elżbieta miała nieco krótki wzrok. Teraz podeszła do niego z uśmiechem i po raz pierwszy spojrzała nań zupełnie z bliska.

Dlaczego oczy jej rozszerzyły się od zgrozy, dlaczego twarz jej pokryła się trupią bledością? Dlaczego zachwiała się jak drzewo miotane burzą, zanim zdążyła się chwycić poręczy krzesła? Wreszcie jednak zaczerpnęła oddechu, na twarz powracały kolory. Ale zanim przyszła całkowicie do siebie, upłynęło kilka długich jak wieczność sekund.

Panna Elżbieta zobaczyła upiora z krainy umarłych. Ktoś, kogo Posłała na śmierć, powrócił. Większy i piękniejszy aniżeli pod-

!«•



jedyny mężczyzna, który wzbudził w niej płomienną miłość, zginął w przepaści Doliny Dziewicy. A teraz powrócił bardziej dojrzały i i patrzył na nią władcym wzrokiem.

Zimny dreszcz przenikał ją całą, gdy podeszła do Daga i powitała go podaniem, ręki.

— Przywiózł pan Adelajdę ze sobą? — zapytała głosem przyciszonym i suchym.

— Tak, panna Barre jest na górze — odparł Dag. Czy zauważył, co się przed chwilą rozegrało przed jego oczami? Chyba nie, ale widział, jak Elżbieta zbliżała się do niego. Wiedział, że nazywają ją „złą” i że miała coś wspólnego ze zniknięciem jego brata owej fatalnej nocy. Stąd też oczy jego patrzyły bacznie i mocno, gdy spotkały się ze wzrokiem panny

Elżbiety.

Na schodach dały się słyszeć lekkie kroki i Adelajda ze swym cienkim, jedwabnym szalem, zarzuconym na gołe ramiona, pochłoneła całą jego uwagę. Elżbieta przywitała przyjaciółkę uprzejmie, lecz bez cienia ciepła. Razem z innymi osobami udali się do gościnnych pokoi.

Dag był zupełnie odurzony. Widział już przedtem Adelajdę w wieczorowym stroju. Wszyscy uważali, że była po prostu stworzona do takich wystąpień. Była zawsze czarująco piękna, ale teraz aż dech zapierało, gdy patrzyło się na nią. Oczy jej promieniały zwyczajnie, policzki były lekko zaróżowione, usta jak pocałunek. Jednak dokoła tej ponętnej piękności roztaczał się spokój dumnej godności, która trzymała ludzi na odpowiedni dystans. Szyja, piersi, ramiona i suknia, która tak miękko przylegała do całej postaci — to wszystko Dag teraz widział i patrzył jak oślepiony.

Nie wolno jej odjeżdżać z Bjórndal, nigdy! Jak nierealne obrazy z innego świata, cały blask tych świetnie przystrojonych pokoi balowych przechodził przed oczyma Daga nie zauważony. Kandelabry zawieszane u sufitów, świeczniki uświetniające ściany, lustra, wspaniale wystrojone postacie gości

— wszystko rozplywało się i znikało w oddali. Ale niebawem napotkali gości, którzy znali Adelajdę z innych, wcześniejszych, spotkań w mieście lub w Borgland. Następowały ukłony, uściski rąk i rozmowy. Dag musiał teraz zstąpić do tego świata, do któ-

rego sprowadzała go okoliczność. On musiał również oddawać ukłony i odpowiadać, gdy został zagadnięty, jak wszyscy inni. Wkrótce natknęli się na wysokiego, starszego pana, ubranego w błyszczący mundur. Był to sam pułkownik, wielmożny pan na Borgland. Powitał bardzo serdecznie Adelajdę i znalazł też kilka niezwykle uprzejmych słów dla Daga. Tak, a gdy podano powitalny poncz, usiadł razem z nimi przy jednym z licznych stolików. Zapytywał o majora Barrego, czy mu się dobrze powodzi — mówił tak układnie, najpierw z ipanną Adelajdą, a potem zwrócił się do Daga:

— Wy na północy zapewne nie odczuwacie tak dotkliwie tych ciężkich czasów?

— Ciężkich czasów? — odpowiedział Dag zdziwiony. — Nie, czy teraz są ciężkie czasy?

Pułkownik podniósł głowę i przymrużył oczy. Czy ten młody człowiek drwił sobie z niego? Ale twarz Daga była poważna, więc wydawało się to nieprawdopodobne. Pułkownik wyjął chustkę i wytarł sobie drżącą ręką czoło i brodę. Tak jakoś przykro ścisnęło go dzisiaj gardło. Znow zwrócił się do Daga:

— Ojciec zapewne cieszy się dobrym zdrowiem. Czy sam zajmuje się jeszcze wszystkim?

Dag przypatrywał się mu przez chwilę. Nigdy jeszcze nie przyszło mu na myśl, że w stanie zdrowia jego ojca mogłaby nastąpić zmiana i że mógłby nie dać sobie sam rady ze wszystkim.

— Tak, ojciec cieszy się dobrym zdrowiem — odpowiedział. Pułkownik pokiwał głową, przepił jeszcze raz do nich uprzejmie, powiedział coś o obowiązkach wobec pozostałych gości i że będzie musiał ich teraz opuścić.

Panna Adelajda patrzyła zdziwiona. Sądziła, że między tymi dwoma wielkimi dworami istniała wrogość i że dlatego von Gal-Iowie potraktowali ją i ojca tak chłodno w kościele. A teraz pułkownik sam podszedł i przywitał Daga jako jednego z pierwszych. Nie mogła tego zrozumieć. Dag wypił kieliszek za jej zdrowie i musnął wzrokiem jej krągłe ramiona, zgięte w ślicznym uśmiechu usta i oczy.

Oczy Adelajdy Barre! Niebieskawe białka, jak przezroczysta P°rcelana, tajemnicze cienie długich rzęs, a spod tych cieni błyszczały gwiazdy z nieba.

Dag mrugał oczami jak oślepiiony słońcem. Nigdy nie wolno jej będzie opuścić Bjórndal.

Z daleka rozbrzmiały tony muzyki. Rozległy się oklaski, bo teraz miały się rozpocząć tańce. Dag wraz z falą ludzką przechodził przez pokoje; wyszli do hallu i stamtąd schodami na górę. Gestem i słowem odpowiadał na powitania osób, które znały Adelajdę. Gromadził się gwarny tłum ludzi, którzy go nic nie obchodzili. Wymieniano nazwiska, ale nie zapamiętał ani jednego. Muzyka ściągała wszystkich do wielkiej sali. Sala w Borg-land była szeroko znana jako najwspanialsza w całej okolicy. Po jednej stronie znajdował się ogromnych rozmiarów komin przyozdobiony olbrzymimi, kamiennymi figurami. Nad komin-

kiem wisiało lustro, po obu stronach lustra stały zbroje rycerskie, ! które, jak mówiono, nosili przodkowie von Gallów w bardzo daw-

•i \

nych, odległych czasach.

Mnogość luster i broni zalegała ściany; nie brakowało też tarcz herbowych; był tam własny herb von Gallów oraz herby rodów skoligaconych, zarówno duńskich, jak i niemieckich. Wisiały też portrety, jeden młodego pułkownika, jeden jego żony, tej „złej”; poza tym szereg innych, datujących się daleko wstecz.

Muzyka grała. Zabawa nabrała pełnego rozmachu. Adelajda i Dag zostali rozdzieleni przez tłum bawiących się. Kiedy Dag dojrzał ją po pewnym czasie, tańczyła z jakimś oficerem. Tak się spodziewał! Wprawdzie nie wierzył w to, aby on sam miał z nią tańczyć, jednak jakoś dziwnie go bolało, że tańczyła z innymi.

Z sali liczne drzwi prowadziły do mniejszych pokoi, w których starsi siedzieli przy kieliszkach. Młodzi także wpadali tutaj od czasu do czasu, aby wypić coś pomiędzy tańcami. Dag wyszukał sobie miejsce w jednym z ostatnich pokoi i otrzymał tak jak i inni szklankę słodkiego ponczu. Ludzie, którzy nie mieli nikogo do towarzystwa, przepijali do niego. Poza tym niczego nie widział ani nie słyszał, prócz niewyraźnego szmeru muzyki, dochodzącego z sali.

Nieco później wieczorem zastawiono stoły w pokojach na dole. Dag poszedł wraz z innymi. Położył sobie dla pozorów coś na talerz, chociaż nie mógł niczego przełknąć. Przez cały czas Adelajda nie pokazywała się nigdzie w pobliżu. Prawdopodobnie miała

miejsce w jednym z dalszych pokoi, podczas gdy on jako jeden z tych, którzy zeszli najpóźniej, otrzymał miejsce w pierwszym pokoju. Siedział pomiędzy ludźmi zaproszonymi tylko z uprzejmości lub ze względu na stosunki sąsiedzkie. Wkrótce też wstał od stołu i wrócił do przedpokoju na górze. Jak daleki szum słyszał glosy i kroki na schodach, gdy goście powracali na salę. Zagrały instrumenty i tańce rozpoczęły się od nowa.

Stał obrócony plecami do drzwi i nalewał sobie właśnie do kieliszka, gdy czyjaś ręka dotknęła jego ramienia. Odwrócił głowę i zobaczył przed sobą piękną twarz Elżbiety von Gali. Uśmiechnęła się do niego czarująco i odezwała się tymi samymi słowami, z jakimi kiedyś zwróciła się do jego brata:

— Zatańczy pan raz ze mną?

Znajdował się obecnie w takim nastroju, że było mu najzupełniej obojętne, co się dalej będzie działo. Myśli jego krążyły wciąż wokół tego samego przedmiotu i tak go zamęczały, że czuł się na pół ogłuszony. Teraz to już wszystko jedno, czy będzie tańczył, czy nie, albo z kim. Więc wszedł na salę z panną Elżbietą u boku.

Od owego ranka w kościele Elżbieta przeżyła wiele ciężkich dni. Nienawidziła teraz swej dawnej przyjaciółki z całego serca. Jakże się to stało, że Adelajda była w Bjórndal i że spędzała tam święta Bożego Narodzenia? Słyszała, że tam świętowano długo — niebezpiecznie długo, jeśli ten młody człowiek będzie miał Adelajdę dzień w dzień przed oczyma. Niech się raczej świat zawali, niż żeby coś takiego się stało! Nigdy nie dopuści, by Adelajda Barre stała się panią na Bjórndal.

Co stanie się z tą zaporą na pół zapomnianych przesądów i tradycji, która odgradzała tych z północy od reszty świata, gdy już raz kobieta o reputacji i stanowisku Adelajdy zasiądzie tam jako Pani na Bjórndal? Czyż nie usunie tej zapory swą inteligencją i taktem? Czy wobec jej rozległych stosunków wielkie domy nie otworzą przed nią szeroko swoich podwoi, jeśli tylko zechce prowadzić życie towarzyskie? Na pewno zechce, gdy bieda, z którą obecnie się boryka, zostanie na zawsze pogrzebana pod dostatkami i bogactwem Bjórndalów. Co wówczas stanie się z zaporą? ^ozpadnie się w proch pod delikatnym dotknięciem ręki Adc-wjdy. Potęga i chwała dworu bjórndalskiego staną się głośnie

21.)

daleko i szeroko, a może nawet zepchną w cień Borgland, jej Borgland. I to ma się stać za jej życia? Czy może miała to być kara za jej zarozumiałość i za... za wszystko zło, które czyniła na świecie?

Nie, nigdy! Ale jak temu zapobiec?

Wówczas to Elżbieta udała się do ojca z propozycją, aby ze względu na majora Barrego i Adelajdę zaprosił Bjórndalów wraz z gośćmi na bal świąteczny. Początkowo pułkownik wielce się nad tym zdumiewał, ale potem zgodził się nader skwapliwie. Panna Elżbieta nie wiedziała jeszcze, co i jak ma zrobić, ale gdy nadejdzie pora, znajdzie się jakaś rada.

Oto był ten wieczór taneczny, ale wszystko ułożyło się jakoś inaczej, niż panna Elżbieta oczekiwała. Przede wszystkim ten niemal śmiertelny wstrząs, jakiego doznała wobec uderzającego podobieństwa Daga do jego brata. Był podobny do brata pod wieloma względami. Tylko że Dag wydawał się jej bardziej przy-<sup>^</sup> stojny, miał postać olbrzyma, a przy tym był taki dojrzały i poważny, czego brakowało jego bratu. Chowając się przed jego wzrokiem, śledziła go wszędzie zapamiętale, aż w końcu złączyła go z obrazem jego brata, po którym nosi... w sobie ciężki ból. S Nie była dzisiaj panią siebie. Zapomniała o ciężących na niej obowiązkach gospodarza. Ci, którzy się do niej zwracali, otrzymywali dziwne odpowiedzi. Przez cały wieczór myśli jej pracowały gorączkowo, obracając się wciąż dokoła tej samej osoby. Widziała, że nie tańczy, ale jego brat również nie tańczył przez większą część owego wieczoru. Może nie chcieli, on i Adelajda, pokazywać się publicznie zbyt często razem? Na pewno byli w sobie oboje zakochani. To przeświadczenie dodało jej odwagi, której bardzo potrzebowała, gdyż sama chciała prosić go do tańca. Była przecież gospodarzem tego przyjęcia i miało prawo z nim zatańczyć; a później zobaczy...

Panna Adelajda ubrała się na ten bal bardzo starannie, aby być ową Adelajdą Barre na przyjęciu, ściągającą ku sobie wszystkie spojrzenia, tak, w każdym wielkim domu, w którym bywała. A tym razem — dla jednej osoby — chciała jeszcze więcej zabłysnąć. Sprawdziła swój wygląd w lustrze garderoby damskiej i po raz pierwszy podczas tych świąt odczuła swą dawną moc,

moc, której była pewna, ale którą z braku właściwego obiektu jeszcze się nigdy świadomie nie posługiwała. Gdy później zobaczyła Daga w hallu, również w galowym stroju, opuściła ją odwaga, jak zawsze wtedy, kiedy znalazła się u jego boku. Z jaką przyjemnością myślała o tym, że chociaż jeden wieczór zawładnie jego spojrzeniami, a tymczasem on stał się przedmiotem jej spojrzeń i usidlił ją mocniej, aniżeli kiedykolwiek przedtem.

Pierwszy taniec wydawał się jej męką. Jakże daleka była od tańca i uśmiechów! A Dag — gdzie on się podziewał? Nie mogła go nigdzie dojrzeć. Ach nie — cóż dla niego znaczyły tańce? Raz po razie musiała wchodzić na salę, wszyscy starzy i nowi znajomi chcieli koniecznie z nią tańczyć. Gdy później Dag był ciągle jeszcze niewidoczny, serce jej przygniatał coraz większy ból. Ciepło w jego oczach? Wówczas ten jeden raz? To chyba było urojenie? Nie, była niczym dla niego.

Po kolacji, gdy tańce rozpoczęły się od nowa, Adelajdę ogarnął jakiś desperacki nastrój. Wśród całej tej wesołej wrzawy chodziła z czarną rozpaczą w sercu. Dla niej ten wieczór był pożegnaniem, pożegnaniem radości, życia, wszystkiego — jej ostatni, jej nieodwołalnie ostatni bal! Już nigdy nie będzie stroić się z taką radością — dziś uczyniła to po raz ostatni. I właśnie dlatego oczy jej zabłyśły na nowo: jeśli to miało być jej pożegnaniem, dobrze, niech będzie, ale niech przyjmie je z uśmiechem na ustach. Niech nikt nie widzi, że chodzi z opuszczoną głową. I popłynęła dalej w taneczny rytm pośród' uśmiechów i pełnych podziwu spojrzeń — królowa balu po raz ostatni.

Adelajda tańczyła, ale myśli jej błądziły gdzie indziej; bo dla niej nie było już radości. Naraz do uszu jej doszło echo jakiejś niezwyklej wrzawy, a razem z nim wróciła zdolność postrzegania. Oczy zauważyły coś na sali...

Dag tańczył, a z nim Elżbieta • z niebezpiecznym blaskiem w oczach.

Był jakby stworzony do tańca: lekki i swobodny, gibki w ruchach jak zwierzę. Myśli Adelajdy zapłonęły ogniem. To było z wszystkiego najokropniejsze — straciła nawet tę ostatnią, nikłą 'Pociechę, że przynajmniej nie będzie tańczył z nikim innym.

Słyszała dookoła siebie szepty i widziała odwracające się głowy. To o nim szeptano, to on ściągał na siebie spojrzenia wszystkich.

Więc to na nią czekał, na tę, którą kochał, na Elżbietę... Jakże mogła być tak ślepa! Jak mogła nie pomyśleć o tym wcześniej?! Przecież przez całe życie mieszkali obok siebie jako sąsiedzi. Dlatego to Elżbieta powitała ją tak chłodno wówczas w kościele, sądząc, że ona staje jej na drodze.

Nastąpiła pauza pomiędzy tańcami. Podawano grzane wino, ciasto i inne specjały na wzmocnienie. Adelajdę odprowadzono na miejsce, kawalerowie podawali jej usłudze wszystko, czego zapragnęła. Oparła się w krzesło; wypoczynek i wzmacniający trunek podziałały jak tchnienie życia na jej udręczony umysł. Różne myśli i postanowienia przewijały się jej przez głowę. Pełna odwagi przybyła na Bjórndał, gotowa walczyć, stanąć przeciwko całemu światu, tylko nie przeciw niemu. Przy nim i pod jego okiem stałaby się dobrą i uległą kobietą. Przyrzekła sobie użyć wszelkiej broni. Tymczasem ten wieczór dobiegał już prawie końca, a ona nie uczyniła nic, absolutnie nic, aby zmienić bieg swego przeznaczenia.

Odezwały się dźwięki muzyki, zrazu pojedyncze tony i piski, aż rozbrzmiały znowu pełną falą. Adelajda tańczyła bez przerwy. Nie darowano jej ani jednego tańca. Musiała patrzeć, jak Dag obracał się od tańca do tańca z Elżbietą w swoich ramionach. Jak we mgle widziała ją uśmiechającą mu się prosto w twarz swoim najniebezpieczniejszym uśmiechem, widziała ją raz po razie, widziała, jak szepce mu grzeczne i pochlebne słówka, i widziała, jak Dag uśmiecha się do niej w odpowiedzi w całym rozbłysku swoich białych zębów.

Nastąpił taniec ze szpadami.

Wszyscy oficerowie — od starego pułkownika aż do najmłodszego porucznika — wyciągnęli szpady i uformowali się w dwa szeregi, stojąc parami naprzeciwko siebie i krzyżując nad sobą długie ostrza.

Światło z kandelabrow załamywało się z błyskiem na zimnej stali i odbijało się od lśniących jedwabiem sukien pań, które sposobiły się do spektaklu.

Pierwsza — któraż miała być pierwsza z najpiękniejszych? Która królową balu? Wywoływano imiona, jedno, drugie, jeszcze jedno, wywołano także imię panny Elżbiety, ale coraz liczniejsze głosy, a potem wszystkie wołały; — Adelajda Barre!

Błada jak śnieg wystąpiła naprzód — kroczyła z dumą i godnością jako pierwsza pod sklepieniem mieczów. Pierwsza na czele wszystkich — po raz ostatni.

Potem utworzono krąg i posuwając się w nim dokoła, śpiewano stare pieśni w wielkiej sali borglandzkiej.

Muzykanci odpoczywali przed ostatnim tańcem. Potem słychać było znowu brzdąkania i piski — to po raz ostatni strojono instrumenty.

Czoło Adelajdy było na przemian zimne i gorące. W głowie ciężko kłębiły się myśli. Porucznik u jej boku był podniecony trunkami. Szeptał jej te same gorące słówka, co i wszyscy przed nim. Już tyle razy tańczył dziś z królową balu, że czuł się pewny swego. Nie prosił już nawet o ostatni taniec — dzisiejszego wieczoru należała do niego...

W przedpokoju, w samym kącie, Dag Bjórndał siedział tak jak przedtem. Dzień dzisiejszy był najbardziej ponurym dniem w jego życiu. Ale rozgrzał się od tańca, a przy tym wypił więcej niż kiedykolwiek. Wzbierała w nim teraz odwaga. Tańczyła każdy taniec, nigdy z nim, zawsze obok niego. Jeden mężczyzna za drugim obejmował ją swym ramieniem i tańczył z nią. Powinien był wiedzieć, co go czekało. Ani razu nie zbliżyła się do niego. Tylko oficerowie — przez cały czas! Elżbieta von Gali była dla niego uprzejma, tak, mówiła nawet dziwne rzeczy. Co miał o tym sądzić? Niech idzie sobie na Blocksberg \* razem ze swoimi pięknymi słówkami! Precz z wszystkimi oficerami! Teraz on im pokaże, jak się tańczy!

Podniósł się i ruszył do sali.

— Ostatni taniec! — wołano ze wszystkich stron, w momencie gdy wchodził. Szybko jak drapieżne zwierzę wypatrzył swój łup i już swym długim krokiem przemierzał rozjarzoną salę.

Porucznik asystujący Adelajdzie poprawił sobie pas i zwrócił się do swojej damy. Westchnęła głęboko i cicho i wysunęła nogę, aby się podnieść. Zadzźwięczały pierwsze tony muzyki. Naraz zabrzmiał czyjś stanowczy głos:

\* albo Brocken, najwyższy szczyt w górach Harcu (1142 m); według niemieckich podań ludowych — miejsce spotkania czarownic w czasie tzw. nocy Walpurgii.



— Panno Barre!

Drgnęła i obejrzała się.

— Czy mogę tańczyć z panią ten jeden raz, ten ostatni taniec?

'Był to Dag.

Adelajda nie wiedziała już nic o żadnym poruczniku. Jak w fantastycznym śnie powstała ze swego miejsca. Pierś jej podnosiła się i opadała drżącym oddechem i jakieś ciepłe, jasne oszołomienie ogarnęło całą jej istotę. Ostrożnie, jak gdyby była piórkiem, Dag ujął jej rękę, a równocześnie drugim ramieniem, krzepkim jak żelazo, delikatnie otoczył jej kibić.

Jak radosnymi tonami brzmiała muzyka, jak jasno i promień- | nie jarzyły się światła na ten ostatni taniec! ;'

Bamsen biegł kłusem dumny jak nigdy. Sanie ze śpiewem su- 'w nęły po śnieżnej drodze. Minęli już szeroką równinę, jechali f przez las.

f Oczy Adelajdy były szeroko otwarte. Świerki uciekały za nimi,« gwiazdy na niebie płynęły wespół, a ona niby we śnie wciąż'|B jeszcze tańczyła ten jedyny taniec — może swój ostatni na ziemi.

A ipotem wszystko zebrało się naraz: cała męka i ból, jaki przeżywała w ciągu wieczoru, wreszcie ten ostatni taniec na zakończenie. Gdy las przeredził się na zakręcie drogi idącej wzdłuż kamiennego muru i zobaczyła światła w izbach dworu na Björn- • dal — między innymi i w swojej — a sanie zjeżdżały szybko na dół, wtedy nastąpiło załamanie. Skuliła się ramieniem i głową i wcisnęła się w szorstkie wilcze futra Daga i wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

Spokojnie, jak gdyby nic się nie stało, Dag przełożył lejce do lewej ręki — była dość silna — i prawym ramieniem przytulił ją do siebie. Spoglądał na nią z pewnym zdziwieniem, ale na takich sprawach się nie rozumiał. Przyciągnął tylko mocniej derkę, którą była przykryta. Inny mężczyzna zapytałby może, co się jej stało. Ale Dag nie był taki. W tego rodzaju wypadkach nie należy zadawać pytań. Gdy sam miał jakieś zmartwienie, wtedy odczuwał to w sobie tak gwałtownie i tak głęboko, że żadne słowa nie mogłyby temu zaradzić. Więc po co pytać, gdy nie można oczekiwać odpowiedzi? Starął się po prostu być dla niej dobry,

otulał ją ramieniem i derką, aby okazać, że pomaga jej tak, jak może najlepiej.

Sanie jechały dalej. Adelajda przestała płakać. Ale nadal tuliła się do niego, jak gdyby było jej zimno. Dumna panna Adelajda, która nigdy nie wylewała łez, nawet gdy świat potraktował ją brutalnie, w czasie tych świąt płakała po raz drugi.

Gdy przejeżdżali przez osiedle, oczy jej były jeszcze wilgotne, ale już nie od łez gorzkiego żalu, nie. Siedzieć z nim razem, tak blisko niego, to było jak bajka, gdy równocześnie sanie sunęły śpiwnie po drodze, a gwiazdy iskrzyły się ponad lasami.

Gdy kopyta Bamsena zadudniły na moście, skąd rozpoczynała się aleja wiodąca bezpośrednio do dworu, szybkim ruchem usiadła znowu prosto, wycisnąwszy najpierw lękliwy pocałunek na szorstkim futrze z wilków. O tym nie powinna wiedzieć żadna istota na świecie.

Poprzedniego razu, gdy jeden młody człowiek z Bjórndal udał się na tańce do Borgland, już nigdy nie powrócił. Może dlatego ojciec Dag czuwał jeszcze w oświetlonym domu, nie chcąc się położyć, póki nie przekona się na własne oczy, że drugi młody człowiek wrócił bezpiecznie do domu. A może miał inne powody, może spodziewał się, że usłyszy jakieś nowiny?

Major i kapitan nie powinni nic przez to stracić, że nie pojechali na bal. W zamian za to panna Kruse urządziła im prawdziwą wieczerkę. Mieli najbardziej wyszukane potrawy, wino, jak też wódkę i piwo. Potem przy kartach i mocnym trunku nie myśleli zupełnie o spaniu. — Taki wieczór to rozumiem, to właśnie coś dla starego żołnierza — powiedział major.

Słyszeli jak młodzi wracali, i wyszli im naprzeciw do sieni. Rozmawiano o balu i o znajomych, których Adelajda tam spotkała. Następnie pogaszono światła i we dworze zapanowała noc.

Ale tam na wielkim Borgland pewna dumna panna płakała słonymi, gorzkimi łzami.

Dni świąteczne zbliżały się ku końcowi. Mijał już dwudziesty dzień. Tego wieczoru przy kolacji major wznosił kielich i wzruszonym głosem dziękował za wszystko dobre, za tak przyjemnie spędzone dni; ale teraz pora już wracać do domu.

Stary Dag odrzekł na to, jak to się w takich wypadkach zwy-

kle odpowiada, że święta trwają dopóty, dopóki starczy jedzenia, i że nie widzi potrzeby takiego pośpiechu. Ale major był stanowczy — jutro muszą odjeżdżać.

Podano wino, gdyż miał to być wieczór pożegnalny, i nastąpiła wielka uczta. Trzej starzy żartowali i śmiali się, i pili. Dla młodych były to jednak ciężkie godziny.

Później wszyscy siedzieli przy kominku w starej komnacie. Oczy Adelajdy bacznie krążyły dokoła. Ale młody Dag siedział sztywno i bez słowa. W ciągu tych dni nie dał poznać po sobie ani razu, czy żywi wobec niej jakieś uczucia. Owszem, szanował ją, a nawet lubił na swój ciężki i poważny sposób. Ale miłość — •• to była pieśń, której nie znał. A może tu już była Elżbieta...?^ Tak, teraz kiedy Adelajda musi znowu wrócić do miasta, do szarych, smutnych dni, ci dwoje na pewno się spotkają.



Z bólu przymknęła oczy; z trudem powstrzymywała łzy. Musi dzielnie stawić czoło temu, co jej czas przyniesie, nie wolno jej się załamywać, nie wolno zdradzić się ze swym strapieniem. Musi pozostać dla innych tajemne i nieodgadnione, otoczone przez nią czcią świętości, a z nim razem wszystkie te radosne wspomnienia, które zabierze ze sobą. Tak więc spełni się jej przeznaczenie, tak samo jak wszystkich innych kobiet w jej rodzinie. Wobec świata dumnie zniesie swój ból.

Ponure ciemności otoczyły Daga. Spadły na niego ze słowami majora o odjeździe. Od tej chwili urywały się jego myśli, język był sparaliżowany, oczy patrzyły tępo przed siebie, nie widząc. Nigdy nie wolno jej stąd wyjeżdżać. Tak myślał aż do balu w Borgland, do chwili, gdy zobaczył, do jakiego to wspaniałego świata należy, z jaką dumą i godnością kroczyła na czele wszystkich w tańcu ze szpadami. Od tej chwili wiedział, że ona nigdy nie zostanie w Bjórndal. Mimo to pierwotna myśl nieustannie powracała i wola krzyczała niemal głośno, że Adelajda powinna, że musi zostać! Ale wciąż go dręczyła uporczywa wątpliwość. Bo i z jakiej racji miałyby zostać? Również i dzisiaj, gdy siedział tak przed kominkiem, myśli jego nie posunęły się ani o krok naprzód i najprawdopodobniej nigdy nie posuną się dalej.

Było u niego rzeczą niezwykłą, że na dobranoc podał rękę majorowi i Adelajdzie. Stał przed nią jak chłopiec, trzymając niezgrabnie rękę i zwiesiwszy głowę. Tej nocy dwoje ludzi nie

zmrużyło oka. Adelajdzie myśli nie pozwalały zasnąć ani na chwilę, zaś Dag przesiedział całą noc przed kominkiem swojej bezokiennej izby. Nad ranem przebrał się w ubiór myśliwego, przypiął narty i puścił się szlakiem lasu. Gdy przed południem major i panna Adelajda odjeżdżali z Bjórndał, Dag nie wrócił jeszcze z lasu.

## XXVIII

^ima mijąca w Bjórndał jak zwykle. Były ciche, słoneczne dni lub burze śnieżne i kłujące mrozem wiatry.

Konie biegły do miasta i wracały. Przywoziły listy, papiery, dokumenty — dotyczące spraw pieniężnych i innych — jak zwykle. Raz sam stary Dag udał się do miasta, gdzie zatrzymał się na kilka dni; następnie jeździł po okolicznych parafiach i znowu udał się do miasta. Tym razem zatrzymał się w mieście na dłuższy czas.

Młody Dag rzadko przebywał w domu. Tkwił głęboko w lasach w pobliżu wysokich gór. Całe stopy skór wilczych, lisich, kunich i wszelkiego innego rodzaju dzikich stworzeń przywozili do dworu robotnicy, którzy zwozili drzewo z lasu. Dag im je przynosił — mówili. Sam przychodził bardzo rzadko, a jeśli się pokazywał, to zwykle krwawił od jakiejś rany, zadanej mu kłami wilczej paszczy lub spowodowanej upadkiem na stromych urwiskach skalnych. Tak nieustraszonym myśliwym nie był nawet jego ojciec. Prawdopodobnie w tym silnym ciełe coś szalało — Jakieś wspomnienie, które pragnął zagłuszyć.

Teraz już nigdy nie jeździł do Utheim.

W Borgland nastąpiły ponure czasy. Panna Elżbieta miotała się Ociekła i na ludzi, i na zwierzęta bardziej niż kiedykolwiek, a usta jej często tej zimy krwawiły. Godzinami siadywała przy oknie i spoglądała na las, który przesłaniał widok na północ. Za każdym razem, gdy na drodze pokazał się czarny koń, wypatrzy-

łaby bez mała swoje krótkowzroczne oczy, aby rozpoznać, kto jechał saniami.

Pułkownik także przeżywał niemiłe chwile. Chodził niespokojnie po pokojach i po drogach za dworem. Nieraz całymi nocami, aż do świtu w ipokoju jego paliło się światło.

Pewnego dnia włożył na siebie futro podróżne. Chłopak stajenny oczekiwał go na dworze.

— Dokąd jedziesz? — spytała ostro Elżbieta.

— Na północ, kawałek stąd — odparł pułkownik oschle, acz||  
spokojnie, 'li

— Na północ? Do Bjórndal? |

— Tak — odpowiedział pułkownik po prostu.

— Na miłość boską, czego ty tam szukasz? — Głos odmawiał jej ze strachu posłuszeństwa.

— Sądzę, że potrafisz to zgadnąć — odparł krótko.

— Nie, tego nie zgadnę. Chyba nie chcesz... nie...

— Możesz powiedzieć. Bo właśnie tego chcę. Spróbować, czy nie ma na świecie jeszcze jednego miejsca, gdzie by mi pożyczono parę talarów...

— Ależ ojcze, tyś chyba postradał zmysły?

— O, to możliwe. Powinienem się raz nareszcie wyspać. Już od dawna nie mam należytego odpoczynku. Powiem tobie, panienko, dokładnie, jaka jest nasza obecna sytuacja. Uirich von Wendt wypowiedział mi już dawno prawo wykupu głównej hipoteki, którą ma na Borgland. Stracił prawie cały swój majątek i pieniądze są mu bezwzględnie potrzebne, rozumiesz? Pisał do mnie list za listem, ostatni na miesiąc przed Bożym Narodzeniem. Pisał wtedy, że jeżeli w przeciągu tygodnia nie postaram się o pieniądze, będzie zmuszony sprzedać hipotekę, jakkolwiek szczerze nad tym ubolewa. Lada dzień mogą sobie tutaj wejść obcy ludzie i bezceremonialnie nas wyrzucić, i mnie, i ciebie.

Dumnej pannie Elżbiecie zdawało się, że ziemia usuwa się Jej spod nóg i przygniata ją całym swoim ciężarem. To było nie do pojęcia! Błada i drżąca trzymała się kurczowo krawędzi stołu i patrzyła osłupiała po hallu, w którym stali. Wiedziała, że sprawy miały się źle, ale nigdy by nie przypuszczała, że może dojść do takiej sytuacji.

pułkownik zapiął futro i zwrócił się ku drzwiom. Jak kot doskoczyła do niego.

— Nigdy, nigdy tam nie pojedziesz, rozumiesz?! — krzyczała. ^- Głupstwa pleciesz — powiedział i odsunął ją od siebie.

— Umrę ze wstydu — dyszała — natychmiast odbiorę sobie życie. Cierpliwość pułkownika skończyła się. Rozejrzał się szybko dookoła. Nie było nikogo, kto by ich mógł słyszeć.

^- A więc tak, wstyd ci przed tymi na górze! W takim razie powinnaś była już dawno umrzeć ze wstydu. Chyba tak?

Jego stara, pomarszczona wiekiem twarz była blada, głos ostry i przenikliwy. Gniew długich lat, ba, całego życia, i męka długich, nieskończonych nocy wezbrały w nim nagle i znalazły sobie upust.

— Elżbieto, jesteś zupełnie taka sama, jak twoja matka. Nazywano ją złą, ty zdobyłaś sobie to samo miano. Czy przeżyłem przy was choć jeden radosny dzień? Nigdy. To was nie obchodziło. Gdy twoja matka przybyła tutaj, nazywała mnie zagrodnikiem, ponieważ mój dom nie był tak wspaniały jak jej ojca. Dopiero później, kiedy potrzebowała mojego podpisu do ratowania swojej rodziny cd nędzy, pozwoliła mi łaskawie uważać się za pana. Wtedy to poniosłem pierwsze większe straty. Potem nastąpiły dalsze, a ty i twoja matka wydawałyście pieniądze pełnymi garściami. Było wam wszystkiego za mało. Nie dość wam byto tych ciągłych przyjęć i balów, a ja, głupiec, ulegałem wam we wszystkim. Nadeszły lata nieurodzaju, a z nimi ciężkie czasy. Ci, którzy winni mi są pieniądze, nie mogą zdobyć nawet ta'ara, a inni, którzy ucztowali tutaj w owych latach obfitości, odwrócili się ode mnie; zresztą sami mają teraz dość własnych kłopotów. Łamałem sobie głowę dniami i nocami, ale niczego nie mogłem wymyślić. Jest jeszcze tylko jeden człowiek, do którego mogę się zwrócić — stary Bjórndal na północy. Tak, to ostatni człowiek, do którego bym się w ogóle zwracał, ale, niestety, on jedyny ma Jeszcze pieniądze na takie rzeczy. Zna nasz majątek, może nie będzie obawiał się lokować w nim kapitału w tych niepewnych basach. Wprawdzie nie łudzę się wiele z uwagi na nasze dotychczasowe stosunki, lecz nie mam już innego wyjścia, muszę chociaż spróbować.

A Ity wiecznie iplewał

Panna Elżbieta zasłoniła twarz rękami i stała chwiejąc się jak trzcina. Zęby kara mogła być aż tak druzgocząca! Uprzytomniła sobie teraz wiele rzeczy i chyba tylko dzięki własnemu cierpieniu zrozumiała nareszcie, jak bardzo złość jej musiała zaciążyć na życiu innych.

Teraz Wszechmocny zrządził, że właśnie ten człowiek, który najbardziej ucieniał z powodu jej niegodziwości, stał się jedynym człowiekiem na świecie, mogącym wyratować ją od hańbiącego poniżenia. Niby przez mgłę widziała, jak ojciec wyszedł i zamknął za sobą drzwi. W uszach miała szum wodospadu, czuła się bliska omdlenia. Ale duma była w niej tak zatwardziała i uparta, że zdołała jeszcze zawlec się do swojego pokoju i zamknąć za sobą drzwi, zanim upadła zemdlona. Nikt nie powinien widzieć jej słabości — było jej ostatnią myślą.

Jak zazwyczaj, i tym razem panna Kruse wyszła przed dom, aby powitać gościa. Znała pułkownika z widzenia; widywała go w kościele i w różnych innych okolicznościach. Jednakże od czasu balu świątecznego przestała się już dziwić temu, co ludzie robili. Wszystko mogło się zdarzyć, teraz nic nie było niemożliwe.

— Starszego pana nie ma w domu — powiedziała — wyszedł na przechadzkę, ale powinien lada chwila wrócić. Może pan pułkownik zechce tymczasem wejść do domu.

Zdjął w sieni futro i wysokie buty. Podszedł do kominka i usiadł. Panna Kruse postawiła światło na gzymsie i wyszła, by wrócić zaraz z napojem wzmacniającym, jak czyniła to zawsze, gdy przybywali goście. Wprawdzie pułkownik podziękował, wzbraniając się pić, ale gdy panna Kruse odeszła, wziął ostrożnie butelkę do ręki, nalał sobie nieco do szklanki i posmakował.

Następnie przechylił się na oparcie krzesła i rozejrzał się dookoła. Wybierając się tutaj, zamierzał wystąpić jako ten, kim był — jako człowiek światowy — i rozmawiać swobodnie i płynnie, aż dojdzie do spraw, które go tu sprowadziły. Liczył bardzo na wyszukany sposób mowy, jakiego użyje, bo przecież człowiek, do którego chciał się zwrócić, był mimo swojego bogactwa tylko niewykształconym chłopem. Ale gdy stare jego oczy przyzwyczyły się do półmroku i zaczęły przyjmować wrażenia, jakie narzucało otoczenie, ogarnął go niepokój. Przypatrzył się ogromnemu stolowi i krzesłom, a przede wszystkim drzwiom. Rzez-



bione słupowe odrzwice i zawiasy z artystycznie giętymi okuciami pochodziły z innych, dawno minionych lat. Czas zatrzymał się tutaj chyba przed wiekami. Prastara duma i godność wyzierały ku niemu z zimnym spokojem, nie, spoglądały nań z góry.

Sztuczna pewność siebie powoli go opuszczała. Uczucie pogardy dla wszystkiego na północy, w duchu której był wychowany, naraz straciło swą podstawę. To, co tutaj widział, nie mogło być kupione w mieście, z kramarskich, dorobkiewiczowskich pieniędzy. Nie, to było za stare, za dobre, za pewne. Solidna prawda wielkiego dzieła życia, pracy i umiejętności.

Tu nie można było wystąpić ze sztucznymi wyrażeniami i wytwornymi zwrotami. Opanował go jakiś nerwowy niepokój, nastrój ogarniający każdego, kto naraz natknie się na życie w jej najprostszej, nienaruszonej formie. Tutaj będzie zrozumiany tylko wtedy, gdy będzie przemawiał prostymi, wyraźnymi słowami.

Takie myśli i refleksje chodziły mu po głowie, gdy na zewnątrz dały się słyszeć kroki i otworzyły się drzwi. Pułkownik podniósł się i wyciągnął rękę na powitanie. Ciężka ręka starego Daga spoczęła w jego dłoni. Razem z Dagem przyszedł również kapitan Klingę. Znał pułkownika z dawniejszych lat, gdy w młodości bawił raz w gościnie w Borgland.

Pułkownik próbował uderzyć w żartobliwy ton. Skoro oni nie przyjechali do niego na bal, musi sam do nich przyjechać i przynieść swoje pozdrowienia. Stary Dag dopomógł mu, czyniąc uwagę, że było to uprzejmie pomyślane. Doprawdy przyjemnie jest w tych nudnych czasach, gdy przyjeżdżają goście.

— Pozwoliłem sobie skosztować coś niecoś, żeby się trochę rozgrzać — powiedział pułkownik wskazując butelkę. — To naprawdę doskonały trunek.

— Tak — zgodził się Dag — ten koniak jest nie najgorszy. Była pora jedzenia i panna Kruse ukazała się meldując, że podano obiad. Pułkownik nie chciał słyszeć o jedzeniu, ale ostatecznie musiał się z innymi do stołu. Jest bardzo prawdopodobne, że nawet jego wydelikacjonemu podniebieniu odpowiadało to, co umiała podać panna Kruse. Wino i koniak rozproszyły go ponury nastrój, tak że na chwilę nawet zapomniał o rozprawie, która go tutaj przywiodła.

u.

Po obiedzie kapitan przeprosił i poszedł do siebie, aby odpocząć. W ostatnim czasie jakoś niedomagał. Stary Dag Bjorndal i pułkownik von Gali udali się do starej komnaty. Było to ich trzecie spotkanie.

Ma kominku palił się ogień, a przez matowe szyby sączył się do wnętrza przyjemny półmrok. Pułkownik mówił najpierw o złych czasach i o ogólnej biedzie. Później o tym, że przez całe życie mieszkali w tej samej okolicy i że teraz się zestarzelili. Dag nie odzywał się ani słowem, pociągał tylko spokojnie fajkę, długą, glinianą, i pykał z niej od czasu do czasu.

Pułkownikowi drżały nieco ręce; przez pomarszczoną, sinoczerwoną twarz przebiegały drgawki. Lecz oczy zachowały zwykłe, władcze spojrzenie, na ustach trwał wyraz zdecydowania. Mię przychodził jako żebrak. Był jeszcze panem na Borgland.

Dag domyślał się, o co chodzi. Siedział prosto na krześle i przyglądał się z boku pułkownikowi. Na twarzy jego pojawił się częściowo ów wyraz skrzywienia, jaki nosił za życia Teresy. Jedno oko, to bliższe, było szeroko otwarte, drugie, to dalsze, było chytrze zmrużone.

Po długich, okrężnych wybiegach pułkownik nareszcie doszedł do jądra sprawy. Czasy są złe, tak złe, że nie można już dostać pożyczki nawet pod zastaw najbardziej pewnych papierów wartościowych. Pomyślał więc sobie, że może Dag, który przecież mieszka tak blisko i zna dobrze Borgland, zechciałby pożyczyć mu nieco pieniędzy pod zastaw majątku, aż miną najgorsze czasy.

Dag odparł, że nie ma w zapasie zbyt wielu talarów, w obecnych zaś czasach spieniężyć hipoteki czy inne udziały w majątku nieruchomym to rzecz po prostu niemożliwa. Najpierw jednak musi wiedzieć, o jaką sumę chodzi, to wtedy można by zobaczyć.

Pułkownik obawiał się, że usłyszy zupełnie inną odpowiedź, toteż robiło się mu na przemian zimno i gorąco z radości, gdy zobaczył, jak spokojnie Dag przyjął całą sprawę. Znaczyło to prawie tyle, co ipółowa obietnicy. Czy naprawdę było do pomyślenia, aby ten człowiek, siedzący tutaj w swej nisko sklepionej izbie, chciał i mógł pożyczyć mu w tych rozpaczliwie ciężkich czasach to, czego .potrzebował? Nie, to przechodziłoby najśmielsze nadzieje. Zbyt, wiele rozczarowań doznał w ostatnim roku. Może

on tylko sobie z niego drwi? Przecież syn tego człowieka również był taki dziwny, gdy wówczas na balu starał się go nieco wysondować. Widocznie ci ludzie tutaj byli inni, nie tacy jak wszyscy. Inna natura i inny sposób rozumowania. A może jedynie przez ciekawość zapytywał o wysokość sumy? Ale teraz nie było już czasu na żadne wybiegi, musi podać konkretne cyfry. Pułkownik na pół obrócił się w stronę Daga i wymienił sumę. Była to wielka suma. Natychmiast też spojrzał na Daga, aby zobaczyć jakie wywarła wrażenie.

Dag siedział bez ruchu. Nawet najlżejszym drgnięciem twarzy jego nie zdradziła, jakie za nią kryją się myśli.

— Zobaczmy — powiedział tylko. Wstał i wyszedł z izby. Wielka i potężna postać.

pułkownik patrzył za nim zdziwiony.

Dokąd on poszedł? Czyżby miał tak dużo gotowych talarów w tych czasach, kiedy inni już prawie od roku nie widzieli, jak wyglądają pieniądze? Jak nieprzenikniona była jego twarz, gdy wymienił sumę. Pułkownik miał już w swym życiu z wieloma ludźmi do czynienia, lecz ten człowiek był dla niego zagadką.

Stary Dag długo nie wracał. Był teraz w piwnicy i wyjmował z podłogi kamienie. Tutaj bowiem, głęboko w ziemi, w bezpiecznym od ognia miejscu, przechowywał żelazną szkatułkę, zawierającą dokumenty. Gdy wreszcie powrócił do starej komnaty, trzymał w ręku jakiś papier. Pułkownik sądził, że teraz będzie musiał coś podpisać, jednak nie chciało mu się wierzyć, aby cel jego wizyty miał się tak łatwo spełnić.

Dag usiadł spokojnie na swoim miejscu i rozłożył papier, po czym nie drgnąwszy nawet powiekami podał go pułkownikowi.

— Może to tutaj pana tak niepokoi? — zapytał. Ręka pułkownika drżała tak, że papier szeleścił w jego palcach. Twarz powlokła się purpurą. Oto ten człowiek siedzi sobie na Bjorndal i ma w swoim posiadaniu list zastawny, który Uirich Von Wendt otrzymał tytułem hipoteki na cały majątek Borgland. Znal dzień i datę wykupu, której niedotrzymanie pociągało za sobą przepadek mienia na rzecz posiadacza listu, i wiedział, że "ogactwa Borgland były pustym frazesem. Pułkownik von Gali raz jakby się więcej zestarzał i skurczył. Ale umiał się opanować, a przy tym zahartowały go już nieszczęście i niepowodzenia.

Wyprostował się powoli i pogładził ręką rzadkie włosy na głowie, jak gdyby chciał w ten sposób odegnać przykre myśli.

— Tak — odpowiedział z godnością — to jest ten papier. •— Spojrzał na Daga. — Co pan zamierza z tym zrobić?

— O, to zupełnie to samo, co pieniądze — odparł Dag.

— Tak, wykupię go kiedyś na pewno — oświadczył pułkownik, ale głos dziwnie mu się iprzy tym załamywał.

Stary Dag pochylił głowę. Zdawało mu się, że znów jest człowiekiem chciwym łupu jak ryś. Opuścił głowę jak łoś samiec,) który zniża rogi, aby zadać śmiertelny cios przeciwnikowi. |

— Nie wykupi go pan, jak długo żyć będzie pana córka —ri powiedział Dag lodowatym tonem.

Pułkownik patrzył przedtem na niego, a teraz spojrział znowu. Lepiej, żeby tego był nie zrobił, gdyż oczy Daga wpatrywały się w niego przenikliwie i paląco niby dwa niebieskie płomienie. Pułkownik czuł, że czytają w jego twarzy jak w książce. Zd.adzil się teraz z tym, że rozumiał, czego Dag domyślał się w stosunku do jego córki, i że on sam dobrze wiedział, iż główny udział w śmierci Torego obciążał Elżbietę. Skoro już raz ta myśl powstała w głowie Daga, ich dni w Borgland były policzone. Pułkownik czuł, jak czoło jego staje się śmiertelnie zimne, a jednocześnie jak strach kłuje go niby rozpalonymi szpilkami p) całym ciele. Spuścił oczy i wpatrywał się tępym i martwym wzrokiem w podłogę.

Brwi Daga ściągnęły się groźnie. Skóra na twarzy naprężyła się aż wystąpiły kości, rysy przybrały wyraz nadający mu podobieństwo do jakiegoś pierwotnego przodka sprzed wielu wiek lat. Była to twarz człowieka, który podniósł broń, aby zadać śmiertelny cios nieprzyjacielowi.

Już w zaproszeniu na bal świąteczny Dag dopatrzył się zapowiedzi takiej wizyty.

Wkrótce po świętach otrzymał od swojego adwokata wiadomość o liście zastawnym. Chodziło o bardzo wielką sumę; dotychczas nie odważył się jeszcze lokować tylu pieniędzy na jednym dokumencie gwarancyjnym. Ale adwokat, który występował w jego imieniu uzyskał dokument za bardzo umiarkowana kwotę. Dag zażądał bezwzględnie zapłaty swoich należności od

Ho"dera i innych dłużników i zebrał potrzebną sumę. Sięgnął nawet do skrzyni z talarami, schowanej w piwnicy, żeby tylko osiąść ten dokument.

Owego dnia, kiedy z papierem w kieszeni jechał po szerokiej równinie, spoglądał też łaskawym okiem na kościół. Były tam stalle, które od niepamiętnych czasów należały do Borgland i które w oczach ludzkich stanowiły honorowy, szlachcki tron. Teraz stalle miały zmienić posiadacza. Okiem właściciela patrzył na Borgland, gdy przejeżdżał obok, a w pamięci zjawił mu się obraz pogardliwej twarzy pułkownika i złej zarozumiałej twarzy tej panny. Niedługo odwiedzi tych dwoje i podziękuję im za to, co dostał ostatnio — myślał sobie.

Zajechawszy do domu siadł nad dokumentem i studiował go długo i gruntownie. Oczy jego zatrzymywały się na dwóch wyrazach: Borgland i von Gali. Od najwcześniejszego dzieciństwa pamiętał je niemal jako wszechpotężne, ale teraz mógł je sobie położyć na stole, a na nich swą pięść, gdyż tu, na tym papierze były jak uwięzione. Myśli o zemście, które, zdawało mu się już dawno od niego odeszły, powróciły teraz z naporem gwałtownej burzy. Zemsta za wszystkie krzywdy doznawane od niepamiętnych czasów, zemsta za syna, za Torego! Odpłaci się von Galiom, zabierając im ziemię, a przez to wszystkim ludziom na szerokiej równinie, poplecznikom panów na Borgland. Chciwość, która w ostatnim czasie znacznie w nim złagodniała, odezwała się teraz ze wznowioną siłą. Gdy czasy się zmieniają, i w Borgland, tudzież w jego ogromnych posiadłościach nastaną — pod jego gospodarną ręką — bardziej pomyślne lata, wtedy dochody zwrócą mu wielokrotnie to, co go dzisiaj kosztował ten list zastawny. Żądza władzy, którą rozwijał w sobie podświadomie w owych latach obfitości, dzisiaj miała swój dzień tryumfu. Jego władza nie miała już granic. Wyroki boskie i ostrzeżenia, nad którymi zastanawiał się tak głęboko w młodości, a do których ostatnio coraz częściej powracał w swoich myślach, zbladły teraz wobec szczęścia powodzenia, które zdawało się nie mieć granic. W duszy jego ro-  
^iły się i wzrastały upór i wyzwanie — jak gdyby ze świadomości doznanych krzywd. Jeżeli przez bogactwo zatracił inne Wartości życiowe, to przynajmniej wykorzysta teraz wszystkie Możliwości, jakie ono daje — aż do ciemnej śmierci! Wiele roz-

fflyślał i układał, w jakich to słowach i frazesach adwokat lub kapitan Klingę mają za niego napisać do Borgland, aby podać do wiadomości jego wolę i jego żądanie. Tak, do tego stopnia przejął się formą tego listu, że ćwiczył się nawet w podpisywaniu się szczególnie wielkimi literami i zakrętasami. Uważał, że powinien dobrać podpis stosownie do ważności dokumentu.

Tymczasem pułkownik sam oto przybywał, zanim zdążył wysłać list. Jednakże Dag sądził, że pułkownik dowiedział się o losie dokumentu hipotecznego i przybywał tylko po to, by jak wielu innych, wyjednać sobie ładnymi słówkami jakąś łaskę. Dlatego też nastawił się do tego spotkania podobnie jak w innych tego rodzaju sytuacjach i przygotował gościowi chłodne przyjęcie i twarde słowa.

Pułkownik stracił resztki dumy i opanowania. Ciągła walka, udręka dni i nocy, znoszone od wielu lat, wyczerpały go do ostatka. Dotychczas zawsze się jakoś podnosił i walczył dalej, ale ten ostatni cios spadł na niego jak grom z jasnego nieba. Siedział teraz jak sparalizowany.

Stary Dag trwał na swoim miejscu ciężki i ogromny. Rysy twarzy straciły nieco ze swego chytrego wyglądu, ale szerokie czoło błyszczowało jak najtwardszy kamień, podczas gdy białe włosy sterczały z tyłu jak piana. Skóra na nosie tak się naciągnęła, że widać było wyraźnie ostre zarysy kości. Nozdrza drgały groźnie, usta mocno zaciskały się. Tępa broda wysunęła się do przodu, w oczach połyskiwała zimna stal. Teraz twarz jego miała orle rysy Ane Hamarrbó — rysy rodu.

W starej komnacie panowała śmiertelna cisza. Na kominku cicho paliło się zeszloroczne brzozowe drzewo. Płomienie wzbijały się w górę, a w przewiewie kominka słyszeć je było zaledwie jak przytłumiony szmer oddechu.

Dag siedział nieporuszony jak głaz. Ale pod działaniem dalszych myśli zacięta jego twarz zaczęła się z wolna odprężać. Uprzytomnił sobie, iż pułkownik przyjeżdżając tutaj, nie wiedział chyba o tym, kto obecnie był posiadaczem listu zastawnego. N161 przyjechał ze swej wielkopańskiej siedziby w Borgland drogą na północ do Bjórndal po prostu po to, aby zaciągnąć pożyczkę. „Hm — Dag pomyślał zaraz — mimo wszystko mogłeś jednak wiedzieć, gdzie ten dokument się znajduje, i może myślałeś, że»

to będzie dobrze wyglądało, jeśli zjawisz się tutaj pod pozorem szczerości i zaufania". Jego podejrzliwość nie znała granic.

Niemniej ściągnięte brwi zaczęły się powoli wygładzać, wyraz zaciętości na ustach stopniowo znikał. Zaproszenie na ba) przyszło przecież dużo wcześniej, zanim Dag dowiedział się o istnieniu listu zastawnego. Więc już wtedy pułkownik zamierzał z nim pomówić i przygotowywał grunt do tej wizyty. A zatem powody, którymi tłumaczył swoją wizytę, nie były żadnym wymysłem. przybyć z taką sprawą nie było dla pułkownika drobnostką. państwo na Borgland reprezentowali najbardziej wielmożnych panów zarówno w jego świecie, jak też i w świecie jego przodków. A mimo to pułkownik przyjechał tutaj z własnej, nieprzymuszonej woli, aby szukać u niego pomocy przeciwko niebezpieczeństwu grożącemu z zewnątrz. Z pewnością więc był przekonany, że Dag jest na tyle zamożny, aby dysponować takimi sumami, a równocześnie na tyle wspaniałomyślny, aby nie odmawiać mu pomocy mimo wszystko, co przedtem zaszło między nimi.

Chciwość i żądza władzy są często tak sobie bliskie, że trudno je rozdzielić. A z wiekiem żądza władzy wzrasta. Było rzeczą zupełnie bezcelową prawić Dagowi pochlebstwa na temat jego wielkiej władzy. Był na to zbyt sceptyczny; nie zaślepiał się też czczą gadaniną. Ale tutaj zachodziły fakty, które wiązały się ściśle z jego poczuciem władzy. Wszyscy przychodzili do niego, i pułkownik między innymi, aby prosić go, jako możniejszego od siebie, o pomoc przeciwko grożącemu im z zewnątrz niebezpieczeństwu. Czyż nie była to satysfakcja dla całego rodu? Oczy Jego błądziły bez celu po izbie, lecz naraz coś przyciągnęło jego wzrok. Był to tylko tkwiący w belce topór; myśli jego pobiegły zupełnie innym torem.

Bóg! Tak, obiecał kiedyś, że Bogu pozostawi zemstę! Od tego czasu zaszło na świecie tyle wielkich spraw. Często o tym myślał. ^Ve Francji zabito króla i wielu innych ludzi, wyrzeczono się Boga i nazwano to wszystko rewolucją. Tu, w jego własnej oj-^yźnie, w wielkich domach stało się modne nie mieć Boga. Pro-^y lud nie doszedł jeszcze do tego, lecz Dag nie mógł uchodzić za przeciętnego, prostego człowieka z ludu.

dzięki swemu bogactwu zetknął się już z szeregiem różnych 'uda, wzrok zaś miał bystry i spostrzegawczy. Ludzie żyli bez

Boga, tak, ale gdy przychodzili do niego, by potargować si-; o niższe odsetki czy o odroczenie terminu płatności, mieli zawsze imię i słowo Boże na ustach — ci sami, którzy skądinąd drwili z Boga i świętości.

Taki stosunek ludzi do Boga nie wpłynął na Daga w tym stopniu, by stał się bezbożnikiem, niemniej jednak z biegiem lat wiara jego straciła na sile i żarliwości. Pan na niebiosach niebawem stał się dla niego tylko Bogiem od święta, którego lepiej nie mieszać do spraw i myśli dnia powszedniego. Tym sposobem mógł występować na co dzień jako bezwzględny człowiek pieniądza, równocześnie jednak jak gdyby sankcjonując to układem zawartym z Panem Bogiem. Bowiem w głębi duszy zachował ten sam atawistyczny szacunek dla Boga i dla tego wszystkiego, co jego ojciec i przodkowie mieli zawsze w czci i poważaniu.

Zbudziły się w nim teraz wspomnienia wielu zdarzeń, wspomnienia z owych przełomowych chwil: gdy wbił w belkę topór, snuł refleksje o karze boskiej i dźwigał ciężar posepnych, ponurych dni. Ale naraz znowu podniósł głowę, zmienił tok swoich myśli, po czym wpatrywał się hardo w ogień kominka. Z jednej strony widział, jak wszyscy, którzy przeciwstawiali się jego rodowi, muszą twardo za to płacić; widział, jak pomnaża się jego bogactwo i jak rośnie jego bezgraniczna niemal potęga. Z drugiej strony stawał mu przed oczyma wyszydzany Bóg i kilka przestarzałych tekstów z Biblii.

Zupełnie tak, jak gdyby działały się czary. Oczy jego jak zamagnetyzowane wpatrywały się w tkwiący pod pułapem topór. Jego grzbiet, wąski i ipoczerniały wystawał z belki. Przez z górą trzydzieści lat wilgoć sączyła się po ostrzu i spływała w dół po rozszczepionym słupie dębowym długą, wąską strugą zebranej rdzy i sadzy, pozostawiając ślad jak gdyby starej, wżartej w drzewo krwi. Przypomniawszy sobie ten dzień, kiedy wziął topór do ręki i wypróbował na nim swoje siły, przypomniał sobie, jak rozprawiał wtedy z Bogiem, wierząc niezachwianie w jego wszechmoc. Teraz, w tej najtwardszej walce swego życia miał uczucie, jak gdyby znowu został postawiony przed oblicze Boga; zdawało mu się, że mają do załatwienia ipomiędzy sobą jakieś stare porachunki —• zaraz, w tej chwili. Dag zamknął oczy i zastanowił się nad samym sobą, nad tym, co czynił iprzez wszystkie te minione lata.



ginierc brata była dla niego ciężką karą, tak, ale wtedy On przyjął zemstę na siebie. Jeszcze raz próbował wsaczyć trochę wątpliwości w swoją wiarę w Boga, usiłował zatrzeć ją szyderstwem i niewiarą, z jaką się stale spotykał, ale nadaremnie.

Był tak pochłonięty tym rozpamiętywaniem, że zdziwił się niemal, gdy naraz zobaczył przed sobą pułkownika i list zastawny, leżący na stole. Pułkownik jeszcze jest tutaj? Zdawało mu się że lata minęły od czasu, gdy widział go na tym miejscu. Ale czy miał teraz przed sobą tego samego człowieka? Dotychczas Dag patrzył na niego wyłącznie wzrokiem nienawiści i dlatego dopatrywał się w nim tylko pychy i zarozumiałości. Zmiażdżyłby go z największą lubością. Teraz patrzył na niego innymi oczami i widział go takim, jakim był: złamanego, z postarzałą, śmiertelnie zrozpaczoną twarzą. W ostatnim czasie Dag wychodził często do lasu i innych zakątków — do tajemnej i cichej krainy, w której świat zaczął mu się znowu wydawać taki, jakim go widział w dawnych, dobrych latach. W tym świecie Borgland również miało swoje miejsce.

Owe różne myśli, które nurtowały go od niedawnego czasu, wydawały mu się teraz niepojęte. Czy naprawdę myślał poważnie o tym? By zagarnąć Borgland dla siebie i wypędzić stamtąd wszelkie życie? Czy dążył do tego, by ogołocić z blasku swój własny świat i świat swoich przodków? Czy zamierzał stanąć przed obliczem Pana jako uzurpator czyjegoś miejsca w kościele?

Dag przyjrzał się dokładnie pułkownikowi i przypomniał sobie jedno słowo, wyrzeczone przez Dorotę, jedno z najpotężniejszych słów na świecie: miłosierdzie. Dotychczas nie rozumiał tego słowa; dopiero teraz pojął w pełni jego znaczenie. Uczuł się nagle tak bliski Doroty, jak gdyby słowo to było wyłącznie jej własnością. Odczuwał prawdziwą, serdeczną radość, bo wiedział, że teraz zbliżył się do niej więcej niż kiedykolwiek przedtem. Mógł "wazać, że dokument został kupiony właśnie za jej pieniądze;

^iech zatem dzieje się jej wola.

Ale naraz coś dziwnego przyszło mu do głowy. Teresa napomknęła mu kiedyś, że kapitan Klingę dokładnie opowiedział, że Pewien oficer, pochodzący z Borgland, złamał życie Doroty. Na iwarzy jego pojawił się znowu wyraz zaciętości i znowu myśli

jego opanowała logika zemsty; taki człowiek, jak Dorota, nie może leżeć w grobie nie pomszczony...

Gdyby w belce starej komnaty nie tkwił topór, dziwna rzecz, ale mogłoby dojść do tego, że Dag — w szczytowym momencie swej odmiany wewnętrznej i mimo najlepszych intencji — prawdopodobnie uległby odwiecznemu, niemal niezwalczonemu instynktowi, który żądał zemsty krwi. Pamięć Doroty była mu prawie tak samo droga jak wspomnienie ojca. Był tak intensywnie zaabsorbowany tymi myślami, że tylko przypadkowo wzrok jego padł na topór, i to mu przypomniało, że zemsta należy do Boga. Opuścił głowę i zamyślił się.

Również i tym razem twarz jego wygładziła się, twarde rysy pokryły się jak gdyby cieniem łagodnego smutku. Podniósł głowę i przypatrywał się skurczonej postaci pułkownika. Bóg wymierzał karę pewnie i gruntownie — można mu było powierzyć zemstę. Oto sprawił teraz, że talary wzgardzonej Doroty miały uratować od zguby siedzibę pańskiego rodu, który kiedyś uważał ją za osobę niegodną ich dostojności. A czy łaskawy ch<sup>eb</sup>, na którym teraz będą żyli, nie będzie miał specjalnego posmaku dla tej złej Elżbiety, skoro otrzymywać go będzie z ręki człowieka, którego syna przypawiła o śmierć?

Twarz Daga nie pałała radością tryumfu, była dziwnie smutna. Słowa Boże, nakazujące płacić dobrem za zło — bo tak w końcu postąpi w sprawie Borgland — dominowały w jego umyśle. Myśli jego szły dalej tym torem, aż trafiły na przykazanie, że należy kochać swoich wrogów. Dotychczas było to dla niego najbardziej niepojęte przykazanie Boże — a jednak czyż nie odczuwał w tej chwili litości dla swego najzawziętszego wroga? Czyż go prawie nie miłował?

Niech inni myślą sobie o Bogu, co im się podoba; nikt i nic nie zachwieje jego wiary. Należy zaufać słowom, które tak cudownie działają w życiu; należy ich też przestrzegać.

Krzeseł Daga głośno zatrzeszczało, kiedy się obrócił. Nagły hałas po długiej ciszy poderwał pułkownika jak uderzenie w policzek. Drgnął i utkwiał przerażony wzrok w twarzy Daga. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się widzieć tak krańcowej zmiany w czyjejś twarzy. Niedawno przecież Dag rzucił mu spojrzenie przypominające aż na4to wyraźnie inne, jakie widział w walkach na ZW

śmierć i życie podczas kampanii wojennych. A teraz oto darzył go życzliwym spojrzeniem przyjaciela.

Dag przemówił, a słowa jego znaczyły, że pułkownik może całe życie przesiedzieć spokojnie w Borgland. Ten nagły zwrot był dla pułkownika wprost niepojęty. Zaniemówił. Przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa. Wreszcie złożył dokument i podsunął go Dagowi.

.— Nie wiem, czy dobrze pana zrozumiałem — odezwał się — ale jeżeli chciał pan powiedzieć, że zatrzymuje list zastawny i żąda tylko procentów od hipoteki, winienem panu ogromną i głęboką wdzięczność, głębszą, niż mógłbym to wyrazić słowami.

— Z tymi procentami również się tak bardzo nie spieszy — zauważył stary Dag.

Pułkownik wyszedł pierwszy. W sieni Dag zaproponował, by siedli i czegoś się napili, ale pułkownik uważał, że i tak już za dużo od niego przyjął, i nie chciał się dłużej zatrzymywać. Wychodząc chwycił rękę Daga i dziękował mu jeszcze raz. Jednak nie mógł mu spojrzeć w oczy.

Dobro za zło niełatwo przyjmować...

## XXIX

7Voc nad lasami Bjorndal, noc szarzejąca u świtu dnia, a pośród jej ciszy tysiące nasłuchujących zwierząt, przemykających się na pastwiska lub skradających się na upatrzoną zdobycz. Szara noc nad lasami i nad starym dworem...

Na kominku paliły się jasnym płomieniem gałęzie sosnowe, paliły się przez całą noc. Przy stole siedziały dwie osoby i piły. Panna Kruse wciąż donosiła ponczu, przekąsek i piwa. Musiała spełniać swoje obowiązki, jak długo jeszcze ktoś przesiadywał — taka była służba każdej gospodyni w owych czasach. Ale coś takiego jak dziś jeszcze się nigdy przedtem nie zdarzyło. Stary <sup>^<\*</sup>g siedział z kapitanem w noc po wizycie pułkownika,

Kapitan Klingę nie miał szczęścia w życiu.

Nie ipotrafił nigdy odmówić kieliszka i to doprowadziło go do zguby — twierdzili ci, którym się zdawało, że wiedzą. Ale rzadko się zdarza, aby jedno tylko nieszczęście mogło złamać człowieka. Prawdopodobnie więc spotkały go jeszcze inne niepowodzenia.

W młodości podchodził do ludzi z gorącym uczuciem przyjaźni, ale w zamian — podle go oszukano, pozbawiono go podstępnie i pieniędzy, i ukochanej. To przyjaciele, których wspomagał, tak mu się przysłużyli. Toteż stracił wiarę w ludzi i szukał pocieszenia w kieliszku. Tak twierdził major Barre.

Później otrzymał dymisję; tego rodzaju sprawy pozostawiają po sobie trwale ślady. Był zupełnie złamany. Gdy Dag zabrał go ze sobą do Bjórndał, od lat nie miał już kontaktu z życiem i należałoby przypuszczać, że obecnie miał wszelkie powody po temu, aby czuć się zadowolonym, bo przecież znowu był użytecznym i poważanym człowiekiem. Ale ludzie rzadko bywają zadowoleni. Klingę pochodził ze starej oficerskiej rodziny, która już niejednego dobrego żołnierza dostarczyła armii królewskiej. Mając dobrą głowę i taką rodzinę za sobą, na pewno kiedyś żywił lepsze nadzieje. Wątpliwy to zaszczyt dla niego być pisarzem w jakimś zagubionym dworze.

Po dymisji szukał ucieczki w rozmyślaniach, aby przeżyć jakoś te szare dni, które nastąpiły. Stał się filozofem na swój mały sposób — zgorzkniałym, analizującym wszystko myślicielem. Najwięcej zastanawiał się nad biedą, swoją i cudzą. Od momentu zamieszkania w Bjórndał przychodziły mu do głowy różne myśli, kiedy to sporządzał bezwzględne pisma do dłużników i wpisywał ogromne sumy do ksiąg.

Wszystko na świecie przychodzi tak, jak być powinno; niektórzy nazywają to wolą Bożą.

Gdy po zdarzeniach tego dnia Dag odczuł potrzebę porozmawiania z kimś, nie miał innego wyboru — mógł rozmawiać tylko z kapitanem. A może rzeczywiście chciał właśnie rozmawiać z kapitanem? Być może, bystre jego oko spostrzegło, że Klingę nie zawsze szczerze przytakiwał poczynaniom swego dobroczyńcy. Kapitan zdziwił się niemało, gdy Dag poprosił go o pozostanie z nim dzisiejszego wieczoru na dole. A kiedy panna Kruse otrzymała ipolecenie przygotowania dzbanu iponczu, był naprawdę

przestraszony, bo wykraczało to wyraźnie poza zwykły porządek rzeczy. Przypomniawszy sobie, jak skromnie pułkownik z-ajeżdżał do dworu i jaki był później złamany, gdy wyjeżdżał. Musiały się rozegrać jakieś doniosłe sprawy i widocznie Dag chciał, żeby zaprotokółować je w księgach jeszcze tego samego wieczoru.

Godziny upływały na rozmowie o pogodzie i o wietrze i napoczęli już trzeci dzban, gdy wreszcie Dag skierował rozmowę na inne tory. Klingę otworzył szeroko oczy, kiedy Dag zaczął mówić o Bogu i o obowiązkach, które życie nakłada na człowieka, tak jak gdyby chciał otworzyć dyskusję na ten temat.

Klingę odpowiadał wymijająco. Nigdy nie odważyłby się głosić opinii, sprzecznych z poglądami człowieka, którego chleb jadł, a który w tej chwili umiał mu wieczór zimowy hojnie szafowanym trunkiem. Zawsze pojednawczo usposobiony, nie miał zamiaru ryzykować i psuć dobrego nastroju wieczoru przez sprzeciwianie się swemu chlebobawcy.

Ale dzisiaj Dagowi najwyraźniej zależało na tym, by usłyszeć jego prawdziwe zdanie, gdyż zapytał go wprost jakie mogły być zamiary Boga, jeśli kazał im żyć na tym świecie. Kapitanowi przyszło na myśl stare dowodzenie, że najwięksi grzesznicy idą na starość do klasztoru, i sądził początkowo, że właśnie starość i sumienie dokuczają teraz Dagowi. Uprzytomnił sobie jednak, że Dag był przecież jeszcze pełen sił życiowych, zaniechał więc zaraz tej myśli. Dag zawsze był człowiekiem poważnym, życie widział z jego złej i dobrej strony. Obecnej, szczególnej dyspozycji nie można więc było przypisywać starczej obsesji.

Nie czekając na odpowiedź, Dag mówił dalej, że częstokroć się nad tym zastanawiał, ale wiele spraw nasuwało mu tyle wątpliwości i tyle jest rzeczy na świecie dlań niezrozumiałych, że trudno było znaleźć podstawę, na której można by się oprzeć.

Klingę miał w swym życiu dużo czasu do rozmyślań i już tysiącrotnie zastanawiał się nad tym samym problemem. Nie doszedł do żadnego konkretnego wniosku, tak jak większość ludzi, ale posiadał niezwykłą umiejętność uchylania się od tego rodzaju trudności. Dlatego odpowiedział, że może w sprawach dotyczących Boga człowiek bynajmniej nie potrzebuje czuć się taki pewny. Być może, zadaniem człowieka na ziemi jest przebijać się cierpliwie przez wszystkie niezrozumiałe sprawy i nigdy nie

zwątpić. W taki sposób każdy osiąga stopień dojrzałości odpowiadający jego siłom i zdolnościom, a osiągnięta dojrzałość jest rezultatem życia każdego człowieka. Jeden zachodzi daleko, drugi nie, ale istotą rzeczy jest to, czy każdy zrobił w tym względzie wszystko, co było w jego mocy. Człowiek stworzony jest na podobieństwo Boga, ma więc pozostawioną sobie pewną swobodę, aby mógł kształtować siebie wedle własnego wyboru. Może dlatego nie mamy wytkniętej drogi. Tak, Bóg z pewnością urządził świat z jakimś planem i celem.

Tak to stary Klingę siedział i wypowiadał myśli, którymi się jeszcze nigdy z nikim przedtem nie podzielił. A byli dopiero przy ,  
trzecim dzbanie, i

Dag zastanawiał się dłuższy czas nad tym, co usłyszał. Owszem, \ odpowiedziom kapitana nie brakowało pomysłowości. Jednak, ; o ile był to pogląd, którego można było się trzymać w bruku lepszego, jemu samemu nie wystarczał. On potrzebował czegoś bardziej konkretnego, czegoś pewnego i niewzruszonego, tak aoy w końcu mógł dojść do jakiegoś wyraźnego wniosku. Tego wymagał jego zdecydowany charakter.

Wprawdzie — czuł to — nie grzeszył przeciw prawu i przykazaniom, ale dla rozwiązania trudniejszych, niejasnych problemów potrzebował oparcia. Szukał go też po omacku w tej spokojnej wymianie zdań z kapitanem. A noc upływała, godzina za godziną. Jedli niewiele, za to obaj bardzo dużo pili, doglądali do ognia na kominku i zapomnieli o czasie.

Klingę zorientował się, że Dag niebawem wyczerpie swój zasób słów i frazesów, którymi omijał to, co go najbardziej dręczyło; coś, czego ani jeden, ani drugi nie potrafili by sprecyzować, czego jednak nie będzie można pominąć w ciągu tej nocy. odpowiedzialność z tytułu posiadanych bogactw. Mówili obaj z długimi przerwami, okrążając sedno sprawy, gdy tymczasem las, osiedle i dwór wracały stopniowo do życia w odgłosie wolno szumiącego wiatru, który zwiastował nowy dzień. Wtedy Dag odwrócił głowę od kominka, spojrział mocnym wzrokiem na kapitana i powiedział dziwnie cichym głosem:

— Jakie są obowiązki człowieka w sprawach pieniężnych? Czy ma postępować według normy i litery prawa, czy też... według jakiejś innej racji?

Klingę nie miał tych sił. co kiedyś, a poza tym w zimowej porze był mniej wytrzymały. Stąd też mocny trunek, wypijany bez miary w ciągu tej długiej nocy, podziałał na niego tak, że już się z niczym nie liczył. Był zupełnie oszołomiony — a może wydawało mu się, że Dag chciał usłyszeć jego prawdziwe, szczerze ipoglądy? Przez tyle lat jako biedak musiał nosić na ustach poglądy innych ludzi. To przygięło mu kark i zastraszyło oczy. Ale teraz powoli podniósł głowę wysoko, dumnie i omijając wzrok Daga, patrzył w ogień. Dag zapytywał teraz o coś, co kapitan znalazł lepiej niż cokolwiek innego w życiu, o coś, co przemyślał gruntownie i wszechstronnie. Głos jego brzmiał teraz echem owych czasów, kiedy był jeszcze kapitanem wojsk królewskich:

— Wiele biedy i zmartwień na świecie dałoby się załagodzić, gdyby ci, którzy posiadają władzę pieniądza, domieszczyli trochę litości do swoich norm i praw.

Obaj zamilkli. Po dłuższym czasie Dag odezwał się znowu tym samym cichym tonem, co poprzednio;

— Jak dziwnie się to słyszy, gdy ktoś szczerze mówi to, co myśli.

Klingę zmarszczył czoło. Na twarzy malowała się duma i wzniosłość.

— Tym, którzy cierpią biedę, nie tak łatwo mówić szczerze — odparł. Głos był zgorzkniały. — Za pieniądze można kupić wszystko: ludzi, duszę, tak, na^et starego kapitana, ale nie można kupić za nie szczerych i uczciwych słów. Szczerość ucieka przed pieniędzmi.

Z kolei Dag był poruszony. Podniósł głowę i patrzył na kapitana.

— Więc nie podobało się panu tutaj? — zapytał.

— Owszem — odpowiedział kapitan ustępliwie — bardziej beztrudnych dni nie mógłbym sobie życzyć; aie skoro już pan o to Pyta, nie mogę powiedzieć, aby mi się wszystko podobało. Hm, obawiam się, że teraz byłem za szczerzy i rano będę tego żałował.

— Nie będzie pan tego żałował — przerwał mu szybko Dag. — Proszę mi tylko powiedzieć, co się panu nie podoba. Czy uważa Pan, że jestem za... surowy?

M A l\*ay wiecznie Śpiewają

— Hm, pieniądze są czymś realnym. Moje myśli idą innymi drogami i nie nadają się tutaj.

— Sam o tym zadecyduję, czy się nadają, czy nie. Chcę słyszeć pańskie zdanie.

— Więc dobrze. Jeśli pan chce słyszeć prawdę, powiem, że niejednokrotnie postępował pan z ludźmi okrutnie twardo.

— Ale czyż nie jest obowiązkiem człowieka bronić swego mienia ustawą i prawem? Czy uważa pan, że powinienem roztrwożyć swój majątek i oddać go jakimś utracjuszom?

Klingę zastanawiał się. Dag zawsze osadzał drugiego argumentem gołej rzeczywistości, tak że człowiek żyjący w świecie oderwanym niełatwo mógł mu sprostać; Klingę musiał stwierdzić jak tylu innych, że o wiele łatwiej jest powiedzieć, jak być nie powinno, niż jak powinno być. Ale przecież dawniej tyle o tych sprawach rozmyślał, że gdyby tylko mógł teraz sprecyzować wnioski, do których doszedł, to...

Głośno myślał dalej:

— Nie. Gdy daje się coś ludziom bezwartościowym, ippo prostu wyrzuca się pieniądze. Innym zaś pieniądz zbyt łatwo zdobyty może przewrócić 'v głowie. Należy kierować się rozsądkiem: dopomagać tam, gdzie ma się podstawy do przypuszczenia, że pomoc zrobi wiele dobrego. Trzeba być względnym, wyrozumiałym...

Dag oparł głowę o ścianę i początkowo przyglądał się mu z uwagą, ale w miarę jak Klingę wypowiadał swoje myśli, twarz jego twardniała wyrazem chłodu niemal szyderczego.

— Człowiek musiałby mieć rozum samego Boga, aby robić wszystko, jak należy — powiedział, a w głosie jego brzmiała drwiąca nuta.

Twarz kapitana zdradzała, jak bardzo go to zmieszało. Nie, to są zbyt skomplikowane problemy, aby można było tak łatwo sobie z nimi poradzić.

Prawdopodobnie na skutek działania alkoholu Klingę miał odwagę dalej wygłaszać swoje obserwacje. Zastanowił się przez chwilę, aby uporządkować trochę myśli, po czym zaczął je wypowiadać głośno, tak jak mu się nasuwały na język. Widocznie jednak nie miał do nich zaufania, gdyż wypowiadał je niepewnie,



z wahaniami. 242

— O, tak, trzeba by mieć rozum boski... Ale należy jak najpełniej posługiwać się swoim własnym. Kto zaś posiada zdolności i rozum i zna ludzi, tak że może dorobić się bogactw, umiejętnie nimi gospodarować i stale je pomnażać, taki człowiek powinien wykorzystać te same... te same zdolności, aby dysponować nimi na rzecz bliźnich... Pomagać takim, którzy dobrze spożytkują otrzymane wsparcie... Postępować z umiarem i wyrozumiałością wedle najlepszych chęci i możliwości. Czasami zdarza się, że pomoc idzie na marne, ale na to nie ma rady... Należy okazać jak najlepsze chęci... Niech każdy czyni to, co w jego mocy. Tak, jeśli do gromadzenia pieniędzy potrzebne są pewne zdolności, to tych samych zdolności potrzeba, aby je z kolei mądrze róż... rozdzielić... Być surowym w wypadkach, gdzie to wydaje się słuszne, a łagodnym, kiedy się uważa, że tak będzie najlepiej. Okazać dobrą wolę... nie tłumaczyć się trudnościami...

Kapitan wiercił się i gestykulował, zachowywał się jak człowiek, który sobie dobrze podpił. No tak, nie można powiedzieć, aby stary Klingę był zupełnie trzeźwy.

Dag, czujny na każde słowo, słuchał kapitana z dziwnym, prawie bolesnym uśmiechem. Kiedy kapitan skończył, siedział nieporuszony z tym samym wyrazem smutku na twarzy. Myślał o pewnym słowie, które wciąż chodziło mu ipo głowie i którym się kierował w czasie rozmowy z pułkownikiem. Ale zbyt uroczyste i ważne to było słowo, aby je głośno wobec kogoś wypowiadać, nawet w takim niezwykłym momencie. Znalazł zamiast tego inne dogodniejsze słowo i powiedział:

— Mówi pan jak z Biblii, K.inge; chciał pan po prostu powiedzieć, że należy mieć litość dla drugich.

Zanim udali się na spoczynek, kapitan dowiedział się jeszcze, co zaszło między Dagiem a pułkownikiem. Na podstawie tego faktu, jak też odbytej właśnie rozmowy kapitan stworzył sobie zupełnie inne wyobrażenie o Dagu. Tak, wstydził się nawet w tej chwili własnej próżności, boć przecie lubił nieraz zaimponować komuś wyższością swoich poglądów. Tymczasem Dag pośród dóbr doczesnych ciągle myślał i rozważał nad głębszymi Sprawami, dążył do poprawy, choć jeszcze nie umiał sobie jasno precyzować celu. Wcielał swe plany w życie kosztem własnych

u\*

interesów. Chociażby sprawa z pułkownikiem... Przecież wobec niego miał prawo postąpić bez skrępow, były po temu dostateczne powody.

Dag również patrzył teraz z większym szacunkiem na kapitana. Od każdego można się było czegoś nauczyć, w każdym człowieku można odkryć wiele rzeczy, których się w życiu codziennym prawie nie dostrzega.

W izbie sypialnej Dag ułożył się wygodnie na swym szerokim łożu. Wbrew swoim zwyczajom zaciągnął zasłony u łóżka, żeby nie przeszkadzało mu światło bliskiego poranka. Było to bardzo, bardzo dawno temu, kiedy kładł się na spoczynek z uczuciem takiego zadowolenia jak dzisiaj, po tym długim dniu. Rozmowa z pułkownikiem kosztowała go bardzo dużo wysiłku, ale niczego nie żałował. Uczynił krok we właściwym kierunku.

Świtało. Poranny wiatr niósł poszumy lasów ponad starym dworem, na podwórzu ludzie zaczęli się krzątać i przygotowywać do nowego dnia. W izbie sypialnej spoczywał władca tych szumiących lasów i pan tych krzątających się ludzi, zapatrzony w ciemny cień zasłony i starający się powiązać ze sobą w logiczną całość kilka słów, aby otrzymać jasne i proste sformułowanie swojej nowej zasady życiowej. Ale ująć to wszystko, co powiedział kapitan Klingę, jednym zdaniem — nie było takie łatwe, jak mu się zdawało.

Wreszcie znalazł to, czego szukał. Przypomniały mu się pewne słowa kapitana: tym, którzy cierpią biedę, niełatwo mówić prawdę. Zastanawiał się już nad tym dawniej, ale całkiem Jasio zrozumiał wszystko dopiero na żywym przykładzie kapitana. Dla Daga zaś, który nie mógł sobie absolutnie wyobrazić, aby miał się wypowiadać wobec kogoś nieszczerze i z bojaźnią, przykład ten stanowił ilustrację straszliwego ciężaru, jaki bieda nakłada na człowieka. Bieda bowiem pozbawia człowieka swobody nie tylko w życiu doczesnym, ale i w innych jeszcze ważniejszych sprawach. Dag myślał o tych wszystkich zadłużonych, pozbawionych wolności ludziach, z którymi stykał się w interesach i dla których był tak surowy, gdy próbowali się wyklamywać. Odtąd postanowił obchodzić się z nimi łagodniej. Pośród tych myśli uprzyłomnił sobie pierwsze przykazanie swego ojca: „Należy się starać o to, aby być niezależnym” — przestrzegał go ojciec, który

m

dążył do tego celu przez całe życie. Być niezależnym, znaczyło być wolnym nie tylko od samych długów. Teraz wiedział. Stosownie więc do poglądów ojca obowiązkiem męskim było stać się człowiekiem wolnym. Sam popełnił błędy pod tym względem: stał się niewolnikiem pieniądza i trzymał na sobie to jarzmo w ciągu najlepszych swoich lat. Miał możliwość okazywania życzliwości, możliwość uprzyjemniania bytu tym dobrym ludziom, których Bóg wprowadził do jego domu, ale tego wszystkiego zaniedbał. Dlatego to został skazany na samotność; a przecież przykro jest żyć samotnie.

Praca dzienna była już w pełnym biegu, gdy Dag nareszcie zasnął. Ale postawił sobie jako swój obowiązek życiowy: stać się człowiekiem wolnym, o ile możliwości zaś na tyle niezależnym, aby móc okazywać innym dobroć serca i dopomagać im — niech się staną także wolnymi ludźmi, o ile będą tego godni.

Nie dało się ukryć, że Dag trzymał teraz Borgland w swoich rękach. Szeptane cichaczem pogłoski rozchodziły się po sąsiednich parafiach, doszły nawet do miasta. Dotarły też do uszu majora Barrego i jego córki.

Minęła zima i minęła wiosna, a w okolicy poczęły krążyć inne pogłoski: Dag okazywał teraz niezwykłą łagodność wobec ludzi. Nakazywał każdemu, aby zachował milczenie, ale tego właśnie ludzie nie potrafią. Te nowiny, jak też skutki ciężkich czasów, sprowadziły niejednego do Bjórndal, zaś Dag, który dawniej udzielał jedynie krótkich, ostrych odpowiedzi, pozwalał teraz każdemu wypowiadać się ze swoich kłopotów — wiele niezwykłych opowieści o życiu i losach ludzkich słyssały ściany starych izb w Bjórndal.

Dag wszystkiego cierpliwie wysłuchiwał, a każde zwierzenie rozszerzało jego wiedzę o życiu ludzkim. Przystawał na wiele rozsądnych propozycji, niejednen ciężko dotknięty losem odchodził od niego pocieszony.

— Staraj się o to, abyś stał się wolnym człowiekiem — zwykł mawiać — ale nigdy do tego nie doprowadzisz, jeśli będziesz gospodarował tak jak dotychczas. Mógłbym, naturalnie, zapłacić twoje długi, ale ty zaraz zaciągnąłbyś nowe. Pożyczę ci trochę i dopomogę ci znów stanąć na nogach. Ale przyjdę sprawdzić, czy polepszyłeś swoją gospodarkę.

S4S

Dopomagał tym, których złamały bieda i nieszczęścia. Pomagał im podnieść się z nędzy pieniędzmi, dobrym słowem i stanowczymi przykazaniami. Ci jednak, którym się zdawało, że ładnymi słówkami uda im się pokryć lenistwo lub niedołęstwo i wyłudzić pieniądze na dalsze nieróbstwo, człapali z powrotem z nosem i z zwieszonym na kwintę. Dag szybko się orientował, z jakiego pokroju ludźmi miał do czynienia, stąd też zaczęto opowiadać, że potrafił przejrzeć na wskroś każdego człowieka.

Teraz zatem wiatry z lasów na północy nie przynosiły ze sobą tylko zimnego strachu, ani też czarne konie nie napawały trwogą każdego, kogo napotykały. Coraz więcej ludzi wymieniało nazwisko Daga ze szczerą wdzięcznością, niejedni zaś z prawdziwym szacunkiem. Wprawdzie w zakątkach otwartej równiny trzymały się jeszcze gniazda dawnych plotek o ludziach lasu, bo zastarzała złość nieprędko umiera, ale nikt nie ośmieliłby się wymieniać nazwiska Daga z pogardą lub nienawiścią. W oczach wszystkich był teraz wielkim człowiekiem.

Nie samo miłosierdzie wynosiło go w ich oczach. Świat nie dopatruje się wielkości w takich rzeczach. Raczej to, że postępował inaczej niż różni bogacze, i to metodą, którą sam sobie obrał, czyniło go kimś tajemniczym. Bo w oczach ludzi wielkie jest wszystko, czego nie pojmują. Nieliczni, którzy rozumieli wspaniałomyślność Daga, uważali to za dowód starości, za oznakę słabnięcia starego pnia rodu. Tak świat sądzi ludzi. Kiedy był młody, poczuli na sobie jego twardą pięść, ipóźniej zaś, gdy zajął się sprawami pieniężnymi, nie miał dla nikogo litości. Ludzie potrafią takie rzeczy zrozumieć i niewątpliwie to właśnie zapewniło mu dotychczasowy respekt, który jego obecna wspaniałomyślność podniosła do rangi wielkości.

Dag niewiele sobie robił z tego, co świat o nim sądził. Wystarczało mu jego własne zdanie. Był teraz na drodze ku nowemu celowi; z twardej drogi pieniądza przechodził do najcięższego w świecie zadania: troski o ludzi.

Tak, czasy się zmieniły. Gdy stary Dag pędził teraz dawnym zwyczajem wzdłuż szosy, wielu kłaniało mu się z szacunkiem; w końcu kłaniali mu się wszyscy, przystawali i długo patrzyli za nim.

XXX

7 V a gruntach bjorn-dalskich zazieleniło się; ptaki lata fruwały nad łąkami. Ale w murach starego dworu leżał ktoś, kogo otaczały już jesienne cienie. Był to stary kapitan Klingę. Sprowadzono doktora z miasta, robiono próby z proszkami i kroplami, lecz lekarz odjeżdżając powiedział do starego Daga: — Niezadługo będziecie mieli tutaj stypę.

W mieście można było zobaczyć niejaką Adelajdę Barre. Chodziła tymi samymi ulicami i do tych samych miejsc, co inni. Były jasne i gorące dni słonecznego lata. Kłaniała się z uśmiechem znajomym — jak zwykle. Może nawet uśmiechała się więcej niż dawniej, bo tego wymagała od niej duma i poczucie własnej godności.

Pewien stary aptekarz przychodził do niej do domu, domu majora. Bywał teraz częściej — tylko dla niej. Był podstarzały, uśmiechał się zaślinionymi wargami.

Adelajda spędziła święta Bożego Narodzenia w pewnym majątku zwanym Bjórndal. Los kazał jej tam się udać, aby z niej zadrwić. Nie otrzymała nawet słowa pożegnania od tego, którego kochała. Spełniło się teraz i jej przeznaczenie, tak jak matki i innych kobiet ich rodu. Spotkała na swej drodze tego, kogo pożądało jej serce — i wszystko było skończone.

Aptekarz, który ją odwiedzał, miał pieniądze, ona zaś była tylko ubogą dziewczyną. Więc nie kazała mu odejść. Dla dobra ojca i dla zabezpieczenia swojej własnej starości zgodziła się na to, by przychodził. A on, owszem, asystował... Jak wolno upływały teraz dni! Miał już swą zdobycz w sieci, toteż nie spieszyło mu się. Lubił swe starokawalerskie życie i chciał je jak najbardziej przedłużyć.

Serce jej długo ścisnął ból, aż potem stopniowo się uspokoiła. Zaczęła uśmiechać się do ludzi sztucznym, zrobionym uśmiechem, a świat śmiał się za jej plecami.

Ojciec jej był już stary i biedny, ale zawsze wesół w gronie swoich przyjaciół. Bywał w najwytworniejszych domach i chę-

S47.

nie opowiadał o swoich przygodach. Stąd też wiadano, gdzie Spędził wraz z córką święta; dowiedziano się nawet więcej, niż się faktycznie zdarzyło, gdyż major niekiedy co nieco dodawał do swoich opowiadań. Słowa jego wędrowały od domu do domu wyolbrzymiane i zmieniane. Kobiety opowiadały sobie o młodym człowieku, każda z ukrytymi,

chytrymi myślami. Więc to dlatego panna Adelajda była taka roztargniona na przyięciach w czasie ostatniej zimy i dawała takie dziwne odpowiedzi na zadawane jej pytania. Zachciało jej się daleko sięgać, tej niemądrej pannie Adelajdzie, ale sięgnęła zbyt wysoko. W takich starych, bogatych dworach na wsi nie żeniono się przecież z biednymi pannami z miasta. Używano sobie na jej temat w każdym domu po kolei — bo tacy są ludzie, a wyjątków jest mało.

Adelajda wyszła z domu, aby jak co dzień kupić coś taniego na obiad. Lato zawitało do miasta, młode, tętniące radością pośród rozkwitłych ogrodów i drzew i pośród śpiewu ptaków bujających w obłokach. Wspominała czasy, gdy lato przynosiło jej radość i szczęśliwe chwile. Tak, wspominała z cichym smutkiem swoje młode i promienne lata.

Wracała do domu po brukowanej, kamiennej ulicy. Gdzieniedzie pomiędzy kamieniami zieleniły się trawa i mech, ogród sąsiadów był pełen kwiatów. Oczy jej widziały to wszystko, lecz umysł niczego nie przyjmował. Za nią stąpał stary, krzywonogi urzędnik z przewieszoną przez ramię torbą. W ręku trzymał list;

był na służbie poczty królewskiej. Doszedłszy do bramy, Adelajda obróciła nieco głowę, aby zobaczyć, kto stąpa za nią tak ciężko na podkutych obcasach.

List dla ojca.

Długo stała w pokoju przy oknie, trzymając w ręku list. Wyjrzała na zewnątrz spoza firanek i dopiero teraz zauważyła, jak pogodny jest błękit nieba i jak dużo kwiatów rośnie w ogrodzie sąsiada. List — bo to nie był jeden z tych zwyczajnych listów z nadrukowaną wojskową pieczęcią. Przypomniała sobie pewien list, który nadszedł przed Bożym Narodzeniem. Od tego czasu przeżyła cały wiek radości i smutku, sześć długich, nieskończenie długich miesięcy. Tamten list adresowany był wyrobionym pismem kapitana Kiingego, zaś na kopercie tego listu litery były

nieomal drukowane z wieloma wymyślnymi zakrętami. Pochodził z pewnością od kogoś, kto rzadko pisywał i kogo nie znała. Dlaczego jednak przypomniał jej się list kapitana?

Wyjrzała znowu spoza firanki. Uświadomiła sobie, że słońce świeci tak pięknie na dom i ogród sąsiada. Ale ojciec wróci niebawem, a miała jeszcze tyle do zrobienia.

Zanim major wrócił do domu, jeszcze wiele razy brała list do ręki i obracała go na wszystkie strony. Dlaczego jednak nakryła najpierw do stołu, nie mówiąc mu nic o liście? Czy w sercu jej tliło się coś jeszcze, czy obawiała się, aby nie wygasła ta ostatnia iskierka? Przecież w końcu tak czy owak musi mu powiedzieć. Podała ojcu list.

Obracał go, macał, oglądał, potem chrząknął — przypomniał sobie zapewne o kilku długach, o które ktoś się może dopominał. Nie spieszyło mu się do takiej nowiny. Adelajda dziobała widelcem po talerzu, nie jedząc jednak ani kąska. Nareszcie major rozciął list nożem. Był dalekowidzem i aby go przeczytać, musiał trzymać papier daleko przed sobą. Twarz jego spoważniała; chrząknął i otworzył szeroko oczy.

— Musimy jechać — powiedział — stary Klingę jest umierający.

Adelajda pochyliła twarz nad talerzem. Pochylała się coraz bardziej. Czy to nie łzy spływały jej po twarzy?

— Konie będą nas oczekiwały w tym samym miejscu, co i wtedy — słyszała głos ojca jak gdyby z oddali. Trzymała się kurczowo stołu, aż skóra zbieleła jej na palcach. Serce jej zastygło na lód i mroziło żyły. Musiała zacisnąć zęby, aby nie szczękały. Było jej zimno aż do szpiku kości. Jeszcze jeden ostatni raz zobaczy te ukochane okolice; potem kapitan umrze i wszystkie drogi zostaną zamknięte.

Przyjechali do Bjorndal przy zapadającym zmroku. Słońce schowało się już za lasami. Nad wszystkim unosiła się cisza letniego wieczoru i zapachy kwiatów.

Przybycie majora było zbyt wielkim przeżyciem dla skąpych sił kapitana; zmarł zaraz pierwszego wieczoru. Na dwór legły cienie śmierci, wszyscy chodzili cicho i w milczeniu. Młody Dag



był jeszcze w domu owego wieczoru, ale potem znikł i zjawił się dopiero na pogrzebie kapitana.

Przyjechało kilku dalekich krewnych kapitana. W wielkiej sali odbyła się ceremonialna stypa. Pośród siedzących przy ogromnym stole były wielkie luki. Pastor był też obecny. Ojciec Dag, major i pastor poświęcili kilka dobrych słów pamięci kapitana. Głos starego Daga był ochryply, major potykał się co chwila, nie mogąc przemóc wzruszenia.

Zaprzęgnięto wszystkie powozy, jakie znajdowały się w Björn-dal, aby zawieźć gości do kościoła. Poza tym przybyły jeszcze powozy z Hamarrbó i z osiedla. Długi był pochód tych, którzy odprowadzali starego kapitana, by oddać mu ostatnie honory. Następnego dnia major Barre oświadczył, że będą musieli wyjechać razem z krewnymi kapitana.

— Gdyby pan zechciał wyświadczyć tę grzeczność i zostać, aby towarzyszyć mi i przez pierwsze dni samotności, nie zapomniałbym wam tego, majorze — zaręczał stary Dag.

Major nie mógłby życzyć, sobie niczego lepszego od takiej propozycji. Dzięki temu bowiem spędziłby z Adelajdą parę dni na wsi również i tego lata, przy czym zaoszczędziliby kilka trudnych do zdobycia talarów, które przecież musieliby wydać na utrzymanie. Dla przyzwoitości wszakże zastanawiał się chwilę, po czym podziękował Dagowi i powiedział, że postara się to jakoś urządzić. Napisał do miasta, prosząc jednego ze swoich kolegów, aby go czasowo zastąpił w załatwianiu drobnych bieżących spraw.

Następnie przeciągnął się całą siłą swych potężnych ramion, aż kości zatrzeszczały w stawach, i — ciesz się, stary, póki okazja! Chodził ze starym Dagiem na spacer po drogach, pastwiskach i polach. Wędrowali na dalej położone łąki, a nawet do lasu. Mieli wiele do obejrzenia i nie brakło im tematów do rozmowy, czy to chodziło o ludzi, czy o zwierzęta i ich wzajemne bytowanie. Na stole było codziennie dobre jedzenie, nigdy też nie zbrakło piwa z chłodnej piwnicy. Zaś w sobotnie wieczory mógł sobie zawsze podpić, co prawda nie za wiele, ale wystarczająco, by zyskać na humorze. Piękniejszych wywczasów major nie mógłby sobie wyobrazić.

Natomiast z córką było trochę inaczej. Chodziła po prostu jak

we śnie. Głowę nosiła wprawdzie wysoko i dumnie jak zwykle i uśmiechała się do każdego swym konwencjonalnym, acz pięknym uśmiechem, ale była cicha i blada. Gdy młody Dag przychodził czasami z lasu i jadł z nimi wieczerzę, drżała jak z zimna, ilekroć na nią spojrział.

Znalazła sobie kilka miejsc, do których mogła chodzić. Wydawały jej się najbardziej uroczymi zakątkami na świecie: ogród róż, ciągnący się wzdłuż błękitniejących pól lnu, i łąki graniczące z lasem. Był tam taki zakątek, który wyglądał jak letnia świątynia. Liście brzoźowych drzew przesłaniały niby welon białe, jedwabiste pnie, na ziemi zaś trawa i różnorodne kwiaty. Przesiadywała tutaj całymi godzinami i zadumany wzrokiem patrzyła daleko poza osiedle, marząc o największym szczęściu, jakiego mogłaby dostąpić na ziemi: o pożyciu u boku ukochanego, w beztróskim dostatku po długich latach biedy i wyrzeczeń, jako pani wielkich włości, otoczonych nimbem potęgi, o której mówiono wszędzie, gdziekolwiek by się udała, daleko i blisko, nawet w wiekich domach w mieście.

„Chłop!” — usiłowałiby szemrać, gdyby zobaczyli młodego Daga; ale gdyby się wyprostował wielki i wyniosły i spojrział na nich z góry swym przenikliwym, władcym wzrokiem — wszelkie zawistne szemrania ustałyby natychmiast. Zobaczyliby wtedy, że nie sprzedała się za pieniądze, że mogła być zakochana, nie, że musiała go sobie wziąć z miłości, ponieważ żadna kobieta nie potrafiłaby się oprzeć jego oczom. Marzyła o tym, jaka dobra i życzliwa byłaby dla każdego, jak nigdy nie próbowałaby nad kimś tryumfować lub komenderować.

Taka bowiem była Adelajda mimo swego jasnego umysłu. Tęskniła za tym, co uczyniłoby zadość jej dumie, wmawiając sobie równocześnie, że wciąż jest tylko skromna i potulna. Ale gdy tylko opuszczała miejsce swoich marzeń, wszystkie wizje ulatywały w nicość. W tym długim jak wieczność czasie, który minął od Bożego Narodzenia, poddała się swemu losowi. Wiedziała, że Bóg skierował ją do Bjórndał, aby pokazać tę krainę, która odpowiadała jej dumnym marzeniom, po to tylko, żeby ją potem tym bardziej upokorzyć. Jako żona aptekarza, kupiona za pieniądze i zapłacona, poniży się w oczach wszystkich. Za własną swą pychę, za pychę swojej matki i wszystkich innych kobiet

swojej rodziny — stała teraz przed sądem Bożym.

Tak kształtował się jej los w ciągu lata; przyjmowała to jako pokutę swoją i za swoich krewnych. Mogła żyć już tylko wspomnieniami, dni życia miną i prędzej czy później skończy się wszystko.

Młody Dag i prawie bezustannie przebywał w lesie, rzadko zjawiał się we dworze. Od czasu Bożego Narodzenia nosił w sercu obraz Adelajdy, gdziekolwiek by się znajdował. Pełne dzikiej swobody życie w lesie nie przynosiło mu upragnionego spokoju. Jak długo trwał wysiłek i podniecenie polowaniem, zapominał o wszystkim, gdy jednak zmęczony i wyczerpany chował się wieczorem do jakiejś chaty lub skalnej pieczary i rozpałał ogień, wtedy obraz jej ukazywał mu się w płomieniach. Widział ją kroczącą dumnie pod skrzyżowanymi szpadami i uśmiechającą się swym najcudniejszym uśmiechem. Gdy zasypiał na pościeli z gałęzi sosnowych, zjawiała mu się we śnie wysoka i piękna, z uśmiechniętymi, delikatnymi ustami. Z dumnie podniesionej głowy patrzyły nań mądre oczy.

Nie ożeni się nigdy, bo żadna kobieta jej nie dorówna — a ona nie była dla nikogo na świecie.

Raz po raz pchany impulsem tęsknoty musiał wracać do dworu, aby ją zobaczyć i przekonać się, czy naprawdę była taka piękna, i za każdym razem było mu jeszcze ciężiej na sercu. Adelajda coraz dumniej unosiła głowę, aby nie pokazać światu smutku swojego serca.

Młody Dag należał do tych, którzy najłatwiej dali się oszukać.

XXXI

J\l inęło lato, nastala jesień.

Pewnego dnia major Barre powiedział przy stole, że muszą teraz podziękować za wspaniałą gościnność, jakiej zażywali przez całe lato, i że muszą wyjeżdżać następnego dnia. Była wtedy

roda. Ale stary Dag był zdania, że mogą zostać jeszcze przez niedzielę i wyjechać w poniedziałek. Major nie sprzeciwiał się. Słowa ojca wyrażające zapowiedź wyjazdu brzmiały dla Adelajdy jak dzwon głoszący żałobę nad ostatnim latem jej życia. pomyślała o dalekiej podróży do miasta, przypomniała sobie obleśny uśmiech aptekarza. Tej nocy nie mogła zmrużyć oka. Wszystko, co w niej było młode i silne, staczało ostatnią, rozpaczliwą walkę.

Nazajutrz wczesnym rankiem zeszła na dół. Chciała wykorzystać do ostateczności każdą pozostałą jeszcze godzinę. Nie mogła spać. Otwierała ostrożnie drzwi wejściowe, kiedy w pierwszej izbie rozległy się kroki i ojciec Dag wyszedł do sieni.

— Tak wcześnie na nogach, panno Barre? — odezwał się. — Czy wybiera się pani na przechadzkę?

— Tak. Chciałabym jak najbardziej wykorzystać te dni, które pozostały mi do wyjazdu.

Czy w głosie jej zabrzmiała nuta, która staremu Dagowi wydała się obca? Spojrzał przenikliwie, niemal chytrze. W młodości miał słuch tak doskonale wyczulony, że wykrywał zwierzęta w lesie na długo przedtem, zanim je mógł zobaczyć. Potem wsłuchiwał się w głosy ludzkie, wczuwał się w ich brzmienie i akcenty, ale wtedy czynił to tylko dla pieniędzy. Od pół roku posługiwał się swym starym łowieckim talentem, aby czytać charakter ludzi — robił to dla siebie. Nic, co mogło uchwycić oko lub ucho, nie uszło jego uwagi. Teraz w głosie Adelajdy uderzyło go ledwo wyczuwalne drżenie. Chytry wyraz jego oczu znikł jednak momentalnie — nikt by się nie domyślił, że śledzi bacznie i cokolwiek zauważa.

— Może pójdziemy razem, jeżeli taki stary człowiek pani nie przeszkadza — zaproponował.

Wyszli zaraz na spokojne, pełne porannego słońca podwórze, a potem dalej ku łąkom pod lasem.

Stary Dag mówił o pogodzie i o minionym lecie, o kwiatkach i drzewach, i o ptakach, które już odleciały. W oczach Adelajdy nikt nie był tak wielki jak ojciec Dag. W czasie tego długiego lata poznała go nieco bliżej. Zdawała się go otaczać jakaś niezawodna moc i siła, może trochę surowa, ale pełna dobroci. Gdyby to ona miała takiego ojca! Takiego, który by wszystko widział

i wszystko rozumiał, nie był wiecznie zaabsorbowany swoim własnym ja. Nie podnosiła tak wyniośle czoła, gdy stary Dag był w pobliżu, a teraz słuchała z pochyloną głową jego słów.

Doszli do miejsca, gdzie srebrne brzozy powiewały welonem swoich liści, teraz ozłoconych jesienią. Opowiedziała mu, że siedziała tutaj wiele, wiele razy, słuchając szumu wiatru w liściach i wpatrując się w dal poza dolinę.

Znowu to leciutkie, ledwo wyczuwalne drganie jej głosu; ale i teraz Dag je podchwycił. Przypomniawszy sobie, jak to kiedyś w młodości wypatrywał ptaki. Gdy tylko który się poruszył, ucho jego chwytało zaraz szelest piór, a wzrok błyskawicznie dążył w kierunku szmeru. Tak samo teraz rzucił błyskawiczne spojrzenie na twarz Adelajdy. Być może, że dostrzegł też coś w jej oczach i rysach twarzy, czego dosłuchiwał się w głosie.

Zatrzymali się pod brzożami.

— Czy chodziła pani też dalej w tę stronę? — zapytał Dag.

Nie, tam dalej jeszcze nie była.

Poszli więc teraz w dół rzeki, przeszli przez most i wdrapali się na pagórek, skąd zaczynał się już las. Nie rozmawiali, gdyż droga była stroma. Spod nóg ich toczyły się na dół kamienie. Plaki śpiewały swe poranne trele, rzeka szumiała pod nimi, las kołysał się i szeptał. Jeszcze nigdy Adelajda nie odczuwała tego, co w tej chwili, gdy po raz pierwszy w życiu stanęła twarzą w twarz z tajemniczym, wielkim lasem. Miała wrażenie, że idzie ku nowemu, cudownemu światu. Stary Dag szedł szlakiem prowadzącym pod górę na Storkollen. Spoczęli dopiero na samym szczycie, skąd mieli otwarty widok na południe. Siedli na płaskim stopniu skały. Adelajda patrzyła przed siebie jak urzeczona. Nigdy nie była wyniesiona tak wysoko ponad światem. Mogli widzieć stąd całą nizinę położoną daleko w dole, tak, nawet tę wioskę na wschodzie, gdzie rzeka robi łuk, i pokryte granatowym lasem zręby gór, prześwietlone słońcem poranku. Ale co już zupełnie przekraczało jej wyobrażenie, to lasy na wschód i na północ — lasy Doliny Niedźwiedzi ciągnące się od zrębu do zrębu w daleką i siną nieskończoność.

Dag siedział dość długo, aby odetchnąć i aby równocześnie dać Adelajdzie czas na rozejrzenie się po okolicy. Czy czekał na to, by powiedziała jakieś słowo i ujawniła coś ze swoich myśli?

?5<

JJie, on nie przywiązywał wagi do słów. Przypatrywał się jej, gdy oczy jej zatrzymały się na pierwszym widoku tych wysokości. Żadne słowo nie mogłoby wyrazić tego, co mówiły jej wielkie, niemal przerażone oczy. Po chwili Dag zwrócił jej uwagę na lasy do strony zachodniej.

— To tam zwykle udaje się Dag — powiedział, rzucając jej równocześnie szybkie spojrzenie.

— Aha, więc on tam chodzi?

Stary Dag skinął głową prawie niedostrzegalnie, ^ potem 'zaś obrócił się i spoglądał w zamyśleniu na lasy. Adelajda całą siłą woli starała się opanować swoje uczucia. Należała do tych osób, które za nic w świecie nie okażą nikomu tego, co czują. Ale tego ranka zdarzyło się już niejednokrotnie, że w głosie jej brzmiała jakaś dziwna nuta, której zwykli ludzie nigdy by nie dosłyszeli, a której przecież nie potrafiła ukryć przed starym Dagiem. Zresztą skąd mogła wiedzieć, że Dag miał tak wyjątkowy słuch, że słyszał więcej i lepiej niż inni ludzie.

Podnieśli się i udali w drogę powrotną w dół po stromym zbo-fzu góry.

— Po takim rannym spacerze ma się dobry apetyt na śniadanie — zauważył stary Dag.

To było wszystko, co sobie powiedzieli w drodze do domu.

Dzień upływał za dniem, aż nadeszła niedziela, ostatni dzień lata dla Adelajdy. Jutro mieli wyjechać. Z oczami błyszczącymi od łez przygotowywała wszystko do wyjazdu. Po raz ostatni miała się pożegnać z pokojem, w którym sypiała.

Zapadał już wieczór; Adelajda stała na swoim balkonie i patrzyła w dół na osiedle — na czerwone, jesienne barwy pól i drzew. Jesień objęła świat, i jesień była w jej sercu.

Cofnęła się do pokoju i usiadła na głębokim krześle, stojącym pomiędzy łóżem a otwartymi na balkon drzwiami. Powiew wiatru ze dworu mieszał się z zapachem unoszącym się w pokoju, obrazy, które pamięć zachowała z ostatnich spacerów splatały się ze wspomnieniami miłych chwil, spędzonych w tym domu. Tego było za wiele. Wybuchnęła płaczem tak gorącym, że zdawało się, serce pęknie jej z żalu.

Zapukano do drzwi. Panna Kruse prosiła na wieczerzę. Ade-

lajda wyjąkała ciche „dziękuję” spoza firanki łóżka, za którą się ukryła. Usiłowała zmyć ślady łez z twarzy i przybrać swą zwykłą postawę. Po raz ostatni szła w tym ukochanym dworze na wieczerzę smukła i dumna aż do ostatniej bolesnej godziny. Zdziwiła się, ujrzawszy stół w sieni nie nakryty; ale drzwi do starej komnaty stały otworem. Dziś tam przygotowano wieczerzę. Od czasu gdy byli w Bjórndal, nigdy jeszcze tutaj nie jedli, i zastanawiała się nad tym, co też to miało oznaczać. Ojciec i stary Dag rozmawiali, stojąc przed kominkiem. Dnie były jeszcze takie ciepłe, że nie zapalono ognia. Zęby przyozdobić kominek, zatknięto tu i ówdzie jesienne liście. W starej komnacie panował jak zwykle półmrok. Lecz na stole paliły się świece.

Nawet wielka sala nie mogła się porównać ze starą komnatą, gdy przyozdobiono ją odświętnie. Wielu z tych, którzy już nie zaliczali się do żyjących, siadywało tutaj na ławkach dookoła długiego stołu; wielu, o których pamięć już wygasła.

Gdy Adelajda spojrzała na stół, coś się w niej załamało. Stół nie był nakryty jak do codziennego posiłku. Nie, bowiem wyłożono najcześnie srebro i najcześnie płótno. Każda świeca tkwiła w srebrnym lichtarzu, w butelkach złościło się wino. Prawdopodobnie miała to być ostatnia uczta ku czci kapitana, a zarazem dla jej ojca i dla niej, ponieważ jutro wyjeżdżali już stąd na zawsze.

Od stolika pod oknem, na tle ciemnej ściany, podniósł się teraz jakiś cień. Opanowało ją uczucie słabości. Był to młody Dag. Powrócił więc dzisiaj z lasu do domu, aby powiedzieć „dobranoc”, tak jak to byto na Boże Narodzenie. Tym razem będzie to już ostatnie „dobranoc”.

Czekano na nią. Natychmiast zasiedli do stołu. Ojciec Dag siedział na przyniesionym z sieni wielkim krześle, po jednej stronie długiego stołu, plecami do południowego okna. Naprzeciwko niego zajął miejsce major, na jednym końcu stołu Adelajda, na drugim Dag. Adelajda miała za sobą drzwi do sieni. Siedzieli uroczyście, oddaleni od siebie, ale widocznie zrobiono to z rozmysłem.

Stało się tak, jak Adelajda przypuszczała. Gdy już pokoszto-wano wina, rozległ się głos starego Daga. Wspomniał kapitana i wszystkie te chwile, które spędzili razem. Podziękował majo-

rowi i pannie Barre za to, że umilili mu samotność w okresie minionych dni. Gdy przepijano do siebie, Adelajda także uniosła swój kielich i spróbowała; miała wrażenie, że pije krew z własnego serca.

Major pił często i dużo. Wiedział, że to było dozwolone, gdy świętowano w tym domu. Wbrew przyzwyczajeniu stary Dag wypijał swój kieliszek duszkiem, ale pomimo to oczy jego były ciężkie i poważne. Dlaczego tym razem ucztowano właśnie tutaj? Czy stary Dag myślał o tych niezapomnianych chwilach, które przeżył w tej komnacie? O kapitanie, który tak nagle umarł, w momencie, kiedy już tak dużo dla siebie znaczyli? Zbliżała ich owa długa noc, a zanim Klingę zachorował, spędzili jeszcze niejedną wieczór razem. W ostatnich czasach, gdy kapitan leżał chory, Dag wiernie siedział przy jego łożu. Siedział przez wiele dni i wiele nocy. Zwierzali się sobie ze swoich myśli na temat życia i śmierci. O tym rozmyślał teraz stary Dag. O tym i o tych, którzy już odeszli. Obecnie myśli jego szły nieco innym torem niż dawniej. Nie uważał już śmierci swych najbliższych za karę, wymierzaną mu przez wyższe moce. Ale wiernie zachowywał w pamięci wszystkie myśli, które nachodziły go zawsze, ilekroć śmierć zabierała kogoś z jego najbliższych. Nikt z jego ukochanych nie żył nadaremnie ani nie umarł nadaremnie. Wiedział, że każdy z jego otoczenia, czy za życia, czy przez swą śmierć, dorzucił coś do tego, co złożyło się na jego obecną dojrzałość. Czuł, że oni wszyscy żyją w nim. Towarzyszili mu w przedsięwziętym przez niego dziele:

w postanowieniu poświęcenia większej uwagi ludziom niż gromadzeniu bogactw. Dobrzy ludzie nigdy nie żyją nadaremnie — rozmyślał. Nawet Dorota, choć tak bojaźliwa i niepozorna, dawała mu przykład słowem i czynem. A stary Klingę, który snuł się tutaj jak cień? Rozpamiętywanie jego samotnego, ciężko przez los doświadczonego żywota, rodziło teraz myśli, które miały przydać się innym. Stary Dag uważał za swój obowiązek dbać o to, aby życie i śmierć innych nie zostały zapomniane.

Siedział przy tym odświętnym stole, ale był tak pogrążony w swych myślach, że wielokroć zapominał zupełnie o swym otoczeniu. Tego wieczoru wspomnienia odżywały z dziwną siłą. \* osiadał wielką władzę nad ludźmi we dworze i na folwarkach,

W A lasy wiecznie śpiewaj



w osiedlu i lasach, i dalej na południu położonych dolinach. Jak król i pan życia wielu ludzi. A jednak teraz, gdy widział, jak pozostałych troje pochylało się nad stołem, unosił głowę i rozglądał się tym samym osamotnionym wzrokiem co kiedyś za czasów Doroty. Kto raz stał się samotny, będzie nim do końca życia.

Pozostała trójka siedziała prawie cały czas z głowami pochylonymi nad stołem. Adelajda i Dag tego ostatniego ciężkiego dla siebie wieczoru nie chcieli zdradzać tego, co odczuwali. Oboje byli nieśmiali a dumni. Udawali, że jedzą i patrzyli na swoje talerze. Major zajęty był tym, żeby przy tej ostatniej biesiadzie jak najwięcej zjeść wypić. Taka okazja zapewne już się w jego życiu nie nadarzy. Podawano wiele dań. Zupę i rybę, ptactwo i solone mięso, pieczeń cielęcą, z łosia i wieprzową; jarzyny i owoce — plony tej jesieni. Popijali winem i wódką oraz mocnym piwem.

Stół ten w niczym nie przypominał, że były to ciężkie czasy. Stary Bjórndal czujnie słuchał i patrzył na wszystko, co się działo w świecie. W porę też zorientował się, że idą złe czasy. Otrzymał niejedną wskazówkę z miasta, bowiem liczonego się z nim jako z wpływowym człowiekiem. Wóz za wozem, naładowany zbożem i innym rodzajem zapasów, przybywał do dworu. Poza tym miejscowi ludzie znali jeszcze z dawnych czasów sposób wyrabiania chleba z kory drzew. Zaś na stokach wzgórz było pod dostatkiem młodych osik, mchu, wszelkiego rodzaju liści, trawy bagiennej i sitowia na pokarm dla inwentarza żywego; należało tylko zbierać we właściwej porze.

Dag myślał o wszystkim, wydając dyspozycje na folwarku i w osiedlu. Zresztą przymrozki jesienne nie były tak dotkliwe w tej osłoniętej dolinie, otoczonej zewsząd lasami i przykrytej ponadto rozszanym tu i ówdzie gąszczem krzaków i zarośli, gdy tymczasem na otwartej równinie mroźny wiatr dął niczym nie powstrzymywany. Stary Dag i podlegli mu ludzie wynieśli dużo praktycznych umiejętności z ciężkich czasów, jakie dawniej przeżywali, przy czym Dag zapamiętał sobie wszystko, co przekazała mu tradycja. Długoletnie doświadczenie przydało mu się teraz. Bieda musiałaby długo trwać, aby dotrzeć tam, gdzie władzę sprawował Dag.

Czy właśnie tymi sprawami był zajęty, gdy jego zamyślony

wzrok zatrzymał się na jedzeniu wystawionym na stole i na siedzących przy nim osobach? Nie. Myślał był znowu z tymi, którzy od niego odeszli. Myślał też z upragnieniem o tym, jak zrealizować ich życzenia. Dla tak prostego człowieka jak on istniała tylko jedna możliwość — zachować w działaniu silną wolę. Jego życiem był czyn, od myśli zawsze przechodził do czynu. Wprawdzie wiele już dobrego wyświadczył w ostatnich czasach ludziom z okolicy i ludziom w osiedlu i w lasach, drobnostki, o których nikt nawet nie potrzebował wiedzieć. Ale czy nie mógłby zrobić czegoś dla innych, dla swoich najbliższych?

Był tu jego syn. Miał po nim odziedziczyć pieniądze i wszystko inne. Syn był zabezpieczony. Wzrok Daga zatrzymał się na Adelajdzie i majorze, a potem raz i drugi przeszedł z Adelajdy na syna i z powrotem. Oboje niby zajęci byli jedzeniem, ale właściwie nie jedli nic. W czasie owego rannego spaceru odkrył, że Adelajda nosiła w sercu ból. A jego chłopak nie zaznał przecież od czasu świąt ani chwili spokoju.

Oboje mieli tajemnice! Każdemu z nich zdawało się, że nikt o tym nic nie wie, ale on, stary, siedział i liczył ich sekrety jak cyfry na papierze.

Stary Dag nalał sobie duży kieliszek wódki i przepił do majora. Wychylił do dna i głośno postawił na stole. Głowa jego pracowała usilnie. Z niejedną sprawą uporał się w życiu, ale nigdy nie odważył się jeszcze dotykać spraw sercowych. W oczach zamigotał mu błysk uśmiechu. Nie nadawał się chyba do oświadczyń w imieniu innych, skoro przecież sam nie oświadczył się, gdy przypadło mu to uczynić w swoim własnym imieniu.

Ukradkiem spojrzał na syna. Pochylona twarz młodego Daga wydawała się twarda i nieprzystępna. Potrzeba było dużej odwagi, aby wtrącić się do jego tajemnic. Panna Barre ze swą stanowczą miną również nie robiła zachęcającego wrażenia. Stary Dag znów napełnił po brzegi kieliszek i wychylił go duszkiem. Oświadczyń to coś pośredniego pomiędzy zapytaniem i prośbą. Nie umiał ani zapytywać, ani prosić. Przemawiał zwykle tylko w jeden sposób: to i to ma być tak! O nie, oświadczyń to nie jego sprawa. Na nowo nalał sobie kieliszek, ale nie ruszył go.

Długo się namyślał. Powoli pochylił się do przodu i spojrzał 2 góry na dół. Srebrne włosy wiły się na skroniach, nos wysta-

n«

wał duży, spiczasty. Oczy były ukryte pod brwiami. Kiwnął dwa razy głową, jak gdyby sobie przytakiwał. Następnie uniósł czoło, podnosił je coraz wyżej; twarz przybrała ów charakterystyczny wyraz, pojawiający się u niego w szczególnie ważnych chwilach. Skóra na wystających kościach naciągnęła się; wyglądał jak ktoś, kto iprze naprzód przeciw atakom gwałtownej burzy. Wyprostował się, potężny i olbrzymi jak łoś, a kiedy pochylił się nad świecami, na ścianie za nim i na suficie wyrósł ogromnych rozmiarów cień.

Chrząknął i spojrział ku majorowi.

— Co pan na to powie, majorze? Ci młodzi są w sobie zakochani, ale nawet jednym słowem nie zdradzili się z tym przed nami.

Trzy pary oczu wlepiły się w starego Daga. Wszystkie jednocześnie i wszystkie osłupiały. Pierwsza opanowała się Ade'.ajda; zamknęła oczy, pochyliła twarz. Bładła i czerwieniła się na przemian. Potem młody Dag zaczął wracać do równowagi. I on ipochylił głowę, kryjąc mocno pałające policzki. Ze też ojciec mógł tak mówić! N?'gdy by tego nie pomyślał. Na Boga, czy nie wie, co robi? Teraz na pewno Adelajda dumna jak królowa podniesie się i opuści komnatę. Major także wstanie i pójdzie za nią. Wszystko się zawali.

Ale nic się nie stało. Major bezradnie patrzył na obecnych.

— Co ja słyszę? — wykrztusił wreszcie z trudem. — Czy to możliwe? Adelajdo, czy to prawda? — Język plątał mu się już od wielu wypitych kieliszków, ale teraz zupełnie mu skołowaciał.

Adelajda, wciąż pochylona nad stołem, nie odpowiadała. Oczy starego Daga były spokojne i ciemne, ale w kącikach drgały wesołe ogniki. Czyż on nie decydował o losie tylu ludzi na wiele mil dokoła? Czyż nie mógł zadecydować również o losie tych, którzy byli mu najbliżsi? Przecież kiedy był w wieku syna, również był taki dziwny i nieśmiały. Pamięta to dobrze. Czy m!ał spokojnie patrzeć na to, aby ci dwoje, którzy tak się oto kochają, stracili nawzajem jedno drugie?

Nie! Gdyby dopuścił do tego, nie byłby Dagiem Bjorndalem.

Przeznaczenie Adelajdy Barre, przeznaczenie jej rodziny? Cóż to znaczyło w Bjórndal? Czyż tutaj nie on był przeznaczeniem dla wszystkich i dla wszystkiego?

Major patrzył na nich i zrozumiał, jakie znaczenie miało to zdarzenie dla jego córki i — dla niego samego. Ale nie chciało mu się to pomieścić w głowie. W życiu jego nigdy jeszcze nie było zwrotu ku lepszemu!

Stary Dag wznosił toast:

— Wypijmy za zdrowie tych młodych! \*

Wypito ostatni kielich i wszyscy powstali od stołu. Teraz powinny nastąpić powinszowania i uściski dłoni, ale wszystko było takie niezwykle, że nikt nie zdołał się jeszcze opamiętać. Adelajda podziękowała za wieczerzę, nie podając jednak nikomu ręki, po czym szybko wybiegła przez pierwszą izbę do sieni. Chciała znaleźć się jak najprędzej w swoim pokoju, ale przy samych schodach zatrzymała się i oparła o poręcz.

Co to się stało? Czy kilka słów, wypowiedzianych przez starego Daga, miało usunąć z jej życia tę tragiczną udrękę? Czy na świecie zdarzały się jeszcze takie rzeczy? Jakimi czarami zdołał przeniknąć głębie jej serca? Była przekonana, że nikomu nawet na myśl nie przyjdzie, że ona może mieć taką tajemnicę. Czy mimo wszystko była to prawda? Czy Dag kochał ją naprawdę? W głowie szumiało jej od pulsującej krwi, ziemia kołysała się pod stopami.

Czyjeś kroki, mocne i pewne, zbliżały się od strony pierwszej izby. Był to młody Dag.

Odczekał przedtem, jakiś czas, obliczywszy sobie, że teraz Adelajda powinna już znajdować się w pokoju. Lecz zatrzymał się jak wryty, gdy ją ujrzał przy schodach. Odwróciła się powoli i wpatrzyła w niego. Był to on, lecz twarz miał zachmurzoną, ponurą. Więc to jednak nie była prawda...

Wreszcie Dag się opanował.

— Niech się pani na mnie nie gniewa — powiedział. — To nie Jest moja wina. To tylko był pomysł ojca. Oczy Adelajdy rozszerzyły się w śmiertelnym strachu.

— Więc to nieprawda? — wyszeptwała.

— Co jest nieprawda?

"— Ze... mnie pan kocha! — Głos jej załamywał się w łkaniu.

— O... to... to jest prawda — odparł Dag niezręcznie jak chłopiec.

Adelajda stała z opuszczonymi ramionami, ale ostatnie słowa 261

Daga ocuciły ją. Wyprostowała się i teraz stała z dumnie podniesioną głową, jak gdyby chciała patrzeć z góry na cały świat. Stała tak przez jakiś czas. Może oczekiwała czegoś, ale nic się nie stało.

Czy udzieliła jej się moc starego Daga? Czy nauczył ją sztuki kierowania losem? Zeszła ze stopnia i obróciła się twarzą do Daga. Jedyna świeca na kominku oświetlała ich postacie.

Smukła i uroczyista szła przed siebie. Stała przed nim, dumnie jak nigdy dotąd przechyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Światło rzucało na nią złoty odblask. Słodki zapach kwiatów owionął Daga. Nie wiedział, że to zapach lawendy. Stał jak wryty i wpatrywał się w nią jak w zjawisko, które lada chwila zniknie. Usta jej poruszyły się, jak gdyby szepcząc mu jakieś intymne słowa. Głowa Daga pochyliła się nad nią. Pocałował Adelajdę Barre, odwrócił się i odszedł. Nie dotknął jej wcale rękami. Adelajda długo stała jak posąg. Czy to wszystko jest prawdą? Później powoli uniosła głowę. Tak, to była prawda. Potwierdził to słowami, zaręczył się pocałunkiem. Na tym samym miejscu, gdzie go po raz pierwszy zobaczyła.

Zmartwienia, ból serca, bieda, ponure cienie przeznaczenia — wszystko znikło jak rosa pod promieniami słońca. Znikło po słowach starego Daga. Czy w życiu jej mogła zajść taka zmiana? Oczy jej napęłniły się gorącymi łzami. Zwróciła się ku schodom. Ale nie! Nie pójdzie teraz do swojego pokoju, nie chce teraz płakać. Chce być silna i dobra... dla niego... dla innych... dla wszystkich! Ach, gdyby mogła dawać choćby tylko trochę ze swego przepelnionego uczuciami serca. Gdyby tylko mogła! A może... Obróciła się i powoli i weszła cichutko do pierwszego pokoju.

Ojciec Dag zaproponował, aby obaj starzy zapalili fajki i uczciwie sobie popili. Major nie miał nic przeciwko temu. Usiedli więc przy kominku, a liście jesienne paliły się niemal' płomieniem.

W twarzy starego Daga nastąpiły widoczne zmiany. Sępie spojrzenie samotnika złagodniało. Były ku temu powody. Stoczył ciężki bój z samym sobą. Rozegrał tę walkę bardziej dogłębnie niż kiedykolwiek przedtem. Dotychczas toczyła się w nim podświadomym nurtem i dopiero teraz przy stole uświadomił sobie

\

ostatecznie pełnię jej prawdy. Była to walka między silnym uczuciem miłości do syna a niechęcią do stałej obecności kogoś, kto by miał te same uprawnienia, co on. Uprzytomnił to sobie dopiero przy stole, gdy zdecydował się połączyć tych dwoje młodych. Z niezbyt wielką chęcią myślał o małżeństwie syna, który •> zaczęłyby zaraz gospodarzyć we dworze, zamiast wędrować gdzieś po lasach. Tak było wygodniej. Teraz musiałby wtajemniczać syna we wszystkie sprawy pieniężne i wiele innych, a wiedział przecież, jak silne było w nim pragnienie, by rządzić wszystkim i wszystkimi bez czyjegokolwiek współdziałania.

Walka była krótka. Wobec tych racji, którymi się tak długo powodował, opanowało go uczucie wstydu. Czy syn jego nie obejmie kiedyś wszystkiego po nim? Czy nie była już pora po temu, aby go zaczął uczyć i przysposabiać? Czy przyszłość rodu nie zawisała od niego? Stary Dag poddał się surowemu badaniu. Choćby jak na j usilnie j szukał w sobie światła poznania, zawsze napotyka na takie ciemności, że aż przerażenie go ogarnia.

Chciał mieć teraz syna w domu, blisko siebie. Chciał żyć znowu w rodzinnym gronie według starych tradycji i zwyczajów. Chciał ponadto, aby Adelajda Barre również tutaj należała. Robiła wrażenie osoby, z którą można mówić o wielu rzeczach. A przy tym była tak piękna, że usta same się uśmiechały, kiedy patrzyło się na nią. Kto patrzył w jej oczy, ten jakby się modlił. Potrzebował jej tutaj, bo mógł z nią rozmawiać. Teraz skończy się jego samotność.

Wtedy to właśnie, myśląc o tym wszystkim, wyprostował się i wypowiedział te śmiałe słowa...

Za młodych lat niejednokrotnie głowił się nad tym, co Ane Hamarrbo chciała powiedzieć, powtarzając wciąż przepowiednię, że ludzie jego rodu mają wznieść się do takich wyżyn, jakie w ogóle człowiek potrafi osiągnąć. Nie zdawał sobie sprawy, że tylko niewielu było zdolnych do takiego zwycięstwa, jakie on odniósł nad sobą w ciągu minionego roku. Wartość samego człowieka wzrosła niemało, jeśli się zważy, kim był ów dawny, mścimy i krwiożerczy dziedzic na Bjorndal, a kim obecnie stary Dag.

Może zapowiedź Ane Hamarrbo była niedaleka spełnienia, choć ona sama mogła wyobrażać sobie to zupełnie inaczej.

Ojciec Dag i major siedzieli przy kominku. Młody Dag prze-

szedł się po pokojach, gdy panna Adelajda wyszła z komnaty. Ojciec Dag kiwał przyzwalająco głową. Potem młody Dag wrócił. Siedział teraz przy stoliku pod oknem. Na dworze (padał deszcz. Szumiał głucho wśród jesiennej nocy. Jak to przyjemnie siedzieć sobie o takiej porze w domu.

Z pierwszej izby dochodzą czyjeś lekkie kroki, a ipotem ostrożnie otwiera się wieko szpinetu. Adelajda poczęła grać żywą me- ^ lodię światła i cieni, tętniącą radością i smutkiem, ciepłą jak krew. Później weszła do starej komnaty, aby powiedzieć dobranoc. Wysoka i pełna powagi, i piękna.

Ojciec Dag słuchał każdego tonu, który grała, i westchnień deszczu na dworze. Wszystkie najukochańsze wspomnienia przeszłości odżyły w jego sercu. Powstał, gdy weszła, i zrobił to, czego nie ośmielił się uczynić syn. Wyciągnął ramiona i przytulił Adelajdę do swej szerokiej piersi. Szorstką ręką pogładził ją delikatnie po włosach i schyliwszy się szepnął:

— Moja córka...



Dziedzictwo na Bjórndal

CZEŚĆ PIERWSZA

Ivi ajor Barre już od lat nie służył w wojsku, ale gdy szedł ulicą wyprostowany, energicznym krokiem, wymachując laską o metalowej gałce — od razu można w nim było poznać dawnego żołnierza.

Dzień był szary, jesienny, ulice pełne błota, ale cóż to majora obchodziło? Miał po kolana buty z owczej skóry. Szedł mocnym, elastycznym krokiem. Może nawet nie wiedział, że jest błoto, gdyż nie zwykł był patrzeć na trotuar. Gładko wygolona broda opierała się na odgiętych rogach kołnierza nad śnieżnobiałą kryzą. Jasnym wzrokiem spoglądał przed siebie. Oczy miał błyszczące, pełne życia. Od czasu do czasu rzucał spojrzenia w kierunku pewnych

dobrze sobie znanych okien — w nadziei, że ujrzy tam może któryś z figlarnych buziaków, zauważonych i zapamiętanych podczas dawniejszych wędrówek przez błotniste ulice miasta.

Pomimo niepowodzeń życiowych i nader skromnych warunków, w jakich się znajdował, major Barre wciąż oczekiwał jeszcze czegoś od życia. Sześćdziesiątka to żaden wiek dla takiego człowieka jak on. Toteż na widok ładnej twarzyczki i smukłej kibici zjawiały się w jego oczach niepokojące ogniki. Był bardzo lubiany w towarzystwie, bo wnosił pogodę i humor.

Na jednym z rogów rynku zauważył radcę sądowego, Gabbego. Radca przeskakiwał z kamienia na kamień, omijając z całą ostrożnością kałuże. Miał jak zwykle na nogach pantofle zapinane na klamry i obcisłe pończochy na grubych łydkach, spod rękawów surduta wyglądały koronkowe mankiety.

Barre mruknął pod nosem coś jak by stary „idiota”, ale gdy



w pewnej chwili radca sądowy podniósł głowę, uklonił mu się z szacunkiem.

Gabbe miał właściwie zamiar minąć róg i przejść na drugą stronę, ale zatrzymał się na chwilę i zastanowił, zobaczywszy majora. Zaczął mu się badawczo przyglądać przez lorgnon. Po krótkim namyśle zawrócił i poszedł Barremu naprzeciw. Obaj zatrzymali się jednocześnie i radca raz jeszcze przez szkła przyjrzał się majorowi.

— Różne plotki krążą o pańskiej córce, pięknej Adelajdzie — wyseplenił radca.

Na pogodnej twarzy majora zjawiał się wyraz zdumienia. Oczy spoglądały w tej chwili surowo. „Plotki” były w jego mniemaniu tym samym, co „złe wiadomości”.

Radca zauważył zmianę na twarzy majora i dodał szybko:

— No tak, pańska Adelajda zawsze miała słabość do Rousseau! Lecz Barre nie dał mu dokończyć i huknął:

— Co za słabość, jaka słabość do Rosso? Kto jest ten jakiś Rosso?

Wokół sinawych warg radcy sądowego pojawił się subtelny, pobłażliwy uśmiech. Szeroko otworzył oczy i odrzekł cichym głosem:

— Majorze kochany, no, wiecie przecież, ten buntowniczy Szwajcar...

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli znam jakiegokolwiek Szwajcara — grzmiał major.

Radca rozglądał się nerwowo wokoło. Gorączka z tego majora! Z lada powodu staje się zapalczywy i wpada w gniew, ale ta historia z córką to dość gorzka pigułka dla niego, jeżeli jest prawdziwa. Radca był bardzo ciekaw całej prawdy. Wyjaśnił Barremu, kim był Rousseau i że Nowa Heloiza jest najulubieńszą lekturą panny majorówny. Barre musiał w końcu przyznać, że ten Rousseau nie jest mu zupełnie obcy.

Radca sądowy, nie chcąc stać w błocie w tak wytwornym obuwiu, zaproponował szklankę wina w klubie. Po drodze dowiedział się od majora, że córka jego zaręczyła się z kimś ze wsi. Radca z delikatności nie dodał: „więc z chłopem”. Radczyni spokrewniona z nieboszczką żoną majora omal nie zemdleła z wrażenia dnia poprzedniego, gdy usłyszała o tych zaręczynach Ade-

lajdy. Potem powtarzała z coraz większym przerażeniem słowo „chłop” i twierdziła, że matka, a zwłaszcza babka Adelajdy, żona biskupa anglikańskiego, która pochodziła z arystokratycznego domu Ramerów, przewrócą się chyba w grobie. Tymczasem było publiczną tajemnicą że mocno już dojrzała, bo prawie dwudziesto-siedmioletnia Adelajda jest po słowie z aptekarzem Boh-rem, człowiekiem zamożnym, na stanowisku, chociaż nieco również zaawansowanym w latach. A teraz dała mu kosza z powodu „chłopa”! W domu radcostwa było ty-ko jedno wytłumaczenie tego faktu: Rousseau przewrócił Adelajdzie w głowie!

Siedząc już przy stole w klubie, radca bardzo żałował, że gnany ciekawością zaprosił majora na szklanekę wina. Pogłoski sprawdzały się, szkoda zatem było czasu na siedzenie z Barrem. Nigdy nie był ciekaw rozmowy z nim. Po tej historii z córką już nie będzie się mógł zaliczać do towarzystwa. Przeszkadzał mu poza tym hałas od strony bilardu i głośne rozmowy, dochodzące stamtąd. Wyciągnął z kieszeni złotą tabakierkę z wieczkiem, na którym widniały wyrzeźbione w kości słoniowej sceny miłosne. Z lekka stuknął w nią i zażył tabaki. Major skorzystał ze sposobności, wyjął glinianą fajkę i otoczył ich obu obłokiem nieprzyjemnego, ostrego dymu, bo używał lichego tytoniu.

Radca czuł się tak, jak gdyby zabłądził do jakiejś portowej knajpy. Postanowił skończyć rozmowę. Wyciągnął z kieszeni złoty zegarek na ciężkim, również złotym łańc-ichu, dzwoniącym brelokami i pieczętkami do laku. Długo bawił się nim, pragnąc zaimponować i olśnić otoczenie.

— Czas do domu — powiedział i spojrzał spod oka na majora. Twarz Barrego, zwykle niefrasobliwa, jaśniała teraz zadowoleniem. Już w chwili spotkania zauważył radca w oczach majora ową niecodzienną radość. Irytowało go to. Chwycił lorgnon i znów badawczo przyjrzał się swemu towarzyszowi.

— Nie przejmuj się pan zbyt losem swej córki! — rzekł tonem wyrzutu i nagany. Major wyjął fajkę z ust, przeciągnął się lekko. Spoglądał nadal niezmaconym, wesołym i pogodnym wzrokiem.

— Nie — odpowiedział spokojnie — nie potrzebuję się o nią łopotać!

Jedno oko ze szklami drgnęło nerwowo, a drugie zaczęło rzu-269

cać jakieś niepokojące błyski. Po dłuższej chwili milczenia radca spuścił wzrok i wypił nieco wina. Nagle znów podniósł głowę i zapytał:

— Jak się nazywa — chciał powiedzieć: „ten chłop”, ale ugryzł się w język — jak się nazywa ta miejscowość, gdzie Adelajda będzie mieszkała po ślubie?

Bjórndal! — odpowiedział wesoło major.

Gąbczasta, bezkrwista twarz radcy zaczęła drgać nerwowo pod wpływem jakiegoś niepokoję, a sine wargi wydały dźwięk jakby cmoknięcia...

— Bjórndal — powtórzył cicho, zamyśliwszy się — miałem niegdyś do czynienia z kimś, kto się nazywał Dag Bjórndal.

Czy przyszły mąż Adelajdy jest z nim. spokrewniony?

— Tak — odparł major — jest synem Daga Bjórndala.



Z ust radcy wyrwał się odgłos przypominający jacy wydobywania korka z butelki. Taki dźwięk usłyszał major. Szklanka upadła na stół. Powieki, którym radca umiał zawsze nadać pożądań; wyraz, mrugały teraz nerwowo. Był najwidoczniej zaskoczony.

Major rozparł się wygodnie w krześle; przyglądał się radcy; spod oka i ciągnął mocno fajkę, ażeby ukryć uśmiech.

W końcu radca zapanował nad sobą, schował binokle do kieszeni i spytał wahające:

— Czy tam jest dużo rodzeństwa?

— Nie, narzeczony Adelajdy jest jedynakiem — odparł major spokojnie. Jeszcze wciąż musiał się otaczać wielkimi kłębam dymu, ażeby maskować bezustanną chęć śmiechu, bo zaskoczony radca miał wygląd w swej bezradności beznadziejnie głupi.

— Jedyne dziecko Daga Bjórndala — wyrzeź w końcu radca — no, no... — Zbity zupełnie z tropu, zamyślił się tępo, dolna warga zwisała komicznie... Spojrzał na stół i zauważył, że szklanki od

wina są puste. Zamówił świeże. Zapomniał zupełnie, że przed chwilą miał przecież dość towarzystwa Barrego. Podniósł szklankę w górę, przepił do majora, następnie wyjął tabakierkę i z wolna zażył. Potem rozsiadł się wygodnie i dumał przez chwilę.

— Spędziliście tam lato? — spytał.

— Tak. I Boże Narodzenie w przeszłym roku również — odparł major.

— Podobno stary jest niezmiernie bogaty; ma wsie, lasy<sup>^</sup> huk pieniędzy... — mówił radca cicho, jakby do siebie — i podobno jest bardzo mądry, umie prowadzić interesy...

— Możliwe — odparł major.

.— Ale — dorzucił nagle radca, spoglądając na majora — podobno zwyczaje są tam jakieś takie staromodne i sztywne, a on sam jest ponoć, hm, twardy, bardzo nieprzystępny człowiek.

— No, cóż! — odparł Barre. W Bjórndal jest i to, i to: i dawne obyczaje, i postęp. Ja osobiście na nic się tam nie mogłem uskarżać. Ludzie mnie uprzedzali nawet, że niebezpiecznie jest mieć z Dagiem Bjórndalem do czynienia, ale gdy go poznałem, doszedłem do wniosku, że trudno znaleźć lepszego przyjaciela niż on. Może kiedyś był twardy i nieprzystępny, ale nie sądzę, że był kiedykolwiek niesprawiedliwy albo komuś krzywdę wyrządził. — Barre porwany swym temperamentem wpadł w zapał i mówił na cały głos.

Wobec czego radca pośpieszył zapewnić go, że i on wielokrotnie słyszał takie samo zdanie o starym, że wszystko w Bjórndal opiera się na porządku i uczciwości, a jeśli powiedział „staromodne” i „sztywne”, to tylko tak sobie, bynajmniej nie dla wytknięcia czegoś. W końcu jeszcze dodał:

— W takim razie przyszły mąż Adelajdy jest wielkim właścicielem ziemskim. — W głosie jego wyczuwało się zadowolenie.

Po tych słowach major Barre nie mógł dłużej zapanować nad sobą. Wybuchnął głośnym śmiechem, aż się rozlegało; wszyscy obecni spojrzeli w ich stronę zaskoczeni i zdziwieni. Radca był tym nagłym wybuchem wesołości również zaskoczony. Miał i tak już wiele nieprzyjemności, a teraz musiał jeszcze znieść ten niedelikatny wybuch wesołości, który przyciągał spojrzenia zaciekawionych ludzi z bliższych i dalszych stołów. Nie bardzo miłe mu to było. Zimny pot spływał spod peruki, którą głównie nosił z powodu łysiny, a opowiadał stale, że z szacunku dla dawnych zwyczajów.

Po pewnym czasie major uspokoił się.

— Wybaczcie mi, panie radco, że się tak donośnie śmiałem, ale rozweselił mnie pan łącząc osobę mego przyszłego zięcia z idiotycznym tytułem „wielkiego właściciela ziemskiego”. Trudno! Musiałem się śmiać. On — i „wielki ziemianin”! Jest, czym tylko

chcecie: chłopem, myśliwym, strzelcem — tylko nie, ziemianinem". Kieliszki już znów stały puste. Radca chciał być jak najprędzej w domu, aby żonie swej opowiedzieć, że może być spokojna o los Adelajdy. Niech się tam major naśmiewa z tytułu ziemianina w stosunku do przyszłego zięcia, on tym tytułem będzie w domu szafował, a żona z niego nie zadrwi. Stanowisko społeczne i majątek Daga Bjórndala niejedno będą mogły naprawić, poza tym przyszły mąż Adelajdy jest spokrewniony z zamożnym kopcem Holderem, stary Bjórndal ożenił się z Teresą Holder, kuzynką Holdera. Jak to się jednak wszystko wie, gdy się wiedzieć chce. Tak, tak! Trzeba się będzie jakoś pokręcić, aby utrzymać dobre stosunki z taką poważną rodziną.

Radca Gabbe tak się śpieszył do domu, by się z żoną podzielić nadzwyczajnymi nowinami, że nawet zapomniał utrzymać godność w zachowaniu; a obnosił ją od czasu, gdy został radcą sądowym. Toteż spotkani znajomi oglądali się za nim i dziwili się.

Radczyni, która nauczyła męża, jak się powinien zachowywać stosownie do swego stanowiska, która lubiła zawsze to, co eleganckie, i chętnie przebywała wśród ludzi dobrze sytuowanych, bynajmniej nie wpadła w zachwyty słuchając opowiadania męża. W potoku rozmowy, mieszając francuskie słowa z norweskimi, dała wyraz swemu wielkiemu przywiązaniu do Adalejady i zachwytowni nad nią. Ba, rozrzewniła się, płakała nawet nad zaletami Adelajdy, nad tym, że zna tyle języków, że tak ślicznie mówi po francusku, że jest taka muzykalna, niebywale gospodarna, wykształcona, taka elegancka i tak szlachetnie piękna, i nadzwyczajnie ułożona przez swą arystokratyczną babkę, która potrafiła w czasach niebywale lekkomyślności wychować ją w czystości obyczajów. I teraz ma ją otrzymać w darze jakiś chłop na zapadłej wsi! Radczyni popłakiwała na głos, ocierając oczy pachnącą chusteczką.

Radca słuchał coraz bardziej zdumiony wywodów żony i jej żalów. Mój Boże! Ile razy z ust jej słyszał, że Adelajda jest niedokształcona, głupia i nadęta. Wykombinował, że opowiadanie jego musiało jednak zrobić na żonie wrażenie, bo tak nagle zaczęła ją wysławiać i robić z niej jakąś księżniczkę z bajki, obdarzoną wszelkimi zaletami.

## II

Mak



IV1 ajor Barre mieszkał w dwóch małych pokojach z kuchnią w drewnianym domku na peryferiach miasta. Ulice, a raczej drogi na tym przedmieściu były bardzo wąskie i kręte, a ogródki przed domami zachodziły na nie tak dalece, że do przejścia pozostawała tylko wąska ścieżynka. Gdzieniedzie znów żywopłoty tak się rozrosły, że zagradzały drogę i trzeba było zawracać szukając innego przejścia. Stara panna, Eleonora Ramer, musiała w końcu poprosić jakiegoś brudnego ulicznika, ażeby jej wskazał, jak należy iść' do domu majora Barrego.

Zatrzymała się dłużej przed drzwiami, poprawiła loczki pod kapeluszem, ułożyła koronkowe falbany pod płaszczem, podciągnęła długie, czarne rękawiczki za łokieć i przełożyła małą parasolkę z ręki do ręki. Nawet teraz, późną jesienią, nie rozstawała się z parasolką. Długo trwało, zanim się zdecydowała zadzwonić. Szła w odwiedziny do córki swej siostry, Adelajdy, której nie widziała siedem lat. Krążące plotki były powodem, że łamała postanowienie, iż nigdy- w życiu już nie przestąpi progu domu majora Barrego. Siostra jej przed siedemnastu laty rozwiodła się z majorem, nie mogąc sobie dać rady z jego skapstwem i kobieciarstwem. Od tego czasu panna Eleonora nie widziała go. W dziesięć lat po rozwodzie majorowa, niestety, umarła i córka musiała powrócić do ojca. Ciotka, odkąd mieszkała w mieście, nieraz miała ochotę zobaczyć siostrzenicę, ale nie chciała za żadne skarby zetknąć się z majorem. Adelajda znów przypuszczała, że może ciotce niemiła będzie jej wizyta, i dlatego nie odwiedzała jej, choć czasem odczuwała żywe pragnienie porozmawiania z nią. Dawniej rozumiały się i kochały.

Parasolka kilkakrotnie wędrowała z ręki do ręki, zanim

właścicielka zdecydowała się na zastukanie. Sama Adelajda jej otwo-fzyła. Gdy się dowiedziała, że majora w domu nie ma, weszła już zupełnie opanowana. Choć niespodziewane odwiedziny zaniepokoiły trochę dziewczynę, jednak uśmiechnęła się przyjaźnie do ciotki, poprosiła, ażeby siadła, a sama poszła do kuchni, by Postawić wodę na herbatę. Uczyniła tak, gdyż chciała nieco zebrać myśli przed rozmową, która ją czekała.

Panna Ramer

18 A lasy wiecznie śpiewała

273



rozejrzała się tymczasem po czyściutkich, ale ubogo urządzonych pokojach i słysząc kroki zbliżającej się Adelajdy,' szybko otarła oczy, by nie okazać wzruszenia. Sama nie była zbyt zamożna, miała jednak stare, piękne meble, przedmioty sztuki i mnóstwo wartościowych drobiazgów, gdy tymczasem tutaj ledwo jeden stary zegar-antyk oraz parę bibelotów wskazywało, że to jest mieszkanie ludzi z lepszej sfery.

Czekając na zagotowanie się herbaty, Adelajda raz po raz wychodziła i znów się zjawiała. Potem usiadły obie do [podwieczorku i piły herbatę wolnymi łykami, chrupiąc przy tym sucharki z konfiturą. Panna Eleonora, spróbowała ciasta, zaczęła mówić o tym, z czym przyszła. Opowiadano w mieście, że przypomina swą matkę, żonę biskupa, która znana była z tego, że lubiła wszystko powiedzieć, co jej leżało na sercu, tak prosto, bez ogródek.

— Na pewno domyślasz się, kochane dziecko, że tylko konieczność mnie zmusiła do przestąpienia progu mieszkania twego ojca. Ta konieczność to ty! Opowiadano mi coś o tobie, o twoim mał- ] żeństwie! Na pewno ojciec cię do tego namówił, a ja czuję się w obowiązku z tobą o tym pomówić. Wiesz na pewno, że dochody moje, na które składają się lekcje i mała renta, są bardzo skąpe, ale chętnie się z tobą podzielę tym, co mam, aby tylko cię stąd wyrwać. Przecież i ty będziesz mogła wykorzystać to, co umiesz. Będziesz też dawała lekcje i jakoś damy sobie radę.

W końcu dorzuciła kilka zdań po francusku, twierdząc, że mamona już niejednego nieszczęśliwca skusiła.

Adelajda siedziała przez ten cały czas z opuszczoną głową i walczyła z nieprzepartą chęcią do śmiechu.

— Ależ ciociu, skąd to przypuszczenie?

— Przypuszczenie? — przerwała jej ostro stara panna. — Czyżbyś już miała zapomnieć o naszych dawnych rozmowach na ten temat? Czy ci nie opowiadałam, jaki los był udziałem kobiet w naszej rodzinie? Mało ci wtedy przykładów dałam? I to takich bardzo przekonywujących? Dlaczego one były nieszczęśliwe? Czy nie pamiętasz już losu matki twej? Przecież ci mówiłam, że żadna z kobiet w naszej rodzinie nie mogła wyjść za tego, którego kochała, i że ściągała na siebie nieszczęście biorąc innego. I ciebie kusi i nęci bogactwo, rozumiem to teraz, gdy widzę, w jakich

skromnych warunkach żyjesz. Rozumiem twój postępek, ale radzę ci jednak: dobrze się zastanów, zanim będzie za późno.

— Ależ, droga ciociu — chciała jej przerwać Adelajda.

— Nie, nie — ciągnęła dalej panna Ramer, stawiając gwałtownie filiżankę na spodek — wcale nie wiesz, jakie sobie życie szykujesz. Gdyby to chociaż był człowiek z twojej sfery i wykształcony, który by miał względy dla ciebie i dla twego wykształcenia, posiadał jakieś stanowisko, jak na przykład aptekarz Bohr, ale... — Urwała i spojrzała zdumiona na siostrzenicę.

Adelajda [podniosła się z krzesła. Ciotka zaskoczona tym przyglądała się jej, nic nie rozumiejąc. Adelajda była smukłą, słusznego wzrostu i stała z dumnie podniesioną głową. Wówczas córka biskupa wstała również. Była tego samego wzrostu, co Adelajda. Mimo że zbliżała się do pięćdziesiątki, zachowała na twarzy ślady minionej urody i miała piękną postawę.

— Mam nadzieję, że to bogactwo jeszcze nie uczyniło cię tak zaślepioną, ażebyś nawet nie chciała wysłuchać tego, co ci ciotka chce powiedzieć. — Po chwili dodała szybko po francusku: — Czyś ty się nad tym zastanawiała, że nie tylko ponizas się moralnie przez takie małżeństwo, ale również i ciało zaprzędajesz takiemu człowiekowi!

— Milcz! — krzyknęła Adelajda, zakrywając twarz rękami. — Kocham go, więc proszę ani słowa więcej!

Panna Ramer zeszywniała zdumiona. Poruszała wargami, nie była w stanie wymówić ani słowa, tylko przerażony wzrok utkwiała w siostrzenicy.

— Kochasz go!?! — zapytała w końcu i powtórzyła raz jeszcze tak cicho, że zaledwie można ją było usłyszeć: — Kochasz go!

Usiadły obie, ale żadna z nich nie piła już herbaty. Stara panna była zupełnie wytracona z równowagi. Idąc tu była pewna, że zostanie dumną Adelajdę pograżoną w rozpacz, tonącą we Izach z powodu poniżenia, do którego jest zmuszona... Spodziewała się, że ona — z tym zamiarem szła — będzie miała sposobność wylać nurtującą w niej złość do podłego majora. Toż ten człowiek sprzedaje własne dziecko! Poza tym miała nadzieję, że uda jej się zrobić wspaniały, pełen szlachetności gest i udzielić gościny z maltretowanej dziewczynie. Obliczyła też sobie, że będzie to dla niej połączone z oszczędnością, która obojętna .iej nie

u\*

była, a polegała na tym, że z chwilą gdy Adelajda z nią zamieszka, będzie mogła się obejść bez służącej. Teraz wszystkie plany na nic. Stara ciotka długi czas wpatrywała się milcząco w swoją filiżankę. Nie bardzo to miłe rozpędzić się, przyjść do kogoś w roli zbawcy i spotkać się z tym, że ten ktoś słyszeć o niczym nie chce i w ogóle żadnej pomocy nie potrzebuje. Mózg jej jednak w dalszym ciągu bezustannie pracował. A nuż wpadnie jej do głowy coś, czym jednak będzie mogła uratować Adelajdę?

— Nigdy ci nie mówiłam, droga Adelajdo, jak bardzo jesteś podobna do swej babki. Wzruszona jestem, gdy w tej chwili, po tylu latach niewidzenia, patrzę na ciebie... Tak bardzo przypominasz moją matkę. Wiesz, co o niej mówiono? Miała dwa braki: jak na kobietę była za wysoka i nos miała nieco za długi, poza tym ogólnie uchodziła za piękną. Te same braki masz i ty, chociaż jesteś, tak, jesteś piękna! Zresztą sama o tym wiesz najlepiej.

Adelajda mocno się zarumieniła i chciała coś powiedzieć, ale ciotka w ferworze nie pozwoliła sobie przerwać.

— Matka moja czuła się bardzo szczęśliwa, że cię przez ostatnie dziesięć lat swego życia miała przy sobie, ale nigdy o tym tobie nie mówiła. Wspomniała mi, że zawsze pragnęłaś się uczyć i że byłaś wyjątkowo zdolna. Obie z matką twoją nauczyły cię płynnie władać francuskim, również dobrze znasz niemiecki i łacinę i umiesz nawet pewne cytaty greckie. Mówiła też, że jesteś bardzo muzykalna, a przy tym wcale nie zaniedbujesz gospodarstwa i znasz się na kuchni. Wiesz dobrze, że matka nigdy nikogo nie chwaliła, ani z nikogo i z niczego nie bywała łatwo zadowolona, jeśli więc ciebie tak wysławiała, zasłużyłaś na pewno na to w zupełności. Matka moja cieszyła się z tego, że udało jej się uchronić ciebie od niepotrzebnych awantur sercowych, a przecież miałaś już dwadzieścia lat, gdy w śmiertelnej chorobie wszystko mi to powiedziała. Z wielką przykrością mówiła o tych dziewczętkach, które już w czternastym, piętnastym roku przeżywają pierwsze przygody miłosne i zaraz potem, po confirmacji, poślubiają pierwszego lepszego przeżytego człowieka. Pragnęła, ażebyś dopiero jako dojrzała kobieta wybrała sobie towarzysza życia. — Tu panna Ramer wybuchnęła płaczem. — Mówiła mi

przed śmiercią: pamiętaj, ostrzeż Adelajdę, ażeby czekała, dopóki nie zjawi się ten jej przeznaczony, bo jest tego rodzaju kobietą, że powinna dostać się w dobre ręce i żyć na wysokim stanowisku społecznym. To mi powiedziała matka moja na łożu śmierci!

Panna Ramer załkała głośno, a i Adelajda otarła oczy chusteczką i patrzyła wzruszona przed siebie. Nie przypuszczała nigdy, że ta surowa babka tak bardzo dużo o niej myślała i tak się o nią kłopotowała, tak ją kochała.

Ciotka przez dłuższy czas siedziała płacząc, pogrążona w myślach, potem nagie wyprostowała się:

— Dziecko moje, masz już wprawdzie dwadzieścia siedem lat, ale i starsze od ciebie dziewczęta wychodzą przyzwoicie za mąż. Znam takich, którym się bardzo podobasz. Czy nie uważasz sama, że popełniłabyś głupstwo nie do darowania, robiąc tego rodzaju mezalians, idąc za głosem twoich upodobań a la Rousseau? Ty przy twoich zaletach, piękności, wiedzy, zdolnościach, subtelności?

— Rousseau? — Adelajda cała aż drgnęła ze zdziwienia.

— No tak — ciągnęła dalej ciotka — bo jeśli, jak mówisz, nie bogactwo cię nęci, a twierdzisz, że kochasz człowieka, którego własny twój ojciec określił jako prostaka, zwykłego chłopca, nawet myśliwego, w takim razie jedynym wyjaśnieniem pozostaje...

Adelajda podniosła się z krzesła, stanęła wyprostowana przed ciotką i drżącym z oburzenia głosem zapytała:

— Czy ojciec powiedział, że Dag jest prostakiem? Ciotka spojrzała wylękniona na piękną, majestatyczną w gniewie Adelajdę.

— Może nie wyraził się tymi słowami. Ale w każdym razie mówił, że nie jest wcale ziemianinem, pracuje w polu wraz z innymi, no — tu zadrzał głos panny Ramer — że jest zapalonym myśliwym, ponad wszystko myśliwym, że stale wałęsa się po lasach... To powiedział ojciec twój do radcy Gabbego.

Ponury wyraz znikł z twarzy pięknej dziewczyny, uśmiechnęła się łagodnie. Wiedziała, że ojciec uważał radcę Gabbego za największego matola w mieście, zakpił więc sobie z niego. Zrozumiała, dlaczego właśnie jemu to tak powiedział. Uspokojona się z powrotem.

Ciotka zauważyła uśmiech jej i może nieco podrażniona tym postanowiła wymierzyć ostateczny cios.

— Mówiono mi również, że właściciele Bjorndal są bezwzględni i nieprzystępni, twarde typy, czy ty Adelajdo — tu zaczęła znów mówić po francusku — czyś ty się zastanowiła nad tym, dziecko, co to jest wyjść za mąż, dzielić z kimś łóżko? — Więcej powiedzieć nie mogła.

Adelajda przerwała jej oburzona:

— Ależ ciociu... — potem dodała nieco ciszej: — dziękuję ci, żeś mi chciała pomóc, ale to jest zupełnie inaczej, niż ty sobie wyobrażasz, zupełnie inaczej...

Gdy po chwili ciotka Eleonora wstała, ażeby się pożegnać, była tak oszołomiona, jakby się dostała w inny świat, bo naprawdę wszystko tu było obce i całkiem nieznanne. W przedśionku dodała jeszcze:

— Więc zobaczę tych ludzi i poznam na weselu.

Po wyjściu ciotki Adelajda wbrew swoim przyzwyczajeniom nie sprzątnęła ze stołu. Siadła. Zaczęła rozmyślać, oparłszy twarz na rękę. Rozmowa z ciotką obudziła w niej różne wspomnienia. Pomyślała o matce i babce, o ich twierdzeniu, że wszyscy mężczyźni grają komedię. Ale nie chciała tego sądu stosować w tej chwili do człowieka, którego wybrała i pokochała. Pewna była, że obie kobiety nie powiedziałyby tych gorzkich słów, gdyby go znały. Adelajda wierzyła w swego ukochanego, tak jak wierzą wszystkie kobiety temu, którego pokochały. Wierzyła pomimo swego doświadczenia i dojrzałości.

Ale i inne myśli przychodziły jej do głowy po tej rozmowie z ciotką, która jej dość nagadała. Dziwiła się, że nawet tak wytworna i subtelna osoba, jak ciotka, wdziera się w intymny świat jej ciała. Dlaczego człowiek nie chce, nie potrafi pozostawić drugiego w spokoju?... A wesele? Dotychczas odsuwała tę myśl od siebie. Z tym była trochę niemila sytuacja, bo właściwie ojciec powinien by wyprawić wesele, a nie miał pieniędzy. Adelajda powiedziała sobie — (i tym się upokoila) — że w takim razie nie będzie hucznego wesela, tylko skromny ślub. A tu naraz ciotka, taka rozumna i znająca sytuację pieniężną ojca, mówi, że wybiera

się na jej wesele... Ale nie tylko ciotka. Inni też jej już o tym wspominali. Co to ma znaczyć?

Nagle zrozumiała. Ci, którzy o tym weselu wspominali tak jak ciotka, mieli na myśli wesele w Bjorndal, takie prawdziwe trzydniowe chłopskie wesele. Każdy z pogardą mówi o „prostych chłopach”, ale nęci ich przecież niezmierzone bogactwo właścicieli, tajemnica ich życia, pełnego przygód na swobodzie. Mimo woli przed oczami Adelajdy przesunęły się kolejno obrazy: ludzie w mieście wiecznie czegoś wężący, żyjący w wielkich skupiskach i oddychający powietrzem przesyconym przestępstwem, i wielkie, kwadratowe podwórze w Bjorndal, otoczone szeregiem przestronnych domostw, dające wolny oddech i przestrzeń mieszkańcom.

Wśród tych rozmyślań uprzytomniła sobie, że zupełnie jest możliwe, iż ojciec Dag wyprawi huczne wesele w Bjorndal, a nawet zrobi to prawdopodobnie. Naprzód pomyślała o sukni. Skąd ją weźmie? Odsunęła teraz od siebie wszystkie smutne myśli i wyobraziła sobie, jak będzie wyglądała jako panna młoda. Upajała się — jak zresztą wszystkie kobiety — myślą o tej wielkiej chwili. Nagle przypomniała sobie słowa ciotki o cielesnym oddaniu i znienawidziła w jednej chwili to całe publiczne widowisko, w którym miała odegrać główną rolę. Po co obcy ludzie skupiają się wokół dwojga ludzi, których się powinno zostawić samych w zupełnym spokoju? Odrażający był dla niej ten stary obyczaj: ci tłoczący się obok młodej pary krewni i znajomi na drodze do pokoju małżonków. Po co? Chyba tylko po to, ażeby u niektórych wywoływać wspomnienia erotyczne własnych dawnych przeżyć, a nieżonatym sprawić przedsmak tego, co ich czeka, i wzniecić dreszcze pożądania.

Długo tak siedziała Adelajda zatopiona w myślach. Oczy jej często zmieniały barwę zależnie od wewnętrznego nastroju i od oświetlenia — przechodziły z błękitu najczystszej w kamiennoszary odcień. W tej chwili lśniły właśnie kamienną szarością; również i w sercu jej piękne marzenia, pełne jak gdyby barw i kolorów, przeistoczyły się i zniknęły w jakiejś szarej, lodowatej mgłę, w której ludzie niedowidząc, chodzili po omacku. Tak, to z braku zrozumienia ludzie wzajemnie utrudniają sobie życie.

W pewnej chwili podniosła głowę i otrząsnęła się z melancholii i smutku. Oczy na powrót stały się niebieskie i żywe. Miała

przecież przyjaciela na świecie — mądrego przyjaciela, który życie za łeb wziąć potrafił. Nie o narzeczonym myślała w tej chwili, ale o jego ojcu. Przecież jemu mogła powiedzieć, nie wyjaśniając przyczyn, o których w ogóle trudno by było z kimkolwiek, a więc i z nim mówić, że nie życzy sobie weselnego obchodu. Wiedziała, że wystarczy, gdy poprosi Daga Bjórndala, by ją od tego niemądrego obchodu uchronił. Spojrzy na nią badawczo, ale pojmie, że ma ku temu powody, skoro go o to prosi. Uśmiechnęła się do siebie. Tak, ojciec jej ma rację: Dag Bjórndal nie jest ziemianinem, jest zwykłym chłopem. Ma swój własny sposób postępowania. Z każdym innym musiałaby zużyć tysiące słów na wyjaśnienie, dlaczego nie pragnie hucznego wesela, i to zupełnie bezskutecznie, ale on zrozumie. Czy można by od kogo innego oczekiwać tak łatwej rezygnacji z ukrytych chęci urzędnika wspaniałego widowiska i tradycyjnej uroczystości? A rozwianie jego marzeń pozbawiłoby tym samym wielu innych okazji radowania się z nim. Stary Dag jednak nie ulegał żadnym zachciankom. Pochodził z rodu, który umiał się wznieść ponad zwykłą przeciętność. Znając ją dobrze, wie, że wszystko, co pomyśli i zamierzy, nie jest podyktowane żadnym chwilowym kaprysem. Toteż zrozumie na pewno, że to osobliwe życzenie ma jakiś głębszy podkład. Jeśli nie poda powodów, dlaczego o to prosi, to się domyśli, że powiedzieć nie może. Uszanuje ją jako osobę najbardziej zainteresowaną w tej ceremonii i na pewno nie będzie chciał się sprzeciwić jej woli.

Czuła tak bardzo wspólnotę duchową z tym pozornie bezwzględny, twardym człowiekiem, który miał stać się obecnie drugim jej ojcem. Tak, drugim ojcem... Zamyśliła się... Coś jakby jej się wyjaśniło. Zmieniła zamiar. Pomimo wszystko nie powie mu nic o weselu. Jeśli mu bowiem zależy na tym, ażeby wesele było huczne, zgodzi się na to, jak zgodziło się wiele innych, nawet w wypadku gdyby jakieś chmurki miały zasępić dzień najbardziej decydujący w jej życiu. Będzie musiała się z tym pogodzić, pomimo że tego nie chce.

JJZ

YWie przypuszczał radca sądowy Gabbe, że będzie musiał na stare lata odbywać męczącą, długą podróż fatalnymi drogami, rozmiękłymi od jesiennych deszczów, ani że będzie kiedykolwiek na chłopskim weselu. Ale trudno, kto ma tak energiczną małżonkę, musi godzić się chętnie czy niechętnie na wiele niewiarogodnych rzeczy. Więc i ta wysoce wytworna para znalazła się w wielkim sznurze gości weselnych, udających się w listopadzie 1809 roku na północ kraju.

W Korsvoll na ostatnim postoju czekały pojazdy z Bjórndał, ażeby gości przewieźć na północ przez osiedla rozrzucone w dolinach i lasem porośłe wzgórza aż do dworu w Bjórndał. Radca z żoną przybył pierwszy do Korsvoll i był zdumiony wielką liczbą czekających pojazdów. Wiedział wprawdzie o zamożności Bjórndała, ale nawet największe bogactwo ma swoje granice. Przypuszczalnie jednak część pojazdów była wypożyczona, ażeby gościom zaimponować. Pomimo swego wielkiego stanowiska — (które zresztą od nie tak dawna piastował) — powodowany ciekawością pozostałą jeszcze z okresu, kiedy był zwykłym, szarym człowiekiem, spytał jednego ze stangretów, skąd są te wszystkie pojazdy. Ucieszył się potwierdzeniem swoich przypuszczeń, gdy się dowiedział, że większość pojazdów pochodzi z innych miejscowości. Ale radość jego trwała krótko, bo woźnica, sam rodem z Bjórndał, dodał sucho, że wszystkie te dwory należą również do jego pana, a tym samym i zaprzęgi są jego własnością. Radcy zrobiło się nieco nieprzyjemnie. Stangret był za sprytny na to, ażeby się nie domyślić, w jakim celu jest zapytany. Gabbe pomyślał sobie, że słuszne jest przysłowie: być chłopem — niekoniecznie znaczy być głupim.

Po raz pierwszy w życiu udawał się w tak daleką podróż, jechał teraz pełen jakichś ponurych przeczuć w tę niebezpieczną, według niego, drogę. Wysiadał z powozu na każdym zakręcie i pod każdą górą pod pozorem, że pragnie koniowi ulżyć. Gdy przebywali lasy, rozglądał się niespokojnie wokoło, a kiedy teraz o zmierzchu, minawszy odkrytą okolicę, zagłębili się bardziej na północ i uderzyło w nich surowe tchnienie wysokich puszczy bjórndalskich, radca stawał się coraz bardziej przygnębiony i niespo-



kojny. Jechali wąską drogą, która poprzez zalesioną górę prowadzi w dół do osiedla. Swierki-olbrzymy o rosochatych gałęziach muskały go po grzbiecie, a wówczas zdawało mu się, że skazany na bicze przebiega między rzędami tajemniczych, roz-szeptanych widm. Tak jak niejeden obcy tutaj odetchnął z ulgą, gdy droga leśna skończyła się i ujrzeli z daleka domy osiedla.

Jak wielu innych poruszony był widokiem dworzyszcz w Bjórndal. Wyrastało przed nimi na górze ponure i potężne w całym zespole imponujących budynków. Ten wspaniały i niezwykły obraz mimo woli budził w nim przeświadczenie, że nie byle jacy ludzie wykarczowali tu las i pobudowali tak solidną siedzibę. Górując nad okolicą, pozwalała objąć okiem w krąg cały pyszny krajobraz.

Stangret coś mówił, mamrotał. Radcostwo domyśliło się, że pragnie ich poinformować. Zaczęli się przysłuchiwać. Wszystko, co teraz widzą, cała ta olbrzymia połać ziemi wraz z chatami, domami, zagrodami i bezkresnymi lasami jest własnością jego pana. Radca słuchając go przypomniał sobie, co słyszał o potędze i bogactwie Bjórndala. Oprócz tych, miał jeszcze włości na południu. Poza tym przecież do niego należy wielkopańska rezydencja Borgland, przez którą dopiero co przejeżdżali, a która sama wygląda jak małe królestwo.

Gdy wjechali w dolinę, radca pomimo zmierzchu rozglądał się z ciekawością po okolicy. Przejechali obok dworu Hamarrbó, podziwiając ogromne stare budynki o małych okienkach i głębokich podcieniach, nakrytych dachem zielonym od mchu. Ta pierwsza napotkana po drodze posiadłość bogacza, ukazująca się ich oczom w oświetleniu prawie wieczornym oparta o strome ściany skał, które wyrastały i jakby sięgały niebieskoczarne aż do nieba — robiła na wszystkich, którzy po raz pierwszy ją widzieli, niezapomniane wrażenie. Wprawiała w zachwyty.

Jechali teraz w dół. Zrobiło się ciemno. Na drzewach nie było ani jednego listka, a kwiaty dawno wróciły do ziemi, z której wyrosły. Wszystko, co latem przyozdabiało piękne pagórki Hamarrbo, było obecnie zupełnie zwiędłe i zszarzałe. Widać było wreszcie tylko nagie, strome zbocza, niebezpieczne dróżki, pełne zakrętów i obluzowanych kamieni. Powietrze przeszywały dreszcze jesiennej nocy. Woda szmerząc ściekała strumyczkami ze

skął. Zjeżdżali z górki w ciemne obejścia wielkiego osiedla, mijali małe chatki, na pół ukryte wśród drzew. Gdzieś miauczał kocur. Gdzieniedzie przez szyby widać było ogień pod kominem. Poza tym wszystko tonęło w ciemnościach, jesienny nastrój bił zewsząd. Radca i jego żona mimo woli myśleli o Adelajdzie, takiej pięknej i subtelnej, która miała w tym ponurym otoczeniu spędzić całe życie. Aż ich dreszcz przeszedł. Radczyni wyjęła chusteczkę i otarła łzy.

Drgnęli z przestachu, gdy jak odgłos grzmotu, rozległo się dudnienie ciężkich kopyt końskich po drewnianym moście. Stąd zaczynała się długa aleja, prowadząca w górę do dworu. Szeroko otwierali oczy na widok wzniesionych po jej obu stronach wałów z kamieni mchem obrosłych i rzędów potężnych pni drzew. Droga szła wzwyż, otwierał się więc teraz widok na południową stronę. Im bardziej gęstniał mrok, tym więcej cały krajobraz przypominał jakąś tajemniczą krainę cieniów. W miarę jak wjeżdżali pod górę, odnosili wrażenie, że wydostają się z nieprzeniknionych ciemności w błogosławioną jasność i że się tu lżej oddycha. Nagle w głębi alei zabłysło jakieś dziwne światło: dalekie, jakby bajkowe. Gdy podjechali bliżej, zobaczyli, że to było zakończenie alei. Ujrzeni olbrzymie odrzwia bramy wjazdowej, pokrytej omszałym, zielonym dachem. Słysząc było ujadanie psów i zgrzyt łańcuchów, po chwili wjeżdżali na podwórze. To światło, które widzieli z daleka, było odblaskiem zawieszonych u wjazdu latarni. A teraz znaleźli się w samym środku zakłętego, starego podwórza. Rozglądali się po olbrzymim placu, starannie uprzątniętym. W niepewnym świetle zarysowały się wyraźnie kontury całych masywów — wszystkie kwadratowe, blokowe, wyglądające na mury nie do zburzenia. Pośrodku podwórza wyciągały ku niebu swe ramiona огоłocone konary, trzy zrosnięte pnie olbrzymiego dębu, pochodzące jakby z prawieków. Suche liście na wierzchołkach, na które nie padało światło z latarni, wydawały metaliczny dźwięk, gdy wiatr nimi poruszał.

Stangret zatrzymał konie przed szerokimi schodami, wiodącymi do „nowego domu”. Ten dom został wybudowany przez kapitana Klingego, w czasie rządów poprzedniego pokolenia, ale po dziś dzień przetrwała nazwa „nowy dom”. Właściwie ten budynek ^gdy nie był prawdziwie zamieszkanym, gdyż właściciele, a przede

wszystkim ich goście czuli się lepiej w starych częściach dworu, wzniesionych z potężnych pni wyciętych w lesie.

Przez długi ganek na słupach wchodziło się tu do staroświeckiej sieni, w której stał olbrzymi komin. Od najdawniejszych czasów przyjmowano w tym miejscu gości. Nowy zaś dom został zbudowany dla Teresy Holder, żony starego Daga, a matki młodego Daga. Pochodziła z miasta i była córką bogatego kupca. Przybywszy do Bjórndal z siostrą, panną Dorotą, przywiozła ze sobą moc wytwornych mebli i różnych pięknych rzeczy. Z powodu tych mebli został wzniesiony nowy budynek; powstał wielki dom o wielu pokojach i ogromnych oknach na parterze i piętrze. Kuchni używano również, a olbrzymią salę otwierano na każde Boże Narodzenie. Za życia Teresy odbywały się tam zabawy i tańce. Goście wówczas zajmowali pokoje: żółty, niebieski, czerwony i zielony. Ale poza tymi okazjami dom był martwy, bo nie zamieszkały. W ostatnich latach, od czasu śmierci obu sióstr, nakrywano stół w tej pompatycznej sali w wieczór wigilijny. Poza tym odbyły się tam stypy po śmierci Teresy i Doroty, a potem po pogrzebie kapitana Klingego, który był pisarzem we dworze.

Zajechali więc radcostwo w końcu przed ten ogromny dom. Jak wszyscy goście w Bjórndal — zostali przyjęci i powitani przez pannę Kruse. Była to córka dobosza Krusego, która przybyła do Bjórndal jeszcze jako młode dziewczę, dziecko niezamożnych rodziców. Tu otrzymała wychowanie i nauczyła się pierwszorzędnie wykonywać czynności gospodarskie. Obecnie zarządzała kobiecym działem we dworze.

Panna Kruse przyjęła gości uprzejmie i z godnością, zaprowadziła ich do niebieskiego pokoju, przeznaczonego dla nich na piętrze, i oznajmiła, o której będzie kolacja.

Radcostwo rozejrzeli się po pokoju i potem spojrzeli po sobie. Radczyni odsunęła zasłony i oboje spojrzeli na widok rozpościerający się przed nimi. Stąd, z góry, mogli jeszcze rozpoznać w oddali osiedle Hamarrbó i owe skały na zachód od niego oraz szczyt góry, którą minęli, a w dole wszystkie zabudowania folwarczne. Niebo było ołowiane z ostatnimi przebłyskami światła na zachodzie, które w jesieni są długo widoczne, dlatego też można było jeszcze rozróżnić kontury zarysowujące się na tle ciemniejącego nieba.

Radcostwo długo wpatrywali się w piękny wieczór, a żona znów otarła cieniutką chusteczką łzy; ale tym razem na pewno nie ze współczucia dla Adelajdy.

Nadjeżdżali goście, czasem powóz za powozem lub w pewnych dłuższych odstępach czasu, zależnie od tego, gdzie ich woźnica odbierał. Ostatni mieli w drodze wypadek i przez to przybyli z wielkim opóźnieniem. Jedynym gościem, który nie zjawił się tego wieczoru, była Adelajda.

Nowy pastor tych gmin, daleki krewny Adelajdy po kądzieli i kuzyn biskupa Ramera, nie miał takich pojęć i zapatrywań jak większość jego kolegów. Trzymał się ściśle przepisów zawartych w Biblii i szanował wszelkie dobre, stare tradycje. Powiedział, że jeśli on ma dawać ślub Adelajdzie w „swoim” kościele, to ona musi tę ostatnią noc przed ślubem spędzić na probostwie. Więc major wysadził swą córkę na plebanii, a sam ruszył dalej do dworu. Miał po nią następnego dnia przyjechać w odpowiedniej chwili i zabrać ją do kościoła. Ojciec Dag prosił majora, ażeby przyjechał wcześniej i dopomógł mu w witaniu gości z miasta, których on po większej części nie znał. Major był bardzo rad, gdyż bardziej mu odpowiadało to, niż przebywanie ze swym surowym kuzynem, pastorem. Wolał wieczór spędzić w Bjórndal. Udzielał gościom odpowiednich objaśnień i cieszył się ich zdumieniem na widok tylu wspaniałych, luksusowo urządzonych pokojów. Przy kolacji wybuchał wesołym śmiechem, który rozlegał się w całym domu.

#### IV

•łodczas gdy nasz major radował się wesołością i gwarem w Bjórndal, córka jego siedziała przy stole na plebanii i w towarzystwie potulnej i cichej żony pastora słuchała jego napomnień mających na celu przygotować ją do jutrzejszej uroczystości i do przyszłego życia w Bjórndal. Z początku Adelajda miała wrażenie, jakby pastor Wulgarnie i niezręcznie dotykał uczuć, które są jej wyłączną

własnością i do których nikt nie ma dostępu, ale domyślała się, że pastor celowo i planowo pragnął ją mieć tego wieczoru przy sobie na plebanii. Adelajda, która już przecież matki nie miała, z ojcem zaś poważnie nigdy nie można było mówić — po pewnym czasie dała się porwać urokowi słów pastora, słów spokojnych, mądrych. Jeszcze może nigdy w życiu nie czuła się tak bezpieczna jak w tej chwili.

Pastor Nils Ditlev Ramer był surowym duchownym dawnego autoramentu, wierny tradycjom, z których drwić nie pozwalał. Nie raz przybywali do niego ludzie z odległych osiedli i według dawnych zwyczajów wchodzili na plebanie w pończochach. Prosił ich wówczas, ażeby włożyli z powrotem obuwie. — Przecież do kościoła nie wejdzicie w pończochach, a plebania to mniej więcej dom Boży, przynajmniej dopóki ja tu jestem.

Tego rodzaju historie dotarły do wiadomości ogółu i ludzie wpadali w podziw, że ten ich duszpasterz jest taki ludzki i mądry. Podczas kazań przytaczał ustępy z Biblii, które znane im były z czytania, i zawsze potrafił im je udostępnić i wytłumaczyć. Trzymał się zagadnień prostych, przytaczał łatwe przykłady jako temat rozmyślań. A jeśli któryś z parafian przychodził do niego z jakąś sprawą, nie zanudzał go mądrą przemową, lecz ostrożnie, pełen taktu i zrozumienia starał się wejść w jego trudności. I w ten sposób ów parafianin gdy odchodził, miał wrażenie, że lepiej rozumie własne myśli i że potrafił je sam doskonale wyrazić bez pomocy pastora, który przecie nic nie mówił.

Osobliwe ciepło i spokój były od tego człowieka.

Pastor, wspierający się mocno o skałę wiary, nie potrzebował używać uczonych słów ani wielkiej filozofii, które i tak nie trafiłyby do słuchaczy. Starał się, by rozumieli go prości ludzie, stosował się do ich poziomu. Po kilku miesiącach wysiłku wiedział już, że idzie dobrą drogą. Tylko ta na północ wysunięta dodatkowa gmina w Bjórndal!... Ludzie stamtąd z rzadka tylko zjawiali się w kościele. Starał się zebrać o nich wiadomości, Były różnorodne i bardzo sprzeczne. Jedni twierdzili, że są niebywale uparci i nie uznają kościoła ani w ogóle niczego, że uznają jedynie złoto i majątek, że reszta ich zupełnie nie interesuje. Inni znów twierdzili, że są to ludzie o niepoprawnie dobrych sercach, mówiono o ich szlachetności i poświęceniu, w wypadkach gdy bliźni

potrzebują pomocy. Mówiono o nich także, że nie poniewierają starych zwyczajów i tradycji, a z wielu rzeczy można było wnioskować, że żyją po chrześcijańsku. Ale prawdę powiedziawszy nie mógł sobie wyrobić zdania o tych ludziach z północy. Trzymali się z dala nawet od niego. Ale właśnie stamtąd, z tej wielkiej północnej gminy szła jakaś tajemnicza siła władająca ludźmi ich myślami, zamierzeniami, [poczynaniami. Była to siła, która i na niego działała. Potęgą pieniądza i — mistyczna siła bijąca od mocnych, niezgłębionych charakterów, działająca na ludzi słabszych, przeciętnych, nie znajdujących w sobie oparcia. Pastor był bardzo ciekaw zetknięcia z nimi.

Na czym bowiem polegała istota ich potęgi? Co dawało tym ludziom ową wewnętrzną pewność siebie, dzięki której siali postrach i wywierali magnetyczny wpływ? Nie mogło to być samo bogactwo. Może była to zimna pycha, zarozumiałstwo albo swoista wiara w Boga, a może obie te rzeczy razem. Bo zarozumiałstwo i wiara mogą się nieraz ze sobą łączyć. Dlatego powołaniem kapłańskim jest ciągła walka. Czasem serce ludzkie przyjmuje słowo Boże, ale je tłumaczy na swój sposób i nie wykorzeniwszy pychy, nie pozwala mu wejść głęboko do swego wnętrza. Raczej godzi ze sobą najodleglejsze przeciwności.

Pastor wszystko to sobie dokładnie uświadomił po przemyśleniu ziemskich spraw ludzi z Bjórndal. I gdy stary Dag zjawiał się niekiedy w kościele, pastor tak się bacznie przyglądał wyrazistej twarzy potężnego człowieka, że wbrew zwyczajowi zaczął się mylić w cytowaniu tekstu z Biblii.

W<sup>^</sup> takim nastroju, pełnym sprzeczności i domysłów, był pastor Ramer w okresie, gdy dostał zlecenie udzielenia ślubu Adelajdzie i młodemu Dagowi Bjórndalowi. Było to dla niego niespodzianką, zaskoczyło go to i potrzeba mu było czasu, aby zebrać myśli. Potem zorientował się, że to przecież należy do jego obowiązków, że trzeba je wypełnić mimo wszystko. Dotychczas lękał się zetknięcia z tym bogatym odludkiem, gdyż go nie rozumiał, nie miał dostępu do duszy twardego chłopca z północy, a tu nagle jego krewna pragnie zespolić się z tymi nieprzystępnymi ludźmi. Stał wobec tego zdarzenia nieporadny, wstrząśnięty. Wiedział, że Bóg °iu dopomoże w zamierzeniach, był tego pewien; napisał więc

do majora i oddał dom swój na tę ostatnią noc przed ślubem do dyspozycji narzeczonej, a gdy witał ją i ojca jej, miał na ustach modlitewne niemal słowa, tak był wzruszony faktem zjawienia się ich w jego progach.

Pastor nie znał, nigdy dotąd nie widział swych krewnych; słyszał tylko o rozwiązłym życiu majora i piękności Adelajdy, o jej zaletach. Zyskiwała w jego oczach dzięki temu, że ją wychowywała babka Kamerowa. Bardzo był rad, że major zostawił córkę i pojechał do dworu w Bjórndal. Szło mu przecież tylko o córkę, ją chciał mieć pod swoim dachem przez wzgląd na czcigodną tradycję i jeszcze inne sprawy. Poczował się do obowiązku spróbowania, czy mu się uda pozyskać Adelajdę dla idei i w ten sposób dotrzeć do tego zamkniętego dla niego kraiku, z czasem może i do serc tych ludzi.

Gdy Adelajda po odjeździe ojca przebrała się i zeszła na dół, pastor długo stał przed nią. Przyglądał się jej. Przemiały, subtelny uśmiech ma ten nie znany jej dotychczas kuzyn, dobre, przyjaźnie patrzące oczy, ale gdy zauważyła w nim podziw dla swej piękności przy tak długotrwałym milczeniu, zarumieniła się gwałtownie. Po chwili na twarz pastora padł jakby jakiś cień — smutek, melancholia. Widział teraz jasno, że niezwykła uroda i wybitne wykształcenie Adelajdy sprawiły, że wybrano ją na panią leśnego dworzyszczka, a przypuszczał jak wielu innych, że dziewczynę przyciągnęła oślepiająca potęga bogactwa.

Ale gdy później przy wieczerzy mówił z Adelajdą, nie wspomniał ani słowem o swych przypuszczeniach. Mówił tylko bardzo subtelnie, a zarazem prosto o miłości i o tym, jakie to szczęście pojąć za męża człowieka, którego się kocha.

Później kiedyś miał dziękować Bogu za to, że nie zraził sobie na zawsze dumnej krewniaczki przez wyrażenie jej współczucia. Przedstawił Adelajdzie, jakim to ważnym wydarzeniem w życiu człowieka jest wstąpienie w stan małżeński. Z całą ostrożnością i delikatnością wspominał o obopólnych obowiązkach małżeńskich — nie tylko w stosunku do rzeczy doczesnych. Wskazywał, że trzeba być i stać wzajem przy sobie w sprawach zbawienia duszy i żywota wiecznego.

Bardzo prosto i rozumnie tłumaczył jej, iż jej obowiązkiem jest być dobrym duchem swego męża i wniesić w darze do jego domu

te wszystkie zalety i zasady, które w nią wpoila babka, przechowywać je, rozwijać w swym otoczeniu, jak też i w tym duchu wychowywać dzieci, jeśli je kiedyś będzie miała.

Adelajda była tym wszystkim, co ją teraz oczekiwało, bardzo nerwowo wyczerpana i dlatego te cicho wypowiedziane serdeczne słowa pastora zrobiły na niej tak gwałtowne wrażenie, że nie mogła dłużej nad sobą panować. Łzy trysnęły jej z oczu strumieniem.

Pastor w pierwszej chwili spojrział zdziwiony, ale potem podszedł do niej i pogładził delikatnie jej piękne, gęste włosy.

— Życie przynosi niejedno zmartwienie — rzekł — wiem również, że i ciebie dotychczas życie nie oszczędzało. Pan Bóg cię doświadczał, ale patrz pogodnie w przyszłość, moje dziecko! Bóg cię nie opuści. Z jego wiedzą wszystko się dzieje, na pewno ma swoje względem ciebie plany. Pamiętaj: nie zapominaj o Panu, gdy będziesz miała ciężkie chwile w życiu. Pamiętaj też, że jestem Jego sługą i tu na plebani! jestem, i o tobie myśleć będę, czekać cię będę zawsze, ażebyś do mnie przyszła nie tylko w chwili troski, ale i podzieliła się też i radością. Pamiętaj, Adelajdo, przyjdź, kiedy tylko dusza twoja tego zapagnie!

V

-/Adelajda tej nocy długo nie mogła zasnąć. Wstała wreszcie, podeszła do okna i spojrzała w kierunku północnym. Ciemno było wokół. Pragnęła przebić wzrokiem ciemności, przebiec wzgórza, skały, lasy i doliny

1 dotrzeć aż do samego Bjórndal... Czy też tam również jest jeszcze światło w oknach? A czy Dag jest w domu? Może w lesie? O czym myśli w tej chwili? Aż zadrżała z zimna i lęku. Czy jest szczęśliwy, że ona zostaje jego żoną? Tak zupełnie, bezgranicznie szczęśliwy? A może gnębią go wciąż wątpliwości, które w nim stale wyczuwała, od czasu gdy ubiegłej jesieni po raz pierwszy się zobaczyli w Bjórndal? Przyjechała wówczas powozem z ojcem

2 Borgland w odwiedziny do starego przyjaciela, kapitana Klingego, który przez ostatnie lata życia był pisarzem w Bjórndal.

19 A lasy wiecznie (plewał

«og



Patrzyła w ciemność i przypominała sobie, jak to ujrzała po raz pierwszy Daga w podartym ubraniu, z zakrwawionym opatrunkiem na ramieniu po walce z orłem, jaki był piękny, jak dumnie wyglądał! Przypominała go sobie w ten przepiękny dzień Bożego Narodzenia, po którym spała wieczorem w pokoju panny Doroty. Jakim nieśmiałym, pełnym podziwu wzrokiem wpatrywał się w nią, nie mówiąc prawie ani słowa. Myślała o niebywałym wrażeniu podczas wieczoru wigilijnego w Bjórndal i w czasie przyjęcia w Borgland, z którego wracała w towarzystwie Daga pełna melancholii i smutku, i o tym ostatnim wieczorze, gdy Dag powiedział jej tylko dobranoc i uciekł do lasu, i nie powrócił do domu, gdy następnego rana wyjeżdżała z ojcem.

Przeżywała jeszcze raz wszystkie swe lęki i z wątpienia, które ją potem po powrocie do miasta ogarnęły, i jak w końcu strapiona i bezradna dała słowo aptekarzowi, że zostanie jego żoną.

Przypomniała sobie również ostatnią podróż do Bjórndal do śmiertelnie chorego kapitana, a potem jego pogrzeb — całe lato spędzili wówczas z ojcem w Bjórndal — i jak później wędrowała udęczona po ogrodzie pełnym róż i po wszystkich przepięknych zakątkach Bjórndal... Stał jej w pamięci również ów spacer z ojcem Dagem, który ją wprowadził na górę na północ od dworu. Pamiętała widok roztaczający się stamtąd, taki bezkresny, sięgający hen daleko poza lasy i wzgórza okoliczne... Tak szerokiego horyzontu, jak długo żyła, nie widziała.

Również przypominała sobie swe ostatnie porachunki z życiem tu właśnie, w Bjórndal, gdy miała zamiar poddać się losowi i po powrocie do miasta przyjąć oświadczenia starego aptekarza, stać się jego aniołem opiekuńczym, żoną-pielegniarką.

Następnie ostatni wieczór w Bjórndal: gorzkie łzy przy pakowaniu rzeczy w gościnnym pokoju i lęk przed pożegnaniem uroczystym w czasie obiadu w starodawnej sali. Nagle, gdy rozpacz jej już dochodziła do zenitu, ojciec Dag powiedział wręcz nieprawdopodobne słowa, że syn jego jest w niej zakochany. Pamięta dobrze, jak ją naprzód ogarnęło zażenowanie, a potem radość i lęk, że to niemożliwe. Dag przecież nie może być w niej zakochany.

W modlitewnym nastroju przypominała sobie, jak to Dag tego samego wieczoru w na pół ciemnym pokoju podszedł do niej

i pocałował ją. Był to jedyny pocałunek do dzisiaj — i zrozumiała wówczas, że było prawdą to, że on ją kocha...

Adelajda siadła i drżąc z zimna, oparła łokcie na parapecie okiennym. Zapatrzyła się w ciemność panującą na dworze. Lęk iakby ulatywał w tę ciemność i wracał potem jeszcze silniejszy, i przytłaczał ją swym ciężarem.

Od tego czasu wszystkie sprawy załatwiał ojciec Dag z jej ojcem. Młody Dag nie napisał ani jednego listu, ani jednego słówka. Za każdą bytnością u nich ojciec Dag przywoził niby ukłony od syna, ale Adelajda była przekonana, że syn wcale ich nie przysyłał... Stary Dag przywiózł jej kiedyś klejnoty: ciężki, złoty łańcuch i parę pierścionków. Powiedział, że to od syna, ale syn pewno zielonego pojęcia o tym nie miał. Syn i ojciec prawie nigdy ze sobą nie mówili. Przynajmniej podczas jej długiego pobytu w Bjórndal tak było. Nie wynikało to, broń Boże, z jakichś wrogich nastrojów, przeciwnie: bardzo się kochali, ale młody Dag był z natury bardzo milczący, a ojciec odnosił się jakby z pewną nieśmiałością do syna. To, co szło naprzeciw Adelajdy, było dla niej zagadką, jakby bez początku i końca, czymś bez kształtu i dźwięku, ale jednak istotnym, istniejącym, falą lęków i zwątpień.

A jeżeli Dag się rozmyślił? Jeśli jej nie pragnie, nie chce? Jeśli tej nocy uciekł do lasu, tak jak to uczynił ostatniego wieczoru ich pobytu w Bjórndal na Boże Narodzenie i wiele, wiele razy w lecie, i nie wróci — Boże, Boże! — do domu na jutrzejszą uroczystość, bo nie pragnie związku z nią?... Albo jeśli mu się coś stanie? Bo niebezpieczne są lasy bjórndalskie, pełno w nich niedźwiedzi, wilków i różnego innego dzikiego zwierza, pełno w okolicy skał niedostępnych i przepaści, i rwących wodospadów. A Dag taki jest nieuważny, tak nieostrożnie obchodzi się z naładowaną strzelbą... Tak łatwo o strzał nieprzewidziany...

Adelajda przemarznięta do szpiku kości wtuliła się z powrotem w; wyiębioną pościel. Zimno było w mieszkaniu pastorostwa, zimno i nieprzytulnie, a na nizinach brak było lasów. Dla plebanii wyznaczono tylko mały kawałek lasu; muszą więc oszczędzać °pał, nieomal tak jak niezamożni ludzie w miastach. Palił się tu ^prawdzie ogień pod kominkiem, ale dawno już wygasł. Adelajda mimo woli znów pomyślała o dniach spędzonych podczas

świąt Bożego Narodzenia w Bjorndal: na dworze trzaskający mróz, ale w pokojach cały dzień pali się w piecach, trzeszczą polana aż w uszach huczy; parobcy i dziewczki znoszą drzewo od wczesnego ranka w wielkich koszach. W panińskim pokoiku, gdzie sypiała, leżało porąbane sosnowe drzewo, ułożone aż pod sufit. Można było palić i dokładać, ile tylko dusza pragnęła.

Ach, ten paniński pokój! Adelajda skurczyła się z zimna i głębiej wcisnęła się w poduszkę. A lam daleko stało takie wielkie, ciepłe łóżko! Przywędrowało ono z daleka, z końca świata do wytwornego domu kupca Holdera, a stamtąd poszło do Bjómdal wraz z córką jego, panną Dorotą, która aż do śmierci w nim sypiała. Dlatego pokoi ten miał nazwę panińskiego i dlatego wszystko w nim było takie wytworne i eleganckie. W szufladach i komodach pełno było kosztownych strojów i przedmiotów ze srebra. Nad łóżkiem wisiał krucyfiks z kości słoniowej, złota i srebra. >

Ach, to ogromne łóżko panny Doroty było takie rozkoszne i przyjemne, i przestronne. Mogło zastąpić dom cały. Gdy na dworze szaleje burza, dobrze się w nim leży, tak w nim ciepło i bezpiecznie ipod osłoną krucyfiksu.

Jutro już tam znów będzie spać. Czy naprawdę? Nagle zrobiło jej się gorąco pomimo zimnej pościeli. Już nigdy sama spać nie będzie. Jutro przecież będzie mężatką. Gdzie też będą jej i Daga pokoje?

Dag już od lat dziecięcych zamieszkiwał w oficynie, w dawnej izbie czeladnej; sam jeden ze swoimi sieciami, wędkami, psami i zbroją. Nie było tam okna, tylko wielki komin pośrodku. Był to najstarszy budynek w Bjorndal. Nie było to chyba pomieszczenie dla pary małżeńskiej. W pokojach sypialnych w dawnym domu mieszkał ojciec Dag, który nie lubił zmieniać swoich zwyczajów. Tu był i tu chciał pozostać. Ale chyba ułoży się wszystko i dostaną jakieś pokoje w nowym budynku.

Ilekoć dotychczas myślała o pobycie w Bjorndal, zawsze radowała się, że spać będzie w tym przytulnym, zacisznym panińskim pokoju; wszystko ją tam radowało i bawiło, najmniejszy drobiazg. Albo balkon z tego pokoju, na którym spędziła niejedną noc i wieczór i z którego roztaczał się widok na całe osiedle, aż po Hamarrbó. Teraz dopiero uprzytomniła sobie, że ten za-

ciszny kątek już do niej należeć nie będzie. Ale czy nie mogliby tam we dwoje zamieszkać, ona i Dag? Nie, trudno sobie było wyobrazić potężną postać Daga pomiędzy falbankami i walan-sjenkami, które pozostały po panie Dorocie. A psy? Pełno by było śladów łap ich na dywanie i na skórze z rysia przed łóżkiem, porzucone puszkami z nabojami po wszystkich kątach i topór pomiędzy flakonikami i pachnidelkami panny Doroty i różnymi srebrnymi przedmiotami na komodzie przykrytej subtelnie haftowaną serwetką. Nie, na to Dag by się nie zgodził i ona też nie.

Po raz pierwszy odczuła różnicę pomiędzy tym, co ona lubi, rzeczami subtelnymi, delikatnymi, wytwornymi, a upodobaniami Daga do wszystkiego, co jest proste i zwykłe, naturalne. Starła się jednak pocieszyć, przypominając sobie zaraz, jak interesująco wyglądał na balu w dzień Bożego Narodzenia w Borgland, jak mu dobrze było w śnieżnobiałej kryzie pod szyją i przy mankietach, z porządnie uczesаныmi włosami i jaka godność biła od całej Jego wysokiej, szlachetnej postaci. Ale na co dzień to był Dag taki jak wówczas, gdy go poznała: zaniedbany, w podartym ubraniu, przynoszący ze sobą z lasu zapach igliwia i dziczyzny. I takiego właśnie kochała, ale tamtego pięknie ubranego też, tylko w inny sposób. Nie będzie jednak czuł się dobrze tam, gdzie ona by chciała zamieszkać. Ale dlaczego to ona właściwie ma się do niego przystosować i tam zamieszkać, gdzie on pragnie?

Dla niej mieszkaniem z bajki był ten pokój paniński, tak jak go niegdyś panna Dorota, o duszy tkliwej i subtelnej, z takim wdziękiem urządziła. Dla niego ulubionym miejscem był półmrok oficyny wraz z ulubionymi przedmiotami, niezbędnymi dla mieszkańca lasu, który się nie potrafi obejść bez swych legawców. ' Teraz dopiero, tej ostatniej nocy uprzytomniła sobie istotną prawdę różnic zachodzących w ich upodobaniach oraz intymność pożycia małżeńskiego. Odsuwała dotychczas od siebie te sprawy, nie chciała o nich myśleć, a jednak z takich spraw składa się życie. Była teraz sama ze swymi myślami, osaczały ją i cisnęły się wkoło niej wszystkie naraz w wilię dnia, w którym się marzenia miały zamienić w rzeczywistość. Już nie będzie sama spać w tym wielkim, wygodnym łóżku. Przedtem serce jej było przepełnione radością, teraz gościły w nim inne uczucia. Adelajda Barre dotychczas przeważnie myślała tylko o sobie. Doszła tak

do lat dwudziestu siedmiu i znalazła się nagle w wirze, który ją wciągał w coś nowego, w coś, czego sama pragnęła, ale wolałaby, aby to coś nie przychodziło tak szybko. Bieg spraw nie dawał czasu na przemyślenie ani wzięcie się w nową sytuację.

Podczas tych wszystkich godzin, w ciągu których myślała o Dagu, każda inna myśl tłumiona była przez wzrastającą radość. Ma go poślubić, już, niedługo! Tyle już o nim myślała, ale wątek tych myśli wciąż się rwał, niewiele, za mało o Dagu wiedziała... W tę ostatnią, bezsenną noc myśli jej wybiegały jakby na poszukiwanie punktu oparcia, prawdy w obronie jej własnego ja, z pewnego jakby lęku o przyszłość. Uprzytomniła sobie po raz setny chyba, że przez ten cały czas nawet dziesięciu zdań z nim nie zamieniła. A jutro ślub... Ma się z nim związać na dobrą i złą dolę, ma być jej towarzyszem, przewodnikiem w życiu i władcą... Nie zna go, nie wie nawet, gdzie będą mieszkać; dziwiło ją to i niepokoiło. Nic w ogóle nie wie. Długo jeszcze leżała lękiem przejęta, ale potem uprzytomniła sobie, że tyle kobiet przed nią było w tym samym położeniu. W ich mieście większość dziewcząt wychodziła za mąż mając szesnaście lat, często nawet piętnaście. Szły w życie nie mając pojęcia o nim, nie znając prawie swego przyszłego męża. W jej wieku niektóre mają już po ośmioro, dziewięcioro dzieci. Są już prawie matronami, nie po-znawszy życia. Ona natomiast dużo czytała i rozumiała; poza tym obracała się wśród ludzi i podświadomie przynajmniej wiedziała, co ją czeka. O, tak, bo ludzi nie poznaje się tylko na podstawie tego, co mówią; w jej wieku dużo można zrozumieć otwierając szeroko oczy i uszy. Podczas pobytu w Bjórndal przyglądała się bacznie wszystkiemu i obserwowała Daga, a także zdołała poznać jego ojca, i choć nikt jej tego nie mówił, czuła w głębi duszy, że może spokojnie patrzeć w przyszłość.

Raz jedyny po owym pierwszym spotkaniu w Bjórndal prosiła Boga, ażeby pozwolił jej zostać żoną Daga, być mu towarzyszką •w dobrych i złych dniach i żeby zesłał na nią karę, gdyby go zawiodła w czymkolwiek. A tymczasem dziś, gdy się marzenie spełnia, poddaje się jakimś zwątpieniom...

Łóżko wreszcie się rozgrzało i Adelajda wyciągnęła się w całej długości, poprawiła się na poduszkach, zamknęła oczy i dała się ukołysać radosnym marzeniom.

## VI

Wszystko odbyło się jak należy. Major Barre przyjechał po córkę na plebanię w powozie zaprzężonym w wielkiego ogiera, karosza. Powoził dozorca parobków, Syver Bakpaa. W kościele było tłoczno. Przybyło mnóstwo ludzi jak na wielkie święto. Pastor przemawiał bardzo poważnie, jasno. Słowa jego trafiały do serc obecnych. Głęboko wzruszony, pełen namaszczenia, udzielił błogosławieństwa ślubnego młodej parze. Wszystko odbyło się uroczyście, jak tego sobie ojciec Dag życzył, na ślub bowiem miało przybyć sporo gości z miasta i z okolicznych majątków, usposobionych krytycznie do chłopskiego ślubu.

Do Bjórndal sunął potem długi sznur pojazdów. Wszyscy dotarli na miejsce szczęśliwie. Po przybyciu dano gościom wódkę według starego wiejskiego zwyczaju i zimne mięsiwa. Ot tak, gdzie kto stał lub siedział, tam sobie podjadł. W świetnych humorach siedli wszyscy do uczty weselnej w wielkiej sali; podczas jedzenia śpiewano, wznoszono toasty, trącano się kieliszkami, zupełnie tak jak to jest w zwyczaju w mieście. Wznoszono toasty na cześć młodej pary, na cześć króla, no i oczywiście za zdrowie gospodarza i wolnych chłopów norweskich. Stoły ugiwały się pod masą potraw, jak to zwykle w Bjórndal bywa przy każdej uroczystości. Wszystko szło wprost nad podziw składnie. Lało się wino, wódka, piwo, a dla każdego gościa było nakrycie z najpiękniejszego srebra. Dorodne, barwnie ubrane dziewczęta ze dworu i osiedla usługiwały bardzo zręcznie, bezustannie wносиły jakieś potrawy. Ludzie z miasta byli zaskoczeni, olśnieni tym wytwornym przyjęciem w chłopskim domu: zamieniali ze sobą znaczące spojrzenia. Oczywiście i radca Gabbe spojrział przez szkła mętym wzrokiem na żonę. Wiedziano, że tu w Bjórndal przez osiem-, dziesiąt lat kierowała wszystkim, co było poza codziennym życiem, pewna kobieta. Aż do sędziwego wieku pilnowała i przestrzegała dobrych obyczajów we dworze, kierowała kuchnią, szykowała święta, przyjęcia, dbała o to, ażeby potrawy były smacznie przyrządzane. Nazywała się Ane Hamarrbó i była spokrewniona z rodziną Bjórndalów. Jeszcze za życia Ane Hamarrbó stery Dag Bjórndal pojął za żonę jedną z pierwszych panien w mieście,

Teresę Holder, która postanowiła, że utrzyma obyczaje strzeżone przez Ane, wprowadzając niewiele tylko z nowoczesnych, przyjętych w mieście. Potem, jeszcze za życia Teresy, panna Kruse nauczyła się tego wszystkiego i przejęła zarząd gospodarstwem.

Goście wcale nie mieli czasu zastanawiać się nad tym, czy to wszystko tak się odbywa jak w mieście, gdyż byli zajęci kosztowaniem smakowitych potraw. Zjawiały się coraz to nowe produkty kniei, lasów, gór i wód, obór i pól bjórndalskich.

Wychylają poncz z wielkich pucharów. W bocznych pokojach starzy grają w karty. Z wielkiej sali dochodzą dźwięki muzyki. Tańczy młodzież i wszyscy nie nazbyt starzy i nie nazbyt w nogach słabi.

Ale są i tacy, którzy ani nie tańczą, ani też nie grają w karty — ci gromadzą się w dużej sali albo w przyległych salonikach, skąd można obserwować ruch gości. Tam pochylają się jedni ku drugim, krytykują wszystko, co widzą, i wszystko, co się w ciągu dnia działo.

Na uboczu w kąciku siedziała ciotka Adelajdy, panna Eleonora. Miała na sobie suknię z ciężkiego jedwabnego adamaszku, suto ufaldowaną. Nie była to modna szata... Nie!... I suknia, i właścicielka jej pochodziły z dawno minionego okresu. Niegdyś suknia miała wielkie wycięcie, obecnie była zapięta pod samą szyję;

baczne, złośliwie penetrujące oko dojrzałoby przeróbki powstałe z biegiem lat i w miarę starzenia się panny Eleonory.

Ciotka Eleonora była dzieckiem bardzo lekkomyślnej epoki. Ale była jednak córką anglikańskiego biskupa i cnotliwej jego żony, znanej z surowych zasad. Te zasady uczyniły z niej postrach otoczenia. Dlatego życie panny Eleonory inaczej się ułożyło niż życie dziewcząt z owego czasu. Podobno w młodości kochała, ale usłyszawszy coś o kawalerskich eskapadach swego narzeczonego, zerwała z nim i odsunęła się od życia. Czy w późniejszych latach tego żałowała? Nie dawała tego po sobie poznać, ale z wielkim zainteresowaniem w tej chwili śledziła Adelajdę i Daga. Adelajda podchwyciła spojrzenie, jakim ciotka obrzuciła jej wybranego, i nie zapomni go nigdy. Adelajdzie wydawało się, jak gdyby ciotka wczuła się, wmarzyła w jej rolę i wyobraziła sobie, że to ona jest narzeczoną Daga. Dziś dopiero spostrzegła

podobieństwo, jakie zachodziło między nimi. Pochodziły bądź co bądź z tej samej rodziny. Dotąd była pewna, że ciotka już nie ma powiązań z życiem. Poza pozorną obojętnością jednak może szarpały ją nie zaspokojone uczucia, zawiedzione plany i nadzieje... Żal jej było ciotki, ale jednocześnie odczuła głęboką wdzięczność dla losu, że jej życie inaczej się układa. Ale że wszystko, co- się z nami tu dzieje, ma głębsze znaczenie, więc i to, co podchwyciła, co skonstatowała, wydało jej się cenne i ważne. Dotychczas bowiem uważała, że powinna wszelkie ciepło i serdeczność hamować, opanowywać się. A przecież, nie, nie! Wolno jej się radować. Tak! Pałające spojrzenie ciotki! Ono to dodało jej odwagi i bodźca do porzucenia rezerwy w stosunku do Daga i stania się serdeczną, naturalną dla poślubionego wobec Boga i ludzi ukochanego męża.

Ciotka Eleonora siedziała sztywno wyprostowana w wysokim fotelu, suknia w ciężkich fałdach spływała wkoło niej na ziemię. Światło padające na jedwab wydobywało zeń krwawoczerwony połysk, reszta sukni wpadała w czern. W oczach jej igrały takie same światła. W cieniu rzęs wydawały się czarne, a w blasku świec — niebieskie. Gdy tylko wzrok jej napotkał Adelajdę i Daga, ożywiały się i mieniły blaskiem młodości.

Przybyła tu, ażeby poznać „tych ludzi” i stosunki, w których odtąd Adelajda ma żyć. Przybyła bardzo krytycznie usposobiona. Poprzedniego dnia była zła, że Adelajda została na tę noc na plebani! nie porozumiewszy się z nią. Bacznie się wszystkiemu przyglądała, ale nie odniosła najmniejszego choćby ujemnego wrażenia. Musiała przyznać, że gospodarz bardzo godnie się zachowywał i zupełnie dobrze był ubrany; zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażała. Nie tylko ona jedna była tego zdania... To samo mówili goście weselni, którzy starego Daga dotąd nie znali. Wytrąciło ją to nieco z równowagi. Była też bardzo ciekawa pana młodego, ale nie pokazał się wcale poprzedniego wieczoru. Ludzie z Bjórndal — pomyślała — żyją według własnych kanonów życiowych.

Przybyła tu jako jedyna krewna Adelajdy ze strony matki, pragnąc jej służyć opieką, ale szybko się spostrzegła, że to jest zbędne. Przyjrzała się bowiem ojcu i synowi, gdy w odświętnych ubraniach szli do stołu. Doszła do wniosku, (o ile to nie jest



chwilowe wrażenie), iż może być dumna, że siostrzenica jej zawierzyła przyszłość swą tym ludziom. W końcu zupełnie była oczarowana szerokim gestem przyjęcia, zachwycona zabawami w tyłu pokojach, najwięcej jednak spokojnym, poprawnym sposobem bycia obu mężczyzn. Czuła się tak, jakby i ona miała coś wspólnego z tym wszystkim, jakby brała czynny udział w wielkim wydarzeniu życiowym.

Od dawna zżyła się z tym, że rodzina w jej życiu jest czymś minionym, że nikt już z jej najbliższych nie żyje. Tu najniespodziewaniej uprzytomniła sobie, że ci ludzie od teraz będą jej najbliższymi, że rodzina jest, istnieje! Od tej chwili zaczęła spoglądać na wszystko innymi oczyma.

Teraz już pojęła Adelajdę, patrzyła na nią ze zrozumieniem, na Daga zaś nieomal z uwielbieniem, a na ojca Daga, od chwili gdy znalazła się pod wrażeniem jego spokojnej osobowości, z szacunkiem. Zauważyła kąpiący uśmiech na jego ustach, gdy wnoszono patetyczny toast na cześć chłopów norweskich, i wyczula w jego zachowaniu lekką pogardę, gdy goście z miasta, piastu- , jacy tamże urzędy, dawali do zrozumienia, że zrobili łaskę przybywszy na chłopskie wesele. Była dumna z tych ludzi i ich bogactwa, tak jakby to jej było, dumna była niepomrotnie, że stary się tak okazał prezentuje i że młody ma taką wspaniałą postawę, że jest tak dobrze ubrany. Dopiero na nich uwydatniała się z całą wyrazistością napoleońska obcisła moda, a nie na chuderlawych miejskich postaciach. Ci wspaniali ludzie są od tej chwili jej krewnymi. Dotąd niewiele z nimi mogła obcować, ale na pewno będzie miała sposobność poznać ich bliżej. Jeśli ktoś podobał się pannie Ramer — starała mu się dobrze przyjrzeć i poznać go do głębi.

Siedziała teraz skromnie, tak jak przystoi samotnej niewieście, w dalszym ciągu wyprostowana i bacznie obserwowwała wszystko, co się dzieje na sali oraz w sąsiednich pokojach. Nastawiała uszu, ażeby usłyszeć, co ludzie mówią. Wara teraz komukolwiek z miasta kipić albo pogardzać. Drogo by kiedyś za to zapłacili. Panna Ramer była osobą ustosunkowaną i miała wpływy wśród ludzi. Znana była z uszczypliwości, potrafiła każdemu prosto w oczy powiedzieć, co o nim myśli.

Major Barre powiedział staremu Dagowi, że panna Ramer jest

według niego najmniej pożądanym gościem na tym weselu. Niebezpieczna kobieta, plotkarka, ale trudno ją jednak było pominąć. Bjorndal niewiele wagi przywiązywał do słów majora, liczył się z tym, że panna Ramer jest jedyną żyjącą ciotką\* Adelajdy i w najbliższej przyszłości będzie należała do rodziny.

Już późniejszym wieczorem zamienił w przelocie parę słów z Adelajdą, z których wynikało, że jest ona bardzo przywiązana do tej ciotki. Z tego powodu ojciec Dag, przechadzając się wśród gości, wypatrywał panny Eleonory. Zobaczył ją z daleka. Siedziała jak nadęty paw, dumna niczym królowa; musiał się przemóc, ażeby zbliżyć się do kogoś, o kim słyszał, że niebezpiecznie jest się z nim zetknąć. Ale ojciec Dag niejednemu niebezpieczeństwu już w swym życiu spojrzął w oczy i jak dotąd nikogo i niczego się nie lękał. Od dziś będzie wesoło i gwarno wokół niego. Gdy syn się uda do lasu, pozostanie Adelajda i będzie w niej miał towarzyszkę, a jej ojcu, który tu z pewnością często przyjedzie, będzie również milej na stare lata. Pojawią się dzieci... Aż gorąco mu się robiło z radości, gdy sobie to uprzytomniał. Jeszcze nigdy nie spoglądał w przyszłość z taką pogodą i radością jak dzisiaj. Podpił sobie nieco, jak zresztą całe towarzystwo, i był w świetnym humorze.

Panna Ramer drgnęła, i to bardzo widocznie, gdy ujrzała idącego w jej stronę starego Daga. Bezwiednie zupełnie zaczęła się wachlować, gdy wziął sobie krzesło i usiadł obok niej. Potem opuściła wachlarz na kolana i zaczęła się bawić swymi ciężkimi, złotymi bransoletami, przesuwając je to w jedną, to w drugą stronę. Od chwili gdy sobie uprzytomniła, że Dag staje się jej bliskim krewnym, po raz pierwszy nabrała odwagi przyjrzeć mu się z bliska. Odzyskała panowanie nad sobą i zaczęła go lustrować swymi przenikliwymi oczami; czyniła to ostrożnie, aby niczego nie spostrzegł. Nigdy w życiu nie widziała lepiej upliso-wanego i bielszego żaboty. Nie brakowało również złotej pieczętki do laku przy łańcuszku od zegarka. Przeważnie mężczyźni nosili kilka brzękających breloków, ten bogacz nosił tylko jeden.

— Obserwujesz tańczących? — spytał ojciec Dag.

Panna Ramer przez chwilę była nieco zaskoczona tym niespo-

dziewanym „tykaniem”, ale powiedział to jakoś naturalnie, a od dzisiaj jest to właściwie już na miejscu.

— Tak — odparła — przyglądam się i wesele radością młodzieży. Cieszę się, że los pozwala Adelajdzie żyć wśród tak sympatycznych ludzi i w tak miłych warunkach.

Może trochę za wiele i za szczerze powiedziała, ale to jej się jednak dość często zdarzało.

Ojciec Dag podniósł jedną brew w górę i spojrzał na nią przelotnie. Czyżby to, co powiedziała, było szczere, czy też myślała co innego? Jednakże w jasnych, przezroczystych oczach panny Eleonory nie widać było ani źdźbła fałszu czy obłudy. Zauważył w tej chwili, że jest wielkie podobieństwo pomiędzy Adelajdą a ciotką i przeszło mu przez myśl, że synowa kiedyś po latach będzie tak samo wyglądała, będzie rządzić tu we dworze, kiedy on już od dawna będzie spoczywał w grobie. Przez chwilę spoglądał w melancholijnym zamyśleniu i przed siebie, potem podniósł energicznym ruchem głowę. Nawet mu przez myśl nie przeszło — tak jak by to uczynili inni na jego miejscu — udawać zażenowanie lub skromnie zaprzeczyć uprzejmym słowem, aby usłyszeć jeszcze raz to samo. Udał po prostu, że ich nie zauważył, i powiedział:

— Przypuszczam, że sprawiłoby to przyjemność Adelajdzie, gdybyś tu na pewien czas pozostała, może tak przez Boże Narodzenie.

Nieraz już ją zapraszano, ale nigdy w ten sposób, ażeby od razu zaofiarować gościnę na dwa miesiące. Wiedziała dobrze, że ludzie obawiali się jej ostrego języka i nie pragnęli jej towarzystwa na dłuższy czas. Co powie na to nowa pani na Bjórndal? Z pewnym wahaniem odrzekła, że bardzo mu jest wdzięczna za zaproszenie, ale w mieście ma mieszkanie i służącą, że ze względu na Adelajdę może tu po weselu pozostać przez jakiś czas, ale żeby aż do Bożego Narodzenia... Tu przypomniała sobie, co major opowiadał w mieście o świętach, które spędził w Bjórndal, i spojrzała teraz ojcu Dagowi prosto w twarz.

— Boże Narodzenie u was? Słyszałam, jak pięknie tu spędzili święta major z Adelajdą. Jeśli jednak pan na serio... jeśli to jest twoim życzeniem... to przyjadę na Boże Narodzenie.

Ojciec Dag jak zwykle naprzód pomilczał przez chwilę, potem

odrzekł, że chyba sama wie, czego chce i jak ma postąpić, a co do niego, to mówi zawsze to, co myśli, i na serio.

A więc ten człowiek nie lubi, aby jego słowa rozumiane były jako zdawkowe formuły grzecznościowe. O mały włos nie wyszła ze swej zwykłej rezerwy, chcąc mu położyć dłoń na ramieniu, ale zamiast dokończyć gestu, wypuściła tylko wachlarz z ręki.

— Wiem, że pan, że... ty to szczerze myślisz... V/ mieście jesteśmy przyzwyczajeni do fałszu i obłudy na każdym kroku. Jeśli Adelajda będzie sobie tego życzyła, pozostanę teraz przez parę dni, a bardzo będę rada, jeśli mi będzie wolno przyjechać na święta.

Ojciec znów jej się przyjrzał, ale po raz drugi skonstatował, że wygląda na osobą szczerą, a to, co major o niej opowiadał, było na pewno następstwem jego własnych grzeszków. Bo stary Dag dobrze się orientował w słabych stronach majora.

Panna Ramer i gospodarz na Bjórndał siedzieli sobie we dwójkę na uboczu, przypatrując się sobie ukradkiem. Wokół nich kipiało życie, słyhać było gwar i strojenie instrumentów w wielkiej sali. Ojciec Dag przyglądał się jej staromodnej sukni i wdychał dyskretny zapach jej perfum. Przyszły mu na myśl dawne czasy. Przypomniała mu się zmarła żona, kobieta o wspaniałej postaci i jej subtelna, delikatna siostra, panna Dorota. Obie stanęły mu jak żywe w pamięci. Gdy zabrzmiała jakaś stara melodia, taniec, który znał, podniósł się nagle i skłonił przed panną Eleonorą. Wylękniona i przerażona zapewniała go, że już tak dawno nie tańczyła; jakby wcale nie słyszał — uśmiechnął się tylko. Wszyscy goście szeroko pootwierali oczy, gdy zobaczyli pannę Ramer w staroświeckiej sukni wchodzącą do wielkiej sali pod rękę z gospodarzem. Podnosili się od stolików, od wódek, od kart, stawali w drzwiach i patrzyli, gapili się na ten widok niezwykły.

Ojciec Dag doszedłszy do wniosku, że z tańcem nie najgorzej idzie, zaprosił potem do tańca narzeczoną. Było to zupełnie nalu-raine i przyjęte na tego rodzaju weselach. Długo potem opowiadano sobie v/ mieście, jaki to był śliczny obraz: Adelajda tańcząca na swym weselu w wielkiej sali w Bjórndał z ojcem Da-giem.

Bo stary, tak jak i inni, był oczarowany tym wszystkim, co się wokół niego działo, i dał się porwać weselnemu nastrojowi. Piękna

uroczystość, świetne wino, muzyka działały na niego upajająco. Tańczył wyprostowany, oczy mu błyszczały, w ciepłe włosy mu się na głowie sfalowały. Słowem, tak wspaniale wyglądał, że trudno było go poznać.

## VII

J uż zapadła noc, a szczodra gościnność gospodarzy nie wyczerpała się jeszcze.

Obok kuchni, za bocznymi pokojami, znajdowała się komnata, która przez cały wieczór była zamknięta. Gdy już było zupełnie ciemno, panna Kruse otworzyła drzwi prowadzące do tego pokoju i poprosiła gości, ażeby weszli. Stał tam pośrodku nakryty stół, jak to zazwyczaj bywa tylko na Boże Narodzenie w Bjórndal. Uginał się wprost pod masą najwymyślniejszych potraw. I to w czasie, kiedy wojna, brak żywności w kraju i bieda dają się odczuwać nawet w zamożniejszych domach. Zrobił się wielki ruch wkoło dużego stołu, bo każdy miał sobie sam usłużyć.

Zapanował gwar, wszyscy razem wesoło i głośno mówili, rozruszali się nawet ci, którzy dotychczas zachowali chłód i pewną ceremonialność. Był to prawdopodobnie również i wpływ wódek i piwa, które bezustannie roznoszono. Potworzyły się grupy i grupki, porozglądały przy stolikach w różnych pokojach; wiwatowano, przemawiano na wszystkie strony. Opowiadano potem, że agent Rader siedział samotnie w niebieskim gabinecie i sam do siebie głośno przemawiał.

Żółty gabinet w Bjórndal był tak urządzony jak pokój Teresy Holder w mieszkaniu ojca w mieście za jej panieńskich czasów. Stamtąd pochodziły białe rokokowe meble ze złoceniami. Ściany były obciągnięte żółtym adamaszkiem. W tym to pokoju siedziały najwytworniejsze damy z wyjątkiem tych, które poszły na... inspekcję innych pokojów, pragnąc przy sposobności rzucić okiem na swych mężów lub obejrzeć coś, co by im potem służyło za temat do rozmowy i kpin. Te, które siedziały, grały w karty dla pozorów. Była to ulubiona ich gra — l'hombre; ale nade wszystko,

głowa przy głowie, nie przestawały ani na chwilę szeptać, chichotać... Obmawiano tu maniery ojca Daga i narzeczonego. Oczywiście nie darowały i Adelajdzie. Dużo tematu dała im jej ślubna suknia. Uważały, że jest za kosztowna dla panny pochodzącej z tak biednego domu, poza tym, że jest niemodna, bo właściwie zrobiona ani to według dawniejszej mody, ani obecnej. No tak, naturalnie, to gust Adelajdy, która zawsze lubiła nosić coś innego niż wszystkie kobiety. I suknia była niebieska, nie biała. Najgorsze zaś było to, że Adelajda nie skorzystała z przywilejów obcej mody, która każe nosić suknie zapięte pod szyję.

Wobec tego, że muzyka bardzo głośno grała i gwar był wielki naokoło, pozwalały sobie krytykować dość głośno suknię Adelajdy i jej zachowanie tego wieczoru, a mianowicie, że nie znać po niej miłości do męża, bo bezustannie przez cały wieczór tańczy z innymi, a po kolacji nawet się nie starała być w pobliżu niego. W zapale o brną wiania i niekonsekwencji doszły do tego, że żałowały młodego Daga, iż dostał Adelajdę Barre za żonę. Pewnie dlatego taki zamyślony i poważny. Ani razu się nie uśmiechnął — i pewnie miał powód do tego.

Wziąwszy rozpęd w oczernianiu Adelajdy stwierdziły, że Dag stanowi za dobrą partię dla niej. Wychwalały jego dystyngowany wygląd, jego zachowanie pełne umiaru i powagi. A zapomniały zupełnie o swych poprzednich zarzutach. W tej chwili uważały, że jest nawet przystojniejszy i bardziej postawny niż ona. A to bogactwo jego... Że też ta Adelajda pomimo wszystko zachowuje tę pewność siebie.

Nagle jedna z uczestniczek rozmowy chrząknęła. Wszystkie drgnęły, obejrzały się i zamilkły. Z bocznego bowiem pokoju weszła nagle panna Ramer. Z podniesioną wysoko głową przeszła przez pokój szumiąc jedwabnymi halkami, z zagadkowym uśmiechem na ustach. Szła wolno, majestatycznym krokiem.

Zaskoczone tym, spoglądały przez dłuższą chwilę w ślad za nią. Jedna patrzyła bezradnie na drugą, po chwili któraś powiedziała coś po francusku i gawęda rozpoczęła się na nowo. Zaczęły mówić o wścibstwie i zarozumiałstwie panny Ramer, o jej śmiesznej, niemodnej sukni, o tym, że chodzi po tych salonach tak, jakby była współwłaścicielką tutejszych bogactw.

Mówiły o tym oczywiście uszczypliwie, szpikując powiedzonka francuskimi wyrazami. Wybiegały z ust ich gładkie jak jedwabny adamaszek, którym obite były ściany pokoju. Jadowitość ich pasowała również do żółtego koloru tych obić.

Suknia Adelajdy powstała rzeczywiście w osobliwy sposób. Stary Dag przeczytawszy listę gości podaną przez majora, pełną nazwisk ludzi ze sfer wyższych, zatroskał się (jak zresztą o wszystko inne) o jej ślubną suknię. Dawno się już zorientował w nieświetnych warunkach życiowych swego przyszłego powinowatego i oświadczył krótko i węzłowato, że jako drugi jej ojciec ma prawo zatroszczyć się o przyzwoitą ślubną suknię. Zlecił więc majorowi, ażeby dostarczył krawcowi jedną z sukien Adelajdy i obstałował bez jej wiedzy ślubną toaletę, godną tak znamienitych gości. Pragnął, ażeby była uszyta z najdroższego jedwabiu, z przybraniami według gustu krawca.

Modne wówczas lekkie, skromne sukienki szyte były w domu, jeśli jednak miało to być coś eleganckiego, to brano do pomocy szwaczkę. Damscy krawcy nie istnieli. Ale o tym nie wiedzieli ani major, ani ojciec Dag. Major powędrował więc do starego znajomego krawca. I tak powstała według pomysłu trzech starych mężczyzn, którzy czynili to bez wiedzy Adelajdy, owa głęboko wycięta suknia z jasnoniebieskiego, zbyt jednak ciężkiego jedwabiu, z obcisłym stanikiem i szerokimi ciemnoniebieskimi haftowanymi szlakami. Haft ten był wykonany z kremowego jedwabiu i przetykany złotą nitką. Do tego był szal z tego samego jedwabiu, co suknia, miał podobne szlaki. Dół sukni opadał luźno, według mody greckiej, ale do tego fasonu znów stan był za wysoki i dekolt za wielki, jedwab za ciężki. Adelajda przy pierwszej przymiarce aż płakała, ale zażenowany major twierdził na swe usprawiedliwienie, że to ojciec Dag obrał taki fason. Nie bardzo w to wierzyła, ale swoją drogą musiała podziwiać mistrzowski krój sukni. Po paru przymiarkach leżała jak ulał, toteż Adelajda pogodziła się z myślą, że będzie musiała w niej paradować. Powiedziała sobie, że krawiec na pewno lepiej wie od szwaczek i kumoszek, co się nosi w wielkim świecie. Skonstatowała również, że przy ciemnoblond włosach i niebieskich oczach jest jej w tej sukni do twarzy.

Panna Kamer widocznie podchwyciła coś z gadaniny tych pań w żółtym pokoju, bo zatrzymała się zamyślona w drzwiach prowadzących do wielkiej sali. Następnie ujrawszy Adelajdę podnieconą i zgrzaną po jakimś tańcu, podeszła do niej z osobliwym uśmiechem na ustach i pociągnęła ją na sofę w kątku.

— Ten twój teść jest człowiekiem niezwykłym — zaczęła ciotka Eleonora. Adelajda spojrzała na nią pytająco.

— Wyobraź sobie, że mnie odszukał i długo ze mną rozmawiał; pewnie widziałas, jak ze mną tańczył?

— Tak — odparła siostrzenica — powinnaś była sama zauważyć, jakie wywołaliście wrażenie.

— Hm — chrząknęła panna Ramer, maskując zażenowanie, i uniosła wachlarz. — Patrz, porzucił obowiązki gospodarza, ażeby tańczyć ze mną i z tobą. Tylko z nami dwiema. Bardzo dystyngowany człowiek.

Opowiedziała też Adelajdzie o zaproszeniu, które otrzymała, i o tym, że przyrzekła zostać teraz parę dni, a wrócić potem na święta Bożego Narodzenia.

Adelajda w pierwszej chwili zastanowiła się, ale zaraz potem uprzytomniła sobie, że będzie jej przyjemnie, gdy będzie mogła pokazać jej całe to bogactwo i staroświeckie pokoje w dawnym domu. Uśmiechnęła się więc serdecznie do ciotki i zapewniła, że będzie jej bardzo miło, jeśli pozostanie tu teraz, i to jak najdłużej.

Ciotka wyczuła szczerłość w jej słowach, wprawiło ją to w prawdziwy zachwyt... Adelajda nic nie ma przeciwko temu, ażeby ona tu pozostała, a więc wybaczyła jej to, że się nią przez ostatnie siedem lat wcale nie interesowała. Panna Ramer czuła się w tej chwili szczęśliwa, jak szczęśliwym czuje się człowiek, który odzyskał przyjaciela.

Przyglądała się przez chwilę fascynującej, pięknej pannie młodej, jej niebieskie oczy zajaśniały znowu blaskiem, na ustach pojawił się ten sam zagadkowy uśmiech.

— Czy ci zimno? — spytała.

— Ależ nie, ciociu — odparła zdziwiona pytaniem Adelajda.

— Bo tak się tym szalem otulasz. Tu jest tak gorąco. Mogłabyś go śmiało złożyć i zawiesić na ręku.

\*° A lasy wiecznie śpiewała



Adelajda opuściła głowę. Wachlowała się.

— Poza tym powinnaś od czasu do czasu pokazać się przy boku męża. Oblubienica powinna się nieco interesować swym świeżo poślubionym małżonkiem... A do tego takim człowiekiem! Rozumiem teraz, żeś go mogła pokochać.

Adelajda jeszcze niżej opuściła głowę i poczęła jeszcze intensywniej się wachlować. Nic nie odrzekła. Panna Ramer przez chwilę przyglądała się jej badawczo, potem uderzyła ją lekko wachlarzem w ramię i podnosząc się z kanapy, powiedziała parę słów po francusku. Można to było mniej więcej zrozumieć: „Duże, szczęśliwe dziecko!” Adelajda, spojrzawszy na ciotkę, spostrzegła łzy w oczach starej, surowej panny.

Adelajda przez kilka chwil pozostała w zamyśleniu. Potem wstała i z wolna, już nie otulając się tak szalem, przeszła przez pokoje, odmawiając po drodze zaproszeniom do tańca i tłumacząc się, że jest zbyt zmęczona. W końcu znalazła Daga. Rozmawiał z pułkownikiem Baltem, przyjacielem jej ojca, zapalonym myśliwym. Usiadła obok Daga, po raz pierwszy słyszała go rozmawiającego z kimś innym. Nie zwracała uwagi na to, co mówią. Czuła się bardzo szczęśliwa, że jest przy nim. Ludzie wchodzili, wychodzili, muzyka grała, zewsząd dochodził gwar i śmiech... Gdzieś ktoś nucił melodię graną w tej chwili na sali.

— Ale — powiedział w końcu pułkownik — na pewno chcecie potańczyć.

Wstali wszyscy troje. Adelajda zsunęła szal z ramion i zawiesiła go sobie na rękę, tak jak jej to poradziła ciotka Eleonora. Balt zmierzył ją wzrokiem. Po jego surowej twarzy przebiegł uśmiech i powiedział:

— Adelajdo, pierwszorzędnego myśliwego dostałaś za męża, ale i z ciebie wspaniała łowczyni.

Adelajda i Dag, zmierzając do sali tanecznej, nałożyli drogi i przeszli przez żółty gabinet. Lewe ramię Adelajdy spoczywało na ramieniu Daga, a ręka lekko poruszała wachlarzem, chłodząc nim rozpaloną twarz. Prawa ręka spuszczonej w dół bawiła się końcem szala, który włókł się po ziemi. Uprzejmie skinęła głową paniom, które siedziały w żółtym pokoju. Blask świec i żółte obicia rzucały złotawy refleks na niebieski jedwab sukni i nadawały

ramionom Adelajdy i złocistym haftom na falbanach wytworny odcień spatynowanej kości słoniowej.

Radca sądowy Gabbe, który tu na chwilę wszedł, przypatrywał się zachwycony przez lorgnon jej przepięknej postaci. Gdy znikła, zwrócił się do żony, zachłystując się z podziwu i zachwytu:

.— Czyś widziała kiedy coś podobnego?

— Nie — odparła kwaśno — czegoś podobnego nie widziałam.

— Uważam, że ta toaleta jest prawie tak piękna jak twoja suknia, którą nosiłaś w początkach tego stulecia. — Zaskoczony śmiertelną ciszą, jaka nastąpiła po tych słowach, rozejrzał się wokół pytająco: „No?” Te panie siedzą przez cały wieczór i prowadzą „budujące” gadaniny na temat sukni Adelajdy, a teraz radczyni otrzymuje zasłużoną lekcję za próżność, którą zachowała do czasów nie tak dawnych jeszcze.

### VIII

-to przetańcze-niu Dag i Adelajda natknęli się na ojca Daga. Przepił do wszystkich gości na wszystkie strony, każdemu coś miłego powiedział, jak to przystało gospodarzowi. Spotkał się z nimi niby przypadkiem. W twarzy jego jeszcze widać było rozradowanie.

— A może byśmy się tak w trójkę przeszli? Całkiem niedaleko, ot, parę kroków.... — Zawrócił i szedł przodem przez pokoje w kierunku drzwi wejściowych, aż na schody. Adelajda poczuła chłód, zarzuciła więc z powrotem szal na ramiona. Szła zaciekawiona. Dokąd ich prowadzi? Na podwórzec?

Paliło się tu parę latarni. Poza tym z okien padało trochę światła, ale już dalej [podwórzec tonął w ciemnościach. Niby Widma majaczyły w słabym, czerwonym blasku trzy pnie starego dębu. Jeszcze dochodziły do nich grzmiące tony muzyki z nowego budynku, ale już zza dębu słychać było dźwięk innej ka-Psh. Zeszli ze schodów i znaleźli się .na deskach rzuconych na kałużę jesiennego błota.

»•

W końcu umilkły dźwięki wesela, za to coraz bardziej przybliżali się do tajemniczego światła, skąd dolatywała zagadkowa muzyka... Adelajda nasłuchiwała zaciekawiona. Nigdy chyba nie zgłębi czarodziejskich tajemnic tego wielkiego podwórza! Wciąż coś nowego, nieoczekiwanego. Słysząc było równomierny, głuchy tupot oraz zupełnie wyraźne okrzyki: — Juchhe, juchhe! — Muzyka ta była inna niż wszystko to, co знаła. Grała przecież na paru instrumentach, sama śpiewała na różnych uroczystościach i weselach, wmawiała sobie, że zna wszelkie rodzaje muzyki, ale ta jest zupełnie inna, nowa, obca.

Przecież to dzień jej wesela i — jej noc poślubna. Zanim doszła do tej chwili, przeżyła dużo bezgranicznych smutków i wielkich radości. Może dlatego ta nowa melodia wywiera takie silne wrażenie na niej. Szła jakby naprzeciw wabiącej bajki, mając przed sobą starego Daga, a za sobą młodego. Ciągłe te same takty wybijały melodie taneczne, skandowane wesołymi okrzykami. W ogólną harmonię wplatał się jakiś ciepły i złocisty ton wyrażający nieugaszoną tęsknotę serc. Monotonne i naiwne dźwięki wzruszały jak natrętne gruchanie gołębia — były jakby potrzebą życia, które dąży wzwyż i pnie się ku nieosiągalnej pełni. W tych starych melodiach drgało tysiące nie wypowiedzianych słów i myśli, które drzemią na dnie ludzkiego serca. I tylko ciągle od nowa powtarzane takty i rytmy przechowują tajemnicę owych nieśmiertelnych pragnień ludzkich za czymś, czego nikt jeszcze uchwycić nie zdołał.

Światło zza małych, zamglonych szybek stało się wyraźniej-sze, ale było wciąż jakieś mdłe. W duszy Adelajdy łączyło się ono z gorącym, złotym tonem melodii w jedno, jakby jej słuch i wzrok tworzyły tylko jeden zmysł o podwójnej sile odbiorczej.

Ojciec Dag zastukał. Drzwi zaskrzypiały, światło buchnęło z izby na dwór. Adelajda z Dagem weszli jakby w jakiś inny świat. Drzwi z hukiem zamknęły się za nimi. Widocznie ojciec Dag uprzedził przez pannę Kruse, że przyjdą późnym wieczorem do izby czeladnej, bo nikt z tych ludzi nie był pojawieniem się ich zaskoczony. Tańczono dalej, tylko z jeszcze większym rozmachem wybijano hołubce, spódnice dziewcząt fruwały w powietrzu, chłopcy, krzycząc na całe gardło: — Juhu! i ha j! — podnosili dziewczęta w górę, a w głębi izby z kąta zawodził, nęcił

i drażnił ów słyszany z daleka dominujący dźwięk o przeplatających się tonach: to złotych i gorących, to przenikliwych i ostrych, który nieustannie pobudzał tancerzy.

Jeden z chłopaków wyłonił się z półmroku i podszedł do ojca Daga. Poszeptali chwilę i chłopiec znów znikł w cieniu. Tańce szły dalej, a skrzypce wabiły coraz natarczywiej. Adelajda poddawała się w dalszym ciągu urokowi tej muzyki, wczuwając się wszystkimi zmysłami w melodię, która stawała się jakby uzmysłowieniem tego dnia — jedyne, wielkiego dnia w jej życiu. Coraz to większy szal ogarniał tańczących i muzykantów, taniec stał się dziki, szalony, doszedł aż do ostatniej granicy napięcia zmysłów. W końcu zamienił się w jakieś opętanie, ażeby potem nagle, niespodziewanie stanąć w bezruchu.

Tańczący przepadli gdzieś w półmroku kątów. Smyczek zakończył swą grę rozdzierającą skargą po strunach. Cisza zaległa, jakby ktoś nagle urzekł rozszalałe dźwięki, ale w uszach Adelajdy melodia i gwar brzmiały nadal. Melodia skrzypiec zawisała jakby w powietrzu i żyła nieprzerwanym, samoistnym życiem — bez instrumentu, bez grajka — żyła, drgała w ciężkim powietrzu czeladnej izby, wieczna, uwieczniona, nieśmiertelna...

Z półcienia wyłoniła się dziewczyna z trzema szklankami na tacy. Każdy z dostojnych gości wziął jedną. Z ciemności, gdzie poznikały roztańczone pary, słychać było stuk kieliszków i szklanek. Lecz oto smolaki pod kominem zatrzeszczały i ogień zaczął się na nowo palić. Buchnęły jasne płomienie i w ich świetle można było rozpoznać twarze służby. Było ich dużo: starzy o tępych spojrzeniach i młodzi o odważnych, śmiałych oczach. Obaj Dagowie, stary i młody, stanęli za Adelajdą. Akurat buchnął silniejszy płomień i młoda kobieta stanęła nagle cała w jasnym świetle.

— Pijemy za zdrowie oblubienicy! — rzekł ojciec Dag. Słychać było wychylanie kieliszków. Bez słowa. Znów zjawiała się ta sama dziewczyna z tacą i zabrała szklanki. Adelajda teraz zauważyła, że wciąż stoi w świetle. Cofnęła się. Młody Dag otwo- "ył drzwi, ojciec poszedł za nim i rzucił przestrożę przez ramię w stronę czeladnej:

— Nie baraszkuje zbyt! — Ale głos brzmiał nie bardzo surowo.

Ojciec Dag skręcił w bok i wszedł na deski krytego ganku który prowadził do starego domu. Zaciekawieni Adelajda i Dag poszli za nim. Po ceremonii kościelnej skierowano Adelajdę w celu poprawienia fryzury i sukni do jednego z pokoi w nowym budynku, była więc pewna, że to będzie ich przyszłe mieszkanie.

Teraz po raz pierwszy od dłuższego czasu wstępuje na stare, kochane schody, na które tylekroć wchodziła podczas swego długiego pobytu w lecie oraz w święta Bożego Narodzenia radosna czy stroskana. Stary otworzył ciężkie drzwi. Zgrzytnęły zardzewiałe zawiasy; po chwili byli już w starej komnacie na dole. W kominku był ogień, jeszcze tlił się i dawał tyle światła, że po ciemnościach na podwórzu można się było po komnacie rozejrzeć. Ojciec Dag wszedł na schody, które trzeszczały pod jego stopami. Młodzi w milczeniu szli za nim. Gdy weszli na piętro, stary skierował się prosto do „panieńskiego pokoju”. Otworzył drzwi, wewnątrz było ciemno. Wyjął krzesiwo z kieszeni... A więc przygotował sobie tę chwilę! Jakoś nie wiodło mu się z krzesaniem, ale w świetle pojedynczych iskier zauważyła, że wszystko stoi na dawnym miejscu. Tak jak było w czasie jej pobytu w lecie i na Boże Narodzenie. W końcu udało mu się ogień wykrzesać i zapalić świecę na komodzie. Następnie z całą ostrożnością zbliżył się do pieca, otworzył drzwiczki, gdzie się jeszcze tlił ogień, poruszył wewnątrz drzewo brzoźowe i łatwopalną korę. Wskazał młodemu miejsce pomiędzy piecem a łóżkiem.

— Kazałem zrobić nowe drzwiczki — pochwalił się. Wyjął z pieca rozpaloną głównię i poprowadził ich na prawo. Szli za nim i po omacku. Po chwili i z tamtej strony zapłonął ogień w piecu.

Zobaczyli, że strych był przebudowany na duży pokój. Sufit opadał skośnie na południową stronę, tak jak w panieńskim pokoju, tylko że tu wybito jeszcze z jednej strony niskie okno. W kącie był murowany kominek, przypominający tamten na dole. Palił się tu wesoły ogień. Przed kominkiem stały dwa stare krzesła o wysokich oparciach i poręczach, roboty Jórna Mangfol-diga, prócz tego stół składany. W kącie pod okapem stało staromodne łóżko, podobne do łóżka Daga w starej izbie czeladnej, tylko dłuższe i szersze, proste, z paroma prymitywnymi rzeźbami.

Pościel na nim była śnieżnobiała. W zagłębieniu stała wielka szafa, a za łóżkiem ciężka skrzynia i komoda z lustrem. W ściany były powbijane wieszadła z drzewa bukowego. Podłoga była czysto wyszorowana, przed łóżkiem leżał dywanik zszyty z kawałków materii.

Ojciec Dag rozglądał się badawczo po pokoju. Odwrócony do nich plecami rzekł cichym, nieco drżącym głosem:

— Na dobrą sprawę powinienem był się wyprowadzić z sypialni tam na dole, ale nie byłem w stanie się na to zdobyć. I tak kiedyś wyprowadzę się na cmentarz, do tego czasu jednak pragnąłbym tam spędzać noce. Teraz ty, Adelajdo, jako pani we dworze, musisz zdecydować, czy będziecie mieszkali w nowym budynku, czy też wolicie to pomieszczenie? Twój pokój jest w takim stanie, w jakim go pozostawiłaś, a ten przerobiliśmy dla Daga. Wiem, że on się czuje najlepiej w swojej starej kuchni, ale i tu będzie miał swobodę, gdyż ma dość pomieszczenia na fuzje i strzelby i ma komin, może sobie ipalić, kiedy chce, gdy wróci z lasu.

Ojciec Dag odwrócił się do komina i patrzył w ogień. Gdzieś zatrzeszczała belka, jak zwykle w starych budynkach w czasie wiatru, gdy zanosi się na zmianę pogody. Płomienie żwawo, wesoło wiły się w kierunku wylotu. Poza tym panowała w pokoju cisza.

— Tak, musicie mnie staremu wybaczyć, jeśli nie wszystko jest tak jak by być powinno... — Po tych słowach ojciec odwrócił się do nich. Adelajda stała w drzwiach, a mąż jej za nią. — Poza tym — ciągnął dalej poważnym, mocnym głosem — pamiętajcie zwracać się do Pana Boga, jakkolwiek by się wam działo, jak długo żyć będą, a i potem także. To jest najpewniejsza ochrona i obrona.

Wyczuwało się, że z trudem mu przyszło wypowiedzenie tych słów. Gdy ojciec zabierał się do odejścia, syn milczkiem wysunął się do sieni. Adelajda ze zmęczenia nie była w stanie się ruszyć. Gdy ją mijął, zesunął się jej jedwabny szal z ramion i jak wąż spłynął na ziemię; zarzuciła więc obnażone ramiona staremu na szyję, a z oczu trysnęły niepohamowane łzy wzruszenia. Smutno jej było, gdy ją wprowadzono do nowego domu, bo myślała, że tu im

mieszkać przyjdzie. Mury i belki trzeszczały w nim bezdźwięcznie i sucho, w powietrzu unosił się zapach politurowanych mebli, wyblakłych obić, tapet i werniksu. A ona przecież tak się cieszyła na mieszkanie w starym domostwie, na trzeszczenie przemiłe starych desek, na zapach palącego się drzewa pod kominem, na dym idący od niego, na ciepło bijące od szorowanych, drewnianych mebli. Radością jej też miało być to, że mieszkało tu przed nią już tyle ludzi. Zapłakiwała się na samą myśl, że nie będzie jej nigdy sądzonym spać w panińskiej komorze, gdzie są te przemiłe, znane dobrze rzeczy. A tymczasem ojciec Dag urządził wszystko tak, jak to było jej najgorętszym, najgłębszym życzeniem, i usprawiedliwia się jeszcze, że jest tak, a nie inaczej, nie lepiej.

## IX

O'ors koszuli ojca Daga był nieco wilgotny i przez to już nie tak nienagannie ułożony w fałdki, gdy wracał po tej eskapadzie przez gabinety do wielkiej sali. Szedł tak samo wyprostowany. Pierś była szeroka jak przedtem, może trochę więcej wypięta. Wprawdzie syn ani słowem się nie odezwał, również i Adelajda nie mogła z siebie wiele wydobyć, ale dała mu do zrozumienia, że wszystko, co zarządził, było tak bardzo po jej myśli. Więc będzie tak, jak on tego gorąco pragnął: młoda para zamieszka z nim pod jednym dachem, wszyscy będą przy sobie.

A w sali muzyka grzmiała, tańczono -z. zapalem. Słysząc było z co ciemniejszych kątów gruchanie parok i chichoty, z przyległych gabinetów dochodził gwar głosów i śpiewy. Nawet w wielkim jadalnym pokoju było rój no, byli tacy, którzy od nowa zaczęli jeść. Zabawa trwała, jakby nigdy się nie miała skończyć.

Dla Adelajdy czas ten od rana do nocy nie był jakby jednym dniem, ale szeregiem wielu różnych; tyle przeżyć i napięcia, nastrojów uroczystych, nawet niepokoju. Toteż pragnęła już teraz

ciszy i wypoczynku. Ojciec Dag nie zgasił świecy w panińskim pokoju, na pewno jeszcze się nie wypaliła. Pod kominem żarzy się jeszcze ogień, drzwi do pokoju Daga są otwarte... Tam się już, na pewno rozpalili ten wielki kawał drzewa. Tańcząc, myślała o tym cały czas. W końcu to tylko ją absorbowało. Odszukała ojca Daga. Szepnęła mu na ucho, że już teraz pójdzie do siebie, powiedziała „dobranoc” i podziękowała za wszystko. Ojciec Dag naprzód się zastanawiał, czy to wypada, potem skinął głową na znak, że się zgadza, i sięgnął do kieszonki w kamizelce. Wyjął mały klucz i wręczył go Adelajdzie.

— Podczas twego ostatniego pobytu u nas w Bjórndał skrzynie i sekretarzyk w pokoju panińskim były zamknięte na klucz. Obecnie wszystko, co tam jest, należy do ciebie. Kluczyki od skrzyń leżą w jednej z szuflad sekretarzyka. Nie mnie należy się podziękować za to, dziedziczysz to po Dorocie Holder. Do niej to wybiegnij myślą. Zobaczysz, co to była za wspaniała kobieta, gdy zaznajomisz się z jej rzeczami. Znajdziesz tam również futro, na które Dag skórę po skórcie upolował. Nie wiedział, że ostatnią noc spędzisz na plebanii, dlatego nie miałas go dzisiaj w drodze do kościoła, tak jak on tego pragnął.

Adelajda podała rękę staremu Dagowi, a ten uściśnął ją mocniej niż zazwyczaj. Potem przeszła przez salę, ażeby odnaleźć ciotkę i powiedzieć jej „dobranoc”, a jeśli się uda, to i własnemu ojcu, o ile nie jest w zbyt „wesołym” nastroju.

Ojciec Dag śledził wzrokiem oddalającą się wspaniałą postać synowej, dopóki mu z oczu nie zniknęła. Następnie przesunął wzrokiem po wszystkich obecnych. W oczach jego malował się wyraz tryumfu. Od najmłodszych lat aż po ten dzień silnie odczuwał lekceważenie, a może nawet pogardę, jaką mieli ludzie z szerokiego świata dla niego i jego rodziny jako dla „ludzi z lasu”. Pomimo bogactwa nie mógł się tego wrażenia pozbyć, stale go to prześladowało. Nawet dziś wieczór podczas toastów i mów zauważył zwroty, które go gniewały. Dotknęły go też niektóre nieopatrzone powiedzonka rozmówców. Ten i ów traktował go z pewną pobłażliwością. Tego, co niegdyś opowiadała Ane Hamarrbó, że protoplasta jego wywodził się z królewskiego rodu, <sup>e</sup>brano pod uwagę i on sam nigdy się nad tym nie zastana-<sup>ia</sup>ł. Uważał, że wystarcza, iż przodkowie jego potrafili wykar-



czować dziki las i stworzyć bogaty dwór i osiedle, że wystarcza to, czym są dzisiaj, i że w ten sposób może się z każdym zmierzyć. A Adelajda? Po kądzieli pochodzi z rodu na pewno bardziej znamienitego niż ci wszyscy goście. Ojciec jej też podobno jest z bardzo dobrej rodziny, a latorośl ich, piękna Adelajda, od dziś należy do rodziny Bjórndal.

Ojciec Dag przeciągnął się z zadowoleniem i szedł dalej wielki i potężny. Owe łzy, które padły z oczu Adelajdy na gors jego koszuli, wydały mu się błyszczącymi diamentami.

Adelajda pożegnała się z ciotką i ojcem. Major miał ochotę na głos zaprotestować; i byłby zwrócił tym uwagę gości weselnych, że córka jego udaje się na spoczynek, ale w porę się spostrzegł i ugryzł w język. Odprowadził ją nawet do przedpokoju starego domu, który niegdyś Jörn Mangfoldig przebudował z kuchni; komnata ta leżała najbliżej owego budynku, gdzie odbywała się uczta. Major Barre po raz pierwszy — od czasu gdy była dziesięcioletnią dziewczynką — pogłaskał ją po twarzy, bardzo był przy tym wzruszony i wymruczał coś w tym rodzaju, że niejedno będzie musiała mu wybaczyć, ale całe życie był tylko żołnierzem i pozostał nim.

Ta delikatna prośba tak bardzo zazwyczaj hałaśliwego, zawsze z siebie zadowolonego ojca poruszyła dziwne uczucia w Adelajdzie. Pomimo wszystkich swych błędów i słabości był jednak jej ojcem, tym który ją w swoim czasie do Bjórndal przywiózł. Po chwili, idąc po omacku po schodach, zapomniała o tym incydencie, tak jak zresztą o wszystkim innym, cała przejęta chwilą, w której swój pokój oglądać będzie sama.

Zamknęła drzwi za sobą i stanęła na środku wzruszona. Drzwi do pokoju Daga były tylko przymknięte, przez szparę widać było blask, ognia pod kominem. Tu w piecu coś jeszcze trzeszczało, otworzyła drzwiczki i dorzuciła parę świeżych polan brzozowych. Z radością wdychała zapach drzewa ułożonego symetrycznie pod ścianą. Dla niej te bierwiona były wyrazem całego ciepła, a tym samym i wygody tego nowego świata. Miła była biała brzoza w lecie na polach i łąkach; można by ją nazwać księżniczką lata, a w zimie tyle dawała ciepła, taka wydajna i pachnąca! Adelajda czule pogłaskała jedno z polan o korze jedwabistej.

Następnie przeszła się ostrożnie, uroczyście po komorze. Tak,

wszystko było tak jak dawniej. Zapach lawendy wydostawał się z szuflad komody i unosił się słodkawy, ciężki zapach suszonych listków róż z wazy na komodzie. Wstawiła je tu pewnie panna Kruse w lecie, w czasie gdy Adelajda była taka zrozpaczona, zanim przyszedł ojciec Dag prosić o jej rękę w imieniu swego syna i z tortur ją uwolnił.

Adelajdę ogarnęła teraz wesołość, tanecznym krokiem podeszła do komody i pochyliwszy się zdjęła pokrywkę z wazy i długo wciągała w siebie zapach różanych listków. Przecież one kwitły tam na dole w tym jej ukochanym ogrodzie, nawet jeszcze teraz zachowały zapach lata i słońca. Nakryła je z powrotem i w lustrze wiszącym nad komodą spojrzała sobie głęboko w oczy.

Zaczęła wyjmować z włosów złote koła, które na wzór grecki trzymały jej fryzurę. Piękne loki opadły swobodnie na ramiona.

Nagle przypomniała sobie swoje rzeczy pozostawione w tamtym budynku. Jak ona je teraz dostanie? Zupełnie bezwiednie wyciągnęła pierwszą szufladę z brzegu, następnie drugą; rzeczy jej już tu leżały. Panna Kruse pomimo tak wielkich obowiązków, które na niej dzisiejszego dnia ciążyły, i o tym pomyślała. Spojrzała teraz w kąt pokoju, gdzie obok drzwi okiennych stało łóżko, tam wisiała jej podróżna suknia, a na wielkim fotelu był rozłożony ów płaszcz futrzany, ze skórek dobranych przez jej męża. Z wolna, z namaszczeniem niby w kościele zrobiła parę kroków w kierunku płaszcza i pochyliła się nad nim. Był to pierwszy dar jej męża! Tamte prezenty pochodziły od ojca, ale te skórki na pewno on sam zebrał. Ostrożnie wzięła futro i podeszła w krąg światła. Tak, to były sobole, cały płaszcz był z soboli. Czyżby tyle soboli było na świecie? Chociaż o polowaniu pojęcia nie miała, domyślała się jednak ile trzeba było trudu, uwagi, ażeby zdobyć te skórki, upolować tyle zwinnych, ostrożnych zwierzątek. Przytuliła policzek do futra. Ciepłe było i miękkie. Obejrzała je ze wszystkich stron. Podszewka była z grubego jedwabiu.

W pewnej chwili włożyła kluczyk do zamka, ażeby otworzyć sekretarzyk, ale wyjęła go z powrotem i schowała do jednej z przegródek w górnej szufladzie komody. Kiedy indziej zgłębi tajemnice tam drzemiące. Stwierdziła, że krucyfiks wisi na wewnętrznej ścianie łoża, i tak rozsunęła kotarę, aby światło wpadało przez nią jak owego pierwszego wieczoru. Zajrzała do pokoju Daga,

skontrolowała, czy ogień nie wygasł, usiadła tam na chwilę, przyglądając się, jak wielka szczapa drzewa bukowego coraz bardziej zamieniała się w wielki płomień. Tej nocy wyda z siebie całe ciepło, które przez sto lat się w niej nagromadziło. Rozejrzała się wokoło. Było tam ubogo i pusto jak na kwaterze żołnierskiej. Następnie powróciła do siebie i zaczęła się przygotowywać do spania; gdy już była kompletnie gotowa do ułożenia się do snu, uczuła nieodpartą chęć przymierzenia futra. Narzuciła je. Jakie to futro jest dziwnie ciepłe!... Takiego ciepła, póki żyje, nie odczuwała. Wsunęła boscie nogi w pantofle i otworzyła oszklone drzwi. Wyszła na mały balkon, przyczepiony niby gniazdo ptasie do muru. Uczyniła to jakby chcąc wypróbować, czy futro Daga uchroni ją od dotkliwego nocnego zimna. Na dworze było ponuro, na niebie ani jednej gwiazdy. Poprzez ciemności szedł od strony lasu zimny powiew jesiennej nocy. Noc ta była ożywiona różnymi dźwiękami. Nie od razu zdała sobie sprawę, co to za dźwięki, tak była daleka myślami od weselnej uczty. Były to głosy i muzyka, które dochodziły tu w nocnej ciszy z nowego domu, a także i z izby czeladnej, w chwilach gdy muzykanci w wielkiej sali odpoczywali. Zapięła futro, postawiła kołnierz i usiadła na ławce. Jakie to dziwne: siedzieć tu wysoko w ciemnościach i słyszeć muzykę i odgłosy z własnego wesela. Szum dochodzący stamtąd był jakby żegnaniem się ze wszystkim, co tam jest na dole, wraz z miastem, z całą przeszłością. Jest jakby ostatnim akordem tego, co było dotąd... A rytm tańca wraz z oszalamiającym dźwiękiem smyczka z czeladnej tworzą jakby przegrodę i jednocześnie zew nowego życia, które ją teraz czeka...

X

-Dyś już kiedyś w życiu Adelajdy szczęśliwy okres. Mianowicie pierwsze dziesięć lat jej dzieciństwa. W owym czasie ojciec jej był rotmistrzem dragonów. Mieszkali w wielkim majątku, gdzie było dużo bydła i ra-

sowych koni. Gdy ojciec przebywał w domu, zjeżdżali się liczni goście. Bawiono się hucznie, wesoło, urządzano przejażdżki i wyścigi konne. Ojciec mawiał, że Adelajda (miała wtedy niespełna dziesięć lat) dosiada konia jak urodzony dragon.

Potem coś bardzo smutnego się stało i matka zabrała Adelajdę do babki, gdzie obie pozostały. Ojciec już się nie pojawiał i to, co sobie wykombinowała Adelajda z różnych szeptów naokoło niej, było powodem, że znienawidziła człowieka, któremu zawdzięczała najlepsze lata swego życia. Było to pierwsze rozczarowanie i p&częątek niewiary w życie. Następne dziesięć lat spędzonych w domu babki minęły spokojnie, ale pozbawione były zupełnie radości, babka była surowa, a dom ponury.

Gdy potem matka umarła, a później babka, Adelajda musiała wrócić do znienawidzonego ojca. Te ostatnie siedem lat spędzone w biedzie i rozgoryczeniu wywarły na nią wielki wpływ. Dziwnym trafem właśnie podczas tych lat zrozumiała, jak bardzo jest piękna, i ojciec nauczył ją przyjemności bywania w świecie. Nieraz Adelajda Barre bywała królową balu... jednak...

Pozostała w niej powaga wyniesiona z domu babki. Życie nauczyło ją doszukiwać się bólu poprzez zdawkowy uśmiech, a nie-szczerości i obłudy — w komplementach i pochlebstwach. Ciągłe stykanie się z blichtrzem na każdym kroku wobec nędzy w domu dało jej poczucie, że całe istnienie ludzkie opiera się właściwie na kłamstwie i blade.

Potem Bjórndal wkroczyło w jej życie. Od pierwszej chwili wszystko, co tu znalazła, zlało się w jedno w jej umyśle: wspaniałość tego potężnego dworu z nieśmiałą powagą młodego Daga ukazały jej się jako uosobienie prawdy i uczciwości w przeciwieństwie do obłudy i lekkomyślności kół z miasta, gdzie tańczono i bawiono się w najlepsze, podczas gdy wojna do każdego domu wniosła nieszczęście i cierpienie.

I ona, która wyniosła przykład niedobrego pożycia z domu rodziców i nigdy nie dawała wiary składanym u jej nóg przysięgom miłosnym, ona, nie wierząca żadnym obietnicom, nie dowierzająca nikomu, oddała serce swe człowiekowi, który ani jednego kurtuazyjnego słowa jej nie powiedział. Przez rok cały przeżywała niepokój i ból nie odwzajemnionej miłości.

Aż oto nadszedł ten dzień. Dzień ślubu, wesela! Jest szczęśliwa! Była nią i będzie potem przez wiele, wiele dni, aż jej się w głowie kręci od tego szczęścia, które szło ku niej... Wszystko ją radowało, cieszyło. Wszystko i wszyscy. Płakała i cierpiała w swym pokoju z radości; ona, która zawsze tak dumnie nosiła głowę, obecnie tajała w otoczeniu serdecznych, ludzkich, ciepłych serc. Czuła nieprzepatą chęć zarzucenia komuś rąk na szyję, chociaż by tylko staremu Dagowi. Każdy człowiek, którego dzieciństwo zatruto niewiarą, a wychowano w nienawiści do własnego ojca, byłby takim właśnie, jaką jest Adelajda.

W parę tygodni po ślubie siedziała któregoś wieczoru w swoim pokoju. Ojciec Dag dostał pantoflową pocztą wieści z miasta, że wojna ze Szwecją ma się ku końcowi i że prawdopodobnie wkrótce będzie już można wywozić drzewo do Anglii, a tym samym ustanie cisza panująca od dłuższego czasu w lasach. Stary Bjorn-dal, nie czekając na dalszy rozwój wypadków, od razu kazał rozpocząć pracę w lesie. Całe masy drzewa z jego lasów, których w swoim czasie z powodu wojny nie można było wywieźć w dalszą drogę, leżały w miejskich składach. Odbiorcy chcieli na gwałt regulować rachunki po dawnej, przedwojennej, niskiej cenie, w dodatku papierowymi pieniędzmi, nie mającymi żadnej wartości. Stary Dag odmówił. Jeśli do tego czasu nie zdołali z nim się rozrachować, to niech teraz uczciwie zapłacą. Następnie wyciągnął pewne wnioski z tego ich nagłego pośpiechu i kazał wziąć się do roboty, miał dość ludzi i koni, i to koni roboczych, które przez długi czas nie przynosiły żadnego pożytku, a karmić je trzeba było. Podzielił się z synem swymi planami i młody poszedł do lasu, aby wprowadzić roboty na dawne tory. Objawiał przy tym wielki pośpiech i Adelajdą aż dreszcz wstrząsnął, gdy się dowiedziała, że ma zamiar udać się w lasy tego samego dnia po rozmowie z ojcem.

Minęło kilka dni, a Dag nie wracał. Adelajda zaczęła się niepokoić, lecz spokój starego ojca działał kojąco na nią, a i sama sobie też perswadowała, że nie ma się przecież czego lękać.

Tego wieczoru przypomniała sobie, że nie wypróbowała jeszcze kluczyka, który jej dał ojciec w wieczór weselny. Tak się jakoś

złożyło; dość długo przebywała w Bjórndal ciotka Eleonora; wieczorami gawędziły, potem już była zanadto zmęczona, ażeby cośkolwiek przedsięwziąć. Następnie nadeszła z miasta fura z jej rzeczami oraz książkami, które otrzymała w spadku po babce. Ojciec Dag kazał według jej wskazówek sporządzić półki, poprzy-bijać do ścian, jedną dla ulubionych jej książek w jej pokoju, a dwie w jednym z gabinetów w nowym budynku. Po wyjeździe ciotki spędziła niejedną miłą chwilę w swoim pokoju, przeglądając książki, wspominając przy tym babkę z czasów, kiedy jeszcze mieszkała z nią. Pomimo jej surowości, wspominała ten okres mile; książki zmarłego biskupa były wówczas jej przyjaciółmi.

Tego wieczoru biegała niespokojnie to tu, to tam, wychodziła na balkon, wracała do komory, wpadała do pokoju Daga. W końcu zapaliła ogień pod kominem, ażeby ożywić nieco ponurą komnatę refleksami ognia, grą światła i cieni. Przypomniały jej się wieczory spędzone z Dagiem. Nieraz siadywali tu przed kominem długo w noc. W takich chwilach niejedno z niego wydo- stała: o życiu w lesie, o ludziach, i w ten sposób zbliżyła się trochę do jego świata i do niego, ale zdawała sobie dobrze sprawę z wielkiej odległości, która ich jeszcze dzieli. Myśląc nad tym, wróciła do swego pokoju i przypomniała sobie tamten kluczyk.

Trzymała go teraz w ręce. Był mały, w kółku były subtelne esy-floresy, a na zakończeniu parę ząbków. Z drzeniem otwierała sekretarzyk panny Doroty Holder. Co też tam może być w tym schowanku eleganckiej, idealnej, bogatej panny o „anielskiej powierzchowności”, jak ją nieraz ojciec Dag określał. Zresztą pokój ten mówił o niej, o jej zamiłowaniach. Klucz tak łatwo otworzył zamek, jakby wczoraj dopiero został zamknięty, drzwiczki jakoś przyjaźnie przed nią się rozwarły. Zrobił je tak kunsztownie, tak przemyślnie nie lada mistrz, bo otwierały się jakby same z siebie.

Do sekretarzyka matki nie wolno było Adelajdzie nigdy dojść. Babka zaraz po śmierci matki wyprzątnęła wszystkie jego szuflady, a swoje biureczko po śmierci zostawiła puste. Żadnych tajemnic. Taka była. To samo będzie pewnie i tutaj. Matka Daga, Teresa, przeżyła siostrę, a od jej śmierci kluczyk był w rękach starego Daga. Na pewno

wszystko było spalone lub przedtem zniszczone jak u innych ludzi. Ale nie, przecież ojciec Dag, dając Jej ten kluczyk, powiedział tak miło, że wszystko, co znajdzie

329

w sekretarzyku i w skrzyniach, będzie jej własnością. Nie leży w jego naturze darować coś, czego nie ma.

Adelajda drżącą ręką nacisnęła guzik górnej szuflady i wyciągnęła ją. Leżały tam papiery, listy pożółkłe od starości. Wyciągnęła następną. Leżała tam wielka księga — prawdopodobnie Biblia. W następnej też książka. Ociągając się wzięła ją w rękę i otworzyła, widniały w niej daty dni i roku, był to więc pamiętnik. Delikatne, ledwo zaznaczone litery tańczyły jej przed oczami. Zamknęła pamiętnik i odłożyła z powrotem. Znow minął miesiąc, a co najmniej tygodnie, zanim się zdobędzie na powtórne zajrzenie do cudzych tajemnic, do tajemnic Bjórndalu, jego mieszkańców i samej panny Doroty.

Szuflady pełne koronek i narzutek brokatowych... Zapach — nie, nie tylko lawendy, jeszcze i inne perfumy, mocne, oszałamiające, narzucające się zapachy były od tych szuflad. Były to zapachy z czasów, kiedy się nosiło suknie pompatyczne na obręczach i wysokie, ciężkie fryzury. Wtedy były używane silne perfumy, sprowadzane z dalekiego południa.

Jedna z szuflad była nieco krótsza niż inne. Adelajda wiedziała, co to oznacza. Wsunęła więc ją zupełnie, a potem palcami wydostała z głębi, z tajemnej skrytki szkatułkę. Nie zaskoczyło jej to specjalnie, a było tak, jak się w bajce dzieje: leżały tam ciężkie złote łańcuchy i bransolety, jedna z nich szeroka na palec, pierścionki z drogocennymi kamieniami, naszyjnik wysadzany perłami, złota przepaska do włosów, na samym dnie szkatułki leżały dwie duże, złote monety.

W tej chwili dopiero ogarnęło ją dziwne uczucie lęku, które nawiedza słabe charaktery, gdy ich nadzieje i życzenia się spełniają. Pragnęła szczęścia, tak jak zresztą wszyscy ludzie. Szczęście przyszło, ziściło się w pełni, z chwilą gdy stała się żoną Daga i zamieszkała w tej izbie. Ale w bajce żąda się szczęścia coraz więcej, a wszystkie życzenia się spełniają, i to nawet chyba szczęściu końca nie będzie.

Jeszcze nie zajrzała do pożółkłych papierów, do powlepianych stron ręcznie pisanych w Biblii, nie zajrzała ani do pamiętnika, ani też do skrzyń i szkatuł. Jeszcze nic nie wiedziała o wielkim cudzie z bajki, która się nazywa Bjórndal, o lasach, które prze-



mierzą Dag. Może nigdy nie dowie się niczego o jego życiu pełnym przygód.

Tu w Bjórndal było wszystko takie jak obaj Dagowie, stary i młody. Taka daleka była droga do ich dusz! Przeczytała wiele ^isiazek w swoim życiu, więcej niż ktokolwiek z jej znajomych, studiowała nieraz mądre księgi biskupa, starała się zrozumieć i przetrwać najtrudniejsze ustępy, które pozakreślał. Znała tyle kazań i dzieł napisanych przez ludzi dla ludzi i tak wierzyła własnym umiejętnościom, zdawało się jej nawet, że rozumie się na charakterach ludzkich. Wszyscy jej znajomi w mieście, cała tamtejsza młodzież była w jej pojęciu śmiesznie płytka i bezbarwna, szablonowa. Ale cóż wiedziała o tych ludziach, do których rodziny teraz należała, powiązana z nimi boskim przykazaniem, wypowiedzianym i komentowanym przez pastora. Czy coś o nich wiedziała?

A teraz trzyma w ręku kluczyk do wszystkich tajemnic panny Doroty; zawierzył je jej sam ojciec Dag. Dowiódł, że ma bezgraniczne zaufanie do zmarłej, no i do niej. Dał jej tym jednocześnie dowód niezgłębionej dobroci, choć ni słowa przy tym nie powiedział. Nikt jej bodaj tyle dobrego nie wyświadczył, ile on tym postępkim. Na to by się zwykły śmiertelnik, wiecznie bliźniego niepewny, pełen niedowierzania w stosunku do innych i nawet do samego siebie, nigdy nie zdobył. Niezrozumiałe! Jak pewny siebie musi być człowiek, który zdobywa się na taki gest!

Nieufność, która przerodziła się już u niej w drugą naturę, nie dawała jej wprost spokoju, aż lęk ją ogarnął. Jak zdoła wywdzięczyć się ojcu i okazać się godną takiego zaufania z jego strony? Zdawała sobie sprawę, że epoka, w której żyje, jest pełna ludzi lekkomyślnych, dla których nie ma nic świętego, nie mogła się więc domyślić, że słowa wypowiedziane przez pastora podczas ślubu były dla ojca Daga słowami pochodzącymi od Boga. Wejście Adelajdy do rodziny uzyskało najświętszą sankcję. W Bjórndal nie wiedzano nic o jakichś nieporozumieniach małżeńskich, rozwodach. To, co Bóg połączy, jest po wieczne czasy nierozłączne. W dawniejszych, młodszych latach stary Dag niejedno ukrywał głęboko w sercu przed żoną i jej siostrą. Potem ciężar życia i śmierci dał mu się tak we znaki, że wszystko poza tym wydało mu się jakieś mało znaczące i nieważne. Za życia Doroty nie-

\*\* A lasy wiecznie śpiewaj

jednego się od tej anielskiej istoty nauczył. Może więc Adelajda 2 J6J pośmiertnych zapisków skorzysta. Jeśli w tych zapiskach będzie coś o nim, to trudno. Teraz już honor jego jest i honorem Adelajdy. Ale Adelajda była dzieckiem swego świata. Wszystko to, co, przeżywała, było dla jej umysłu nie do ogarnięcia. W tej chwili kosztowna zawartość szkatułki rzucała specyficzne światło na cały ten podarunek ojca Daga, wręczenie jej tego kluczyka stało się niezrozumiałe i niepokojące. Włożyła wszystko z powrotem do szkatułki, postawiła ją na dawne miejsce, powsuwała szuflady i pozamykała drzwiczki.

Pełna niepokoju przeszła do komnaty Daga. Tu nie było ani tajemnic, ani kosztownych rzeczy. Przyniósł tu ze sobą tylko fuzję. Wisiała samotnie na zimnej i pustej ścianie na gwoździu. Ogień pod kominem prawie zupełnie wygasł. Po gorącym popiele pełzał tylko jeszcze ślad ognia, liżąc porozrzucane żarzące się resztki drzewa.

Obecnie miała uczucie, jak gdyby to wszystko, co było w jej pokoju, straciło blask, zapadło się w ciemność, a jedynie ten ślad po wypalonym ogniu był jaśniejszym światełkiem. I Dag również przebywa tam gdzieś w ciemnościach, daleko od niej. Tych parę słów, co mu tu i ówdzie wydrzeć zdołała, tak skąpe tylko światło rzucały na jego wnętrze. Wobec tego więc, że nie miała przystępu do jego serca i uczuć, wszystkie podarki, wszystkie tajemnice, które jej wolno zgłębiać, są bez wartości. Dag, to dla niej największa zagadka, a tak beznadziejnie daleka jest droga do jego duszy! Niepokój i to, co przeżyła przed chwilą przy otwieraniu sekretarzyka, wszystko razem powodowało w niej jakiś śmiertelny lęk.

Potem — sama sobie nie zdawała sprawy, jak to się wszystko stało — wstała, wyszła na korytarz i zeszła ze schodów. Możliwie najciszej otworzyła drzwi wejściowe, przeszła po ciemku przez ganek starej, niskiej, obarczonej nadmierną ilością belek oficyny, gdzie przeczuwała, kryją się tajemnice życia jej męża.

Sama sobie nie zdawała sprawy, że tam idzie i czego się spodziewa? Czy w ogóle zdawała sobie sprawę, czego pragnie?

Zeszła ze stopni podcienia na wyłożoną tarcicami ścieżkę, która przez podwórze prowadziła do oficyny. Przed nią stał budynek

dawnej izby czeladnej. Nie było tam okna, zarysował się więc przeraźliwie ponuro, ciemniejszy jak sama ciemność i tajemnicą po brzegi wypełniony. Czy i tam, gdzie jest wylot komina, przez dach nie przenika ani trochę światła, nic? A z wewnątrz tak jakby dochodził skowyt psa albo coś podobnego.

Adelajda zatrzymała się z bijącym sercem, gotowa przy jakimkolwiek głośniejszym dźwięku uciec, ale nie! Wszystko tamto to imaginacja — jest zupełnie cicho... To co słyszała, to są odgłosy nocy, trzeszczenie suchych belek, kapanie jakiejś wody... W powietrzu unosi się zapach lasów, starej ludzkiej siedziby i jakby swąd dymu.

Długo stała nieruchomo, wciągając w siebie ciszę nocy, działało to na nią jak narkotyk; potem namyśliła się, wyprostowała i zbliżyła się do tych zaklętych drzwi. Zapukała. Rozległo się gdzieś głuche warczenie psa, ale z wewnątrz nikt nie odpowiadał. Dziewki, które sprzątały to mieszkanie i słały łóżko, czyniły to zwykle tylko wczesnym rankiem, w późniejszych godzinach popołudniowych wchodził i dotykał tej klamki tylko sam Dag.

Adelajda pchnęła drzwi. Jasność w nią uderzyła. Wielki ogień buchał spod komina, w izbie było pełno dymu, który otulał grubymi kłębamii pułap i szybko ginał w czeluściach otworu komina. Pomimo ognia trudno było wśród dymu rozeznąć Daga. Niewyraźnie widziała kontury postaci jego, przytłaczająco groźnej, potężnej z drugiej strony komina. Wrócił widocznie niedawno z lasu. Właśnie skończył golenie i chował lusterko i brzytwę do szafki w ścianie. Zaciekawiony obrócił się w kierunku drzwi, chcąc zobaczyć, kto jest tym śmiałkiem, który się dopuszcza tak niesłychanej rzeczy i w nocy wdziera się do jego jaskini.

Minęło parę chwil, zanim zdołał się zorientować, kto jest tym gościem. Adelajda zaś była tak zmieszana, że drgnęła przerażona, gdy drzwi się same za nią z hałasem zamknęły.

W końcu na ustach Daga pojawił się nieśmiały uśmiech, żona odetchnęła z ulgą i również się uśmiechnęła. Porwał bluzę i kamizelkę rozwieszono na oparciu krzesła, rzucił je na jakiś hak i podsunął jej to krzesło pod sam komin. Koszulę miał otwartą na piersiach i rękawy podwinięte do łokcia. Zapiął spiesznie ko-

»r

szulę, ściągnął rękawy w dół i siadł na jakimś szerokim, z drzewa wyciosanym trójnogu, również przy samym ogniu.

Adelajda rozglądała się wokoło, mając przy tym uczucie, że właściwie bezprawnie wkradła się w tajemnice życia Daga, które były tylko jego własnością od lat chłopięcych... Ona jest tu przecież niepożądanym intruzem.

Ale nie mogła się przemóc, aby nie obejrzeć wszystkiego po kolei: łóżka o białej pościeli, posłanego już na noc, i ścian zawieszonych puszkami po prochu, rogami, oszczepami i sieciami. Wszystko to wisiało na hakach. Ogromny nóż tkwił w ścianie, inne w pochwach wisiały na kołkach. Wisiały topory — jeden tkwił nawet w desce łóżka. Po kątach izby leżały najrozmaitsze przyrządy: pasy, powaly sznurów konopnych, kawał łańcucha zwisał spod rozwieszonego ubrania. Skulony pies, oparłszy głowę na łapach, leżał koło łóżka i przyglądał się jej spode łba, a drugi ' obok Daga wygrzewał się w ciepłe ognia. W powietrzu unosiła się woń spalenizny, dymu i starego, nie wietrzonego domostwa oraz psów. Płomień z trzaskiem obejmował zawzięcie coraz to nowe polana... Dym się wałęsał we wszystkie strony, gdzieś w górze między belkami coś jakby stękało. Wydawało się dziwnym Adelajdzie, że tu siedzi w domu swego własnego męża, bo to jest jego własne domostwo, ani przez chwilę nie wątpiła.

Na pewno była to i dla Daga osobliwa chwila, że Adelajda Barre, jego żona, odwiedziła go tutaj nocą. Tego nigdy w życiu by nie przypuszczał. Siedział wyprostowany, barczysty, wielki, zapatrzywszy się w żar. Zresztą te nocne odwiedziny nie były pierwszym dowodem miłości z jej strony.

Pomimo że była tak bardzo dumna i uzbrojona w przestrogi babki — była przecież tylko zakochaną kobietą i na pewno w intymne wieczory więcej z siebie dawała niż Dag, więcej mu się zwierzała, bo pragnęła być dobra dla niego...

Dag dotychczas nie przeżył nigdy porażki, wszystko mu się udawało, zawsze wszystko szło w myśl jego życzeń. Miewał i smutki, bardzo bolał nad śmiercią matki, ale przecież już taka kolej rzeczy, że starzy muszą umierać. Jediną męczarnią życia jego był okres, kiedy zakochał się w Adelajdzie i chorobliwie jej pragnął, ale i to ojciec pomyślnie za niego załatwił.

## XI'

rr Bjórndal, tak, jak w całym kraju wówczas, oszczędzano w zimie mąkę; ale nie brak było ani mięs, ani ryb. Przydawała się również ogromnie owa dotychczas uważana za zbędną wodnista jarzyna, ziemniakiem zwana, którą stary kazał przezornie na wiosnę sadzić obok innych płodów, gdzie się tylko dało, na wszystkich polach, które posiadali, na ziemiach wydartych lasom, na wykarczowanych polach i w samym Bjórndal. Początkowo ludzie twierdzili, że z równym powodzeniem można by do mąki domieszać czystej wody zamiast tego paskudztwa, ale z czasem doszli do wniosku, że mąka stawiała się bez porównania wydajniejsza z dodatkiem pogardzanych" kartofli. Poza tym smakowały wcale nieźle ze słoniną, mięsem lub rybami.

Święta Bożego Narodzenia minęły uroczyście jak co rok w Bjórndal. Przeżyła już to Adelajda w zeszłym roku. Wigilijny wieczór spędziła z całą czeladzią przy stole w wielkiej jadalni, ale w tym roku jakoś to wszystko wydało się jej bardziej świąteczne. Może dlatego, że zasiadała przy tym stole już nie jako gość, a może i z tego powodu, że ojciec tyle opowiadał o nędzy panującej w mieście, o braku żywności, podczas gdy tutaj, jak corocznie, najbiedniejszy nawet otrzymywał kaszę, wódkę, mięso i piwo. W latach normalnych upragnionym pożywieniem było mięso, a w tym roku kasza.

Ciotka Eleonora dotrzymała słowa i przyjechała. Była zdumiona, bodaj jeszcze bardziej niż Adelajda w zeszłym roku, stołem wigilijnym w wielkiej jadalni, za którym siedziała cała służba, Biblią leżącą na stole pomiędzy świecznikami i tą powagą i namaszczeniem, którymi promieniowała i chwila uroczysta, i zgromadzeni przy stole ludzie.

Powiedziała potem Adelajdzie, że po raz pierwszy w życiu zrozumiała, iż wieczór wigilijny jest najuroczystszym wieczorem w roku i najważniejszym.

Major po świętach wyjechał na parę dni, ale bardzo szybko wrócił i przywiózł okropne wieści o braku zboża i podziale jego w ratuszu pomiędzy mieszkańców, o niebywałym wzburzeniu ludzi i o policjantach, którzy z bronią w ręku utrzymują wygło-

dzony naród w karchach. Opowiadał również o nadziejach, jakie pokładano w przywróceniu dawnych stosunków z Anglią, i o korzyściach, które wypłyną z rozwoju handlu. Ojciec Dag szczerze dolewał majorowi wina tego wieczoru, wyciągał go na słówka i w ten sposób dowiedział się od niego wszystkiego: o poglądach na tę sprawę ludzi wpływowych i o tym, że pieniądz coraz bardziej traci na wartości.

Stary Dag jest od niepamiętnych czasów bogatym człowiekiem. Przez długie lata nie myślał o niczym innym jak tylko o pieniądzach. To go nauczyło wszystkim i wszystkiemu nie dowierzać. Z biegiem czasu doszedł jednak do wniosku, że przez tę chciwość ominęło go wiele przyjemności życia. Po raz pierwszy zorientował się, że tak jest, po pewnym słowie panny Doroty, wypowiedzianym do niego w wieczór przed śmiercią. Gdy później żona jego umarła, skonstatował, że pomimo iż spędzili razem trzydzieści lat, nigdy nie miał czasu dłużej z nią porozmawiać. I od tej pory stał się pod wielu względami łagodniejszy. W sprawach pieniężnych nie postępował już tak bezwzględnie jak dotychczas. Odczuwał potrzebę zbliżenia się do ludzi, aby im dać dowód, że jego drogie zmarłe nie na darmo żyły. Przeciwnie, oddziaływały na niego, aby się stał pożyteczny tym wszystkim, z którymi miał do czynienia bądź we dworze u siebie, w lesie, na folwarkach, bądź też w kraju.

W ostatnich czasach dbał o to, ażeby być dobrym dla swej czeladzi i podwładnych i w miarę możliwości okazywać im przyjaźń.

Myśli jego teraz były zajęte synem i Adelajdą oraz tym, czy doczeka się potomstwa... Radość go rozsadzała, gdy sobie raz po raz uprzytomniał, że to może być chłopiec, który będzie przy jego boku dreptał po starych komnatach.

Od niedawna w umyśle starego Daga pojawiły się nowe zwątpienia. Przedtem nie dowierzał ludziom, gdy chodziło o pieniądze, teraz przestał ufać samym pieniądzom. Za dużo ich się zebrało. W księgach prowadzonych przez kuzyna Holdera cyfry narastały do gigantycznych rozmiarów. Na dole w głębokiej piwnicy stała skrzynia pełna pieniędzy, ale i ona nie mogła pomieścić wszystkich papierków. W mieście po składach leżał nie sprzedany budulec jeszcze sprzed wojny. Nie zdążył go zbyć. Obecnie otrzymywał list za listem z coraz ponętniejszymi propozycjami, ofiarowy-

wano coraz to wyższe sumy. Masy tego drzewa już leżały, a nowe zapasy dojdą z wiosną, gdyż praca w lasach wre, syn jego osobiście tym kieruje. Może być spokojny: praca da pomyślne rezultaty.

Były to drzewa z jego lasów, mające cenę na rynku, a więc przezornie nie zamieni ich na bezwartościowe papierki.

Gdy niedawno domagał się od kuzyna Holdera przysłania gotówki, ten mu odpisał, że ze względu na zaciągnięty kredyt sam potrzebuje srebra na regulowanie zobowiązań w Hamburgu i z tego powodu nie może mu przysłać całej żądanej sumy. Mocno to starego Daga zastanowiło, długo nad tym rozmyślał. Wszystko bardzo pięknie z tą Danią, Kopenhagą i królem tam na południu, ale pieniądz tam przeważnie zamienił się w papier bezwartościowy. Kuzyn Holder na pewno ma coś w planie z tym Hamburgiem. Tylko że Hamburg jest daleko na drugim końcu świata, ale tam liczą i płacą srebrem, a to mu przemawiało do rozsądku. A gdyby on tak za swoje drzewo tego hamburskiego srebra zażądał, bez względu na to, dokąd będzie ono sprzedane, do Anglii, czy do Holandii?

Dolewał więc wina i wódki majorowi tego wieczoru, wspominał niby to mimochodem o tym hamburskim srebrze i uważnie słuchał, co mu major mówił; a major dużo o tym słyszał i umiał opowiadać rzeczowo i zajmująco.

Gdy tego wieczoru stary Dag kładł się spać, miał plan gotowy i oto co z niego wynikło: w księgach wprawdzie zostały zapisane obecnie o wiele mniejsze sumy za sprzedaż drzewa, ale za to na koncie jego w banku hamburskim pojawiło się srebro.

Poza tym pieniądze papierowe lokował w ziemi i w towarze. Kupował nowoczesny sprzęt rolniczy dla dworu i do wypożyczania chłopom z osiedla, dzierżawcom z folwarków i różnym drobnym okolicznym właścicielom, którzy byli zależni od niego. Gdy drwale skończyli wyrąbywanie lasów, kazał im stawiać obory dla owiec i baranów przy smolarniach w lesie. Skupował konie i krowy, świnie, owce i kury i oddawał je smolarzom na chów. Nawet gdyby żniwa zawiodły i zabrakło żywności, to tak podzielony inwentarz zapobiegnie głodowi.

Wielkie czarne ogiery bjórndalskie biegły na południe kraju tak jak dawniej i wracały, ciągnąc wozy mocno obładowane. Woź-

nice wyładowywali to wszystko o zmierzchu, magazynowali po spichrzach, nie mówiąc ani słowa nikomu, co i skąd przywieźli. Stary Dag musiał dbać o tyłu ludzi! Dzięki zapobiegliwości i ruchliwości, wpływom i bogactwu potrafił sobie wszędzie utorować drogę i w ten sposób zapobiec brakom i biedzie w swoich posiadłościach.

Posiprowadzał ziarno dla wszystkich, poza tym sadzonki kartofli i nasiona jarzyn. Zaopatrzył ludzi w zboże na chleb, aby wszystkiego starczyło aż do nowych żniw.

Major Barre potem już nie miał czasu bawić dłużej w Bjórndal, ale nieraz wpadał na krótko i opowiadał o życiu w mieście, o inflacji, o ludziach, którzy się nagle wzbogacili, i o ucztach, na których leje się szampan, w ogóle o niebywałej rozrzutności. Opowiadał także o urzędnikach, którzy musieli wyżyć z pensji, i o szarych, małych ludziach, którzy cierpieli z powodu rozmaitych braków.

W Bjórndal mijały dni jak dawniej spokojnie, zawsze jednakie. Nadeszło lato. Dopiekało słońce, to znów deszcz padał. Na obsianych polach i łąkach wszystko dojrzewało.

Przyszła jesień. Wiatr w ciepłym słońcu gospodarował na polach. Dojrzałe, pełne kłosa szumiały obiecująco.

Musiano wybudować dwie nowe stodoły, bo te, które były, nie wystarczały na cały zbiór siana; to samo było i ze spichrzami — trzeba było nowe stawiać, bo w starych zbiory się nie mieściły.

Gospodarz był wszędzie od wczesnego rana do późnego wieczoru. Jeszcze nigdy praca nie szła tak rażno, jak tej wiosny przy sianiu i sadzeniu za pomocą nowych narzędzi, jeszcze nigdy się tak nie radowano obfitymi zbiorami, jak w tym roku po głodowej zimie.

Którejś nocy zakradli się na pola smolarze z lasu i zrywali kłosa, zanim ziarno zdążyło dojrzeć. Jednego przyłapali, przyprowadzili go przed starego gospodarza. Ostro go zwymyślał i spoliczko-wał.

Wkrótce potem jakiś chłopiec znów popełnił to samo przestępstwo; gdy go przyprowadzili do Daga, ze strachu zrobił w majtki, i to na oczach pana. Skończyło się na pogróżce. Musiał tylko dać słowo, że więcej kraść nie będzie, raczej przyjdzie do gospodarza i powie, że matce w domu czegoś brakuje.



Na świecie była wojna, a ojciec Dag walczył za wszystkich, którzy należeli do jego włości. Ale ta jego ruchliwość nie była spowodowana jedynie obowiązkami i troską o ludzi. W jego własnym domu było coś, co go do tego skłaniało. Już od dawna powziął pewne podejrzenie, ale na jesieni tak jakoś cicho i tajemniczo zrobiło się wokół niego, że musiał wszelkimi siłami udawać, jakoby niczego się nie domyślał.

XJJ

-fodczas jesiennych wichrów nocami jęczały i skrzypiały stare domy. Gdy burza trzęsła nimi, zdawało się, że każda belka unosi się w górę, że cały dom się rozpada. Wszystko trzeszczało i łomotało od gwałtownych uderzeń, a potem następowała nagła i krótko cisza. W takie noce domy żyły i poruszały się.

W panińskim pokoju leżała Adelajda i nasłuchiwała. Świeca paliła się na komodzie. Drzwi do pokoju Daga były otwarte. Pragnęła tego. Leżał tam na swoim łóżku i cicho spał w ciemności. Z jego komnaty dochodziły jeszcze głośniejsze dźwięki, bo pod dachem belki bardziej wystawały i wibracja była silniejsza.

Burza szalała, atakowała dom, który zdawał się podnosić i opadać niczym okręt na wysokiej fali. A może tylko to była imagi-nacja Adelajdy, a zawroty głowy, na które cierpiała, miały jakąś inną wewnętrzną przyczynę? Chyba że to będzie to... Już przez cały dzień i pod wieczór zdawała się odczuwać pierwsze sygnały, potem jakoś minęły, ale teraz znów jakby wracały. Chciała o nich zapomnieć wsłuchując się w harce wiatru, ale to się jej nie udawało. Może nieznacznie jęknęła? Bo nagle Dag stanął przed jej łóżkiem. Spracowaną dłonią gładził ją po ręce i bacznie jej się przyglądał.

Zwilżyła suche wargi końcem języka i szepnęła:

— Czy nie zechciałbyś mi przysłać panny Kruse?

Potrzymał jej rękę w swojej, podniósł lekko w górę, pochylił się i ucałował delikatnie. Gdy po chwili wyprostował się i opuścił pokój, miał oczy błyszczące ze wzruszenia.

Ileż to razy Adelajda marzyła, ażeby doczekać takiej chwili! Tylu innych całowało ją ipo rękach, a ona tak bardzo, tak gorąco pragnęła zobaczyć jego głowę pochyloną nad swoją ręką... Uczynił to! Chciała teraz pogładzić go po włosach, ale już nie miała sił.

Cichutko wsunęła się panna Kruse, coś szepnęła i usiadła przy drzwiach. Dag postanowił, że sam pojedzie ipo fachową pomoc. Słychać było odjeżdżający pojazd.

Adelajda starała się wsłuchiwać w wiatr i burzę, aby zająć swą myśl, ale bóle były coraz częstsze. Nagle przed oczami jej pojawiły się kolejno obrazy dziejów, które wyczytała w pamiętniku panny Doroty i słyszała z ust ojca Daga oraz panny Kruse — opowieści o ludziach, którzy niegdyś tu mieszkali, o narodzinach i śmierci we dworze. Pomiedzy jednym bólem a drugim stanęła jej przed oczami matka męża, Teresa. Często przypatrywała się jej portretowi w wielkiej sali. Dlaczego ona już nie żyje? Wyobrażała sobie również Ane Hamarrbó, która podobno była taka dostojna, a jednocześnie surowa i podobna do ojca Daga, bo miała przecież krew Bjórndalów w sobie. Wszystkie te opowiadania o życiu i działalności Ane Hamarrbó dały Adelajdzie tak żywe pojęcie o niej, aż zdawało jej się, że ją znała. Wiedziała o niej wszystko, jak również i to, że połogi, przy których asystowała, kończyły się szczęśliwie. O tej, po którą Dag teraz pojechał, nigdy nie słyszała i nie widziała jej na oczy, ale mówiono, że jest bardzo dzielna. Gwarancją jest przede wszystkim to, że nosi nazwisko tamtej: Unn Hamarrbó.

Jest prawnuczką starej Ane. Nikt inny, tylko sama Teresa Bjórndal wzięła ją do pomocy i wyuczyła, jak przystępować do położnicy, gdy sama już bezwładna siedziała w fotelu na kółkach. Teresa, gdy była zdrowa, zabierała Unn do pomocy przy połogach i niejednokrotnie się przekonała, że nadaje się do pielęgnowania chorych. Toteż wyuczyła ją tego zawodu i Unn wykonuje teraz czynności, w których Ane i Teresa osiągały niegdyś tak pomyślne wyniki.

Unn owdowiawszy młodo, powróciła do swej wsi. do Hamarr-

bo, a ludzie znowu nazywali ją panieńskim nazwiskiem. Miała chyba ze czterdzieści osiem lat.

Adelajda leżała na wpeł przytomna z bólów i różnych przywidzeń. Panowała jednak nad sobą i z ust jej nie wychodził ani jeden jęk; cała była pogrążona tylko w wizjach. Toteż dobrze nie wiedziała, co się wokoło niej dzieje. Nie słyszała, gdy zatur-kotały koła na podwórzu i gdy ktoś potem szedł po schodach.

Ocknęła się dopiero ujrawszy nagle pochyloną nad sobą jakąś postać. Tak sobie wyobrażała postać zmarłej przed wielu laty Ane Hamarrbó. Usiadła na łóżka i spoglądała na nią przerażonym wzrokiem.

— To Unn — słyszała jakby z bardzo daleka głos panny Kruse.

Adelajda opadła z powrotem na poduszki, zmusiła się do czegoś, co miało być uśmiechem, i wyciągnęła rękę na powitanie. Unn uścisnęła ją mocno i zasiadła na krześle tuż przy jej łóżku.

Na barkach panny Kruse spoczywały w tej chwili liczne obowiązki, opuściła więc pokój, zostawiając chorą pod opieką Unn. Dagowi wytłumaczyły, że najlepiej będzie, jeśli na tę noc przeniesie się do swego starego pomieszczenia w oficynie.

Adelajda z Unn pozostały same. Unn jeszcze wciąż trzymała rękę położnicy w swej dłoni. Ścisnęła ją mocno, pochylona nad Adelajdą i wpatrzona w nią szczególnym wzrokiem.

I nagle poczuła się Adelajda jakby w kontakcie z potężną i żywotną jeszcze przeszłością, o której tyle czytała i słyszała i która ją tak mocno obchodziła. Zdawało jej się, że w wysokiej postaci Unn i poprzez ostre jej rysy i błyszczące oczy widzi wszystkich przodków Daga, cały tryb uleciałego, rozpierschłego życia w Bjórndal, hen aż po zamierzchną przeszłość.

I Unn również przeżywała ważną, uroczystą chwilę żyda. Dotychczas nie widziała nigdy Adelajdy ani w czcisie Bożego Narodzenia, ani w ciągu jej bytności w lecie, ani też po ślubie. Bo owa wizyta w noc weselną w izbie czeladnej krążyła jak legenda po całym osiedlu, docierała aż do smolarzy w lesie. Opowiadano o jej piękności, o złotym diademie na głowie i złotem haftowanych różach na sukni, i ciężkich, złotych bransoletach.

Właściwie Unn nie marzyła nawet o tym, że ją wezwą do Bjórndal w tak ważnej chwili. Przypuszczała, że wezmą prawdziwą akuszerkę lub doktora, albo nawet i oboje z miasta. Aż tu nagle

przyjeżdża sam młody pan po nią. A teraz siedzi tu i trzyma samą Adelajdę za rękę.

Przyglądały się sobie zachwycone wzajemnie, nie wiedząc, co jedna o drugiej myśli.

Wprawdzie Unn przypominała swą prababkę, ale pomiędzy nimi leżała przestrzeń trzech czwartych stulecia. Stara Ane miała ciężkie dzieciństwo i twardą młodość, dlatego na starość stała się szortka, nieprzystępna i twarda. Na co dzień oczy Unn miały wyraz tak samo surowy i twardy. Ale w szczególnych okolicznościach, a taką była chwila obecna, spojrzenie jej nabierało głębi i ciepła, nie tracąc przenikliwości i ogarniając wszystko wokół. Ten mocny wzrok działał kojąco na Adelajdę... Pomógł przetrzymać bóle i dodał otuchy, gdy nadeszła ciężka chwila rodzenia.

Już dniało. W panińskiej komorze leżała Adelajda z dzieciątkiem na ręku. Łóżko było świeżo powleczone, pachniało czystością. Tuż obok stała odwieczna kołyska, wielka, szeroka, zasłana całą masą małych, wytwornych, puchowych poduszek i prześcieradełek o artystycznie mereżkowanych brzegach, przybranych wspaniałymi wstawkami i koronkami, które opadały na ziemię. Oczy Adelajdy błyszczały radośnie, tylko na czole znać było ślady wielkiego wysiłku. Loki wymykające się spod koronkowego czepka były wilgotne i przylegały szczelnie do skroni, usta również nie zatraciły jeszcze bolesnego wyrazu.

Z izby Daga dochodził trzask palącego się drzewa. Trzeba tam było zagrzać wodę dla położnicy, a w jej własnym pokój j przepalono z lekka pod kominem ze względu na małego przybysza.

Mąż przed chwilą wyszedł. Adelajda oczekiwała odwiedzin starego ojca. Była podniecona radością, że już jest po wszystkim, że dziecko przyszło na świat zdrowe, silne — i że to syn.

Zaskrzypiały schody stopień po stopniu, ugiwały się pod czy-imiś krokami deski w sieni. Nie trzeba było domysłów i pukania, bo i tak wiadomo było, że to kroki starego Daga. Cicho zamknął za sobą drzwi, podszedł do łóżka na pa.cach, uroczystym krokiem, usiadł przy nim, pochylił się i pogłaskał rękę Adelajdy, przypatrując się jednocześnie dziecku.

— No tak, Adelajdo, i do tego chłopak! — powiedział w końcu.

Adelajda nie mogła ani słowa wydobyć, oczy jej zalśniły, połykała łzy i walczyła ze sobą, ażeby nie wybuchnąć<sup>''^</sup> płaczem. Ojciec był tak przejęty i zachwycony, że mogła płakać z radości. I z nim się coś dziwnego działo. Wstał nagle, głęboko westchnął i odwrócił głowę. Chciał coś powiedzieć, ale dopiero za trzecim razem udało mu się wydobyć głos. Następnie rozległy się słowa odwieczne, którymi tu w Bjórndal prawdopodobnie witano każdego noworodka:

— Niech Pan Bóg błogosławi twoje zjawienie się na tym świecie, oby był przy tobie przez wszystkie dni twoje i wzięł cię do siebie, gdy skończy się twój żywot!

Zbrakło mu głosu ze wzruszenia przy ostatnich słowach. Oczy starego ojca były pełne łez, gdy podniósł rękę, ażeby pożegnać synową z daleka, następnie odwrócił się nagle i opuścił pokój.

Legenda wokół Adelajdy i jej życia wciąż rosła...

Unn Hamarrbó widziała teraz na własne oczy pokój młodej pani — było tak, jak jej służba o nim opowiadała. Wszędzie błyszczało srebro, koronki spływały fałdami i pełno było mebli rzeźbionych piękniej niż w kościele. Wisi tam też i Pan Jezus na krzyżu. Gdziekolwiek połyskują dziwne światła i unoszą się zapachy, zupełnie jak w ogrodzie pełnym kwiatów. Unn przyglądała się raz po raz Adelajdzie i konstatuje wciąż na nowo, że jest doprawdy nad podziw piękna i że chyba ma niebywale silny charakter, bo urodziła niezwykle dużego chłopca bez jęku. To zrobiło na Unn niesamowite wrażenie...

Gdy po pracy po chatach i domkach wyrobniczych opowiadano sobie legendę o Adelajdzie, tworząc wokół jej postaci osobliwą aureolę, padały tu i ówdzie słowa o jej nieprzystępnej dumie, surowości i bezuczuciowości, w ogóle o czymś niezrozumiałym, co bije od niej. Taki obraz nowej pani na Bjórndal wędrował przez pola i lasy, jak daleko ludzie mieszkali.

Unn Hamarrbó nie przypuszczała, że jej spostrzeżenia, którymi się podzieliła z najbliższymi, wywołają tego rodzaju komentarze.

Adelajda czuła się szczęśliwa, bezgranicznie szczęśliwa. Nigdy nie zapomni uczucia szczęścia, które ją przepełniało tej jesieni i zimy.

Oprócz tego wszystkiego, co jej w tej komnacie było od

pierwszej chwili tak bardzo drogie, zjawilo się tu maleństwo w pięknej kołysce, ułożone wygodnie na wyprawce szytej rękami ipanny Doroty na długi czas przed urodzeniem młodego Daga.

Jak daleko rozciągały się ziemie Daga, wszędzie witano z należąnią czcią przyjscie dziecka. Ojciec Dag bezustannie dopytywał się o malca, aż w końcu nadszedł czas, że wolno mu było brać go na ręce i bawić się z nim.

Ojciec dziecka interesował się nim również, gdy tylko był w domu. Więcej nawet: zaczął zawieszać u siebie w izbie rzeczy, które dotychczas miał w starej oficynie. Minęło trochę czasu, zanim Adelajda to zauważyła. Spostrzegła dopiero wówczas, gdy któregoś wieczoru, kiedy Dag był w lesie, chciała u niego wodę zagrzać, nie odwołując służby od zajęć. Zapaliła pod kominem i usiadła. Rozejrzawszy się po pokoju zauważyła różne nowe rzeczy porozwieszane po ścianach; z tyłu za łóżkiem w ciemnym kącie leżały wysokie buty i plecak, w ścianę wetknięty był topór.

Dag zaczął więc zbliżać się do niej.

xm

W tym szczęśliwym roku obchodzono święta Bożego Narodzenia w Bjórndal niebywale hucznie. Przyjechali major i ciotka Eleonora, oprócz nich mnóstwo innych gości. Ucztowano, tańczono, wznoszono toasty, wygłaszano mowy, śpiewano i kolędy, i wesołe piosenki. Niejeden z gości nie bardzo był zadowolony z tego, że musiał przy wieczerzy wigilijnej zasiąść przy jednym stole z czeladnią i słuchać z uwagą ojca Daga, gdy odczytywał odpowiednie ustępy z Biblii umieszczonej między dwoma kandelabrami. Gorsze było, że stary bardzo -wcześnie wycofał się, oznajmiwszy kategorycznie, że zbudzi wszystkich do dnia, ażeby zdążyli na mszę ranną do kościoła. Czy to tak powinien się zachowywać gospodarz w stosunku do gości z lepszych sfer? Ale nic nie pomogło, obudzono ich i do łóżka dostali przekąskę z wódką. Otrząsali się na myśl, że mają jechać prawie

w nocy w taki mróz, i szemrali niezadowoleni. Ale wesoły dźwięk dzwonek, blask pochodni przy saniach i nastrój uroczystej mszy świętej w kościele wywarły na nich to samo wrażenie, co na każdym w takich wypadkach. To, co w nich pozostało jeszcze z prostoty i wrodzonego pędu do radości, przebiło się przez obłok próż-nostek, które uważali w swym płytkim życiu za sprawy najważniejsze.

Pastor Ramer na kazalnicy nie przypominał większości ówczesnych pastorów. Ci bowiem wyglądają, jakby chcieli się tłumaczyć z faktu, że uważają istnienie Boga za dopuszczalne przez filozofię. On przeciwnie: jest tu, aby służyć Bogu i wierzyć w niego. Mówił to z taką siłą przekonania, że stara świątynia nabierała życia od gorących słów.

Gdy wracali tą samą drogą do domu, osobliwie dźwięczały im w uszach dzwonki przy saniach, osobliwym wydało im się światło, które rzucały pochodnie na ośnieżony krajobraz i na olbrzymie drzewa. Słowa, które usłyszeli w kościele, zapadły im w dusze i miały zachować swą moc nie tylko w dniach radości, ale i w chwilach żałoby i smutku. Powracały do nich w melodii dzwonek, w smugach światła rzucanych przez pochodnie... Wszystko, co ich tak do głębi przeniknęło, szło razem z nimi od kościoła aż do Bjórndal.

Dotychczas z powodu obecności licznych gości posiłki były podawane w jadalni 'w nowym budynku, ale teraz, po powrocie z kościoła, stół nakryto zgodnie z tradycją w dużej komnacie w starym domu. Stół, jak było w zwyczaju za dawnych czasów, ugiął się od ilości potraw, wszelkiego rodzaju mięs i ryb.

Na pewno wszyscy odnieśli to samo wrażenie co i Adelajda podczas swego pierwszego pobytu tutaj: napełniał ich szacunek dla przekazywanej od wieków tradycji; szacunek i respekt dla odziedziczonej siły i potęgi, dla prawdziwości i solidności tego wszystkiego, co tu widzieli: od belek na suficie aż do kunsztownie rzeźbionych krzeseł i srebrnych nakryć na stole.

Od początku wszystkie spojrzenia skierowane były na starego gospodarza. Nikt nigdy nie wiedział dobrze, na którym stołku z nim siedzi. Adelajda zagryzła usta, ażeby się nie uśmiechnąć. Nawet ci obcy ludzie z wielkiego świata są po wczorajszym wieczorze i dzisiejszym ranku pod urokiem i wpływem starego Daga.

Siedzieli cicho, pełni szacunku dla niego. Wyjątkowo długo ociągał się dziś, zanim podniósł kielich w górę. Na pewno usłyszał coś z tego, co pogadywano niechętnie o zbyt wczesnym, rannym budzeniu, bo miał ucho wyrobione. Pragnął teraz, ażeby przyjazny, uroczysty nastrój zapadł im jak najgłębiej w dusze.

W końcu podniósł kielich i powiedział jak zwykle parę słów na początku świątecznej uczyty. Podziękował im za to, że nie zlekli się dalekiej drogi do kościoła i uszanowali tradycje dworu. Upomniął ich, ażeby tu przy tym stole podziękowali z głębi serca Panu za jego hojne dary. Uśmiechnął się wzruszony, wypił za zdrowie gości i postawił próżny kielich.

Potem już nie hamował wybuchów wesołości, która ogarnęła towarzystwo po wypiciu sporej ilości wódki i mocnego piwa. Gwar i śmiechy, jak już tylokrotnie, wypełniały wszystkie pokoje.

Adelajda zrozumiała dobrze, co stary miał na myśli, każąc dziękować Panu Bogu za szczodre dary na tym stole.

Tutaj w tym dworze wszystko miało swoje pradawne znaczenie.

#### XIV

utary Dag pomimo okazywanej radości miał i nieco trosk tej zimy. Z uwagi na dobre żniwa, a także i dlatego, że pieniądz papierowy tracił coraz ba-dziej na wartości, okoliczni mieszkańcy starali się na gwałt odzyskać swe majątki, pozostawiane z powodu ciężkich czasów. Płacili garściami bezwartościowych baknotów. Sto talarów miało wartość paru szylingów.

Stary wspomniął srebrne talary, piękne, nowe pieniądze, którymi płacił w swoim czasie, hipotekując się na tych dworach.

Gdy robił owe transakcje, był jeszcze bardzo chciwy nd grosz i nieustępliwy. Dewiza jego brzmiała: „Prawo jest prawem bez względu na okoliczności". Nie miał dla płatnika litości, nawet jeśli on o nią błagał. A obecnie już dwa razy się zdarzyło, że ktoś od niego odkupił jeden z dworów, dając mu w zamian stos bez-



użytecznych papierków. I tu prawo było prawem, bó<sup>na</sup> tych papierkach były liczby seryjne, państwowe. Niczyja wina przecież, że straciły na wartości. Możliwe, że czekają go jeszcze inne podobne wypadki: wiedział, że istnieje prawo odkupu majątku dziedzicznego w ciągu piętnastu lat, a wiele z tych posiadłości należy krócej do niego. Przede wszystkim myślał o Bargland, najpiękniejszej posiadłości, położonej w dolinie, którą przed dwoma laty za ledwie nabył. Mieszkał tam jeszcze dawny właściciel, pułkownik von Gali, ze swoją córką znaną ze złego charakteru; przed wielu laty była powodem śmierci starszego syna Daga, Torgo, w czeluściach wąwozu Jomfrudal. Dag dał się skusić i umieścił tam na pierwszej hipotece znaczny grosz. Następnie kazał — „dla pewności”, jak twierdził adwokat — przepisać rezydencję na swoje nazwisko.

Przez dwa lata wysyłał tam wiele koni i silnych robotników wraz z narzędziami i sprzętem rolniczym i kazał im pracować nie tylko w czasie sezonów, ale przez cały rok. Na jego rozkaz kopano rowy i kanały i w ogóle wszystko zaniedbane doprowadzono do porządku. Rezultat był taki, że ostatnie zbiory z niezmiernie rozległych pól i łąk wprowadziły go w podziw, a zarazem w lęk.

A teraz, ledwo zdołał jakiś ład zaprowadzić i wykarczować ogromne przestrzenie, miałby to wszystko stracić wraz z tym, co włożył w ziemię? Teraz rozumiał, że nonsensem było wplątywać się w interesy na tak wielką skalę. I tak miał dosyć, posiadając samo Bjórndal i bezkresne lasy. Ale przewidywał pewnie, że może więcej chłopców urodzi się w Bjórndal. Najstarszy odziedziczyłby Bjórndal w całości — tak jak to od pokoleń było — a drugi miałby Borgland. A trzeci i następni, gdyby się zjawili, otrzymaliby części swoje w różnych punktach na południu kraju.

Myśli ojca Daga szybowwały na orlich skrzydłach. A teraz, kiedy pierwszy dziedzic był już na świecie, dziedzictwa zaczyna ubywać, wymyka mu się ziemia po kawałku z rąk.

W owym okresie opowiadano sobie na posiedzeniach w gminie kościelnej i w okolicy, że stary Dag papierowymi pieniędzmi zapala sobie fajkę i że w mankietach nosi fidibusy ukrecone z banknotów.

a A lasy wiecznie śpiewają

Byli tacy, którzy twierdzili, że robi to dla żartów, mając tego śmiecia za dużo; inni znów, że pragnie zakpić sobie z rządu pałac bezwartościowe asygnaty. Ale nikt nie przypuszczał, że mógł zapalić fajkę wszystkimi pieniędzmi otrzymanymi za jeden z dworów, który dawni właściciele od niego odkupili.

Tak, była to wielka nieostrożność zapakowanie się w tak wielkie interesy.

Minęła zima, nadeszła wiosna 1811 roku. Na dawnych, zasłanych kwiatami lakach w Borgland wschodził owies. Kazał go tam posiać stary Dag. Wyobrażano już sobie przestrzenie pokryte zieloną runią, ale w pierwszych tygodniach kwietnia było to jeszcze niemożliwe. W stodołach leżały wielkie brony o grubych, żelaznych zębach i silnych kratkach; były tam też ciężkie pługi ze specjalnego żelaza ze stalą, inne niż wszystkie dotychczasowe;

były to nowe nabytki, zakupione przez zapobiegliwego gospodarza. Bjórndalskie konie robocze, nawykłe do wyciągania obciążonych mocno wozów na każdym terenie, nie chwiały się w kolanach na wilgotnej borglandzkiej ziemi. Żwawo ciągnęły pługi i brony, pomimo że były cięższe niż normalne i głęboko zapadały się w ziemię.

Nadchodziła pora, kiedy to ekonom miał się udać do Borgland z końmi i ludźmi i kierować nimi w starej posiadłości rodziny Gallów. Zazwyczaj stary pułkownik, drżąc na całym cieple, obserwował te nowe rządy swego następcy przez dziurę w płocie, a córka jego, panna Elżbieta, spoza firanki swojej komnaty.

Pułkownik Gali, od czasu gdy dwa lata temu musiał się udać do Bjórndal i prosić o pieniądze starego Daga, ażeby ratować nimi zaprzepaszczoną hipotekę, bardzo się zestarzał, głównie od chwili, gdy się dowiedział, że stary Dag sam przejął hipotekę. Wprawdzie mógł mieszkać sobie spokojnie nadal w Borgland i żywić się produktami rolnymi i tym wszystkim, co mu dawało gospodarstwo domowe, bez kłopotania się o późniejszą zapłatę. Noga starego Daga nigdy nie przestąpiła jego progu. Ale dawnego właściciela już tamto nieszczęście przeżarło, a wieść o przejęciu całej hipoteki przez Bjórndala zabrała mu resztki sił. Również i piękna, światowa niegdyś panna Elżbieta od tej chwili nie wychodziła z domu.

Było to około połowy kwietnia; słońce już przygrzewało, po jasnym niebie przeciągały przejrzyste pasma obłoków. Wyglądały tak, jakby łączyły brzegi ziemi z nieskończonością nieba. W górze, bardzo wysoko, tak że ich widać nie było, śpiewały skowronki. W przyrodzie wszystko się przewalało, budziło do nowego życia, ziemia jakby fermentowała, a wody, tryskając wszystkimi szczelinami, sączyły się we wszystkich rozpadlinach i dołach.

Stajenny borglandzki przyprowadził kasztana panny Elżbiety przed portal. Koń był osiodłany. Stajenny z całej siły czesał go, przyglądał i rozcierał, ale wobec tego, że zwierzę całe dwa lata stało w stajni bez ruchu, trudno było sierść jego doprowadzić do połysku. Nogi miało biedne konisko zeszywniałe, jakby ich nigdy dotąd porządnie nie stawiało. Dano chłopcu znać w kuchni, że jaśnie panią pragnie wyjechać. „Też pomyśl! Dwa lata nie jeździła, więc mogłaby i nadal człowieka zostawić w spokoju” — myślał sobie chłopak, trzymając konia za uzdę. Starał się przy tym o równie dziarską postawę jak dawniej.

Spojrzał ukradkiem na pannę Elżbietę, gdy jak zwykle zbliżyła się dumna, zarozumiała i bez słowa powitania wsiadła na konia.

Nagle smagnęła go szpicrutą. Uczuł piekący ból koło ucha. Spytała go wyniośle:

— Co? To według ciebie nazywa się oczyszczeniem konia?

Znów smagnięcie, ale tym razem konia; widocznie jednocześnie i ostrogi musiały mu dobrze wejść w boki, bo wierzchowiec drgnął, podniósł łeb i zarżał żałośnie. Następnie starał się stężalymi nogami ruszyć z miejsca. W końcu mu się to udało. Ruszyli przez podwórze w stronę alei.

Stajenny roztarł sobie ucho i patrząc za nią rzekł mniej więcej to samo, co ten Lorenc na pół wariat, brat pułkownika, który tu latał dawniej niby pokutująca dusza: ażeby ją tak kiedy żywcem diabli porwali!

Panna Elżbieta tymczasem spotkała na końcu alei bladą, biednie ubraną córeczkę jednego ze smolarzy. Mała na pewno już niejedno o jaśnie panią słyszała, gdyż ujrzawszy ją uciekła, nie ukłoniwszy jej się nawet. Ale panna Elżbieta ściągnęła cugle i zawołała: — Stój. — Dziewczynka zatrzymała się i w tej samej chwili dostała szpicrutą po uszach; bolało ją tak silnie, jakby jej

uszy odcięto... Grube pręgi widać było na policzkach i szyi pod cienkimi warkoczykami. Krzyczała rozdzierająco, a panna Elżbieta wyprostowała się na siodle:

— Następnym razem już mi się uklonisz, przypuszczam! — Po czym dała koniowi ostrogę i ipojechała truchtem dalej na rozświetlone wiosną, pełne kwieciami błonia, wyprostowana i piękna. Tak, piękna jeszcze, mimo że dwa lata nie wychodziła z domu.

Na podwórzu stajenny, trzymając się za ucho, szedł w kierunku stajni. Co mają oznaczać te wszystkie zmiany, które zaszły tu w ciągu ostatnich tygodni? Przez dwa lata ten wariat Lorenc chodził wszędzie, gdzie mu się tylko podobało, przebywał w stajni, w czeladnej, bawił wszystkich swym zwariowanym gadaniem, a tu nagle od Bożego Narodzenia trzymają go jak dawniej w zamkniętej komorze i wolno mu tylko raz dziennie z samego rana, kiedy jeszcze wszyscy śpią, wyjść na spacer do ogrodu. Pułkownik przez te dwa lata przemykał się jak cień tylko, a obecnie zaczyna się wszędzie pokazywać. Przychodzi do stajni, ogląda stare narzędzia i konie, których nie zdołano jeszcze sprzedać, i każe wszystko doprowadzić do porządku. A tej diablicy zachciało się nagle jak dawniej jeździć konno.

W ostatnich latach dawni właściciele Borgland nie utrzymywali z nikim stosunków. Odsunęli się od ludzi ze wstydu po utracie całego majątku, a także i dlatego, że musieli żyć z łaski starego Daga. Nic dziwnego, że nie mieli najmniejszego pojęcia o tym, co się w świecie dzieje. Ale minionej jesieni odwiedził ich przypadkowo znajomy urzędnik z południa; od niego się dowiedzieli, że obecnie zupełnie prawnie, za zwrotem sumy zahipotekowanej, majątki dziedziczne wracają do dawnych właścicieli... A pieniądze to fraszka! Tak łatwo go obecnie zdobyć.

Pułkownik, złamany i przygnębiony, w głębi duszy mógł się czuć lepiej, od czasu gdy zarząd tym wielkim majątkiem spoczywał w rękach człowieka tak silnego i solidnego. I miał na tyle zdrowego rozsądku, aby sobie zdać sprawę, że nawet jeśli łatwo byłoby zdobyć pieniądze na wykup majątku, wiele ich jeszcze będzie potrzeba na uruchomienie gospodarstwa. Inwentarz żywy wyniszczony zupełnie; co było dobre, w swoim czasie

sprzedano. A sprzęt rolniczy? Stary, w fatalnym stanie. Budynki zapadają się jeden po drugim. Jest to zresztą normalna kolej rzeczy tam, gdzie właściciel biednieje i nie ma na inwestycje. Ażeby to wszystko doprowadzić do porządku, trzeba dużo pieniędzy, i to nie tylko nic nie wartych papierków, które ledwo wystarczą na odkupienie majątku. Tu trzeba wielkich sum, i to według kursu wartości w danym dniu.

Ten stary Bjórndal tak bardzo przyzwoicie z nimi przez cały czas postępował. W owym pierwszym nieszczęsnym roku pozostawił do ich dyspozycji wszystkie zbiory, a poza tym przychodził im chętnie i wydatnie z pomocą. W drugim roku, w którym były pomyślne zbiory, prawie niczego dla siebie nie żądał, tak że mieli wszystkiego w bród. Pułkownik wychowany był w tradycjach wysokiego poczucia rzetelności, przekazanego mu przez pokolenia szlachciców wykonujących ściśle swoje zobowiązania. Wiedział dobrze, czym była dla jego posiadłości pomoc, którą dawał Dag w ludziach, koniach i narzędziach. Jego duma wzdragała się nawet przed przyjęciem tego wszystkiego, co było ponad zapłatę w dobrej monecie długów hipotecznych. To miało lekki posmak nieuczciwości. Ale córka namawiała go do tego, podburzała dzień i noc, aż w końcu uległ i napisał list do Daga z zawiadomieniem, że odkupuje swoje dobra. Bojąc się, ażeby ojciec się nie rozmyślił, panna Elżbieta list zabrała i od tygodnia trzymała go u siebie w przechowaniu.

Wiedziała z biadań ojca, że brak im wielu najpotrzebniejszych rzeczy w gospodarstwie, i powzięła postanowienie: nie wyśle tego pisma wcześniej, póki Bjórndal nie skończy tu zasiewów wiosennych. Nawet jeśliby wówczas rościli sobie pretensje do zbiorów — (nie wie dokładnie, czy istnieje takie prawo) — to przynajmniej będą nadal rolę drenować i ulepszać, jak robili to dotychczas, a ojciec zyska na czasie dla zdobycia pieniędzy na kupno bydła i sprzętu.

Postanowiła aż do wysłania tego pisma nie opuszczać domu, ale dziś był właśnie taki piękny dzień wiosenny... Upajała ją nadzieja, że stanie się z powrotem panią na Borgland i że jej dawniejsza przyjaciółka Adelajda będąca obecnie żoną młodego Daga, dowie się o czekającej ją stracie najpiękniejszej posiadłości. Już nie mogła dłużej w domu usiedzieć, gnało ją coś na powietrze,

w słońce. Nie mogła oprzeć się chęci przejechania się konno po dobrze znanych drogach i nawiązania kontaktu na nowo z otaczającym życiem.

Elżbieta von Gali, zwana „złą”, skrzyła w aleję prowadzącą na północ. Była to droga do Bjórndal. Różnie mówiono tu w okolicy o Elżbiecie. Czy to nie ona ongiś w księżycową noc pchnęła Torego Bjórndala na ową straszną ścieżkę, wiodącą w kierunku Doliny Dziewicy? A potem nikt go już więcej nie zobaczył. Towarzyszył jej wtedy również ówczesny adorator, elegancki porucznik von Margas. Miał szpadę przy boku, a Torę Bjórndal był zupełnie bez broni. Już nigdy potem porucznik von Margas nie zjawił się w Borgland. Mówiono, że wyjechał za granicę i padł w armii napoleońskiej. Potem panna Elżbieta zaprosiła na bal brata Torego, młodego Daga. Kokietowała go przez cały wieczór, ale nie zainteresował się nią i pod koniec wieczoru tańczył tylko z Adelajdą Barre, która potem została jego żoną. Tak, tak, różne rzeczy szeptano sobie do ucha o panie Elżbiecie, o jej diabolicznej złośliwości względem ludzi... Ba, nawet względem niewinnych zwierząt.

Jechała sobie teraz z dumnie podniesioną głową w pełnym słońcu. Ujechała kawał drogi w kierunku północnym. Była krótkowzroczna, ale słuch miała dobry. Właśnie dobiegł ją od strony lasu turkot kół, a wkrótce ujrzała też i wóz. Zawróciła wtedy konia i spokojnie zaczęła jechać tą samą drogą z powrotem. Wóz jechał w ślad za nią i dogonił ją u początku alei, zatrzymała więc konia i czekała, patrząc przed siebie.

Na wozie siedział ekonom z Bjórndal, Syver Bakpaa; jechał do Borgland, ażeby zapoznać się przed rozpoczęciem prac wiosennych ze stanem narzędzi rolniczych pozostawionych tamtego roku. Takie porządki były wszędzie, gdzie rządził Dag Bjórndal:

zawczasu interesowano się tym, co miało być później potrzebne.

Panna poznała go. Ale i on także wiele o niej wiedział. Rozsiadł się więc z pewną siebie miną w wozie i miał właśnie przejechać bez ukłonu. Spojrzał na nią tylko spode łba ukradkiem.

Czy on nie może się ukłonić? Szpicruta przecięła z sykiem powietrze, ale silny chłop chwycił ją, wyrwał z ręki i połamawszy na kawałki, rzucił w błoto.

Chciał ruszyć w dalszą drogę, ale nakazała mu ostrym tonem, ażeby się zatrzymał.

— Precz, wynosić się z tej alei — wrzasnęła — co on ma tu do roboty?

— A no — odparł Syver — chciałem tylko obejrzyć narzędzia w szopie.

— Tu już nikt stamtąd nie ma nic do oglądania. Wasze narzędzia wyrzucimy na drogę, niech on wie o tym! Stamtąd możecie je sobie potem pozbierać.

Syver obejrzał ją spokojnym wzrokiem od stóp do głowy i z pewnością siebie odpowiedział:

— Ja mam rozkaz od mojego pana i muszę zrobić to, co mi kazał.

Panna uspokoiła konia, któremu z wściekłości wbiła ostrogi głęboko w ciało.

— Niech się stąd wyniesie, i to jak najprędzej. Tu nikt stamtąd nie ma nic do roboty. Powiedz, że wykupujemy majątek, i to zaraz z miejsca. List jest już napisany.

— Napisany może — odparł parobek z wolna — ale nie wręczony, i to nie wręczony we właściwym czasie, a teraz już za późno! — Po czym głośno i daleko splunął przed siebie.

Panna Elżbieta zbladła.

— Za późno? — wyszeptwała.

— No tak, teraz to już trzeba za to płacić prawdziwymi pieniędzmi. Wszystko musi być urzędowo otaksowane. Wczoraj przyszedł do nas list o tym od adwokata. — Po tych słowach przejechał przed nosem panny Elżbiety i ze specjalnym rozmachem skręcił w podwórze Borgland. Wszedł do stodoły, zaczął przerzucać brony, pługi i szpadle, aż się rozlegało. Jeśli stary Dag miał względy dla tych tu ludzi i nikomu nie dokuczał, Syver Bakpaa chciał sam wymierzać sprawiedliwość. Wiedział przecież, z jaką pogardą odnosi się pułkownik i ta jego córka do ludzi-z Bjórndał, w ogóle do wszystkich ludzi. Ach, ta panna, ta diablica! Mało się to o niej słyszało?! Ręce mu się rwały, żeby tę kobietę z piekła rodem porządnie wygrzmocić, i to tu, na poczekaniu! Ale z ludźmi takiej sfery nie da się tego zrobić.

Stary Dag z początkiem wiosny powiedział mu, że trzeba się wstrzymać z pracami wiosennymi w polu, gdyż możliwe, że różne

majątki zostaną przez właścicieli odkupione i przestaną do nich należeć. A tu nagle nadchodzi wiadomość z Kopenhagi, że skończyły się rządy papierowych pieniędzy i że ostateczny termin przymusowego przyjmowania wpłaty mija 5 kwietnia. Od tego dnia wszystko musi być otaksowane wedle prawdziwej wartości. Syver sam według wskazówek starego Daga kierował wszystkim na polach borglandzkich. Wiedział dobrze, że wartość tych ziem jest ogromna, jeśli sprawiedliwie zostaną oszacowane. Wierzył w dobre rezultaty swojej pracy.

Został oficjalnie zmieniony również termin wykupu dóbr dziedzicznych: z piętnastu lat przesunięto go na pięć. Toteż ten pułkownik i ta zarozumiała koza szeszna, zanim w ciągu trzech lat, których brak do terminu, zbiorą tak wielką sumę! Dla tych ludzi i podobnych im Syver nie miał żadnej litości ani względów. Podczas pracy palił fajkę i hałasował, jakby to on był panem i władcą w Borgland.

Okazało się potem, że to, co Syver powiedział, jest prawdą w każdym punkcie. Panna Elżbieta posłała specjalnego posłańca do wójta w dolinie i otrzymała odpowiedź, że za długo czekała z wymówieniem. Ta wiadomość zwała ją z nóg, długo nie opuszczała łóżka. Wiadomość ta dotknęła również pułkownika, bo zżył się już z myślą, że majątek wraca do niego; jednakże następnego dnia widziano go, jak spacerował sobie po ogrodzie pogwizdując jak za najlepszych czasów...

Syver bardzo był ciekaw, czy stary — gdy mu zda relację po powrocie do domu z owego zajścia z tą złą panną — wpadnie w gniew i wyrzuci byłych właścicieli.

Ale nie. Dał pułkownikowi przyrzeczenie, że do końca życia będzie mógł siedzieć w Borgland. Ani mu przez myśl nie przejdzie, ażeby złamać dane już raz słowo.

Syver opowiadał potem o tym zajściu bez specjalnej gwałtowności. Gniew wyszumiał z niego w Borgland przy pracy, toteż zdał tylko raport z tego, co się zdarzyło.

Po nowych zarządzeniach w sprawie odkupienia majątków dziedzicznych, stary Dag stał się znowuż spokojny i łagodny; powiedział na zakończenie Syverowi:

— Możesz się kłaniać z całym szacunkiem staremu pułkownikowi, przecież to dawny żołnierz!



W Borgland przestało się mówić o wymówieniu i zwrocie posiadłości. Wiosną jak zazwyczaj ziemię borglandzką uprawiali ludzie z Bjórndał. Zjawili się z ciężkimi pługami o stalowych ostrzach i bronami i orali glebę głębiej, niż to bywało za dawnych czasów, przed Dagiem.

Pułkownik z melancholijnym wyrazem twarzy stał w ogrodzie ukryty za krzakami i przyglądał się pracy wykonywanej no ziemi, która była jego rodową własnością, a na górze w komnacie panny Elżbiety poruszały się ukradkiem firanki u okien.

Ojciec Dag teraz już nie był niezadowolony z zarządzeń prawnych w kraju ani z samego rządu. Już nie zapalał fajki przy pomocy papierowych pieniędzy.

Zbiory tego roku były świetne. W Borgland — nawet wyjątkowo udane.

Późną jesienią w Bjórndał przyszedł na świat drugi syn.

XV

-Złudzie mówili o Krzysztofie Tuvie, wiejskim poborcy, że to po prostu opryszek.

Posiadał dwa gospodarstwa i w każdym żonę. Mówiono, że z jedną się rozwiódł, ale pomimo to żyje z nią nadal.

Przypisywano mu jeszcze poza tym awanturki miłosne z różnymi innymi kobietami. Gdy miał dość rozpusty, zaczynał grać w karty i upijał się. Opowiadano sobie, że zapraszał ludzi z ulicy i naprzód upijał, a potem ogrywał ich w karty. Gdy ludzie przychodzili do niego w celu zapłacenia podatków albo długów, częstował ich wódką i grał z nimi w karty; po powrocie do domu okazywało się, że nie tylko nie mieli pieniędzy, ale byli winni więcej niż przedtem.

Poborca Tuv miał olbrzymiego, holsztyńskiego psa, którego nauczył różnych sztuk. Opowiadano sobie niestworzone historie o tym szatańskim kundlu, ale tego psa nikt nigdy w dzień nie widywał. Dopiero późnym wieczorem, gdy grano w najlepsze

i ludzie popici na umór hałasowali niemiłosiernie, gdy wszystko tonęło w oparach dymu gęstego jak mgła, wylaniał się z jakiegoś kąta niby potworna zjawia i kładł się pod stołem, przy którym siedzieli grający.

Poborca kierował do niego magiczne formułki, a ten od razu najeżał się i wył ohydnie. Był przy tym tak jeszcze wytresowany, że się nagle robił potwornie wielki i unosił w górę cały stół z kartami. Ci, którzy to po raz pierwszy widzieli, uciekali jak od diabelskich sztuk, zapominając w pośpiechu zabrać wygrane pieniądze, a gdy wracali po chwili — pieniędzy tych już nie było. Niejednego nieszczęścia był przyczyną ten poborca: tego rozpił, tamten stracił przez karcciarstwo dwór i ziemię. Byli i inni urzędnicy w tej okolicy, ale czy można było skarżyć się na poborcę i żądać wglądu w jego sprawy, jeśli się własnych w porządku nie miało?

Do starego Daga często przychodzili ludzie z różnych stron, i długo gadając, prosili o małą pożyczkę. Pozwalał im się wypowiedzieć, słuchał uważnie i brał pod uwagę nie tylko słowa, ale i ton, pragnął wyczuć, czy mówili prawdę.

Siadał wtedy naprzeciwko nich i bacznie im się przyglądał. Przeważnie każdemu przychodził z pomocą, szczególnie w ostatnich latach; ale jeśli ktoś wydał mu się nie dość pewny, żądał gwarancji hipotecznej. Niejednego próżniaka pobudził swym przykładem do pracy. Pomimo podeszłego wieku widywano go ze swym koniem stale i wszędzie, bez względu na porę roku i pogodę. Był zawsze ciekaw, na co zostały zużytkowane pieniądze dane przez niego. Jego upomnienia i wskazówki przynosiły nieraz lepsze skutki niż pomoc finansowa. Był dzieckiem dawnych, twardych czasów, człowiekiem urodzonym na leśnym osiedlu. Spędził wiele lat swego życia na wietrze i zimnie. Zahartował się i zebrał dużo doświadczeń — jedne z nich pochodziły z własnych przeżyć, ale większość brała źródło w skarbcu mądrości przekazanej mu przez ojca, a zdobytej ciężką pracą przez wiele pokoleń.

Pomiędzy proszącymi o pomoc znalazł się naprzód jeden potem drugi, który mu opowiadał o poborcy, jego pijatykach, potwornym karcciarstwie i psie. Gdy o tym powtórnie usłyszał, gwał-

townie pochylał się naprzód, ale był stary — później widocznie zapomniał.

Któregoś dnia ojciec Dag siedział przy stole koło okna. Przerzucał stare papiery i może przypomniał sobie Klingego, bo się zamyślił, oparłszy brodę na rękę patrzył przez okno na pola w jesiennej szacie. Przygasła fajka leżała na stole, dym z niej ciągnął się wąskim pasmem do kominka i tam przepadał.

Nagle ktoś zastukał do drzwi sieni. Panna Kruse wprowadziła jakąś kobietę, która tu przywędrowała z dalekiego południa, aby pomówić z Dagiem. Dygnęła raz przy samych drzwiach, a gdy panna Kruse "wyszła, w dygach przemaszerowała przez pokój, aż w końcu usiadła na krześle, które jej stary Dag wskazał. Zwrócił się ku niej na obracany krześle, sporządzonym według rysunku i wskazówek kapitana Klingego. Po długim wstępie wreszcie powiedziała, co ją tu sprowadza.

Nie miała odwagi spojrzeć Dagowi w oczy. Nerwowo poruszała spracowanymi rękami. Bezustannie szarpała i gładziła fartuch. Mówiąc kiwała się to w jedną, to w drugą stronę.

Wszystko co miała do powiedzenia, dotyczyło poborcy. Mąż jej wpadł w ręce tej bestii. Siedzi tam teraz u niego, pije i całymi dniami gra w karty. Nie ma odwagi odmówić poborcy dalszej gry, bo jest zadłużony po uszy, musi więc grać dalej. A gdy czasem nawet coś wygra, to twierdzi, że pieniądze wtedy znikają, a to diabelskie nasienie, kundel, wałęsa się po pokoju z tak niesamowitym wyglądem, że mąż jej na pół żywy ze strachu wraca do domu. Teraz zaczęła się nowa tura i trwa już trzy noce i trzy dni... — Bóg raczy wiedzieć, jak to się skończy! — tymi słowami zamknęła biedna kobieta tę smutną opowieść.

— Tak, Pan Bóg wie o wszystkim, możesz tego być pewna, moja kobieto! — odparł surowo stary Dag.

Te ostre słowa wypowiedział tak donośnie, że kobiecina na wskroś przejęta własnym nieszczęściem, drgnęła na całym ciele i zerwała się z krzesła. Zakłopotana, zaledwie mogła utrzymać się na nogach, oczy jej latały z wylęknienia; wówczas Dag już zupełnie spokojnie spytał, czy i dzisiaj tamci dwaj będą grać w karty?

Kobiecina odrzekła, że jeżeli poborcę napadnie atak, to może to potrwać i cały tydzień.

Stary Dag nie znał tej kobiety, ale domyślił się zaraz, kto jest jej mężem. Już dwa razy próbował go sprowadzić na drogę obowiązku darując mu dług, używając mu pomocy przy zwózce, napominając go i okazując surowość.

Dag pogładził się po włosach. Delikatna skóra na bliźnie przy skroni — pamiątka z bijatyki z lat młodzieńczych — drgała i pulsowała. Ściągnął usta, stały się one zupełnie wąskie, wysunął naprzód podbródek.

— Zanim zaprzęgnę konie, możesz iść do kuchni; tam ci dadzą coś do zjedzenia — powiedział.

— Oby mi Bóg był miłościwi — zawołała kobieta. — Chyba nie masz zamiaru jechać do poborcy, na Boga! Wtedy by tam poszło wszystko na śmierć i życie.

Usłyszała już tylko, jak trzwi trzasnęły za gospodarzem. Zakłopotana odwróciła się i w końcu idąc za nim wyszła na korytarz, trafiła do kuchni i tam porozmawiała chwilę z panną Kruse.

Stary odwiózł kobietę do domu. Zapadł wieczór. Podczas jazdy zaklinała go na wszystkie świętości, ażeby nie jechał teraz do poborcy. Lepiej w dzień, i to z kimś, ażeby z jej powodu nie wpakował się w jakieś nieszczęście. Poborca to nie prywatna osoba, tylko władza, a w skórze psa diabeł siedzi.

Dag uwiązał konia przy bramie i szedł po ciemku błotnistą ścieżką, prowadzącą do domu poborcy. Światło przedzierające się zza ciemnych zasłon, ochryple glosy i walenie pięścią w stół zdradzały, gdzie odbywa się gra w karty. Wymacał drzwi wejściowe, które nie były zamknięte, i szedł dalej za dochodzącymi głosami. Ze względu na psa miał zamiar wziąć ze sobą pistolet i siekiere, ale zaniechał tego zamiaru. W młodości swej kiedyś bez broni omal nie stał się mordercą. Musiał więc uważać. Doszedł po omacku do kancelarii i otworzył drzwi.

Ujrzał rozpaloną twarz poborcy i błędne spojrzenie krwią nabiegłych od wódki oczu. Właśnie siedział pochylony w obłokach dymu nad świecą, od której w chwili otwierania drzwi zapalał sobie fajkę.

Nawet w stanie otępienia umysłowego poborca odczuł respekt dla starego Daga, wypuścił fajkę z rąk i siedział sztywno wpatrzony w niego. Trzej inni siedzący wokół stołu również gapili się na drzwi, zupełnie pijani i wystraszeni. Dag wywołał po imieniu

męża tamtej kobiety i zażądał kategorycznie, ażeby z nim wyszedł. W tej chwili poborca powrócił jakby do życia. Był niegdyś silny i pomimo łądaczania się i upijania, jednak coś z dawnej siły i zawadiactwa pozostało w nim. Zaczął kłać w najobrzydliwszy sposób, bluźnić na całe gardło. Takich wymysłów Dag — ipóki życia — nie słyszał. W tej samej chwili poborca i jego pies rzucili się na przybyłego. Dag był stary, ale nie miał wódki we łbie. Nieraz w swej młodości bywał w takim położeniu, że musiał sla-<sup>czac</sup> błyskawiczne, śmiertelne walki z ludźmi lub z dzikimi zwierzętami. Znalazł się kiedyś w kłębowisku rozjuszonych wilków, wymachując siekierą i jednocześnie kopiąc nogami. Końce jego butów i obcasy rozdzierały paszcze napastników, a silne uderzenia stóp zmiażdżyły niejedną kość pacierzową rozjuszonego zwierzęcia. Teraz rozległo się tylko jedno uderzenie dłonią, po czym nastąpił głuchy łoskot. Poborca zwałił się na ziemię, porwawszy ze sobą krzesło. Kundel zawył przeraźliwie, tak że echo rozległo się po całym domu. Stary Dag przybliżył się, nadepnął psu na krzyż — skowyt zamilkł. Następnie schwycił za koln<sup>^</sup>rz tego, po którego tu przyszedł, i jednym ruchem wypchnął go za drzwi. Zanim opuścił pokój, zmiotł świece ze stołu, tak że w pokoju zaległy ciemności. Na podwórzu bił tak długo chłopca, aż ten otrzeźwiał, potem wepchnął go na bryczkę, odwiózł do domu i oddał w ręce żony. Zagroził mu piekłem i Bóg wie jakimi karami, które na niego spadną, jeśli raz jeszcze w życiu przestąpi próg domu poborcy, albo gdziekolwiek weźmie karty do ręki.

Poborca nie miał powodu do chwalenia się tym zajściem przed ludźmi, ale tamci, którzy byli świadkami tego wydarzenia po pijanemu, opowiadali na swój sposób o tym, co widzieli. Według nich stary Dag miał połamać wszystkie krzesła, potem rzucił na drzazgi poborcę, a psa jednym kopnięciem w krzyż podrzucił aż pod sufit, że biesisko z przeraźliwym wyciem ciało jego opuściło. Uciekając przez ścianę, bies zgasił światło, które paliło się na stole. Tak brzmiała fantastyczna opowieść opojów. Faktem było, że Dag zbił poborcę i w ten sposób raz na zawsze skończył z diabelskim psem i czarodziejskimi praktykami.

## XVI

•^ bliżała się wiosna 1812 roku. Nieszczeólna była. Padały wciąż deszcze.

W niektórych miejscowościach rozpoczęto obsiewanie pól dopiero na św. Olafa, to jest 29 lipca. Lato również było opóźnione z powodu bezustannych deszczów i burz. I jesień była nieszczeólna, tylko zima przyszła na czas, i to sroga. W początkach września pewnej nocy przyszedł mróz i zwarzył całe zbiory, gniły i czerniały. A przecież miały na cały rok starczyć ludności. Na polach bielił się szron.

Stary Dag pomimo tak obfitych zbiorów przez ostatnie dwa lata — nie sprzedawał zboża. Uważał, że stopy papierowych pieniędzy, które by za nie otrzymał, nie nasyciłyby ani ludzi, ani bydła. Miał jeszcze w pamięci nie tylko głodowy rok 1810, ale również i inne nieudane lata. Wszystko ziarno, które mu pozostało, poumieszczał jako żelazny zapas w spichlerzach przy chatach smolarzy o wypróbowanej uczciwości.

Wczesnym latem, gdy się zaczęło zanosić na głód, wysłał Syvera Bakpaa, najodpowiedzialniejszego ze swoich ludzi, wraz z kowalem do tych schowków w lesie. Pojechał z nimi również stolarz, wioząc drzwi i zapory ze sobą. Zabito gwoździami wszelkie otwory w tych prowizorycznych spichrzach, powstawiano drzwi, szczelnie pozamykano wszystkie bez wyjątku na wielkie kłódki, a klucze od nich zostały zawieszane na haku w komorze panny Kruse.

W osiedlu bjórndalskim małe przestrzenie pól położonych na południe od domów i płotów zostały oszczędzone przez mróz, a i kartofle na południowych zboczach też jakoś udało się uratować. W samym Bjórndal lasy ochraniały dwór i pola od szkodliwego zimna. Ale na wielkich przestrzeniach Borgland mróz do cna zwarzył zbiory. Wszystko przykrył śnieg.

Ciężki rok! Już od początku zimy widziało się dzieci i dorosłych o żółtych, zapadniętych policzkach i wzdętych brzuchach z głodu, od chleba z kory drzewnej i z wilgoci w pomieszczeniach. Okolicą zawładnęła śmiertelna biegunka, z obór i stajen rozlegało się nieznośne wycie bydła, które padało z głodu.

I w Bjórndal również jedzenia było skąpo. Ojciec Dag zalecił oszczędność, nie wiadomo bowiem było, jak długo to może potrwać.

Ale święta Bożego Narodzenia były obchodzone tak jak zawsze. Naprzód polewki, potem mięso — dużo mięsa ze słoniną. We dworze przedtem sporo szlachtowano; z zalecenia Daga kopano w lesie zasadzki na zwierzyne, zastawiano sieci.

— Las da nam ratunek, jeśli się postaramy wydostać z niego to, co posiada — mawiał. Rzeczywiście, las hojnie dawał: zbierano mech i trawę przybagienną, gałęzie i suche liście, łowiono zwierzyne, a także ryby i dzikie ptactwo.

Zjawiali się u Daga wszyscy, którzy mieszkali na jego ziemi, a prawie nikt nie odchodził z pustymi rękami. Przychodzili też ci, którzy podczas inflacji podbierali od niego swoje dwory. Chcieli za worek ziarna oddać mu z powrotem majątek. Namysłał się stary, pocierając ręką czoło. Ziarna trochę im dawał, ale dworu żadnego nie przyjął. Odpowiadał, że o tym potem się pomówi.

Z woli boskiej działa się klęska, nie wolno więc wykorzystywać nędzy ludzkiej.

Pomimo tak wielkiej przenikliwości w sprawach pieniężnych i gospodarczych, pomimo trafnego wyczuwania tego, co ma przyjść, stary Dag czuł dziecięcą i pobożną ufność wobec tego, który potężniejszy był od niego.

Ale potrzebujących było wielu. Przez całą zimę przychodzili, a tu trzeba było ziarno zostawić na nowe zasiewy.

Gdy nadeszła wiosna 1813 roku, wydobywano ziarno pod zasiew z najtajniejszych schowków: spod obluźowanych desek w stodołach, spod pułapów, z letnich stajen i koryt końskich, z zamkniętych kufrów na ubrania, ze spiżarni. Z nieprawdopodobnych miejsc wydobywano w Bjórndal to, co miało dać pożywienie na rok następny. Może jeszcze nigdy parobcy pod okiem Syvera Bakpaa nie robili tak głębokich bruzd w ziemi, nie prze-orywali ziemi tak dokładnie na wszystkie strony, jak właśnie owej wiosny. Nie wolno było zmarnować ani jednego ziarna przeznaczonego na siew. Taką wskazówkę otrzymał Syver od gospodarza, a Syver zlecenie to wykonał z całą surowością. Może nawet był jeszcze surowszy od samego gospodarza. Wszystko

w rolę wejść musiało, brona wgarniała ziarno głęboko w ziemię. Nie mogły się nim pożywić ani wróble, ani wrony tego roku. Niech raczej później wszędzie, tkwiąc głębiej, ale niech się nie zmarnuje.

Jaki to jednak długi czas musi upłynąć pomiędzy zasiewami wiosennymi a dojrzewaniem zboża! Zwłaszcza dla człowieka, który omal nie umarł z głodu, zanim się do wiosennych prac zabrano. A takich wielu było roku tego w okolicy. Więc zjawiali się w Bjórndał wszyscy, którzy mieli coś wspólnego z dworem, a także i mnóstwo innych z dalszych okolic. Polegali na starym Dag, mieli do niego bezgraniczne zaufanie, większe niż do zarządzeń władz, większe niż do króla i rządu.

Tyłu ludziom rozdał tej zimy zboże. Wierzono, że posiada czarnoksięską siłę.

Dag, pomimo swego silnego charakteru i stalowej woli, miał tę właśnie słabą stronę: nie umiał odmówić człowiekowi, który się zwracał pełen zaufania do niego. A gdy człowiek idzie za popędem serca, nie zawsze działa na własną korzyść. Więc w Bjórndał w końcu zaczęło się dziać niedobrze. Gdy pewnego dnia Dag zaczął obliczać, okazało się, że zapasy w żaden sposób nie starczą aż do nowych zbiorów na jesieni.

Ruszyły więc wozy ze skórkami futrzanymi do miasta, ale za otrzymane pieniądze nie można było dostać ziarna. Nadeszły równocześnie listy z miasta. Stary Dag sam się udał w drogę, bo kuzyn Holder znów nadmienił w liście coś o srebrze w Hamburgu, a srebro oznacza okręty na morzu, okręty zaś to tyle, co zboże z dalekich krajów. Zdarzała się więc pomyślna okazja.

Późnym latem, gdy już były taka nędza i głód, że ludzie padali jak muchy po gościńcach, zjawił się w Bjórndał człowiek z wieścią, iż według umowy z kuzynem Holderem, nadszedł statek. Przywiózł ze sobą cały wóz pszenicy — (żyta nie można było kupić) — i list od kuzyna: Konie można wysiać...

Dag dawnym zwyczajem w celu przeczytania listu podszedł do okna wychodzącego na zachód. Tam list otworzył i przeczytał. Zgniółł go i wrzucił do pustego kominka, a potem z wielkim pośpiechem przeszedł się i wypadł na podwórze. Zaryzykował srebro nie tylko swoje, ale Holdera także, ażeby wysłać okręt na morze — przedsięwzięcie się udało. Wydał parę ostrych rozkazów



Syverowi. Nikt może jeszcze w tej okolicy nie widział takiego orszaku: małe, czarne koniki bjórndalskie ciągnęły długim sznurem, jedno za drugim, na dalekie południe.

Okręt może zabrać z zamorskich krajów niezmierzone ilości zboża. Kuzyn Holder zarobił sporo na tym, a Dag otrzymał tyle, że mu wystarczyło do jesieni, i tyle jeszcze ponadto, że mógł część sprzedać, oczywiście tylko za srebrną monetę. Zaryzykował srebro — udało się! Mniemano, że w kraju nie ma srebra. Teraz okazało się, że na zboże nie braknie talarów. Stary po przeliczeniu miał więcej srebra niż przedtem, a prócz tego wystarczającą do nowych zbiorów ilość zboża.

— Jeszcze raz zaryzykujemy — rzekł kuzyn Holder — można sporo na tym zarobić.

— Nie, mam teraz dość pieniędzy — odparł stary Dag.

Prawdą więc było to, co ludzie o nim myśleli: posiadał czarnoksiężką sztukę. Pomimo wszelkich przeszkód i zakazów ze strony rządu, dostarczał ubogim zboża. W samym Bjórndał nie było jeszcze najgorzej; ani w gospodarstwach, ani też w chatach smolarzy po lasach. Szczególniej u tych właśnie w ich schowkach, porządzanych latem, zawsze jeszcze trochę ziarna się znalazło, bo stary pan nigdy całych zapasów biedakom nie zabierał.

Ale z nizin, z zapadłych kątów przybywali do niego nędzarze. — Teraz Dag chyba zechce dać odczuć swoją potęgę — mawiali ludzie. Może i tego pragnął w głębi duszy. Ale dzięki jego staraniom przyszło to zboże, a zboże oznaczało życie. Nikt nie wątpił, że niejednego uratował od śmierci głodowej.

Po tych wszystkich niepokojach, zmaganiach, udał się na wielką inspekcję lasów. Rozglądał się po nich uważnie. Wyszukał sobie wysokie wzgórze, skąd roztacza się szeroki widok na bory. Ziarno dostał za srebro, srebro za las. Wydał je na ziarno, a potem ono znów wróciło do niego. Las wraca, gdyby nawet wszystko wyrąbać! Jest wieczny jak srebro...

a

## XVII

•Z-  
niwa były dobre,

w ogóle wszystko w Bjórndał układało się według życzenia Daga. Zima 1814 roku była bardzo ostra. W mieście panowała nędza wśród ludności; w Bjórndał jednakże ciepło było w pokojach, ogień wesoło trzaskał pod kominem jak każdej dawnej zimy. Przyjechał w odwiedziny major Barre i opowiadał o wielkich wydarzeniach na szerokim świecie i że na północy został zawarty pokój. Przyjechał powtórnie w końcu lutego i opowiadał oburzony, że król w Kopenhadze zupełnie dobrowolnie, bez wojny, oddał Norwegię Szwecji.

— Danii czy Szwecji, to mi wszystko jedno! — oświadczył Dag.

Major skoczył jak oparzony.

— Przecież Szwed jest naszym odwiecznym wrogiem — zagrział.

— Ba! — odparł stary. — Czasem Szwed nas potłukł, czasem my Szweda, to jest sprawa uczciwa; w książkach historycznych, które tu mam, wyczytałem, że myśmy stale Danię przy każdym zbrojnym zetknięciu tłukli, a ipomimo to od stuleci rządzi nami.

To jest bardzo niesprawiedliwe.

Major przysiadł zgnębiony; więc i o tym stary wyrobił sobie jasny sąd, i to na podstawie historii sprzed wieków. Major nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

— Ale — rzucił jeszcze major ostatni atut — co to, mieć nad sobą króla szwedzkiego!? — Dia majora przez całe jego żołnierskie życie Szwed był wrogiem. Tego nie może zapomnieć ani przejść tak łatwo do porządku dziennego. Według niego kumanie się ze Szwedami było przejściem do obozu nieprzyjacielskiego.

\

— Hm — odparł ojciec Dag ostro — ten Krystian Fryderyk w Krystianii, którego wy tak uwielbiacie, co potrafi? Uganiać się za spódniczkami. A ten nowy szwedzki Karol Jan przynajmniej proch wachał.

Po tych słowach stary wstał z krzesła. Groźnie zarysowała się jego sylwetka w świetle padającym od kominka i wielki cień na ścianie. W głosie brzmiała nuta powagi i pewności siebie.

— Według mnie powinniśmy być państwem samodzielnym tak jak za dawnych czasów, nie wolno tolerować Szwedów czy Duń-

czyków. A jeśli tego nie potrafimy przeprowadzić, to mi jest obojętne, czy mną rządzi ktoś z południa, czy ze wschodu. Tu w Bjørndal jesteście parfami siebie na własnym gruncie i uważam... zawołamy pannę Kruse i każemy sobie podać wódki. Co?

Przy pierwszej połowie zdania można było wyczuć w głosie surowość, może nawet porywczosć. I dlatego pewnie, że zorientował się, iż zdradza swe nagłębsze dziedziczne instynkty i przekonanie, zmienił ton.

Gawędzili przy wódce do późnej nocy bardzo serdecznie. Major jednak nie był tak rozmowny jak zwykle. Był zamyślony. Po raz pierwszy przedarło się na świat coś z prawdziwych zapastrywań i charakteru starego Daga, to co drzemało w głębi duszy pod pozorami spokoju i umiaru. Dotąd major nigdy się nad tym nie zastanawiał. Ale zrozumiałe było, że w człowieku, który tyle zdziałał w życiu, kryć się musiały jakieś utajone siły.

Major spotykał się już nieraz z tym zdaniem, że Norwegia powinna oswobodzić się tak z południa, jak i ze wschodu i zrzucić z siebie obce jarzmo. Dotąd traktował to jako patetyczno-patrio-tyczne frazesy. Ale słowa Daga wypowiedziane z dzikością odwiecznego instynktu miały moc przekonywającą. W jego kołach wielu ludzi wiedziało o Dagu Bjørndalu. Będą radzi więc dowiedzieć się, że takiego zdania jest ten potentat. Doda im to otuchy pośród ogólnego zwątpienia.

Zresztą poza tym wypowiedzianym wówczas zdaniem pozornie stary Dag coraz mniej interesował się tym, co się działo gdziekolwiek poza Bjørndal.

Wnukowie mieli już: jeden trzy, drugi dwa lata. Starszego wszędzie było pełno, a mały na nieco okrągłych nóżkach toczył się krok w krok za nim i swój szczebiot mieszał do rozmowy starszych. Dziadek często z nimi przebywał, starał się wniknąć w ich sposób myślenia; mógł ich więc zrozumieć i dogadzać im. Stangreci przywozili z miasta rozmaite przysmaki. W sobotę wieczorem zasiadał z nimi w wielkiej sieni przed kominem, każdego mając na jednym kolanie, rozdzielając łakocie, które z kieszeni wyjmował, i opowiadał im bajki. Starał się tak mówić, ażeby choćby tylko starszy mógł za nim podążyć. Oczywiście, Adelajda również słuchała, siedząc z jakąś robótką w wielkim fotelu przy ogniu. Ale jeśli młody Dag czasem bywał przy tym, staremu jakoś

m\*

opowiadanie bajek nie kleiło się... Ojciec i syn czuli się nadal onieśmieleni jeden wobec drugiego. Stary skonstatował, że własnym synem nigdy się właściwie tak bardzo nie interesował. O ile miłsze było życie teraz z tymi bębnami w ponurym dworze.

Adelajda czuła się bardzo szczęśliwa, że ma takie udane dzieci i że dziadek ma tyle z nich radości; i z tego też, że mąż jej obecnie coraz więcej przesiaduje w domu. Rzadko kiedy bywa teraz w starej oficynie, coraz więcej broni i narzędzi pozawieszał w swej komorze obok jej pokoju. Zaczął się również interesować jej książkami i niejedną wieczór spędził przed kominkiem na czytaniu. Obaj malcy zawsze radośnie go witali, gdy wracał z lasu. Łóżko starszego wstawiono do pokoju ojca. Rano, jeśli Dag był w domu, malec wędrował do niego i przytulony do szerokich pleców ojca, przesywał błogo jeszcze parę godzin.

Pomimo że Dag nie okazywał swych uczuć, Adelajda zauważyła, że chłopcy byli powodem, iż coraz częściej przebywał w domu. Pierwsze i ostatnie spojrzenie zawsze miał dla chłopców, a gdy sądził, że Adelajda tego nie widzi, brał malców na kolana i oglądał z całą ostrożnością ich rączki i nóżki i nie mógł się nadziwić, że wszystko u małego człowieczka takie małe, a tak zgrabnie uformowane.

## CZEŚĆ D R U G A- XVIII

Szczęście nawiedza ludzi, kiedy chce... Niestały to gość! Nikt nie wie, kiedy się zjawi, kiedy odejdzie.

Adelajda, jak zresztą każdy, po latach młodości pełnej troski marzyła o cichym, spokojnym szczęściu. I spełniło się to, czego pragnęła, nawet w szerszym zakresie, niż śmiała sobie wyobrazić. Ale tego trwania nie była pewna. Podczas najszcześniejszych chwil przeszywał ją dreszcz niepokoju, obawiała się czegoś, bo życie zawsze nie może pozostać tak piękne.

Gdy się zastanawiała, czemu ją ten niepokój nęka, nie była w stanie wytłumaczyć sobie, skąd niebezpieczeństwo jej grozi. Przecież pod osłoną starego Daga człowiek jest tak jakoś szczęśliwie ukryty przed srogością losu...

W początkach marca zachorował młodszy chłopiec, leżał rozpalony w łóżeczku i wciąż przywoływał matkę, a gdy milkł, pozostawał w zupełnym odurzeniu. Męczył go silny kaszel, wstrząsał jego drobnym ciałkiem. Wił się jakby w jakichś kurczach. W końcu umarł mały synek Adelajdy. Trudno wyrazić słowami rozpacz tych trojga ludzi dotąd tak bardzo szczęśliwych w Björn-dal.

Adelajda dzień i noc nie odchodziła od łóżeczka chorego dziecka. Stary i młody Dag jak bezradne, spłoszone zwierzęta kręcili się wokoło i przystawali u wezglowia małego łóżeczka.

Wezwano lekarza z południa, ale sztuka lekarska nic tu pomóc nie mogła. Wszelkie stosowane środki zawodziły.

Któregoś wieczoru Dag wrócił z krótkiej wycieczki do lasu i zastał Adelajdę przy łóżku starszego syna. Wstrząsało nią łkanie.

Okazało się, że chłopiec poprzedniego dnia był jakiś nieswój.

ma rudny, następnego rana jakiś niewyraźny, a oto wieczorem drzemie lub na przemian krzyczy wniebogłosy. Ma silną gorączkę. Z trudem zdołała to wśród łez Dagowi opowiedzieć. Bez słowa wybiegł i wydał zlecenie Syverowi: jechać bezzwłocznie po lekarza! Od tej chwili Adelajda i Dag nie opuszczali ani na moment chorego dziecka. Czasem wchodzili i wychodzili zupełnie bez zmysłów. Również i dziadek siadywał przy nim, on, który zwykł każdą wolną chwilę spędzać nad książkami modlitewnymi przy zachodnim oknie w starej izbie. Lewą ręką tarł nerwowo czoło. Włosy miał w nieładzie, opadały kosmykami na wszystkie strony. Od czasu do czasu wyjmował chustkę, ocierał nią oczy lub nos, czasem robił to nawet ręką. Dziwnie się zestarzał i zgarbił przez te dni.

j Adelajda w ukryciu

plakała rozpaczliwie po stracie swego

młodszy synka. Czasem nie była w stanie powstrzymać łez nawet wobec ludzi. A teraz rozpaczała i zawodziła niepohamowanie, bez względu na to, czy ją ktoś słyszał, czy nie. Ból i rozpacz złamały ją zupełnie przy łóżeczku chorego dziecka. Nie dały się opanować ani wrodzonej dumie, ani dobremu wychowaniu.

Lęk i rozpacz brały górę.

Również i mąż jej w owych dniach nieraz musiał się odwracać, żeby ukradkiem ręką obetrzeć oczy. Poduszka niejednokrotnie rano bywała od łez mokra.

Któregoś wieczoru Adelajda padła zemdlona przy łóżku dziecka. Nie obudziła się nawet, gdy ją Dag podniósł, zaniósł do łóżka i okrył. Przemęczenie ją zmogło: dzień i noc czuwała przecież bez odpoczynku.

Tego samego wieczoru syn i ojciec siedzieli przy łóżeczku.

Z wolna mijała noc. Na stoliku przy łóżku paliła się świeca w niskim, żelaznym lichtarzu. Stał trochę krzywo. Kawałek palącego się knota wpadł w roztopiony, ściekający jednym bokiem łój. Młody Dag siedział tyłem do światła. Stary tępym wzrokiem wpatrywał się w smutnie płonąca świecę, wsłuchując się pilnie w krótki, urywany oddech dziecka. Zapatrzył się jak urzeczony w dwa światełka. W pewnej chwili ów kawałek knota opadł na dół i palił się jak druga świeca. Nie przedostawało się to jednak

do jego świadomości. Nawet nie pokwapił się, ażeby zgasić niepotrzebny płomyk... Nie zgasił knota, a płomień wżerał się w świecę coraz głębiej, stapał ją, zaczęła się zginać. Stary podniósł głowę i rozejrzał się wkoło przerażonym wzrokiem. Świeca wypadła z lichtarza. Paliła się jednocześnie z obu końców. Śmiertelny lęk go ogarnął. Nie miał siły, ażeby wstać i włożyć świecę do lichtarza.

Przypomniał sobie nagle jedno z powiedzeń Ane Hamarrbó, zaczerpniętych z zabobonów ludowych: — Jeśli się świeca na obu końcach pali, znaczy to: śmierć w pobliżu! — Stary Dag nie był w stanie spojrzeć ani na syna, ani na łóżeczko. Wpatrywał się tylko w świecę, która się z wolna roztopiała. Oba płomienie migotały, to przygasając, to znów rozbłyskując jaśniejszym światłem. Jednocześnie pilnie nadstawiał uszu w kierunku łóżeczka. Cicho było, ani najłżejszego szmeru...

Nagle syn zerwał się i pochylił nad dzieckiem. Zgasło i ono — życie tego synka. Spojrzał na półotwarte usteczka. Wargi rozchyłał męczeński uśmiech. Dziwnie biało połyskiwały zęby w rozwartych szczękach. Oczy białkami patrzyły spod na pół przymkniętych, sinawych powiek. Jasne włoski poprzylepiały się do czoła i skroni. Cała twarzą była taka jakaś bezbronna, wyczerpana, zmęczona. Podniósł się wreszcie i ojciec Dag. Wystarczył mu krótki rzut oka. Szybko się odwrócił i pośpiesznie opuścił ipokój, rozpaczliwym ruchem zakrywszy twarz rękami. Młody Dag stał długo przy łóżku swego syna, łzy ciekły mu po twarzy i spadały na prześcieradło. Świeca jeszcze wciąż się paliła, łój rozlał się po stole, w końcu płomień objął drzewo stołu. I zanim się spostrzegł, w pokoju rozszedł się zapach spalenizny.

Kiedy Adelajda obudziła się, uprzytomniła sobie, że spała w chwili, gdy jej synek wydawał ostatnie tchnienie. Pod wpływem tej nagłej świadomości zatraciło się w niej wszelkie człowieczeństwo, wyglądała jak dzikie zwierzę, które skulone nad swym nieżywym małym, wyje z przejmującego bólu.

Zjawiała się Unn tak jak przy narodzinach i śmierci tamtego dziecka. Zarządziła wszystko, mając do pomocy pannę Kruse i Syvera Bakpaa. Ułożyła małego na katafalku.

Tak się zaczęła w Bjórndał jesień 1814 roku. Adelajda czuła 359

się bardziej nieszczęśliwa niż kiedykolwiek w życiu. Każdy przedmiot w pokoju przypominał jej zmarłe dzieci: wszystko zawsze ruszali, o wszystko pytali, a starszy był stale ciekaw, co się z czego robi i dlaczego dana rzecz jest akurat w tym pokoju, a nie w innym. W szufladach komody leżały ich ubranka.

Mijały tygodnie... Myśli jej były jednak myślami ludzkimi i nie mogły przebywać tylko ze zmarłymi.

Zmarli zniknęli na zawsze, a ona żyła. Rozpacz przeszła w tęsknotę za wyrwanymi przez śmierć z jej rąk dziećmi i za życiem, a tęsknota przechodziła z kolei rzeczy w rozpacz nad sobą samą, tak bardzo osamotnioną. Wstydziła się teraz swych czterech szczęśliwych lat spędzonych, w Bjørndal. Dzięki potomkom bowiem miała prawo przynależności do rodziny. Przez nich spowinowaciła się z Bjørndalami, z ich dworem, z jego przeszłością. Obecnie jako bezdietna, stanęła poza tym kołem — obca, samotna, rozbita, nie mająca tu do niczego prawa.

Nawet ojciec Dag, który dawniej zawsze dla niej miał miłe słowo, sam chodził pochylony i milczący, przeważnie na jej widok odwracał głowę.

Pewnego dnia otrzymał list. Jeden z zarządców zwracał mu uwagę, że już minął ostatni dzień pięcioletniego terminu w stosunku do Borgland i że tym samym jest obecnie bezsprzecznym, prawnym właścicielem tej posiadłości. Zmiał list i rzucił go w ogień. To była jedyna reakcja na początku. Następnym dniem widać było, że jakaś myśl w nim nurtuje. Coś go jakby żywiej zainteresowało. Twarz stała się twarda, zjawiał się wyraz nieugiętości. Któregoś dnia zasiadł w swym pokoju przy stole i patrzył przez otwarte okno na wiosennie zielone zbocza.

Myśl o świecy przy łóżeczku umierającego dziecka — może nawet nie tyle o samej świecy, co o powiedzeniu Ane Hamarrbó, które sobie przypomniał w owej chwili — wciąż powracała. W swych starych latach rozumiał, że przysłów nie można brać dosłownie. Bardzo często mają jeszcze inne ukryte znaczenie. A to powiedzenie o świecy tak dziwnie utkwiało mu w pamięci. Zęby to móc odgadnąć, jaki jest istotny sens tego przesądu.

Gdyby na własne oczy nie widział, nigdy by nie uwierzył, że świeca może się jednocześnie palić z dwóch końców. A przecież jest to, jeśli wziąć na rozum, przy łóżku umierającego wytłuma-



czalne: otoczenie ma wówczas coś innego do roboty niż obcinanie knotów... Owo przysłowie mówi jednak nie tylko o zbliżającej się śmierci, mówi także o upadku człowieka, który bezużytecznie wypalił płomień swego życia i pyta: — Czy posiałeś nowe życie? Wkrótce śmierć i ciebie skosi.

Tak mniej więcej tłumaczył sobie to przysłowie. Teść jego, Holder, lubił używać życia, na pewno palił świecę z obydwóch końców, umarł stosunkowo dość młodo tak jak i córka, a druga, panna Dorota, zawsze była słabego zdrowia. Z dwóch jego własnych synów z Teresą — jeden zginął nieszczęśliwie, był człowiekiem, który za wiele pragnął używać, a córka przedwcześnie przysła na świat i umarła przy urodzeniu.

Tak wyglądało to z jednej strony. Z drugiej — był major, ojciec Adelajdy. Całe życie wplątywał się w awantury miłosne i miał kłopoty pieniężne, rozwiódł się z żoną i przedwcześnie musiał się podać do dymisji. Dag sam dobrze wiedział, że dla tego człowieka niewiele rzeczy istniało poza dobrym jedzeniem i mocnymi napojami; tu w Bjorndal, jak i w mieście, lubił to i tym tylko żył. I on także palił świecę swego życia... z obu końców jednocześnie.

Stary Dag już nie był tak skory jak dawniej w młodości przy każdym nieszczęściu obwiniać Pana Boga: teraz uważał, że trzeba również zbadać, czy tu nie ma winy człowieka. Adelajda była córką majora i Dag wiedział, że ciężkie miała życie. Pozornie wygląda zdrowo i pięknie, ale kto wie, czy ma zdrową krew. Syn jego wychowywał się na wietrze i niepogodzie, stale przebywając w lesie, a to daje zdrową krew, jest niebywale silny, od-iporny, jednak jest wnukiem Holdera.

Myśli Daga pobiegły dalej, do tych dwóch niewinnych chłopczków, którzy tak młodo musieli umrzeć; czyżby ponieśli pokutę za grzechy ojców? Podniósł prawą rękę i przetarł oczy. Długo jeszcze siedział spoglądając przez okno na zbocza od strony zachodniej i na drzewa osypane lekką zielenią pierwszych pędów.

Znów ten widok... starszego chłopca na śmiertelnym łożu. Wyglądał jak aniołek, gdy go zabierali, ale tuż około ust pozostał ów bolesny wyraz. Widzi to... Za życia wyglądał kwitnąco, ale widocznie nie miał krwi zdrowej, skoro nie przetrzymał pierwszej choroby.

## XIX

-/Yastępnych dni

ojciec Dag zaczął znów chodzić dawnym, mocnym krokiem. W ciągu tego roku już niejedna troska go gnębiła, ale za każdym razem jakoś dźwigał się na nowo... Czyżby i tym razem odnalazł dawną niewyciężoną energię?

Przyjechał major i opowiadał o sesjach parlamentu, który teraz obradował w Edisvoll, a przede wszystkim o niebywałych wydarzeniach w kraju i w całym świecie. Wyglądało tak, jakby go smutek i bezdena rozpacz tego domu nie obchodziły. Z ożywieniem mówił o nieuniknionej wojnie ze Szwecją i radził staremu Dagowi kazać czyścić i szykować broń, odlewać kule i cwi-

czyć się w strzelaniu.

„ Czy był to wpływ

słów i rad majora, czy też Dag miał jakiś '

inny pomysł? Dość, że następnego dnia rano stało się to, czego już od lat się nie widziało, mianowicie: stary Dag z fuzją przewieszoną przez ramię i puszką naboju kroczył przez podwórze i łąki w kierunku ipastwisk w lesie. Wieczorem wrócił z uwiązany pękiem dzikiego ptactwa. Majorowi powiedział, że był w lesie. Nie przyznał się, że chciał wypróbować celność swoich strzałów. Major tym razem szybko umknął z Bjórndał. Nie bardzo tam się dobrze czuł, atmosfera była wysoce nieprzyjemna, przytłaczająca. Córka jego przy lada słowie wybuchała płaczem, a stary częstował go wprawdzie wódką, ale sam nie pił.

Następnego dnia po wyjeździe majora stary Dag wstał wcześniej. Ogolił się, chociaż to był dopiero początek tygodnia, a nie żaden przedświątek; następnie udał się na ranną przechadzkę, jak to bywało trzy, cztery lata temu. Potem poszedł do swej komory, otworzył wielką skrzynię i szukał czegoś w jednej z przegródek, wyciągnął stamtąd parę błyszczących przedmiotów, ale po namyśle odłożył z powrotem i skrzynię zamknął.

Po chwili poszedł do stajni i dał jakieś zlecenie Syverowi. Zajechał pojazd. Stary wsiadł i pojechali obaj. Gdy zjawił się w Hamarrbó, wielkie tam było zdziwienie, że to sam stary gospodarz do nich przyjechał. Przywitał się przyjaźnie ze wszystkimi, którzy wyszli przed dom. Potrząsnął rękę starego Orna,

przeszło osiemdziesięcioletniego staruszka, wnuka Ane. a ojca Unn.

W Hamarrbó mieszkało wiele osób starych i młodych; jeden po drugim wsuwali się do izby i siadali na ławkach wzdłuż ścian, pełni szacunku dla gospodarza z Bjórndał. Każdy pragnął go z bliska zobaczyć. Nikt nie wiedział, co te odwiedziny mają oznaczać. Stary Orn siedział przy stole z gośćmi. Unn przyniosła wódkę i dwa kubki dla Daga i Orna, reszty obecnych nie częstowano.

Dag wcale nie zwracał na to uwagi, co stary Orn gledił o pogodzie, wiośnie i robocie w polu. Twarz o rysach ostrych i głęboko osadzonych oczach miał wciąż opuszczoną, ale spod krzaczastych brwi obserwował tych, co siedzieli lub stali pod ścianą. Powoli wszyscy opuścili pokój; w końcu i Orn wstał. Przy stole zostali tylko Unn i Dag. Jeśli Dag nie miał interesu do Orna w kwestii gospodarskiej, to pewnie chce z nią pomówić o swoim zmartwieniu. A może pragnie, ażeby przyjechała do Bjórndał i pocieszyła Adelajdę? Kto jest przyzwyczajony do obcowania z ludźmi małowównymi, ten potrafi niejedno trafnie odgadnąć.

Pomiędzy Dagiem a Unn również nie padło wiele słów.

Tymczasem weszła do pokoju córka Unn. Miała osiemnaście lat, była bardzo do matki podobna, a tym samym dawała świadectwo o swym pokrewieństwie z Bjórndałami. Przyniosła przekąskę do wódki, dygnęła przed starym, postawiła tackę i wyszła.

Było to nic nie znaczące intermezzo; nikt tu słowa nie powiedział, jednakże "wyraz twarzy Unn zmienił się nieco, nabrał surowości. Po chwili opuściła znów oczy i zaczęła mówić cicho, z przerwami o Adelajdzie, o pogodzie i gospodarstwie. Dag odpowiadał półsłówkami, siedział i jakby myślał o czymś innym.

Nagle wstał. — Muszę wracać — powiedział. Gdy wsiadał do powozu, rozejrzał się po wszystkich, którzy wyszli, ażeby go pożegnać, kiwnął im głową i gdy odjechał, nikt nie miał pojęcia, czego stary Dag szukał w Hamarrbó.

Unn odprowadziła go do wrót i patrzyła długo za nim. Dziwnie podejrzliwie błyszcząły jej oczy. Zauważyła, że staremu, gdy córka jej weszła do pokoju, zaświeciły się oczy, choć były ukryte pod krzaczastymi brwiami. Widziała wyraźnie, że obrzucił twarz dziewczyny szybkim spojrzeniem, gdy nakrywała do stołu, a gdy

opuszczała izbę, patrzył za nią. Unn Hamarrbo знаła się na ludziach i wiele spojrzeń w swym życiu obserwowała.

— Biedny stary — szepnęła sama do siebie, gdy powóz zaczął znikać za wzgórzami. Przed domem jeszcze raz się zatrzymała zamyślona. — Tak, tak — mamrotała — nie ma nawet jeszcze siedemdziesiątki. Młody Dag po śmierci swych dzieci omijał swój pokój, zdawał

się nawet unikać Adelajdy. Przeważnie przebywał w lesie, a jeśli wracał na krótko do domu, nocował w starej izbie w oficynie. Chłopcom jego nie wolno tam było wchodzić z powodu nagromadzonej broni i nabojów, więc nic mu ich nie przypominało. Po tej katastrofie życiowej postać Daga i spojrzenie stały się tak dzikie i groźne, że ludzie byli przerażeni, gdy spotykali się z jego wzrokiem. Każdy szukał na swój sposób rozwiązania zagadki śmierci. Adelajda myślała o swym nieszczęściu i osamotnieniu i coraz bardziej zamykała się w sobie. Stary Dag myślał o przyszłości ogromnego majątku, o jego rozkwicie i o Zdrowym potomstwie. A młody Dag, o czymże to on myślał? \

XX

Na granicy, na przedpolu świata bo-realnego wznosi się Dauingfjell\*.

Dalej ku północy nie ma już nic innego prócz zagłady i cierpienia, ale na południu rozciągają się krainy Życia. Ze szczytu góry widrt ste jedno i drugie:

zielen t śnieg. Życie i Śmierć.

I ten, co schodzi z jej stoków, słus-nte powiedzieć może, że widział tamten świat.

Ale śmiałka, który zuchwale się wdziera na Dauingfjell, śmierć przed końcem dnia kost.

-\*Viedys, na kilka lat przedtem, stary Dag, będąc specjalnie usposobiony, wyrecytował tę starą pieśń synowi.

— Byłeś już wszędzie, zdobyłeś już niejedyn trudny szczyt, czyś widział Górę Śmierci?

\* Góra Śmierci

— Nie — odpowiedział młody — o takiej górze nigdy nie słyszałem.

— Mówią, że tę górę można zobaczyć — odparł stary, powtarzając pierwsze dwa wiersze — podobno jest granicą naszych posiadłości na północy. — Powiedział to może w tym celu, ażeby uprzytomnić synowi, dokąd się one ciągną. — Niegdyś — mówił dalej — dawno już temu, starałem się dojść daleko na północ, ale do góry nie doszedłem. Od Ane nauczyłem się tej pieśni. Mówiła też, że po górze znać, iż nosi taką nazwę.

Stary Dag powtórzył raz jeszcze dwie pierwsze strofki. Widocznie Ane słyszała tę legendę od swych rodziców jako ostrzeżenie, a stary cytował ją teraz synowi z tą samą myślą.

Dalsze strofy dawno wypadły mu z pamięci — nie trudził się zbieraniem ludowych podań i gadek.

Lasy bjórndalskie śpiewają. Śpiewa i wiatr, i wody, i ptaki. Szemrzą wszystkie strumyki, a na drzewach gwarno, wszelkiego rodzaju i gatunku ptactwo ćwierka, śpiewa i wyciąga trele.

Młody Dag z wolna idzie po mchu leśnym. Fuzja na pasku przewieszona przez ramię, torba z prowiantem i ładownica pełna na plecach. Przed nim ciągle węszący pies to wybiega naprzód, to wraca. Pies i jego pan idą bezszelestnie. Dzień jest wiosenny. Zawiewa ciepły, łagodny wiatr południowy. Z lekka porusza drzewa i ponad nimi aż ku niebu się unosi. Daleko od dworu leżą bagna w głuszy leśnej. Bardziej na północ ziemia staje się falista i przechodzi stopniowo w zalesione, coraz wyższe wzgórze. Im wyżej, tym las rzadszy, rosną tu tylko świerki i wrzosy, a dalej ku północy rzadkie brzozy. Za tymi wzgórzami znów bagna i ubogie kamieniste pastwiska. Za pastwiskami zaczyna się świat skalistych gór.

Z wrzosowiska, gdzie Dag przysiadł, by odpocząć z psem, widział daleko w górze wysokie jodły. W blasku słonecznym na tle nieba wyglądały jak szczerozłote kolumny w świątyni. Tu w górze ipodmuchy wiatru były ostre i nie budziły łagodnego poszumu lasów nizinnych. Przynosiły mroźne tchnienie szczytów. To był prawdziwy wichur północy i wysokich gór, gdzie zima jeszcze trwała.

Pies wyczuł powiew i spojrzał na swego pana, który tak bar-

365

dzo się w ostatnich czasach zmienił. Nigdy go teraz nie pogłaskał, nie podrapał pieszczotliwie za uchem, jak to dawniej bywało, nie przemawiał do niego... Strzelał tylko od czasu do czasu, żadnego dobrego kęsa nie dawał. Siedział nieruchomo zapatrzony, a nic nie

widział. Nie wiedział, że go pies po rękach lizał. Minęły dobre czasy — nie należało do przyjemności być jego psem.

Dag podniósł się, wciągnął w płuca powietrze górskie, zarzucił z powrotem na ramię strzelbę i plecak i ruszył na oślep pod wiatr.

Dotychczas w życiu wszystko mu się zawsze udawało. No tak, brat jego zginął, ale nie bardzo się tym przejął. Umarła mu matka i ciotka Dorota, ale cóż, wszyscy starzy muszą umrzeć. Taka już kolej życia, a raczej śmierci. Miał ciężkie chwile, gdy się zakochał w Adelajdzie, ale czuł podświadomie, że to się jakoś ułoży i tak się też stało. Wszystko więc i tu mu się udawało.

Bóg mu zesłał dwóch synów. Minęło iporo czasu, zanim się z nimi zżył. Z początku bowiem były to takie jakieś drobne robaczki, że wprost trudno było uwierzyć, iż z czasem wyrosną z nich normalni ludzie. Dziwnie mu się ciepło zrobiło koło serca, gdy któregoś dnia po powrocie z lasu zastał starszego malca próbującego przejść samodzielnie od krzesła do krzesła. Ale prawdziwie go dopiero pokochał i aż do łez się wzruszył, gdy malec wyciągnął do niego rączki i zawołał: Ta-ta. Podniósł wówczas maleństwo w górę i z całej siły przycisnął do serca. Od tego czasu stracił spokój, nie czuł się nigdzie dobrze, gdziekolwiek był, w lesie czy w polu. Gnała go tęsknota, toteż przyśpieszał biegu nieraz, ażeby przycisnąć do siebie tych dwoje maleństw... Ach, ci dwaj malcy! Byli jego życiem i krwią. Starszy w ostatnich latach potrafił już wszystko opowiedzieć. W ogóle był nad wiek rozwinięty. A ta ich głośna radość przy każdym jego powrocie do domu! Albo jak to starszy z zadowoleniem mrucał, gdy nad ranem przytulał się do niego w łóżku i łąsił się niczym przywiązany do swego pana pies. Te dwa maleństwa były jego niezaprzeczoną własnością. W duszy jego tkwiła zawsze — pomimo surowego wyglądu — tęsknota, jak we wszystkich ludziach, za miłością i serdecznością, owa tęsknota żywiołowa, dana człowiekowi. Dag nigdy jej nie zmarnotrawił w ramionach przygodnych kobiet. Chwilami ta tęsknota za serdecznością, za ciepłem, za uściskiem

i tkliwością zupełnie go pożerała, zdawało mu się, że serce mu pęknie z pragnienia.

Gdy połączył się z Adelajdą, był niezmiernie szczęśliwy, ale to nie było pełne zaspokojenie, bo Adelajda miała swoje poglądy i osady i patrzyła na niego oczami ludzi ze swego świata i sfery. Czuł się stale w jej obecności nieco skępowany.

Ale synowie — to była krew z krwi jego. Wprost pojąć tego nie mógł, objąć rozumem że ich nie ma, że nigdy ich już nie będzie!

Dotychczas tak wszystko układało się pomyślnie... Aż... śmierć po nich przyszła. Przez cały czas ich choroby zebrał w myślach litości, modlił się do wszystkich mocy władających światem:

do Boga Ojca, do Syna i do św. Trójcy. Ale śmierć przyszła i wraz z dziećmi wyrwała mu serce z piersi.

Wdrapywał się na wzgórze porośnięte brzezina. Chciał odejść jak najdalej od domu. Uciec od ludzi, życia — znaleźć się gdzieś daleko poza granicami zwykłego istnienia.

Pies gniewnie zawył. Węch jego drażniły zapachy bliskich zajęcy, pardew i głuszców. Ale pomimo że starał się zwrócić uwagę swego pana, Dag absolutnie się tym nie interesował i szedł przed siebie z fuzją na ramieniu. Nie zdradzał ochoty do zdjęcia jej.

Stromo wznosiło się zbocze między brzoza. Od dawna już brnęli przez tu i ówdzie nawiany śnieg; po przejściu jeszcze kilkudziesięciu metrów wzwyż, zastali śnieg grubości paru centymetrów. Przypomniał sobie, że ostatniej jesieni, przy kontrolowaniu sideł na ptaki, pozostawił tu swoje narty. Odnalazł je i przypasał. Przymarzał na nich śnieg, ale można było jechać.

Uprzytomnił sobie, że nigdy tu jeszcze nie był wiosną, dlatego wszystko wydało mu się nowe, nieznane... Dął, hulał ostry, mroźny wiatr po ośnieżonych stokach. Ano, górski klimat!

Gdy już dobrnął do szczytu, od którego w dół idą hale górskie, przysiadł na kamieniu, ażeby odpocząć po dość trudnym i męczącym wspinaniu się. W miejscu gdzie siadł, szczelina dzieliła szczyt na dwie części. Stąd jeszcze nie było widać całkowitego łańcucha górskiego, tylko wyraźnie zarysowywały się niektóre szczyty. Nieraz już im się przyglądał i nie zwracał na nie specjalnej uwagi. Ale w tej chwili kurzyło się z nich tak groźnie,

tak się zmieniał ich obraz, tak fascynująca była gra światła i cieni, gdy tumany śniegu i chmury przepędzane wichrem to przesłaniały słońce, to znów je odkrywały — że mogło się wydawać, iż szczyty gór prowadzą własne, odrębne życie! Zastanowił go ten widok i przykuł... Jeszcze nigdy nie przypatrywał się tak gór. Podniósł głowę. Całą panoramę miał przed oczami. Kończyła się szczytem najbardziej na południe wysuniętym. To Głowa Byka. Przypominał kształtem leżącego byka ze zgiętym grzbietem, z łbem pomiędzy przednimi nogami. Latem były to tylko złomy skalne. Ma samym szczycie widać było wtedy tylko trochę śniegu. Teraz był cały pokryty zmarzniętym śniegiem, jedynie na południowym zboczu, właśnie wprost tego miejsca, gdzie Dag siedział, trochę śniegu topniało. Nagie zza chmur wyjrzał promień słoneczny, rzucając jaskrawe światło na szczyt i wypuklając w nim głębokie cienie.

Oto twarz śmieici: czoło, kości policzkowe, zapadnięte oczodoły i otwory nosowe, podbródek spiczasty. Czaszka trupia wykrzywiła się do Daga. Po chwili słońce znikło. Szczyt stał sinawo-biały, niemy... Dag zerwał się. Posunął się naprzód na nartach, wpatrzony w dał. Wrzosowisko leżało przed nim jak zamrożone morze, poprzecinane ostrymi progami. Pędziły po nim tumany śniegu. Jechał przed siebie zupełnie automatycznie. Narty z hukiem uderzały o wystające zębry. Zapatrzony w tamten szczyt, nie zwracał na to uwagi.

Nagle zatrzymał się jak urzeczony. Słońce... Ten szczyt... Śmierć szczytowa znów zębry... patrzyła nań... Reszta wierzchołków tonęła w cieniu. Już teraz wiedział, gdzie jest północna granica Bjórndała. W wiosennym słońcu nietrudno było poznać okropny szczyt Góry Śmierci!

Gnany, przyciągany jakby jakąś magnetyczną siłą, posuwał się szybko naprzód. Słońce raz po raz ukazywało niesamowite zjawisko, szczytowa kościotrupie zębry. Im się bardziej przybliżał, tym ta twarz okropna stawała się wyraźniejsza i potężniejsza i jakby szła w górę... Zawisła złowrogo nad światem. Wszystko było tak, jak mówił ojciec i stara Ane. Nietrudno było odnaleźć ten szczyt wśród innych — jego wygląd sam wskazywał.

Podczas gdy narty skrzypiąc sunęły po twardym śniegu, Dag patrzył w ponury obraz, który czasem znikał i znów się zjawiał.



Starł się przypomnieć sobie wiersz o tej górze, który mu ojciec cytował. Nie pamiętał słów, ale treść pamiętał: za tą górą leży kraina śmierci, życiodajne zaś przestrzenie na południe od niej; z tego to szczytu można jednocześnie zobaczyć i życie, i śmierć; śmiałek, który stamtąd wrócić zdoła, a mowy nie straci — niejedno o krainie śmierci opowie. Czy naprawdę miałby stracić mowę ten, kto się tam wejść odważy? Nie mógł sobie przypomnieć ostatnich strof ipieśni, wiedział tylko, że zawierają ostrzeżenie.

Pies był jedynym świadkiem szaleństwa Daga i jego mozolnego wdrapywania się po prawie prostopadłej skale. Odpiął narty, droga była zbyt stroma na deski. Śnieg był dość mocno ubity i zmarznięty, nie zapadał się w nim. Na jednym ze zrębów zatrzymał się, rzucił okiem na świat gór i śniegu. Za tą śnieżną przestrzenią musiały w dole rozciągać się lasy. Gdy wyżej wejdzie, na pewno będzie mógł je ujrzeć w całości. Z tego miejsca, gdzie stał, ściana opadała prostopadle w dół. Co za dziwne uczucie mieć to wszystko pod sobą, bez żadnego oparcia. Przyprawiałoby go to może kiedy indziej o zawrót głowy i drzenie nóg... Ale dziś... wszystko mu jedno, czy idzie na śmierć czy życie.

Nie słyszał groźnego pomruku wiatru od gór ani przeraźliwych poświstów burzy wkoło skały. Nie czuł także uderzeń ostrych, mroźnych płatków śnieżnych. Był człowiekiem posuwającym się uparcie i ślepo na swej drodze — wciąż bliżej śmierci.

Pies drżał, dygotał. Wył głośno. Śledził smętnym spojrzeniem swego pana, który jak mucha na czworakach laził w górę po ścianie i zdobywał właśnie dziki podbródek śmierci, potem zatrzymał się na chwilę, ażeby z paszczy potwora spojrzeć w dół na świat.

Stał pomiędzy wielkimi blokami skalnymi. Wiosenne słońce roztopiało tam już śniegi, a kamienie wyłaniające się z ich bieli robiły wrażenie owych trupich szczęk.

Dag musiał trochę zboczyć, ażeby móc dalej się przerzucać.

Brnął po śniegu wzwyż. Przestrzeń ta tworzyła policzki śmierci. Przeszedł w kierunku wyszarpanych zrębów skalnych. Były jakby sklepienia, a wnętrza ich bez śniegu tworzyły właśnie owe czarne oczodoły. Stąd musiał wejść na kość nosową. Był to skalny złom, który opadając niegdyś w tym miejscu zatrzymał się pomiędzy oczodołami. Tu już leżał śnieg. Dag musiał na nosie

24 A lasy wiecznie śpiewają

się zatrzymać. Czoło było tak wypukłe i strome, że wątpił, czy mu się uda na nie wdrapać. W końcu znalazł drogę poprzez brew, ipo skroni.

Tam znikł. Pies, nie widząc już swego pana, zawył rozpaczliwie, a potem skomlał, jęczał jak dziecko, które znalazło się samo wśród wichru opuszczone.

Ostatni najwyższy etap tej ściany był najtrudniejszy do zdobycia. Jeszcze go nigdy nic tyle wysiłku nie kosztowało w życiu. Stoczył już przecież niejedną ciężką walkę, wielokroć pasował się z przyrodą i dzikimi zwierzętami. Zawsze wychodził zwycięsko. W poszukiwaniu gniazd orlich lub tropiąc niedźwiedzie — wspinał się nieraz i zdobywał strome zbocza, szczęśliwie mijał przepaście. Ale nigdy dotąd przebywanie w górach nie było dlań połączone z takim utrudzeniem, z takim śmiertelnym niemal wysiłkiem wszystkich mięskulów, ścięgien, nerwów.

Na szczycie, który w połączeniu z łańcuchem gór tworzył Głowę Byka, a w tej chwili był szczytem trupiej czaszki, Dag zatrzymał się. Zgrzany dygotał ze zmęczenia, patrzył w dal... Już niejednen wspaniały widok podziwiał z tyłu innych szczytów, ale wszystko tamto było niczym w porównaniu z tym, na co teraz patrzył... To był jakiś inny bezkresny świat.

Tyle gór pokrytych lasem rozciągało się falisto w nieskończoność... Osiedle ich wyglądało w dali jak mały punkcik na samym krańcu horyzontu, a dalej zielone łąki, znikające we mgle... Tak, to prawda, z tej strony, z południa, widać obraz życia. Ale czyżby stąd można ujrzeć i krainę śmierci? Odwrócił się. Grzbiet Byka wyrastał ponad szczyt Góry Śmierci. Niby dym z ogniska całopalnego wznosiły się stamtąd wzwyż ku niebu tumany śniegu.

Daleko jeszcze było do tamtego wierzchołka. Dag dopiero teraz czuł, jak jest śmiertelnie zmęczony. Tak! Ale dostać się tam musi.

Na grzbiecie Byka dął wiatr coraz mocniejszy. Niemożliwością było swobodne posuwanie się dalej! Dag musiał się zgiąć, skurczyć... Przy samym szczycie mógł się już posuwać tylko na czworakach; tylko w ten sposób mógł obronić się sile wichru. Zakrwawionymi rękami chwycił się gładkich kamieni pokrytych lodem. Burza śnieżna smagała go w twarz. Tak doczołgał się na sana wierzchołek. I wtedy spojrział w krainę śmierci... Przez pierwszych parę chwil widział tylko morze śniegowe, po którym

łały białe tumany. Ale gdy burza słabła i śnieg rozwiewał się, wyłaniały się niezliczone dymiące szczyty gór. I wydawało się, jakby obecność człowieka na czaszce trupiej wyzywała burzę. Wiatr coraz silniej, coraz gwałtowniej napastował i uderzał zawieją śnieżną w sam szczyt. Wył po kotlinach i przepaściach, wspinał się raz po raz białym kłębowiskiem mroźnego śniegu po stromych ścianach i znów z wyciem opadał, uciekał, aby po chwili zjawić się wyjąc przeraźliwie. Zaczepiał szczyt, robił pieniające się białe morze, które otulało najwyższe wierzchołki. A szczyty to znikwały, to znów się pojawiały. Dymy śniegowe opadały wtedy na zbocza, a góry pięły się ku niebu z ozłoconymi słońcem wierzchołkami.

Dag z samego szczytu zszedł z powrotem nieco w dół na czaszkę śmierci, na miejsce, na którym stał przedtem. Znalazł tam trochę osłony przed wichurą. Wprawdzie i tu odbywał się jakiś szaleńczy pęd czy gonitwa żywiołu, ale słońce przygrzewało w chwilach, kiedy nie było przesłonięte chmurami i śniegiem. Dag był na wskroś przemarznięty i strasznie znużony. Ta wichura górską przeniknęła go całego aż do szpiku kości. Był to chyba powiew śmierci!

Teraz dopiero odczuł, co to był za szalony wysiłek; instynkt samozachowawczy zbudził się w nim jasny i wyraźny. Drżąc ze znużenia na całym ciele padł na kamień w samym środku czaszki i śmierci. Spojrzał w kierunku południa na łąki życia. Nie zdawał sobie sprawy, czy to z powodu zmęczenia, czy też spojrzenia w oczy śmierci tam, na tej strasznej północy, ogarnęła go nagle chęć do życia. W tej samej chwili jasno sobie uprzytomnił, czego właściwie szukał, kiedy tu wspinał się na oślep w szalonym pośpiechu. Pragnął skończyć z życiem. Ale teraz — patrząc z tego okropnego miejsca śmierci w dał, na to wszystko, co tam pozostawił, co kochał, co było jego — nie chciał już umierać.

Lecz czy wydostanie się stąd żywy? Nagle przypomniał sobie owe dwie strofki z przypowieści Ane Hamarrbó, których sobie przedtem przypomnieć nie mógł — teraz wróciły mu się z całą przeraźliwą dokładnością:

„Ale śmiałka, który się wdziera zuchwale na Dauingfjell, spotyka śmierć przed końcem dnia...”. Nagle pomimo przenikliwego zimna zrobiło mu się gorąco. Oto

«•

siedzi i patrzy na cudowną krainę życia, pośród której spędził swe piękne lata, i ten dzień miałżeby być ostatnim w jego życiu?

Słyszał nieraz, jak twierdzili starzy, że to, co Ane Hamarbo mówiła, zawsze się sprawdza. No tak, bo to nie są jedynie czcze słowa, lecz przestroga przekazana pokoleniom przez doświadczonych ludzi. Zresztą na to, ażeby stwierdzić, iż przy schodzeniu z tego szczytu człowiek staje oko w oko ze śmiercią, nie potrzeba wcale doświadczenia. Aż go zatrzęsło z przerażenia, gdy sobie uprzytomnił, że czeka go teraz zejście z prostopadłej ściany, którą zdobył posłuszny jakiemuś ślepemu, wewnętrznemu uporowi. Wiedział z doświadczenia, że zejście jest stokroć trudniejsze niż wejście.

Nareszcie zrozumiał, że pewność siebie i liczenie na niespożyte siły zawiodły go. Zrozumiał, że i dla niego istnieją granice, których przekraczać nie można. Nieugięty upór rodu Bjórndalów przeszedł w nim sam siebie.

Pomimo że ufał swym siłom, drżał jednak na całym ciele przed drogą powrotną. Starał się wmówić sobie, że musi istnieć jakaś inna droga, również prowadząca w dół, może gdzieś dalej. Ale miał jeszcze dość rozsądku, ażeby zrozumieć, że najmniejsze bodaj zboczenie z właściwej drogi spowoduje śmierć w zamieci śnieżnej. Gdzie się obejrzeć — wszędzie niebezpieczne, oślizłe zbocza, w każdej chwili może się obsunąć śnieg pod jego stopami i pociągnąć go w przepaść. Starał się wykryć drogę najpewniejszą, ale gdy tylko sobie wyobrażał niezmierną przepaść, którą miał pod sobą, ciemno robiło mu się w oczach, a w głowie powstawał zamęt. Ale też i nowe myśli zjawiały się pod wpływem tęsknoty za polami i lasami, gdzie znał każdy kamień i dróżkę każdą, a gdzie już nigdy noga jego nie miała postać...

Myślą wybiegł do Adelajdy. I dawniej przecież o niej myślał, ale tylko w chwilach, kiedy jej pragnął. Jednak dopiero w tej strasznej godzinie życia uprzytomnił sobie, że i ona przecież boleśnie odczuła śmierć dzieci! Powinien był właściwie przy niej pozostać, aby ją pocieszyć. Z kolei pomyślał również o ojcu. I jego ta żaloba mocno dotknęła. Zestarzał się w oczach. Teraz, w tej tragicznej chwili Dag skonstatował, że ponieważ mu się wszystko w życiu udawało, zawsze chadzał własnymi drogami, a myślał tylko wyłącznie o sobie.

Gdyby teraz mógł szczęśliwie tam na dół wrócić, wszystko by się odmieniło... Adelajda i ojciec! Najbliżsi, tacy drodzy!

Łzy przesłoniły mu ze wzruszenia oczy. Czyż miałby do ich żaloby dorzucić teraz własną śmierć? Teraz dopiero odczuł, jak bardzo go tych dwoje ludzi kocha. Ogarnęła go bezmierna tęsknota. Pragnął zobaczyć ich i przeżyć wraz z nimi radość, że go widzą i odzyskują z powrotem.

Zaczął wymachiwać ramionami, ażeby się trochę rozgrzać. Nawet nie zauważył, że burza śnieżna przybrała na sile i zaczęła dosięgać miejsca, gdzie stał. Nie było czasu do namysłu, trzeba było wyruszyć w drogę w imię Boże. Po cichu odmówił Ojczy nasz. Gdy opuszczał się na kolana, ażeby przewieszony przez przełęcz szukać w zamrzniętym śniegu oparcia dla nogi, wiatr dziko zawył. Był to jakby odgłos piekielnego śmiechu z głębin Góry Śmierci...

## XXI

-ł rzeź las podążało w kierunku północnym trzech mężczyzn. Szli po kilka pni, które tu i ówdzie z powodu rychłej zimy zasypał śnieg. Mieli ze sobą konia. Właśnie przysiedli na chwilę, ażeby odpocząć, gdy ujrzeli pędzącego psa Daga. Obwąchał ich i zaskowyczał. Drwale przypuszczali, że w ślad za psem ukaże się jego pan, więc wzięli się z zapalem do pracy. Dag jednak się nie zjawiał, a pies nie przestawał skowyczeć i zdradzać niepokoju.

Jednym z drwali był Marcin Hogger, najsilniejszy rębacz w okolicy. Był łbski, rozumny, zwinny. Spojrzał przelotnie raz i drugi na psa, potem wyprostował się i rzekł do tamtych dwóch poprzez pnie, nad którymi byli pochyleni: — Czyżby się naszemu Dagowi coś przytrafiło? Pies zachowuje się tak dziwnie...

Wszyscy spojrzeli na zwierzę, które niespokojnie machało ogonem i według późniejszych opowiadań Marcina „kwiliło niczym chore małe”. Marcin wziął więc sprawę w swoje ręce. Coś tu było nie w porządku na pewno. Jednego drwala pchnął pośpiesznie do dworu, kazał mu biec z całych sił, a z drugim wraz z ko-

niem ruszył natychmiast w kierunku północnym, skąd przybył pies. Gdy drwal wpadł do dworu, stary Dag siedział przy wygasłym kominie, drzwi sieni były otwarte, szło przez nie wiosenne światło. Zdyszany drwal ledwie mógł w urywanych słowach powiedzieć, że pies młodego pana przybiegł do nich w lesie... widocznie coś się stało... pies tak jakoś dziwnie się zachowuje!... Mógł stary Dag, jak każdy człowiek, zachwiać się ipod ciosem nieodwracalnego nieszczęścia, ale nigdy cofnąć się przed niebezpieczeństwem, które dopiero groziło. Toteż podniósł się zupełnie spokojnie, drżał mu tylko trochę głos i ręce latały, gdy wydawał drwalowi zlecenie. ażeby poszedł do kuchni i poprosił o coś do zjedzenia oraz wypoczął przed czekającą ich daleką drogą. Dodał przy tym, żeby to, o czym wie, zachował w tajemnicy i przysłał mu tylko jak najszybciej pannę Kruse.

Przyszła panna Kruse, stary Dag powiedział jej, zniżając głos, o co chodzi, kazał przynieść wysokie buty, które wkładał, gdy szedł do lasu, i worek z prowiantem. Posłaniec przybył z głębi lasu, a pies gdzieś z bardzo daleka, więc trzeba się przygotować na długą wędrówkę.

Było już pod wieczór, chociaż wiosenna jasność leżała jeszcze nad lasami, gdy ojciec Dag po raz pierwszy od niepamiętnych czasów wyruszył w dalszą drogę do lasu. Póki można go było / widzieć ze dworu, trzymał się wszelkimi siłami, ale gdy tylko znalazł się na zboczu, gdzie się rozpoczynały lasy, otarł oczy wierzchem dłoni i szeptał z całym przejęciem: — Boże, bądź mi-łościw jeszcze tym razem i nie dopuść, ażeby syn mój miał umrzeć przede mną!...

Opanował się jednak i zaczął przemawiać do psa, wiosenne nastroje w lesie tyle wywołały w nim wspomnień, że serce krwawiło. Jakaś nieznaną obawą piekła go boleśnie w najgłębszym wnętrzu jego istoty. I raz jeszcze wyszeptał te same słowa. Brzmiały one jak Ojcze nasz lub jakaś inna modlitwa. Potężna jego postać posuwała się szybko między drzewami. Robił duże i ipewne kroki.

Rozmaite są i w rozmaity sposób rozchodzą się szmery i trzaski po starych drewnianych domostwach. Zależy to od pory roku

i od pogody. Kto ma wyculone ucho, natychmiast odróżni odgłosy i szmery niecodzienne od zwykłych, dobrze znanych.

Adelajda siedziała podparwszy na rękę policzek w swojej komnacie przy drzwiach balkonowych; zatopiona w bolesnych wspomnieniach, patrzyła na wiosenny zachód słońca. Było to w tej samej chwili, gdy drwał wszedł do sieni. Tutaj w jej pokoju nie słyhać było szarpnięcia klamki ani pospiesznie wyrzucanych słów, ale w każdym razie doszły do niej jakieś niecodzienne poruszenia i dźwięki, podniosła się więc i pełna lęku zwróciła się ku drzwiom.

Słyszała, jak panna Kruse weszła do pokoju starego, potem wybiegła i czym prędzej wróciła. Po chwili usłyszała tak dobrze sobie znane kroki starego Daga; były tylko szybsze niż zazwyczaj.

Słyszała też potem, jak się drzwi otworzyły i zamknęły, doszło do niej skowyczenie starego psa, który zazwyczaj wylegiwał się przed kominem. Drapał we drzwi na znak, że pragnie towarzyszyć swemu panu. Wystarczyło jej to, aby domyślić się, że stary Dag wziął przybory myśliwskie i wyszedł spiesznie. Krew uderzyła Adelajdzie do głowy, potem zimny pot wystąpił na czoło i oblał ją całą. Zakręciło się jej w głowie. Jeżeli ojciec Dag o tej porze, w przedwieczorz, wybiera się sam do lasu, to znaczy że... coś się strasznego stać musiało. Adelajda szarpnęła drzwi i zbiegła ze schodów. Stary pies podbiegł do niej, skowycząc i machając ogonem. Zatrzymała się nasłuchując, jakby słowa wypowiedziane w sieni jeszcze tam drgały w powietrzu.

Rozległy się czyjeś kroki. To panna Kruse przechodziła przez kancelarię. Nie wiedząc nic o obecności jej w sieni, szła płacząc. Przeraziła się ujrzawszy kredowoblada, wylęknioną twarz Adelajdy. — Co się stało?... — wykrztusiła z trudem Adelajda.

Panna Kruse zaczęła łkać, tłumacząc się, że ojciec Dag zakazał jej cokolwiek mówić. Milczała tak długo, jak tylko mogła, ale w końcu widząc coraz większą bezgraniczną wprost rozpacz młodej pani, pragnęła ją pocieszyć i powiedziała, że wrócił do domu sam pies, bez swego pana.

Adelajda, wychowana w mieście, nie zdawała sobie w pierwszej chwili sprawy, że to niedobrze, gdy pies myśliwego wraca sam

i szuka ratunku. Panna Kruse poza tym jej nie powiedziała, że się tak dziwnie niepokojąco zachowywał. Jedno tylko Adelajda wiedziała, że psy z Dagiem tworzyły jedność; nieraz nawet była zazdrosna, gdy jak opętane skakały wkoło niego z radości, że zabiera je ze sobą do lasu. Więc intuicją teraz odgadła, że ten samotny powrót psa nic dobrego nie wróży.

Długo stała nieruchoma z uczuciem, jak gdyby uciekała z niej wszystka krew. Potem rzekła cicho, drżącym głosem:

— Ja także chcę iść do lasu.

Jeszcze nigdy dotąd w Bjorndal żadna kobieta nie odważyła się wybrać do lasu, a tym bardziej taka wydelikaccona osoba z miasta, jak Adelajda. Postanowienie to wprawiło pannę Kruse w zdumienie, zdawało się jej to szaleństwem. Perswadowała, na kolanach błagała, ażeby zaniechała tego zamiaru, że potem cała odpowiedzialność za to na nią spadnie. Adelajda jednak była niewzruszona; w chwili tej na oczach panny Kruse wyrosła na dumną władczynię tego domu, która wydaje nieodwołalne rozkazy. Panna Kruse tyle tylko uzyskała, że Adelajda zabrała do torby trochę pożywienia i włożyła mocne obuwie, grubsze ubranie i wzięła psa, okręcając sobie smycz wokoło ręki, ażeby nie uciekł. Więcej na swej pani wymóc nie mogła.

Adelajda, opuszczając dom, tak silnie zatrzęsła za sobą drzwi wejściowe, że panna Kruse nie miała odwagi otworzyć ich, aby wzrokiem ją śledzić. Pobiegła tylko prędko do frontowego pokoju i spojrzała przez okno. Stała tam długo płacząc, choć Adelajdy już dawno nie było widać. Cała trójka w lesie! Bóg jeden tylko wie, czy kogokolwiek z nich jeszcze w tym życiu zobaczy...

Tego wieczoru i następnych panna Kruse odmawiała wszystkie modlitwy, jakich ją nauczono, i wciąż od nowa je zaczynała.

Na północy wieczory w końcu kwietnia bywają jasne, ale w lesie jest ciemno. Pies biegł śladami swego pana, Adelajda podążała za nim.

Ojciec Dag znał w swych lasach od najmłodszych lat każdą ścieżkę, nie były to jednak drogi dla kobiecych nóg. Dla pośpiechu wybierał najkrótsze, choćby wiodły przez strome zbocza.

Dawna królowa balów miejskich, kobieta subtelna, elegancka,



podziwiana, szła owej nocy wiosennej śladami starego, doświadczonego myśliwego. Szła trudnymi drogami poprzez niezmierny, dziewiczy las...

Wiedziała, że w lasach są niedźwiedzie i olbrzymie łosie, niebezpieczne przepaście o skalistych ścianach i bezdenne bagna. Ale to wszystko w tej chwili było jej obojętne. Śmierć nie miała dla niej znaczenia. Ufała psu, że wskaże jej właściwą drogę. Myśli jej były zaprzątnięte Dagiem, widziała go przed sobą broczącego krwią. Trzy były możliwości wypadku: walka z niedźwiedziem, która oczywiście tragicznie się skończyła (wiedziała, że dziadek Daga i kilku innych przodków w ten sposób zakończyło życie) lub też spadł w przepaść, albo— niech Pan Bóg wybaczy jej tę myśl — może sam dobrowolnie skierował broń w siebie...

Od czasu śmierci dzieci chodził jak nieprzytomny i oto teraz robiła sobie wyrzuty, że myślała tylko o swoim bólu i rozpacz. Cokolwiek się z nim stało — jej to była wina. Sprawdza się to, co mówią o kobietach z jej rodu: stają się przyczyną nieszczęścia człowieka, za którego wychodzą za mąż!

Była tak zaprzątnięta tymi myślami, że nie widziała niczego wokoło. Ale nie wolno iść na oslepek przez las, szczególnie po raz pierwszy.

Droga prowadziła ją i starego psa, Bistera, przez grzbiet wzgórz porośniętych świerkami. Nim zaczęli schodzić z góry, Bister nagle się zatrzymał. Zaczął węszyć i nagle skoczył w bok od drogi tak gwałtownie, że z trudem tylko mogła go utrzymać na linie. Warczał gniewnie, gdy Adelajda nagle przystanęła. W tym momencie z gęstwiny dobiegł trzask łamanych gałęzi i coś ogromnego i ciężkiego stoczyło się w dół. Przez długą chwilę jeszcze słychać było szum i łoskot obsuwających się kamieni.

Adelajdę ogarnęła wtedy trwoga przed nieznanym lasem. Zatrzymała się bez tchu, drżąca, nasłuchując. Dopiero teraz zauważyła, że las żyje własnym życiem, że drgają w nim tysiączne dźwięki przy monotonnym wtórze poszumu wiatru. Wokół niej i w ślad za nią snuły się jakieś szepty, szmery. Ciemność otaczała ją ze wszystkich stron.

Pomyślała wtedy z wdzięcznością o pannie Kruse, która wprost zmusiła ją do zabrania psa i uwiązała go do jej ręki. Bez niego

nie byłaby mogła iść w taką drogę ani też wrócić z niej. Lęk zmusił ją jednak do pomyślenia o sobie. Wymagało tego właśnie uciążliwe zejście z góry. Trzeba było choć na parę chwil zapomnieć o strasznym wydarzeniu, które pchnęło ją na tę drogę.

Doszli do strumyka w dole. Bister biegł wzdłuż wody do miejsca, gdzie można było po kamieniach przepawić się na drugą stronę. Potem trzeba się było na nowo wspinać na bardzo stromą górę. Na szczycie znajdował się jakiś szałas. Adelajda czuła, że pada ze zmęczenia, a stary Bister też już pewnie miał chwilowo dość tej wędrówki, bo węszył i skomlał w kierunku chaty, jakby prosząc o odpoczynek. Była to stara, zapadnięta chałupina, ale Adelajda i pies padli oboje śmiertelnie znużeni na posłanie z gałęzi i w tej samej chwili usnęli. A wokół szałasu po lesie hulał i śpiewał wiatr, który tam w górskich wysokościach był silną burzą, połączoną z śnieżną zawieją.

Następnego ranka obudzili się odrętwieni i sztywni i z trudem rozprostowali zmęczone nogi. Godziny upływały za godzinami. Bór wydawał się teraz Adelajdzie bezkresny, a od czasu gdy wieczorem dnia poprzedniego przemknął obok niej ów potężny łoś, odczuwała coraz większy lęk, nawet teraz, w dziennym świetle. Bister chwilami tracił ślad swego pana, droga stawała się coraz uciążliwsza, musieli obchodzić stawy i bagna i wspinać się po stromiznach.

Wiedziała z opowiadań, że Dag poluje na pardwy w wysokich górach, i gdy teraz Bister ją wprowadził na strome szczyty Skarfjell, przypuszczała, że to już owo miejsce. Daleko, niestety, bardzo daleko jeszcze z Skarfjell do tych prawdziwych gór! Te zbocza są zalesione. Nawet na samym szczycie rosną sosny, ale już chude, skarłowaciale. Bister sam szczyt ominął dróżką wijącą się na zachód od górskiej ściany i zatrzymał się ni stąd ni zowąd na zakręcie prowadzącym na północ. Wyciągnął się jak długi na ziemi. Adelajda szła już ostatkiem sił. Szumiało jej w uszach, czuła słony smak w ustach. Według jej pojęć powinien to już być kres wędrówki, bo sobie zawsze wyobrażała, że góry leżą tuż za lasami. Spojrzała na psa i przeraziła się. Czyżby zachorował? Jak ona sobie sama da radę? Spojrzała w kierunku północnym,

widać było cały łańcuch zalesionych gór, ale hen daleko, na skraju horyzontu paliły się w słońcu jakieś szczyty niebosiężne. Dalej jeszcze lodowce igrały w słońcu tęczowymi barwami. Bardziej ku zachodowi rozciągał się niebieskawy cień.

Adelajdzie aż dech zaparło. Czyżby to miało być tam? Aż tak daleko jeszcze do wysokich gór Daga? Więc tam się stało to nieszczęście? Trudno dociec, skąd niektóre myśli przychodzą do głowy, ale Adelajda w tej chwili była przekonana, że stalowy błysk zamarłych szczytów jest wyłącznie dla niej przeznaczony i jest znakiem, że to się tam stało...

Spojrzała w dół na staw przy Skarfjell. U jej podnóża, w głębokim cieniu gór, niebieskozielone wody wydawały się tajemnicze. Wiatr marszczył ich powierzchnię i bryzgał falami na brzegi jak w prawdziwym jeziorze. Z boku ponad zatoką spostrzegła miejsce porośnięte trawą. Wpatrując się w nie stwierdziła, że w zatoce stoi łódź, a na brzegu wiszą rozpięte suszące się sieci. Dalej w głębi stoją domki, z jednego komina idzie dym. Więc tam ktoś mieszka... Aż jej się gorąco zrobiło z wrażenia... A może tam wiedzą, co się f Dagiem stało?

Szarpnęła lekko linką i Bister jednym susem stanął na nogach. Widocznie był przyzwyczajony, że pan jego tu się zawsze zatrzymuje i podziwia roztaczający się stąd widok na cały łańcuch gór. Zaczęli schodzić w dół. Chwilami zbocze było strome, ale znajdowała zawsze jakieś oparcie dla nogi.

Gdy doszła do wody, do miejsca, gdzie leżała deska do lądowania, Bister zaczął z całych sił szczekać w kierunku drugiego brzegu. Po chwili dopiero wylazł z chaty jakiś człowiek ż ociągając się podszedł do łodzi. Zasłonił sobie oczy ręką od słońca i zaczął przypatrywać się Adelajdzie i psu. W końcu odwiązał łódź i starał się do nich podpłynąć, ale szło to wolno, bo staw był tu bardzo szeroki.

Podczas wiosłowania człowiek ten parokrotnie odwracał się w ich stronę. Głowę miał porośniętą bujnym włosiem, kudłatą. Adelajda nigdy takiej nie widziała. Gdy w końcu do nich podjechał i odwrócił ku niej twarz, wprost się go zlekła. Nie spotkała w swym życiu człowieka tak obrośniętego. Spod gęstwy włosów ledwo było widać oczy i nos. Gęste kudły opadały na krzaczaste brwi i uszy i jakby łączyły się z dziką brodą. Człowiek me wy-

rzekł ani słowa, tylko czekał. Dotąd nigdy nie widział pięknej młodej pani z Bjórndal, ale dużo o niej słyszał i zaczął się domyślać, że to ona. A że aż tu, do Skarfjell, doszła — było dziwne, bardzo dziwne!... To się jeszcze żadnej dziedzicze z Bjórndal nie zdarzyło.

Pies wskoczył pierwszy do łódki. Adelajda weszła za nim i usiadła. Potem łódź ruszyła z miejsca. W końcu Adelajda z trudem wykrztusiła zapytanie, czy on przypadkiem nie wie, co się Dagowi stało. Stary odchrząknął i głosem skrzypiącym jak stary zegar, zanim wybije godzinę, powiedział wreszcie, że o niczym nie wie. Należał do typu ludzi, którzy raz nakręceni, ciągle gadają. W kółko powtarzał Adelajdzie swym monotonnym, niezmiernie skrzypiącym głosem to, o czym sama wiedziała: że wczoraj przebiegł tędy jakiś drwal z północy, a pod wieczór sam stary gospodarz. Bezzwłocznie, nic nie jedząc ani pijąc, udał się w dalszą drogę.

Rybak zapraszał Adelajdę, żeby spoczęła przy stole przed jego chatą. Siadła. Usprawiedliwiał się, że może jej tylko zaofiarować rybę i parę kartofli, jeśli tym nie pogardzi... Naprzód podziękowała mu, ale rybak bardzo nalegał i zwrócił jej uwagę, że taka wędrówka po lesie wymaga dużo sił. Sama dobrze o tym wiedziała. Człowiek głodny nie ma sił posuwać się naprzód. Zamilkł na chwilę, a potem znów powtarzał niezmordowanie to samo w kółko, tak jak zresztą czynią to wszyscy niemal samotnicy nie mający wiele okazji do mówienia.

Ugotował pstrągi i upiekł w popiele kartofle, i nakrył jak mógł, czysto wyszorowany stół. Jadła, trzeba się było przecież posilić. Rybak namawiał ją, ażeby nie szła już dalej, tylko czekała, aż tamci wrócą, bo koło jego chaty muszą przejść. Im wyżej, tym góry są trudniejsze i bardziej niedostępne, dróg tam prawie nie ma, same skalne ściany; ale jeżeli koniecznie chce wyruszyć w dalszą drogę, to on z nią pójdzie. Wcale nie jest powiedziane, że młodemu panu coś się musiało przytrafić; i pies mógł zgubić drogę. A jeśli nawet coś się stało, to dlaczego zaraz przypuszczać najgorsze? Tak mówił i starał się ją pocieszyć, jak umiał. I poszli w kierunku północy. Ale w pewnym miejscu Adelajda kategorycznie oświadczyła, że dalej chce iść sama, rybak więc zatrzymał się. Patrzył długo w ślad za nią... Gdy zniknęła z pola widzenia,

przetarł strzechę brudnych włosów, w miejscu gdzie każdy miał oczy.

Byłby jej chętnie towarzyszył rybak Bórre. Tak się nazywał. Pochodził zresztą z innej zupełnie okolicy, a przybył tutaj — powiadali ludzie — aby się ukryć po jakiejś nieudanej przygodzie w młodości. Stary Dag zaopiekował się nim, obronił i pozwolił wybudować chatę nad wodą. Bórre dostarczał ryb do dworu i otrzymywał w zamian zboże oraz różne produkty spożywcze.

Przynosił też do dworu na święta i na specjalne uroczystości tłuste pstrągi. Był rad takim okazjom, bo gdy dostarczał ryby na specjalny obstalunek, dostawał zawsze dobrej wódki, tytoniu, kawy, białej bułki i masła.

Chyba nikt na świecie nie ucztował tak wspaniale, jak ten rybak po powrocie z wycieczki do dworu. I ten nędzarz miał swój świat marzeń... A bohaterami jego bajki byli tamci trzej ludzie z Bjórndal... Ci, którzy są teraz daleko za śniegami na północy, w ciężkim nieszczęściu.

Bórre znał czarodziejskie zaklęcia; posługiwał się nimi, jeśli na gwałt było potrzeba na obstalunek dobrego połowu. Nie wolno było jednak używać ich bez prawdziwej potrzeby; bo byłoby to grzechem i zaklęcie traciło moc. Jeśli jednak zachodziła nagła potrzeba — Pan Bóg zezwalał na zamówienie.

Naprzód wrócił do chaty, potem zeszedł na wybrzeże. Tam ułożył kość łosia i psią kość na krzyż. Długo je posuwał to w jedną, to w drugą stronę, aż skierował w cztery strony świata.

Mamrotał przy tym jakieś słowa o skrzyżowanych kościach, o wszystkich świętych, Przenajświętszej Paniencie. Może były to niegdyś łacińskie wyrazy, ale to, co wymawiał, już nic z łaciny nie miało... W końcu, podniósł się z kolan, złożył ręce i modlił się zwrócony twarzą do wody. Odmówił na głos Ojciec nasz i dodał głośniejszym głosem, że modli się na intencję młodego Daga, ażeby nikt nie mógł się co do tego pomylić.

Adelajda szła krok w krok za Bistrem, tam gdzie ją ciągnął. Pięli się bezustannie wzwyż, a słońce za nimi coraz bardziej się zniżało. Wyszli z lasów sosnowych, ozłoconych zachodzącym słońcem i ujrzeli ze szczytu grzebienia północne stoki porośnięte

brzezina. Zrobiło się zimno. Gdy wicher dał z północy, przeszywał mrozem.

Ale tego dnia wiał nie tylko północny wiatr, lecz i nieco cieplejszy z zachodu. Na wysokościach spotkały się.

Bister przez cały czas biegł dzielnie naprzód, węsząc. Lecz nagle odwrócił łeb kilka razy w dziwny sposób i zaczął węszyć coś z boku. Zatrzymał się. Zawrócił całkowicie na zachód i już nie węszył po ziemi, tylko wciągał w siebie zapach, który wiatr ze sobą przynosił. Następnie pociągnął za sobą Adelajdę z góry w stronę zachodnią, wciąż tylko węsząc, to znów zapalczywie warcząc.

Szli znowu lasem na południe. Nagle Adelajda poczuła w powietrzu jakby zapach dymu z komina. Paraliżowana lękiem najchętniej byłaby usiadła, ażeby zebrać myśli. Tyle już drogi uszła, a szła jak nakręcona, aby dalej, bez myśli, jakby iść miała aż na koniec świata. Nigdy chyba do celu nie dojdzie! Pośród uczucia szalonego zmęczenia chwycił ją nagły lęk. W głowie jej zaczęły wirować okropne obrazy: krew, pokaleczone członki.

Bister biegł dalej. Dała się ciągnąć bezwolnie. Chwilami wstrzymywała go; wołała nie dojsć i nie dowiedzieć się tego, co ją tam czeka. Jakaś ciepła fala podeszła jej do oczu. Łzy zalały twarz, chciała zsunąć z ręki linę, puścić psa samego w dalszą drogę, a sama czekać... czekać, ale linę okręciła się wokół przegubu ręki, tak że nie sposób było rozluźnić jej w biegu, a Bister pędził dalej i ciągnął ją za sobą.

Już zmierzchało. Jakaś polanka. Woda. Obok zarysowuje się w mroku jakaś chata. Dym idzie z komina. Przez szczelinę w drzwiach przenika światło.

Bister zawarczał. Z wewnątrz odpowiedziało mu warczenie innego psa. Adelajda nic nie słyszała, nie widziała nic aż do chwili, gdy stanęła w drzwiach i w migocącym świetle ognia pod kominem ujrzała ciało Daga przykryte jakimś nędznym kaftanem. Leżał wyciągnięty na pryczy. Piękna twarz jego była wo-skowożółta. Oczy miał zamknięte, na czole zakrwawione bandaże.

Ojciec Dag? i jeszcze jacyś dwaj... Sen, czy rzeczywistość? Zjawy z tamtego świata, czy żywi ludzie? Kto?!... Po chwili padła bez zmysłów koło pryczy.

## XXII

^ łyszała rozmowę — była znów przytomna. — Puść! — mówił jakiś znajomy jej głos. Nie był to głos z jej marzeń o lesie i nieskończonych przestrzeniach.

— Puść! — Czuła, że ją ktoś mocno bierze za przeguby rąk, podnosi i gdzieś kładzie. Coś świeciło się z daleka jak wizja tych szczytów i wierzchołków na północy, które widziała. Ale w tej chwili był to tylko refleks ognia na belkach pułapu. Adelajda chwyciła się za głowę i siadła.

W świetle płomieni zarysowała się postać ojca Daga, a przy kominie siedziało jeszcze dwóch mężczyzn. Potarła sobie czoło i spojrzała w bok. Nie, to nie był sen, tam leży martwy jej mąż!

Spojrzała błagającym wzrokiem na ojca Daga, jakby oczekiwała od niego zapewnienia, że to wszystko jest nieprawdą, że to zły, koszmarny sen, że wszystko, co się teraz dzieje, to kłamstwo, a prawdziwe życie dopiero się zacznie później.

Opuściła głowę i spojrzała na Daga, na te ukochane, piękne rysy i na prawe ramię zwisające tuż przy niej, a owinięte do łokcia w pokrwawione gałgany.

Nagle drgnęła przerażona. To ramię poruszyło się.

Spojrzała na ojca. Stał sztywno w tej samej pozycji, co przed chwilą i wyglądał, jakby nic nie zauważył.

— Nie widziałeś? — szepnęła.

— Ale co? — spytał.

— Dag poruszył ręką.

— Tak — odparł i spojrzał na nią jakimś dziwnym wzrokiem.

Podskoczyła:

— A więc nie umarł!

— Jeszcze... nie — odparł stary smutnie. — Ale tyś powinna się położyć i wypocząć — dodał zmęczonym, złamanym głosem.

Adelajda spoglądała to na jednego, to na drugiego, westchnęła głęboko i podniosła się.

Od pierwszego dnia, kiedy ją poznał, aż dotychczas, stary Dag oceniał synową wedle tego, co widział. Była piękna i postawna, subtelna i wykształcona, posiadała talent muzyczny i wiele in-

nych. Była ozdobą domu jako córka i dobra matka. Ale lej dzieci okazały się niezdolne do życia. Powaliła je pierwsza choroba. Nie była niczym innym, tylko miłą, młodą kobietką dzisiejszych zniewieściałych czasów.

A teraz na pół przytomna przedarła się oto przez las i w tej godzinie tak ciężkiej dla wszystkich dobrnęła aż tutaj! Sam chyba Pan Bóg wie, jak mogła tak daleko dotrzeć! To sobie myślał Dag.

Adelajda wreszcie pojęła: Dag jeszcze żyje! To jedno ją obchodziło. Nic innego nie słyszała i nie chciała słyszeć. Nie potrzebowała pytać, co się stało: czy spadł z góry, czy leżał długo na mrozie, zanim go znaleźli i tu przynieśli.

Zawsze interesowała się pielęgniarstwem. Dużo czytała z tej dziedziny i przez pewien czas nawet się zajmowała chorymi. Dlatego udając się w drogę, zapakowała w torbę wszystko, co mogłoby się przydać jako pierwsza pomoc w nieszczęśliwych wypadkach.

Zdjęła płaszcz i kaptur. Zmęczenie gdzieś się ulotniło. Nie patrząc na nikogo spytała, czy jest woda i jakieś naczynie do gotowania.

Jeden z dwóch mężczyzn wyszedł na chwilę i wróciwszy zawiesił mosiężny kociołek na haku nad ogniem. Adelajda tymczasem otworzyła torbę i wyjęła z niej przybory do opatrunku i sporo bandażu. Ojciec patrzył takim wzrokiem na nią, jakby nie dowierzał jej siłom i przypuszczał, że lada chwila znów zemdleje albo zrobi coś nieobliczalnego. Nie poznawał jej. Miała zacięty, stanowczy wyraz twarzy; oczy patrzyły twardo przed siebie; usta miała mocno zaciśnięte, wyglądały jak wąski paseczek.

Obaj drwale, którzy znaleźli młodego Daga u stóp Głowy Byka, opowiadali, że gdy przekroczyli wrzosowisko w górze, szczyt wydał się im podobny do trupiej czaszki. Tak to określił drwal Marcin.

Od tej chwili ojciec Dag zobojętniał na wszystko. Fakt że raz jeszcze spełnia się przepowiednia, którą słyszał z ust Ane Hamarrbó, i że doprawdy istnieje Góra Śmierci — rozproszył już ostatnie wątpliwości co do wiarogodności jej wróżb i gadek. Jeżeli taka góra istnieje, to prawdą musi być i to, co jest w zakoń-



czeniu owej starej baśni; śmiałka, który wędruje się, na Górę, spotka śmierć.

Miał też w pamięci jej słowa o palącej się z dwóch końców świecy. Sprawdziły się przy łóżeczku umierającego dziecka. Nie wątpił więc teraz, że się spełni także na jego synie przepowiednia zawarta w ostatnich strofach pieśni o Górze Śmierci. Przeczował również, że Dag się tam udał, ażeby wyzwąć Boga i śmierć, ażeby po stracie dzieci zerwać ze wszystkim. A Pan Bóg na pewno nie ścierpł takiego wyłamywania się spod jego woli.

Cały ród Bjórndalów był bardzo uparty, ale to już było zuchwalstwo przekraczające wszelkie granice. Pan za karę każe rodowi wygasnąć, i to zginąć z własnej ręki. Ostatni potomek rodu poszedł oto sam wyzwąć śmierć. Stanął z nią oko w oko, w tragicznym zmaganiu wystawiając na szwank całą przyszłość rodu.

Są ludzie, których życie smaga nielitościwie, a oni zawsze jakoś zdołają z powrotem podnieść głowę. Ojciec Dag już .niejedno w życiu przeszedł i zawsze jakoś potrafił odgryźć się, ale tym razem — skończyło się. W krótkim czasie zgasły trzy młode istnienia z jego krwi i ciała. Dłużej walczyć nie będzie.

I on miał trochę płótna, panna Kruse dała mu je przezornie do torby myśliwskiej. Drwał Marcin obwiązał, jak potrafił, najbardziej krwawiące rany. Ale stary osowiał zupełnie, gdy usłyszał opowiadanie, które potwierdziło istnienie Góry Śmierci. Nie zasnął ani na sekundę od tej chwili i prawdopodobnie zmęczenie daleką wędrówką też przyczyniło się do jego zupełnej apatii.

Drwale usunęli się z chaty, kiedy Adelajda zabrała się do dzieła. Stary siedział na ławie pod ścianą. Tępym wzrokiem śmiertelnie znużony przyglądał się, jak zdejmowała bandaż z ran, obmywała je, osuszała, zręcznymi szybkimi ruchami zakładała świeże.

Ostatnią noc przespała Adelajda w leśnej chacie kamiennym snem. Była młoda i silna. Nie poddawała się zmęczeniu. Gdy ujrzała Daga po raz pierwszy, wracał właśnie z walki z orłem, rękę miał obandażowaną. Już wtedy zapragnęła ponad wszystko

25 A lasy wiecznie śpiewają

opatrzyć ranę, starannie obwiązać, a potem z całą miłością i poświęceniem pielęgnować. Chęć ta, to marzenie, było właściwie zaczątkiem miłości do niego. Podczas owych czterech lat szczęśliwego pożycia nieraz wracał z lasu pokaleczony i ranny, ale nigdy nie pozwalał jej tym się zajmować. Z jakiegoś męskiego wstydu. Obecnie nie mógł tego zabronić. W ten swój wyczyn, w opatrywanie jego ran, włożyła całą miłość, wspomnienie szczęśliwych lat miłości. I to jej pozwoliło czynić wszystko dobrze, zręcznie i z całą umiejętnością.

Staremu zamykały się oczy ze zmęczenia. Po pewnym czasie zasnął oparty o ścianę. Chrapał.

Adelajda spojrzała na niego i ogromnie jej się żal go zrobiło. Przypomniała sobie chwile uroczyste, gdy widziała go w pełni sił. Miał imię i znaczenie wśród ludzi z całej okolicy, nawet w mieście; a teraz ten wielki bogacz siedzi tu w jednej z najlichszych swoich chat i śpi oparłszy głowę o ścianę, znękany, stary człowiek, bardzo stary.

Takie jest życie.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego, ale dla Adelajdy był to cud: mąż jej w nocy odzyskał przytomność; otworzył oczy i spojrzał na nią wielce zdziwiony. Długo tak leżał wpatrzony w belki sufitu, widocznie starał się zebrać myśli. W końcu coś sobie zapewne przypomniał, bo chciał oprzeć się na łokciu. Było to jednak ponad jego siły. Uprosiła szeptem, ażeby się nie poruszał, bo rany mogą się otworzyć. I tak dość krwi stracił. Podała mu wodę do picia. Pogłaskała jak matka po twarzy, szepcząc dobre, pieszczotliwe słowa. Dagowi łzy stanęły w oczach.

Zauważyła, że stara się ostrożnie oddychać, spytała więc, czy boli przy oddychaniu.

— O tak — odpowiedział, uśmiechając się lekko i dotykając obwiązanymi rękami piersi.

— Czy kłuje? — spytała.

— Tak, jak pchnięcie nożem. — Chciał się uśmiechnąć, ale to mu się nie udało. Twarz wykrzywił mu ból.

Adelajda z całą troskliwością i przejęciem zbadła nogi i ręce męża i przekonała się, że nie ma złamań, również i krzyż, jak i kark, nie były nadwężone. Doszła do wniosku, że prawdopodobnie ma połamane niektóre żebra. W ogóle cały był silnie po-

tłuczony. Poza tym głowa mocno rozbita. Chodziło o to, aby stwierdzić, w jakim stopniu jest uszkodzona i czy nie ma jakichś wewnętrznych obrażeń. W takim razie byłoby źle...

Dag na nowo zemdłał i długo leżał nieprzytomny. Rozpięła mu kurtkę na piersiach i ścisnęła bandażem klatkę piersiową, ażeby zewrzeć żebra. Mocno ściągnęła końce i zeszyła, po czym przykryła go z powrotem kurtką. Następnie obejrzała kolano; obmyła je i obwiązała — było zranione.

Adelajda krzątała się i zabiegała z całym oddaniem dla męża, ale równocześnie walczyła o własne życie.

Stary D^ig zbudził się i nie chcąc przeszkadzać, spod przymkniętych powiek przyglądał się jej. Opodał młody Dag na pryczy szeptem odpowiadał żonie. Stary widział, jak zręcznie i szybko zeszywała bandaż, jak poprawiała ogień. Zachwycony był jej ostro odcinającą się, pełną energii twarzą na tle ognia.

Przymknął oczy. Od tej chwili zaczął inaczej patrzeć na Adelajdę. Toć ona — (rozculiło go to) — wyruszyła sama ze starym psem w pełne na j różnorodnie j szych niebezpieczeństw nieznane ostępy leśne aż na daleką północ i po tej uciążliwej wędrówce miała jeszcze dość siły, ażeby wziąć się energicznie do niesienia pomocy Dagowi. Te rozważania pobudził widok jej twarzy w świetle ognia. Była to zupełnie inna twarz. W tej chwili w chacie toczy się cicha walka. Z jednej strony stoją pradawne a surowe przypowieści Ane Hamarrbó o rodzie i śmierci, a z drugiej strony walczy miłość Adelajdy. Bo żadna kobieta nie mogłaby wyglądać tak jak ona w tej chwili, gdyby nie była zaangażowana w najtragiczniejszą walkę o jedyną miłość życia. W jej twarzy nie było widać żadnej chęci ustępstwa ani starym przesądom, ani też niczemu innemu. A Dag wierzył, że tam, gdzie jest prawdziwa, wielka miłość — Bóg pomaga.

Uczuł zmęczenie nie do opanowania, a widząc, że Adelajda pieczołowicie krząta się koło chorego, zdecydował się wyciągnąć na ławie — sen go zmorzył. Miał wreszcie kogoś, kto w nieszczęściu stał się silny i potrafił go zastąpić, może więc sobie wreszcie spokojnie zażyć snu...

Burza szalejąca na Górze Śmierci usypała pod południową ścianą, z której spadł Dag, zwały śniegu. Gdy się wspinał, ziemia

ss\*

była tu pokryta lodowatą skorupą, ale zawieja z wichrem zmiotła z góry wszystek śnieg w dół i ułożyła grubą warstwę wokoło góry.

W ten sposób zagładę niosąca śnieżna burza uratowała Dagowi życie. Ale odwieczna sentencja sprawdziła się jednak. I kiedy drwale znosili ciało Daga w dolinę, ponura groźba szła wciąż za nimi i krążyła wkoło chaty, gdzie Dag miał jeszcze leżeć wiele dni i nocy. Naprawdę: śmierć była blisko.

Obaj drwale poszli do dworu, ażeby przynieść ubranie, żywność i poza tym różne niezbędne rzeczy Adelajdzie. Nie życzyła sobie przysłania żadnej kobiety do pomocy. W ten sposób wszyscy troje: ojciec, syn i synowa zmuszeni byli pozostać przez pewien czas w leśnej głuszy jak przed wiekami ich przodkowie. Adelajda gospodarowała. Gotowała, prała, ojciec Dag nosił wodę i drzewo na opał.

Dzień za dniem mijał... W lesie tymczasem rozgościła się wiosna w całej pełni. Pokryła wszystkie krzewy i rośliny cudną zielonością, pierwszym kwieciem. Pobudziła ptaki, kazała im wyciągać tęskne trele, napełniła strumyki rwącą wodą, a powietrze przepełniło zapachem świeżości, oddechem kwiatów i ziół, które budzą w człowieku radość i chęć do życia. Nad tym wszystkim królowało słońce... Tak wyglądał bór w tych dwóch wiosennych dniach, w których rodzina bjórndalska ruszyła z wolna z chaty nad Czarnym Jeziorem poprzez Nattdalseter — ku domowi.

Adelajda biegnąc owego pamiętnego dnia za ciągnącym ją Bisterem, obojętna była na wszystko, co ją otaczało, nie widziała nic. — Teraz z całą radością odczuwała i przeżywała wiosenny czar lasu...

Tam w chacie przy śmiertelnie chorym mężu, podczas bezsennych nocy wsłuchiwała się w odgłosy puszczy: lasy śpiewały odwieczną pieśń... Świszczało w wierzchołkach drzew, gdy wiał wiatr z północy. Rozbrzmiewały niskie, głębokie, kojące tony, gdy wiał od południowego zachodu. Leśna symfonia towarzyszyła ich powolnej wędrówce. Głęboko wzruszał Adelajdę ten wspaniały świat. Słyszała głuchy pomruk łosi i widziała, jak te olbrzymie zwierzęta przeprowały się przed wschodem słońca przez bagna około Trollfugiseter. Widziała na jeziorze trolla, który bar-

dziej do ryby niż do iptaka jesit podobny. To dziwaczne, stworzenie zanurzało się w wodę i przez długi, długi czas tam pozostawało, a potem z ostrym, niemiłym, przeszywającym krzykiem niespodziewanie zrywało się do lotu, rozpryskując wodę na wszystkie strony.

Ojciec pokazywał jej ślady przeróżnych nie znanych jej dotąd zwierząt, a gdy już byli bardziej na południu na wysokości Zielonego Jeziora, wskazał jej nawet świeże odciski niedźwiedziich łap.

Następnego dnia, schodząc ze zboczy, przeszli przez niektóre osiedla. Po raz pierwszy zetknęła się z innymi, nie znanymi jej ludźmi, dziećmi i zobaczyła ich chaty, które zachowały swój styl i pradawny charakter. Były to osiedla: Friland, Skya, Stjerne-bekk i Kast oraz większe wsie: Tjernsmo i Blatjern, Barvoll i Steinrud.

Zobaczyła też po raz pierwszy letnie obory bjórndalskie; znajdowały się u stóp zboczy wśród kwiatów i zieleni, poddzielane opłotkami zaopatrzonymi w małe furtki, przez które można było przejść z jednej przegrody do drugiej.

Wróciła do domu wzbogacona całym światem nowych wrażeń.

XXZJJ

«/akkolwiek wydaje się to dziwne, przeżycia Adelajdy — tragiczne początkowo, a tak szczęśliwie zakończone — osłabiły w niej początkowo rozpacz po śmierci dzieci.

Chwilami tylko, gdy po rozpamiętywaniu niebezpieczeństw, na jakie naraził się Dag w swej tragicznej wędrówce przez lasy, powracała myślą do dzieci, popadała w niezmierną rozpacz, że tak ją Bóg osierocił. Obliczała, ile by teraz miały lat i zalewała się łzami. Ale to szybko mijało, bo wracała do rzeczywistości, która ją całkowicie pochłonięła.

Ojciec Dag pod wpływem ostatnich przejść bardzo się zestarzał. Często, jak to bywa u starszych ludzi, wracał myślą do mło-

dych lat. Zaczął się zastanawiać nad tym, jakie były zamiary Boże w ostatnich wypadkach. Często także rozważał, jakie mogły być powody, które go pchnęły do wyjazdu do Hamarrbó i patrzenia z zainteresowaniem na młodą dziewczynę. Widocznie Bóg uważał to za zuchwalstwo i dlatego zaraz potem zjawilo się jakby ostrzeżenie Najwyższego, że w jego rękę leży wola i moc zraty całego rodu albo zachowania go przy życiu.

Dane mu było przy tym zobaczyć zupełnie inną synową, inne oblicze pięknej, subtelnej Adelajdy. Ani trud, ani widok krwi nie złamały jej woli. Dzielna kobieta. A może Bóg chciał mu pokazać, jak wielka była siła miłości Adelajdy, może ratując życie jego syna, chciał pozwolić przyjść na świat nowemu życiu?

Tak. Z tego punktu widzenia trzeba patrzeć na tę całą sprawę, mieć zaufanie do Pana Boga, a nie urządzać przyszłość według własnego starczego upodobania. Jeśli pragnie działać — są tu na ziemi jeszcze inne sprawy do wypełnienia. Trzeba będzie częściej odwiedzać dom Boży, pójść do nowego pastora. Nie był jeszcze u niego, a pastor nie stara się tak jak jego poprzednicy o jego względy, nie narzuca się. Jest przecież krewnym Adelajdy. Poza tym kazania nowego duszpasterza — trzeba przyznać — są zupełnie po jego myśli. W ogóle robi wrażenie człowieka skromnego, zacnego, nie jest łasy na prezenty i dary na kościół. Ojciec Dag przypomniał sobie w tej chwili jedno zdanie z Biblii, które niegdyś wywarło na nim ogromne wrażenie. Było tam powiedziane, że grzechem jest przeciwstawiać się słudze Bożemu. Mimo to unikał go do tej pory... A gdyby tak postąpić teraz inaczej, okazać pastorowi więcej uległości. Na pewno niełatwo jest być duszpasterzem. Taki duchowny chyba również odczuwa potrzebę przyjaznego słowa.

Dag dobrze wiedział, co się w okolicy mówi: podobno urzędnicy i ziemiaństwo z dolin kpią z nowego pastora, nawet publicznie z niego szydzą. Nazywają go „kościelną myszą” dlatego, że jest bardzo biedny. Miał bowiem dużo dzieci i z tego powodu zabrnął w długi, zanim doszedł do tego stanowiska. Nazywali go też „Duchem Świętym”, bo miał taki poważny wygląd. Tak osądziła go inteligencja okoliczna, a bogate chłopstwo jak zwykle powtarzało wszystko za nią.

Dag wiedział, jakie będą skutki jego odwiedzin. Będą gadać, snuć różne domysły — ale to nic, właśnie niech gadają!

Niemniej w owe najszczerze zamiary wkradło się sporo pychy, poczucia władzy i siły. Dag myślał z przyjemnością o tym, jakie to oczy zrobią ci wielcy panowie, przeciwnicy pastora, gdy się dowiedzą, że on go odwiedził z całym szacunkiem. Był świadom wielkiego wpływu, jaki wywierał na okolicę. Znał potęgę swego bogactwa i tę niemal legendarną aureolę, którą go otaczano. Opowiadał mu o tym niejeden z jego dłużników; prawdopodobnie, ażeby mu się przypodobać i zyskać jego łaski. W przeciwieństwie do tego major w swej szczerzej rubaszości powiedział mu, że jest dla całej okolicy postrachem, tak dla starych, jak i młodych, że każdy, nawet najbogatszy, lękałby się z nim zaczynać.

Tak, pragnie przyjść z pomocą Panu Bogu. Niech sługa Boży nie czuje się tak bardzo osamotniony na swej parafii. Każe zaprząć konie i pojedzie któregoś dnia z wizytą do pastora na plebanię; niech się śmieją panowie i chłopci. W sercu jego, jak zresztą zawsze, gościły w tej chwili na zmianę; to poważna chęć działania, to przekora i upór; ale przyczyna, z której się te uczucia wyłoniły, była czysta, przyszyła z pokory.

Młody Dag zainstalował się na dobre w komnacie obok pokoju Adelajdy. Do czasu kompletnego zagojenia się swędzących jeszcze ran, wyleczenia piersi i uzyskania zupełnej równowagi psychicznej nie wolno mu było chodzić do lasu. Od czasu bowiem wypadku dręczyły go najrozmaitsze wizje.

Już go lasy z tym swoim odrębnym życiem tak bardzo nie nęciły. Coraz silniej odczuwał potrzebę wypoczynku i przebywania w pobliżu Adelajdy. Była dla niego już nie tylko piękną, godną pożądaną kobietą. Stała się radością jego życia. Nie wspominała zmarłych dzieci, nie płakała w jego obecności, nie bywała smutna. Zawsze była uśmiechnięta, pogodna, zadziwiająco opanowana. Wyprosiła sobie, żeby wolno jej było leczyć rany Daga. Czyniła to tak, jakby były jej własne. Całowała najbardziej zranione miejsca, wcale się tego nią wstydziła, przeciwnie, z promiennym uśmiechem patrzyła na Daga. Z początku musiał ze względu na stan zdrowia sypiać w jej pokoju, w tym wielkim, ciepłym, wygodnym łóżku, a potem, gdy już było lepiej, nie pozwoliła mu się wyprowadzić. Kiedy był jeszcze osłabiony, sadza-

ła go w fotelu na krytym ganku w słońcu i to mu się tak podobało, że spędzał tam całe dni. Gdy był zdrowszy, czytała mu na głos wieczorami, komentując to i owo; grywała na lutni i cicho przy tym śpiewała. Weszło to w zwyczaj i powtarzało się co wieczór.

Ostrożnie, pytając półsłówkami, niejedno zrozumiała i po części dowiedziała się, jaka była przyczyna wypadku. Czasem doprowadzała do tego, że sam mówił.

Połączyła jego zwierzenia z tym, co jej stary ojciec opowiedział, aż w końcu wszystko wiedziała, a więc: treść starej pieśni wróżebnej i to, co Dag tam przeżył. I może to ona sama spíše kiedyś na kartkach [pamiętnika tę legendę o Górze Śmierci...

#### XXIV

JDyła wiosenna noc, cicha, bezwietrzna. Ani jeden listek nie drgnął na drzewach otaczających dwór Bjórndal. Do komnaty Adelajdy przez otwarte okna napływały upajające oddechy ziemi. Lekki powiew wydymał chwilami firankę i zasłony nad łóżkiem.

Od strony łóżka słychać było szept, urywane, niezrozumiałe słowa. Łóżko zatrzeszczało. Adelajda uniosła się na łokciu i wyciągnąwszy ramię pochyliła się nad Dagiem. Nasłuchiwała. W ciągu ostatnich nocy spał wyjątkowo niespokojnie, ciągle coś mówił, ale niewyraźnie, tak jakby mu z trudem szło formułowanie zdań... Budziła go zazwyczaj, ażeby mu przerwać męczące sny. Tym razem siadła na łóżku i słuchała. Właściwie nie powinna tego robić, pragnęła jednak w końcu zrozumieć sens tych słów. Może będzie lepiej, gdy się nareszcie dowie, co jest powodem jego niepokoju. Wtedy pomówi z nim i może uspokoi.

— Trawa... w strumyku... w lesie... — mamrotał — gna, pędzi... z prądem... a z miejsca nie rusza... Nenufary na stawie... liście... płyną na grzbietach fal... płyną... płyną... i wciąż w tym miejscu... zaklęte...



Następował szereg słów zupełnie niezrozumiałych. Aż nagle krzyknął pełen gniewu: — Nie! nie... tam nie ma śniegu!... nie ma szczytów... to wszystko pokutujące dusze... i wysoko w słońcu!

Coś potem jeszcze bełkotał niezrozumiale, w końcu jednak uspokoił się.

Adelajda nasłuchiwała jeszcze przez pewien czas. Pierś Daga, którą ona tak mocno obandażowała i obszyła, poruszała się. teraz regularnie pod wpływem zdrowego oddechu. Pochyliła się nad mężem — nie słyszała chorobliwych szmerów. Serce biło spokojnie i miarowo.

Ale głowa? — Jakież to marzenia roją się w niej? Starła się wysnuć z nich jakiś sens swym zdrowym kobiecym rozsądkiem, tak jak obserwowała jego oddech i puls. Ale z tego, co działo się w głowie Daga, wyrwały się przez usta tylko niezrozumiałe strzępy. Trawa, nenufary i dusze pokutujące? Jaki to ma związek? Kto to może zrozumieć?

Nie odzyskał jeszcze równowagi psychicznej, coś go gnębi. Położyła się z powrotem obok męża. Żyje, jest — to najważniejsze, oddycha.

Oparła głowę na jego ramieniu, zamknęła oczy, a myśli jej uleciały w noc wiosenną.

• Adelajda z mężem siedzieli pod pnącymi roślinami na balkonie. Po obu stronach drzwi stały małe ławki akurat na dwie osoby. Adelajda spojrzała na Daga swymi jasnymi, mądrymi oczami, głębokimi jak toń leśnego jeziora. Spojrzała mu spokojnie prosto w oczy i zapytała:

— O czym myślałeś, patrząc ze szczytu góry na krainę śmierci? — głos miała pewny i spokojny.

Odwrócił ku niej z wolną swą twarzą i spojrzał na nią z natężoną uwagą. Jego oczy, jak gdyby zapatrzone w przeszłość, były błękitne, świecące, zdziwione.

— Co możesz wiedzieć o tym, co wówczas myślałem? — Po ustach jego przebiegł wieloznaczny uśmiech.

Adelajda spuściła wzrok i mimo woli oblała się rumieńcem. Może to tylko nieczyste sumienie podsuwa jej podejrzenie, iż on

już wie, że go śledziła. Trudno go było w ogóle zrozumieć. Podejrzliwy jest i niedowierzający jak zwierzę...

Na pewno spostrzegł jej zakłopotanie, bo odwrócił od niej oczy, popatrzył w kierunku osiedla i rzekł przed siebie, jakby nie do niej:

— W takiej chwili niejedno człowiekowi przychodzi do głowy, nawet później też jeszcze budzi refleksje...

Adelajda już odzyskała panowanie nad sobą. Dłoń swoją, która spoczywała na balustradzie, przysunęła do Daga, pochyliła się naprzód i rzekła:

— Byłoby ciekawe dla mnie i dla innych, jakie wrażenie wywiera i pozostawia kraina śmierci. — Uśmiechnęła się trochę smętnie.

— Trudno o tym mówić rano, w słońcu — odparł ponurym głosem.

— W takim razie możemy pomówić o tym dzisiaj w ciemnościach, w łóżku — rzekła.

— Hm — odparł zamyślony — ale musiałyby być absolutnie ciemno...

Tego samego dnia przyjechał major Barre i przywiózł ważne wiadomości. Nie były nowe, bo już całą wiosną obiegały z ust do ust i nawet major podczas swego ostatniego pobytu też już o nich raz wspominał, ale w Bjórndal wobec tragicznych domowych przejść nie zwrócono uwagi na to, co się na świecie dzieje. Opowiadał więc po raz drugi o wyniku posiedzeń parlamentu w Eidsvoll, o uchwalonej konstytucji, o zapadłych postanowieniach, o wyborze króla. Donośnym głosem przepowiadał, jaka będzie przyszłość kraju.

Zwykle, gdy major przyjeżdżał, na stole zjawiało się coś specjalnego. Tego dnia, może przez wzgląd na wielkie i doniosłe nowiny, a może z innych przyczyn, na stół wjechało wino. Major podniecony alkoholem przysięgał, że Norwegia przeciwstawi się Danii i Szwecji, i w ogóle innym wielkim, potężnym państwom; zapewniał, że w kraju z dnia na dzień silniejsza się staje armia na lądzie i wodzie. Wracają oto dla Norwegii bohaterskie czasy Haralda Harfarga i Haakona Haakonsona. Ze słów majora bodaj

można było wywnioskować, że za parę lat na Morzu Północnym pojawią się i wyruszą na podbój świata... Wikingowie.

Adelajda poddała się ogólnemu entuzjastycznemu nastrojowi przy stole i słuchała z szeroko otwartymi oczami i wypiekami na twarzy mowy ojca. Również i staremu Dagowi na pewien czas udzielił się panujący nastrój, ale gdy major zaczął wojować ze wszelkimi państwami i projektował nawet zdobycie Anglii, znikł jego entuzjazm. Twarz stała się spokojna i opanowana, a w oczach ukazywały się błyski ironii.

— Zanim wyruszymy na taką wyprawę, musimy mieć dużo pieniędzy, żywność i jakieś czyny za sobą — (powiedział.

Majora nie tak łatwo było zbić z tropu; był przyzwyczajony do tego, że ojciec Dag prosto z mostu mówił wszystko, co myśli;

jednakże przeskok od radosnych upojeń w mieście do trzeźwej prawdy starego Daga był zbyt wielki. Speszyło go to i przycichł na chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć; a to mu się rzadko zdarzało.

Młody Dag siedział naprzeciwko majora i patrzył poprzez jego głowę na drzwi prowadzące do ciemnego pokoju. Widać było, że myśli zupełnie o czym innym. Na twarzy błąkał się pobłażliwy uśmiech, tak jakby to, co się wokół niego dzieje, wcale go nie interesowało.

„Tak — pomyślała Adelajda — nie jest jeszcze zupełnie wyleczony. Nie powinien pić wina i wódki”.

Major w końcu oprzytomniał po tej zimnej kąpieli i zaczął mówić o czymś innym. Opowiadał więc, co się dzieje poza Norwegią, o wojnach prowadzonych przez Napoleona i o jego losach. Adelajda obserwowała męża: to samo roztargnione spojrzenie i błąkający się na twarzy uśmiech...

Wieczór był chłodny, wszyscy więc zasiedli koło komina. Gorący poncz parował ze szklanek. Major, zapomniawszy o wszystkich troskach, które nawiedziły w ostatnich czasach ten dom, był wesół i głośno rozprawiał. Taki już był i nikt się temu nie dziwił. Adelajda patrzyła zdumiona na męża, który wysączał poncz szklanka za szklanką. Nigdy tak przecież nie pił.

Gdy potem udali się do siebie, wszedł do swojej komnaty, rozpałił ogień, siadł i wpatrywał się weń. Adelajda stanęła

w drzwiach i obserwowała go bacznie. Z lękiem podeszła na palcach do komina i cicho siadła na krześle stojącym trochę w tyle.

— Może byś lepiej nie pijał alkoholu, dopóki nie będziesz zupełnie zdrow?...

Gdy się do niej odwrócił, znów miał na ustach ten zagadkowy uśmiech i wzrok jakby nie z tego świata: — Głowa? — spytał. — Jak myślisz? Czy zdaje ci się, że nie jest z nią jeszcze zupełnie dobrze?

— Tak — odparła cicho, ale stanowczo. — Jakoś dziwnie mówisz przez sen, a w dzień jesteś milczący, jakbyś zupełnie nie brał udziału w tym, co się wkoło ciebie dzieje. Nie mogę cię czasem poznać. A poza tym uśmiechasz się wciąż tak jakoś smutno, bezgranicznie smutno...

— No tak, takim się człowiek staje, gdy wejdzie na Górę Śmierci...

— Przestań, nie możesz o tym wciąż myśleć. Staraj się zapomnieć o tym nieszczęsnym dniu! — przestrzegła Adelajda.

— Wykreślić ten dzień z pamięci? Przecież to nie był jeden dzień. Ja tam na szczycie byłem wiele, wiele razy.

Adelajda spojrzała na niego przerażona i zaczęła drzeć z lęku. A więc z jego głową jest gorzej, niż przypuszczała. Musi stawiać mu teraz ostrożne pytania, wysondować go w zręczny sposób, aby się przekonać, do jakiego stopnia jest chory.

— Jak to? Więc byłeś tam kilka razy? — spytała jak tylko mogła najspokojniej.

— Tak — odparł i znów się beznadziejnie smutno uśmiechnął — tam na górze nie tylko są skały, leży śnieg i szaleją wichry, tam, na tej Górze Śmierci, dzieją się osobliwe rzeczy.

Widocznie podniecił go alkohol. Zwykle tak lakoniczny, teraz nagle ożywił się i rozgadał... Twarz miał zwróconą w stronę ognia.

— Tak, byłem tam nie jeden raz... Leżałem... tak!... Leżałem wysoko wśród chmur. Widziałem, co się nad nimi dzieje. Tam śniegu już nie ma ani szczytów. Są tylko dusze zmarłych uwiecznione w głębokich cieniach; niektóre niżej, niektóre wyżej, niektóre jak skaliste iglice sięgają słońca.

Oblał ją zimny pot. O tym właśnie opowiadał przez sen.

— Tkwią tam jak rośliny, jak kłosa, jak trawa w dole przy strumykach leśnych, jak nenufary na stawie... Tam nie śnieg

zawiewa i nie burza szaleje; to dusze są tak pędzone, choć nie wiatr je popycha, tylko tęsknota za czymś niedościęłym, niedosiężnym, która się z nich samych wydziera... Pną się do słońca, wznoszą się i płyną, płyną jak na stawie trawa, jak nenufary na fali. Ale wciąż są w tym samym miejscu, bo są wrośnięte tam, gdzie były za życia i gdzie je śmierć zaskoczyła. W najdalszych głębinach wszystkie są ciemne, ale w górze przybierają różne barwy. Niektóre mają krwawy odcień, inne są białe, a te, które sięgają najwyżej, mieniają się odcieniami płynnego złota. Jest to jakby jakieś pełne ruchu, falujące, bezkresne morze. Tak wygląda świat cieni za Górą Śmierci. Na południu, gdzie rozciąga się kraina życia, objąć można okiem ze szczytu góry cały świat. Dziwne to uczucie, gdy się tam jest i całe życie ma przed sobą jak na dłoni. Ludzie w dole wyglądają jak małe płomyczki, niektórzy błyszczą światłem zielonym jak robaczki świętojańskie, jedni promieniują słabiej, drudzy silniej. Wszyscy jednak dążą w kierunku północy — ku szczytowi śmierci. Niektórzy idą spieszniej, inni wolniej, ale wszyscy, z chwilą gdy zaświecą, tylko ten kierunek biorą. Zderzają się, popychają, gonią, a czasem jedni drugich uśmiercają błyskawicznie, jednocześnie zaś sami są coraz bliżej śmierci. Dzień i noc padają dusze jak krople deszczu koło szczytu. Niektóre z tych ogników życia są silne, ale mają odcień złowrogi. Pociągają za sobą szeregi innych płomyków w stronę góry... Dzieje się to głównie podczas wojen, a wtedy z paszczy potwora-śmierci wydobywa się okropny, szydery śmiech. Niesamowity jest ten widok i przerażający. A jednak człowiek, który patrzy na to, śmiać się musi. Ludzki rozum nie obejmie tego, co tam jest, na co się tam patrzy w obliczu śmierci... Gdy się widzi stamtąd całą bezsensowność krótkiego popasu na ziemi od chwili zjawienia się, zatlenia się światełka, które nazywa się życiem, aż do chwili gdy dusze tam na Górze Śmierci rozproszą się i staną się duszami-roślinami wśród bezliku innych, gdy się to zobaczy po raz pierwszy — można oszaleć...

Adelajdę to, co usłyszała, zamroczyło... Tak, uderzył się silnie w głowę i oszalał.

Nagle zwrócił do niej spokojną, uśmiechniętą twarz i spojrzał jasnym wzrokiem.

— Przypuszczasz pewnie, że zwariowałem, ale bądź spokojna,

tak nie jest. Na Górze byłem tylko jeden raz, myślą za to często od tego czasu tam wybiegałem i nieraz mi się to wszystko zjawiało we śnie. Chciałem się tylko z tobą podzielić przywidzeniami, snami i myślami, które mnie od tego czasu nawiedzają. Myśli te pochodzą bezsprzecznie z tego, co tam na górze widziałem, a co już samo było dość niewiarygodne; potem także i z upadku, i z wysokiej gorączki w szalasie, i z majaczeń, które mnie później prześladowały. Pewne mądre rzeczy może pochodzą z książek, które mi głośno czytujesz. A są takie sprawy, które się stały rzeczywiście. — I dodał już bez uśmiechu: — Poszedłem wówczas w góry z zamiarem skończenia z życiem. Ale gdy już nie było prawie możliwości wydostania się stamtąd żywym, wówczas uprzytomniłem sobie, że to ma być już mój kres na zawsze, i spostrzegłem, że przeżywszy trzydzieści lat w gwałtownym tempie, nigdy nie pomyślałem naprawdę o nieodwołalnym końcu. Nie zastanawiałem się nad tym. Tak jak zresztą czyni to większość ludzi; żyją, jakby mieli tysiąc lat przed sobą...

Głęboko zaczerpnął powietrza, wyprostował się w fotelu. Twarz odwrócił z powrotem do ognia, oczy gdzieś błędziły w przestrzeni, tylko usta już się nie uśmiechały owym smutnym, zagadkowym uśmiechem.

Patrzyła na niego zatroskanym wzrokiem. Doszła do wniosku, że pomimo wyraźnych jeszcze blizn na czole, nigdy nie był tak urodziwy. Uświadomiła sobie po raz pierwszy, że dotychczas nie uważała go za całkowicie dorosłego. Miał jeszcze w sobie coś chłopięcego w tej nieśmiałości, braku przeżyć, doświadczenia i tego wszystkiego, co po sobie pozostawiają przejścia. To fantastyczne opowiadanie, podobne do bajki, które w tej chwili usłyszała od niego, zmieniło jej zdanie o nim.

Do tego czasu czuła wobec niego szacunek, może nawet pewnego rodzaju lęk z powodu niebywalej siły fizycznej, gorliwości i milkliwego usposobienia. A oto teraz przybyła mu jeszcze dojrzałość.

— Dlaczego uśmiechałeś się cały czas, gdy ojciec mój opowiadał, co się dzieje w świecie? — spytała nagle.

— Bo spostrzegłem, że ludzie tu na ziemi tak się bardzo męczą i mozolą, jakby mieli żyć wieki, a przecież pobyt nasz tutaj jest tak krótki. Jest to tylko przystanek w podróży do wieczności. To,

co tam widziałem i odczułem, jest wciąż obecne w moich myślach. Uśmiecham się więc, gdy widzę, jak się ludzie kłopotą wielu sprawami, zamiast stale pamiętać o tym, że jesteśmy tu tylko w podróży do krainy śmierci. Bo też jest to jedyna prawda w naszym życiu, jedyna nam dostępna: życie to śmierć. Gdy człowiek stanie na tamtym szczycie i spojrzy w dół na ludzi i ich poczynania, to widzi ślepych głupców, kręcących się w kółko. I ja niegdyś zaliczałem się do nich.

Minął jakiś czas i Dag zupełnie wyzdrowiał. Któregoś dnia wybrał się do lasu. Musiał dać słowo Adelajdzie, że zachowa ostrożność i że już nie będzie się wspinać na Górę Śmierci. Śmiał się, gdy go o to prosiła, i odparł, że kto tam raz był, wcale nie ma ochoty udawać się ponownie.

Gdy Adelajda spostrzegła, że jest przy nadziei, była bardzo szczęśliwa, ale jednocześnie nieco niespokojna i niepewna. Prześladowała ją myśl, że dziecko, które ma przyjść na świat, zaraz po urodzeniu zacznie swą wędrówkę ku śmierci. Dużo nad tym przemyślała i miała zamiar pojechać do pastora, któremu kiedyś przyrzekła, że przyjdzie do niego, gdy będzie ją coś dręczyło. Podczas szczęśliwych lat zapomniała zupełnie o tym przyrzeczeniu, a w rozpaczy po śmierci dzieci w ogóle zapomniała o istnieniu pastora. I tak nikt nie potrafi wskrzesić zmarłych. Teraz pomyślała o pastorce, ale jednocześnie i o ojcu Dagu.

Chciała staremu oznajmić dobrą nowinę. Na pewno bardzo się ucieszy. Tak się zestarzał po śmierci malców. Chciała mu też zdać relację z owej rozmowy z Dagem i usłyszeć, co na to powie. Przypuszczała, że gdy podzieli się z nim, rozproszy beznadziejność i smutek, które w niej wzbudziło opowiadanie męża.

Tego roku chłód panował jeszcze w połowie lata. Wieczorami trzeba było palić w kominkach. Któregoś wieczoru ojciec Dag siedział przy ogniu i kurzył długą fajkę. Adelajda, tak jak to dawniej bywało, weszła z robotą na drutach i usiadła obok niego w wielkim fotelu. Zamienili najpierw parę słów o pogodzie i kierunku wiatru. Potem Adelajda zaczęła ostrożnie wypytywać teścia o wypadek, który przydarzył się młodemu Dagowi, aby sobie lepiej wszystko wytłumaczyć i dowiedzieć się czegoś o starej przypowieści, dotyczącej Góry Śmierci. Poruszyła temat, który

ją najżywiej interesował, przytoczyła słowa męża, dodając własne komentarze, a potem dopiero oznajmiła wielką nowinę. Słuchał w milczeniu. Gdy wspomniała, że się spodziewa dziecka, podniósł głowę i zdawało się, że przybiera z powrotem swą dumną postawę. W końcu Adelajda poruszyła najbardziej piekącą kwestię: czy prawdą jest, że po to jedynie przychodzi się na świat, ażeby umrzeć. Ojciec Dag uśmiechnął się melancholijnie, kiwnięciem głowy potwierdził słowa syna. Porównywał je z własnymi zapatrywaniami na śmierć i życie. Miał przecież o wiele więcej lat niż syn i nie przeżył życia beztrosko jak on; przeszedł niejedno ciężkie doświadczenie, nad każdą sprawą zwykł był głęboko się zastanawiać, nieraz więc rozmyślał i o śmierci. Podzielał zdanie swego syna, ale uważał, że wobec stanu Adelajdy trzeba je wyrazić w innej formie, delikatniejszymi słowami, by przekonać ją, że w duszy człowieka drzemią siły, które pomagają przejść ponad wszystkim, nawet ponad śmiercią.

Długo szukał odpowiednich słów. Miał, oczywiście, ustalone poglądy na tę sprawę. Wstał z fotela i wędrował po pokoju z rękoma założonymi w tył. W jednej trzymał fajkę — kołysała się w takt jego kroków.

Adelajda przyglądała mu się uważnie, lzy stanęły jej w oczach. Dziś byłaby w stanie wiele mu wybaczyć, wydał jej się bowiem znów taki jak dawniej, przed śmiercią malców. Nadzieja na nowego potomka podnieciła go, zapaliła w nim jakby jakiś ogień. Przejechał palcami po włosach, cofnął ramiona w tył i podniósł wysoko głowę tak jak za najlepszych czasów.

Adelajda przyglądała mu się z boku, tak jak się niedawno przyglądała mężowi. Czy też syn upodobni się kiedyś do ojca i nabierze również takich silnych jakby rzeźbionych rysów? Życie, troski, zmartwienia tak długo się na tej twarzy odbijały, aż się utrwaliły i wywołały ów dziwny, jasnowidzący wyraz. Toteż chwilami wprost trudno było oderwać od niego oczy.

Siedział teraz, nie odwracając głowy, jakby zapatrzonej w coś, co widział w ogniu. W końcu zaczął mówić z wolna, cicho, ale bardzo pewnym głosem:

— Życie i śmierć... Hm, właściwie jest tak, jak mówi Dag.



Z Góry Śmierci życie doczesne wydaje się jedynie tylko krótkim popasem pomiędzy wiecznością, z której przybywamy, a wiecznością, w którą idziemy. Tak trzeba na to patrzeć, ażeby zrozumieć związek, jaki istnieje pomiędzy jednym a drugim. A związek ów polega na tym, że wędrując z jednej wieczności w drugą, nosimy w sobie cząstkę boskości, jeżeli w ciągu tego krótkiego popasu na ziemi nie żyjemy jak ślepcy. Nosimy w sercach naszych coś z naszego Pana. Można by to określić trzema słowami, które znajdujemy w Biblii: wiara, miłość i nadzieja; dla mnie są one bliższe, gdy zastąpię je słowami: ufność, pewność i dobra wola. W ten sposób łączą się bardziej ze sobą i są tym, co mamy w sobie z Boga. Wynoszą nas one wysoko ponad Górę Śmierci.

## XXV

C'jciec Dag dał nauczkę poborcy i uśmiercił jego diabelskiego psa. Od tego czasu poborca nie tykał ludzi mających coś wspólnego z Dagiem, ale pił jak i przedtem, może nawet więcej. I grał w karty dzień i noc prawie bez przerwy. Rok za rokiem.

Któregoś rana po takiej szalonej nocy znaleziono go martwego. Siedział na krześle i ścisnął ręką szklanę z wódką stojącą na stole. Dosłownie zapił się na śmierć.

Chowano go najzwyczajniej, ale podczas pogrzebu zaszło coś niezwykłego.

Pastor bowiem przemawiał nad grobem w sposób dotychczas nie praktykowany. Powiedział bez ogródek, że poborca wiódł żywot bezbożny, niechrześcijański, był złym przykładem dla całej okolicy i teraz — tak jak to przeważnie bywało w jego życiu — chwiejnymi krokami, po pijanemu, stanie przed obliczem Pana. Pastor mówił to tak gniewnie, że wszystkich słuchaczy przejął mróz. Poruszył nawet kwestię, czy dopuszczalne jest, ażeby taki człowiek został pochowany w święconej ziemi. Chciał tym pewnie dać do zrozumienia, że dla niego tego typu człowiek jest tyle wart, co samobójca.

A lasy wiecznie śpiewają

Poborca nie miał ani jednego przyjaciela, ale za to co najmniej dwie żony i liczne potomstwo. Cała ta rodzina była oburzona, uważała, że to skandal przemawiać w ten sposób nad grobem, wypowiadać szczerze to, co inni po cichu myślą.

Dużo nad tym dyskutowano; rozważały całe wydarzenia władze i ludzie wpływowi. Ogólnie sądzono, że tego rodzaju mowa pogrzebowa jest niedopuszczalna. Obowiązkiem duszpasterza — orzeczone — jest przemawiać nad grobem ostrożnie, licząc się z pozostałą rodziną, chociażby przyszło powiedzieć nieprawdę. I cóż dziwnego? Pomiedzy malkotentami był niejeden, który miał powody bać się mowy pośmiertnej takiego pastora nad swoją własną mogiłą. Co było, to było, ale na zakończenie żywota można wymagać ładnego świadectwa za dobre życie i przyzwoite obyczaje.

Niektórzy postarali się poruszyć różne znajomości i stosunki. W rezultacie zjawiał się sam biskup na nie przewidzianą wizytację, ażeby zbadać sprawę na miejscu i poznać niezwykłego pastora. Biskup ten był dzieckiem swej epoki. Źle się czuł na tej plebani!, pełnej dzieci, gdzie wino było rzadkością na stole. Nie podobało mu się również kazanie wygłoszone przez człowieka uczonego, a mocno oparte na Biblii. Swe niezadowolenie okazał wprost pastorowi i odjeżdżając, zganił bez ogródek mowę nad grobem poborcy. Powiedział, że spowodował rozżalenie, niechęć, a nawet oburzenie, uniemożliwiając tym samym dobre stosunki z parafianami; inne złe konsekwencje przyniesie niedaleka przyszłość.

W swojej kancelarii pastor Ramer czuł się silny i odporny na wszystko, zwłaszcza wtedy gdy zagłębiał się w modlitwie lub rozmowie z Panem Bogiem, albo przygotowywał kazania. Stamtąd także czerpał moc, która mu towarzyszyła w stosunkach ze światem podczas wykonywania powinności związanych z urzędem i sprawami Bożymi. Na gruncie prywatnym był nieśmiały;

nie miał daru przekonywania. Nie należał do tych pastorów, którzy potrafią przemówić wprost do chłopca i nakłonić go do tego, aby był dobrym rolnikiem. Sam był nieświatnym — gospodarka jego pozostawiała wiele do życzenia. Niepomyślne, chude ostatnie lata zubożyły go; ledwo koniec z końcem wiązał. I to, że nie żył w zgodzie z bogatym chłopstwem, było dodatkowym

powodem, iż dochody jego coraz bardziej szczupłały. Nie był człowiekiem praktycznym; powoli też parafianie tracili szacunek dla niego i przestali się liczyć z jego słowami i jego przykazaniami. Ani on, ani jego rodzina z nikim nie utrzymywała bliższych stosunków. Wielkie dwory były przed nim zamknięte, a mniejszym właścicielom ani przez myśl nie przeszło zaprosić pastora do siebie. Uchodził za nieprzystępnego i nieustępliwego, bo stale walczył z lekkomyślnością epoki i coraz bardziej szerzącym się wśród ludzi pijaństwem. W ten sposób tracił kontakt ze swoimi parafianami, coraz bardziej się od nich oddalał i coraz częściej zamykał się w swojej kancelarii. Trudno mu było stale przebywać w źle prowadzonym domu, u boku zamartwionej, niedołożonej żony i gromady dzieci. Dobiła go zupełnie ta nieoczekiwana wizyta biskupa i groźba wyrażona w jego ostatnich słowach.

Zbliżała się wiosna 1815 roku. Pastor siedział w kancelarii i zamyślony spoglądał przez okno na pola, na których gdzieś widniał jeszcze śnieg. Na stole przed nim leżała Biblia z pozatykanymi między stronice papierkami zamiast zakładek. Obok Biblii — duży arkusz papieru, pełen notatek do niedzielного kazania; w ostatnich tygodniach pastor taki był jakiś niespokojny i nieopanowany, że trudno mu było skupić się na jednym przedmiocie.

Po wizytacji biskupa dręczyły go różne myśli podczas bezsennych nocy. Czuł wiele nienawiści wokół siebie, a przyszłość jego przedstawiała się niewesoło. Czyżby był w wykonywaniu swych czynności zbyt pewny siebie? Czyżby powinien, prawiąc kazania — dotyczy to głównie pogrzebu poborcy — obrać drogę pośrednią i mówić o miłosierdziu boskim? Sądził zawsze, że obowiązkiem jego jako duszpasterza było poruszanie grzesznych dusz, które dały się pociągnąć złu i wiodły życie na wzór poborcy oraz wskazywanie im, póki czas, boskich przykazań i możliwości powrotu na dobre drogi. Chciał parafię oczyścić ze skandalu, który był zgubnym przykładem i zatruwał dusze, dlatego bez ogródek potępił to życie.

Biskup orzekł jednak, że sądzić nie jest rzeczą ludzką; wspominał przy tym nawet faryzeusza i celnika.



Czy był naprawdę faryzeuszem? Czyżby zadaniem duszpasterza było podtrzymywanie ludzi w ich lekkomyślnym trybie życia i przymykanie oczu na wszelkie zło? Może to jest i wygodne, ale czy taka jest wola Boża?

Bez przerwy wirowały myśli w głowie pastora, a zatrzymywały się także na tym, co oczy jego widziały przez okno: wiosna! Ziemia wyglądała spod śniegu. Zacznie się obrabianie pól i ogrodu... Zjawia się kłopoty, skąd wziąć na wydatki gospodarcze? Na ziarno pod zasiew, sadzonki i różne narzędzia? Gnębiły go te kłopoty, a nade wszystko dręczyły ostatnie słowa biskupa.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos zajeżdżającego powozu i stuk kopyt końskich. Wstał i nasłuchiwał, ogarnął go niepokój graniczący z lękiem. Czyżby to miał być ktoś przynoszący mu z polecenia biskupa dymisję?

Otworzyły się zewnętrzne drzwi prowadzące do sieni i rozległy się mocne, spokojne kroki. Ktoś zapukał — nie lękliwie, jak ludzie ze wsi, ale jak człowiek pewien siebie, który chce osiągnąć swój cel. Pastor bezwiednie wyprostował się, odwrócił do drzwi, zaczerpnął głęboko powietrza i powiedział, jak tylko mógł, spokojnym głosem: — Proszę!

Drzwi zostały otwarte nie na wpół, ostrożnie, ale od jednego zamachu. Na widok wchodzącego pastor szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

Szedł ku niemu z wyciągniętą ręką człowiek, którego najmniej się tu spodziewał — Dag Bjórndal w całej swej okazałej postaci. Pastor w swoim czasie był zaproszony na wesele Adelajdy, ale zaproszenia nie przyjął. Odmówił w ostatniej chwili. Ani on, ani jego żona nie mieli ochoty ukazywać się tam wśród bogaczy i wielkich panów. Pastor w ogóle zawsze źle się czuł na takich wspaniałych przyjęciach. Śmiałe postanowienie zbliżenia się do tych ludzi z Bjórndal odkładał z dnia na dzień, aż w końcu poszło ono zupełnie w zapomnienie. Widocznie i Adelajda nie [potrzebowała jego rady i pomocy.

Pastor zakłopotany przysunął krzesło, schował arkusz z notatkami do Biblii, zamknął ją i odłożył, odsunął kałamarz i pióro. W końcu jednak zdołał usiąść, po czym odwrócił się twarzą do niespodziewanego gościa. Przypuszczał, że stary Dag dowiedział

się o mowie nad grobem poborcy i przyszedł, ażeby załatwić z nim porachunki z tego powodu.

Każdej jesieni przysyłano z Bjórndał na plebanię upolowanego łośia. Był to najcenniejszy prezent z tych, które pastorowa tutaj otrzymywała. To była uczta dla zgłodniałych dzieciaków! Przez myśl pastora przebiegła obawa, że może w tym roku nie otrzyma takiej przesyłki. Przyłapał siebie na rozważaniu o tym i zmartwił się i zawstydził... Czyżby już tak nisko upadł, że roztrząsa materialne, doczesne, bardzo przyziemne sprawy? I to w chwili, gdy po raz pierwszy progi jego przestąpił Dag?

Powinien był powiedzieć, że jest rad z odwiedzin tak dostojnego gościa, powinien sam się mile uśmiechnąć, tak właśnie jak Dag uśmiechnął się w tej chwili. Ale podczas nocy bezsennych i samotnie spędzanych dni jedna myśl mu się wżerała nieodparcie w mózg: czyżby doprawdy był jak faryzeusz jakowyś? I jakie następstwa będzie miał ten fakt dla niego, a przede wszystkim dla jego rodziny? Dlatego też był pewien, że ta niespodziana wizyta jest w związku z nienawiścią, która go otaczała. Nacierano na niego ze wszystkich stron. Chcieli z niego zrobić uśmiechniętego, potulnego pastora z obrazka.

Tak był tego pewien, że siedział milczący i zgorzkniały i spoglądał wyczekująco na gościa. Stary Dag usiadł plecami do okna i jakby nie widząc pastora, rozglądał się po pokoju.

Wobec tego, że pastor milczał, Dag spojrział na niego badawczym okiem, uśmiechając się przy tym.

— Na pewno nie domyślasz się, po co tu przyjechałem? — spytał.

— Owszem — odparł pastor — wiem, z jakiego powodu przybywają do biedaka możni tego świata.

Dag podniósł brwi w górę i spojrział zdziwiony. Odczuł cierpki ton, jakim te słowa były powiedziane, ale sensu nie mógł zrozumieć.

Nagle pastor uderzył rękami z całą siłą w oparcie krzesła i zerwał się.

— Wiem, dlaczego przybywacie. Wszyscy tu już byli: i pisarz, i wójt, i biskup, i jeszcze inni. Chcą mnie przekonać i zmusić, ażebym prawil takie kazania, jakich sobie życzą!

Po tych słowach zaczął biegać pospiesznie po pokoju, zapom-

niawszy o godności, z jaką pastor powinien się poruszać. Rzucił rękami w jedną i drugą stronę, a głos tak mu drżał, jakby lada chwila miał wybuchnąć płaczem.

— Grozicie mi dymisją i tym samym nędzą dla mnie i mojej rodziny; ale to, co powiedziałem nad grobem poborcy, jest moim wewnętrznym przekonaniem. Kazania moje też są oparte na słowie Bożym i na mojej wewnętrznej wierze w to, co mówię. Czy mnie rozumiesz, Dagu Bjórndalu?

Staął przed gościem, wciąż jeszcze wymachując rękami drżącymi ze wzruszenia.

Na twarzy ojca Daga odmalowało się zrazu zdziwienie, następnie zimny spokój. Nagle podniósł się w całej okazałości i rzekł opuszczając mocno rękę na ramię pastora.

— Siadaj, bo chciałbym ci powiedzieć parę słów. Pastor spojrział na niego zdumiony. W głosie Daga nie było gniewu jak w głosie tamtych, którzy do niego przychodzili; przeciwnie, mówił cicho, przyjaźnie. Siedli obaj. Dag usadowił się w ten sposób, że mógł obserwować twarz pastora nie krępując go tym wcale.

— Sprowadza mnie tu zupełnie co innego niż chęć gadania o tamtej sprawie, ale wobec tego, że sam to wytaczasz i, jak widzę, dużo cierpiełeś z tego powodu, powiem ci zaraz, co o tym myślę. Niejedno już do moich uszu doszło i gdybym był wiedział, że to cię aż tak bardzo dotknęło, byłbym się zjawił tu wcześniej. Nie powiem, jakie jest moje zapatrywanie na życie poborcy, nie byliśmy w przyjaźni. Ale to, co ty mówisz, nad grobem czy z ambony, jest dla mnie święte. Mam trochę doświadczenia, ale nie wmawiam sobie, że jestem na tyle uczony, ażeby dawać wskazówki, jak pastor ma prawić kazania. Nie jestem zarozumiały w tej dziedzinie. Jeśli chcesz posłuchać, to ci tyle tylko powiem, że jesteś najlepszym duszpasterzem, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkałem.

Ramer wychylił się z fotela i utkwiał wzrok w na poły odwróconej twarzy Daga. Nie chciał stracić ani jednego z tych szczerych, tak ważkich słów. Gdy umilkł, wyszeptał tylko:

— Dziękuję!

Dag, chcąc dać do zrozumienia, że jeszcze nie skończył, przesunął krzesło, aby znaleźć się naprzeciw pastora.

— Chciałbym ci przy sposobności, jeśli pozwolisz, jeszcze coś powiedzieć — i nie czekając na skinienie, ciągnął dalej cichym, przyjacielskim tonem:

— Złe postępujesz, pastorze. Nie dotyczy to tego, o czym mówiłeś mi w tej chwili, ale innych spraw. Chodzi o to, że zaniedbujesz zupełnie gospodarkę, żonę, dzieci i siebie samego. Z tego powodu tracisz szacunek parafian i swój własny, i być może postępując w ten sposób, jesteś w niezgodzie ze słowem Bożym. Lepiej by ci było na duszy, pewniej byś się czuł wobec ludzi, gdybyś więcej dbał o gospodarkę. Poza tym podobno stale tu przesiadujesz w kancelarii. Tak oto ludzie o tobie opowiadają. Zajmij się zatem polem, ogrodem, a potem idź między chłopów, będziesz ich wtedy lepiej rozumiał. Ludzie cię zaczną cenić, będziesz się czuł pewniejszy i nie będziesz taki bezbronny wśród przeciwności, które cię spotykają.

Pastor zaczął niespokojnie przebierać palcami po oparciu krzesła. Długo milczał. Dag widocznie nie miał już nic więcej do powiedzenia, musiał więc pastor zdobyć się na jakąś odpowiedź.

— Niestety, prawdą jest to, co mówisz — odpowiedział w końcu — ale cokolwiek przedsięwziąć, na to trzeba pieniędzy, a ja ich nie mam...

Stary przerwał mu chrząkaniem.

— Wiem, że ci jest trudno i że poza tym masz dużo długów. I o tym ludzie wiedzą, a to jest niedobrze. Już niejednemu pomogłem, który nie był mi tak bliski jak ty, pastorze. Jeśli się zgodzisz, pomogę ci ipospłacać długi i pozbyć się wysokich procentów, które nie dają ci spokoju! Następnie mógłbyś kupić sprzęt potrzebny do postawienia gospodarki na dobrym poziomie i uwolniłbyś się od wszelkich kłopotów.

Pastor drgnął. Szybko otarł dłonią oczy. Gdy chciał podziękować, głos mu się załamał ze wzruszenia. W końcu wyjąkał z trudem, że według jego przypuszczeń, niedługo tu będzie pastorem.

Dag kazał sobie dokładnie opowiedzieć całą sprawę. Dowiedział się wówczas, że wszyscy wpływowi parafianie sprzysięgli się przeciwko pastrowi. Usłyszał także o groźbie zawartej w słowach biskupa. Stary Dag zastanowił się. Nie był przyzwyczajony, ażeby ktoś w jego okolicy był potężniejszy od niego. Ale



biskup to zupełnie co innego. Nigdy jeszcze w swoim życiu nie widział go, wiedział jedynie, że Adelajda była wnuczką jakiegoś biskupa. Jednak nie wydawało mu się prawdopodobne, aby on, stary Dag, nie potrafił załatwić tej sprawy. W końcu rzekł mocnym głosem:

— I tak miałem być w tych dniach w mieście. Zobaczysz, ta sprawa z biskupem też się jakoś ułoży!

Pastor wiedział o zmianach zaszłych w kraju od czasu Zgromadzenia w Eidsvoll. Wiedział, że nawet władze, nie wyłączając wysokich urzędników, czują respekt, może nawet lęk przed nową potęgą, a raczej przed dawną, która znów teraz w Ting ożyła, przed chłopstwem. Słyszał, jak mówiono: — Chłopi mają wszystkie przywileje. Wszystko mogą! — Udręczony pastor pocieszał się nadzieją, że stary Dag pojedzie do miasta i przemówi za nim. Z opowiadania sądząc, stary Bjórndal jest potentatem mającym niebywałe wpływy, a teraz ma za sobą te nowe prawa dla chłopów. Mógł być pewny wyboru na każde stanowisko, do którego był pretendował. Chyba tak potężnemu człowiekowi opierać się nie będą.

Długo siedział pastor w milczeniu, ciesząc się obecnością tak mocnego człowieka. Ostatnie noce prawie całe spędził na modlitwie, błagając Boga o pomoc i wskazanie mu właściwej drogi, a tu nagle zjawia się u niego nie kto inny, tylko sam Dag Bjórndal. Zjawia się jakby wysłannik Pana. Ale może to jest tylko kuszenie? Może jest to jeszcze jedno ogniwo w łańcuchu jego udręk, doświadczeń zsyłanych nań przez Boga? Pastor myślał i myślał; na twarzy jego pojawił się wyraz spokoju i pewności. Taki sam jak w owych samotnych chwilach spędzanych tu w kancelarii, gdy zbierał odwagę przed przemawianiem w imieniu Pana do zgromadzonych. Oblicze jego miało ten sam surowy wyraz jak wtedy, gdy wchodził na kazalnicę. Różne myśli zaprzętały mu w tej chwili głowę; podniósł oczy i spojrzał na Daga.

— Czyś słyszał o człowieku, który się nazywa Tetzal? — spytał.

Dag zmarszczył czoło. Przypomniał sobie. Owszem, tak, na-wisko to obijało mu się o uszy, ale kto to może być? Kiedyś zastanawiał się nad tym, czy nazwa „Tezy Lutra” pochodzi od na-

zwiska tego „handlarza odpustów”. Przypomniał sobie teraz, kto to jest. Tylko nie mógł pojąć, w jakim celu pastor mu zadał to pytanie. W końcu określił mu, kim był Tetzal.

— Dobrze — odparł pastor — ale ja nie jestem Tetzalem. Jeśli przybyłeś do mnie w przekonaniu, że pieniędzmi, które mi zaofiarujesz, kupisz sobie zbawienie na tamtym świecie, to jesteś w błędzie, muszę cię bowiem uprzedzić, że gdybym je przyjął, byłoby to po prostu oszukaństwo z mojej strony. Dałeś mi dziś i tak bardzo wiele. Więc i ja pragnę ci dać coś z siebie, chociaż tak niewiele mogę. Ponieważ rozmawiamy w cztery oczy, powiem ci, że dla Pana naszego ofiary dane z myślą kupienia sobie jego łaski — nie mają znaczenia. Bogactwo i potęga są tym dobrem, które zostało ci tylko wypożyczone na życie doczesne. Wartość ma jedynie intencja, z jaką gospodarujesz tym dobrem. Sam zatem decyduj, czy mogę, czy mi wolno przyjąć twoją pomoc!

Dag w pierwszej chwili podniósł głowę dumnym ruchem niczym orzeł i przeszył pastora druzgocącym spojrzeniem. Ale opanował się. Skurczył się, twarz zakrył twardymi, spracowanymi dłońmi i spytał dziwnie złamanym głosem:

— Więc ludzie takie mają pojęcie o mnie... że za pieniądze pragnąłbym sobie kupić zbawienie duszy i odpust Boży?

Teraz przyszła kolej na pastora. Zerwał się, podszedł do Daga i położył rękę na jego ramieniu.

— Nie, Dagu Bjórndalu, nikt mi czegoś podobnego o tobie nie mówił. Przeciwnie, mówią o tobie jako o dobrym człowieku. Złe sobie tłumaczysz moje słowa. Pragnąłem ci tylko zwrócić uwagę, ostrzec, w razie gdybyś coś podobnego zamierzał. Bo są tacy, którzy w ten sposób to ujmują.

Dag spojrział uważnie na pastora. We wzroku duchownego był smutek, ale i spokój. Dag przypomniał sobie, że mu tego rodzaju myśli rzeczywiście przychodziły do głowy. Toteż już nie odczuwał w tej chwili urazy do pastora. Tak, bywały takie myśli, i to nieraz. Zrozumiał, że powinien mieć szacunek dla człowieka, który nie lęka się wypowiedzieć otwarcie swego zdania w chwili tak ciężkiej dla siebie. Gdyby to było kilka lat temu, musiałby pastor wyrzec się pomocy, a Dag wyszedłby bez [pożegnania. Ale z wiekiem człowiek staje się bardziej wyrozumiały i uczy się po-

znawać własne wady. Powiedział więc pastrowi 2 uśmiechem, że śmiało może przyjąć jego pomoc pieniężną i wstawiennictwo w mieście oraz usłuchać rad i wszelkich wskazówek, bo daje je z dobrego serca.

— Ale, swoją drogą, nie to mnie tu sprowadziło. Zeszliśmy tylko na ten temat, boś sam go poruszył — dodał. Pastor popatrzył na niego badawczo.

— Więc w jakim celu przybyłeś?

Głos jego zdradzał oczekiwanie na coś tak poważnego, co przekonałoby go, że Dag rzeczywiście nie przyjechał po to, aby rozmawiać z nim o owej drażliwej dlań sprawie.

— Przybyłem, ażeby zamówić chrzciny — powiedział Dag, a oczy jego promieniały dumą.

— Chrzciny? — powtórzył pastor. — Więc jednak znów u was przyszło na świat dziecko?

— Tak — odparł Dag, a twarz jego, zwykle poważna, była wesoła

— Pan Bóg nie jest tak surowy jak pastor, daje satremu człowiekowi odpust.

Pastor pogroził palcem, ale śmiał się razem z nim. Wiedział, że mieszkańcy Bjórndal ciężko odczuli śmierć dzieci i że stary podobno bardzo rozpaczał. Domyślał się więc, co dla niego znaczą nowe narodziny dziecka. Miał chęć zapytać, czy to chłopiec, ale się powstrzymał. Wyjął księgę z szafy i przygotował się do pisania. Poszukał strony, gdzie byli wpisani tamci chłopcy, zanotował imiona rodziców i daty urodzin, a potem dopiero spytał, jakie imię ma mieć nowo narodzony.

— Torgeir, po moim ojcu — odparł Dag.

— Więc syn. Nie chcesz go nazwać Dagiem? — spytał pastor.

— Nie, tego nie — odrzekł stary.

— Masz nadzieję, że będzie ich więcej?

— Tak — powiedział Dag spokojnie, a pastor pisał. Gdy miał już posypać piaskiem, stary chrząknął i oznajmił:

— Możesz zaraz i drugiego też dopisać, który ma mieć na imię Dag.

Pastor spojrział na niego zdziwiony.

— Tym razem urodziły się bliźnięta — objaśnił sucho Dag.

Dokładano wszelkich starań, ażeby oba noworodki utrzymać przy życiu. To było powodem, że ojciec Dag postanowił osobiście zameldować je u pastora i skorzystać z okazji, by złożyć wizytę, którą już tak dawno miał w planie. Po cichutku jednak sobie kombinował, że Pan Bóg mu to spamięta i pozwoli szczęśliwie odchowić chłopców.

Właśnie ta myśl sprawiła, że Dag przy ostrzegawczych słowach pastora o odpuście spuścił głowę. Niełatwo człowiekowi, gdy dobrze czyni, ustrzec się myśli, jakże często podświadomej, o odkupieniu swych grzechów! Ale jednak pomoc, którą zaofiarował pastorowi pod wpływem impulsu, płynęła z czystych intencji.

— No, no — powiedział w zamyśleniu sam do siebie w powrotnej drodze — znów to samo, jesteś zachwycony własną dobrocią i oglądasz się za nagrodą, i spodziewasz się specjalnej łaski od Boga...

Stary Dag pojechał do miasta. Nikt się nigdy nie dowiedział, z kim mówił i jakie poczynił kroki. A niebawem nadszedł do pastora list, w którym sam biskup donosił, iż kazał pewnemu miarodajnemu człowiekowi zreferować całą tę sprawę, w rezultacie czego okazało się, że nic nie można zarzucić postępowaniu pastora.

Ale wszystko przychodzi o swojej porze. Ci, którzy w swoim czasie wpłynęli na stanowisko biskupa, zaczęli zasięgać informacji, i usłyszawszy, że ich starania wzięły w łeb, dowiedzieli się w końcu, że stary Dag był na plebanii, a potem w mieście. Ludzie kręcili głowami i twierdzili, że stary jest...

Na chrzciny do Bjórndał pojechał pastor z żoną i z trojgiem najstarszych dzieci. Potem nieraz tam bywali.

Zresztą pastor zyskiwał coraz większą popularność, bo usłuchał rady Daga i zaczął się interesować swymi parafianami, stykać się z nimi. W sercach ich zagościły uczucia miłości i szacunku dla duszpasterza. Z jego gospodarką i sprawami pieniężnymi Dag miał dużo kłopotu, bo pastor nie znał się zupełnie na tym wszystkim. Dopiero gdy Dag wpadł na pomysł, ażeby żona pastora za zgodą męża przejęła wszelkie sprawy materialne, zapanował spokój i lepsze czasy na plebanii.

## XXVI

2-/nów to samo! Wielka Marta usiadła bezszelestnie na łóżku i słuchała w ciemności tego, co się dzieje.

Uczepiła się rękami brzegu łóżka i tak dygotała ze strachu, że całe łóżko z nią razem drgało. -Zęby jej dzwoniły, zdawało jej się, że to wąż ślizga się jej po plecach.

Teraz wyraźnie słyszała czyjeś kroki w kuchni. Znała to trzeszczenie desek. Tak nie skrzypią deski same z siebie; tylko gdy ktoś podchodzi do kredensu w kuchni, wówczas podłoga w tym miejscu trzeszczy. Przez szparę w drzwiach nie wpada stamtąd żadne światło. Jest ciemno, znaczy więc, że to nie człowiek tam chodzi. Słuchała, nasłuchiwała — ale nic, cisza...

Trzeba będzie uciekać z tej służby, bo przyjdzie w końcu po tych nocach zwariować. Tak, trzeba się starać o pracę u dobrych chrześcijan. Tu w Borgland jest nie do wytrzymania. Już jej teraz nikt za życia nie zmusi wejść do tej komory za kuchnią. To jest pewne.

Gdy opowiadała potem o nocnych hałasach i duchach, ludzie starali się wprawdzie obrócić wszystko w żart, ale widać było, że na nich samych robiło to ogromne wrażenie, bo bledli słuchając. Nie ona jedna słyszała wycie jakby chorych psów na korytarzach i na schodach, a potem ten dochodzący skądś okropny śmiech owego wieczoru, gdy cała służba siedziała w kuchni. Nie, tego nie robili żywi ludzie!

Trudno by było wprost człowiekowi, prawdziwemu chrześcijaninowi opowiedzieć, jakie grzechy zostały tu w Borgland popełnione; nic też dziwnego, że tu straszy!

Ojej! Znów... dwa razy pod rząd i... Duża Marta gotowa była wyskoczyć z łóżka. Ktoś jakby otwierał drzwi od kredensu, a przecież były zamknięte na klucz. Słyszał było, jakby ktoś dzwonił talerzami i szklankami, a przy tym jęczał głucho. Potem nastąpiła cisza, ale Marta tak dygotała, że musiała się gryźć w język, ażeby nie szczekać zębami na cały głos. Jezu! Zupełnie tak, jakby ktoś paznokciami drapał w drzwi od jej komory... Najwyraźniej zaskrzypiały drzwi prowadzące z sieni do kuchni

i w kuchni rozległ się przeraźliwy, ostry śmiech... Ktoś niesamowicie zajęczał, coś z hukiem zwało się na ziemię, następnie słychać było dźwięk jakby wleczonych we wszystkie strony po podłodze łańcuchów. Jednocześnie coś chrobotąło mocno w drzwi jej komory i po kątach w kuchni...

Marta wyskoczyła z łóżka i schowała się za nie, przykucnęła tam, jęczała i zwyczajem swym szczekała zębami przez resztę nocy. Zdawało jej się, że zupełnie już straciła zmysły...

To już dość okropne, jeśli jeden jakiś duch chodzi po mieszkaniu i straszy, ale gdy tak wałęsają się całe hordy, to już naprawdę nie do wytrzymania!...

Następnego ranka w kuchni na podłodze i po kątach leżały talerze cynowe, których zwykłym miejscem była półka przy ścianie. Drzwi od kredensu stały otworem, ale nie było śladów odrywania zamka. Od dawna wszyscy wiedzieli, że w Borgland coś straszy, ale tego jednak już za wiele.

Panna Elżbieta owego dnia, gdy się dowiedziała, że minął termin odkupu i że Dag Bjórndal jest bezsprzecznym właścicielem Borgland, zrobiła ojcu taką awanturę, aż się w całym domu rozlegało. Ktoś z domowników twierdził, że mówiła, iż podpali dom, gdy stary Dag lub Adelajda przestąpią ich próg. Potem słychać było odgłos jakby uderzenia w twarz i nagle zrobiła się cisza. Podobno od tego dnia panna Elżbieta nie opuszczała swego pokoju. W jaki sposób mogła żyć bez jedzenia, było dla wszystkich zagadką. Ani schodzić nie chciała na dół i siadać do stołu z ojcem, ani nie pozwoliła przynosić jedzenia do swego pokoju. Widocznie nie chciała żyć z łaski starego Daga.

Od czasu gdy panna Elżbieta przestała opuszczać swój pokój, Lorenc miał znów swobodę ruchów. Jak dawniej o każdej godzinie dnia i nocy zjawiał się w stajni lub w czeladnej i opowiadał każdemu, kto go tylko chciał słuchać, swoje zwariowane historie; ludzie mieli istną uciechę. Coś fantazjował, że któreś nocy spotkał w sieni Elżbietę, ale naturalnie plótł tylko, co mu ślina na język przyniosła. Przyśniło mu się pewnie, że ją widział, bo się jej zawsze panicznie bał.

— Diabeł jej szuka i kiedyś jeszcze żywcem ją porwie — mawiał.

Ludzie twierdzili, że to były jedyne rozumne słowa, jakie się od niego słyszało.

Pułkownik bywał w różnym usposobieniu. Nieraz, starając się odzyskać dawną postawę, chodził z podniesioną wysoko głową i gwizdał. Przeważnie jednak zapominał się i chodził samotnie zgarbiony i przybity. Sprawiało mu przyjemność, że Syver Bak-paa kłania mu się z szacunkiem, a gdy otrzymał list od starego Daga z prośbą, ażeby był łaskaw rozejrzeć się, jakie inwestycje są potrzebne w domu i w ogrodzie, nowe życie w niego wstąpiło. Wydał odpowiednie rozkazy i dopóki trwały roboty, był jakby innym, odrodzonym człowiekiem. Potem znów prosił go Dag, ażeby zajął się doglądaniem robót w polu, zanim Syver wpadnie tam w sam najgorętszy czas żniw.

Tak, nie najgorzej działo się pułkownikowi. Dag nie chciał go poniżyć płaceniem mu za trudy ponoszone przezeń około gospodarstwa, ale kazał mu za to przywozić tytoń z miasta, wódkę i wino. Nakazał, ażeby mu to oddawano do własnych rąk. Gdy po raz pierwszy otrzymał taką przesyłkę, długo zostawił ją nie naruszoną, potem jednak z niecierpliwością czekał każdej następnej. Najgorzej przedstawiała się kwestia ubrania. Miał wprawdzie jeszcze ubrania z dawnych dobrych czasów, ale nieprzyjemnie było w tych przestarzałych łachach wyglądać jak brat Lorenc.

Syver Bakpaa wielkimi krokami przemierzał przestrzeń pomiędzy stodołą nad jeziorem a ogrodem borglandzkim, tam i na powrót. Żniwa były w pełni, roboty bez liku. Dag mu nakazał, ażeby sobie rękawów u koszuli nie brudził i głównie zajmował się dozorowaniem żniwiarzy. Nie wolno mu zapominać, że jest ekonomem z Bjórndał. A wobec pułkownika ma się zachowywać przyzwoicie.

Syver zazwyczaj tubił się brać swymi niedźwiedzimi łapami do najcięższej roboty, wtedy czuł się w swoim żywiole, a tu nagle każą mu tylko pilnować innych! Ale jeśli stary tak każe, to widocznie tu w Borgland tak być powinno. Splunął. Nagle zatrzymał się i zerknął poprzez krzaki w ogród. Tym razem zobaczył nareszcie na własne oczy!

Wyprostował swą szeroką w ramionach, zwalistą postać i pa-

trzył. Nogi potężne jak dwa słupy tkwiły w butach z owczej skóry. Promienie słońca i zawieruchy zimowe, i pot spływający z czoła przy ciężkiej pracy — pozostawiły na twarzy jego głębokie bruzdy. Wkoło oczu gromadziły się zmarszczki, które w tej chwili drgały od śmiechu. Zgiął się wpół i skradał dalej. Oczy, które miawały rozmaity wyraz: czasem chytry, podejrzliwy, nieraz szelmowski, teraz były wesole. Podbródek golony na każde święto, a dziś, pod koniec tygodnia, cały obrośnięty, podnosił się w górę i opadał w dół szybko, żując tabakę. Oparł swe ciężkie łapy o grubych jak róg paznokciach na biodrach, przykucnął i śmiał się z zadowoleniem. Za krzakami, w cieniu drzew i gęstych zarośli, na placyku wysypanym żwirem, stał pawilon.

Po tym placyku dreptał brat Lorenc w galowym stroju z czasów jego świetnej młodości. Surdut był z ognistoczerwonego sukna; wyblakła jasnoniebieska jedwabna podszewka wyłaziła spod pól. Kamizelka zachowała jeszcze coś ze swego atłasowego połysku, ale raczej była szara niż żółta, a aksamitne spodnie były wszystkich odcieni: od ciemnogramatowego do wyblakłego zielonego. Widać było, że koronkowa kryza i także mankiety nigdy nie były czyste w tym stuleciu, a jedwabne, niegdyś białe pończochy miały wygląd bardzo wymęczony. Pomimo tych defektów, brat Lorenc czuł się świetnie w tym starym ubraniu, jak gdyby nabrał nowego blasku i życia; toteż wesole dreptał w jesiennym słońcu, wymachując laseczką trzymaną to w jednej, to w drugiej ręce; na przypudrowanej peruce, która już przybrała szarozielonkawy kolor, tkwił trójgraniasty kapelusz. Nucił melodię jakiegoś menueta. Robił kilka odmierzonych kroków i kłaniał się z całą galanterią. Laskę chwilami przytykał jak flet do ust i gwizdał; według Syvera — bardzo ładnie i przyjemnie.

Nagle brat Lorenc rzucił laseczkę, potrząsnął głową, a oczy nabrały chytrego wyrazu, tak jak to bywa u wariatów. Podniósł laskę i zrobił ruch taki, jak gdyby stukał do jakichś drzwi.

— Czy jesteś tam, Elżbieto? — spytał wyraźnie kpiącym tonem. — Czy mam ci tej nocy przynieść coś z kuchni do zjedzenia, ażebyś nie potrzebowała sama tam chodzić? — Po tych słowach wybuchnął tak piekielnym, niesamowitym śmiechem, jakiego Syver jeszcze w życiu nigdy nie słyszał.

Ale gdy po chwili wariat zdjął kapelusz, ukłonił się szar-



mancko i składając pocałunek na własnej ręce, tak się pochylił, że mu peruka zsunęła się na oko, Syver nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem przypominającym rzenie konia.

Brat Lorenc uciekł przerażony i schował się za pawilon, zostawiając na polu bitwy laskę, kapelusz i perukę. Wtedy Syver zaniósł się tak głośnym śmiechem, że rozległo się wokoło. Po raz pierwszy widział takie wariactwa.

Pułkownik któregoś dnia musiał pozostać w łóżku, bo kasłał, miał zawroty głowy i dreszcze. — Trzęsło go tak, że aż łóżko z nim latało — mówiła dziewczucha, która u niego sprzątała. Żniwa trwały jeszcze i z Bjórndal codziennie przyjeżdżali parobcy.

Widocznie tą drogą doszła tam wiadomość, że pułkownik jest ipoważnie chory, bo następnego dnia po raz pierwszy stary Dag przekroczył progi Borgland. Wkrótce siedział w sypialni pułkownika. Przywiózł mu flaszkę najlepszego francuskiego koniaku i kazał mu pić go na gorąco jako lek.

W chwili przyjazdu i odjazdu Daga, za oknem w pokoju panny Elżbiety lekko poruszyła się firanka.

Pułkownik cały wieczór żądał gorącej wody do koniaku. Toteż kobieta usługująca mu mogła pójść się położyć dopiero późnym wieczorem. Pochodziła z Utbraata, nazywała się Netta. Nie była pierwszej młodości, ale prawdomówna i bogobojna. Gdy szła po schodach, zauważyła pasmo światła wydobywające się na korytarz z pokoju panny Elżbiety. W tym miejscu korytarz załamywał się pod dosyć ostrym kątem. Drzwi do pokoju panny Elżbiety znajdowały się za tym załamaniem, tak że nie można było widzieć, co się tam dzieje. Jeśliby jednak drzwi te otworzono na oścież, można by było zobaczyć odbicie tego, co się tam działo, na przeciwległej ścianie.

Netta zatrzymała się na schodach i niezdecydowana iprzestę-powała z nogi na nogę. Czy iść do swego pokoju, czy też uciekać? Światło za rogiem korytarza wzmagało się, przybierało barwę czerwoną i groźną, czuć było spalenizną, dymem. Zanosilo się na jakies nieszczęście... Netcie zaczęło bić serce coraz silniej, w uszach jej szumiało. Nogi jakby wrosły w ziemię. Oczu nie mogła oderwać od tego purpurowego światła.

Nagle, widocznie drzwi do pokoju panny Elżbiety otworzyły

się szeroko, blask na przeciwległej ścianie stał się ogromny i wy, giadał jak płomień... Netta złapała się za serce i zachwiała na nogach. Na tle ognia na ścianie zarysował się ludzki cień. Rost z każdą chwilą i wychylił się z pokoju na korytarz, potem płomień ogarnęły tę postać, aż iskry leciały. Rozległ się przeraźliwy krzyk człowieka w śmiertelnym strachu. Głuchy upadek, potem cisza i ciemność.

Znaleziono Nettę u dołu schodów omdlałą, pokrwawioną, na pół oszalałą. Zjawił się pułkownik ze świecą w ręce dygocący z zimna i po tyłu koniakach ledwo trzymający się na nogach. Dziewczęta i parobcy tłoczyli się za nim.

Pułkownik spytał, co to był za krzyk i hałas na schodach; ale Netta mogła tylko wykrztusić parę słów bez związku:

— Pokój panienki... we własnej osobie... dymiło się z niego... iskry leciały... to panienka tak strasznie krzyknęła...

— Hm — pułkownik nagle otrzeźwiał i zachwiał się. Stał oniemiały, nie' mógł chwycić oddechu. Twarz nagle pomarszczyła się cała. Malował się na niej wyraz bólu i przerażenia. Podniósł świecę w górę, odsunął wszystkich na bok, zataczając się wbiegł jak szalony na schody, pędzony strachem.

Wszyscy patrzyli w ślad za nim, dziewczuchy dygotały ze strachu. Parobek stał niezdecydowany. Dopiero gdy pułkownik dobiegł do rogu korytarza, poszedł za nim. Po chwili wrócił na palcach bez tchu, pełen tajemniczości.

— Panna nie żyje — powiedział. Ale nie mówił od razu, jak skrzętnie i niepojęcie szybko pułkownik zbierał drzazgi i gałgany rozrzucone po podłodze, gdy chłopak zajrzał za nim do pokoju.

Więc stało się, diabeł i porwał pannę żywcem.

— Nieostrożnie manewrowała światłem — powiedział pułkownik — suknia była cała z przodu spalona.

Nikt jej nie chciał dotknąć, musiał więc sam ułożyć ją w trumnie. Mówiono później, że „pokarało” go niegojącymi się ranami na rękach.

## XXVJJ

dodanie mówi, że chata na Vestli była pierwszym domostwem, które wybudował praszczur rodziny Bjórndalów, gdy przybył tu z zachodu, uchodząc przed wrogiem. Chata ta stoi po dziś dzień na zachód od łańcucha skał, pośród brzóz, które są jakby ostatnimi leśnymi forpocztami wysokich gór. Roztacza się stąd bezkresny widok na zalesione góry, które spływają stokami na wschód. Wiatr przekrzywił ją na bok, ale osłonięta przed największymi burzami, tak już [pozostała: odwieczna jak dookolna przyroda. Przettrzymała jakoś ulewy, mrozy, palące promienie słońca. Zszarzała i zżółkła, ściany jej nierówne, chropowate, belki sękate i pełne szczelin. Gdy wpada wiatr — trzeszcza; i zawiasy w drzwiach zaczynają swój przeraźliwy, skamlący śpiew. Po każdej burzy chata pochyła się bardziej na bok i zniża ku ziemi. Gdy opadają ją wściekłe wiatry, zмага się z nimi i opiera, tak krucha, a przecież wytrzymała.

Był zimny, wietrzny dzień przedwiosenny. Z doliny szedł przez las pod górę jakiś człowiek. Przysiadł właśnie na chwilę ipod szczytem na pniu i patrzył w kierunku, skąd przybył. Spoglądał na zalesione wzgórze, na rozciągające się za nimi doliny, które dotychczas były zasłonięte przed jego wzrokiem, a od czasu do czasu rozglądał się z niepokojem na wszystkie strony, nasłuchując przy tym pilnie. Był to krzepki, prawie dziki młody chłopak z toporem zatkniętym za pas, o wielkich, silnych rękach, szerniałych od farbowania skór. W owych czasach farbowano skóry za pomocą zaczynu piwa z dodatkiem rdzy żelaznej, co długo pozostawiało ślady na rękach. Obracał i oglądał swe dłonie ze wszystkich stron, jakby się dziwiąc, że są takie czarne. Potem wstał, rozejrzał się i zobaczył ową samotną chatę na Vestli na brzozowym zboczu.

Leżał tam jeszcze nippokalany śnieg jak podczas głębokiej zimy. Mężczyzna rozejrzał się wkoło jakby w śmiertelnym lęk-i,| potem ruszył puszcza jodłową w kierunku chaty. |

Zaczął padać śnieg. W ciągu krótkiego czasu zerwała się za-|

wieją, im wyżej, tym mocniej były fale śniegu. Nie zwracał na to uwagi i walczył odważnie z zamięcią, wciąż rozglądając się na wszystkie strony, zwłaszcza wstecz, za siebie. Stwierdził, że jest jeszcze bardzo daleko od owej chaty; trzeba zdobywać szczyt za szczytem. Ostatni etap okazał się najuciążliwszy. Smog sięgał do kolan, lodowaty wiatr przenikał odzież, zadrećzał. Posuwał się niestrudzenie naprzód wielkimi krokami, ale po pewnym czasie zmalały one znacznie. Oglądał się co chwila, czy nie zostawia śladów za sobą. Może były jakie, ale śnieg po chwili wszystko zasypywał.

Śmiertelnie zmęczony otworzył drzwi prowadzące do chaty i wszedł.

Młody Dag przeżył wyjątkowe chwile. Pamiętał bowiem swoją śmierć. Gdy na Górze Śmierci stracił równowagę i runął w przepaść, przez sekundę zupełnie jasno i przytomnie zdawał sobie sprawę, że to już koniec. Pamiętał i czuł nie tylko rany i skaleczenia, które odniósł przy upadku, ale przede wszystkim owo uderzenie w głowę — to była śmierć, niechybnie. Od tego czasu dręczyły go najrozmaitsze myśli, nie tylko owe majaki, z których się spowiadał Adelajdzie.

— Życie to śmierć — powiedział wówczas i te słowa dręczyły go bez ustanku, prześladowały go, weszły mu w krew; od tej chwili wciąż mu się zdawało, że czuje "śmierć tuż koło siebie w wielu rzeczach ziemskich. Rozmyślał nad swym dotychczasowym życiem i doszedł do wniosku, że śmierć była o krok od niego niezliczone razy: podczas walk staczanych z niedźwiedziami lub rannymi łosiami, podczas karkołomnych wapiń nad przepaściami w poszukiwaniu gniazd orlich czy sępich, niebezpiecznych zjazdów na nartach ze stromych, niedostępnych zboczy, lekkomyślnych przepraw przez pękający lód na rzece wiosną, nieostrożnych manipulowań bronią. Nieraz już sobie opalił włosy tuż przy samej skroni. Tak, śmierć tkwi pośród samego życia.

Mógł właściwie siedzieć we dworze i nie narażać się. Ale czy nie umierają młodo ludzie najspokojniejsi i najostrożniejsi? Jeden spada rażony piorunem we własnym domu, inny ginie kopnięty śmiertelnie przez swego konia, ten nadużywa swego zdro-

r\*

wia w rozjazdach, inny choruje, choć z domu się nie rusza. Toć i jego matka upadła na lodzie i z powodu obrażeń wewnętrznych skończyła życie.

Licha warte są te wszystkie ostrożności: trzeba brać rzeczy, jak idą. Spokojnie i beztrąsko poszedł znów w lasy tak jak dawniej, z większą jeszcze zuchwałością niż przed wypadkiem.

Zna teraz oblicze śmierci. Tak szli ręką w rękę ze sobą wszędzie. Ale niepokojem napawa go życie. Niepewne ono, nietrwałe. Nie mógł zapomnieć swego starszego syna, taki był rozumny i rozwinięty: mały człowieczek o własnych myślach i własnej mowie, interesujący się wszystkim, co go otaczało. Wciąż miał w oczach jego drobną, umęczoną po śmierci twarzyszkę. Dag był człowiekiem z jednego bloku wyciosanym, prostoliniowym jak jego ród, więc jeśli kochał, to całym sercem... Drugi raz już by chyba takiego bólu i straty nie przeżył.

Może dlatego nowo narodzone dzieci nie sprawiały mu już tyle radości. Mało przebywał w domu, w ogóle trzymał się z dala od chłopców, od Adelajdy, od gospodarki; stronił od realnego życia. Bał się przywiązywać znowu do nich tak wyłącznie. Wprawdzie ogarniała go i teraz nagła tęsknota za swoimi, gdy długo był poza domem, tęsknota za dziećmi, za Adelajdą, za miłą izbą o otwartych drzwiach do pokoju Adelajdy, z trzema kochanymi istotami. Czasem, kiedy już zbyt długo przebywał w lesie, nagle zawracał z drogi, biegł z całych sił, ażeby przed nocą zdążyć do swoich. Wówczas poddawał się urokowi rodzinnego wieczoru: Adelajda grała na szpinecie i śpiewała piękne pieśni, które głęboko wzruszały, albo u siebie w pokoju nuciła cichutko, akompaniując sobie na lutni. Ale tylko rzadko pozostawał w domu dwa wieczory z rzędu. Lękał się szczęścia. Szczęście jest niestałe, a on oddawał mu się tak całą duszą. Choć nie całkiem zdawał sobie z tego sprawę — wolał trzymać się z daleka. Jakiś głos wewnętrzny ostrzegał go.

Adelajda nie mogła tego pojąć i popadła w rozpacz. Ale gdy Dag wracał, zapominała o wszystkim i oddawała się radości, przepędzała precz troski i zmartwienia. Szczęście jej tylko zaciemniała jedna myśl, która ją bezustannie dręczyła, przejmowała dreszczem zgrozy: Dag znów jest lekkomyślny i nieostrożny! Pewnego dnia może już do niej nie wrócić!

Tego samego dnia, kiedy ów człowiek z zachodnich dolin dążył do chaty na Vestli, Dag był także w drodze do lasów północnych. Obecnie miał zamiar udać się na zachód. Za jego pamięci nigdy w tamtych stronach nie wyrąbano drzew. Może ich nawet nigdy nie dotykała ręka ludzka... Był tam gęsty, dziewiczy bór, wiele drzew powalonych wiatrem leżało na ziemi, a drobne podszycie zeszło się.

Z wysokich gór spływał tu strumień i płynął na zachód poprzez jezioro, następnie skręcał na wschód i wpadał do dużej rzeki płynącej pomiędzy zboczami w kierunku Bjórndał. Dag chciał zbadać strumień w porze przedwiosennej, gdy śniegi topnieją. Może na przyszłą wiosnę uda się go wykorzystać do spławu, gdyby zaczęto wyrąbywać drzewo w lasach zachodnich.

Gdy się wspinał na wzgórze zachodnie, pokryte jodłami, ogarnął go lekki niepokój. Północny wiatr, wiejący od wysokich gór, zapowiadał zawieję śnieżną i to obudziło w nim przerażające wspomnienia. Podniósł głowę, wciągnął powietrze w płuca i zaczął wolno iść w kierunku północy. Czego chciał tam na górze teraz, tak wczesną wiosną?

Gdy osiągnął ostatnie wzgórze pokryte lasem sosnowym, zaczął padać śnieg. Pośród brzoź na północnym stoku było już białe. Na jednym z pni znalazł swe narty. Wsunął nogi w rzemienie i ruszył na północ przeciwko wiatrowi, który im wyżej, tym więcej wzmagał się na sile. W końcu zamienił się w prawdziwą burzę.

Wspiał się aż do przełęczy nad brzozowymi zboczami. Stał tam długo, dygocąc ze zmęczenia, wyczerpany ustawicznym wspinaniem się na strome zbocza i obrócił wzrok tak samo jak wiosną dwa lata temu — przez puszcę i pastwisko — ku Górze Śmierci. Burza śnieżna smagała go po twarzy i przejmowała lodowatym zimnem. Góry nie było widać. Śnieg wirował w upiornym tańcu.

W końcu odwrócił się i pozwolił wiatrowi nieść się bezwolnie, brzezina chciał zejść na dół. W ipewnej chwili jednak zatrzymał się i skręcił na zachód. Przenocuje w chacie Rausa i jutro z rana dojdzie do tamtych lasów, i obejrzy bieg strumienia. Pomimo coraz bardziej szalejącej zawiei nie zmienił postanowienia i koniecznie chciał dotrzeć do chaty.

Droga, choćby najlepiej znana, gdy się nią idzie pośród zaciętej walki z żywiołem — wydłuża się w nieskończoność. Da-gowi, już przedtem nieludzko zmęczonemu, zdawało się, że ta przestrzeń nie będzie mieć końca. A może zmylił kierunek? Nie wiedział już, gdzie się znajduje, bo śnieg uniemożliwiał jakąkolwiek orientację. Wysiłkiem woli posuwał się z trudem naprzód. Zdawało mu się jednak, że wciąż pozostaje w tym samym miejscu.

Czyżby śnieg zmienił barwę? Nie, na pewno nie. Szarzeje i z minuty na minutę staje się coraz ciemniejszy. Wszystko, co go wokoło otacza, jest już czarne jak najciemniejsza noc, zatraciło formy, kontury...

Jakieś jaśniejsze pasma przebiły się przez tę ciemnię, jakiś krwawy blask go otaczał, potem znów powróciła szarość, gęsty mrok, absolutna ciemność.

W ustach czuje smak krwi, gorzko-słony, wstrętny i mdły, potem smak soli i ziemi; cóż to? Wszystko się chwieje: świat i człowiek; narty uciekają spod nóg. Potem śnieg i ziemia jakby się ku niemu podnosiły. Wrył się rękami głęboko w śnieżny puch, szukając oparcia na pochyłym gruncie.

Zwierzęcym instynktem, który drzemie w każdym człowieku, wyczuł, że leży w śniegu na czworakach. Automatycznie wsuwa nogi w wiązania nart i z powrotem podnosi się. Krew zaczyna krążyć w nim raźniej i pobudza całe ciało do życia, nogi stają się posłuszne.

Na nowo uderza w niego zawierucha, nieomal unosi go nad polem śniegowym, ale mimo to posuwa się naprzód. W chwili kiedy pierwszy podmuch nocnego huraganu zawył dziko nad wysokimi szczytami, dobrnął do zbawczej chaty Vestli i osunął się wyczerpany pod osłoną jej dachu.

Zmylił drogę z powodu burzy. Początkowo szedł prościuteńko z północy i uważał, ażeby mieć stale wiatr z prawej strony. Gdy stracił przytomność padłszy na śnieg, to jedno jasno sobie uprzytomnił, że jeżeli się będzie trzymał pierwotnego kierunku na zachód, dojdzie do chaty Rausa leżącej na północ od jeziora u stóp zboczy brzozowych, które nazajutrz miał zbadać. Ale wiatr zmienił się na wschodni i razem z nim Dag bezwiednie zmienił kierunek, uważając w dalszym ciągu, ażeby mieć wiatr z prawej

strony. To było powodem, że zdobywał zbocze po zboczu; kierując się na północ, obszedł i okrążył ową chatę Rausa z północy i dostał się daleko na zachód aż do stóp wysokich gór.

Widocznie-w ostatnich chwilach przytomności zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje, bo jednak odnalazł kierunek, dobrnął do chaty na Vestli, podźwignął się nieco, palcami wymacał drzwi, pchnął je i ostatnim przeblyskiem świadomości wyciągnął nogi z głębokiego śniegu i wczółgał się do środka. Był we wnętrzu chaty. Wicher z hukiem zatrzasnął za nim drzwi.

Działo się tak, jakby burza się na niego specjalnie zawzięła. Szalała wokół chaty, wyła potępieńczo, wciskała się w szczeliny ze wszystkich stron. Pędzony wicherem śnieg narastał grubymi warstwami, zasypywał chatę, wciągając góry i doliny w biały diabelski wir. Mijały godziny, noc przeszła, a huragan wył, wywracając po górach stuletnie sosny jak suche patyki. Kończąca się zima pokazywała swą niewyżytą moc.

Gdy szal burzy dochodził do zenitu i ponad chatą pieniało się tylko śniegiem, z miejsca, gdzie zazwyczaj widniał komin, zaczęła się wsączać w białą ocmę wątła smuga niebieskiego dymu. Chwilami dym znikał, potem wydobywał się, "ażeby z wichrem pomknąć w świat.

Następnego rana Dag siedział przy ogniu i smażył słoninę. Z ramionami pod głową, wyczerpany do ostateczności, przeleżał na ziemi parę godzin. Po obudzeniu siedział przez pewien czas zeszywniały i jakby z połamanymi kośćmi. W końcu poczuł się lepiej, zapalił ogień i smażył sobie śniadanie.

Podniósł głowę nasłuchując. Burza nie przestała jeszcze szaleć, chata, jak to już nieraz bywało, stękała i przewalała się na wszystkie strony, belki i słupy trzeszczały. Dagowi zdawało się, że słyszy jeszcze inny odgłos w pobliżu, ale to chyba tylko złudzenie. Pochylił się znów nad ogniem. Co sprawiło, że stał się taki czujny? Czy to wyostrzony słuch, czy też przeczucie grożącego niebezpieczeństwa?

Bezwiednie odwrócił głowę w kierunku pryczy... Tam stała śmierć... Chłop barczysty, rozrośnięty, dziki. W oczach płonęła żądza mordy albo śmiertelny lęk. W brudnych, podniesionych w górę dłoniach trzymał gotowy do uderzenia topór.

Topór świsnął w powietrzu i człowiek rzucił się na Daga, który



zerwał się błyskawicznym ruchem i cisnął mu pod nogi stołek. Topór uderzył w komin, aż z kamieni poszły iskry.

Zwarli się w śmiertelnej walce, trwała parę sekund. Była to walka dwóch rozjuszonych zwierząt. Rozległ się bolesny krzyk, zagłuszający nawet ryk wichru. Jeden z przeciwników podniósł się na kolana, sapiąc głośno. Potem wyprostował się w całej wysokości. Zarzucił sobie drugiego na ramię, podszedł do drzwi, trącił je nogą i wyrzucił ciało na śnieg. Drzwi zamknęły się z hukiem. Dag pozasuwał rygle i stanął w blasku ognia.

Drewniana rękojeść topora zwęglała się w ogniu, w powietrzu rozszedł się zapach spalonej słoniny. Płomień gospodarował zuchwale po patelni, skakały po niej zabawne niebieskawe płomyki. Dag tego nie widział. Stał jak wrośnięty w ziemię. Pierś tylko podnosiła się i opadała, z rękawa kurtki krew kapała na podłogę.

Dobrze, że nie widziała go w tej chwili Adelajda. Zaiste, niepięknie wyglądał. Włosy zmierzwione, ubranie w nieładzie, ale nie to czyniło go odrażającym. Straszna była jego twarz: w poprzek czoła wystąpiły głębokie bruzdy, brwi ściągnięte nad nosem wygięły się jak sępie skrzydła, białka oczu znikły, a źrenice powiększyły się w sposób niepokojący i stały się prawie czarne, groźne. Nos wydawał się niezwykle wąski. Chrząstka jego wystawała mocno spod skóry, a nozdrza drgały gwałtownie. Wpółotwarte usta w szkaradnym skrzywieniu ukazywały zaciśnięte zęby o żółtawym połysku. Wysunięta do przodu szeroka szczeka nadawała mu wyraz dumy, ale i szlachetności, która charakteryzowała rysy Ane Hamarrbó i starego Daga.

Głowę miał podaną ku przodowi, a mięśnie na plecach drgały jeszcze tak mocno, że wstrząsały ramionami. Serce w piersi biło dziko. Zalewała go fala gorąca. Trzeba sporo czasu na to, aby .:] powściągnąć w sobie zwierzę, kiedy się je raz wypuściło na ; wolność.

Kto wniesie do chaty zbója, z którym w tej chwili stoczył 1 śmiertelną walkę?

Zrobił to Dag.

Ten człowiek może zamarznąć. Dag otworzył drzwi. Wszedł przed chatę; śnieg już nie padał, ale był przejmujący mróz. Tamten leżał tak, jak go był rzucił. Śnieg go już przysypał. Tylko dlatego, że się o niego potknął, mógł go wymacać.

Wciągnął go do chaty, odwrócił. Słuchał, czy serce bije. Tak... na pewno. Ale jedno ramię zwisało w dziwny sposób. O ile sobie mógł przypomnieć, nie okaleczył go w czasie walki.

Dag niejedno widział w lesie. Tyle zdarza się różnych wypadków przy wyrąbywaniu wielkich drzew. Nietrudno wówczas skrócić czy zwichnąć rękę. Być może, że ten krzyk dziki, który z siebie wydał, był spowodowany zwichnięciem stawu.

Ułożył go teraz w ten sposób, ażeby móc szybkim ruchem nastawić ramię.

Widocznie zbyt nieostrożnie dotknął ręki, która na mrozie zesztyniała zupełnie. W tej chwili bowiem człowiek obudził się z omdlenia i dziko, przerażonym wzrokiem patrzył na Daga. Ale ten zrobił odpowiedni ruch kolanem i dłońmi i staw wskoczył z powrotem w swoje miejsce. Zbój nie był na tyle przytomny, ażeby się zorientować, co się z nim dzieje; przypuszczał zapewne, że ten olbrzym chce mu zrobić jakąś krzywdę. Uczuł piekący ból i przeraźliwie wrzasnął. Dagowi długo w uszach dźwięczał ten krzyk. Dopiero po dłuższym czasie zrozumiał, o co chodzi. Siadł na pryczy, trzymając się za bolące ramię, i wpatrywał się w Daga. Od czasu do czasu wstrząsały nim dreszcze, aż zęby szczękały.

Dygotał. Chyba z bólu i zimna, które przeniknęło go do wnętrza i mroziło krew.

Może to był i strach?

Dag ani nie spojrzął na niego, podszedł do komina i odsunął na bok rozpaloną do czerwoności patelnię.

— Spaliła mi się przez ciebie słonina — powiedział tak, jakby to było ważniejsze niż cios toporem.

A topór zarzył się w ogień; dopalał się już trzonek. Dag był przyzwyczajony do tego, że trzeba szanować narzędzia, wygrzebał więc go z płomienia. Następnie wystawił patelnię za drzwi, ażeby ostygła na wietrze. Gdy już dostatecznie ochłodła, postawił na ogniu, nakrajawszy świeżej słoniny, którą wyjął ze swej torby.

Człowiek śledził łakomie każde jego poruszenie, wciągał w siebie zapach przysmażanej słoniny i patrzył ogłupiałym wzrokiem na Daga, który z patelnią, stołkiem i plecakiem podszedł do pryczy, postawił obok patelnię i wyjął kawałek chleba z plecaka.

—• Na pewno jesteś głodny — powiedział Dag, a tamten nie zaprzeczył. Dag nożem wyławiał skrawki z patelni, tamten musiał kawałkami chleba w zdrowej ręce, więc parzył się i dmuchał potem na słońcę i na palce.

Gdy już zaspokoił pierwszy głód, spojrzął Dag na niego i roześmiał się swym młodym, beztroskim śmiechem.

— Brzydkie wybrałeś sobie rzemiosło — powiedział. Tamtego przebiegł dreszcz, spojrzął wylęknięty na Daga. Następnie przyjrzał się swym czarnym rękom i wymamrotał coś w rodzaju „szewc”.

— Zabójca — odrzekł Dag i mocno spojrzął w jego uciekające oczy.

Tamten chciał zadać pytanie, co Dag właściwie ma na myśli, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Dag spytał:

— Dlaczegoś go zabił?

Człowiek nie starał się nawet wyłgiwać. Siedział z opuszczoną głową i dygocącymi rękami i opowiadał starą bajeczkę o niewiernej żonie, o wódce i zbyt silnym uderzeniu, które spowodowało śmierć. Następnie chciał się dowiedzieć, czy to na czole ma Wypisane, że kogoś zabił, bo Dag od razu o tym wiedział.

— No tak — odrzekł Dag. — Jeśli ktoś ucieka w da'ekie góry w taką zawieruchę i napada bezbronnego człowieka, jak ty to uczyniłeś rzucając na mnie toporem, to na pewno jest to dla niego sprawa życia i śmierci.

Wtedy tamten zapytał Daga, czy zawiadomi o tym władzę, i wlepił w niego przerażone oczy.

— Sam jestem tutaj władzą — odrzekł Dag. — Gdy burza przejdzie, zaprowadzę cię do chaty nad Czarnym Jeziorem i tam umieszczę cię w areszcie. Akurat ta nazwa pasuje do twoich czarnych rąk.

Człowiek gapił się zdumiony na Daga. Jeszcze nigdy w życiu nie spotkał tak osobliwego człowieka, nie rozumiał go. Ma piękną i szlachetną postać, jest porządnie ubrany, a jednocześnie silny jak dąb albo dzikie zwierzę z lasu: spojrzenie ma zimne i mówi tak surowo, a jednak... sam go wtaszczył z powrotem do chaty i tym samym uchronił od niechybnej śmierci na śniegu, nastawił mu ramię i nawet go nakarmił. To, co powiedział teraz o areszcie, miałyby być na serio, czy tylko żarty?.

Trochę później Dag go zapytał:

— Dlaczegoś mnie nie zabił, gdy leżałem na ziemi i spałem?

— Tyś tu spał? — spytał tamten zdziwiony. — I ja tu spałem na pryczy. Gdy się obudziłem, siedziałeś przy kominie i smażyłeś słoninę.

— I chciałeś mnie zabić podstępem, od tyłu? — zauważył Dag pogardliwie.

Tamten przez chwilę milczał, oglądając swe ręce. Potem powiedział, że był na ipół przytomny ze strachu, bo mu się zdawało, że Dag tu przybył w pościgu za nim.

— Więc skoro już nabrałeś rozmachu, byłeś gotowy zabić każdego, który ci na drodze stanie? — Dag wstał i wyjrzał, jaka pogoda na świecie. Wichura uspokoiła się nieco.

Zaprowadził go następnie na wschód do chaty nad Czarnym Jeziorem i wskazał mu, gdzie leży siekiera, garnek i inne jeszcze przyrządy gospodarskie stojące wysoko pod pułapem z belek. Pozostawił mu trochę żywności, którą miał jeszcze w plecaku, i radził mu tu osiąść tymczasem. W razie gdyby go ścigali zawsze ma możliwość ucieczki w góry. Poza tym może sobie wykarczować trochę lasu.

— Ale pamiętaj, jeśli mi kiedykolwiek jeszcze kogoś zabijesz, nie będzie dla ciebie na świecie żadnego ratunku.

Tym razem Czarny Człowiek wiedział na pewno, że to nie żarty.

Potem Dag pociągnął znów na zachód, zlustrował bieg strumienia, który chciał zużytkować do splawu drzewa, i powędrował w zamyśleniu górami ku domowi.

Myślał o tym nowym mordercy i o rybaku Bórrem. Ojciec zaopiekował się Bórrem i o ile słyszał, to i Bórre ma podobną historię na sumieniu z powodu niewierności ukochanej. Jakie bezsensowne potrafi być życie: popęd, który mógłby dać nowe życie, doprowadza człowieka często do tego, że zabiera je drugiemu.

Myślał też nad tym, że wspiał się tak wysoko, ażeby jeszcze raz zobaczyć Górę Śmierci, i może to właśnie ona wysłała za nim huragan, który omal go nie uśmiercił; a gdy sobie z nim i jego siłami rady dać nie mogła, przeklęta góra zmieniła kierunek wiatru i zaprowadziła prosto w ręce mordercy. Nie złorzeczył jej. Była w swoim prawie. Nie wolno było wracać na Górę Śmierci,

aby nie pokazać, że się jeszcze żyje. Nie wolno się do niej zbliżyć w okresie przedwiosennym, kiedy ukazuje ostrzegawczo ludziom swe oblicze...

Zastanawiające było, że i tym razem udało mu się ujść z życiem. Przypomniało mu się to, co Adelajda powiedziała: Modłę się o ciebie co wieczór.

Dag wędrował lasami na południe.

Nie patrzył jak władca na bezkresne ziemie przodków; szedł z opuszczoną głową i czuł się bardzo mały... Musiał sam ze sobą dojść do ładu. Tak, tak... Ze śmiercią był za pan brat, z życiem — nie.

XXVJJZ

-Ł/liżnięta w pierwszym roku swego życia były tak niespokojne i krzykliwe, że umęczoną matkę opuszczały siły. Dzień i noc pielęgnowała maleństwa. Dwóch chłopaków! Po stracie pierwszych dzieci była tak wylękniona i tyle zadawała sobie trudu, że w lecie nie można jej było poznać, tak się zmieniła.

Ale stary Dag radował się i cieszył, że chłopcy są tacy ruchliwi i żywi. Pierworodny nazywał się u dziewcząt pomagających Adelajdzie w dziecięcym pokoju — „ten ładny”. Unn Hamarrbó pomogła im przyjść na świat i uważała pilnie, który pierwszy się zjawił i tym samym predestynowany był na głównego dziedzica. Ojciec Dag wciąż pytał, czy jest tego pewna, i rozbawiony spoglądał to na „ładnego”, to na „drugiego”. Dziwnie patrzył na tego „drugiego”. Ani na chwilę nie wątpił, który z nich pierwszy przyszedł na świat. „Młodszy”, nazwany Dagiem, był nieładny. Miał w swej budowie coś kanciastego, jakby niewykończonego, i to nie tylko zaraz po urodzeniu, ale jeszcze miesiąc potem. Adelajda sama to stwierdziła któregoś dnia, przewijając go.

— No — pocieszał ją ojciec Dag — i ja, i Dag byliśmy tak samo z gruba ciosani po wyjściu z łona matki, a jednak z czasem życie nas wygładziło.

Teraz Adelajda rozumiała, dlaczego stale pytał Unn, czy jest pewna, który jest pierworodny. Byłby rad, gdyby ten młodszy przyszedł pierwszy na świat.

Po śmierci panny Elżbiety, późną już jesienią, przybył do Borgland po raz drugi stary Dag, ale tym razem już nie w odwiedzinach do chorego, lecz ze zwykłą wizytą. Tak się jakoś urządził, że na krótko przed jego przybyciem nadeszła przesyłka prowiantowa z miasta, ażeby pułkownik nie miał kłopotu z ugaszczaniem go.

Rozmawiali o różnych rzeczach. Pomędzy innymi stary Dag zaproponował pułkownikowi, że kupi od niego meble i wszystko, co tylko jest w domu... Stanie się wedle prawa własnością Daga, ale będzie w posiadaniu pułkownika aż do śmierci.

Pułkownik wyznał z całą szczerością, że wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, łącznie ze złotymi i srebrnymi przedmiotami, zostało już dawno, sztuka po sztuce wyprzedane, a to, co pozostało, jest przeważnie zniszczone, więc i bez wartości.

W końcu jednak sporządzili dokument, na podstawie którego pułkownik przekazuje wszystkie przedmioty znajdujące się w Borgland staremu Dagowi lub jego spadkobiercom, z warunkiem, że mają jemu i jego bratu wyprawić przyzwoity pogrzeb.

Następnie Dag przysłał mu trochę pieniędzy i stolarza, który miał wszystko w Borgland doprowadzić do możliwego stanu. Dag dzięki temu zapewnił sobie prawo do tego, ażeby wszystko pozostało na swoim miejscu, tak jak było od najdawniejszych czasów, aż do dnia, gdy „dziedzic” wprowadzi się jako właściciel. Przy słowie „dziedzic” miał na pewno na myśli „młodsze” syna Adelajdy.

Tak, teraz ojciec Dag miał wiele na głowie. Cieszył się, że dwie małe istotki są na świecie, i tak wszystkim kierował, ażeby kiedyś w przyszłości stały się samodzielnymi, wolnymi ludźmi. Pomimo że tyle myślał o chłopcach, nie zapomniał również i o ich matce. W lecie po ich urodzeniu namawiał ją aby wychodziła na powietrze, ale Adelajda nie chciała słyszeć o rozłące z dziećmi, choćby na krótki czas. Widział dobrze, jaka była wymizowana i zmęczona, a pamiętał, że niegdyś była to piękna, kwitnąca panna. Pierwszego lata nic się nie dało zrobić, trzeba było jeszcze

jedną zimę ciepłiwie przeczekać. Z początkiem następnego lata nadszedł do Bjórndal z miasta piękny koń. Dag kupował od czasu do czasu karę konie, klacze lub ogiery, dla odświeżenia i poprawienia rasy. Ten nowy koń był gniady, krótkowłosa, o gładkiej, jedwabistej sierści, nie jakiś tam grubokościsty koń roboczy, ale wysokonogie szlachetne zwierzę o nerwowej muskulaturze. Zawołał Adelajdę, ażeby go obejrzała. Nigdy w życiu równie pięknego konia nie widziała.

— Pochodzi z Anglii — rzekł ojciec Dag — sprowadzałem go dla ciebie, możesz na nim jeździć, ile ci się żywnie podoba.

Adelajda początkowo nie rozumiała, skąd się wziął staremu pomysł tak osobliwego prezentu, ale potem przypomniała sobie, że opowiadała mu kiedyś o swym dzieciństwie, że jako dziesięcioletnia dziewczynka rywalizowała w zapale do konnej jazdy ze swoim ojcem i ta jazda wielką sprawiała jej przyjemność. Broniła się jednak, nie chcąc iprzyjąć podarunku, twierdziła, że zapomniała jeździć i że to zbyt kosztowne i zbyt wspaniałe zwierzę dla niej.

Stary Dag odpowiadał jej na to, że tyle tu do nich swym przybyciem wniosła i że ten koń to właściwie żaden rewanz, a co do umiejętności jeżdżenia, to po paru dniach nabierze z powrotem wprawy. Jest przecież jeszcze młoda, a to jest wierzchowiec pewny i spokojny.

Razem z koniem przysłano i siodło. Adelajda w końcu musiała spełnić życzenie ojca Daga. Dosiadła konia i ostrożnie przejechała się po alei i przez osiedle. Koń szedł lekko jakby w tańcu i Adelajda przyzwyczaiła się wkrótce do codziennych przejażdżek bez względu na pogodę. Nabrała rumieńców, zaczęła wyglądać zdrowiej, słońce i wiatr zrobiły swoje.

Pewnego dnia przyłączył się do niej ojciec Dag; towarzyszył jej, gdy jechała przez aleję. W pewnym miejscu droga rozwidła się, dróżka prowadziła w lewo i ginęła za zadrzewieniem przesłaniającym widok na pola. Dag prosił, ażeby jechała za nim. Droga przez pewien czas wiodła pomiędzy krzakami leszczyny, lecz nagle Adelajda ujrzała nie znany sobie przedziwny krajobraz. W tym roku ugory zachodnie zamieniono na łąki. Ciepły wiatr owiał ją zapachem falującej trawy i polnych kwiatów.

Drzewa i krzaki stanowiły wokoło granicę łąk. Jak wyspa pośród morza widniał na tle bujnych traw gaj brzozowy, lśniący z dala białą korą i szumiący delikatnie listowiem ozłoconym promieniami słońca, a zarazem pełnym tajemniczych cieni. Ojciec Dag jechał łąką na przełaj i' wzywał Adelajdę, ażeby uczyniła to samo.

Przebywszy wał kamienisty i kwietny pas łąk, dobrnęli wreszcie do gaju. Adelajda musiała się pochylić i ostrożnie przejeżdżać pod nisko zwieszającymi się gałęziami, ale starała się staremu dotrzymać kroku. Im bardziej zagłębiali się w las, tym mniej było drzew. Nagle zatrzymała ostro konia i oniemiała z zachwytu i podziwu. To, co widziała, wyglądało jak wnętrza świątyni. Stały tu na trawniku w regularnym półkolu smukłe, wysokie brzozy, a za tym pierwszym kręgiem, głębiej, wznosił się drugi z brzóz jeszcze potężniejszych. Wszystkie były równie wysokie, widocznie przedtem było ich o wiele więcej. Przyroda zmuszała je do tego, że rosły wciąż wyżej, aby mogły uzyskać w ten sposób trochę słońca i powietrza dla wierzchołków. Niektóre były niedawno sadzone i młodzieńczo delikatne o błyszczącej, srebrnobiałej korze, inne zaś potężne, już przez wiek naznaczone, sękate, z czarnymi plamami na białej korze. Wszystkie bez wyjątku pięły się ku górze, smukłe, wyniosłe i cudne jak kolumny zaczarowanego pałacu.

Przedwieczne słońce stało jeszcze wysoko, i złociło wierzchołki drzew, dosięgało gdzieniegdzie brzegu polanki i oświetlając kwiaty, nadawało im najprzecudniejsze barwy.

Ojciec Dag przez całą drogę nie wyrzekł ani jednego słowa, a Adelajda znała go już i wiedziała, że nie trzeba go o nic pytać w takiej chwili. A'e nie mogła odgadnąć, jaki cel miała ta przejażdżka; może chciał jej tylko pokazać, jakie to wszystko piękne... tak piękne, aż się człowiekowi na płacz zbiera, że życie jest takie krótkie i za mało ma pięknych lat...

W końcu spytała cicho w jednym tchnieniu:

— Co to ma być?

— Opowiadałaś mi — odparł — że nie możesz zapomnieć owej długiej alei brzozowej, po której jeździłaś jako mała dziewczynka. Nie miałem tu dla ciebie takiej alei, a sadzenie nowej za długo



by trwało. Ty byś się przez ten czas zestarzała, a ja bym w ogóle znikł z tego świata, zanim byś zaczęła po niej jeździć. W zeszłym roku zbadalem ten teren, kazałem wyrąbać w jesieni drzewa niepotrzebne, wykarczować korzenie, posialiśmy na wiosnę trawę. Teraz można swobodnie kłusować pomiędzy drzewami, będziesz mogła objeżdżać koło zewnętrzne i wewnętrzne. A jeśli zapragniesz jakiegoś ładniejszego widoku, na przykład na łąki, to są i dobre, dostępne ścieżki poprzez cały las.

Adelajda pogładziła delikatnie jedwabistą, błyszczącą szyję konia i spojrzała na ojca Daga. „Olbrzym! Jaki barczysty!” — stwierdziła po raz setny. Stał zapatrzony w trawnik. Wieczorne cienie kładły się już na drzewa, blask słoneczny z wolna zanikał. Kwiaty zszarzały. Nikt nie odgadnie myśli starego człowieka, dumającego przy zachodzie słońca w świątyni, którą sam Bóg zbudował.

Adelajda nie mogła się opanować. Z latami uczucie w niej brało górę nad rozumem i wolą. Objęła rękami szyję konia i wybuchnęła serdecznym płaczem. Ojciec spojrzał na nią, ale potem odwrócił głowę i nadal milczał. Gdy się wreszcie uspokoiła i opanowała, powiedział:

— Przed powrotem do domu przejedziemy się jeszcze naokoło. Bez słowa posłusznie skierowała konia pomiędzy brzozy. Przy wieczery wyznała:

— Póki żyję, nie widziałam czegoś równie pięknego. Człowiek staje się wprost lepszy, szlachetniejsze, gdy pokłusuje między tymi brzozami. Ale jak ojciec wpadłeś na myśl, ażeby stworzyć coś podobnego?

— Odpust — odparł krótko stary Dag.

— Nie rozumiem. Co to ma znaczyć — spytała.

— Spytaj pastora — odrzekł cicho.

I tak się jakoś stało, że w rok po śmierci panny Elżbiety von Gali inna kobieta jeździła konno tymi samymi drogami. Odwiedzała czasem plebanię, wstępowała nieraz do pułkownika w Borgland i zapraszała go do Bjórndal na partyjkę z ojcem. Przyjeżdżał i czuł się tam bardzo dobrze. Nic już teraz nikomu nie był winien.

Czasem skierowywała się w stronę osiedla lub Hamerrbó, najczęściej skręcała na wschód do lasu brzozowego. Tylko Syvero-

wi wolno było konia dotykać. Tak też czyścił i pucował szlachetnego rumaka, że skóra jego miała połysk atlasu, a ludzie nazwali go jedwabistym koniem Adelajdy.

— Dobrze jeździ — mówił stary Dag.

— Dragońska krew — odpowiadał major Barre uderzając się z dumą w piersi.

## XXIX

^Cajdź do mnie na chwilę — powiedział któregoś ranka ojciec Dag do Adelajdy, otwierając drzwi kancelarii. Spojrzała na niego z pewnym załęknieniem.

Dziwnie się jakoś zestarzał w ostatnich czasach; stał się milczący i ponury. Nawet wyścigi malców, który prędzej przejdzie przez pokój na kolanach i szybciej wdrapie się na jego kolana — przestały go bawić.

Zamknął drzwi za sobą i ciężkimi krokami podszedł do półki. Wziął parę książek i położył na biurku pod oknem.

— Siadaj — poprosił. Spojrzała na niego zakłopotana. Jak to? Ma sięść w krzesło starego Klingego przy jego biurku? Ale Dag wzrok miał utkwiony w książkach i wskazywał jej krzesło. Zbliżyła się więc z pewnym wahaniem.

Promień słońca ipadł ukośnie przez stół i oświetlił dokładnie postać starego. Adelajda bacznie mu się przyjrzała z boku. Jeszcze go nie widziała tak zmienionego i postarzałego; poszarzał, nawet oczy, które świeciły zawsze jasnoniebieskim blaskiem, zmętniały.

Oparł łokieć na stole, potarł ręką czoło, następnie przysłonił dłonią oczy.

— Niedługo już chyba pożyję — zaczął — a Dag od czasu tej historii na Górze Śmierci stał się zupełnie nieobliczalny. Ty jedna wśród nas jesteś silna i opanowana. Czas więc, ażebyś się zainteresowała tym, co będzie kiedyś dziedzictwem twoich chłopców. Powinnaś zapoznać się trochę z naszymi księgami. Gdybyś czego

28 A lasy wiecznie śpiewają

nie mogła zrozumieć, zwrócisz się do mnie. Weź je teraz; widziałeś, skąd je wzięłem; odłóżysz je po przejrzaniu na to samo miejsce.

Adelajda spojrzała na książki i półkę. Dotychczas ta kancelaria o wielkich oknach wydawała jej się miła i przytulna. W oka mgnieniu pokój stał się ponury i zimny, mimo że go zalewało słońce, brzęczały muchy, w powietrzu unosił się zapach dobrego tytoniu, który tu leżał jeszcze od czasów starego Klingego. Podczas słów Daga przebiegł ją śmiertelny dreszcz. Wykrztusiła, że na pewno będzie żył jeszcze wiele, wiele lat. Jest przecież zdrow, nic mu nie dolega, nieprawda? Po cóż ten pośpiech z przeglądaniem ksiąg handlowych.

Rozpłakała się.

Stary Dag podniósł się i poprosił, ażeby z nim poszła. Pragnie jej jeszcze coś pokazać. W głosie jego brzmiało zmęczenie, był jakby bezbarwny.

Adelajda jak lunaticzka udała się za nim. Przekroczyła po raz pierwszy próg wielkiej sypialni. Okno tu było otwarte, falowały delikatnie firanka i zasłony nad ogromnym rodzinnym łóżkiem, które tu przybyło z gospodarstwa Holderów wraz z panią tego domu. Przy ścianie stała nieprawdopodobnie szeroka skrzynia, prawie czarna od żelaznych obić i zamków.

— Tu leży bielizna stołowa, srebrne nakrycia Holderów i nasze, tutejsze. W jednej z przegródek są kosztowności — objaśniał — dam ci kiedyś klucze.

Następnie wyciągnął zza łóżka żelazny drąg i latarkę. Oczyszczył knot świecy, zapalił ją i wstawił do latarni. Potem otworzył zamek otworu piwnicznego za łóżkiem, skinął na Adelajdę i zszedł po drabinie. Uderzył w nią przykry, ciężki zaduch wilgoci, ale posłuszna nakazującej woli starego, zeszła w dół. W piwnicy znajdowało się nierówne, puste zagłębienie. Widocznie było wprost wykute w kamieniu. Leżał tam stos płaskich kamieni. Dag odsunął je drągiem na bok, następnie spuścił w dół drabinę przez otwór, który odsłoniły kamienie. Szli tak w głąb, stary przodem, Adelajda za nim. Stały tu dwie skrzynie. Dag otworzył jedną z nich i zdjął przykrywkę z małej przegródki. Wsadził tam rękę i w świetle latarni wyjął z niej kilka zwiłków złożonych papierów.

— To są kontrakty sprzedaży i dokumenty dotyczące pieniędzy, które mam u ludzi — objaśnił i po chwili włożył z powrotem i zamknął wieko przegródki. — Tu są owe bezwartościowe szmaty — powiedział i ze złością wsunął tam rękę, odrzucając stos pieniędzy na brzeg skrzyni, tak że się rozsypały po ziemi.

— Na dnie jest też trochę srebra, częściowo z dawniejszych zapasów, częściowo ze sprzedaży ziarna, której w swoim czasie dokonał kuzyn Holder. Mam jeszcze nieco srebra z owych transakcji w hamburskim banku, to wszystko jest zapisane dokładnie w księgach, kwity zaś leżą tu, gdzie wszystkie papiery. Jest tu w ogóle wszelka srebrna moneta, którą mi się uda!o zdobyć. Odliczymy z niej teraz, co potrzeba. — Mówił to zupełnie obojętnym głosem. Wyjął z kieszeni woreczek z wytłaczanej skóry. Oparł się o brzeg skrzyni, wyciągał z niej garść po garści srebrne talary i licząc na głos, wrzucał do woreczka. Niejedna setka tam padła. Wciąż na nowo zagłębiał rękę w czeluściach skrzyni i wciąż jeszcze słyhać było dźwięk metalu. Wreszcie skończył i bez słowa obwiązał worek i postawił na ziemi.

Następnie nogami zgarnął w jedno miejsce porozrzucone papierowe pieniądze, wrzucił je na sam wierzch skrzyni, przykrył skórzanym fartuchem i zamknął. Parę podartych asygnat pozostało na ziemi.

Gdy wrócili do kancelarii, wypróżnił worek kładąc srebrniaki na biurku i poprosił Adelajdę, żeby- przeliczyła raz jeszcze. Nic nie odpowiedziałwszy, jak we śnie hipnotycznym zaczęła liczyć tę nieprawdopodobną ilość pieniędzy. Było co do grosza tak, jak stary obrachował. Umiał dobrze liczyć, o tak!

Gdy skończyła, zgarnął je na róg stołu, a potem do worka, zasznurował go i zrobił mocny supeł. Następnie wziął lak i pieczęć, z półki kawał papieru, zapalił świecę i opatrzył sznur pieczęcią.

— Ludzkie skarby — powiedział takim samym obojętnym tonem jak przedtem. — Odpustowe pieniądze.

Adelajda bystro spojrzała na niego. Znów to samo słowo, którego użył owego wieczoru, gdy ją zaprowadził w aleję brzożową. „Odpust”, powiedział i „spytaj pastora”.

Z tym srebrem pojechał Syver Bakpaa do wójta. Sumę tę bowiem Dag chciał wpłacić do nowego banku państwowego,

u\*

który miał być założony w kraju. Większość obywateli w ogóle nie posiadała srebra, niektórzy mieli, ale niewiele, byli tacy, którzy dać go nie chcieli. W takich wypadkach musieli za każdego srebrnego talara wpłacać dwadzieścia pięć papierowych;

wójt wysyłał te masy papierków furgonami w ogromnych skrzyniach.

— Cicho się zrobiło, jak makiem posiał, gdy rzuciłem z brzękiem worek na stół — opowiadał później Syver. — I co za oczy robili tam w urzędzie, gdy po przeliczeniu wrzucali z powrotem do worka tych wszystkich Krystianów i Fryderyków z wielkimi nosami, w paradnych perukach.

XXX

-L/ziwnym humorom ulegał teraz stary Dag. Bawił się, na przykład, całymi godzinami jak najwesalej z dziećmi, a potem znów przychodziły jakieś złe dni i stawał się smutny, kurczył się w sobie, postarzał o wiele lat. Godziny przygnębienia były coraz dłuższe i coraz częstsze.

Któregoś jesiennego wieczoru Adelajda pojechała konno do ipastora. Chciała się wreszcie dowiedzieć, co oznaczały tajemnicze powiedzenia ojca Daga: „odpuść” i „spytaj pastora”.

Opowiedziała o tym duchownemu, ale i on nie mógł wytłumaczyć, co Dag miał na myśli.

— Czyście nigdy nie rozmawiali o odpuście? — spytała Adelajda.

— Ach tak — przypomniał sobie pastor. Zdał jej dokładną relację z tamtej pierwszej, ważnej rozmowy z Dagiem i powtórzył z możliwą ścisłością słowa, które wówczas padły o Tetzelu i o innych jeszcze sprawach.

Przez całą powrotną drogę rozmyślała i nie mogła jednak znaleźć związku pomiędzy tym wszystkim. Ale czy w ogóle istnieje jaki związek pomiędzy obecnym ponurym usposobieniem ojca Daga, a tamtą rozmową z pastorem? Pozornie, rzecz prosta, spy-

tał pastora, czy ludzie przypuszczają, że on sobie kupuje odpust? Oczywiście, myśl, że ludzie tak sobie tłumaczą jego uczynki pochodzące z dobrego serca, mogła go doprowadzić do rozgoryczenia. Ale ojciec Dag stoi zbyt wysoko, ażeby na dłużej miał sobie brać do serca to, co ludzie o nim mówią czy myślą. Nie, musiało go dotknąć coś innego. Jest to chyba jakaś sprawa głębsza, zahaczająca o śmierć, o rzeczy boskie. Od czasu gdy chłopcy pomarli i od wypadku z Dagiem nastąpiła ta zmiana w usposobieniu starego. Wszystkie sprawy życia potocznego najzupełniej mu zubożniały.

Jeśli go dręczą zagadnienia duchowe, nie jest to w zgodzie z wiarą chrześcijańską. Bo ta powinna się wspierać na wolnej woli i na ufności, wiedziała to z przykazań dziadka-biskupa, a znów w innych książkach czytała, że nie wszystkie myśli o religii są chrześcijańskie, nawet jeśli dotyczą samego Pana Boga!. Nękały ją też troski o męża. Przebywa przeważnie w lesie, w domu jest rzadkim gościem, a przy tym taki dziwny i wciąż smutny. Nawet bawiąc się z dziećmi, ni stąd, ni zowąd popadał w zamyślenie... Patrzył wówczas obojętnie przed siebie, nie widząc, co się koło niego dzieje.

Muszą obaj jak najszybciej powrócić do realnego życia, w przeciwnym razie i jej energia i odwaga życiowa gdzieś się ulotnią. Ojciec Dag twierdzi, że ona tu w Bjórndal jest najsilniejsza. Więc i w tym musi być silna. Ale jak się wziąć do rzeczy?

Któregoś dnia ojciec Dag nie przyszedł na śniadanie do jadalni. Adelajda zapytała pannę Kruse, co się stało. Powiedziała, że wyszedł wcześniej w ubraniu myśliwskim i z torbą z prowiantami na parę dni, jak wybierał się zwykle do lasu.

Nie zdarzało się to od czasu wypadku z Dagiem, a i przedtem już dawno nie spędzał nocy poza domem... Zerwała się czym prędzej od stołu — nie mogła przełknąć nawet kęsa. Kazała sobie przynieść grube ubranie, obuwie i trochę żywności.

Wówczas, gdy po raz pierwszy udała się do lasu, była wiosna i długie dni, teraz jest jesień i noce są długie. Tym razem nie miała tyle odwagi, co wtedy, ale musiała być silna, tak jak ojciec Dag tego od niej oczekiwał.

Stary Bister niedawno zdechł. Adelajda więc kazała Syverowi sprowadzić innego psa o możliwie silnym węchu i poprosiła o długą linkę.

Z tym ekwipunkiem po raz drugi w życiu wyruszyła do lasu.

Jej ostatnim pobytem w lesie był ów powrót z chaty nad Czarnym Jeziorem. Wiosna panowała wtedy w całej krasie i radosny nastrój rozkwitającego świata i jej się udzielał, a teraz była jesień, wszędzie.

O nie! Nie czuła się wcale silna, gdy szła za psem na smyczy. Wciąż węsząc, biegł kamienistym brzegiem jeziora Róisla.

Dawno już minęło południe, a ona nie użyczyła sobie ani chwili odpoczynku, nie .posiliła się. Mijały godziny... Czuła się okrutnie opuszczona i samotna. Z ojcem Dagiem tak wiele znikłoby z jej życia. Był jej jedynym oparciem. Teraz właśnie, podczas tej samotnej wędrówki, odczuła to z całą wyrazistością. I zrozumiała, czym jest dla otoczenia człowiek silnej woli, na którym można się oprzeć z całym zaufaniem.

Ojciec Dag twierdził, że teraz ona jest silna. Mylił się chyba. Może kiedyś upodobni się do babki, ale tymczasem jest tylko słabą kobietą. Wcale nie pragnęła już teraz być najsilniejszą, chce tylko odpoczynku po tych wszystkich ciężkich przejściach; chce być sobą, wątłą i małą, i jeszcze długo przebywać pod troskliwą opieką ojca Daga.

Woda na jeziorze była wzburzona, ale fale szemrząc dopływały do brzegu jakby zmęczone. I nawet w poszumie wiatru odgadywała znużenie, wielkie znużenie.

Pies węsząc biegł naprzód, szarpał linkę, aż nagle zatrzymał się. Wziął wiatr, cicho zawył i puścił się pędem przed siebie. Adelajda musiała biec za nim i to ją wyrwało z posepnych rozmyślań. Rozejrzała się uważnie. W szarej tafli jeziora przeglądało się szare, jesienne niebo, a u jej stóp małe fale rozbijały się o brzeg.

Z wody wyłaniała się wyspa, gęsto obrosnięta potężnymi jodłami. „Wyglądają tak, jakby okrywały sobą jakąś tajemnicę” — pomyślała Adelajda. Ale pies tak ją silnie szarpał, że musiała skupić uwagę na drodze, którą szła. Co chwila jednak wzrok jej powracał na wyspę. Za nią daleko rozciągała się zatoka. Im dalej

Adelajda posuwała się i im bardziej oddalała się od wyspy, tym więcej widać było [pożółkłych, jesiennych łąk. Zauważyła również hen wysoko przy lasku szalas pozostały z czasów, gdy było tu górskie pastwisko. Wyglądał na pusty i niezamieszkały. Szła następnie dłuższy czas przez gęsty las, który zasłonił jej widok na wschód i południe. Wiele godzin upłynęło, zanim klucząc pomiędzy drzewami znalazła się tuż przed chatą. Wargi jej zaczęły drżeć, gdy ujrzała zgrzybiałego starca, rozwieszającego sieci na zewnętrznej ścianie domu. Czynił to wolno, obojętnymi ruchami. Ach, to ojciec Dag. Nigdy nie był tak stary, jak w tej chwili. Podeszła do niego ze łzami w oczach i drżącymi ustami. Usłyszał jej kroki i odwrócił się szybko.

Stali tak i przyglądali się sobie bez słowa przez długi czas. Adelajda smutno patrzyła na tę wyrazistą, kochaną twarz, tak bardzo postarzałą. Jaka rozpacz malowała się w jego bezdennie smutnym spojrzeniu...

I ojciec przyglądał się Adelajdzie. Zawsze była piękna, ale tak urocą widzi ją dzisiaj po raz pierwszy. Jak żywe i głębokie są jej oczy, a zmarszczki na czole i koło ust, które pozostały po ostatnich przejściach, dodawały jej tylko powagi. Ach tak, to twarz matki... To macierzyństwo promieniuje od Adelajdy...

Wreszcie ojciec Dag przemówił pierwszy. Powiedział, że nie powinna była dla niego się trudzić, niewart jest tego.

Adelajda walczyła ze łzami. Pragnęła panować nad sobą, ale głos jej drżał i raz po raz wyrywało się łkanie. Błagała, ażeby wrócił wraz z nią do domu i nie pozostawiał jej samej.

— Dag idzie do lasu, ty robisz to samo... Zostawiacie mnie samą, nie mam z kim mówić. Przecież mógłbyś mi się zwierzyć z tego, co cię trapi, i nawzajem dać mi dobrą radę... I wzajemnie, pókiśmy żywi możemy nieść sobie ulgę w cierpieniach.

Ojciec Dag był bardzo zawstydzony, że z jego powodu odbyła tak daleką wędrowkę i że ma dla niego tyle serdecznego uznania. Odpowiedział jej, że miał dużo do iprzemyślenia i przypuszczał, że tu, w tej samotni, gdzie zna od najmłodszych lat każdy kamień, da sobie prędzej radę z myślami.

Adelajda mimo woli pomyślała o tym co słyszała i czytała o zwierzętach: gdy czują zbliżającą się śmierć, udają się w miej-



sca, gdzie przyszły na świat, i tam ukrywają się, ażeby spokojnie umrzeć. A teraz stary Dag wrócił do swoich lasów...

W końcu jednak zaniósł sieci z powrotem do chaty, zawiesił pod pułapem, zamknął drzwi i wyruszył z Adelajdą w drogę. Wędrowali tak we dwójkę w tej wielkiej samotni lasu odzywając się półsłówkami i czyniąc długie pauzy pomiędzy zdaniami. W końcu jednak coś jakby rozluźniło się w Dagu, zaczął mówić. Słowo po słowie, wolno. Teraz Adelajda pojęła, dlaczego nie mógł sobie dać rady ze słowem „odpuść”. Wzარło mu się ono w duszę i razem z dawniejszymi refleksjami na temat śmierci przywiodło do rozpacz. Bardzo delikatnie pomogła mu i doprowadziła do tego że potrafił się już swobodnie wyrażać. Szli z wolna przez puszcę i góry przytuleni jakby do siebie. Stary mówił, a Adelajda słuchała.

— Wiesz Adelajdo, podczas mego długiego żywota zmieniłem zapatrywanie na życie i śmierć, na ludzi i Boga. Ludzie, którzy mnie mają za przebiegłego i sprytnego w sprawach pieniężnych, przypuszczają, że poza tym do innych spraw odnoszę się naiwnie. Może w pewnej mierze mają rację, ale nie zawsze. W młodych latach przez pewien czas mieszkałem w mieście. Wieczory spędzałem w knajpach lub restauracjach i przysłuchiwałem się temu, co ludzie mówią o świecie i Panu Bogu. Poza tym u Holderów miałem sposobność stykać się z różnymi ludźmi, nieraz i z adwokatami, i innymi wykształconymi osobami. Nie tylko tu w Bjórndal przyszły mi te wszystkie myśli do głowy. W życiu swoim słyszałem tyle różnych poglądów na temat tak zwanej istoty bytu... Że Pan Bóg to tylko wymysł ludzki, że jedynie realną rzeczą jest instynkt samozachowawczy, taki sam, jaki posiadają zwierzęta. Ale jednak różnimy się czymś od zwierzęcia, Adelajdo... Gdy bowiem starzejemy się i nabieramy coraz więcej rozumu, wówczas w każdej chwili życia uprzytamniamy sobie, że musimy umrzeć. A tego żadne zwierzę nie wie. O tym, co ludzie nazywają życiem, istotą życia, wiemy już o wiele mniej. Tak różnie się ludziom dzieje: ze zdobyciem utrzymania, ze zdrowiem i wszystkim innym. Nikt nie wie, jak mu się życie ułoży. A o śmierci niechybnej wszyscy wiedzą; jest to jedyne, czego jesteśmy pewni i do czego możemy bez zawodu się przygotować.

Jedyne, co ma wartość, to nasze rozmyślenia o śmierci i o wszystkim, co jej dotyczy. Nikt mi tego przekonania nie odbierze. Chociaż wiedza o śmierci nie jest, że tak powiem, dotykalna, jest jednak prawdą, jak na przykład to, że żyję i w tej chwili z tobą idę. Oczywiście, jeśli chcielibyśmy istnieć tylko po to, aby jeść i używać życia tak jak zwierzę, to można by i takie istnienie nazwać rzeczywistością. Przyznaję, że i ja tak żyłem jakiś czas, ale teraz, w ostatnich latach żywota, pragnę to wszystko dobrze przemyśleć i zastanowić się nad prawdą, która tkwi w śmierci. Jeżeli po to został nam dany rozum, ażeby każdego dnia życia móc myśleć o śmierci, to pewnie jest on i po to nam dany, ażebyśmy się do niej mogli przygotować.

— Poza tym zostały nam dane siły, myśli, wola i uczucia sięgające ponad śmierć aż do Boga. Trudno mi to wszystko, co czuję, wyrazić słowami, i chociaż może nie zawsze dobieram odpowiednich określeń, faktem jest, że grają we mnie uczucia, które wyrażają się w jednym niezłomnym przekonaniu: nad nami i w nas jest Pan. A to odczucie jest równie prawdziwe i rzeczywiste, jak majątek i pożywienie. I jest tak zakorzenione w mej duszy, stało się częścią mego istnienia, że zapewniam cię, tak jak z tobą tu idę, iż gdyby miało zgasnąć we mnie, padłbym w tym miejscu i nie ruszył się więcej. Potwierdziłoby się wówczas to, co Dag kiedyś powiedział: życie to śmierć.

Głos ojca Daga, zazwyczaj -taki spokojny, przy ostatnich słowach stał się ożywiony, drgało w nim uczucie pochodzące z głębi zbolelej duszy.

Adelajda szła cały czas z opuszczoną głową nic wokół siebie nie widząc, ani ścieżki, ani trawy, ni krzewów obramujących jak niski płot brzegi drogi. Teraz dopiero podniosła głowę i spojrzała w dal na gwiazdy pojawiające się z wolna na pogodnym, granatowym niebie... Zapadła noc.

Znów doszedł do niej głos Daga:

— I oto rozpadł się dach, pod którego osłoną żyłem, rozpadło się przekonanie, o którym ci właśnie mówiłem, i to, widzisz, mnie zadręcza. Już nie ma w mej duszy radości i spokoju, który był dotychczas moim udziałem. Powodem tego jest owo słowo pastora: odpust. Gdy wracałem do domu, bardzo się nad tym zastanawiałem, ale ten szkopuł powracał wciąż na nowo. Staralem się

już raz wyrobić sobie pogląd na życie i na obowiązki podczas trwania naszej wędrówki ku śmierci. Postępowałem wierny tym moim przekonaniom i tak też odnosiłem się do ludzi, wiedząc, że i oni dążą bezwiednie w tym samym kierunku. Starłem się, o ile możliwości, ulżyć im w codziennych troskach, ażeby mieli więcej czasu rozmyślać o Bogu. Obecnie jasno widzę, że to wszystko, co czyniłem, było dyktowane mimowolną myślą ratowania siebie w godzinie śmierci. Czyniłem to po to, ażeby się pogodzić z Panem Bogiem. A jeśli osądzam teraz sam siebie i przyznaję się do popełnionych win, czynię to także w nadziei oczyszczenia się. Wszystko, co czynię, wypływa z nieświadomego wyrachowania, z oczekiwania nagrody niebieskiej. Odpustowe pieniądze, odpustowe myśli, odpustowe czyny, jednym słowem:

odpust za wszystkie grzechy! Powiedz sama, czy można z odpustem kupionym stanąć przed Panem Bogiem? Teraz kontroluję siebie, każdą myśl, każdy uczynek [podejrzewam, że jest czyniony tylko dla własnego dobra. Jestem zakorzeniony w ziemi i nic nie może mnie z niej wyrwać.

Adelajda stale uczęszczała do kościoła i słyszała niejedno potężne, wstrząsające kazanie, poza tym dużo czytała o Panu Bogu w książkach dziadka-biskupa, ale słowa ojca Daga wypowiedziane niezwykle poważnym tonem, drgające beznadziejną rozpaczą w ustach tego mocnego człowieka, były dla niej gorsze od śmierci.

Żadne słowa, które przywiodła pamięć, nie mogły jej pocieszyć; traciły teraz blask nawet wersety z Biblii, których ją uczono, stawały się puste, bo sam ojciec Dag przemyślał wszystko, co było możliwe, zanim doszedł do tego istotnego wniosku. Znała jego zapatrywania, nieraz już je roztrząsali.

Przechodzili koło jednej z letnich obór. Krowy odpoczywały w ciemnościach nocy, korzystały jeszcze z ciepła pomimo zbliżających się chłódów jesiennych. Słysząc było tylko lekki poświst wiatru. Sosny poruszały się majestatycznie, z dala dobiegało skrzypienie wrót. Adelajda i ojciec przelazem w płocie wydostali się na drugą stronę i zaczęli schodzić w dół stromą ścieżką. Ciemno już było w lesie. Nagle żaba wyskoczyła z rowu, jeź przemknął po kamieniach i znikł, poza tym panowała cisza przerywana tylko szumem lasu...

Śnieg już przyprószył szczyt, ale miejscami słońce stopiło go

w ciągu dnia. Najdalsze wierzchołki dalekich gór jaśniały wspaniałą bielą, a tu bliżej ponad hale poprzerzynane urwiskami, ponad brzeziny i zalesione zbocza i przełęcz wyrastała Góra Śmierci. Wierzchołek jej pokryty był śniegiem, który utrzymał się w szczelinach poniżej szczytu, uwypuklając dziwne kształty góry i usprawiedliwiając jej nazwę.

Jesienne słońce złoćło się na zachodzie, potem szybko sczerwieniało i rzuciło krwawy refleks na oblicze śmierci na górze, która z wolna pogrążała się w mroku...

Gdy słońce znikło, od strony gór zerwała się burza. Wyjąc i świszcząc po wrzosowiskach i halach zdawała się czasem przyczajać, aby potem z tym większą siłą rzucić się w doliny. Grzmiała tam za Górą Śmierci i miotając się wściekle, wyrzucała spoza niej na południowe lasy szerokimi falami późnojesienne, mroźne podmuchy.

Adelajda i ojciec Dag stanęli na skrzyżowaniu drogi, na zboczu, skąd można było widzieć osiedle i dwór.

Z niektórych okien padało światło, w półmroku mglisto zarysowywało się dworzyszczce, można go się było raczej domyślić. Również i w osiedlu, i w Hamarrbó świeciło się już gdzieniegdzie. Na firmamencie zaczęły się pojawiać gwiazdy, coraz więcej ich było. W lasach wichura szalała coraz głośniejszą, coraz mocniejszą.

Gdy tak tu stali w ciemności — dwoje udęczonej przez życie ludzi, wsłuchanych w potężny śpiew pralaszów pod wygwieżdżonym niebem — Adelajda uprzytomniła sobie, że ma odpowiedź na wszystkie wątpliwości ojca Daga. Odpowiedź, która jest jakby rozwinięciem i dalszym ciągiem tego, czym on ją niegdyś pocieszał, a brzmi ona: wiara, zaufanie i dobra wola. Ale było jeszcze jedno słowo, o którym ojciec Dag w tych swoich ponurych rozważaniach nie pomyślał. Coś, co łączy tamte trzy, dając im życie i siłę, i pozwala spojrzeć w oczy. Ale skąd wziąć odwagę do powiedzenia mu tego? Pod pewnymi względami nie licuje ono z ojcem Dagem.

Nagle uświadomiła sobie, że jest na to sposób.

Kiedyś bardzo szczęśliwa wracała z lasu z odzyskanym mężem, i w tej chwili rozradowana wracała do dworu stromą dróżką, potykając się co chwila.

Przekasili cośkowiek w stołowym i usiedli w całkowitym mroku przed kominkiem. Ojciec Dag po raz pierwszy od długiego czasu zapalił fajkę; puszczał dym przed siebie i zamyślony wpatrywał się w żar płonącego drzewa. Ulżyło mu na pewno, że mógł się wypowiedzieć i przed Adelajdą, ale widocznie wciąż jeszcze dręczyły go te same myśli, bo opuszczał coraz niżej głowę i nawet zupełnie zapomniał o fajce.

Adelajda wstała i poszła do swego pokoju. Wolno wchodziła po schodach. Czowała się teraz silna. Gdy wróciła, ojciec Dag spojrzął na nią ukradkiem, niosła grubą książkę: Biblię z krzyżem na okładce. Ojciec Dag zarumienił się lekko. Czyżby Adelajda przypuszczała, że nie szukał dla swej udręczonej duszy uspokojenia w Biblii i innych mądrych księgach?

Szła wolnym, uroczystym krokiem. Biblia, którą niosła, była widocznie cennym egzemplarzem. Bezwiednie odwrócił się i spojrzął.

• Podeszła zupełnie blisko i podała książkę.

— To Biblia mego dziadka — powiedziała — był równie silną jednostką, jak ty, ojcze, a jednak nieraz opanowywały go wątpliwości. Znajdziesz w tej świętej księdze notatki pisane jego ręką, czasem całe stronicę; powiedzą ci one, jakim sposobem uzyskał spokój duszy. Tu, na pierwszej stronicy, napisał coś jakby z myślą o tobie.

— O mnie? — zdziwił się, wiedział bowiem, że biskup zmarł przed urodzeniem się Adelajdy. Spojrzął więc na nią pytająco.

— O tobie i każdym innym człowieku. — Po tych słowach Adelajda odeszła do swego pokoju zmęczona przeżyciami ciężkiego dnia. Mimo zmęczenia czuła się szczęśliwsza na duszy niż kiedykolwiek... Pochyliła się nad maleństwami, które smacznie i zdrowo spały w swych łóżeczkach.

Wyszła na balkon, spojrzała w górę na niebo, na którym migotały teraz roje gwiazd. Złożyła ręce i żarliwie modliła się szeptem za ojca Daga na dole w sieni, za męża przebywającego w lesie, za dzieci spokojnie śpiące, za cały dom, w końcu i za siebie samą.

Tymczasem ojciec Dag siedział długo bez ruchu, przyciskając Biblię do siebie. Odczuwał w tej chwili jakby iskierkę nadziei...

Kto wie — może w Biblii biskupa istotnie znajdzie jakąś odpowiedź na dręczące go pytania. Trzeba będzie poszukać.

Po chwili wstał i powędrował z świętą księgą pod pachą do sypialni. Zapalił świecę i zaczął czytać to, co było napisane w miejscu wskazanym przez Adelajdę...

Niebawem przerwał rozczarowany. Przeszedł parę razy wzdłuż i wszerz pokoju z rękami skrzyżowanymi na plecach, podszedł do okna i wyrżał na dwór. Ujrzał bajecznie wygwieżdżone niebo. Spoglądał przez chwilę w górę, potem przed siebie na tonące w ciemnościach osiedle... Gdzieniedzie paliło się jeszcze światło, w Hamarrbó również. Następnie znów zwrócił wzrok ku gwiazdom i zaczął się rozbierać.

Gdy był już przygotowany do snu, podszedł raz jeszcze do komody i przeczytał ponownie to, co było napisane na pierwszej stronie Biblii biskupa. Były to następujące słowa:

Nasze myśli i czyny są tak związane z ziemią, że same z siebie drogi do Boga znaleźć nie mogą.

Ale Bóg nam dał dar modlitwy, która odziewa nasze wysiłki w świetlistą szatę Boże] laski.

Ponad życie, ponad śmierć, ponad gwiazdy wzbija się — powołana Bożym rozkazem — niebiańska droga modlitwy.

I prowadzi nas do celu mimo wszystkich przeciwieństw.

Modlitwa jest droga ludzi ku Bogu.

W aleję prowadzącą do Borgland skrzyła ubogo ubrana dziewczynka, córka jednego z drwali. Obuwie miała utyłane w błocie. Wlokła obojętnie nogi. Człapała po kałużach, nie zwracając na nie uwagi.

Na imię jej było Jonetta, szła z osiedla Sóstu, położonego na hali tuż u podnóża skał Doliny Dziewicy. Od lat już odbywała tę drogę, rokrocznie tego samego dnia, około połowy kwietn'a. Babka jej bowiem mieszkała w gminie i Jonetta wędrowała właśnie do niej z upominkiem i życzeniami urodzinowymi.

Za każdym razem, gdy przechodziła tą aleją, przypominała sobie owo spotkanie z panną Elżbietą sześć lat temu. Nigdy chyba nie zapomni uderzenia szpicruty... Owa zła pannica dawno już nie żyje, ale Jonettę zawsze przyjmuje lęk, gdy tędy przechodzi.

Nagle dziewczyna stanęła jak wryta. Mocno przycisnęła ręce do piersi, jakby się bojąc, aby serce z niej nie wyskoczyło. W bezgranicznym strachu spojrzała w głąb alei — uskoczyła z drogi, kryjąc się za jednym z drzew, i pełna lęku patrzyła przed siebie. Od strony Borgland zbliżał się piękny wierzchowiec... Na nim dama smukła, wyprostowana niby panna Elżbieta. Jonetta słyszała, jak sobie opowiadano, że długi czas po śmierci widywano pannę Gali jeżdżącą na koniu po posiadłości, ale działa się to zawsze podobno o zmierzchu, a teraz przecież był jasny dzień.

Koń zbliżał się równym, miarowym truchtem. Jonetcie się zdało, że dama siedzi na nim sztywno i groźnie. Drżąc ze strachu skurczyła się za drzewem, oczekując w każdej chwili smagnięcia i przez ucho szpicrutą. Zamknęła oczy i przytuliła się do pnia,

tętent słyhać było coraz bliżej. Teraz koń był przy niej, ale nic się jakoś nie stało. Po kilku chwilach usłyszała skrzywienie siodła, chrzęst strzemion i oddalający się stuk kopyt. Niebezpieczeństwo minęło.

Jonetta otworzyła oczy, wyprostowała się i zaczerpnęła powietrza. Tak żywo miała w pamięci tamto okropne zajście, że straciła niemal przytomność. Ale to nie był żaden duch czy zjawa, po prostu młoda pani z Bjórndal we własnej osobie.

Jonetta szybko wyszła na gościniec i wzrokiem śledziła amazonkę. Dużo słyszała o młodej pani z Bjórndal i jej „jedwabnym” koniu, który podobno został sprowadzony z zagranicy, z Anglii, i że w Bjórndal nikomu nie wolno tknąć tego zwierzęcia z wyjątkiem samego ekonoma Syvera Bakpaa. Każdy w osiedlu dużo umiałby opowiedzieć o młodej pani, ale nikt nie odważyłby się tego mówić głośno w jasny dzień. Czyniono to po cichu, w czterech ścianach, koło pieca. Wprawdzie i stary Dag ze swym niezmiernym bogactwem wydawał się tym biedakom w lesie i osiedlu jakąś legendarną postacią, ale to można było jeszcze jakoś zrozumieć.

Natomiast wszystko, co sobie opowiadano o Adelajdzie, przechodziło zupełnie ludzki rozum i pojęcie. W ten sposób zwykli gadać starzy tylko o duchach, strachach i tym podobnych zjawiskach nadprzyrodzonych. Bo też nigdy dotąd nie widziano w tych stronach tak pięknej kobiety. Czeladź dworska mówiła o niej, że otacza ją zawsze zapach świeżych kwiatów. Suknie jej są z tak kosztownego jedwabiu, że szeleszczą przy każdym poruszeniu, a na przyjęcia ubiera się w toalety, które nieomal ukazują ją nagą, taką jak ją Pan Bóg stworzył. A ozdoby i pierścionki z czystego złota błyszczą z daleka. Zawsze wolno chodzi i mówi cicho. Nikt nie wie, czy jest dobra, czy zła, bo mówi zawsze jednakowo — przyciszonym głosem. Włosy ma tak ułożone, że każdy jest co dzień w tym samym miejscu. Nie sypia razem z mężem, lecz osobno we własnym pokoju, nazywanym panińskim. Poza tym szeptano sobie, że jest córką majora dragonów i dlatego tak wspaniale siedzi na koniu, że jest wnuczką biskupa i uczona prawie tak, jak jaki pastor. Wszystkie te opowiadania były zupełnie zrozumiałe, ale szły jeszcze inne gadki o niej, a powtarzając je sobie, ludzie ściszałi głos do ledwie słyszalnego szeptu.



Podobno jest tak silna i wytrzymała, że ani razu nie jęknęła wydając dziecko na świat, a dla męża, powiadają, jest tak niedobra, że sobie z nią rady dać nie może. Raz kiedyś samiuteńka poszła bardzo daleko w las, aż pod wysokie góry, sama ze starym psem. Jak świat światem, żadna kobieta stąd nie uczyniła czegoś podobnego. Ze Złym musi być w przymierzu.

Takie to chodziły pośród ludu słuchy o Adelajdzie. A szedł już ósmy rok od czasu, gdy stała się panią na Bjórndal.

Była wiosna 1817 roku.

Dziś właśnie pojechała konno do Borgland, ażeby powiedzieć „dzień dobry” ciotce Eleonorze Ramer, która zamieszkała tam ubiegłej zimy po śmierci pułkownika. Obecnie ostatnią żywą istotą z rodu von Gallów był już tylko zwariowany brat „Lorenc”. Po śmierci pułkownika cała służba uciekła stamtąd, bo działy się tam nocami piekielne rzeczy, straszło w taki sposób, że niepodobieństwem było w nocy zmrużyć oko.

Panna Ramer przyjechała na święta do Bjórndal. Słyszała o tym wszystkim, co się dzieje w Borgland. Wywnioskowała z rozmowy, że jeśli nikt tam nie będzie mieszkać, zmarnuje się cała gospodarka, w ogóle niebezpieczne i niesłychane jest pozostawić wariata bez opieki. Ojciec Dag na pewno domyślił się słusznie, że ciotka Eleonora podczas inflacji straciła wszystko, co posiadała, i jest w kłopotach materialnych, ale chyba tylko żartem spytał, czyby nie chciała gospodarować w Borgland.

Panna Ramer odpowiedziała bez namysłu, że jeśli ojciec Dag chce ponieść koszty gospodarowania, to ona jest gotowa przepędzić stamtąd wszystkie strachy. Sprowadzono więc jej meble z miasta i stara panna urządziła się w dawnym wielkoipañskim dworze tak gruntownie i planowo, jakby całe życie czekała na to zamieszkanie. Wyglądała jeszcze bardzo przystojnie i wytwornie pomimo pięćdziesięciu siedmiu lat; znać było po niej, że jest córką biskupa i pochodzi ze starej szlacheckiej rodziny.

Z natury była bardzo energiczna, ale skromne warunki materialne i surowe przebywanie w zamknięciu, a wreszcie i staropanieństwo, nie dawały pola do rozwinięcia energii. Osiągnęła więc szczyt swoich życiowych możliwości, gdy wprowadziła się jako władczyni do Borgland.

Gospodarstwo rolne miało być nadal prowadzone pod kierownictwem starego Daga i jego zaufanych z Bjórndal, ale w wielkim, starym dworze codziennie coś trzeba załatwić, a panna Kamer była oswojona i obeznana z robotami gospodarskimi jeszcze od czasów dzieciństwa, gdy ojciec jej mieszkał na wsi. W Borgland na nowo zaczęło się pracowite życie.

Wróciła dawna służba i wszystko szło utartym trybem. Panna Ramer wybrała dla siebie pokój ipanny Elżbiety. Jedna ze starych służących, której zleciła uporządkowanie tego pokoju, zwróciła jej uwagę, że właśnie w nim najbardziej straszy, a gdy to ostrzeżenie nie poskutkowało, dodała, że to z tej komory diabeł porwał żywcem pannę Elżbietę.

— Czas więc najwyższy, ażeby ten pokój został gruntownie przewietrzony — odparła Eleonora i ku ogólnemu przerażeniu zamieszkała w tym właśnie pokoju.

Następnej niedzieli zdarzyła się rzecz wprost niewiarygodna; ktoś zasiadł w ławce przeznaczonej dla właścicieli Borgland. Nawet stary Dag nie ośmielił się tego uczynić, było więc naprawdę niesłychaną śmiałością ze strony panny Ramer zająć to miejsce.

Adelajda tymczasem jechała pod górę aleją wiodącą z Borgland do Bjórndal. Wczoraj przyjechał z wizytą jej ojciec i Dag chciał nazajutrz wydać małe przyjęcie, i zaprosić pannę Ramer. Adelajda skierowała dziś konia do Borgland, ażeby ciotkę zaprosić osobiście i nie odrywać służby od pracy.

Zatrzymała gniadosza przy końcu alei, w miejscu gdzie się wjeżdża na gościniec i zamyślona spojrzała na rozciągające się hen daleko łąki i pola. Od strony jeziora Lysne dochodziło gęganie dzikich gęsi i kwakanie kaczek, które tu wypoczywały w trakcie wędrówki do jezior w górach bjórndalskich. Obok gościńca w stawie porośniętym rzęsą zieloną rozlegał się wesoły, wiosenny rechot żab w mroźnej wodzie. A powierzchnia stawu była mętna od żabiego skrzeku.

Świat budził się do wiosny. Ale oczy Adelajdy były zajęte niezwykłym widokiem i zapatrzone w bezkres sklepienia niebieskiego. Skręciła na gościniec. Ze wzrokiem utkwionym w szyć wierzchowca jechała stępą w kierunku północnym. Nie było

w niej nic radosnego ani w wyrazie twarzy, ani w ruchach, tylko zimne, wytworne piękno.

Z obrośniętych trawą południowych zboczy pod lasem bił niemal letni zapach skoszonego siana. Adelajda miała specjalnie > wyostrzony zmysł powonienia i zapach ten obudził ją z zadumy; w tej chwili dopiero spostrzegła, że na świecie jest wiosna. Zatrzymała konia na szczycie brzoźowego wzgórza i przez dłuższy czas rozglądała się po dolinach.

Tak, wiosna wokoło, wyczuć ją można w pogwarze ptaków, w powiewie lekkiego wiatorku i woni młodych traw, bijącej od rozgrzanej słońcem zieleni.

Również i małego, żółtego motyla, który jej towarzyszył przez całą drogę, zauważyła dopiero teraz, poczuła delikatny zapach brzoź i pierwszy znak budzącego się nowego życia w listowiu: ich ciemnofioletowy odcień. I przez twarz pogrążoną w zadumie przebiegł jakby dreszcz życia. Spostrzegła, że igły sosen nabrały soczystego, świeżego, zielonego koloru, tak samo mchy i krzaczkę jagód w lesie, przez który jechała przed chwilą. Żmija strzeliła z drogi do rowu, wokoło dzwoniły drozdy.

Wszędzie wiosna, powrót do życia, tylko nie w niej. Na polance tuż przed Bjórndal zatrzymała raz jeszcze konia i spojrzała na posiadłość. Niegdyś, gdy zakochała się w Dagu, marzyła o tym dworze. Miała już teraz za sobą siedem lat pobytu tutaj. Przez siedem lat posiadłość ta była jej ojczyzną. Przeżyła tu okres uniesień, nieprawdopodobnego szczęścia i ciężkiego smutku; poza tym długie, długie godziny nie będące ani jednym, ani drugim... zwykłe koleje życia ludzkiego. Lata obfite w przedziwne zmiany. Nie przypuszczała, że los potrafi tak splatać dobro ze złem.

Tak, tu w Bjórndal miała wielu przypaciół, począwszy od ojca Daga, a skończywszy na najprostszym robotniku. Wszyscy się jej kłaniali z największym szacunkiem i podziwem dla jej piękności, •wszyscy okazywali wiele życzliwości. Poza tym miała dwóch synków, którym była potrzebna... Gdy wracała skądś, tak się gorliwie wokół niej uwijali, że aż się rozczuliła na samo wspomnienie. Tak, otacza ją dobrobyt, miłość i szacunek, a pomimo to nie czuje wewnętrznego pragnienia powrotu do domu. Wydaje jej się raczej, że mogłaby tu, w cieniu, pod osłoną drzew stać nieskończenie długo i bezmyślnie wpatrywać się w dom, który

powinien być siedzibą jej szczęścia na ziemi. Mały, żółty motyl fruwał wkoło niej to w dół, to w górę, a ona jakby go wcale nie widziała.

Tej to bowiem wiosny stało się coś, co Adelajdzie usunęło grunt pod nogami i co było powodem, że wszystko wokoło stało się najzupełniej obojętne.

XXXII

•

Ł^ tary Dag przechodził właśnie przez podwórzec bjoerdalski; wracał z pastwisk i lasów w górach. Nie szedł już tak elastycznym, zamaszystym krokiem, jak niegdyś w młodych latach, ale jednak zachował jeszcze coś z mocnego kroku myśliwego. Widocznie miał daleką wędrówkę za sobą, bo znów wyczuwało się w chodzie dawną zręczność i szybkość ruchów. Buty były aż po kolana zabłocone i przemoczone, widocznie chodził po bezdrożach.

Czapkę trzymał w ręku, głowy nie zwieszał, jak to przeważnie bywało w ostatnich czasach. Twarz jakby odmłodziła na wiosennym powiewie, srebrne włosy falowały się wokół czoła i skroni, tak jak to bywa z grubymi, opornymi włosami, gdy je pot zwilży.

U wejścia na podwórze, w miejscu, skąd widać całą aleję, stary Dag nagle odwrócił głowę. Miał jeszcze bardzo ostry słuch: dobiegł go stukot kopyt i zobaczył Adelajdę jadącą w stronę domu z opuszczoną głową, jakby w ciężkim zamyśleniu. Ale nie zachował się tak jak dawniej, nie zatrzymał, ani nie poszedł jej naprzeciw. Wręcz przeciwnie. Poszedł szybko dalej, a wszedłszy do sieni nie powiesił palta na wieszaku i nie usiadł, aby ściągnąć buty, jak to robił zwykle; tak się spieszył, że zapomniał zawiesić czapkę na haku. W zabłoconych butach przeszedł po czysto uszo-rowanej podłodze do swojej sypialni, zasunął rygle przy drzwiach i zatrzymał się na środku jakby nasłuchując. Po szybkim marszu oddychał ciężko. 452

Od czasu Teresy urządzenie sypialni uległo znacznym zmianom. Wprawdzie stało tam jeszcze wielkie rzeźbione łoże o ciężkich zasłonach, stara komoda i wielki, obity żelazem kufer, w którym leżało srebro. Ale przed oknem stał obecnie stół, leżała na nim Biblia i inne książki. Przed stołem postawiono jedno z ogromnych krzeseł, które niegdyś własnoręcznie rzeźbił Jörn Mangfoldig.

Tej zimy ojciec Dag wypalił dużo światła, do późnej nocy siadywał przy tym stole nad księgami. To było powodem, że przyzwyczał się teraz późno wstawać.

Usiadł na krześle, ale nie czytał. Ściągnął buty, wstał, następnie zawiesił kurtkę na haku i bez marynarki, w szelkach tylko, stanął na środku pokoju. Spojrzał na książki leżące na stole. Już dawno nie zaglądał do nich, ale wstydził się przynąć do tego Adelajdzie... i nie oddawał ich jej. Tak więc zostały tutaj.

Adelajda poszła do swego pokoju.

Jak we śnie otworzyła szklane drzwi, prowadzące na balkon i padła tam na fotel wyczerpana wiosennym powietrzem. Tak by się wydawało, że ostatkiem sił przebyła podwórze, trzymając się prosto na koniu.

Chłopcy bawili się w kuchni na dole. Czuła się zupełnie opuszczona w tej chwili, a co gorsza, pozbawiona zupełnie energii.

Widziała, jak ojciec Dag szedł przez podwórze, zauważyła, jak drgnął i przyspieszył kroku, gdy zobaczył ją. Zauważyła również, że nie zawiesił kurtki w sieni i nie zdjął tam zabłoconych butów. Unikał jej, uciekał przed nią.

Nikommu więc nie jest potrzebna na świecie.

Chłopcy mają wprawdzie dopiero po dwa lata i potrzebują jej opieki i troskliwego doglądania. Zabawne maleństwa: gdy im się coś nie udawało lub który się uderzył — przybiegali do niej ze skargą. W ogóle garnęli się do niej, obskakiwali ją, dopóki nie było ojca w pobliżu. Czuła, że będzie z nimi tak samo jak z tamtymi, którzy umarli: gdy ojciec wracał z lasu, jakaś nieprzemożona siła ciągnęła malców do jego wielkiej komory, gdzie były psy i wszelka broń, ogień pod kominem i taki jakiś tajemniczy półcień.

Rzadki gość bywa chętnie widziany. Adelajda czuła, że się w niej rodzi skryta zazdrość o tę miłość

dzieci do ojca. Ostatniej zimy trzymał się z dala od niej, odbywał coraz dalsze wędrówki po lasach, a jeśli zjawiał się w domu, nocował w oficynie jak za dawnych lat. Dawał jej wyraźnie do zrozumienia, że jest mu obojętna, i kiedy ją zastał raz przy kominku gawędzącą z ojcem Dagiem, w oczach jego zjawił się jakby wyraz nienawiści.

Zamieniał z nią tylko najpotrzebniejsze słowa, w ogóle zwracał się do niej coraz rzadziej.

Adelajda nękana przekonaniem, że jest tu zupełnie zbędna, coraz namiętniej zagłębiała się w rozmowy z ojcem Dagiem o bycie pozagrobowym. Pociechą w tych wszystkich zmartwieniach był fakt, że wolno jej było być mu ostoją i pomocą w okresie jego wewnętrznych walk. Różne uczucia ich wiązały i towarzyszyły przy lekturze i rozmowach dotyczących słowa Bożego. Był to jakby narkotyk pozwalający zapomnieć wszystkie zmartwienia i rozczarowania.

Dlatego ciosem stał się dla niej fakt, że ojciec Dag stracił zainteresowanie do tych pogawędek. Że też teraz dopiero to zauważyła! Ślepa była chyba!

Przez pewien czas chwytiała się nadziei, że ten nastrój minie, ale z nastaniem wiosny ojciec Dag coraz mniej znajdował czasu, ażeby z nią przebywać i rozmawiać. W pierwszych dniach kwietnia — (sama odczuwała niepokój wiosenny w atmosferze) — udał się po raz pierwszy od owego pamiętnego dnia w jesieni do lasu. Wyszedł z samego rana, zanim wstała, a wieczór przedtem ani słowa o tym nie wspomniał. Wrócił późno, bardzo zmęczony i natychmiast po kolacji położył się do łóżka.

Powtarzało się to potem dość często, a on zupełnie o tej przemianie swej nie mówił. Zabierał nawet nieraz psa i fuzję i wracał ze zwierzyną. Wstąpiło w niego jakby nowe życie.

Dzień przedtem przyjechał major; ojciec Dag siedział z nim dłużej niż zwykle w sieni. Popijali, Dag słuchał z zajęciem jego barwnych opowieści. Potem zaproponował Adelajdzie, ażeby zaprosiła ciotkę Eleonorę na obiad na następny dzień. Dziś znów z samego rana poszedł do lasu, nie interesując się wcale swym gościem, majorem, a gdy zobaczył Adelajdę na podwórzu, pospieszył, ażeby wejść przed nią do domu i przebrać się. Pewnie znowu cały wieczór przegawędzi z majorem.

Czy przygnębienie ojca Daga wówczas spowodowane było tylko jesiennym nastrojem w przeczuciu zimowych ciemności? A obecna zmiana — czy była jakby wiosenną nadzieją na odrodzenie i nowe słońce? Czyżby w życiu ludzkim nie było nic stałego, niezmiennego, wszystko tylko wszędzie i zawsze przelotne, przemijające? Czyżby nawet ojciec Dag, najmocniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek znała, był podobny do innych? Nieraz obijało się o jej uszy, jak silnie oddziałują na starych ludzi zmiany pór roku: na jesieni i w zimie ogarnia ich apatia i zniechęcenie, na wiosnę zaś wstępuje nowa nadzieja. Czyżby i on temu podlegał? Czyżby człowiek jego typu, zrosnięty jakby z przyrodą, miał tym fluktuacjom podlegać bardziej niż ludzie w mieście?

Niewielką pociechą była myśl, że ku jesieni wszystko może znów powrócić do dawnego porządku. Nadzieja ta była nikła jak nitka pajęcza. Bo po pierwsze nie uważała ojca Daga za zdolnego do tak łatwych przeobrażeń, a po wtóre nie miałyby już do niego dawnego zaufania. To było w niej na zawsze zburzone.

żeby jej choć słówkiem powiedział o tym, co się z nim dzieje! A może sam się w tym nie orientuje? Wyglądało to tak, jakby miał nieczyste sumienie. Unikał jej. Dziś to wyraźnie widziała.

Przeżyciem wyjątkowym, zupełnie osobliwym, było zbliżenie się do niego i poznanie tajnych zakamarków duszy człowieka, który był najwybitniejszym ze znanych jej ludzi. Zapomniała przy nim o troskach i tęsknotach, straciła nawet rozsądek. Teraz czuła się niepotrzebna nikomu...

Po chatach i chałupach góralskich, w osiedlu i w dolinach szeptało sobie na ucho, że Adelajda Bjórndal to kobieta szczęśliwa pod każdym względem, a pomimo to w stosunku do męża jest dumna, nieprzystępna i zła! W przytulnym „pokoju panieńskim” siedzi teraz Adelajda i patrzy tępo przed siebie.

Nigdy nie rozumiała swego męża. Był jakby z innego świata niż ona i wszyscy, których znała. Dawniej była dumna i trzymała się z daleka od ludzi, ale po ślubie i wszystkich przeżyciach ogarnęła ją radość, że posiada człowieka, któremu może się oddać swobodnie i szczerze, bez żadnych hamujących ją względów.

Był to cudowny okres życia, ale trwał krótko.

Daga zaczęła znów pociągać magiczna siła borów. Przemysli-

wała bezustannie nad tym, że może uraziła go jakim słowem lub spojrzeniem. Przecież po tym wypadku w lesie wszystko tak inaczej się układało. Ale potem wydawało się, jak gdyby stale miał się na ostrożności wobec niej czy też wobec samego siebie. Może zadraśnięta duma nie pozwalała mu się do niej zbliżyć, duma, która nie ustąpiła nawet wtedy, kiedy dał się raz porwać uczuciu wobec niej.

Był okres, kiedy odczuwała jakieś podniecające .naprężenie.

Tkwiło w niej jeszcze i sprawiało, że ból z powodu odsunięcia się Daga od niej był dotkliwszy.

Czyżby nigdy nie miała znaleźć klucza do jego duszy i owej mocy drzemiącej w nim skrycie... Musi to być coś niepospolitego, wielkiego, a może to tylko jej przywidzenie? Może nic nadzwyczajnego nie kryje się za tą chłopięcą nieśmiałością? A co by w takim razie znaczyły owe nienawistne spojrzenia w ostatnich czasach?

Tak, na tym jej szczęściu, o którym ludzie tyle sobie opowiadają, kładą się takie cienie, że nic z radości nie pozostaje. Tego ludzie nie wiedzieli, bo Adelajda milczała.

Nieszczęście rzadko przychodzi samo, Adelajda była wstrząśnięta rozdźwiękiem panującym pomiędzy nią a mężem, teraz znów dołączyła się ta przykra zmiana w usposobieniu ojca Daga. Poza tym ma jeszcze inne zmartwienie.

W ostatnim półroczu ojciec jej rzadko przyjeżdżał do Bjórndał. Stary Dag stał się dla niego zbyt święty. Major, pełen życia i werwy, nie czuł się dobrze, jeśli nie mógł zasiąść do stołu przy pełnych kielichach. Adelajda zauważyła już podczas ostatnich jego pobytów u nich, a przede wszystkim wczoraj, że z majorem jest coraz gorzej.

Na przykład wczoraj, gdy przechodziła przez kancelarię do sieni, zauważyła, jak major odwrócony do niej plecami korzystał z nieobecności ojca Daga i nalewał koniaku do wielkiej szklanki od grogu, po czym wypił ją duszkiem. Schowała się szybko za ścianę kancelarii i stała tam dłuższy czas, drżąc ze wstydu i lęku.

Oparła dłonie o balustradę balkonu. Była jeszcze bardzo smukła i zgrabna. Rysy zachowały dawną klasyczną, surową piękność, ale życie pozostawiło na nich ostre ślady. Czoło, które



w ostatnich czasach rzadko się wypogadzało, było poorane bruzdami. Niegdyś przepiękne, równo zarysowane brwi zeszyły się nad linią nosa, tworząc bolesne fałdki.

Suchymi oczami, nie uroniwszy ani jednej łzy, zapatrzyła się w wiosenne niebo, rozpięte nad lesistymi wzgórzami.

### XXXIII

-Adelajda z daleka dostrzegła nadjeżdżający powóz z Borgland i zesłała, ażeby osobiście powitać ciotkę w drzwiach wejściowych; wiedziała, że ciotka od niej tego oczekuje.

Patrząc na obie kobiety nietrudno było się domyślić, że pannę Ramer z Adelajdą łączy bliskie pokrewieństwo. Adelajda była wyższa i o bujniejszych kształtach niż niegdyś ciotka, ale pomimo to podobieństwo było uderzające.

Panna Ramer była człowiekiem zasad. W postępowaniu swym trzymała się pewnych wytycznych: jeżeli na przykład ktoś ją formalnie zaprosił, jak to uczyniła Adelajda, uważała za stosowne okazać swój zachwyt z tego powodu. Zapewniała więc, że od wczoraj aż do chwili przestąpienia progu tego gościnnego domu cieszyła się jak małe dziecko. Na jej zazwyczaj surowej twarzy gościł zalotny, miły uśmiech, ale Adelajda pomimo to czuła, że ciotka bacznie się jej przygląda. Ostatniej nocy prawie oka nie zmrużyła, tak była zmordowana dręczącymi myślami. Najchętniej wypłakałaby się na piersi ciotki i opowiedziała jej wszystko — wielkie i mniejsze troski i zmartwienia — ale nie darmo wyszła ze szkoły swej babki, z twardej szkoły życia. Zapanowała nad sobą i zdołała nawet powiedzieć parę miłych słów na powitanie.

Od czasu owej pierwszej wigilijnej kolacji w Bjórndal aż po dziś Adelajda zasiadała w najróżniejszych nastrojach do stołu w jadalni o ciężkich, rzeźbionych krzesłach, ale nigdy jeszcze nie czuła się taka niepotrzebna, odsunięta od wszystkich i wszystkiego... Usiadła na zwykłym miejscu, na końcu stołu, ojciec Dag siedział na drugim końcu w szerokim krześle, obok niego syn, a po-

między Adelajdą a nim ciotka Eleonora. Major uklonił się ciotce chłodno z daleka i wyraźnie starał się zająć miejsce po przeciwnej stronie stołu.

Było coś osobliwego w tej oziębłej, sztywnej postawie pięciu osób w pierwszym tegorocznym zebraniu rodzinnym. Ojciec Dag unikał patrzenia prosto w oczy, zwłaszcza odwracał głowę, aby nie spotkać spojrzenia Adelajdy. Zwracał się co chwila do swego sąsiada lub patrzył w talerz, Adelajdy siedzącej naprzeciw zdawał się nie spostrzegać.

Ona zaś mogła patrzeć prosto w twarz tylko jednej osobie przy stole: ciotce Eleonorze. Nie miała siły, ażeby spojrzeć w oczy staremu Dagowi, a na piękną, ale zimną i obojętną twarz męża popatrzyła przelotnie tylko jeden raz. Uczuła niesłychane wzruszenie, łzy stanęły jej w oczach. Musiała głęboko zaczerpnąć powietrza, ażeby nie wybuchnąć płaczem z powodu dręczących ją wyrzutów sumienia i poczucia winy. W sercu jej oba te uczucia stopiły się w jeden głęboki ból, gdy zobaczyła jego sztywny i niemły wyraz twarzy. Przeniosła wzrok na swego ojca. Jego czerwona twarz, zwykle wyrażająca zadowolenie z życia i z siebie, obecnie nosiła ślady jakiegoś dręczącego niepokoju i upadku moralnego. Nie była w stanie patrzeć na niego.

Panna Eleonora odczuwała żywą pogardę dla majora od dwudziestu pięciu lat, to jest od czasu, gdy rozwiódł się z jej siostrą, łamiąc wiarę małżeńską, o czym bez ogródek wszystkim opowiadała.

Major nie potrafił nikogo nienawidzić. Przy swych wszystkich błędach posiadał tyle samokrytycyzmu, że zdawał sobie doskonale sprawę ze swych wad. Dlatego sąd jego o innych bywał nader łagodny. Ojciec Dag zauważył już dawno, że major, poruszając w niefrasobliwej gawędzie wszelkie tematy, nigdy o nikim nie powiedział złego słowa. Gdy zaś mówiono o panie Ramer, stawał się lakoniczny.

Niejeden kieliszek przelał się już dziś przez gardło majora, zanim się zdobył na to, by usiąść przy jednym stole z panną Ramer. Kiedy dokonał tego trudnego wyczynu, zaczął pić na nowo, w końcu zupełnie zubożniał na jej mrozące spojrzenia... Gdy wstawali od stołu, był już przy dwunastej kolejce. Nie był w tak wyśmienitym humorze jak zawyczaj, dowcipy jego stały się wymuszone.

Było to spostrzeżenie starego Daga; może mu się tak tylko zresztą zdawało.

Z czyichś ust, może ojca Daga, a może majora, padła propozycja, ażeby kawę i likier wypić w ogrodzie przed nowym domem. Był to piękny dzień wiosenny, słońce grzało niczym w lecie.

Panna Ramer i Adelajda narzuciły płaszcze, panowie byli dość ciepło ubrani.

Z południowej strony domu zieleń pokryła już niektóre krzewy, a w ogrodzie gdzieś niebieściły się na rabatkach przy-laszczyki, które Adelajda wykopała w lesie i przesadziła zeszłego roku. Przed drzwiami prowadzącymi z salonu do ogrodu stał już stół i ławki, podano kawę i ciasto, następnie przyniesiono gotującą się wodę do grogu, cukier i koniak francuski dla panów, a wino dla pań.

Major, gdy sobie dobrze podpił, czuł się wielkim mówcą. Widocznie kiedyś oracja w podobnych okolicznościach musiała mu się udać. Od tego czasu nie dał sobie wyperswadować konieczności przemawiania. W danym wypadku chęćta owa pojawiła się po drugiej szklance grogu. Zastukał w szklanke, wstał, uderzył się w szeroką pierś i chrząknął. Adelajda opuściła nisko głowę. Panna Ramer odwróciła się w inną stronę. Major przemawiał mocno ochrypniętym głosem, patetycznie, ogromnymi zdaniem, gubiąc chwilami treść i wątek; nie zwracał na to jednak uwagi, lecz brnął dalej; mówił o wiosnie i słońcu, wolności i ojczyźnie. Na zakończenie zanucił:

i;. Tor Norge kjempers fSdeland.

Odpędził szybkim ruchem bąka, który mu siadł na czole, i śpiewał dalej tremolującym głosem, z całą powagą:

Vi denne skal vii (Smrae...

Po tych słowach panna Ramer zacięła usta, wstała sztywno z ławki, pozostawiając nie tkniętą szklanke grogu na stole, i zniknęła w drzwiach prowadzących do salonu. Po chwili wstała cichutko Adelajda i śmiertelnie blada poszła automatycznym krokiem za ciotką. Dziwna rzecz, akurat teraz, kiedy ona tu we dworze czuje się taka zbędna, ojciec jej robi z siebie wariata — pijaczyna bez ambicji i honoru.

Młody Dag odwrócił się w stronę Adelajdy, jego zazwyczaj su-4-59

rowe oczy miały wyraz bezradny, współczujący nawet. Gdy zniknęła mu z oczu, podniósł się także i przeszedł z opuszczoną głową wzdłuż płotu przez cały ogród. Zatrzymał się przy ścianie starego domu, gdzie zakryty krzakami stał się niewidoczny dla majora i ojca, i zapatrzył się na osiedle w ten piękny, wiosenny wieczór.

Myśliwy i człowiek lasu, jak on, nie zna się na różnych cienkich sprawach, ale nie uprawia również „gierek”. To, że Dag nie poszedł za odruchem serca, miało głębszy sens. Powinien był udać się w ślad za Adelajdą i pocieszać ją, bo czuł, że zachowanie ojca ją martwi. Powinien był ją objąć i powiedzieć parę słów. Poruszyłby tym zrozpaczoną kobietę do łez radości. Ale on skręcił w inną stronę i wszedł do starej czeladnej. Gdy już zapadał zmierzch, przeszedł z wolna, pochłonięty myślami, przez dziedziniec. Miał na sobie myśliwskie ubranie. Odetchnął pełną piersią dopiero wtedy, gdy już był za pastwiskami i daleko od dworu;

ruszył żwawym krokiem, jakby się uwolnił z oków i kajdan. Szedł swobodny w daleki świat. Uciekał od smutnych myśli i pijanych gości. Na folwarku Utheim był jego pies i fuzja. Była tam ongiś córka dzierżawcy, Borghild, którą dawniej chętnie odwiedzał, ale wyszła przed laty za mąż w inne strony. Gospodarował tam obecnie Gunder przy pomocy starej, mrukliwej gospodyni. Mógł więc Dag idąc i wracając z lasów, z całym spokojem ' tam odpocząć.

Ojciec Dag bezradnym wzrokiem spoglądał za oddalającymi się paniami, a gdy i syn wyszedł, zaproponował majorowi przechadzkę po ogrodzie.

Major objął spojrzeniem flaszki i odpowiedział, że za chwilę pójdzie za nim, a gdy ojciec Dag znikł za pierwszym drzewem, nalał sobie pełną szklankę wódki i wypił pośpiesznie dwoma łykami. Następnie wstał ostrożnie, starał się przybrać zwykłą, wojskową postawę i ruszył za Dagiem, chwiejąc się nieco na nogach. Tamten był jeszcze w pobliżu. Wyglądało, że się wrócił i spotkał z majorem pod nie rozkwitłymi jeszcze krzewami. W oczach starego widoczne było jakieś dziwne zamyślenie, gdy uprzejmie wziął majora pod rękę i poszedł z nim w ogród, odciągając go od stołu z f łaszkami

Od tego dnia zdawało się majorowi, że wydzielano mu trunki w bardzo małej ilości. Stary Dag nie pozostawiał go ani na chwilę sam na sam z flaszką. Podawano mu jednak kieliszek do każdego jedzenia, tak jak to nakazuje gościnność. Za to stary Dag zapraszał go wobec pięknej, wiosennej pogody do dalekich space- „, rów po lasach, na co major chętnie się godził. Odzyskał nawet jakby dawny dobry humor; opowiadał z werwą zabawne historie, pomimo że był całkiem trzeźwy. Żartował z dziewczętami, znajdował nawet miłe i pochlebne słówka dla tak nieprzystępnej osoby, jak panna Kruse, chwalił jej gospodarność i dobrą kuchnię. I major Barre tak jak kiedyś stał się przemiłym, czarującym człowiekiem, któremu nikt nie mógł się oprzeć. Tylko z ciotką Eleonorą nie mógł dojść do ładu. Zapowiedziała, że noga jej nie postanie w Bjórndal, dopóki major tam będzie.

Nie wiadomo, czy to sprawiło żywe usposobienie majora — dość, że stary Dag coraz bardziej tajał.

Gdy po okresie zimowego przygnębienia i powagi pierwszy raz Adelajda usłyszała go śmiejącego się głośno, odczuła jakby ukłucie w serce. Czy uważała to za znak, że stary oddala się coraz bardziej od wspólnych przeżyć i tym samym od niej, czy też może bolał ją ten ogromny przeskok pomiędzy ponurym nastrojem w owe zimowe wieczory, a tym świetnym humorem obecnie — sama sobie z tego sprawy nie zdawała; a może to było jedno i drugie?

#### XXXIV

2) było lato i sionce świeciło nad domami, dolinami i lasami bjórndalskimi.

Długonogi staruszek wędruje wolniutko w prażącym słońcu południa przez puszcę jałowcową koło Steinrud przy zboczach zachodnich rewiru bjórndalskiego.

Wszystko wokoło Steinrud było świetnie utrzymane, nawet puszcza była wypielegnowana jak ogród. Stary Espen Steinrud nie żałował rąk, szpadla i wody, uprzątał stale wszelkie nieczy-

stości i gnój po krowach i owcach. Zawsze tu było czysto, zielono; okolica ta mogła służyć za wzór.

Matka Steinrud sporządzała z pędów jałowca napar leczący rozmaite choroby. Jagód zaś używała do specjalnych nalewek. Cenione więc tu były krzaki jałowcowe. Rosły okazale, otoczone troskliwością gospodarzy. Stary obcinał je równioteńko i stały jeden obok drugiego, smukłe niczym młode dziewczęta.

To tu, to tam. stały przyzmy z kamieni; stanowiły one dowód, jak tu pracowano, ażeby oczyścić grunt i zdobyć go pod uprawę. Niebezpiecznie było siadać na tych kamieniach, bo często zamieszkiwały je żmije. Ale stary, nie bacząc na to, siadł beztróska i rozglądał się wokoło. Przyjemnie było spojrzeć na zielone łąki i poprzez konary drzew. Ze wschodniego zbocza można było ujrzeć osiedle.

Gdyby tak ludzie tam w Steinrud za wzgórzem wiedzieli, kto tu odpoczywa w puszczy, rzuciliby wszystko i przybiegli popatrzeć. Rodzice ich bowiem, pracując we dworze, widywali go niegdyś przelotnie. Ale nikt nigdy nie odważyłby się dokładnie mu przyjrzeć, zaś młode [pokolenie w ogóle go na oczy nie widziało. A każdy dałby nie wiem co za to, ażeby go móc z bliska zobaczyć.

Tutaj w zachodnim rewirze był jeden jedyny raz, gdy po wypadku z młodym panem wracali tą drogą do domu, a i to tylko przechodząc.

Pełno tu było chat drwali, nie sposób uniknąć spotkania z mieszkańcami. Stary Dag, siedząc na kamieniach, oczami bacznie lustrował całą okolicę. Pomimo że w ostatnich dziesiątkach lat zupełnie tutaj nie zaglądał, wiedział, gdzie który z drwali mieszka i jaki to człowiek i robotnik. Wiedział dokładnie, komu trzeba było stale pomagać, a kto nigdy żadnych zasiłków nie żądał. Powiadał go o tym Syver Bakpaa i inni, którzy mieli z tymi sprawami do czynienia.

Steinrud było jednym z większych obejść drwali; w stajni stał koń i wolno go było mieszkańcom używać poza zwożeniem drzewa również do pracy na własnym kawałku pola. Ale byli i gdzie indziej tacy drwale, którzy również korzystali z konia, a jednak wiecznie mieli jakieś niedobory i biedę, a ze Steinrud zawsze był spokój.

Przeгляд „nieruchomości" czynił skradając się za jodłami, ale pomimo to dokładnie obejrzał budynki: sam kazał tu przed paru laty podczas chudych czasów wojennych postawić stajnię i stodołę. Jeszcze teraz mogły uchodzić za nowe.

Reszta zabudowań była bardzo stara, ale zauważył, że porządnie utrzymana; widać, dbano o nie, były wysmarowane smołą, a tam, gdzie trzeba, nie poskąpiono świeżych belek. Stary Dag miał bystre oko i znał się na rzeczy. W Steinrud wszystko błyszczało świętecznie.

Po drodze oglądał również pola i teraz, patrząc na łąki i pastwiska, doszedł do wniosku, że to nie ziemia jest podstawą tutejszego dobrobytu. W polu pełno okruchów skalnych, grunt chudy i kamienisty. Tylko dzielni ludzie mogli w tych warunkach osiągnąć taki poziom.

Stary Dag wstał i ruszył z wolna dalej. Nie miał się do czego spieszyć. Ręce założył w tył i trzymał w nich nóż myśliwski. Nie miał czapki; gęste włosy chroniły głowę przed silnymi promieniami słonecznymi. Przeważnie szedł ze spuszczoną głową, ale czasem ją podnosił ku wierzchołkom drzew i słuchał odgłosów leśnych. Cała ta wędrówka wyglądała jak wypoczynkowy spacer po ciężkiej pracy całego życia i zarazem jak jeszcze jeden przeгляд swoich dóbr.

Pastwisko było ogrodzone. Do furtki daleko. Dag bez namysłu postawił nogę na płocie, uchwycił się wystającej sztachety, podsunął się w górę, stanął na szczycie płotu i jednym susem znalazł się w krzaczkach czarnych jagód, rosnących po drugiej stronie. Nie był to skok młodzieńczy, ale w każdym razie i nie starczy. Ruchy Daga były jeszcze dość elastyczne.

Las był gęsty, jak brody zwisały pnącza z gałęzi, ziemia wilgotna. Po chwili Dag poczuł zapach bagna. Niedaleko stąd musi leżeć Stjernebekk, przez który tak trudno się przedostać. Ale nie przypominał sobie z dawnych lat, żeby tu miały być bagna, nikt mu też o tym nigdy nie mówił...

Dag wspiał się wysoko na zbocze i widział teraz jak na dłoni domy Stjernebekk, poniżej bagna, które minął przed chwilą. Strumień, od którego osiedle to brało nazwę, płynął z drugiej strony moczaru. Niegdyś był tu staw. Teraz zarósł cały, a woda przesiąkała wiosną i jesienią na pola i łąki, zakwaszając grunt.

Teraz Dag zrozumiał, dlaczego tu tak trudno cośkolwiek wyhodować: wszystko dojrzewa później wskutek tego bagiennego fermentu, a potem wczesna zima warzy zbiory pierwszym mrozem. Wiedział już teraz, jak temu zaradzić, w jaki sposób doprowadzić tutejsze pola i łąki do pierwotnego stanu, gdy osiedle to powstało: należy wodę odprowadzić z powrotem do strumienia. Tuż przy bagnie leżał w bieżącej wodzie skalny złom, woda przez ten złom nie znajdowała ujścia. Trzeba więc będzie kazać tu znieść jak najwięcej gałęzi i szczap drzewa, zapalić je, i tak długo podsycać ogień, aż kamień stanie się kruchy i będzie można go połupać i wyrzucić z wody. Następnie trzeba będzie wykopać rowy poprzez moczar, ażeby strumień mógł się dostać do dawnego łożyska.

Gdy stary Dag zjawił się przy stawie, Simen Stjernebekk rąbał drzewo przed szopą. Zasłonił oczy ręką i patrzył uważnie, co to za obcy człowiek schodzi ze zbocza. Potem opuścił rękę i dalej patrzył, i znów przysłonił nią oczy, i jeszcze patrzył... Z wrażenia wypuścił z prawej ręki siekiere, która upadła na ziemię, i zaczął skwapliwie wycierać ręce o spodnie. W końcu pomyślał sobie, że lepiej samemu nie iść naprzeciw wielkim wydarzeniom, odsunął więc kloc i jak błyskawica pomknął w kierunku chaty.

Gdy Dag dochodził do obejścia, Simen i jego żona, jedno tuż za drugim, ukazali się zza węgła chaty. Słyszeli dużo o starym Dagu, wiedzieli, że był bardzo doświadczony, że miał w swoim życiu z wieloma ludźmi do czynienia... W ich pojęciu był to najpotężniejszy z potężnych, a moc jego i wielkość rosły z latami, podczas gdy Simen był zawsze tym najędźniejszym z nędźnych, a żona według dawnego poglądu tylko żoną najędźniejszego. Toteż gdy stary wchodził, odsunęli się w bok, za róg chaty i w drzwi.

Dag wszedł wolno za nimi do środka, siadł na starym trójnogu tak nadwerężonym przez lata użytkowania, że zdało się, iż lada chwila się załamie. Simen wiedział o tym i ze strachu nie mógł wydobyć z siebie słowa, a żona drżąc schowała się za niego.

Żadne z nich potem nie wiedziało dokładnie, co stary Dag zauważył z ich strachu i zakłopotania, a czego nie. Powiedział tylko: — Byłem na górze i rozejrzałem się tam. Przyślę tu ludzi, żeby zrobili porządek z wodą, pola muszą swobodnie odetchnąć.

A jeśli ci czegoś potrzeba, przyjdź do Bjórndal.



Simen i jego żoina długo stali w drzwiach i gapili się za nim, gdy już dawno znikł za drzewami. Nie tyle zachwyciła ich jego obietnica, ile fakt, że wielki pan przekroczył próg ich chaty i siedział na rozhuśtanym stołku.

y

Stary Dag tymczasem kroczył wzgórzami w kierunku domu. Znowu ręce jego bawiły się nożem myśliwskim, ale już nie szedł z opuszczoną głową. Przyglądał się roślinom i drzewom i patrzył poprzez osiedle na swój dwór, który od czasu do czasu wyłaniał się spomiędzy drzew.

Wychodząc z lasu zatrzymał się nagle, usłyszał bowiem głosy dziecięce, pewnie dzieci Stjernebekk ów bawią się na polanie. Starzy myśliwi, przyzwyczajeni do tropienia zwierzyny, gdy dobiegają ich jakieś niejasne dźwięki — ścisząją krok.

Niepostrzeżenie zbliżył się do gromadki, która zwyczajem dzieci krzyczała i hałasowała. Było tam czterech chłopców i jedna dziewczynka, z szyszek i patyczków robili sobie stado bydła. Dag przyglądał im się zza krzaka leszczyny. Najmłodsze z nich zaproponowało, ażeby zrobić niedźwiedzia, który by nastraszył całe stado i spłoszył je. Widocznie dla malca dotychczasowa zabawa była zbyt spokojna. Przyciągnął wielką szyszkę z poodchylanymi łuskami — to miał być niedźwiedź. Ale inne dzieci uważały, że jest zanadto podobny do krowy.

Podczas gdy się tak sprzeczały, stary Dag wyrwał korzeń jałowca, otrząsnął z niego ziemię i kozikiem poprzącinał. Następnie odrzucił nogą z ziemi trochę mchu i dzikich ziół i parokrotnie zagłębił korzeń w ziemi, ażeby poczernić świeżo zastrugane miejsca. Następnie przyjrzał się swemu dziełu. Miało to teraz pewną formę i w porównaniu z krowami z szyszek — odpowiednią wielkość. Wprawdzie miał ten jego niedźwiedź tylko trzy i pół nogi, ale wąsy z korzenia zwieszały się jak najprawdziwsze kłaki. Teraz rzucił swe arcydzieło pomiędzy gromadkę dzieciaków leżących na trawie wokół swojej trzódki. Cała piątka spojrziała w niebo z tak zdziwionymi minami, że Dag z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. W końcu najstarsze odważyło się podnieść niedźwiedzia i pokazało go towarzyszom; wszyscy patrzyli zdumieni na osobliwy stwór. Najstarszy był dość przebiegły na to, ażeby dojrzeć, że został umyślnie wystrugany, wstał więc, rozejrzał się

B\* A lasy wiecznie \*plewaj<

i popełznął na czworakach przez krzaki, ale Daga już dawno tam nie było — zagłębił się znowu w las. Wymykał się nieraz wielkim zwierzętom, nie było więc trudną rzeczą dla niego uciec niepostrzeżenie przed dzieckiem.

Gdy dzieciaki potem w domu opowiadały o tej osobliwej przygodzie i pokazywały niedźwiedzia, rodzice spojrzeli po sobie. Simen wziął zabawkę i postawił jak świętość na najwyższej półce.

Dag doszedł do wniosku, że gdy wieść o jego wizycie rozejdzie się po Stjernebekk, mieszkańcy Steinrud uważać będą za obrazę, że przeszedł koło ich domu i nie wstąpił. Ponieważ biegł, ażeby się ukryć przed dziećmi, było mu gorąco i czuł się zmęczony, ale trudno, trzeba będzie spełnić ten obowiązek. Więc raz jeszcze wdrapał się na strome zbocza, ale przed wejściem do chaty przysiadł, ażeby odsapnąć.

Widocznie widzieli go już z daleka przez okno, bo gdy wchodził, siedzieli uroczyście, a potem podnieśli się z szacunkiem. Nie wydawali się zaskoczeni, jak Stjernebekkowie. Była w nich jakaś pewność siebie i opanowanie, które zawsze im dopomagało w życiu; dzięki niemu przybywali z uderzeniem wyznaczonej godziny do pracy w polu podczas żniw czy do wyrąbywania drzew w lesie; ono też pozwoliło im zachować zimną krew w obliczu tak nieoczekiwanego zdarzenia, jak przybycie starego Daga. Pięknie, sam stary gospodarz, pan ich, zjawia się u nich; dobrze, oni zawsze sumiennie wypełniali swoje obowiązki i nie mają się czego obawiać.

Stary Espen kilkakrotnie już potarł prawą dłoń o spodnie, tak jak to powinno się czynić przed należnym podaniem ręki, ale czekał, aż pan jego pierwszy ją wyciągnie. Po chwili Dag podał rękę jemu, żonie i córce; synów nie było; wyszli na połów pstrągów. W tym domu żona nie chowała się lękliwie za męża. Przyniosła patelnię z zimną, przysmażoną już słoniną, położyła dwie szczapki drzewa na stole czyściutko wyszorowanym i postawiła na nich naczynie, tak jak to było w tych stronach w zwyczaju. Następnie ukrajała parę kawałków chleba, a mąż jej sięgnął do szafy po wódkę.

Dag głodny był po dzisiejszej wędrówce — od wczesnego rana pozostawał w ruchu, poza tym pomimo wielkiego dostatku, jakim był otoczony od tylu lat, lubił przebywać w towarzystwie ludu.

Smarował więc sobie grubo słoniny na chleb i polem wypał z Espenem dwa czy trzy kieliszki.

Wszystko w tej chacie utrzymywano w porządku; w oknach były nawet szyby. Dag się głowił, w czym można by tym ludziom przyjść z pomocą. Gdy już zamierzał się żegnać, żona szepnęła cos Espenowi do ucha.

W latach najgorszej inflacji stary Dag za wszelkie papierowe pieniądze od razu kupował żywy i martwy inwentarz i rozsyłał po chatach drwali. Do Steinrud posłał trzy krowy, osiem owiec i koszy kur. Espen przy pożegnaniu zahaczył o te zwierzęta i spytał, kiedy Dag pragnie je otrzymać z powrotem.

— Dziękuję wam za śniadanie — odpowiedział Dag podając im rękę i poszedł.

W ten sposób odwiedzał wszystkich swoich dłużników-drwali i rozglądał się, jak gospodarują.

Do Stjernebekk przybyli robotnicy z końmi, nazwozili mnóstwo gałęzi i drzewa; Simen, jego żona i starsze dzieci musiały na zmianę pilnować ogniska koło złomu skalnego w strumieniu, aż do jesieni. Potem najsilniejsi parobcy ciężkimi kilofami próbowali ukruszyć kamień, ale nie udawało im się jakoś. Wygładzona przepływającą wodą skała była niesłychanie twarda. Ażeby ją trochę skruszyć od zewnątrz za pomocą ognia, trzeba długotrwałego wysiłku. Usiłowali dostać się do niej od spodu, by tam rozniecić płomień, ale był to płaski głaz, bez szczelin, tak że trudno było go obrócić w inną stronę. Wszyscy wiedzieli, że nie można mówić Dagowi, iż coś jest nie do zrobienia... Pozostawała jedna możliwość: na przyszłe lato wziąć się do tej samej roboty.

Wiele padło przekleństw na bagno, wodę i Simena Stjerne-bekka, jedynie imię Daga było nietykalne.

Minał rok. Trzeba było spełnić życzenia starego. Zręczny, silny chłopak ze Steinrud wziął się latem do tej roboty, biorąc do pomocy Simena i jego najstarszego syna; kazał im bezustannie pilnować ognia, dzień i noc musi być żar, ażeby rozgrzał się grzbiet kamienia. Robotnik przyniósł z Bjorndal żelazną sztabę, dłuto i młot. Tak długo pracował, aż wywiercił pierwszy otwór w rozżarzonego bloku. Od tej chwili nie ustawał w pracy, tygo-

u\*

dniami nie spał i nie jadł prawie, aż w opornym kamieniu powstała wielka szczelina. Pracowało zeszłego lata nad tym wielu ludzi, kleli i wymyślali, na czym świat stoi, ale żaden nie przystępował do tego z takim zapasem cierpliwości i wytrwałości. Ten zaś chłopak nic nie mówił, lecz rzeczywiście pracował.

Następnie z pomocą Simena i jego rodziny ułożył przez środek moczaru drogę z pni, gałęzi i igliwia, prowadzącą aż do małego jeziora, gdzie pluskało się parę tłustych pstrągów, pozostałych z czasów, kiedy tu była świeża, bieżąca woda.

Pracował potem aż do późnej jesieni nad skierowaniem wody do dawnego łożyska. Początkowo woda zalewała mu pracę przy kopaniu rowów, pojechał więc do Bjórndał, porozmawiał z Syverem. Nadeszły potem całe fury pali i odpadków drzewnych, którymi ostemplował ściany rowów.

Gdy w okresie jesiennych deszczów bagno przybrało i szkodliwa woda miała wylać się na pola — Simen i ów dzielny robotnik stali w pewien deszczowy wieczór nad łożyskiem strumienia, w miejscu gdzie torf ciasno zbijał się przy skale. Przekopali byli już rów aż dotąd i tu właśnie chcieli położyć kawałek rynny. Kopali więc i rąbali, aż woda zaczęła z wolna ciec do dawnego łożyska. Nie runęła z szumem, który byłby wspaniałym uwieńczeniem ich żmudnej pracy, początkowo było to tylko przeciekanie, wątlutkie sączenie.

Deszcz lał jak z cebra; najlepiej byłoby schronić się pod jakiś dach. Simen miał na to wielką ochotę i powiedział to towarzyszowi. Wówczas tamten wlaź do rowu, stanął po pas w wodzie i z wściekłością odrzucał torf na obie strony. Ale Simen nie należał do typu ludzi, których by taki przykład mógł zarazić. Pozostał ze swym szpadlem na brzegu. Z nastaniem nocy odłożył go i chciał iść do domu po wieczerzę. Tamten z rowu wcale na to nie zareagował, tylko kopał i kopał, odrzucając energicznie torf na obie strony.

Simena długo nie było; gdy w końcu wrócił, tamten wykonał nieprawdopodobny kawał roboty. Coś niecoś zjadł i pracował dalej.

O świcie znów Simen zaczął coś bąkać o pójściu do domu. i powrocie pod dach, lało bowiem, jakby puściły wszystkie śluzę niebieskie.

— Jeszcze tylko jeden pokład pozostał — odpowiedział tamten i kopał dalej. Więc musiał i Simen wziąć się do roboty, ale nie-sporo mu jakoś to szło; tamten wkopywał się coraz dalej.

W końcu deszcz przestał padać, słońce koło południa zaczęło wyglądać zza chmur, gdy dzielny robotnik przy pomocy silnego ciśnienia wody odrzucił wreszcie w górę na kamienny brzeg ostatnią łopatę torfu.

XXXV

( ) świcie dwaj malcy wyszli z pokoju młodszego Daga. Pozostawili otwarte drzwi za sobą i podreptali boso w długich koszulkach w kierunku schodów. Jeden z nich wspiął się na palce, aby dosięgnąć wysokiej poręczy, drugi wziął go za rękę i w ten sposób zeszli ze schodów i znaleźli się w sieni. Stali przez chwilę nasłuchując, wszędzie było cicho, jak makiem posiał. Podeszli do drzwi bawialni; z wielkim wysiłkiem nacisnęli ciężką klamkę. Znów nasłuchiwali, bo dobiegł ich jakiś regularny hałas, niby pomruk grzmotu, czegoś podobnego jeszcze nie słyszeli. Ale wzięli się za rączki i przeszli przez bawialnię aż do drzwi komory sypialnej. Grzmienie pochodziło z sypialni dziadka. Zatrzymali się na chwilę, uśmiechając się do siebie. O, wymyślił sobie coś znowu, ażeby ich przestraszyć.

Długo stali przy drzwiach, w końcu jeden wspiął się na paluszkach i dosięgnął w ten sposób klamki. Udało mu się ją nacisnąć, ale wymknęła się w tej samej chwili z rączki i z hałasem odskoczyła w górę, a drzwi się raptownie otworzyły. Grzmiące chrapanie ustało w tej chwili, chłopcy przerażeni spojrzeli po sobie, przelękli się trzasku klamki i nagłej ciszy. Znikły uśmiechy z twarzyczek; jeszcze bardziej zrzędy im miny, gdy usłyszeli trzeszczenie łóżka i szelest bielizny. A gdy po chwili usłyszeli kroki bosych nóg zbliżających się ku nim, byliby się najchętniej zapadli pod ziemię.

459

Drzwi się otworzyły na oścież i stanął przed nimi dziadek w długiej nocnej koszuli. Zdawał się im jeszcze wyższy niż zazwyczaj. Miał grube, czerwono-niebieskie nogi, pokryte siecią nabrzmiałych żył, a łydki aż po kostki porośnięte były długim włosiem. Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widzieli. Włosy W nieładzie opadały mu na czoło, a koło uszu sterczały do góry. Oczy z początku wielkie i zagniewane, teraz stały się przyjacielskie. Naprzód machinalnie przyglądał włosy, tak że ułożyły się w zwyczajne fale, potem schylił się do malców, uśmiechnął się melancholijnie i wziął każdego z nich na rękę. Pod osłoną tych silnych ramion chłopcy od razu zapomnieli o tym, co w dziadku wydało im się przed chwilą odstręczające. Było miłe i zupełnie nowe, gdy ich zabrał następnie do swego łóżka i leżał pomiędzy nimi. Zauważyli, że tu inaczej, ostrzej pachnie niż w łóżku matki czy ojca, ale zaraz o tym zapomnieli i wpatrywali się z zaciekawieniem w dziadka, który się zwracał to do jednego, to do drugiego i gawędził z nimi.

Gdy malcy pytali o ojca w czasie jego nieobecności, zawsze im odpowiadano, że jest w lesie. Gdy pytali o często nieobecnego dziadka, otrzymywali niekiedy odpowiedź, że pojechał do miasta albo że jest na osiedlu, najczęściej jednak, że także jest w lesie. W lesie, do którego zabroniono im chodzić! Za każdym razem, gdy się tam wybierali, zjawiał się ktoś ze starszych i zabierał ich z powrotem do domu. Mówiono im, że mogą tam zabłądzić, wpaść w bagno lub stoczyć się ze zbocza. A poza tym są tam niedźwiedzie. Zanudzali ojca, aby ich wziął kiedyś ze sobą. — Owszem — odpowiadał im niezmiennie — jak będziecie starsi. — Męczyli więc dziadka. — Za parę lat — odmrukiwał niechętnie. Ale ubiegłego wieczoru obiecał w sposób nieco roztargniony: — Jeżeli natychmiast pójdziecie spać, abyście jutro wcześniej wstać mogli, to będzie spacer do lasu! — Chłopcy budzili się bardzo wcześnie. Adelajda posyłała ich wówczas obok do pokoju Daga, tam bowiem były ich zabawki: drewniane konie, fuzje i toporki z drzewa, wycinane przez ojca, dziadka lub któregoś z parobków. Bawili się tam rankiem, hałasowali, a matka drzemała jeszcze trochę, mając jednak na nich baczenie.

Dziś pełni oczekiwania obudzili się jeszcze wcześniej niż za-

zwyczaj i w koszulach przebiegli pokój ojca i schody aż na dół, aby pilnować dziadka. Obawiali się, że im sam do lasu ucieknie.

Dziadek w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, co mają na myśli wspominając jakąś wyprawę do lasu; dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie dane im niebacznie wczoraj przyrzeczenie, aby namówić ich do łóżek. Przypuszczał, że prześpią tę sprawę, ale teraz spodobało mu się, że obietnica wycieczki tak bardzo ich zainteresowała.

Miał jeszcze ochotę na małą drzemkę i starał się ich uśpić, ale kręcili się niespokojnie po łóżku i wciąż podnosili główki. Rozmyślał, jak by się wykręcić od wczorajszej obietnicy, ale po chwili dał temu spokój. Dziadek musi pozostać w ich wspomnieniu jako człowiek słowny. Wprawdzie mieli dopiero trzy i pół roku, ale świetnie biegali, mieli mocne nogi i będą mogli z nim przejść kawałek. Może Adelajda będzie temu przeciwna, ale trzeba i to przewyciężyć.

Chłopcy wpadli jak bomby do pokoju Adelajdy i oświadczyli, że dziadek zabiera ich do lasu i pójdzie sam, jeżeli się szybko nie ubiorą. Matka starała się ich uspokoić, krzyczała, groziła różgą, jeśli w tej chwili nie pójdą do pokoju ojca i nie będą się dalej bawić. Ale z taką pewnością siebie mówili o wyprawie z dziadkiem do lasu, iż pojęła w końcu, że musi być w tym coś prawdy.

Nie chciała iść do niego, aby go o to pytać. Ubrała więc chłopców; jeśli jest inaczej, niż twierdzą, to w każdym razie będą już ubrani na cały dzień.

Ojciec Dag stawał się dla niej coraz bardziej zagadkowy. Teraz zapragnął nagle być pierwszym, który pokaże dzieciom las. Chodziła z chłopcami na pastwiska, ale nie miała odwagi zagłębiać się w lasy. Sama teraz pojąć nie mogła, skąd w swoim czasie miała odwagę do owej dwukrotnej niebezpiecznej wędrówki. Ale było jeszcze tyle innych spraw, których również pojąć nie mogła!

Zeszłej jesieni na przykład czekała z utęsknieniem na tę szczęśliwą porę, kiedy ojciec Dag stanie się taki poważny jak przedtem, i powróci do książek, rozmyślań i tym samym do rozmów z nią. Rozmowy te krzepiły ją na duchu i kołysły jak przebywanie w kościele. To, co opowiadał o swoim bujnym długim życiu, o walkach i trudach, splatało się z jego wypowiedziami o życiu

i śmierci i tworzyło co wieczór nad ich głowami jakby świątynne sklepienie.

Tak, żyła nadzieją, że to powróci teraz przy zbliżającej się jesieni, pożółkłych liściach zaścielających pola. Z napięciem oczekiwała, że ojciec Dag zatęskni do tego, co było jej największym przeżyciem, a stało się odtąd nicią przewodnią.

Tej nocy szalała burza. Długo nie mogła zasnąć, wsłuchując się w jej potężne odgłosy. Odpowiadały jej wewnętrznemu nastrojowi. Zdawały się unosić ją poprzez życie i czas w wieczność.

Życie i czas nie pytały o nią — nikt jej już nie potrzebował. Może dzieci jeszcze przez pewien czas, ale i to nie potrwa długo.

Myślała o tym ubierając chłopców, a gdy wkładała im buciczki, łzy zaczęły spływać z jej oczu.

Nie mogła pojąć decyzji Daga. Na pewno słyszał szalejącą w nocy burzę, to nie mogło ująć jego uwagi... I pomimo to z najmłodszymi latoroślami ich rodu chce udać się do lasu naprzeciw żywiolowi?

Ojciec Dag oczekiwał dzieci w drzwiach bawialni. Zazwyczaj jadały w kuchni, ale dziś tutaj nakryto dla nich.

Od chwili zjawienia się chłopców o świcie, aż do tej pory, gdy po raz wtóry zjawili się już ubrani, różne myśli przychodziły ojcu Dagowi do głowy. Gdy leżeli w łóżku, Torgeir przysunął się bliźutko do dziadka i przytulił do jego twarzy swój ciepły policzek. Ojciec Dag na twardej drodze swego życia niewiele doświadczył czułości i ta mała, ciepła buzia obudziła w nim marzenia z najdawniejszych lat.

Postanowił więc przede wszystkim, że odtąd chłopcy z nim razem będą jadać. Dotychczas dawano im jeść w kuchni, aby dziadkowi nie przeszkadzali. Ale teraz on sam chce, aby mu przeszkadzali. Chce mieć te ruchliwe, małe istotki przy sobie. Od dziś wprowadza zwyczaj: chłopcy jedzą śniadanie z nim razem.

Ojciec Dag siedział w wielkim fotelu na honorowym miejscu przy stole, chłopcy klęczeli na krzesłach, jeden z prawej, drugi z lewej, strony obok niego. To był najpiękniejszy dzień ich życia. Dotychczas nigdy na śniadanie nie dostawali jajek, a teraz dziadek przekrajał jajko na połowę i każdemu rozsmarował po chle-



bie. Powiedział, że muszą dużo jeść, bo przechadzka po lesie jest męcząca. Nie zauważyli, że dla dziadka jaja już nie było.

Gdy już znaleźli się w przedpokoju gotowi do wyjścia, ojciec Dag zastanowił się chwilę, potem zdjął fuzję z haka i przewiesił ją sobie przez ramię. W tej chwili chłopcy jak strzały wbiegli po schodach na górę. Na pytanie dziadka, po co idą, odpowiedzieli jednogłośnie: — Po nasze fuzje!

Gdy wrócili ze swymi drewnianymi fuzyjkami, zaczęli się martwić, że nie mogą ich sobie przewiesić przez ramię tak jak dziadek. Musiał więc pójść z nimi przez podwórze do stajni i dać każdemu z nich po kawałku rzemienia. Gdy opuszczali stajnię i szli przez podwórze w kierunku północnym. Adelajda stała w oknie bawialni. Na czele szedł ojciec Dag wyprostowany jak za najlepszych lat, z fuzją na ramieniu i z plecakiem. Tuż za nim maszerował Torgeir, drewniana strzelba wystawała mu ponad główkę, parę kroków za nim szedł mały Dag.

Adelajda domyśliła się, że malcy widocznie razem z dziadkiem zjedli śniadanie. Jak się musieli cieszyć! Każdy tu ma swój udział w radości, każdy otrzymuje swoją część życia, ją tylko wszystko omija i zostawia na boku. Jest niepotrzebna.

Na szczycie wzgórza na zachód od Utheim rozciąga się polanka. Z południowej strony grunt jest tam skalisty i pełen kamieni, ale są i miejsca porośnięte trawą, gdzie pasą się owce. Tam odpoczywał ojciec Dag z chłopcami. Posilali się. Chłopcy byli zachwyceni przysmakami, które dziadek wyjmował raz po raz z torby. Przez ostatni kawałek drogi trochę marudzili z głodu i pragnienia. Ale dziadek nie folgował im, chciał od początku przyzwyczaić ich do wytrzymałości niezbędnej do wypraw leśnych. Chciał spróbować, czy bez wypoczynku dojdą do polany, i malcy dzielnie dreptali za nim cały czas.

Ojciec Dag ubrał się ciepło, bo była jesień, a pogoda wietrzna; liczył się również z tym, że będzie musiał z malcami wolno chodzić i często odpoczywać. Rozciągnął się teraz na skalnej płycie rozgrzanej słońcem i wsłuchiwał się w poszum wiatru, który dał poprzez polankę i otwarte miejsca w dolinę, a w wysokim lesie huczał lub cichł na przemian. Chmury pędziły po niebie, wiatr je rozpędzał, rozrywał na strzępy, ale po chwili wyłaniały się

inne. Z zadowoleniem patrzył na chłopców, którzy nasyceni bawili się spokojnie koło niego. Postanowił odbywać z nimi częstsze przechadzki po lesie. Nagle zerwał się lekko, wyjął nóż i odciął kawał jedliny z drzewa rosnącego ponad skalną płytą. Zwinny -| jak młodzieniec, skoczył pięć kroków naprzód, położył gałąź na ziemi i przygniótł ją nogą. Następnie zwrócił się do malców, gładząc sobie przy tym włosy.

— Co wy tam robicie? — zawołał. — Chodźcie tutaj, zobaczycie coś zabawnego.

Przybiegli zaciekawieni. Dziadek bowiem całą drogę opowiadał im o różnych kamieniach i roślinach, o drzewach i ptakach, pokazywał ślady zajęcy i lisów, tchórzy i najrozmaitszych zwierzątek leśnych. Mieli nieograniczone zaufanie do jego wiedzy i umiejętności.

Wskazał im gałązkę na ziemi i sipytał, czy potrafiliby ją poruszyć?

— Ale nie wolno jej dotknąć — zastrzegł się, gdy chcieli ją chwycić w ręce. — Bo to nie byłaby żadna sztuka.

Nie rozumieli, o co dziadkowi chodzi. Patrzyli na niego zaciekawieni. Stary kilkakrotnie tupnął nogą, mamrocząc coś przy tym. Gałązka poruszyła się nieco, a po chwili strzeliła po ziemi. Zatrzymała się dopiero w cieniu krzaka jałowcowego. Takiego dziwu jeszcze malcy, póki żyją, nie widzieli. Spytali, czy dziadek potrafi raz jeszcze w ten sposób ruszyć gałązkę z miejsca.

— Może — odparł — jeszcze jeden jedyny raz. Trzymali się mocno jego ręki, gdy podchodzili z nim do ga- | łązki. Troszeczkę się bali, to było takie tajemnicze! Dziadek znów | tupnął parę razy nogą i wydał jakiś dziwny dźwięk. Gałązka ruszyła z miejsca, pomknęła i zatrzymała się dalej, pod innym krzakiem.

— No, trzeci raz już się nie uda! — mruknął dziadek. — Zresztą czas do domu!

Posłał ich po plecaki; ledwie się odwrócili, podbiegł do gałązki i zdjął ją z grzbietu jeża, który z nią przedtem wystraszony uciekał. Potem przed chłopcami jeszcze dobiegł do naładowanej flinty.

Szli ku domowi leśną ścieżką. Trzymając się spodni dziadka, z każdej strony dreptał jeden malec. Stary niósł w ręku strzelbę

i taką miał minę, jakby szykował jakąś niespodziankę. Malcy wyteżyli całą uwagę, patrzyli raz po raz za siebie, to znów na dziadka; starali się przy tym trzymać swe drewniane fuzyjki w taki sam sposób jak dziadek. Ojciec Dag upominał ich, ażeby nie mówili i nie deptali po chruście. Naprężenie zdawało się chłopaczkom teraz prawie nie do wytrzymania. Wracali przez większy gąszcz inną drogą. Chwilami było jasno, to znów zapadała ciemność, na przemian szumiało coś groźnie i nastawała cisza. Wszystko razem straszne i tajemnicze.

Na zakręcie przed wejściem na polankę usłyszeli jakiś dziwny, skrzypiący dźwięk jakby [pocierającej się osi i nim się zorientowali, co to może być, padł nad ich główkami strzał, który długo jeszcze echo niosło. Zatrzymali się za dziadkiem przerażeni, a potem pędzeni strachem rzucili się do niego i objęli go za kolana.

— Pobiegnijcie za osikę — powiedział — znajdziecie tam na ziemi wielkiego ptaka.

Trochę się bali, ale pobiegli co sił w nóżkach. Długo musieli szukać, bo ptak nie leżał koło drzewa, ale trochę dalej; w końcu go znaleźli.

Widok tych drobnych istotek na tle polanki pokrytej pożółkłym listowiem, tonącej w jesiennych kolorach, tych malców, którzy trzymali głuszca z każdej strony za skrzydło i z trudem ciągnęli go po ziemi — tak wzruszył ojca Daga, że zamrugał oczami i wytarł nos.

Wędrując tak weszli na jeden z grzebieni, gdzie kiedyś przed laty wybuchł wielki pożar. Tu i ówdzie na szerniałych kamieniach rosło nieco mchu, tu i tam stały jakieś zeschnięte pniaki, gdzieś widać było resztki popalonych drzew. Ojciec Dag siadł, otworzył plecak; jednym susem obaj chłopcy znaleźli się przy nim jak dwa małe pieski. Radość i zadowolenie rozgościły się na twarzy dziadka, gdy obserwował malców. Każdy otrzymał coś do zjedzenia. Spożywali swoje porcje z zapalem. Pierś mu się poszerzyła z dumy, a przy oddechu wyrwało się z najgłębszego wnętrza coś jakby „Panie Boże”. Malcy podnieśli głowy i spytali, co powiedział, ale dziadek potrząsnął tylko głową i jadł dalej.

Gdy pakował potem plecak, malcy zjeżdżali po mchu ze zbocza w dół. Taka to była wspaniała zabawa, że nie mieli czasu patrzeć na to, co dziadek robi.

Zawiesił na ramieniu fuzję, zarzucił plecak i przywołał ich; schodził wolniuteńko ze zbocza, jakby się obawiał, że może upaść na śliskim mchu.

Chłopcy zaczęli nasłuchiwać. Trzymali dziadka za ręce i— coś tajemniczego działo się za nimi. Obejrżeli się zaciekawieni.

— Co to? Co to? Dziadziu? — pytali starego.

Dag obejrzał się i spostrzegł, że przeraźliwe i zagadkowe trzaski pochodziły od jednego z pniaków na samym szczycie, jakby sam ze sobą coś gadał. Dymiło się stamtąd, a chwilami nawet iskry strzelały w górę. Coś wewnątrz mruczało, syczało i kotłowało się. Po chwili buchnęły płomienie i dotychczasowe szmery i głuche detonacje przeobraziły się w ogłuszający huk. W końcu zawyło coś przeraźliwie, jakby ryknęło z bezsilnej wściekłości.

Chłopcy stali długo, urzeczeni tym niezwykłym zjawiskiem. Jakoś nie całkiem dowierzali dziadkowi — krążyli wkoło niego i podnosili ku niemu zdziwione oczka. Wydawał z siebie podobne głosy, co i palący się pień. Był wyraźnie rozbawiony, widzieli, że z trudem powstrzymuje wybuch śmiechu.

Palił się pień dębowy; twarde drzewo ma długi żywot. Upłynęło sporo czasu, nim pień spopielił się doszczętnie, i ojciec Dag dopiero wtedy ruszył w dalszą drogę. Starannie zasypał i przydeptał tłące się resztki.

— Nie wolno odchodzić od palącego się ognia — przestrzegał. Ta wędrówka z dziadkiem po lasach pozostała im na zawsze W pamięci, było to jedno z najmiłszych wspomnień dzieciństwa. Ojciec Dag był bożyszczem dla wszystkich ludzi w lasach i dolinach, a po tym spacerze stał się nim również i dla malców, chociaż z zupełnie innego powodu...

XXXVI T

-ł ego wieczoru Adelajda wchodziła zmęczona na schody prowadzące do jej pokoju. Zapaliła świecę i przejrzała się w lustrze. W oczach jej świeciło jakby nowe życie, a ociążałość nie była w tej chwili apa-

tią czy zniechęceniem, ale zdrowym zmęczeniem po ciężkiej całodzienniej pracy. Życie pociągnęło ją znowu, jej siły i umiejętności mogły być przydatne...

Panna Kruse, zazwyczaj taka odporna i wytrzymała, nagle pod koniec lata zachorowała i obecnie na jesieni musiała przez pewien czas pozostać w łóżku. Na Adelajdę zatem spadły po raz pierwszy obowiązki gospodarskie.

Praca ta sprawiała jej wielkie zadowolenie, wykonywała ją bardzo chętnie. Mogła tym dowieść, że potrafi wziąć się do pracy, gdy zachodzi tego potrzeba.

Wielkie było poruszenie i zdziwienie w kuchni i czeladnej, gdy zaczęła sama zajmować się gospodarstwem i wydawać swym cichym, delikatnym głosem zlecenia. Pod jej nadzorem wszystko było wykonywane szybko, spokojnie i bez zbędnego gadania. Szacunek, z jakim się do niej odnoszono, odczuwała jak tchnienie lepszego, nowego życia. Stała w swym pokoju przed lustrem i chciała, tak jak to już czyniła nieraz, wejrzeć w głąb swej duszy, ale po chwili odwróciła się i zaczęła chodzić tam i z powrotem. Niestety, lustro nie odbijało jej stanu wewnętrznego, oczy nie widziały głębi duszy... A może nie ma już w niej owego najistotniejszego wnętrza? Może ono zamarło? Jej zadowolenie z pracy domowej jest więc może tylko radością z powodu otrzymania nowej zabawki? Jest to na pewno tylko powierzchowne...

Strumień, który dotychczas przepływał koło zabudowań gospodarskich i skręcał w dolinę, został ostatniej jesieni skierowany wzdłuż domu przez ogród. Szumiał i pluskał, tworząc małe kaskady. Za podwórzem spływał w dół i dopiero w osiedlu przedostawał się do swego łożyska.

Na pewno był to pomysł ojca Daga, który chciał jej tym sprawić przyjemność. Kiedyś bowiem wspominała, że widziała gdzieś ogród, przez który przepływał górski strumień. Przypomniało mu się to zapewne, gdy rozpoczęli regulację rzeki na jednym z osiedli na Vestli.

Wiedziała, że ojciec Dag ceni czyny bardziej niż słowa, ale ona właśnie teraz tak bardzo potrzebowała słów. Chociażby jednego ciepłego słowa... Ale nikt tu nie miał do niej zaufania, nikt.

Gdy zachorowała panna Kruse, kazała wstawić łóżeczka dzieci do pokoju męża. Woląла ich nie mieć u siebie w pokoju. Budzi-

łaby ich, wracając późnym wieczorem z dołu. Otworzyła cichutko drzwi do pokoju męża i weszła, ażeby zobaczyć, czy dzieci nie odkryły się. Torgeir spał spokojnie pod kołderką, ale mały Dag leżał z odkrytym tyłeczkiem na poduszce i przewracał się, gdy się nad nim pochyliła.

— Tata... — pisnął sennie.

— To mama — odrzekła — chcę cię tylko przykryć.

— Nie, nie. Tatuś! — protestował.

— Ojca tu nie ma — szepnęła przykrywając go.

Mały Dag otworzył oczy i powiedział bardzo poważnie.

— On tu był!

Serce się Adelajdzie ścisnęło, gdy słyszała, że dziecko przyzywa ojca. Starła się je uspokoić.

— Na pewno ci się śniło. Ale malec upierał się:

— Był na pewno!

— Cicho — mitygowała — połóż się i śpij. Ojca tu nie było.

Chłopak wyprostował się, siadł na łóżku i jeszcze raz powtórzył z całym przekonaniem:

— Na pewno był!

— Czyś ty z nim rozmawiał? — spytała.

— Nie.

— To skąd wiesz, że tu był? Chłopiec zastanowił się:

— A wiem — odpowiedział stanowczo. — Dotknął głową mojego czoła i wtedy obudziłem się, ale gdy chciałem go naprawdę zobaczyć, był już przy drzwiach i zaraz je zamknął. Ja go wołałem, ale nie chciał mi odpowiedzieć!

Adelajda zdołała go w końcu uspokoić i poszła do siebie. Już nieraz podejrzewała, że Dag bywa od czasu do czasu bez jej wiedzy w domu i nocuje w oficynie. A ten mały teraz z wielką pewnością twierdzi, że ojciec na pewno tu był. Znaczy to, że przyszedł do dzieci i widział je w łóżeczkach, a potem wrócił na dół do swojej izby. Tęskno mu było za dziećmi, całował je po kryjomu podczas snu.

Adelajda wyszła na balkon i wsłuchała się w żalosną opowieść jesiennej nocy. Prawdopodobnie dziś strumień został puszczony już do nowego łożyska w ogrodzie, gdyż poprzez zwyczajne

nocne szumy dochodził jej uszu ten nowy pluszczący ton. Przypomniała sobie wszystkie szczęśliwe godziny, które tu wśród gorzkich przeżyła, i uświadomiła sobie, jaką radość sprawiłby jej rytmiczny plusk wody, gdyby nie była tak bardzo samotna. Daremnie szukała odpowiedzi na dręczące pytanie: dlaczego ją zaniedbują ci, których ona tak bardzo kocha.

Wróciła do pokoju, zamknęła drzwi, zaczęła się z wolna rozbierać; wtem przypomniała sobie, że tuż o parę kroków od niej żyje jeszcze jedna osamotniona osoba, i do tego chora...

Bo i panna Kruse należała do ludzi samotnych, chociaż dni jej były wypełnione ciężką pracą. Rodzice jej w dalekiej dolinie umarli, rodzeństwo rozproszyło się po całym świecie. Część założyła własne ogniska domowe, część była na służbie, a o reszcie w ogóle nie umiała powiedzieć nic bliższego.

Adelajda nieraz zauważyła, że twarz panny Kruse zmienia się, gdy od czasu do czasu ma do czynienia z jej synkami lub zajęta jest ich odzieżą. Znikał wówczas z jej oblicza ów surowy, twardy wyraz, jaki miała zazwyczaj przy codziennej pracy, a w oczach pojawiały się serdeczne, ciepłe błyski... Adelajda w takich chwilach dostrzegała w niej nawet jakby ból i tęsknotę. Pomimo że życie jej było wypełnione pracą, która dawała zadowolenie, natura widocznie pragnęła jeszcze czegoś innego.

Adelajda zdecydowała, że przed snem zajrzy do niej i powie parę ciepłych słów. Jak to dziwnie się dzieje! Adelajda skarży się i ubolewa, bo najbliżsi nie interesują się nią, i nawet jej przez myśl nie przeszło, że tuż obok żyje ktoś, kto nie ma na świecie nikogo bliskiego i może również tęskni za odrobiną serca.

Akurat w chwili gdy zamknęła drzwi za sobą i znalazła się w sieni, uszu jej doszedł bolesny, cichy jęk. Jęk ten wdarł się do Jej stroskanego serca i szarpnął nim boleśnie. Przejęta trwogą nie mogła się ruszyć, jakby w ziemię wrosła. Nasłuchiwała.

Po chwili znów rozległ się taki sam jęk i wtedy ciało jej przebiegł dreszcz, zamarła w bezruchu, ale serce waliło w śmiertelnym lęku, a straszne przypuszczenia falą wtargnęły do głowy.

Któregoś dnia — niedawno to było — spostrzegła w wyglądzie Kruse coś, co ją przelotnie naprowadziło na przypuszczenie, że dziewczyna zapomniała się z jakimś mężczyzną, ale zarzuciła za-

raz tę myśl i nie powracała do niej. Panna Kruse nie zadawała się zupełnie z tutejszymi ludźmi, a od czasu śmierci matki przed dwoma laty nie opuszczała Bjorndal. Ale — raz jej to przyszło na myśl — po co nosiła właściwie w ostatnich czasach dawno wyszłe z mody, odziedziczone po pannie Dorocie szerokie suknie o bufiastych fałdach.

Znów ogarnął ją przenikliwy lęk. Zmienione zachowanie się ojca Daga? Rzucające się w oczy unikanie jej? Przeważnie przebywał, tak jak za młodych lat, w południowych gminach albo z fuzją w lasach, dawno zauważyła jego nawrót do butnej, pewnej siebie postawy. A jej mąż? Widywała go wprawdzie rzadko, i to zawsze tylko przy stole, ale w całym zachowaniu się, pochyleniu głowy, wyrazie twarzy była jakby hamowana burza, która kiedyś może groźnie wybuchnąć.

Zauważyła też, że panna Kruse spuszczała oczy i twarz jej posepniała, gdy przypadkowo natknęła się na spojrzenie ojca lub syna. Najwyraźniej mieszała się i traciła panowanie nad sobą. Jedno spostrzeżenie wiązało się z drugim w bezwzględny i konieczny wyrok. Oczywistość rzeczy zwała się na nią i zgmiotła swym ciężarem.

Któryż to z nich zawinił?

Niby pchnięcie sztyletem przenikała do jej serca świadomość, że to jeden z nich...

Zaczęły ją ogarniać rozmaite zmienne uczucia; naprzód nienawiść do panny Kruse, następnie rozpacz z powodu brutalności mężczyzn, nie liczących się z niczym i z nikim, nie mających względów ani dla niej, ani dla biednej dziewczyny, która tu lata całe przepracowała w pocie czoła i która w tej chwili tak cierpi nie tylko fizycznie, ale i moralnie, bo przecież w gruzy się rozpada i przeistacza w hańbę i wstyd cały dorobek jej pracowitego, dzielnego życia.

Opuściła ją jednak cała gorycz, a pozostało tylko żywe, ludzkie współczucie dla cierpiącego człowieka, gdy stanęła przy drzwiach pokoju panny Kruse. Drzwi były od wewnątrz zamknięte, nie pomagały pukania ani prośby o otwarcie. Żaden głos stamtąd nie dochodził.

Adelajda nie tylko odziedziczyła po kobietach ze strony matki dumę i godność, ale miała też w naturze siłę i przedsiębiorczość



po ojcu żołnierzu. Przycisnęła mocno klamkę w dół, a potem oparła się ramieniem z całej siły o drzwi i wyważyła je...

i

Jeszcze nigdy nie odczuła w tym stopniu śmiertelnej ciszy jesiennej nocy jak właśnie w chwili, gdy przemykała się z zakrwawionym zawiniątkiem z pokoju panny Kruse przez schody do sieni. Przystanąła tam, dygocąc na całym ciele.

Żaden odgłos z zewnątrz nie przychodził jej z pomocą — ani wiatr, ani poszum drzew, widocznie bieg strumienia w ogrodzie został zahamowany. A tu, wewnątrz domu, gdzie właśnie potrzebowały ciszy, trzeszczały zdradzieckie belki i deski...

Przekradła się do kancelarii i starała się bezszelestnie odsunąć zardzewiały rygiel, ale zgrzytał głośno.

Przeszła przez przedpokój w nowym budynku, przez salony i wielką salę balową, oświetloną upiornym światłem, wpadającym przez olbrzymie okna i pędem wybiegła stamtąd do ogrodu. Przy nowym strumieniu znajdzie chyba łopatę pozostawioną przez jednego z robotników.

Po chwili słychać było w głębi ogrodu wśród ciemności nocy uderzenia żelaznego szpadla o kamienistą ziemię.

Drzwi prowadzące do kancelarii zamknęły się z przeraźliwym skrzypieniem zawiasów i Adelajda była z powrotem w sieni. Zaczepnęła głęboko powietrza i nasłuchiwała w napięciu nerwów. Ale ciszy nie przerywał żaden odgłos z zewnątrz ani też w środku, między ścianami. Jedynie jej własne serce biło jak szalone.

Przysięgała pannie Kruse na wszystkie świętości, że nikt nigdy się o niczym nie dowie. Gdy zobaczyła małego trupka, wiedziała już, co należy robić. Pozostanie więc to tajemnicą między nią a panną Kruse. Ona, Adelajda Barre, niegdyś zimna, wyniosła i niedostępna dla tych spraw, całym sercem oddała się nieszczęśliwej kobiecie, przyłgnęła do niej całą duszą, pocieszała najserdeczniejszymi słowami i przyrzekła, że będzie się nią opiekować, gdy wyzdrowieje i znów zacznie pracować. Wszystko będzie tak, jak gdyby nic nie zaszło.

W tej chwili, gdy tak tu stała, zdało jej się, że to wszystko, czego dokonała, nie było dziełem jej rąk, ale jakiegoś obcego człowieka.

Po chwili jak błyskawica przebiegła przez jej głowę

\*1 A lasy wiecznie śpiewają

myśl, że nie zdobyła się na to, ażeby wymusić na pannie Kruse wyznanie, kto był ojcem dziecka. A może i zapomniała w tym rozgardiaszu zadać to pytanie albo może nie chciała i tak już dosyć udręczonego człowieka męczyć pytaniami, które by go jeszcze bardziej poniżyły. Z niewielu słów wypowiedzianych przez pannę Kruse wśród płaczu wynikało, że się ona bezgranicznie wstydzi, właśnie szczególnie przed Adelajdą, która dla niej jest tak dobra.

Adelajda ugięła się pod ciężarem własnych trosk i zmartwień. Jeszcze teraz miała w uszach odgłos uderzeń łopaty w głębi ciemnego ogrodu... Zadręczą ją te myśli, nie dadzą już chwili spokoju. Może powinna żądać teraz, w tej ciężkiej godzinie życia, dokładnych wyjaśnień od panny Kruse? Może by wykorzystać chwilę jej załamania i zażądać stanowczej odpowiedzi? Nie, pomimo oburzenia i żalu, które znów w niej wzbierały, nie miała dość sił, ażeby postępować brutalnie w stosunku do tej nieszczęśliwej istoty. Będzie ją pielęgnowała, dopóki nie wyzdrowieje. Nie dopuści tu żadnej z gadatliwych, plotkujących dziewcząt kuchennych.

Powróciwszy do swego pokoju, Adelajda stanęła w blasku palącej się świecy. Zapatrzyła się przed siebie w głębokim zamyśleniu. Twarz jej ze ściśniętymi kurczowo wargami i śladami łez wyglądała jak skamieniała. Właściwie... obojętne, czy winowajcą jest ojciec Dag, czy jej mąż. To, co niegdyś było piękne i wzniosłe w jej życiu, obecnie zostało zmieszane z błotem i zdeptane na zawsze.

W tej chwili Adelajda nienawidziła z głębi serca swego męża, jego ojca i — pomimo litości — panny Kruse.

Gdy drzwi zamknęły się na górze za Adelajdą, wysunęła się cichutko z bawialnego pokoju do sieni jakaś postać w miękkich pantoflach. Nikły odbłask dopalającego się żaru pod kominem wy dobył jeszcze z ciemności twarz ojca Daga. Spojrzał w górę na schody i spuścił głowę jakby nasłuchując. Następnie mocno pochylony odwrócił się od ognia, który oświetlił jego rysy. Wyglądał jak skamieniały w rozpacz. Byłże to ból, gniew, czy wstyd? Zapatrzył się w dogasający ogień, jakby z nim razem na palenisku zamierał cały sens i wszystka wartość życia.

## XXXVII

CYjciec Dag przechodził o zmierzchu przez wąwóz około Storkollen. Były to ostatnie dni listopada, zapadała wczesna noc; na skutek przymrozku zrobiło się ślisko, szedł więc wolno i ostrożnie.

Fuzja wystawała mu przez ramię, po bokach zwieszały się dwa zające i kilka czarnych głuszców. Znów bawił u nich major, ale nie dał się skłonić do wzięcia udziału w myśliwskiej wycieczce. Stary szedł więc sam, bo teraz coraz częściej ciągnęło go do lasu. O tej porze roku w borach jest także pięknie. Ileż uroku ma koloryt pastwisk i moczarów przysypanych zwiędłym liściem! A szmery lasu są jakby wołaniem z dawno minionej młodości. Ojciec Dag zaś czuł się podświadomie coraz bardziej związany z młodością, nawet ze swym wczesnym chłopięctwem. Tu przychodziły mu wspomnienia wielu chwil pogodnych i pięknych. A zawsze tęsknił do spokoju, mimo wszystko, co mu życie w darze niosło.

Wysłuchiwał się w szum wodospadu. Pęd wody został nieco zahamowany w górze trzęsawiska z powodu wczesnego mrozu, więc też spad nie był tak silny, jak wczesną jesienią. Gdy przechodził mostem, wypatrywał bacznie młyna stojącego w dole. Zatrzymał się na ostatniej desce i stał ze spuszczoną głową, jakby się nad czymś zastanawiał. Czyżby coś ujrzał na dnie wody? Z ręką na poręczy cofnął się o krok, potem jeszcze o jeden.

Dziwne! W spienionej wodzie tam przy młynie pojawiała się raz po raz jakby odbicie światełka. Trzeba było mieć bystre oczy, ażeby je w ogóle dojrzeć. Stał długo i wpatrywał się w ciemność. Gdy już, już mu się zdawało, że uchwycił owo światełko, znikало natychmiast. Złudzenie? Może to była piana, która wytryskiwała w górę do ostatnich, słabych blasków zgasłego dnia, a niekiedy nie podnosiła się tak wysoko i zostawała w ciemnościach? Ależ nie, znów się pojawiło... Widocznie przez jakąś maleńką szparkę coś oświetla pianę.

Zdjął fuzję z ramienia i szedł z lewą ręką na lufie, a prawą na cynglu. Stał w ciemności i nasłuchiwał pilnie. Potem zszedł z drogi i przez zarośla dobrnął do brzegu rzeki. Popod krzakami, które zwisały nad służą, podkrał się do młyna. W chwilę

a\*

potem zaskrzypiały drzwi i w ciemnię padł pas jasnego światła, i rozległ się skrzeczący, starczy głos:

— Dobrej nocy, majorze, jeżeli znów kiedyś będziesz miał ochotę porządnie golnąć, przyjdź, możesz tu spokojnie posiedzieć. Major odburknął:

— Dzięki — wypilem porządnie, po męsku — po tych słowach minął Daga, gramoląc się w górę ścieżki.

Dag nie wszedł do młyna. Nie ma sensu rozmawiać z pijanymi; trzeba tu będzie jednak jeszcze kiedyś powrócić. Więc to tak! Chowają po kryjomu żyto i pędzą z niego wódkę? Widocznie major dowiedział się o tym i na pewno nie był tu pierwszy raz. Tak, teraz przypomniał sobie, że major w podejrzanym sposób upijał się szklanką grogu. Oczywiście wstępował tutaj, gdy Dag był w lesie, i do domu przychodził już podchmielony.

Dag przeczekał, aż major uszedł nieco drogi, i dopiero potem podążył za nim. Gdy wszedł do sieni, major dokładał drzewa pod kominkiem. Ujrzawszy Daga, wyprostował się w przymilnym uśmiechu. Oblizywał wargi, myślał, że dostanie zaraz dobrego grogu z koniakiem po ordynarnej wódcie u młynarza. Zaczął się trochę niepokoić, gdy ojciec Dag nie zdradzał w tym kierunku żadnych zamiarów, nieustannie się ruszał, oczy latały mu niespokojnie i nie sypał, jak zazwyczaj, dowcipami.

Powoli silny młynarzowy alkohol zaczął go zamraczać. Dostał gwałtownej czkawki. Głowa zwisała coraz niżej. Nagle wyprostował się i mętym wzrokiem spojrzał przed siebie.

— Dziś wieczór jeszcze muszę wyjechać. Dag spojrzał na niego zamyślonym wzrokiem.

— Mógłbyś przynajmniej u nas przenocować — powiedział, ale major podniósł się i potoczył się chwiejnie do drzwi.

— Idę po rzeczy! — rzekł.

Dag patrzył za nim, gdy się gramolił na schody. Na pewno zaśnie, zanim zdąży spakować rzeczy.

Powrócił jednak po chwili, ciągnąc za sobą walizę. Omal nie stracił równowagi na schodach i nie runął w dół. Ale wylądował jednak szczęśliwie na dole. Dag pomyślał zaniepokojony, że Adelajda na pewno wszystko to słyszy u siebie w pokoju. Taka jest w ostatnich czasach blada, zamyślona i jakby nieprzytomna, nic prawie nie jadła i bardzo zeszczuplała. Będzie musiał znaleźć

czas i kiedyś wieczorem pogawędzić z nią... Tak się składa, że akurat tyle ma spraw sam ze sobą w ostatnich czasach.

Na próżno starał się zatrzymać Barrego; major upierał się, że musi niezwłocznie wyjechać.

Twierdził, że ma w mieście coś do załatwienia, coś nie cierpiącego zwłoki. Zapomniał był o tym zupełnie i teraz będzie musiał na łeb, na szyję jechać, ażeby na czas zdążyć. Ojciec Dag pomyślał: „W Korsvoll, na pierwszej stacji, na której się zmienia konie, jest dobra wódka!” Nigdy nie widział jeszcze majora w takim podnieceniu, sam trzeźwy — rozumował szybko. Nie powiedział jednak ani słowa, tylko wyszedł do czeladnej. Wróciwszy po chwili zastał majora chrapiącego w fotelu. Na odgłos otwieranych drzwi zbudził się jednak.

Niebawem zjawił się ekonom Syver Bakpaa, meldując, że zajechał i że zabrał ze sobą futra. Major wstał chwiejąc się na nogach, ale opadł z powrotem na fotel, podniósł się jednak i dowlókł jakoś do powozu. Syver bardzo długo majstrował koło waliz, układał derki, posadził następnie majora i otulił go troskliwie futrem. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie zabrał worka z owsem i musiał pójść po niego do stajni. Zabrało mu to bardzo wiele czasu, gdy wrócił, major chrapał, aż się rozlegało. Syver siadł na koźle, ale zamiast skierować się ku bramie, zawrócił i okrążył ostrożnie trzy razy podwórze w koło, i zajechał z powrotem przed dom. Wyszedł stary Dag i obaj zanieśli majora okutanego w pledy i derki przez sień i bawialnię do sypialni starego Daga. Tam położyli go na podłodze i przykryli jeszcze jednym pledem.

Dag zakazał Syyerowi wspominać komukolwiek o tej historii. To było powodem, że Syver, który bardzo lubił szeroko i długo opowiadać o każdym wyjeździe, tym razem przed nikim się nie pochwalił swoją najkrótszą podróżą.

Major po przebudzeniu się na podłodze w sypialni Daga wcale sobie nie przypominał wydarzeń ubiegłego wieczoru. Był pewien, że grog tak go otumaniał, iż nie był w stanie wejść na schody, i Dag zabrał go na noc do siebie.

Czuł się nieswojo. Był zażenowany i zakłopotany i nie miał odwagi spojrzeć Adelajdzie w twarz w obawie, czy aby ona czegoś nie zmiarkowała. Wolał zniknąć jej z oczu, dlatego zgodził

się pójść ze starym do lasu. Obaj wzięli fuzje, bo major był wcale niezłym strzelcem, gdy już raz polował.

Major przypuszczał, że w nagrodę za chęć spaceru po lesie dostanie kieliszek wódki na śniadanie, ale omylił się. Jednakże Dag nie był znów tak bardzo niełitościwy, bo po pierwszym odpoczynku powyżej Utheim wyjął z plecaka flaszkę wódki, nalał Barremu spory kieliszek i sam dla przyzwoitości nieco łyknął. Ale zaraz po nalaniu zakorkował z powrotem flaszkę, i schował do torby.

—

Major był dziś tak pokorny, że nawet to skąpstwo starego nie bardzo go gniewało. W ogóle robił dziś wrażenie człowieka skromnego, cichego, bardzo przygnębionego. Niespokojnie biegały mu oczy, bo przeczuwał, że Dag zamierza uczynić coś niezwykłego. Słyszał, jak Dag mówił wychodząc, że może nawet przenocują w lesie.

xxxvm

wdy major z Da-giem doszli do chaty Róisla, słońce już dawno minęło południe. Jezioro parowało z powodu zimna, kałuże pokryte były lekką powłoką lodową, ale powietrze było spokojne i przejrzyste, słońce świeciło matowo.

Pomimo że pasterska chata była nie zamieszкана, wyglądała tak, jakby tu ktoś stale przebywał. Na ścianach wisiały sieci gotowe do użytku, na pryczy leżały gałazki choiny, w jedne] z beczek stała resztką wody do picia, węgiel drzewny pod kominem jeszcze się nie rozpadł. Przychodził tu bowiem od czasu do czasu młody Dag, czasem jakiś wędrownik, a zimą mieszkali tu drwale. 'A

Major i Dag zdjęli fuzje i plecaki. Dag narąbał drzewa i rozpałił ogień, a major poszedł po wodę, następnie zawiesili kociołek nad paleniskiem. Dag wyniósł sieci na ryby na dwór, ażeby się przewietrzyły, przyniósł również świeżej choiny. Po posiłku każdy z nich wyszedł, ażeby coś do wieczora upolować. W dość du-

4S6

nych odstępach czasu padły trzy strzały, przerywają<sup>^</sup> ciszę przedwieczorną. Dag przyniósł głuszca, Barre spłoszył zająca i zdołał go ustrzelić. Poza tym zdobył cietrzewia i bardzo był dumny ze swoich trofeów myśliwskich.

Przy brzegu stało małe czółno, które niedawno zostało tu wciągnięte na zimę. Pchnęli je na wodę i założyli sieci na nocny połów. Powiał lekki wieczorny wietrzyk i woda zafalowała, mieniając się na przemian srebrnymi i ciemnoszarymi odcieniami, przechodzącymi z rzadka w granat; lasy zaczęły się ożywiać:

wiatr poruszał wierzchołkami drzew.

Gdy potem z dymiącymi fajkami siedzieli przy ognisku po obu stronach komina, znikła pewność siebie, której major nabrał dzięki swym trofeom myśliwskim.

Kto spędził najlepsze lata swego życia w lesie, dla tego las pozostanie na zawsze skarbnicą wspomnień. Całodzienna wędrówka wskrzesiła w pamięci majora niejedyn obraz z przeszłości; były tam wspomnienia pogodne, melancholijne, a obok nich ponure, dzikie i niezatarte, wzniosłe przeżycia.

Major w młodości mieszkał w majątku na wsi, całe życie był zawołanym myśliwym i przemierzył niejedyn ostep, zanim w tych ostatnich latach w Bjórndal towarzyszył od czasu do czasu Dagowi w lesie. Po bezustannym upijaniu się, po owym niemiłym przebudzeniu się, w ogóle w okresie upadku moralnego, ten dzień spędzony w lesie był jakby wędrówką od jednego wspomnienia do drugiego, nawrotem do czasów, kiedy to jeszcze nie stracił szacunku dla samego siebie, kiedy posiadał jeszcze godność ludzką. Siedząc tu teraz na kiwającym się stołku przy kominie z fajką glinianą w ustach, myślami powędrował raz jeszcze przez przebytą drogę: przywoływał obrazy z najlepszych lat życia. Zapomniał nawet palić, zapomniał, gdzie się znajduje, cały był pochłonięty tą wewnętrzną podróżą w miniony okres. Jak odległe to czasy, kiedy posiadał jeszcze jakąś godność, kiedy mógł nosić wysoko głowę i patrzeć ludziom prosto w oczy. Nieosiągalne to już, dalekie krainy! A teraz oto stacza się coraz niżej i niżej...

Woda zagotowała się w kociołku i Dag włożył do niej jajka. Zajął się szykowaniem kolacji. Patelnia stała na ogniu, smażyła

się słonina. W końcu major ocknął się; nie wiadomo, czy Dag zauważył jego głębokie zamyślenie wśród dymu z ogniska.

W czasie spożywania posiłku Dag od czasu do czasu rzucał jakieś słówko. Barre jadł, ale z mniejszym apetytem, niż można było oczekiwać po takim spacerze, a jego rzadkie uwagi nie stosowały się do wypowiedzi Daga.

Po kolacji zapalili fajki i major miał nadzieję, że w końcu Dag oswobodzi go od natrętnych, złych myśli i wspomnień i da środek, który dotychczas umożliwiał mu zapomnienie o wszystkich troskach. Ukradkiem zerknął na plecak Daga, gdzie mieściła się flaszka z wódką.

Dag wyciągnął nogi przed siebie. Rękę z fajką oparł na kolanie. Podsycał ogień sporą wiązką drzewa i garścią suchej kory. Ogień raz po raz żywiony korą tworzył gęsty dym, biegnący od komina do otworu w dachu; była to jakby żywa, poruszająca się kolumna pomiędzy obu mężczyznami.

Dag chrząknął, ale nie podniósł głowy.

— Wiesz chyba, co się stało z panną Kruse? — spytał spokojnie.

Stółek, na którym siedział major, zatrzeszczał mocno. Zaległo milczenie.

— Nnie... A co się jej stało? — wykrztusił w końcu major jakimś dziwnie obcym głosem.

— Chyba tyś powinien o tym najlepiej wiedzieć — ciągnął dalej Dag równie spokojnie, jak przedtem.

— Jak to?

— Sądzę, że jako ojciec chyba wiesz, o czym mówię? Dziecko przyszło na świat martwe.

Tym razem stółek nie zatrzeszczał; ani słowo nie padło zza kolumny dymu.

Wiatr hulał śpiewająco po pobliskich lasach — to przybierał na sile, to zamierał. Wiele nastąpiło takich przyływów i odpływów wiatru, zanim stółek majora zatrzeszczał na nowo i rozległ się znów dziwny, jakby obcy głos:

— Czy Adelajda wie coś o tym?

Ojciec Dag odrzekł głosem równie spokojnym, jak przedtem:

— Pogrzebała zwłoki swojej... siostrzyczki nocą w ogrodzie. wykopała grób własnymi rękami...



Rozległ się odgłos jakby rozpaczliwego łkania i major podniósł się, zakrywając twarz rękami. Gdy zniknął w drzwiach, Dag usłyszał wybuch głośniego płaczu.

Dag siedział bez ruchu; pochylony zapatrzył się w ogień. Nagle dobiegł go lewo dosłyszalny metaliczny dźwięk na zewnętrznej ścianie. Podniósł głowę i rozejrzał się po chacie — jego własna strzelba wisiała na haku, ale major musiał swojej zapomnieć na dworze.

Wybiegł więc za węgiel chaty. Upłynęło parę sekund, zanim w mdłym świetle księżyca mógł cośkolwiek dojrzeć; w chwilę potem jednak skoczył parę kroków naprzód, szukając nogą w ciemnościach fuzji na ziemi. W tej samej chwili rozległ się strzał, a broń upadła z głuchym łoskotem. Major przechylił się naprzód, zgiął w kolanach i upadł na ziemię.

Strzał wzbudził niemilknące echo w lasach i długo brzmiał w uszach Daga, nawykłych przecież do odgłosów strzałów. Stał jak urzeczony i wpatrywał się w leżącego majora.

Czyżby jego wystąpienia były zbyt surowe? Uważał, że potrzeba paru ostrych słów, ażeby wyrwać majora z otępienia i beztroski. Przecież człowiek nie targa się na życie z powodu jakiegoś słowa, chociażby było i najbardziej okrutne! Widocznie lekkomyślność majora była tylko pozorna. Musiały go już dawno dręczyć jakieś myśli i niepokoje, te słowa były już tylko ostatnią, decydującą kroplą, która spowodowała tragiczne załamanie.

„Major postąpił źle, ale niejedyn mężczyzna bywał już w podobnej sytuacji” — pomyślał Dag klękając nad nim i starając się dosłyszeć bicia serca. Ale w poszumie drzew i szeleście zmarzniętej trawy niepodobieństwem było podchwycić owo delikatne kołatanie. Zresztą w uszach dźwięczał mu jeszcze wciąż ów strzał niespodziewany.

Podniósł głowę i wsłuchiwał się w ciszę nocy, w szmery, które przynosił wiatr z wierzchołków drzew i od strony wody. A te szmery przywiodły mu na myśl jego dotychczasowe poczucie własnej sprawiedliwości w porównaniu z postępowaniem Bar-rego, przypomniał sobie, jak go oburzyła bezwzględność majora w stosunku do tak nieszczęśliwej istoty, jak panna Kruse, i tym samym w stosunku do Adelajdy.

W tej chwili, w obliczu śmierci, uprzytomnił sobie własną bezwzględność i obojętność w stosunku do swojej rodziny i obcych ludzi; dawniej myślał przecież tylko o wzbogaceniu się i zebraniu jak największej ilości pieniędzy i dóbr... Teraz dopiero widział, że nie był ani o włos lepszy i szlachetniejszy niż Barre; że właściwie nie miał prawa wydawać o nim sądów.

Tak, tak, ilu ludzi pchnął w nieszczęście przez swe surowe i bezwzględne postępowanie! Nad iluż rodzinami zawisły z tego powodu troski i zmartwienia! A że był bogaty, więc wolno mu było tak postępować. Ludzie mówili, że ma niezłomny charakter i każdy postępek jego jest słuszny i mądry; majora zaś każdy z łatwością potępiał. Ale w świetle zapatrywań na życie, do których Dag doszedł w ostatnich latach, widział jasno i wyraźnie, w chwili gdy klęczał nad majorem, że...

Takie myśli wstrząsały Dagiem, gdy rozpiął kurtkę, wyciągnął koszulę i oderwał z niej kawałek, bpurządził cos w rodzaju bandaża, obwiązał czoło majora, ażeby choć trochę zahamować Upływ krwi, zanim go wniesie do chaty. Przypomniał sobie, że i ubiegłego wieczoru pomagał Syverowi wnosić go do domu, i uprzytomnił sobie, jaki wówczas czuł się wielki i szlachetny. A teraz musi sam bez pomocy dać sobie radę z trudną i smutną sprawą. Trzeba odrzucić wszelką zarozumiałość.

Chociaż nie był tak silny jak dawniej, bez wysiłku dźwignął ciężkie ciało, zarzucił na ramię, przeniósł i ułożył na wznak na pryczy. Dorzucił tyle drzewa do ognia, że buchnął jasny płomień, podsunął beczkę z wodą do pryczy, zdjął bandaż i obmył ranę z krwi i resztek prochu. Kula przeszła czoło na ukos z dołu do góry, ale jak głęboko, trudno mu było w słabym świetle wybadać. Krew ciekła nieprzerwanie. Oczy majora były zamknięte. Ciało ciepłe, a może tylko nie zdołało jeszcze ostygnąć?

Podczas gdy Dag rozpiął kurtkę, ażeby wysłuchać serca, majorowi drgnęły powieki; otworzył oczy i rozejrzał się wkoło mętным wzrokiem. Dag podał mu trochę wody, ale major nie uczynił najmniejszego ruchu i zrozpaczonym wzrokiem wpatrywał się w drewniany pułap. Dag położył mu mokry okład na ranie, ażeby krew nie ściekała po policzkach. Ma twarzy Barrego gościł teraz jakiś nowy wyraz, coś zdecydowanego, mocnego, zapewne tak wyglądał w chwili, gdy strzelał do siebie.

— Może być coś rzekł — powiedział Dag. Major poruszył wargami, ale nic nie powiedział. Poruszał nimi parokrotnie, w końcu zdołał wyszeptać:

— Szkoda, żeś chwilę później mi nie przeszkodził, byłoby już teraz po wszystkim!

W jego głosie zazwyczaj wesołym było tyle szarpiącej rozpacz, że Dag nie był w stanie nic odrzec.

— Po twoich słowach nie mam teraz nigdzie swego miejsca na świecie — ciągnął major świszczącym, ledwo dosłyszalnym głosem — przez długi czas żyłem w ciemności, po omacku, pozbawiony przyjaznych uczuć, pozbawiony rodziny, dodając sobie otuchy jakimiś oszukańczymi słowami i fanfaronadą. Ostało się tylko jedno miejsce, jeden dobry zakątek, gdzie było ciepło i jasno.

— Umilkł, a potem mówił dalej cicho: — Wszystko poza tym było blagą, żartem, maskaradą, zawsze i wszędzie, dziesiątki lat. Ale to jedno jasne miejsce wżarło się w moje wnętrze głębiej, niż przypuszczałem. Tak, jedynym światłem mego życia było przebywanie z tobą i Adelajdą. Biedna ona. I gdy uprzytomniłem sobie, że sam to zdeptałem, zniszczyłem, i to tu u was, w Bjórndal, i gdy potem tyś mi jeszcze powiedział... Człowiek pozbawiony promyka światła żyć nie może. Ostatnia iskierka dla mnie zgasła, gdyś mi mówił o tym, co było w nocy z Adelajdą tam w ogrodzie...

Umilkł, zamknął oczy, łzy spływały mu po policzkach.

Podczas powrotnej drogi Dag namyślał się, jak zataić przed domownikami przyczynę wypadku. Może w porozumieniu z majorem powiedzą w domu, że się przewrócił i mocno przy tym zranił czoło? Ale zaniechał tego doszedłszy do wniosku, że to za poważna sprawa, by wprowadzać do niej kłamstwo. Wprawdzie kłamstwem będzie także, jeśli powiedzą, że major nieostrożnie sobie poczynał z bronią, lecz z uwagi na dobro Adelajdy można je popełnić, zwłaszcza że będzie ono nieco bliższe prawdy.

Dag zaproponował majorowi, że ze względu na potrzebny dla chorego spokój, umieści go w jednym z pokoi w nowym budynku. Wezwał doktora, ten oczyścił ranę. Kula strzaskała kość czołową i przeszła bardzo blisko mózgu. Stan był poważny \* doktor odjeżdżając zakomunikował Dagowi, że nie wie, jak się

, to skończy. Major musi zachować absolutny spokój, dopóki lekarz za parę dni znowu nie przyjedzie. Poza tym grozi niebezpieczeństwo zakażenia krwi, gdyż mogły się tam razem z prochem dostać jakieś nieczystości.

Adelajda od dzieciństwa była wprawdzie obznajmiona z bronią ojca, również i tu w Bjorndal stale miała do czynienia z fuzjami i strzelbami, poza tym posiadała dość zdrowego rozsądku i przenikliwości, a jednak w pierwszej chwili tak była przejęta tym wypadkiem i zaskoczona powagą i smutkiem ojca, że nad niczym się nie zastanawiała.

Panna Kruse już od dłuższego czasu znowu zajmowała się gospodarstwem. Adelajda powiedziała jej po wyzdrowieniu, ażeby nadal rządziła i gospodarowała jak za dawnych czasów, to bowiem, co się wydarzyło, zostało pogrzebane w niepamięci. Nigdy nikt o niczym się nie dowie.

Krzętała się więc i pracowała od świtu do późnej nocy, zarządzała całym gospodarstwem, ale nie było w jej głosie dawnej pewności siebie, oczy straciły jasny blask. Ludzie myśleli, że po chorobie nie można od razu wrócić do dawnego wyglądu.

Pewnego dnia Adelajda wezwała ją do siebie, do swego pokoju. Siedziała w wielkim fotelu przy drzwiach balkonowych. - Był już czwarty dzień po wypadku z majorem. Przez dłuższy czas pozostała z twarzą ukrytą w dłoniach, ale gdy usłyszała kroki, podniosła głowę i szybkim ruchem otarła oczy. Od owej okropnej nocy panna Kruse za każdym razem, gdy była zmuszona rozmawiać z Adelajdą, przechodziła istne męki. Ogarniał ją strach, że postawi jej wreszcie jakieś konkretne pytanie...

Po nieszczęściu ukazała się jej Adelajda pod inną postacią. Podczas choroby Kruse pani na Bjorndal musiała wziąć zarząd domu w swe ręce i w ten sposób poznać tę niełatwą pracę. Pomimo najlepszej woli, ażeby być wyższą ponad wszelkie przesady i drobiazgi, była jednak tylko człowiekiem. Zupełnie bezwiednie obudziło się w Adelajdzie pragnienie, zresztą zupełnie ludzkie i zrozumiałe, ażeby przy nadarzającej się sposobności zadokumentować swą wyższość wobec tamtej kobiety. Przypuszczalnie grał tu rolę również głęboko utajony żal, że jeden z bliskich jej mężczyzn był ojcem tego dziecka.

Inna istota siedziała teraz naprzeciw panny Kruse: postawą.

sposobem wyrażania się i tonem oddalała się coraz bardziej od tej, którą znała dotychczas.

Zatrzymała się w drzwiach. Dzielila je cała długość pokoju. Ostatnio, gdy na specjalne wezwanie zjawiała się w pokoju Adelajdy, ta stała zawsze pośrodku zimna, obojętna, z góry bezbarwnym tonem wydawała zarządzenia. Panna Kruse bardzo dotkliwie to odczuwała, tym bardziej, że spodziewała się lada dzień tego strasznego pytania. Przeczuwała, że potem będzie koniec jej pobytu tu w Bjorndal.

Gdy tylko stanęła w drzwiach, od razu zauważyła zdenerwowanie Adelajdy: w spojrzeniu, w ruchu rąk. Również i to, że Adelajda nie stała jak zazwyczaj pośrodku, lecz siedziała w fotelu pochylona naprzód, miało dla niej swoje znaczenie... Przejął ją taki lęk przed tym, co nastąpi, że zasumiało jej w uszach, a przed oczami zaczęły wirować czarne płatki...

W pierwszej chwili Adelajda uczyniła ruch, jakby chciała powstać, ale z powrotem opadła na fotel i tak pozostała z wzrokiem utkwionym w ziemię. Nie spoglądała ani razu w twarz panny Kruse i zdawała się coraz bardziej pograżać w sobie. Z trudem wykrztusiła słowa:

— Czy... to... był... mój ojciec?

Panna Kruse nie wydała żadnego dźwięku. Zemdlona upadła koło drzwi.

Głos ojca Daga brzmiał jakoś bardzo niepewnie, gdy oznajmił Adelajdzie, że major obszedł się nieostrożnie z bronią. Wykrętny wzrok ojca Daga i ta rana pośrodku czoła obudziły w niej nieufność. Czyżby to miało być samobójstwo? I w tej samej chwili, gdy jej to przeszło przez myśl, powiązała z tym inne wydarzenie! Przypomniała sobie teraz, w jakie zakłopotanie wprawiały pannę Kruse pochwały wypowiedane przy stole na jej cześć przez majora. Po dwóch dniach pełnych niepewności chciała otrzymać rozstrzygającą odpowiedź.

Minęły godziny od chwili, gdy weszła tu panna Kruse. Adelajda znów była sama, tak jak przed tą rozmową. W całym swym nieszczęściu musiała pannę Kruse, jak małe, bezradne dziecko, cucić, zanieść do łóżka. Ale przedtem biedaczka wyspowiadała się jej.

W

Od paru godzin siedzi tu i rozmyśla o tamtej nieszczęśliwej istocie i o sobie. Jakże głęboko przeżywała troski i zmartwienia... Jak bardzo uważała się za nieszczęśliwą z tego powodu, że mąż od niej stroni i że ojciec jego stracił zaufanie do niej... A przecież zaznała tyle dobrego w życiu! Jest niepomierne bogata, ma dwóch rozkosznych synków. Powinna się była uzbroić w cierpliwość i pokorę, czekać... Teraz usłyszała o losie drugiej kobiety, o rozpierającej ją tęsknocie, o udreće... O życiu, które aż do śmierci będzie tylko tęsknotą i męką. To, co dla innej w odmiennych warunkach mogło być szczęściem, jej przyniosło rozpacz, przerażenie i bezustanne wyrzuty sumienia.

Ona, Adelajda, tak bardzo potępiała ojca Daga, swego męża i pannę Kruse, a teraz dowiedziała się, że sama z ojcem popadła w hańbę. Dotychczas dumnie przeciwstawiała się każdemu nieszczęściu, opanowana, nie uzewnętrzniała przeżyć osobistych i czerpała wewnętrzną siłę ze swej dumnej postawy. Teraz się to skończyło. Ukryła twarz w dłoniach. Życie nie przestaje ciskać jej o ziemię. To już widocznie musi tak być do końca. Te ostatnie ciosy może były przygotowaniem do śmierci.

Ktoś szedł ciężkim krokiem po schodach. Zerwała się i szybko pobiegła do lustra. Przetarła chusteczką oczy i twarz, przyglądziła włosy i lekko przeciągnęła się — z dawnego przyzwyczajenia.

Szalone myśli zaczęły przebiegać jej głowę. Czego tu chce ojciec Dag? Od czasu przyjścia na świat bliźniaków, to jest od trzech i pół lat, nie przestąpił progu jej komnaty. Czyżby wiedział coś o panie Kruse i jej ojcu? Aż jej w oczach pociemniało:

jak na to zareaguje? Czy będzie jej zadawał jakieś pytania? I co ma odpowiedzieć w takim razie?

Wszedł. Zatrzymał się i rozejrzał ciekawie, jak gdyby jeszcze nigdy tu nie był. Miał mocno ściągnięte brwi, na czole głębokie zmarszczki, biła od niego ponura powaga.

Adelajda cofnęła się o parę kroków w głąb pokoju, stanęła za fotelem i bawiła się nerwowo frędzlami.

— Nie usiądziesz? — wydobyła wreszcie ze ściśniętego gardła.

— Owszem. — Przyniósł sobie krzesło i usiadł. — Przez

ostatnie dwa dni nie byłeś u ojca — rzekł spokojnie. — Dopytuje się o ciebie.

Odwróciła się z wolna do oszklonych drzwi i patrzyła w dal.

Obserwował ją.

— Nie nam przystoi sądzić — powiedział cicho — może i my nie zawsze liczyliśmy się z naszymi bliźnimi!

Drgnęła. Co miał na myśli? Czyżby wiedział? A może tylko przypuszcza, że potępia swego ojca z powodu jego nałogu?

Widząc bezradność, która jej zabierała panowanie nad sobą, rzekł:

— Wiem o wszystkim tak jak i ty, o panie Kruse i o reszcie... — powiedział mocnym głosem.

Teraz się załamała na dobre. Płakała rozpaczliwie za kotarą. Wiedział o wszystkim i przyszedł ją pocieszać, właśnie w chwili, gdy się jej zdawało, że życie jej będzie beznadziejnym piekłem.

— Tak, to boli, rani dumę — wypowiedział ważne słowa — ale i tak życie raz po raz łamie dumę. I właśnie najlepiej je rozumiemy, gdy duma jest złamana. — Wstał, zrobił parę kroków w kierunku drzwi, ale raz jeszcze się odwrócił i dodał: — Mamy sobie niejedno do powiedzenia, ale dziś wieczór musisz pójść do ojca koniecznie. Nie wiadomo, czy długo jeszcze pociągnie!

Po tych słowach opuścił pokój. Schody trzeszczały pod jego ciężkimi krokami.

Więc wie o wszystkim! Tym samym zdarzenie traci cechy okropności. Łatwiej to znieść, jeśli druga osoba, i to właśnie ojciec Dag, wie wszystko. Przyszedł tu do niej, ażeby o tym mówić i pocieszyć ją, okazał jej znów trochę dawnego zaufania. Przeniknęła ją fala ciepła. A ona jak zawsze okazała się egoistką!

Przypomniała sobie ostatnie słowa: „Nie wiadomo, czy długo pociągnie”, które przesłoniły wszystko: nienawiść do ojca, hańbę i wstyd, zmartwienie, a nawet iskierkę nadziei, która przed chwilą się w niej obudziła.

Jednocześnie wyraźnie widziała ojca, jak jej w wieczór weselny mówi „dobranoc” i ze łzami w oczach prosi o wybaczenie, że jest taki, jaki jest. Ale czy mu wybaczyła rzeczywiście?

Nienawidziła go od jedenastego roku życia i aż do tej chwili nie przestała go nienawidzić i wstydić się go. Wybaczył mu mocny człowiek, ojciec Dag, ale nie ona, córka! Nigdy nie starała

się sprawić mu radości, nigdy nie zwracała się do niego z ciepłym słowem ani przyjazną myślą.

Teraz ostrzeżenie ojca Daga zabrzmiało w jej uszach jak dzwon pogrzebowy, teraz dopiero ujrzała ojca takim, jaki był na pewno w głębi duszy przez te wszystkie lata: z cichą prośbą o przebaczenie, a może nawet o nieco ciepła i przyjaźni.

Gdyby tak w wieczór weselny leciutko go pocałowała, albo serdecznie nań spojrzała? Ale była zajęta tylko sobą, swym szczęściem.

Może w ciągu tych wszystkich pełnych gorzkości lat byłaby mu przyniosła ulgę serdecznym słowem. Gdyby choć raz, kiedy odjeżdżał do miasta, do życia pełnego trosk i zawodów, była poprosiła, ażeby znów jak najprędzej przyjechał, że będzie miłym gościem. Ale gdzie tam! Przeciwnie, żegnała go konwencjonalnie, dając mu odczuć, że jest rada, iż go się pozbywa!...

Gdy szła do nowego budynku, gdzie leżał ojciec, ogarnęła ją fala miłych wspomnień z czasów dzieciństwa... Jak szczęśliwa czuła się jako mała dziewczynka, gdy ojciec wpadał do domu zawsze wesoły, pogodny, pełen najmielszych pomysłów. Nauczył ją jeździć konno i powozić, był dla niej w owym okresie wszystkim na świecie. Uświadomiła sobie dopiero w tej chwili po raz pierwszy, że do Bjórndal dostała się tylko dzięki ojcu i jego przyjaźni z kapitanem Klingem, do Bjórndal, gdzie poznała życie wraz ze wszystkimi bólami i radościami, życie prawdziwe, pełne.

Teraz ten człowiek leżał oddalony od niej tylko o parę kroków, nieszczęśliwy, śmiertelnie chory, wpatrzony w drzwi, nasłuchujący i na próżno oczekujący zjawienia się wreszcie tej jedynej pozostałej jego latorośli, krwi z jego krwi!

Adelajda zapukała do niebieskiego pokoju cichutko i otworzyła ostrożnie drzwi. Kotara była zasunięta, ogień przyjemnie trzeszczał pod kominkiem, dwie świece paliły się u wezglowia chorego. Major z widocznym wysiłkiem odwrócił głowę w kierunku drzwi. Widok tak bardzo zmienionej jego twarzy rozwiął w niej na nowo niechęć. Leżał wyciągnięty w szerokim łożu. Wyglądał znów jak prawdziwy żołnierz z białą opaską na czole, rysy przez cierpienie wyszlachetniały, wydłużyły się.

Oczy nabrały pogodnego blasku, gdy zobaczył, że to ona wcho-



dzi, ale zaraz je przymknął. Siadła przy łóżku, unikała jednak ,ego wzroku, patrząc w kotarę nad łóżkiem. W pierwszej chwili nie wiedziała, co mówić, ale starała się wykazać współczucie i serdeczność. Już w sieni na dole wywalczyła w sobie spokój i opanowanie. Lecz nie na wiele to się przydało, bo już miała taką naturę: ilekroć dawała sobie samej słowo, że się zmieni, zawsze zamiary te spalały na panewce, a gdy stawała przed ową osobą, choćby najbliższą, wracały dawne żale.

Zapytała, jak się czuje. Odpowiedział, starając się słowom nadać lekki ton:

— Różnie, raz gorzej, raz lepiej.

Walczyła ze sobą, chciała koniecznie odnaleźć w sobie owe serdeczne uczucia, które w niej grały, gdy tu szła, ale nie mogła się zdobyć na żadne cieplejsze słowo. Przez dwadzieścia pięć lat czuła niechęć i wstręt do tego człowieka, a obecnie to, co zaszło, dołało oliwy do ognia. Jak się tu zdobyć na serdeczność?

Nagle podniosła głowę jakby wsłuchując się w coś. Zadzźwięczały w jej uszach słowa ojca Daga wypowiedziane w jej pokoju. Zapomniała o nich, przejęta troską o życie ojca, ale teraz znów w niej odżyły: „Tak, to rani serce i dumę, ale i życie łamie naszą dumę. I właściwie najlepiej rozumiemy życie, gdy duma jest złamana”.

Skurczyła się w sobie. Te słowa niewątpliwie były wynikiem ciężko zdobytego doświadczenia... Na pewno nie rzucił ich tak sobie na wiatr w tej smutnej i trudnej godzinie, ale dał je z przeświadczeniem, że jej to napomnienie jest potrzebne.

Czyżby w tej chwili duma zamykała jej usta i nie pozwalała wyrazić nurtujących ją uczuć? Czyżby w ciągu tych ciężkich lat zewnętrzne siły tak całkowicie opanowały wnętrze jej istoty, że nie pozwalały teraz ujawnić się żadnemu uczuciu? Zmusiła się do przybrania jak najpokorniejszej postawy, ażeby wypróbować, czy postępując drogą tego uczucia pokory, zapanuje nad sobą. Wyciągnęła rękę poprzez łóżko. Coś ją jeszcze wstrzymywało, ale przemogła się i ostrożnie lecz stanowczo położyła rękę na wychudzonej dłoni ojca. W tym kontakcie drgnęły jego obie ręce jednocześnie. Po raz pierwszy od dwudziestu sześciu lat odczuł jakąś serdeczność ze strony córki, którą zachował w swej pamięci jako dobre, żywe, uczuciowe dziecko.

497

31 A lasy wiecznie  
śpiewają

Zamknął oczy. Ciepło bijące od jej ręki sprawiało mu niezwykłą radość. Nieraz się nią w dzieciństwie cieszył, a teraz powróciła do niego. Leżał spokojnie, obawiając się, że cofnie rękę. Wzruszony, wyrzekł cicho i nieśmiało słowa, które na pewno go dręczyły, a nigdy by może nie zostały wy powiedziane w innej sytuacji:

— Nie wolno mi się spodziewać, że mi wybaczysz... to, że ci sprawiłem... tyle zmartwienia... wstydu... ale ja cię całe życie... bardziej kochałem, niż przypuszczałaś!

Z palącym wstydem Adelajda uprzytomniła sobie w tej chwili, jak często ojciec odmawiał sobie różnych przyjemności, ażeby jej sprawić przyzwoite suknie. Uświadomiła sobie, ile ponosił dla niej poświęceń.

A ona nawet w tej chwili nie mogła mu odplącić sercem, nie mogła powiedzieć: „I ja cię kochałam”, bo to byłoby kłamstwem, nie miała nic do dania. Czuła, że łzy jej napływają do oczu, i chciała wstać, żeby tego nie okazać, ale wyrwały jej się słowa:

— Biedny, biedny ojcze!

I wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem. Jedną ręką ściskając mocno dłoń ojca, drugą zasłaniając sobie oczy, łkała rozdzierająco nad nim i nad sobą.

Poszła. Major pozostał sam. Powiedział jej, że pomówiłby chętnie z ojcem Dagiem, jeśli jeszcze nie poszedł spać i zechce do niego przyjść. Wolno płyną godziny, gdy się na coś czeka, a major oczekiwał i pragnął przyjścia Daga... Wreszcie... Otwierały się gdzieś drzwi, trzeszczały stopnie, ale nie był to chód ojca Daga. Do komory wszedł jeden z parobków, który miał czuwać i być pomocny majorowi, gdyby ten czegoś potrzebował w nocy.

Majora ogarnęło deprymujące uczucie samotności i opuszczenia. Więc taki będzie jego koniec; bo nie wątpił ani na chwilę, że koniec się zbliża. Czuł, że rana się jątrzy, pulsuje, przejmujący ból zwiększał się, napadały go nudności.

Gdzieś zatrzasnęły się drzwi, ktoś wchodził na schody i szedł korytarzem. Major wstrzymał oddech nasłuchując, odetchnął lżej. To były kroki ojca Daga.

4SK

Dag kazał parobkowi pójść spać. Sam będzie czuwał, przespał go bowiem parę godzin i dlatego przychodzi tak późno.

Dag od samego rana już był u majora, który parę razy w ciągu tego dnia tracił przytomność. Potem prosił, żeby przyprowadzić nialców Adelajdy. Zupełnie przytomnie z nimi rozmawiał, żartował, ale po ich wyjściu rozplakał się i stracił na nowo przytomność.

Dag, idąc teraz na nocny dyżur, przyniósł coś po kryjomu ze sobą w ręce i postawił ostrożnie na nocnym stoliku. Barre spojrzął: był to pełny kieliszek...

Lekarz zakazał wprawdzie dawać cośkolwiek, co by rozgrzewało krew, bo to mogłoby chorego zabić, ale ojciec Dag nie przypuszczał, ażeby takiemu człowiekowi, jak Barre, miał zaszkodzić kieliszek starego francuskiego koniaku z czasów nieboszczki żony jego; na pewno go pokrzepi. Barre zawsze wspominał ten koniak jako coś niedoścignętego w smaku.

Zazwyczaj major szybko się załatwiał. z"takim kieliszkiem, dziś jednak, żałośnie patrząc, kosztował go -tylko wolniutko. Chyba to już ostatni kieliszek w jego życiu. •'•

Dag drzemał trochę w fotelu, ale od czasu do czasu spoglądał na łóżko. Major przespał trzy pełne godziny, chrapał, aż się rozlegało. Nagle się obudził i rozejrzał. Dag go upomniał, ażeby nie poruszał głową. Usłuchał i położył się na wznak.

— Była tu Adelajda — powiedział Dag po chwili. Twarz majora przebiegło wyraźne drżenie. Zamknął oczy i Dag ujrzał, jak Barre zaczął ciężko, urywanie oddychać i łzy kapały mu po policzkach.

Potem wzruszonym, cichym głosem powiedział jakby do siebie:

— Odwiedziny jej przypomniały mi wiele czasów, gdy jeszcze była małą dziewczynką. To był ostatni szczęśliwy okres w moim życiu, potem już powiał mroźny, niszczący wiatr i zacząłem zjeżdżać w dół; tak było również za czasów pierwszej mojej młodości.

Umilkł. Po dłuższym czasie znów się rozległ jego głos już nieco mocniejszy:

— Nie chcę wspominać lepszych czasów. Czegokolwiek dotknąłem w życiu — niszczyłem, psułem życie ludziom, każdemu, kto się ze mną bliżej stykał, ojcu, matce, żonie, Adelajdzie

ii-

i jeszcze wielu innym, a teraz, pod koniec życia, tej biednej pannie Kruse... ostatniemu człowiekowi, który we mnie uwierzył i przypuszczał, że jestem coś wart!

Obaj długo milczeli. Nawet nie słyszeli, nie zdawali sobie sprawy, że na dworze huczy wiatr, a pod kominem trzeszczą polana. Myśli ich były jakby poza czasem i miejscem.

Pierwszy przerwał milczenie Dag:

— Tak, tak, niezbyt dzielnym bojownikiem byłeś! Wtedy major drgnął i pomimo zakazu, uniósł głowę; oparł się na łokciu i spojrzał na Daga takim wzrokiem, jakby patrzył na jakąś zjawę z tamtego świata.

W życiu Barrego bowiem istniała pewna wartość, której nikt nie negował. Jako człowiek, jako wojskowy mógł mieć mnóstwo błędów, ale uchodził zawsze za dzielnego, nieustraszonego żołnierza, pełnego niebywalej odwagi w obliczu niebezpieczeństwa.

— Nie byłem dzielnym bojownikiem? — wykrztusił w końcu. Ojciec Dag długo siedział milcząc, jakby nic nie słyszał i nie widział, co się wokoło dzieje, i wreszcie odrzekł ze spokojem którego gorące pytanie nadwerężyć nie zdołało:

— Miałem na myśli inne walki, walki ze sobą samym, ty w tym wypadku okazałeś się kiepskim bojownikiem. Ulegałeś na miętnościom, nie przeciwstawiałeś im się wcale, a to przynosi nieszczęście temu, co ulega, i jego otoczeniu. Żyłeś dziko, nie pohamowanie. Nie twierdzę, że akurat ja mam prawo cię osądzać ale przypominam ci tylko sens twoich własnych słów kiedy wypowiedzianych: żeś nigdy nie walczył ze złem, że pozwoliło mu opanować się i spychać stale wstecz. Teraz leżysz tu bez silny i patrzysz na skutki takiego życia. To tylko miałem ni myśli.

Major ułożył się z powrotem na poduszkach, a Dag ciągnął dalej, naprzód cicho, a potem nieco głośniej:

— I ja również poniosłem niejedną porażkę w życiu, a mog. przyjść i inne. Ale nie wolno się poddawać, trzeba walczyć. Zmagać się ze sobą i życiem, aż nas ogarną ciemności śmierci.

Barre zapatrzył się przed siebie, jakby już miał dość tych ks zań, ale gdy Dag cicho, szeptem dodał:

— W końcu chciałeś plecami stanąć do pola walki i... uciec.

Major znów zwrócił głowę w jego stronę z dręczącym pytaniem w oczach. Jako żołnierz bowiem nie miał zwyczaju uciekać z pola walki.

— Nie umiałeś prowadzić walki do końca — dodał Dag mocno. Teraz major zrozumiał, że Dag miał na myśli ów strzał samobójczy; krew mu uderzyła do głowy, zaczął oddychać urywanie.

W końcu odparł:

— Może masz rację, że za mało się przeciwstawiałem namiętnościom i wołałem iść po linii najmniejszego oporu, ale moje życie układało się inaczej, zbyt ciężka byłaby walka, nie dałbym rady. Na pewno nie przechodziłeś niczego podobnego.

Zaczął mu opowiadać różne historie z życia żołnierzy; jak to koledzy jeden przed drugim przechwalają się pijatykami i awanturami miłosnymi, i że to właśnie zrobiło go takim, jaki jest. To samo mniej więcej, co powiedział Adelajdzie, tylko teraz w formie bardziej swobodnej.

Na twarzy Daga pojawił się surowy wyraz:

— Przypuszczasz, że inni nie przeżywali takich pokus? I ja przeszedłem przez nie w młodszych latach, na wsi lub w mieście, kiedy tylko zobaczyłem spódniczki. Ale tak z tym walczyłem, że w końcu stałem się po trosze wrogiem kobiet. Ileż niewiast nastawiało na mnie sidła ze względu na moje bogactwo! Może myślisz, że byłem ślepy i bezuczuciowy. O, nie! Ale musiałem walczyć i przełamywać się.

Trzeba było również prowadzić walkę z innym złem: z zacieklą chciwością, umiłowaniem pieniędzy. Bywały chwile, kiedy zdawało mi się, iż zwalczyłem w sobie wszystkie namiętności, aż oto okazało się, że zwycięstwo było mrzonką, i całe trzydzieści lat nie posuwałem się naprzód, lecz w tył. Oślepiło mnie bogactwo. Dopiero później zmądrzałem i znowu zacząłem walczyć. Trzeba mężnie przyjmować porażki i nie rezygnować, nie upadać na duchu, przeciwnie, powinny one być bodźcem do dalszych walk. To jest taka sama walka, jak bój żołnierski w polu. Właśnie okresy walk wewnętrznych stają się najjaśniejszymi godzinami naszego życia, wszystko inne to ciemność...

Major milczał. Widać było jednak po oczach, że słucha uważnie.

Znów zaległa cisza, ale Dag był niespokojny, widocznie miał

jeszcze coś na sercu; w końcu wyrzucił to gwałtownie, jakby spiesząc się ze słowami:

— Jak uważasz, czy by nie wezwać jutro pastora? Major poruszył ręką, jakby odganiał coś od siebie. Wyraz jego twarzy świadczył, że jest temu przeciwny.

— Za późno; całe życie nie zwracałem się do Boga, zostawmy to i teraz. — Przy ostatnich słowach głos jego nie był tak bardzo pewny.

— Skoro zdobyłem się na to, żeby ci to zaproponować, to ty możesz się zdobyć na przyjęcie pastora. Były w twoim życiu dobre i jasne godziny, wspomniałeś o nich w chacie na górze i tu w tej chwili. Chcesz być dzielny, a masz do tego tyle siły, co i wszyscy inni.

— Dobrze. Ale nie tego pastora — zdecydował się w końcu. Dag rozmyślał przez chwilę.

— Rozumiem. Ale w takich chwilach potrzebny jest sługa Boży, który nie tylko daje słowa pocieszenia, ale czuje sercem. Przecież nie będzie z tobą walczyć, tylko cię do walki pokrzepi na duchu. Nie będzie się z tobą prawował, bo wie, ile cię kosztowała decyzja wezwania go tutaj. Sam się przekona, że jesteś na dobrej drodze.

Barre chciał jeszcze zaznaczyć, że i tak już za późno, ale Dag się podniósł. W drzwiach dodał jeszcze:

— Walcz ze sobą. Dopóki iskierka życia tli się w nas, powinniśmy walczyć. — Głos załamał mu się. Mocno zamknął drzwi.

Dag obudził parobka, aby czuwał przez resztę nocy, a sam po omacku udał się do swej sypialni.

### XXXIX

-I rzy jechał pastor;

nim udał się do chorego, posilił się obiadem w jadalni. Dag opowiedział mu o nocnej rozmowie z majorem i zaznaczył, że mu już dobrze za kołnierz nasypał, dalsze więc monitowanie byłoby niepotrzebną surowością.

Pastor Ramer potrafił być nie tylko karcącym duchownym, ale był również mądrym człowiekiem. Pamiętał, że w ciężkich chwilach życia Dag okazał się przyjacielem, na którym można polegać, a poza tym wiedział, że to, co Dag mówi, jest rezultatem długiego zastanowienia. Nie wątpił ani na chwilę, że Barre musiał wysłuchać sporo gorzkich słów; chciał jednak wiedzieć, co się właściwie przydarzyło majorowi, skoro po niego posłano...

— Nieostrożny strzał — odpowiedział szybko pewnym głosem gospodarz. Był bowiem przygotowany na to pytanie.

Pastor spojrział przed siebie w zamyśleniu i chciał pytać dalej, ale Dag pochylił się nad swym talerzem z tak chłodną, nieprzystępną miną, że pastor postanowił zrezygnować z dalszej indagacji. Nietrudno było wobec jaskrawej niechęci Daga do inoimowania wypadku domyślić się tego, co tu zaszło.

Pastor podniósł wysoko brwi i patrzył przed siebie. Po raz pierwszy w życiu stanął w obliczu historii tego rodzaju. Kto wie, czy nie powinien jednak powiedzieć, co o tym sądzi. Drażliwa i niełatwa sprawa.

Dag był bystrym obserwatorem i przeniknął wątpliwości pastora, zanim tamten się spostrzegł.

— Mówiłem z nim o całym jego życiu, od kołyski aż do tej chwili

— powiedział Dag ze spokojem i dodał głośniejszym głosem:

— Mówiliśmy też o tym strzale.

Pastor jeszcze nie wyglądał na uspokojonego, ale nic nie odrzekł. Wezwano go, ażeby przygotował majora na drogę wieczności, jego więc rzeczą było znaleźć odpowiednią formę.

Do łóżka Barrego nie przystąpił łagodny i wybaczący duchowny... Rozmowa zaczęła się w tonie cichym i spokojnym, lecz potem rozwinęła się z taką siłą, że Barre później dopiero zorientował się, na jaką smagającą, ale jednocześnie wyzwalającą burzę był narażony.

— Wiele w życiu majora mogło pójść inną drogą — oznajmił pastor później Dagowi — gdyby miał jakąś ostoję w życiu. — Gdy to mówił, usta jego miały surowy wyraz, ale oczy łagodny.

Długo jeszcze potem Dag zastanawiał się nad tymi słowami. Major miał przecież za żonę krewną pastora, Adelajda była jego

córką, a wyglądało tak, jakby pastor obwinił ciężko obie kobiety należące do jego rodziny.

Pastor znał osobiście żonę Barrego. Dag wiedział, że miał z Adelajdą w wieczór przedślubny poważną rozmowę; czasem też jeździła na probostwo w ostatnich latach. Zna ją więc i wie, co o niej sądzić.

Gdy tak rozmyślał, przyszło mu do głowy, że właściwie dziwny był jej stosunek do ojca; niezrozumiałe zresztą było również jej stanowisko względem męża. Choć jak bohaterka walczyła wówczas w górach o jego życie, wyrwała go śmierci, a dla niego samego, starego Daga, była nieraz posłannictwem Bożym na tej ziemi, w okresie kiedy go dręczyły wątpliwości. Ale pastor na pewno miał swój własny sąd o niej.

Nie pytał ani pastora, ani majora, o czym mówili. Gdy nieco później odwiedził Barrego, ten leżał cicho, w skupieniu i nie dał poznać po sobie, jakie wrażenie na nim zrobiła wizyta duchownego. Dag raz jeszcze przetrawiał potem wypowiedź pastora. Na pewno nie było to po jego myśli, że małżonkowie Barre się rozeszli. Ale inne refleksje przyszły mu do głowy: przecież znał już teraz Barrego od dziesięciu lat i właściwie sam powinien był pomyśleć o tym, żeby mu przyjść z pomocą moralną. Miał wiele zobowiązań w życiu, ale powinien się być więcej zainteresować człowiekiem bądź co bądź bliskim, bo dziadkiem jego wnuków. Zapomniał o żonie i córce Barrego; siebie tylko obwinił za to przegapienie. Kto wie, może pastor jego właśnie miał na myśli...

Do tej chwili prześladowała Daga myśl, że byłoby najlepiej, gdyby major teraz umarł; jednak zmienił zapatrywanie. Pragnął odrobić to, co zaniedbał. Tak się głęboko przejął tym życzeniem, że nabrał przekonania, iż stanie się wedle jego woli, i zanim sobie zdał sprawę ze swoich uczuć, zaczął mówić:

— Wiesz, gdy już będziesz zupełnie zdrow, każemy przysłać twoje rzeczy z miasta i zamieszkasz tu u nas w nowym budynku. Będziemy chodzić na polowania do lasu i prowadzić spokojny, zgodny żywot, a od czasu do czasu utniemy sobie poważną rozmowę.

Major odwrócił głowę w stronę Daga i spojrzał na niego wystraszonym wzrokiem, tak jakby wrócił z krainy śmierci; potem jednak ułożył głowę na poduszce wedle wskazań lekarza i pa-



trzył już tylko spokojnym wzrokiem na Daga. Ten uściśnął serdecznie jego dłoń. Chory dyszał ciężko, nie odezwał się ani słowem, ale spojrzenia jego Daga nie zapomniał do końca życia.

Major umarł tej samej nocy.

Posłano zaraz po Unn Hamarrbó, żeby „trzymała straż” przy zmarłym, jak to się wedle tradycji nazywało.

Adelajda dowiedziała się o śmierci ojca dopiero nazajutrz rano, ale nim przyszła do pokoju, Unn zdjęła podpaszkę z brody i ciężarki z powiek majora. Pościel była czysto powleczone, prześcieradło gładziutko wyprostowane, z niebiesko pomalowanych ścian padał na nie błękitny odcień. Głowa majora spoczywała wysoko na poduszkach, ze śnieżnobiłą opaską na czole.

Stała bez ruchu. Czy naprawdę był tak dziarski jej ojciec? Wszystko, co za życia było w nim jakby niezdrowe, obrzmiałe, spuchnięte, obecnie zniknęło bez śladu. Twarz o gęstych, silnie zarysowanych brwiach miała wyraz zdecydowany, energiczny. Usta o pełnych, ale kształtnych wargach były szczelnie zamknięte, a wystający, mocny podbródek dopełniał obrazu. Oto tak wyglądał potomek długiego szeregu rycerskich pokoleń.

Widok ten poruszył widocznie niejedno wspomnienie i w sercu ojca Daga, gdyż stał bez ruchu, wpatrując się dłuższy czas w zmarłego. Potem zaczerpnąwszy głęboko powietrza, rzekł:

— Pokój twej pamięci, majorze. — Następnie podszedł do łóżka i ujął sztywną rękę. — Dzięki za wszystko dobre — dodał zachrypniętym głosem.

Adelajda zalewała się łzami, ale nie podeszła do łóżka. Może dlatego, że stał tam ojciec Dag, a może z tego powodu, że siedziała tam Unn, sztywno oparta o ścianę; najprawdopodobniej zaś z tej przyczyny, że wychowanie i życie nauczyły ją w najważniejszych chwilach nie ulegać odruchom serca.

Zaraz po pierwszej wizycie doktora posłano do miasta umyślnych posłańców, ażeby uprzedzić rodzinę i przyjaciół majora. Zjechali za późno i nie zastali go już przy życiu, ale wzięli udział w pogrzebie. Przez dwa dni dom był pełen gości.

Przy stole, przed odjazdem do kościoła na mszę, wypowiedziano o majorze Barrem więcej dobrych i przyjaznych słów niż przez całe jego długie życie.

Gdy ostatni goście opuścili Bjomdal, zdawało się Adelajdzie, że wraz z nimi znika stąd wszelkie życie i ruch.

Od czasu, gdy dowiedziała się od panny Kruse o owej przerażającej prawdzie, trzymała się z dala od wszelkiej pracy w domu. Cały ciężar przyjmowania gości przybyłych na pogrzeb spoczywał na barkach panny Kruse, która cicho i spokojnie weszła z powrotem w swoje obowiązki.

Adelajda starała się nie myśleć o niczym. Zajmowała się gośćmi, rozmawiała z nimi, zagłuszając tym wszystko inne, ale po ich wyjeździe znów opadły ją wyrzuty sumienia, że tak mało ostatnio poświęcała się ojcu, że go nie odwiedzała częściej, że nie była serdeczniejsza dla niego i bodaj nie pogłaskała go raz jeszcze po rękę. Nie mogła sobie tego wybaczyć.

Malcy przeważnie bawili się sami. Przybiegali na jedzenie do kuchni, poza tym wałęsali się po podwórzu, gdzie kręciła się służba. Adelajda zajmowała się nimi tylko rano, gdy trzeba ich było ubrać, i wieczorem, gdy kładła ich spać. Jadała w jadalni z ojcem Dagiem, ale i on w tych dniach był milczący i zamyślony.

Mąż jej był w dzień pogrzebu w domu, ale tak zajęty swoimi myślami, tak ponury, że serce jej się krajało, gdy patrzyła na niego. Tego samego wieczoru udał się znów z powrotem do lasu.

Adelajda położyła dzieci do łóżek. Sypiały jeszcze i teraz w pokoju Daga, tyle tylko, że drzwi na noc pozostawiała otwarte.

Stała przed lustrem w swoim pokoju, ale bała się w nie spojrzeć, nie chciała widzieć rozpaczony w swych oczach. Przyglądała się tylko włosom, czesząc je jak zwykle i upinając starannie przed zejściem na kolację.

Siedzieli we dwójkę przy stole; właściwie oboje jedli br-z apetytu, milczeli też jak zwykle; bo i jak tu mówić, i o czym? Powiedziała cicho „dobranoc” i skierowała się do sieni. Na górze czekał ją rozpaczliwie samotny wieczór i bezsenna noc.

Nagle ojciec chrząknął i spytał:

— Nie mogłabyś trochę pozostać tu jeszcze dziś?

Słowa te padły tak nieoczekiwanie, że zatrzymała się niepewnie w drzwiach, jakby pragnęła raz jeszcze je usłyszeć. Odwróciła się do niego i spojrzała zdziwiona. Wzrok pełen oczekiwania tak

wymownie zdradzał jej głębokie cierpienie, że ojciec Dag stropił się. Poprzez jej oczy zaglądnął w dno zbolącej duszy.

Bez słowa podszedł do niej, objął ramieniem i poprowadził do pokoju w starym budynku.

— Posiedźmy dzisiaj tu — powiedział, zapaliwszy ogień pod kominkiem, i przysunął do niego dwa krzesła.

Adelajda postawiła swoje w ten sposób, że miała przed sobą cały pokój. Stare, o zielonkawym odcieniu szyby w oknach ożyły w blasku ognia, jak ciemne oczy błyszcząły metalowe okucia złotymi refleksami. Dotychczas pokój ten uważała za bardzo poważny i przytulny z uwagi na broń porozwieszaną pod pułapem i na ścianach, która zdawała się być jakby niemym świadkiem owej epoki, kiedy to życie jeszcze było dzikie, nieosiadłe i bardzo twarde. Ale przeżycia ostatnich lat, a głównie to, co się stało ostatnio, spowodowały, że i ona się czuła jakaś dojrzała, i pokój ten nie wydawał się jej taki obcy, daleki... Tak, przecież i teraz życie jest twarde, dzikie, nielitościwe...

Głos Daga wyrwał ją z zamyślenia. Przypuszczał pewnie, że myśli o ojcu.

— Tak — mówił — śmierć kogoś bliskiego zawsze nas porusza do głębi; odchodzi człowiek, ażeby już nigdy nie wrócić. Wydaje mi się czasem, że tylko po takiej stracie stajemy się na pewien' czas takimi, jakimi powinniśmy być zawsze. Wtedy bowiem nasz wzrok łatwo przenika drobiazgi, które zazwyczaj przesłaniają lub przynajmniej zmieniają obraz najbliższego człowieka. W takiej chwili pamiętamy tylko to, co w nim było wartościowe i co dzięki naszej pomocy mogłoby się może rozwinąć, gdybyśmy tego chcieli i okazywali, że widzimy te zalety i uznajemy je. Ale niestety! Dzieje się tak, że my, ludzie, nie chcemy jeden drugiemu pomagać. Mówiąc to Dag miał na myśli i ją, i siebie. Nie przeczuwał jednak, jak bardzo ją to dotknie. Zdumiony ujrzał, że łka boleśnie. Ale nie rzekł nic; patrzył spokojnie w ogień. Płakała jak niegdyś przy śmierci dzieci...

Uspokoiła się; ale ciałem raz po raz wstrząsały spazmatyczne dreszcze. Ogień przygasał sycząc, około dopalających się polan skakały tylko małe płomyki. Dag spoglądał w ogień oparłszy twarz na rękę.

— Tak, tak — powiedział cicho — gdy człowiek patrzy wstecz na swe życie, napotyka tyle trosk i zmartwień, że mógłby się załamać... Ale... — Podniósł głowę, z rysów biła pewność i siła, towarzyszące mu zawsze w decydujących chwilach. — Dopóki żyjemy i oddychamy, życie stawia nam swoje wymagania. Pomimo wszystkich niepowodzeń i rozczarowań, musimy stale dążyć naprzód i z każdego cierpienia wyciągnąć jakąś naukę.

Po tych słowach milczał przez dłuższy czas, nie wiadomo, czy się zamyślił, czy też pragnął dać Adelajdzie czas do zastanowienia się nad jego słowami.

— Wiesz — zaczął na nowo — nieraz miałem ochotę pogadać z tobą o tamtych naszych tematach, pamiętasz, jesienią i zimą, dwa lata temu. Wracałem stale do Biblii twego dziadka i na niej opierałem poważne rozmyślenia. Doszedłem do pewnych wniosków i starałem się według nich ułożyć swe życie. Ale jakoś dotąd nie mogłem znaleźć odpowiednich słów, ażeby i ciebie w to wtajemniczyć... Może dziś wieczór mi się to uda, spróbuję. To, co tam jest powiedziane o modlitwie i miłosierdziu Pańskim, jest to po części może... słuszne... w pewnej mierze, ale nie zda się na nic temu, kto opierając się na nich, sam usypiać będzie. Moje udręki i rozmyślenia na temat odpustu były słuszne. Ale nie tylko nasze dobre uczynki są oparte na dążeniu do zdobycia sobie tanim kosztem odpuszczenia win. To samo jest z modlitwą. Nasze myśli zakorzenione są w nas zbyt głęboko. Trudno je z tego gruntu wyrwać. Myślałem o tym, co ci opowiadał Dag o życiu i śmierci po tym wypadku na Górze Śmierci, o tym, jak to dusze niby owe rośliny wciąż poruszają się wraz z biegiem wody, a nie mogą z miejsca ruszyć, gdyż korzenie ich są zrosnięte z życiowym swym podłożem. Tak się dzieje zawsze podczas naszego pobytu na ziemi. Pomimo że nasze myśli prą naprzód, nie jesteśmy w stanie oderwać się od tego, co ludzkie, przyziemne. Całe życie dążymy do tego, ażeby tylko wyciągnąć ze wszystkiego największe korzyści dla siebie, czy dotyczy to życia na ziemi, czy też wieczności. Kto to zrozumiał, ten musi dojść do wniosku, że przygotować nas do życia wiecznego może tylko sam Pan Bóg. Znajdziemy łaskę u wszechmocnego, jeśli będziemy dobrze czynić, najlepiej, jak potrafimy, a możemy to robić tylko tu na ziemi. Na nic się zda staranie, ażeby wcisnąć się do wieczności

za pomocą modlitwy czy zbożnej myśli. Nic nam one nie pomogą. Jesteśmy bowiem całe życie nastawieni tylko egoistycznie, wszystkie nasze myśli są skierowane na uzyskanie odpustu Bożego czy to przy modlitwie, czy też spełnianiu dobrego uczynku. Wszystkie dokonania nasze wyrastają z egoistycznego podglebia...

Dag nie był z siebie zadowolony. Nie wypowiedział tego tak jasno, jak mu się to przedtem układało w głowie. Zdawało mu się, że Adelajda go nie słucha. Przykucnął przed kominem i dołożył nową szczapę. Buchnął płomień.

Myśli jego jakby z ogniem ożyły na nowo, oparł się o poręcz fotela z miną człowieka, któremu rozjaśniło się w głowie, i podjął dalszą nić rozumowania.

— Otóż, jeżeli siły i moc nasza nie sięgają poza życie, trzeba je zużytkować tu na ziemi. Nie wolno nam gubić się w książkach ani w czczych słowach, ani pogrążyć się w rozpacz, bo nasze możliwości są tak bardzo ograniczone. Musimy się z tym pogodzić, że jesteśmy tylko ludźmi i że na tę ostatnią podróż musimy zdać się na Pana, gdyż wszelkie nasze wysiłki w tym kierunku są daremne. Nie jestem zwolennikiem odmawiania wielu pacierzy i modlitw rankiem, gdy człowiek zaspany, czy wieczorem;

należy się ograniczyć do Ojciec nasz; tego samego zdania był mój ojciec. W tej bowiem modlitwie jest sporo prawdziwych słów, trzeba więc ją uważnie odmawiać, ażeby zapadły na cały dzień w duszę, a potem wziąć się do pracy. Tego żąda od nas życie. Żyjemy, dopóki tu jesteśmy na ziemi. Ostatni wiersz w Biblii biskupa: modlitwa jest jedyną drogą do Boga, może mieć również i inne znaczenie. Ja to sobie tłumaczę w następujący sposób:

dążymy do Boga nie tylko za pośrednictwem myśli i specjalnie ułożonych formułek, ale i nasze czyny są modlitwą. A czyn w życiu człowieka to wielka rzecz, przydaje się jemu i innym. A myśli i modlitwy nikomu, prócz nas, nie przynoszą korzyści. Tak mi się to jakoś ułożyło; przedtem wcale tego nie mogłem rozwiązać. Gdybym był duchownym, co niedziela prawilbym kazanie, w którym nawoływałbym, ażeby ludzie okazywali wzajemnie sobie serce i dobrą wolę i pomagali sobie, bo to jest jedyna droga do Boga, przynosząca owoce nam i bliźnim również.

— Teraz pojmujesz ciągnął dalej — dlaczego zacząłem jeździć

po osiedlach i odwiedzać drwali. Tam jest dużo do zrobienia. Podczas tych wędrówek przebywam w lesie, obcuję z naturą i odnajduję w niej, w zmianach pór roku — Pana Boga, tak samo jak w książkach i modlitwach. Gdy prowadzę malców w góry, czuję się odmłodzony, a dzieci korzystają i zachowują | wspomnienie na dalsze życie. Może kiedyś słowa moje będą dla nich podporą, umocnieniem. Jesteśmy tylko słabymi istotami, Adelajdo! Pomimo że czujemy się pozornie silni duchem każdy z nas potrzebuje ostoji w życiu. Szukamy jej w kościele w rodzinie, u najbliższych przyjaciół. Gdybym podpory tej nie miał, istniałyby dla mnie tylko pieniądze, i to byłoby nieszczęściem dla wszystkich, tu w osiedlu, w górach i dolinach.

W ojca Daga wstąpiła na nowo dawna niezmożona siła. Bła; ognia otoczył jego głowę jakby aureolą; po chwili jednak ż< przygasł, a mrok starej izby zaczął spowijać ich oboje.

Gdy Dag podniósł w końcu głowę, Adelajda spuściła oczy. Brzmiały jej jeszcze w uszach jego mocne, pełne przekonania słowa. Dla niej, tak bardzo zrozpaczonej, były w tej chwili uosobieniem spokoju i opanowania.

Szła po schodach uginając się jakby pod jakimś ciężarem... Więc ojciec Dag znalazł dla siebie drogę i przewyciężył to, co go gnębiło; bez jej pomocy stał znowu pośród życia pełen spokoju. Zapewne nigdy już z nią na ten temat mówić nie będzie. To, co mówi, jest słuszne i prawdziwe, ale niestety, nie stosuje się do niej. Jaki czyn mogłaby ona spełnić? W jaki sposób może odnaleźć w swym monotonnym, bezbarwnym życiu drogę do Boga?

Weszła do swego pokoju biedniejsza niż kiedykolwiek.

XL

U tary Per Bar-voll z młodym pomocnikiem z Friland zwozili pnie na brzeg rzeki, poniżej Svatjern. W dzień pogoda była dość ciepła i bezwietrzna, ale nocny przymrozek uczynił drzewo diabło oslizływ. Pir był jeszcze dość rzeński i zazwyczaj przy pomocy chłopca łatwo sobie dawał z tym radę, ale dziś robota szła niesporo,

510

chłopak, jeden z najmłodszych, aż sapał ze zmęczenia, gdy Per przysiadł na chwilę na pniu, by odpocząć.

per spojrział na blade zimowe słońce i na szary horyzont na zachodzie i pomyślał, iż wkrótce będzie można pójść do chaty nad jeziorem i zasiąść z fajką koło ogniska. Ale jeszcze było nieco za wcześnie na zakończenie pracy, trzeba jeszcze trochę się pomozolić przy wyciąganiu grubego pnia ze stosu i odrobić co nieco z jutrzejszego. Potrzęsali i poruszali ciężką kłodę, chodzili wkoło niej, przyglądali jej się ze wszystkich stron, odskro-bywali nogami śnieg, drapali się w głowę i wciąż na nowo zabierali do roboty. Daremnie! Nagle usłyszeli lekkie posuwanie się nart po śniegu. Stał przed nimi młody Dag we własnej osobie.

Pod policzkiem miał bruzdę, która albo podnosiła się w górę przy dobrodusznym uśmiechu, albo z wyrazem surowości wyciągała się w dół. Nigdy jednak nie można było odgadnąć, czy stanie się to pierwsze, czy drugie. Młody pan był nieobliczalny. Oczy jego najczęściej miały wyraz melancholijny i były ciemne, ale i w nich zapalały się czasem wesołe ogniki, a wtedy rozbłyskały niebiesko. Jeśli ta wesołość trwała dość długo, aby podnieść w górę opadłą fałdę policzka, wówczas na surowej zwykle twarzy zjawiał się wyraz tak serdecznego ciepła, że każdy, kto pierwszy raz widział to nagłe przeobrażenie, bywał nim oczarowany.

W tej chwili ani w oczach, ani w fałdzie na twarzy nie było nic miłego nic przyjaznego, malowała się szorstka, nieprzystępna obojętność.

Per wyprostował się zawstydzony nieco, że zaprezentuje w obecności swego pana niezdarną robotę; pień w dalszym ciągu nie poruszył się ani o cal...

— Nie damy rady, przymarzył — usprawiedliwiał się. Dag podjechał bliźutko, odpiął narty i pochylił się nad pniem.

— Kto niczego nie umie, nigdy niczego nie zrobi! — powiedział. Następnie objął ramionami pień i wyrwał go potężnym szarpnięciem. Przymocował z powrotem narty i bez słowa pojechał dalej.

Stary Per Barvoll siedział zmęczony przy kominie w chacie na ^atjern i pykał fajeczkę. Była tam już resztką tytoniu. Po-

liczki pracowały wydymając się mocno, również poruszała się i broda. Ponieważ wiedzieli, że Dag krąży w pobliżu, mogli wypocząć dopiero po skończeniu całej pracy, wyznaczonej na ten dzień, a historia z przymarzniętym pniem leżała nad nimi jak cień. Po wieczery chłopak położył się, a Per z fajką w zębach siedział zmartwiony... Nagle zerwał się, słysząc jakiś odgłos, schował fajkę szybko do kieszeni i splunął w ogień.

Dobiegł go odgłos stawiania nart pod ścianą chaty i po chwili wszedł młody Dag. I on także usiadł przy ogniu, bo trząsał się z zimna po długiej jeździe. Per zastanowił się, czyby go czymś nie poczęstować, ale Dag miał plecak z sobą; sam sobie na pewno coś przyrządzi.

Młody Dag zaczął palić dopiero od niedawna i właściwie czynił to rzadko; wyciągnął teraz z torby glinianą fajkę i paczkę z prowiantem. Siadł przy kominie, wziął nóż, obskrobał fajkę i pochwyił trochę żaru z ogniska.

Per siedział skulony pokornie na swym miejscu, ale bacznie śledził ruchy Daga i nie mógł się powstrzymać, żeby nie wciągnąć głośno zapachu tytoniu, gdy Dag zaczął palić.

Dag spojrzał przelotnie na niego, sięgnął do kieszeni i wyciągnął zwinięte liście tytoniowe.

— Masz — powiedział, rzucając mu zwitkę. Per nie zdążył chwycić i musiał jej potem szukać pod stołkiem. Wybełkotał:

— Serdecznie dziękuję, nie mogę przyjąć! — Czyścił prace wicie i skrobał fajkę. Następnie wstał i chciał wręczyć Dagov zwitkę z powrotem.

— Możesz sobie zatrzymać — powiedział Dag.

— Jak to, całą? — spytał Per.

Dag nie odpowiedział. Per siadł z powrotem na stołku i zaczął odwracać i oglądać na wszystkie strony sporą paczuszkę.

Dag nie był tu w tej chacie od czasu wypadku na Górze Śmierć ci. Po co dziś przyszedł? Może miał wyrzuty sumienia, że zbyt szorstko się obszedł ze staruszką? Może chciał to załagodzić?]

Minęła wiosna i lato, nadeszła jesień.

Młody Dag szedł pewnego słonecznego dnia ze wschodu w kierunku Skarfjell. Niebo było jeszcze jesienne, jasne i przejrzyste...



W okolicy tej rosło więcej osik, jarzębiny i brzoź niż drzew iglastych i jesienna trawa zawsze pokryta była masą żółknących różnobarwnych liści. Te, które leżały w cieniu, były pokryte szronem, ale tam, gdzie padały promienie słońca, ciemne były od wilgoci.

Dag wędrował na przemian w cieniu lub słońcu, zależnie od promieni prześwitujących przez liście trzymające się jeszcze gałęzi. Oczy jego to wpatrzone były w ziemię, zasłaną listowiem, to podnosiły się ku niebu. Z rozkoszą chłonał zimne, suche powietrze; widać było parę idącą z ust jego. Szedł ostrożnie, lekko, wypoczęty po nocy, rześki, z wyostrzonym słuchem.

Ostatnio prześladowało go o zmierzchu uczucie, że ktoś czy coś idzie za nim, a chwilami nawet jest tuż przy nim. Czasami był to po prostu trzask chrustu w pobliżu, czasami jednak zdawało mu się, że coś się ostrożnie prześlizguje po mchu, po kępkach dzikich ziół. Były to jakieś skradające się, ciche kroki, tak delikatne, że się rozpląwały raz po raz w głuszy nocnej, i tylko jego wyostrzony słuch chwycił je dzięki niesłychanemu wysiłkowi.

Czyżby jakiś sprytny niedźwiedź tak przemyślnie się przekradał? A może człowiek? Ale gdy przy świetle dziennym szukał śladów — nigdzie ich nie było. Nie do pomyslenia, ażeby niedźwiedź miał być tak przezorny i rozważny i stawiał łapy tylko na kamieniach. A ledwo dostrzegalne jakoweś znaki na mchu i oszronionej trawie kształtem absolutnie nie przypominały pazurów niedźwiedzi. Był to raczej równie doświadczony myśliwy jak Dag, który na butach nosił pończochy ze skóry łosiowej. Czynił to i Dag, gdy chciał wytropić szczególnie płochliwą i wrażliwą na szmery zwierzyne. Pierwsze takie pończochy otrzymał w prezencie od ojca, jako mały chłopiec; poza tym u nikogo podobnych nie widział.

A może jest to ów obcy przybłęda, morderca, który zamierzał się w chacie na Vestli na niego toporem. Czyżby to on śledził Daga w łosiowych pończochach na nogach? Czyżby był aż tak mściwy i szukał wciąż odwetu za tamto?

Daga rozgniewało takie postępowanie. Więc to tak? Dobrze! Będzie czuwał którejs nocy przy ognisku, tylko trzeba przedtem

znaleźć odpowiednie miejsce, aby mieć plecy osłonięte, i niech się ten łotr tylko zjawi, a otrzyma porządną nauczkę!

Takie gniewne myśli snuł Dag podczas porannej wędrówki, którą przedsięwziął w tym celu. Dążył do Skarfjell. Dość daleka droga, ale są tam takie miejsca, gdzie można przebywać bezpiecznie, mając ognisko przed sobą, a plecy oparte o skałę. Gdy ogień zacznie przygasać i widać będzie postać pozornie śpiącego Daga, włóczęga na pewno się zjawi.

Zalesione zbocza, po których Dag się wspinał, prowadziły na wysoki grzbiet; za nim ciągnęły się olbrzymie moczary, poprzecinane wąskimi pasami ziemi porosłej karłowatą brzezina.

Dag znalazł się na samym szczycie; nagle stanął, jakby wrósł w ziemię. Błyskawicznym ruchem zdjął strzelbę z ramienia i położył ją na kolanie, lewą ręką podtrzymując lufę, prawą kładąc na cynglu. Na jednym z pasów ziemi przecinających bagna, stał samiec-łoś, silne, ogromne zwierzę, nasłuchując czujnie pośród pustych bagien. W lekkiej mgłę, unoszącej się nad ziemią, kołysały się swobodnie białe strzępy wełnianki.

Dag zacisnął ręce na fuzji — przyzwyczajenie nakazywało mu strzelać na widok zwierzyny — ale nie drgnął. Naprzód w oczach jego pojawił się zimny błysk, jak zwykle w momencie powzięcia . ważnej decyzji, ale po chwili jakby zmiękł, złagodniał; popatrzył zamyślony w dal.

Łoś przeciągnął się, zniżając kłęby i prostując za siebie długie tylne nogi. Przód cielska pozostał jednak nieruchomy w tej samej groźnej pozycji. Podniósł łeb do góry, jakby miał zaryczeć. Potężne łopaty położył w tyle, na grzywie karku. Czarne chrapy, wietrzące niebezpieczeństwo, drgały połyskując w świetle. Ciepły oddech zamieniał się w kłęby pary, które go spowijały całego.

Dag nigdy chyba nie widział tak potężnego okazu. Może i dlatego, że nigdy nie zadał sobie trudu obserwowania. Zwykle padał strzał równocześnie z chwilą, kiedy mu się coś takiego na oczy pokazało. To było jego zwyczajem, ale dziś czuł się w jakimś dziwnym usposobieniu. Gdyby łoś zechciał stać dłużej, byłby najchętniej podszedł do niego, chwycił za potężne łopaty, potrząsnął karkiem i poczochnął palcami w gąszczu grzywy i brody. Olbrzym pośród moczaru czuł się widocznie całkiem pewny siebie, jak pewny siebie był on sam parę lat temu. Teraz czuł

się w domu nieswojo, a i tu w lesie coś jakby czai się na niego. I miałbyż on nie przeczuwającemu złego zwierzęciu wpakować w serce zdradziecką kulę? Nie, zrobi to może kiedy indziej, gdy będzie w innym nastroju.

Czy aż tak zmieniły się jego zwyczaje? Nie: tylko zaczyna wzuwać się w las i jego prawa. Nigdy nie był tak mocno z nim zespolony. Spokój, który w przyrodzie obejmuje wszystko, co żyje, udzielił mu się również i dlatego ta czyjaś zawiść, tropiąca go aż tu w dzikim ostępie, zdawała mu się być przykrym ostrzeżeniem.

Zdjął rękę z kurka i uderzył nią mocno w kolbę. Łoś nagle opuścił głowę, jakby się chciał zrobić mały, jak najmniej widoczny, skoczył w bok, a potem w dzikim pędzie dopadł jodłowego lasu za moczarem.

Wysoko na zachodnim zboczu Skarfjell ukazało się małe ognisko, wyglądające z daleka jak gwiazda. Ale im bardziej zapadały ciemności w lasach, tym mocniej jaśniał ów ogień.

Dag poszedł dawną ścieżką, biegnącą w kierunku zachodnim i doszedł do zakrętu, zanim wieczorny zmrok przełamał jasność jesiennego dnia. Stamtąd spoglądał w zamyśleniu to w dół na doliny ciągnące się z południa i zachodu, to w górę na północ, na wysokie szczyty, zarysowujące się ostro zimową już bielą na tle błękitu. Zapatrzył się w ten fascynujący widok i przypomniał sobie, jak z uporem przedarł się kiedyś na Górę Śmierci, podczas gdy bronili jej jeszcze zimowe burze.

Wiatr dał tu nieoczekiwanie zimny i przewiewał mu plecy. Oparty o skałę — jadł wieczerzę. Ogień na wietrze syczał, rozchodziło się od niego przyjemne gorąco. W chwilach kiedy wiatr odbijał się od skalistej ściany i dał w żar — płomienie wychylały się ku niemu lub strzelały w górę, rozpraszając ciemności. Otaczał go rzadki las jodeł i świerków. Niektóre pnie były powykrzywiane, a gałęzie od strony wiatru suche. Gdzieniegdzie rosły brzozy i osiki. Nazbierał sporo chrustu na podściółkę, tyle nawet, że miał czym się przykryć, ale wiedział, że i tak tej nocy nie będzie spać.

Gryząc chleb nastawiał uszu i wsłuchiwał się we wszelakie szmery; wyteżał wzrok, aby dojrzeć coś w ciemnościach. Po

»•

zaspokojeniu głodu i zamknięciu plecaka czuł się spokojniejszy. Po długiej, męczącej wędrówce w ciągu dnia i od ciepła ogniska popadł znów w zwykłą obojętność; oparł łokcie na kolanach, twarz na dłoni i zadrzemał. Słyszał tony, jakby pochodzące z wieczności.... W poszumie wiatru hulającego na szczycie Skar-fjell dźwięczała przedziwna muzyka zaświatów. Monotonny, usypiający dźwięk dochodził tu z wielkiej przestrzeni, a jezioro u stóp północnego stoku obijało się z szumem o skaliste brzegi. Dag coraz bardziej przechylał się w stronę ognia, coraz rzadziej otwierał oczy, ażeby rozglądnać się.

Nagle podniósł głowę i siedział bez ruchu, wpatrując się bacznie w ciemności za ogniskiem. Tak, tam na końcu ścieżki...

W blasku ognia coś zamajaczyło jakby zjawa... Ale twarz ludzka! Postać prosta, wysoka. Trwało to sekundę i znikło.

Bo też to, co wprawiło go w takie zdumienie, było istotnie czymś niespodziewanym — zjawa ta przypominała postać ojca! Czyżby groziła mu śmierć? I czyżby przecucie tej właśnie śmierci prześladowało go w ostatnich czasach? Słyszał nieraz, że tak bywa.

Ludzie lasu potrafią niejedno opowiedzieć o przecuciach i zjawach przed śmiercią kogoś bliskiego. Ale czy naprawdę był całkiem już rozbudzony, gdy mu się to widzieć zdawało, czy też na poły spał jeszcze? Nie zdawał sobie teraz z tego sprawy.

Pochylił się sennie ku przodowi, ale wówczas uszu jego doszedł jakiś odgłos i gdy podniósł głowę — ojciec stał przed nim.

Zawirowało mu w głowie przypuszczenie. Więc ojciec go śledził — stąd owe ostrożne szmery, których nie mógł pojąć ani dociec. Więc owe niewyraźne ślady pochodziły od jego pończoch łosiowych. Ale dlaczego ojciec śledził go po kryjomu, a nie zbliżał się do niego otwarcie?

— Męczące jest wspinanie się na górę — rzekł stary sapiąc. Cały był w potach.

Koło ognia leżał wielki, porośnięty mchem kamień. Siadł, położył strzelbę i plecak obok siebie, patrzył w ogień i w ciemną noc, i bardzo długo w niebo, jakby pragnąc odnaleźć tam wszystkie konstelacje gwiazd. Następnie znów w ogień, a syna jakby nie widział. Ojciec Dag, taki pewny siebie wobec wszystkich, w obecności syna, od czasu gdy ten dorósł, stawał się jakby

onieśmielony. Nie wtrącał się do jego życia, wyjąwszy może ożenek z Adelajdą. Oczywiście on ich połączył, był tym przecież, który w imieniu syna wypowiedział decydujące słowa... Ale to była właściwie jedyna ingerencja w jego życie.

Pomiędzy ojcem a synem leżała jakaś przegroda, dystans nie do przebycia. Kiedy Dag dorastał, matka rządziła domem i miała tysiączne sprawy osiedla na głowie, a stary Dag tak był zajęty sprawami majątkowymi, że nie miał głowy do niczego, nawet dla synów.

Dlatego też Dag chował się sam; nikt właściwie nie znał jego duszy. Z natury milczący jak jego przodkowie. Las i samotność nie mogły go rozmowności nauczyć. Stary nie miał pojęcia, czy syn wie o tym, że on bywał tak twardy w sprawach pieniężnych, i co o tym wszystkim myśli. Nie wiedział także, czy mu bierze za złe, że zupełnie się nim nie zajmował i nie interesował.

Taki był stosunek ojca do syna, pomimo siły woli starego i jego charakteru. Zresztą zdarza się to i innym, że się czują jacyś onieśmieleni i niepewni właśnie w stosunku do kogoś najbliższego. I chociaż w ostatnich latach ojciec Dag uważał za swój obowiązek zbliżyć się do otoczenia i możliwie pomóc każdemu, na ostatku dopiero pomyślał o synu.

Od czasu słów pastora o majorze doszedł do wniosku, że prawdą jest, iż każdy człowiek potrzebuje jakiejś ostoji w życiu, a wyrzuty sumienia zwróciły mu uwagę w końcu, że tej podpory potrzebuje może ktoś tak bardzo mu bliski.

Młody Dag nie wiedział i nie mógł wiedzieć, jakie duchowe walki przechodził jego ojciec w ukryciu, blisko niego, i ile razy wycofywał się w ostatniej chwili z decydującej rozmowy w cztery oczy. Jedenaście lat temu stary uległ po raz ostatni pokusie zbliżenia się do syna. Było to wiosną po śmierci matki i... zabrał wówczas rotmistrza Klingego ze sobą, ażeby nie zostać sam na sam z synem. Od tego czasu stary Dag nie przypominał sobie, ażeby kiedykolwiek przez dwa dziesiątki lat rozmawiał z synem w cztery oczy — chyba przelotnie o pogodzie czy o innych nieważnych sprawach.

Młody wciąż jeszcze siedział przed ogniem skulony, z brodą opartą na dłoniach. Raz czy dwa spojrzął na ojca, a potem na wygwieżdżone niebo, jakby chciał sprawdzić, czy ojciec widzi

tam jakieś niezwykle zjawisko... Wicher uspokoił się nieco, ale pomiędzy skałami od czasu do czasu ciągnęło przejmujące zimno, a z lasów i od jezior dobiegały pomruki i szum wody.

Ojciec dorzucił trochę gałęzi do ognia i przyglądał się, jak płomień je ogarniał, a dym niął w ciemnościach.

— Czyś widział już tego roku niedźwiedzia? — spytał w końcu. Dag jakby się zastanowił.

— Nie, tego roku jeszcze nie. Napotykałem ślady na północ od Syatjern i chaty na Vestli, a także kiedyś i tu w pobliżu gór. Rybak Bórre mówił, że widział jednego nad wodą.

— Łosie w tym roku zapuszczają się daleko — powiedział nagle stary.

Syn obrzucił go szybkim spojrzeniem... Czyżby ojciec znajdował się tak blisko niego dzisiaj, iż był świadkiem sceny z łosiem na moczarze?

— Bo wszędzie są świeże ślady. — Ojciec Dag poruszał rozmaite tematy, przed każdym zdaniem zastanawiał się, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Mówiąc nie patrzył na syna, spoglądał w ogień, na ziemię lub w kierunku szczytów; przeważnie jednak patrzył w niebo, gdzie pojawiała się coraz więcej gwiazd.

Przynieśli obaj jeszcze chrustu, sporządzili posłanie i dla starego; położyli się w końcu. Syn oparł się o skałę, a ojciec o blok kamienny, na którym przedtem' siedział. Patrzyli obaj w ogień, plecaki podsunęli pod głowy, strzelby gotowe do strzału leżały obok, mieli je pod ręką. Czuwali.

Długo leżeli w milczeniu, gdy wreszcie ojciec zaczął bardzo niepewnym głosem.

— Na pewno słyszałeś albo zauważyłeś, że byłem człowiekiem twardym, nieugiętym, bezwzględny w interesach, w prawowa-niu się z ludźmi, w ogóle w sprawach pieniężnych. Ale to było kiedyś. Takie postępowanie wykoleja człowieka. Bywają ludzie, którzy aż do śmierci są chciwi na pieniądze, nigdy nie mają ich dość, ale nie w tym leży sens życia... Właśnie chciwość ludzi, którzy się wybili, utrudnia tak bardzo życie drugim. Jeśli się chce zaznać spokoju i radości życia, trzeba dowieść, że się ma serce współczujące. Sobie się w ten sposób dobrze czyni i innym. Kiedyś, gdy po mnie dojdiesz do steru, spadnie na ciebie wielka odpowiedzialność. Musisz się mieć na baczności przed pochleb-

cami i fałszywymi ludźmi, którzy pragną żyć tylko na koszt drugich, sami próżnując. Jeżeli jednak napotkasz człowieka, który będzie pracować w miarę swych sił, ale nie będzie mu się wiodło, powinienes mu dopomóc.

Tym podobne rzeczy mówił stary młodemu.

Z początku syn leżał nieruchomo, nie patrząc na ojca. Gdy zauważył, do czego ojciec zmierza, wykrzywił mu się z lekka policzek, pogłębiła się fałda, ale utknęła jakby na pół drogi w górę w twardym, nienaturalnym grymasie, który mógł być uśmiechem. Utkwił błyszczące oczy w grze płomieni. Jego postawa świadczyła o tym, że ma w tych sprawach od dawna własne zdanie.

Całą noc zawiewał mroźny wiatr od skał i o śnie nie było mowy. O świcie przywędrował ostry, północny wiatr o mroźnych podmuchach i zaczął wyc w szczelinach skalnych, hulać i przeginać drzewa zwieszające się nad przepaściami.

Stary podniósł się dygocąc. Położył się spocony i pewno w nocy przeziębził się. Odchrząknął na wpół odwrócony plecami od syna, zarzucając sobie plecak i fuzję na ramię, i powiedział zachrypniętym głosem:

— Powinienes się postarać... ażeby... jakoś znaleźć drogę do Adelajdy...

Dag siadł i patrzył długo za ojcem schodzącym wolno, ale pewnym krokiem z góry. Wkrótce znikł mu z oczu.

XLI

L/d dawna już w pokojach w starym budynku nic się nie zmieniło. Ale w tym roku przybyło coś nowego do sieni: zegar. Wisiał dumnie na ścianie przy drzwiach prowadzących do kancelarii, tykał głośno i dźwięcznie wydzwaniał godziny w dzień i w nocy.

Zegar był jedynym dziedzictwem po ojcu Adelajdy i na jej życzenie został umieszczony w sieni; u niej w pokoju nie było odpowiedniego miejsca, zresztą głośne tykanie i bicie nie bardzo licowało z charakterem sypialni. Zegar ten sprowadził jej

dziadek z Anglii; wyryta na nim była data sprowadzenia i nazwisko zegarmistrza, na cyferblacie zaś, na którym po wieczne czasy strzałki miały wskazywać godzinę, były wyryte słowa:

Memento mori.

Zegar ten przypominał Adelajdzie ciężkie czasy biedy przy ojcu i nastrojał ją łagodniej, i pozwalał cierpliwie patrzeć na obecne troski. Ile razy przechodziła tamtędy, zawsze nań spoglądała, czyściła i pielęgnowała, uważając, że jest w większym stopniu jej osobistą własnością niż całe bogactwo, które ją tu otaczało.

Po owej nocy spędzonej na Skarfjell, stary wrócił do domu dopiero następnego wieczoru. Był dobrze usposobiony, jak ktoś kto spełnił ciężący na nim od dawna obowiązek, a do którego długo nie miał odwagi się zabrać. Przebrawszy się, usiadł w sieni przy kominku i wypił puchar wrzącego ponczu ziołowego. Wciąż mu się zdawało, że mróz poprzedniej nocy siedzi mu jeszcze w kościach. Przysunął się jak najbliżej ognia i dołożył parę polan brzoźowych. Nigdy jeszcze w życiu nie odczuł tak prawdziwie rozkoszy ciepła. Toż to dobrodziejstwo ten ogień pod kominkiem i ten rozgrzewający trunek, rozchodzący się warem po żyłach. Chciał zapalić, ale tytoń jakoś mu nie smakował; widocznie zaziębienie umieściło się w gardle.

Zegar przy drzwiach kancelarii zaczął wybijać godziny srebrnym, jasnym dźwiękiem. Ojciec Dag obrócił się w jego stronę razem z fotelem; wydzwoniła dziesiąta. Jaka miła rzecz taki bijący zegar! Odkąd tu jest, człowiek nigdy nie czuje się całkiem samotny. Tyka, działa niestrudzenie i dokładnie wykonuje swoje zadanie, uderzenie jego przypomina bicie dzwonu. A ten napis na cyferblacie, który mu Adelajda przetłumaczyła, powinno się jako wskazanie pamiętać w każdej godzinie życia.

Odwrócił się z powrotem do ognia i dorzucił drzewa, przysunął się jeszcze bliżej, oparł nogi o sam brzeg kominka; gorąco jak swędzenie szło w górę po nogach.

Następnego ranka dziadek tak kichał i kasłał przy jedzeniu, że chłopcy śmiali się z niego na cały głos. Śmiał się z nimi razem, ocierając chustką pot z czoła.

Potem poszedł z nimi na codzienny spacer na pastwiska. Tra-



wa była tak pokryta szronem, że pozostawały na niej wyraźne ślady stóp. Starszy szedł tuż za dziadkiem i starał się stawiać równie duże kroki, ale miał za krótkie nóżki na to.

— Dobrze — pochwalił go Dag. — Zaczynaj za młodu chodzić śladami twego dziadka. — Potem położył rękę na głowce młodszego, który milcząco dreptał koło niego: — Przyszły właściciel na Borgland! — powiedział cicho do siebie.

Chłopcy chcieli koniecznie wiedzieć, gdzie przebywał w ostatnich dniach, opowiedział więc im o Skarfjell — mieszkają tam dziwne zwierzęta, które rzucają ciężkie kamienie do jeziora; powstaje wtedy z tego taki huk, że rybak Bórre dziwną siłą zostaje wyrzucony ze swego łóżka i budzi się raptem na drugim brzegu. Tak, dziadek, gdy był dobrze usposobiony, umiał opowiadać przedziwne historie o lesie i o dziwach, które się tam dzieją.

Prędko się jednak zmęczył i kazał im się bawić samym. Znajdowali się w górnej części pastwisk, dziadek dociągnął z nimi aż do płotu odgraniczającego pastwiska od lasu. Siadł na kamieniu i oparł się o ogrodzenie.

Całą noc kaszlał i czuł się teraz dziwnie bardzo wyczerpany. Chwilami przebiegały go po krzyżu dreszcze; ogarniało go coraz większe zmęczenie. Na miejsce, gdzie siedział, padały promienie słońca, ale jesienne! Wcale nie grzały.

Ponad jego głowę wiał lekki wiaterek, igrał z liśćmi ostałymi jeszcze na drzewach i leżącymi na ziemi. Obrócił głowę i spojrzał na najbliższe rosnące sosny. Wyglądały tak, jak gdyby swe gałęzie opierały na wietrze. Nigdy mu dotąd nie wpadło do głowy, że to tak właśnie wygląda, ale dziś odczuwał ten widok dlatego, że sam pragnął odpoczynku. Oparł się o płot i przymknął oczy; zazwyczaj tak bardzo rażące mu po głowie myśli dziś także wypoczywały, jakby lekki podmuch rozwiewał je. Czuł w swoim wnętrzu wyzwalający śpiew lasów. Odkąd tylko zaczął rozumować, brzmiał mu on zawsze w uszach i sercu. Ach... chyba spadnie z tego kamienia... wprost na ziemię... w ziemię... zniknie, mały, drobny, rozwieje się w tym cichym falowaniu leśnym... Nagle gwałtowny atak kaszlu przywołał go do rzeczywistości. Po wyrzuceniu flegmy wstał przytrzymując się płotu. Trzeba jednak Pójść do domu, póki się jeszcze jest przytomnym.

Zawołał chłopców i wzięwszy ich za rączki, skierował się chwiejnym krokiem z powrotem przez pastwiska do domu. Malcy przyglądali się bacznie dziadkowi, który mocniej niż zwykle ścisnął ich rączki, ale nie oponowali, bo i tak z trudem tylko mogli mu dotrzymać kroku.

Przyszedłszy do domu, padł na fotel przed kominkiem. Wydało mu się, że w pokoju jest wyjątkowo zimno, dorzucił więc dREW, po chwili buchnęły silnie płomienie.

Adelajda, która szła akurat z kancelarii w kierunku schodów, zauważyła to:

— Tak mocno palisz? — zapytała zdziwiona.

— A tak... zimno tu dziś.

, Popatrzyła na niego badawczo i wolno zaczęła wstępować na schody.

Ojciec Dag pozostał w łóżku! Nikt, nawet najstarsza czeladź nie mogła sobie przypomnieć, ażeby kiedykolwiek coś podobnego się zdarzyło. Wprawdzie powiedział, że jest bardzo strudzony, wypoczynek potrwa tylko jeden dzień, ale na obejściu zapanowała niezwykła cisza. Również i następnego dnia nie przyszedł do stołu i posiłek, który mu zanieiono, powrócił do kuchni nie tknięty.

Adelajda przypuszczała, że może będzie mu nieprzyjemnie, gdy odwiedzi go w sypialni, ale gdy pozostał drugi dzień w łóżku postanowiła pójść.

Gdy ojciec Dag ujrzał Adelajdę natychmiast podniósł wysoko poduszki i na poły usiadł, wparłszy się w róg łóżka, ręce wyciągnął przed sobą, lewą oparł na brzegu łóżka, prawą na kołdrze; pragnął sobie nadać wygląd zupełnie zdrowego człowieka.

Adelajda niczego nie okazywała po sobie, usiadła przy nim i nie patrzyła mu w oczy, lecz gdzieś poza niego.

— ...Patrz no, leżę i leniuchuję... — Powiedział to tym samym tonem, jakim zwykł żartować, ale w tejże chwili chwycił go gwałtowny atak kaszlu, zasłonił się kotarą i splunął do naczynia stojącego z drugiej strony łóżka. Obtarł sobie usta chustką, ale tak jakoś niezręcznie to zrobił, że dojrzała na niej plamy krwi.

Ojciec Dag pochwycił jej przerażone spojrzenie i uśmiechnąwszy się blado, rzekł:

— Coś mi się tam w płucach od tego ciągłego chrząkania... Do tej chwili Adelajda nie miała odwagi powiedzieć mu o konieczności wezwania lekarza, ale teraz, nie zważając już na nic, oznajmiła, że trzeba to koniecznie uczynić. Ojciec Dag spojrział na nią zdumiony.

— Jak to, uważasz, że to jest konieczne? — zapytał, ocierając sobie spocone czoło; głos mu drżał nieco, ale po chwili znów się uśmiechnął, poprawił na łóżku powiedział miłym przyjaznym tonem:

— Chodziło się po świecie dzień w dzień przez nieomal trzy ćwierci wieku, a gdy człowiek pragnie sobie poleniuchować tylko troszeczkę, zaraz grożą doktorem i tym samym zmuszają do wstania.

Adelajda starała się go przekonać, że obecność doktora jest konieczna, ale Dag sprzeciwił się z całą stanowczością:

— Chciałbym tu tylko mieć kogoś, kto by pilnował ognia pod kominem i pragnąłbym czegoś mocnego do picia. Prześpię chorobę i będę zdrow. Powiedz Syverowł, ażeby przysłał Evena Steinruda. Wiesz, to ten, który potrafi wypalić ogniem dziurę w skale, potrafi więc i tu podtrzymać bez przerwy ogień. — Mówił to niby zwykłym, silnym głosem, ale ucho jej pochwyciło jakby jakiś obcy ton.

Podniosła się i z wymuszonym uśmiechem na twarzy powiedziała jak najspokojniejszym tonem, na jaki się mogła zdobyć, że cieszy się, iż jest mu dobrze.

Sporo czasu upłynęło, zanim Even Steinrud zjawił się u starego. Adelajda bowiem aż do chwili znalezienia się w swym pokoju musiała się mocno hamować, dopiero u siebie wybuchnęła długo tłumionym płaczem. Mijały godziny, a ona zanosila się łkaniem, leżąc na łóżku. W końcu jednak zdołała się opanować i przez okienko w drzwiach kuchennych podała na podwórze zlecenie ojca Daga. Potem wcale sobie tego nie przypomiwała, że była w czeladnej na dole, bo powróciwszy do siebie, przepłakała cały dzień i całą noc, z wyjątkiem tylko chwili, kiedy rozbierała chłopaczków. Dopiero o świcie zasnęła w ubraniu, kompletnie wyczerpana; spała ciężkim, niedobrym snem...

Ludzie płaczą nad sobą... Adelajda stale w swej rozpaczce powtarzała: — Jedyne w życiu...

Syver otrzymawszy zlecenie, nie wiedział, o co chodzi, a Even był wprost przerażony. Dotychczas nie widywał prawie swego pana i nigdy w sieni nie był, a teraz nagle Syver każe mu tam iść, zdjąć w przedpokoju buty, potem wejść do bawialni, stamtąd na lewo i zapukać do drzwi sypialni starego.

Even zrobił, co mu kazano, bez mrugnięcia. Ale raz czy dwa cofał rękę, zanim się odważył zapukać do sypialni. Z natury nie był nieśmiały, lecz tu było coś innego niż wszystko dotychczasowe. „Musi być w tym jakaś pomyłka” — myślał; w końcu zapukał delikatnie.

Gdy Even wszedł, stary znów siedział oparty w rogu łóżka. Chłopak stanął z opuszczonymi oczami i czekał.

— Taki dzielny chłopak, jak ty, może śmiało patrzeć ludziom w oczy — powiedział Dag. — Wiem, jak pracowałeś w Stjerne-bekk. Dlatego też wyznaczyłem cię do pomocy Syverowi. Nie jest już młody i z czasem będzie go musiał ktoś zastąpić. Pamiętaj, miej otwarte uszy i oczy. Przy takim koniu roboczym, jak Syver, można się wiele nauczyć. Jeżeli okaże się, że się dobrze sprawujesz i jesteś zdolny, zostaniesz jego następcą.

Even zamknął z całą ostrożnością za sobą drzwi od sypialni i przesunął się bezszelestnie w pończochach przez bawialnię do drugiego pokoju, tak zwanej „starej komnaty”. Według zlecenia starego owinął się w skórę niedźwiedzia i położył na ławce tuż przy ścianie. Tu bowiem usłyszy natychmiast pukanie chorego i przejdzie do niego przez małe drzwiczki, a nie jak zwykle przez bawialnię, co budzi mieszkańców, bo drzwi zgrzytają paskudnie. Pewnie staremu szło o Adelajdę; nie chciał, żeby wiedziała, jak jest z nim źle i że potrzebuje pomocy.

Ojciec Dag miał w nocy wysoką gorączkę. Obudził się na pół przytomny. Wtem z trzaskiem otworzyły się drzwi i ktoś stanął w nogach łóżka. Uniósł się trochę, ażeby zobaczyć, kto to jest? Mały Dag... Stał jakby czekając na coś.

— Czy to prawda, dziadziu, że masz umrzeć? — spytał w końcu z napięciem.

Ojciec Dag skrzywił się; ale podniósł głowę i spojrzał mocnym wzrokiem na dziecko.

— A gdzieś to słyszał? — spytał.

— W kuchni... ale dlaczego musisz umrzeć?

—^ Wszystko, co żyje, musi umrzeć.

— Ja też?

— Tak, ty też.

— Ale to jeszcze daleko!

Tak; wszyscy myślą, że do śmierci jest daleko... Jakaś służąca zajrzała wystraszona przez uchylone drzwi i czym prędzej zabrała malca.

## XLII

Lejoktor orzekł, że trzeba być przygotowanym na najgorsze. Był również pastor, ale akurat Dag majaczył wtedy, więc musiał odjechać, nie rozmówiwszy się z nim; powiedział, że przyjedzie później.

Adelajda prosiła Evena, żeby dał jej znać gdy ojciec odzyska przytomność.

Dopiero późnym wieczorem zastukał do niej. W pierwszej chwili przeraziła się, że to już może koniec, ale gdy się dowiedziała, że odzyskał przytomność, krew z powrotem nabiegła jej do twarzy i z uczuciem ulgi weszła do jego pokoju. Zauważyła, że był sprzątnięty na jej przyjęcie, dlatego pewnie tak to długo trwało. W piecu palił się ogień; buchał jasny płomień, aż drzwi trzeszczały od gorąca. Polana brzozowe leżały porządnie poukładane pod ścianą, pokój był świeżo zamieciony. Zastony przy łóżku były spuszczone, podniesione tylko od strony okna. Z tej strony stał również fotel u wezłowania, a także stolik nocny, na nim lichterz ze świecą, dzbanek wody i szklanka. Lekarstwa zostały sprzątnięte. Pościel była świeżo powleczone, a Dag siedział w rogu łóżka ze stosem poduszek pod plecami.

Matka Adelajdy umarła na zapalenie płuc; znała więc objawy tej choroby. Dag miał kłucie w piersiach i głowie i był śmiertelnie wyczerpany gorączką i kaszlem. Miał jednak na tyle siły i woli, i przytomności, ażeby kazać uporządkować pokój na jej przyjście; powinien był leżeć spokojnie, bo to było potrzebne organizmowi, ale chciał robić wrażenie człowieka zdrowego, tak

jakby nie groziło mu niebezpieczeństwo. Widocznie kazał Ewenowi ogolić siebie, bo był czysty i nie obrośnięty. Jedyne włosy nie były czesane grzebieniem, tylko przygładzone ręką.

Koszulę miał rozpiętą pod szyją. Policzki płonęły gorączką i na twarzy widać było ślady wyniszczenia chorobą, ale nad wszystkim górował wyraz spokoju i opanowania. Zapadnięte oczy wydawały się ciemniejsze niż zazwyczaj, ale patrzyły mocno i z wiarą.

— Musisz się postarać, żeby jak najprędzej wyzdrowieć, wstać i wyjść na świeże powietrze — powiedziała możliwie żartobliwym tonem.

Ojciec Dag oparł głowę o najwyżej leżącą poduszkę i spojrzał gdzieś daleko przed siebie:

— Już wykorzystałem chyba cały zapas świeżego powietrza, który mi był w życiu przeznaczony.

Adelajda nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, i zaległa cisza. Nagle łóżko zatrzeszczało, ojciec Dag podniósł głowę i powiedział mocnym głosem, niby poważnie, ale był w tym może i odcień humoru:

— Prawdziwy mężczyzna nie powinien umierać w łóżku, otoczony poduszkami. Powinien paść nagle w czasie pracy... — i odetchnawszy kilka razy, prędko dodał: — Ale i taka śmierć ma swój głębszy sens. Ma się czas na rozmyślanie nad wszystkim dobrem, którego nam Pan Bóg użyczył, i o dobru, na wykonanie którego nigdy nie znajdowało się dość czasu.

Adelajda odważyła się rzucić zdanie:

— Przecież już od dawna nie byłeś twardy i bezwzględny dla ludzi...

— Zawsze znajdują się jakieś usprawiedliwienia — oparł głowę o poduszkę i zamknął oczy.

Patrząc na jego zagryzione wargi i ściągnięte brwi, Adelajda domyśliła się, że znowu zbliża się atak. Na czoło wystąpił pot, a plamy na policzkach zrobiły się ciemnoczerwone. Oddech stał się krótki, urywany i rozpoczął się kaszel. Adelajda mocno zacisnęła powieki, ale łzy pomimo to ciekły jej po twarzy... Kaszel zdawał się rozszarpywać płuca, niszczyć tkankę od wnętrza aż do samego gardła. Sądząc z tego, co niegdyś mówiła, matka, cierpiał on w tej chwili piekielne katusze.

Wszystko się kończy, więc i ta męczarnia ustała wreszcie. Oparł głowę głęboko o poduszki. Usta miał półotwarte, dysząc łapał z trudnością powietrze. Policzki pałały, a z czoła lał się pot, ściekając strużkami na obie strony.

Z najgłębszej istoty Adelajdy wyrывało się gorące pragnienie, aby wziąć chustkę z poduszki i obetrzeć mu pot; ale przypomniała sobie, że przecież dlatego kazał Evenowi czuwać koło siebie, ażeby nie być pielęgnowanym przez kobiety.

Z zamyślenia obudził ją spokojny głos:

— Tak, tak, choroba musi się mocno wysilić, ażeby zmóc takiego człowieka jak ja.

— Oprzyj się i wypocznij — powiedziała wstrząśnięta bólem. Wzruszył ramionami:

— Wkrótce już przyjdzie czas na prawdziwy wypoczynek. Może to ostatni wieczór, ostatnia nasza rozmowa...

Fala piekącego bólu podniosła się z jej wnętrza aż do nasady nosa. Ale jakby zamrożona, utknęła tam.

Śmierć zdawała się jej już tak bliska, że płacz byłby czymś bezsensownym. Była jej w inny sposób bliższa niż śmierć matki czy babki. Ogarnęło ją jakby jej tchnienie. Starego Daga znała najlepiej, był dla niej tym wszystkim, czym nie byli tamci, którzy należeli do jej najbliższej rodziny.

Znów ją wyrwał z zamyślenia głos ojca Daga:

— Jeszcze mnie tylko jedna sprawa niepokoi: Dag. Nie wiem, co się w jego duszy dzieje. Ty musisz to wydobyć. Są tam wartości, ale tkwią zbyt głęboko. Jeszcze ci coś powiem; zwracaj się do ciotki Eleonory w razie jakichś wątpliwości. To rozumny człowiek.

Wszystko wypowiedział tak jakoś naturalnie i spokojnie, że sama się zdziwiła, jak mogła myśleć o jego bliskiej śmierci. Potem myśli jej skoncentrowały się na mężu. Słowa wypowiedziane przez ojca Daga były jakby światłem wśród bezdennych ciemności, w których dusza jej była pogrążona. Więc nie będzie taka samotna na wypadek śmierci ojca Daga. Mąż jej żyje, chociaż jest z dala od niej. Życie nauczyło ją przestawać na małym. Nagle przeszła ją bolesna myśl.

— Czyś kazał zawiadomić Daga? — spytała.

— Tak — odpowiedział — ale pytanie, czy zdąży wrócić, za-

nim odejdę. Spotkaliśmy się niedawno któregoś wieczora w lesie. W razie... pozdrów go ode mnie i powiedz, że dużo o nim myślałem.

Adelajdę zastanowiło to. Nigdy nie słyszała nic i nie widziała ich rozmawiających ze sobą. Czyżby to spotkanie było przypadkowe, czy też ojciec Dag umyślnie go odszukał. W jakim celu? Czy się rozmówili i czyżby rozstali się w gniewie, że ojciec dopiero teraz po niego posłał, i czy ten dręczący niepokój był spowodowany przez syna? Zmartwienie z powodu choroby bardzo szybko przeobraziło się w jej myślach w troskę o własne sprawy, w niepokój o męża.

Znów ją głos starego przywołał do rzeczywistości:

— Nie stawiajcie na mym grobie żelaznej płyty. Nazwisko i imię nie ma żadnego znaczenia w drodze do wieczności. Niech mój grób porośnie trawą i kwieciami i postawcie na nim krzyż drewniany. Gdy się rozpadnie, zniknie i pamięć o mnie. Drzewo na krzyż weźcie z lasu, zza płotu ogradzającego pastwisko od północy, koło kamienia, który tam leży. Na tym szarobiałym kamieniu siedziałem po raz ostatni w życiu i czułem się po raz ostatni zespolony z lasem. Przy tych ostatnich słowach głos brzmiał nieco niepewnie, ale widziała, że oczy miał suche, błyszczące wysoką gorączką. Siedział na wpół wyprostowany w poduszkach. Nieraz jej opowiadano, że chłopki na łożu śmierci potrafią własnoręcznie rozdawać pomiędzy córki ubranie i kosztowności — i czynić to z całym spokojem jak codzienną pracę koło gospodarstwa. Ale że ojciec Dag, o którego stosunku do śmierci wiedziała, myślał w takiej chwili o czymś podobnym, zdało jej się nie do pojęcia.

Gdy tak siedziała, daleka od tego wszystkiego myślami, usłyszała coś, co było jakby uzupełnieniem poprzednich słów, jakby .echem z wielkiej oddali:

— Krzyż ma swój głębszy sens. Dla nas jest on oznaką śmierci, a jest przecież wyobrażeniem samego życia przed śmiercią, w czasie konania i po śmierci. Czyś się nad tym zastanawiała?

Musiała zaprzeczyć. Nie mogła sobie wyobrazić tego drewnianego krzyża, podczas gdy na grobie pułkownika von Galia sam kazał położyć płytę spiżową z herbem i koniecznymi ozdobami. W ogóle nie rozumiała jego ostatnich słów i przypuszczała, że



są to majaczenia umierającego. Pochyliła się nad stolikiem i obcięła knot, tak że świeca paliła się jasnym, żywym płomieniem.

Znów przyszedł atak kaszlu, gorszy niż wszystkie dotychczasowe. Padł potem na poduszki i leżał bezwładnie, łapczywie chwytając powietrze.

Adelajda podniosła się cicho. Cierpiała z nim razem. Podjęła chustkę z poduszki i raz po raz ocierała mu pot z czoła i twarzy. I w całej swej rozpaczycy znajdowała w tym gościu pewne pocieszenie.

Obojętne było w tej chwili, czy jest przytomny i wie, że to ona... Mój Boże! Mogła dotykać jego twarzy, wyświadczać mu pewną serdeczną przysługę.

Oczy chorego straciły blask. Szara mgła zaczęła mu przysłaniać piękną postać przy jego łożku. I choć ogarniał ją spokojnym wzrokiem — cień przed oczyma gęstniał mu coraz bardziej. Już tylko niewyraźny kształt ludzki widział przed sobą.

Rzęziło mu w piersiach i oddychał nierówno; tyle tylko, ile mu pozwalały schorowane płuca. Przemówił w końcu, ale tak cicho, że poprzez szept jego słyszała całkiem wyraźnie bełkot strumyka i zazwyczaj niedosłyszalny podczas rozmów daleki poszum lasu.

— Mówiąc, że ostatnimi czasy przestałem być zły, że czyniłem dobrze, chciałaś mnie pocieszyć. Ale, niestety, podczas długiego życia zaniedbuje się wiele dobrego, a sporo wyrządza zła. Tak było i ze mną. Można we wszelkie postęпки i uczynki wkładać tyle dobrej woli i chęci, na ile tylko nas stać, ale czyni się to zawsze w granicach własnych możliwości, w ramach życia i natury ludzkiej, a wszystko w niej ma jeden podkład: egoizm, chęć wykupienia się dobrym uczynkiem z grzechów. Poza to nikt wyjść nie może. Bo wszędzie i zawsze stawiamy przede wszystkim interes własny, on powoduje przezorność w postępowaniu, Wyrachowanie osobiste i koniec końców bliźni nasz niewiele otrzymuje dobrego. Gdzieś tam może w głębi duszy człowieka tkwi coś szlachetniejszego, ale jest to bardzo głęboko ukryte... Mam na myśli uczucie, współczucie — możesz to nazwać, jak chcesz. Ja uważam, że serce i uczucie jest wszystkim i jest warte więcej niż rozum i wszelaka mądrość, serce właśnie powinno nas prowadzić przez życie. Bo z uczucia i serca powstają serdeczne

14 A laay wiecznie śpiewają

odruchy i odwaga, i wszystko inne, co nas pobudza do czynów wiele cenniejszych niż te, które nakazuje zimny rozum i nieufność do ludzi. Niestety, jesteśmy tak stworzeni, że serce niełatwo przychodzi do głosu, wszystko, co w nas wielkie i szlachetne, drzemie głęboko w duszy, a to, co codzienne, egoistyczne, wypełnia nasze życie.

Znów opanował go zabójczy kaszel; zdawało się tym razem, że rozgrywa się tam walka na śmierć i życie. Adelajda zasłoniła twarz dłońmi, ażeby nie widzieć i nie słyszeć.

Następnie po ataku otarła go chustką i stanęła pochylona nad śmiertelnie znużonym człowiekiem; oczy miał zamknięte. Oddech jego był tak krótki i przerywany, że zdawało się, iż lada chwila w ogóle go zabraknie.

W tej chwili sztywną zazwyczaj Adelajdę opuścił rozsądek i wszelka ostrożność. Uczucie, silniejsze od niej, wzięło górę. Rękami musnęła skroń Daga, padła na jego łóżko i dotknęła ustami rozpalonego czoła. Potem nerwowo oddychając, siadła i utkwiała zatroskany wzrok w jego twarzy... Czy był przytomny, czy... widział, kiedy się zapomniała. Czy w ogóle jeszcze będzie przytomny?

Zapadła noc, mijała godzina za godziną. Adelajda nie spuszczała oka z łóżka, chwilami wstawiała, ażeby poprawić poduszki, i siadała z powrotem. Krótki oddech z ciemnego kąta na łóżku stapał się z pluskaniem strumienia w ogrodzie i z dalekim śpiewem lasu.

Zasnęła. Nagle zerwała się przerażona, bo coś się jakby poruszyło. Gdy otworzyła oczy, ujrzała, że prawa ręka Daga leży tuż przy jej dłoni na brzegu łóżka. Siedział mocno pochylony do przodu i patrzył jak urzeczony przed siebie. Usta jego poruszyły się parokrotnie, a w końcu wykrztusił, z trudem łapiąc powietrze:

— My, ludzie, dążymy tylko do jednego przez całe życie — do szczęścia i spokoju, do wieczności... A tam prowadzi... tylko jedna droga do wnętrza, w serce... Widzę to jasno teraz, patrząc wstecz na całe swoje życie. To są słowa Pana... A On jedyny wie, co mówi. On, który jest w nas, gdy się wszystko już kończy. Droga do zrozumienia sensu życia prowadzi ponad rozum i na-

sze myślenie... do Jego prostego przykazania... nie ma innej drogi... tylko sam Jezus Chrystus...

Po tych słowach Dag wyprostował się, wydało się jej, że rośnie do niebywałych rozmiarów. Upadł w tył. Z kręgu światła stoczył się w ciemność, w głąb łóżka.

Adelajda słuchała z podniesioną głową, złożywszy ręce na kolanach; zdało jej się, że ostatnie słowo nie przebrzmiało z głosem, ale unosi się w powietrzu i tkwi w tym miejscu, gdzie je głos Daga ustawił.

Słyszała to imię wypowiedane często, ot tak, obojętnym tonem — w kościele lub w domu dziadka-biskupa. Ale wtedy było ono codzienne i nie miało uroczystego dźwięku.

Uprzytomniła sobie w tej chwili, że podczas owych wieczornych pogawędek o Bogu i wierze nigdy nie padło imię: Jezus Chrystus; wydawało jej się wprost nieprawdopodobne, aby je Dag kiedykolwiek wymówił.

A teraz pozostało wielkie i święte, gdzieś ponad nią, choć przebrzmiał silny głos męski, który je wypowiedział.

Nie zdawała sobie sprawy, ile czasu przesiedziała na krześle. Pomruk strumienia i szum wiatru nad lasem stawały się coraz wyraźniejsze. Poza tym panowała cisza. Wstała, pochyliła się nad łóżkiem, aby podciągnąć kołdrę i przykryć lepiej chorego, ale ręce jej nagle zeszytywniały.

Ostatnie słowo starego Daga Bjórndala zostało wypowiedziane.

#### XLIII

Łaniami całymi i nocami szukano młodego Daga w lasach; gdy przybył w końcu, stary już nie żył.

Dag v/ sypialni długo pozostał sam na sam ze zmarłym... Panna Kruse oznajmiła mu, że była tu ciotka Ramer i że o zgonie dano znać do miasta Holderowi i krewnym Adelajdy, a wszystkie przygotowania do pogrzebu są w toku. Panna Kruse dostrzegła jakby łzę w kącie oka, które twardo przed siebie patrzyło. Dag obrócił się i poszedł do starego domu. Tam przebywał całe dnie

u\*

aż do pogrzebu, nawet nie przychodził na posiłki. Nie ujrano więcej łez w jego oczach, ale w całej jego postaci i we wzroku było coś chłopięco bezradnego. Zdawał się nic nie rozumieć. Godzinami siedział przy zwłokach ojca, ktoś nawet twierdził, że ostatnią noc spędził tam w ciemności.

Gości przybyłych z miasta witał jak nieprzytomny, ścisnął im ręce, mamrotał parę słów, ale widać, że myśli jego są gdzie indziej, bo patrzył wciąż przed siebie. Obowiązki gospodyni musiała przejąć ciotka Ramer, bo i Adelajda chodziła jak pomyłona. Bezustannie cicho płakała, a twarz jej nabierała kamiennego wyrazu, gdy się z kimś stykała. Zaledwie w przejściu wyjąkała Dagowi zlecenie i pozdrowienie ojca.

Po pogrzebie i wyjeździe gości Dag udał się z powrotem do lasu, ale wbrew przyzwyczajeniu wrócił tego samego dnia. Przeniósł się na dobre z powrotem do starej kuchni i tam spędzał prawie całe dnie. Na dworze można go było zobaczyć tylko o świcie lub o zmierzchu; na ludziach, którzy go spotykali, czynił wrażenie człowieka niespełna rozumu. Zgarbił się i pochylił jak starzec; łudząco przypominał zmarłego. Również i z Adelajdą nie było lepiej: rzadko się ukazywała i stale była zapłakana i zrozpaczona.

Gospodarstwem na zewnątrz i wewnątrz zajmowali się Syver i panna Kruse; pozornie niby wszystko szło tak jak dawniej, ale rozpacz Daga i Adelajdy kładła się ciężkim kamieniem na ludziach i na ich poczynaniach, i to nie tylko w samym dworze, ale nawet w osiedlu, lesie i po dalszych dolinach, wszędzie gdzie odczuwano dobroczynną działalność ręki ojca Daga. Z odejściem jego niechybnie stanie się coś złego, jakieś nieszczęście spadnie na nich. Jakby dla potwierdzenia tych złowieszczych przeczuć, źle się zacząć poczęło: kolosalny spadek cen zboża, zmniejszenie się możliwości zbytu budulca. Z miast dochodziły raz po raz wieści o przerażających bankructwach i kryzysach największych domów handlowych.

W Bjorndal wigilia Bożego Narodzenia.

Panna Kruse wypełniła wzorowo swój obowiązek. Stół w sali nakryty jak co roku, przybyła cała czeladź, aż do najędzniej-

szego wyrobnika. Stali w pokornej postawie w półcieniu wzdłuż ścian i spoglądali na duży stół, na którym przy każdym otwarciu drzwi świece migotały niespokojnie. Ich płomienie odbijały się w szybach okiennych i rzucały chwiejne cienie na bogatą zastawę.

Wszystkim jakby lżej się zrobiło, gdy weszła Adelajda, blada i sztywna. Był to teraz jej stały wygląd. Skinęła obojętnie głową, jakby we śnie, w jedną i drugą stronę pokoju i machinalnie objęła wzrokiem nakryty stół. Wszystko było tak samo jak na każde poprzednie Boże Narodzenie, nawet Biblia leżała otwarta przed świecznikiem, na cześć Trzech Króli, na miejscu ojca Daga.

Nagle ujrzała z przerażeniem, że przyniesiono tu z bawialni fotel ojca Daga i jego żony, Teresy. Nigdy tu dotychczas nie stał fotel Teresy. Dlaczego więc przyniesiono go dzisiaj?

Otworzyły się drzwi. Weszła ciotka Eleonora. Teraz wszystko zrozumiała. Ciotka była tu przed samymi świętami i coś tam szeptała z panną Kruse. Ale — aż dreszcz ją przeszedł — czy Dag przyjdzie i czy w ogóle będzie chciał usiąść w fotelu ojca? I czy zdobędzie się na to, ażeby odczytać werset z Biblii?

Podobny niepokój można było wyczuć u wszystkich obecnych na sali. Adelajda czuła, że ciotka bystro ją obserwuje, ale nie podniosła oczu.

Wiedziała, że wszyscy patrzą na nią, lecz nie miała sił się ruszyć. Czy było to tylko w jej wyobraźni, czy też naprawdę, ale niepokój zdawał się przechodzić w napięcie, uporczywe milczenie. Ona sama i wszyscy obecni słyszeli, jak drzwi główne otworzyły się, potem zamknęły, słyszeli zbliżające się kroki i w końcu oczekiwane skrzypnięcie klamki w drzwiach sali. Wszedł młody Dag — wszyscy odetchnęli, jakby ciężar im spadł z serca.

Adelajda rzuciła wzrokiem na niego, gdy przechodził obok. W oczach widoczne było podniecenie, jakby przeszedł ze sobą długą walkę, ale cała twarz miała stanowczy wyraz. Równym krokiem, nie zawahawszy się, podszedł do fotelu ojca.

Teraz służba i oficjaliści z widoczną ulgą powyłazili z kątów i podeszli do stołu, ale bardziej onieśmieleni niż dawniej, szurali nogami, spoglądali na siebie, w końcu usiedli. Adelajda zajęła fotel matki Daga, Teresy. Wciąż się jej zdawało, że nie jest sobą. Niezliczone razy siadywała w bawialni na tym fotelu, ale nigdy

tutaj, tak oficjalnie... Był to jakby zupełnie inny mebel... Spojrzała na portret Teresy wiszący na ścianie, ale z cienia wylaniała się tylko jasna plama. Znow objęła Daga badawczym spojrzeniem i zauważyła, że drżą mu ręce pod stołem.

Zaczął czytać werset biblijny na Boże Narodzenie... Zająknął się, zaczął na nowo, z początku nieśmiało, potem już z większą pewnością siebie i głośniejsze, ale nagle pomylił się... zatrzymał... znow zaczął od początku, znow pomylił i tak z wielkim trudem doznał do końca.

Westchnienie ulgi przebiegło salę. Adelajda przez długi czas siedziała z opuszczoną głową i zamkniętymi oczyma. Przeżyła teraz jedną z najbardziej przykrych chwil w życiu.

Jakiś lęk zawsze czai się wśród ludzi, a tej ciemnej zimy lęk rósł i wzrastał się wokół chat i domów, które dotychczas przebywały pod bezpieczną opieką ojca Daga. Gdy coś zaszło, nikt nie wiedział, dokąd się udać po radę i pomoc... O młodym Dagu bowiem w obecnym nastroju nikt nawet nie pomyślał, a nie-przystępność Adelajdy była zaporą nie do przebycia.

Późną zimą Dag zaczął przychodzić do jadalni na posiłki. Malcy — jak to dzieci — przemocą wdarli się do jego izby i chodzili za nim jak małe psiaki, krok za krokiem. Trudno się im było oprzeć, więc i Dag ulegał ich bezustannym naleganiom, i jak dziadek siadł w fotelu, i zjadł z nimi śniadanie. Odtąd musiał to dzień w dzień robić. Przychodzili do niego co rano i nie chcieli jeść bez niego.

Nie było takiej siły na świecie, która by im tego mogła zabronić. Dag czuł, do czego to prowadzi, bo któregoś dnia, gdy przyszli raniutko, zastali drzwi od starej kuchni zamknięte na zasuwę, a gdy zaczęli w nie walić, odpowiedział im szorstko, żeby mu dali spokój, niech jedzą z matką. Malcy dobijali się w dalszym ciągu. Wtedy podszedł do samych drzwi i zawołał głosem, którego się lękali nawet robotnicy w lesie, żeby natychmiast usłuchali, bo inaczej będą wały! Cicho się zrobiło za drzwiami. Dag wdział myśliwskie ubranie, wziął strzelbę i narty;

zamierzał iść w las, ażeby nie ulec malcom i niebezpiecznym własnym pragnieniom, i przez parę dni zastanowić się nad całą sprawą.

Ale gdy otworzył drzwi, malcy siedzieli na progu przytuleni do siebie, drżąc z zimna jak bezradne szczenięta.

— Ze też tak mało macie rozumu! — powiedział zakłopotany nieco i wylęknięty. Musiał zdjąć z siebie strzelbę i odłożyć narty, i pójść z małymi do bawialni, ażeby ich wprowadzić pod dach.

Uporem przyzwyczaili ojca do przebywania w domu, a nawet do siadywania z nimi wieczorem przed kominem w sieni, nim poszli spać. Kiedyś tak się rozochocił, że opowiedział im jakąś bajkę o zjawach w lesie. Tym już zaprzedał im się na dobre. Parokrotnie jeszcze starał się ich pozbyć, raz karcąc ich surowo, drugi — za pomocą mocnych klapsów. Podreptali wtedy na górę, słyszał potem, jak tam rzewnie płakali, i tego już nie mógł znieść.

Wywalczyli więc i te wieczorne opowiadania przy kominie, ale znając ojca wiedzieli, że nie wolno nadużywać jego cierpliwości, toteż gdy bajka była skończona — posłusznie szli spać.

~ To, czego nikt nigdy nie mógł osiągnąć, tego dokonały dzieci. Oto Dag punktualnie przychodził na posiłki i często wieczorami siadywał przy kominie.

Przebywając w domu zauważył, że okoliczni ludzie przychodzili do Adelajdy, płacili dzierżawę i procenty; odbywało się to w kancelarii ojca. Gdy po raz pierwszy to zauważył, uderzyło to w niego jak piorun; następnym razem, siedząc koło ognia, potarł ręką czoło i jakby zastanawiał się nad czymś.

#### XLIV

rr pewien jasny dzień zimowy Adelajda siedziała w kancelarii nad księgami. Na stół padały promienie słoneczne; pod kominkiem palił się ogień. Otworzyły się drzwi, wszedł Dag. Przypuszczała, że tak jak zawsze, ilekroć ją tu zastał — cofnie się. Ale nie, zamknął cicho drzwi za sobą i podszedł do stołu. Zdawał się widzieć tylko książki.

— Właściwie to ja mógłbym te sprawy sam załatwiać — wiedział niezwykle chłodno.

Adelajda ostatnio ożyła nieco w poczuciu, że jest potrzebna. Ani jej przez myśl nie przeszło, że mąż jej zna się na interesach. Odłożyła pióro, wstała i opuściła pokój bez słowa. Znow zauważyła na jego ustach ów dawny, zgorzkniały wyraz, gdy ją zastawał na rozmowie z ojcem.

Skończyło się więc wszystko między nimi.

Dag po chwili zatracił ów uparty wyraz twarzy, niezdecydowanie bębnił palcami po stole, siadł i długo się namyślał. Nagle wyprostował się, jakby pragnąc odrzucić precz wszelkie skrupuły. Zaczął przewracać kartki w księdze, leżącej przed nim — zastanowiły go widocznie cyfry, bo wzrok się ożywił i spod ściągniętych brwi oczy błyszczały zainteresowaniem. Jakże przypominał w tej chwili człowieka, który za czasów kapitana Klingego siadywał nad księgami; ojca swego z czasów, kiedy był bezwzględny, a nawet okrutny.

Ale po chwili ów twardy wyraz ustąpił, rysy zmiękły, widocznie zapiski robione ręką Klingego wzbudziły w nim jakieś wspomnienia. Siadywał tu z nim nieraz jako młody chłopiec. Klingę pokazywał wtedy i objaśniał, jak się wnosi do ksiąg procenty, a jak i gdzie wpisuje się wpłaty i w ogóle zaznajamiał go z księgowością. Wracał do tego przy każdej sposobności, wytrwale. Daga nie bardzo to wprawdzie interesowało, ale cyfry jednak pozostają cyframi i jeśli oznaczają pieniądze, dzieją się z nimi dziwne rzeczy. Wszystko przecież teraz do niego należy: i te księgi, i cały majątek.

Wstał i już z bardziej pogodną miną zebrał wszystko i wrzucił do szafy, którą następnie zamknął.

Mniej więcej w tydzień później zjawił się we dworze pewien człowiek: kuty spryciarz o minie wzbudzającej zaufanie. Przyniósł pieniądze; Dag udał się z nim do kancelarii. Szło o zapłacenie procentów. Dag przyjął należność i zaksięgował. Chłop twierdził, że ojciec Dag darował mu część długu. Dopiero po jego wyjściu przyszło Dagowi na myśl, żeby zejść do piwnicy i zbadać tam odnośny papier. Znalazł go — nic tam nie było o żadnej darowiznie, cała umowa była spisana jak najdokładniej. Dag za-



myślony i zafrapowany takim podstępem pogładził się po włosach, zamykając kufer.

W ciągu wiosny i lata Dag stwierdzał ustawicznie, że nie brano go poważnie w sprawach pieniężnych. Zaczął więc na nowo chodzić do lasu, gdzie go znano i poważano. Do kancelarii wchodził wtedy tylko, gdy trzeba było coś wnieść do ksiąg.

Przez pewien czas unikał wprost tego pokoju i w ogóle wszystkiego, co miało związek z gospodarką we dworze. Potem przyszedł znów taki okres, że się wprost zakopywał w kancelarii i grzebał godzinami w papierach i dokumentach. Prowadził wtedy na podwórzu rozmowy z Syverem i innymi parobkami, mówU:

z nimi to szorstko i wyniośle, to znów jakimś niepewnym głosem.

Żniwa były kiepskie i przez to nędza w mieście i po wsiach. Ludzie czuli się niepewni i wylęknieni.

W osiedlu hukwały sowy i puszczyki, nawet odgłosy leśne były jakieś inne niż zazwyczaj — o zmierzchu słycać było westchnienia i skargi. Ludzie przycichali, nasłuchiwali uważnie i niejedno ich uszu dochodziło.

Potem wyszło na jaw, że aż dwóch naraz jego widziało... W takim razie musi to być prawda! Pewnego wieczoru, gdy ciemne chmury zwisały nad lasami, widziano, jak szedł wśród ciemności od strony pastwisk przez podwórze i dalej szpalerem do domu. Wszedł przez zamknięte drzwi! Nikt nie wymawiał imienia zjawy, ale wiedziano, że nie ma on tam spokoju w grobie, bo po jego śmierci wszystko się we dworze przewraca do góry nogami.

Kiedyś późnym wieczorem, a kiedy indziej znowu o północy słyszano w dolinie stuk kopyt końskich, ktoś go widział nawet na własne oczy! Kary koń pędził wyciągniętym kłusem — jak zawsze — a on sam w powozie siedział pewny siebie i ważny Jak podczas tych wszystkich lat.

Per Langmo stał o zmierzchu przed stajnią u siebie i patrzył na zakręt drogi. Nadciągała lekka mgła wraz z wietrzykiem wieczornym i rozścielała się na drodze i krzakach przydrożnych. Per rozmyślał i rozmyślał, gdyż już tydzień temu powinien był udać się do dworu na obrachunek. Miał zamiar prosić o daro-

wanie części procentów z powodu lichych zbiorów i marnych cen na rynku, ale tak jakoś mijał dzień za dniem, upłynął był już cały tydzień i w końcu wydał pieniądze przeznaczone na zapłacenie procentów — na co innego. Ale podobno ten młody we dworze nie jest taki chciwy i można się odważyć na pozostawienie zapłaty aż do następnego terminu. Przechodziła go tylko gęsia skórka, gdy sobie przypomniał, co w okolicy pogadywano o pośmiertnych jazdach starego. Nie bardzo to przyjemnie zalegać, jeżeli o n faktycznie łązi po śmierci.

Per zwrócił oczy w kierunku podwórka. I tak spać nie będzie, jeżeli to, co mówią, jest prawdą.

Drgnął — czyż to od północy nie słychać już z oddali znanego dobrze tętentu kopyt? Zawahał się. Co lepiej? Uciekać, czy pozostać tu i prosić o przebaczenie, uczciwie przyznać się do winy? Ze też akurat jego musi nawiedzić coś podobnego! Tak, już teraz nie ma żadnych wątpliwości, aż dudniło pod kopytami końskimi... Per cofnął się o dwa kroki — i przez puste miejsce pomiędzy krzakami dojrzał, jak smagany biczem cwałuje kary i coraz wyraźniej z mgły się wyłania. Ojej! Co tu począć z koszmarnym przybyszem z tamtego świata! I to mając taką winę na sumieniu! Cała krew z niego uciekła, dygotał, zęby mu latały.

Był już zupełnie bez zmysłów, gdy koń zaczął zwalniać tempa, wjechał w podwórze i szedł wprost na niego. Prawie nieżywy ze strachu ustępował na bok i przycisnął się do ściany. Pojazd zatrzymał się tuż przy nim. Minęło parę chwil, zanim się zorientował, że ma do czynienia z żywym koniem i z żywym człowiekiem. Długo jeszcze po odjeździe przybysza na północ stał jak wrośnięty w tym samym miejscu.

Więc to był „młody"! Aż strach, jak przypominał ojca z naj-/gorszych okrutnych czasów. Powiedział tylko te słowa:

— Nie dotrzymałeś zobowiązania. Daję ci tydzień czasu na uporządkowanie tej sprawy. I już go nie było.

Do diabła! „Tydzień czasu"! Znaczy to, że trzeba od jutra rana zacząć szukać pomocy u rodziny, kołatać, żebrać, gdzie się da! Bo już teraz nie wolno mu się we dworze pokazać z mniejszą sumą, nie wolno, ażeby grosz brakował, i to trzeba się zja-

wić co do godziny, bo jeśli nie, to jak za najdawniejszych rządów starego: fora ze dwora!

Ze też się ludzie mogli tak mylić w osądzie. Opowiadano sobie przecież, że młody od czasu wypadku na Górze Śmierci jest niespełna rozumu, że zdziczał, a tu nagle okazuje się. Ze jest całkiem podobny do ojca — z wyglądu i ze słów!

XLV

./Adelajda wśliznęła się do swego pokoju i drzwi zostawiła nieco uchylone. N\ę powinno się właściwie podsłuchiwać, ale uważała, że zmuszają ją do tego wyjątkowe okoliczności.

Dzieci pojechały do ciotki Eleonory i miały u niej przenocować. Ciotka uważała, że jeśli mały Dag ma kiedyś zostać właścicielem Borgland, powinien się do tej ziemi przyzwyczaić od maleństwa. Adelajda nie była pewna, czy mówi to z przekonaniem, czy też zabierała dzieci do Borgland trochę dla własnej przyjemności. Gdy patrzyła na nich, tyle dobroci malowało się w jej oczach! Odnosiła się do nich z anielską cierpliwością.

Adelajda cała zamieniła się w słuch. Zjedli przedtem wspólnie kolację, nie wymawiając ani jednego słowa. Nie było już w Dagu ani krzty dawnej nieśmiałości czy niepewności. Z postawy i spojrzenia biła siła i duma, którą zapewne miał w sobie i stary Dag w owych czasach, kiedy był wyniosły i bezlitosny.

Którejś nocy długo siedział w kancelarii, a następnego dnia pojechał w kierunku południowym i wrócił dopiero późnym wieczorem. Od tej pory nie przemówił do niej ani słowa; z daleka tylko słyszała, jak ostro i surowo przemawiał do czeladzi, nawet do Syvera. Do dzieci odnosił się tak srogo, że wylęknione trzymały się z dala od niego. Jeszcze jedna rzecz zwróciła poprzedniego wieczoru jej uwagę: nie słyszała jego przejścia przez sień, ani zamknięcia drzwi wejściowych, co byłby powinien Uczynić, gdyby się udał na noc do oficyny. Nie zastanowiła się nad tym specjalnie, położyła się i zasnęła.

Tym razem jednak nasłuchiwała. Pozostał jeszcze przy stole w jadalni, oparłszy brodę na rękę, jakby miał zamiar długo tam

jeszcze siedzieć. Jak zazwyczaj drzwi pomiędzy jadalnią a sienią były otwarte, tak że z łatwością usłyszysz, gdy się podniesie...

Długo stała w nie domkniętych drzwiach, zanim usłyszała odgłos odsuwanej krzesła. Kroki oddaliły się w kierunku sypialni ojca Daga. Słysząc było szarpnięcie klamką, otwarcie drzwi, zamknięcie, a potem zasunięcie rygla od wewnątrz. Co on tam robi i po co się zamyka? Adelajda z wolna otworzyła drzwi prowadzące z jej pokoju na korytarz, w końcu doszła do schodów i słuchała.

Prawda! Dojść do piwnicy, gdzie stoi kufer z papierami wartościowymi i dokumentami, można tylko przez sypialnię ojca Daga. Czyżby miał zamiar tam się udać? Czyżby nabrał tych samych cech charakteru, które według własnego jego wyznania posiadał ojciec, gdy był w sile wieku? Miałby się stać chciwy na pieniądze? Nie, nie słysząc ani szmerów z piwnicy, ani kroków na schodach tam prowadzących. Ale co to? Czy to łóżko trzeszczy? Czyżby się kładł do łóżka ojca Daga?

Pobiegła do swego pokoju i zamknęła drzwi za sobą bez hałasu. W piecu palił się ogień, zapaliła przy nim świecę i postawiła ją na komodzie. Tak jej się tu dziś wydawało dziwnie smutno i pusto. Uchylone drzwi do komory Daga były jakby furką na drogę prowadzącą w ciemną noc, w wieczność...

Im dłużej się zastanawiała nad przeniesieniem się Daga do sypialni ojca, tym jej się to zdawało bardziej zrozumiałe. Ojciec prawie rok już nie żył, a w tym pokoju i w tym łóżku spał na pewno i dziadek Daga. Teraz zamieszkał tam wnuk. Ale wraz z ojcem Dagiem w swoim czasie sprowadziła się tam również matka Daga, Teresa...

Zdawało jej się, że ginie gdzieś całe dotychczasowe piękno jej ukochanego pokoju...

Ktokolwiek przypuszczał, że „młody” jest nieobliczalny i że nie bardzo pilnuje terminów, ten się grubo omylił, z chwilą gdy Dag zaczął jeździć po osiedlach. Po jego objeździe ruszono hurmem jak dawniej do dworu, ażeby się obliczyć i zapłacić. Wieczorem przed upływem terminu zjawiał się również Per Langmo.

Adelajda, gdy ktoś przychodził, zamieniała się cała w słuch. Ale przeważnie słyszała tylko powitanie. Potem przechodzili wszyscy do kancelarii i zamykali drzwi za sobą.

Per nie zdołał zebrać całej sumy i już w sieni prosił zaraz o prolongatę.

— A, ty wszarzu! — usłyszała odpowiedź Daga. Tak się wylękała tych brzydkich słów, że aż odskoczyła od drzwi. Potem przeszli do kancelarii i nic już nie słyszała aż do chwili, gdy Per znów przechodził przez sień. Przyrzekał, że resztę pieniędzy przyniesie w przyszłym tygodniu, ale Dag mu przerwał:

— Możesz przynieść w następnym terminie, za pół roku. — Głos jego nie brzmiał już tak ostro i surowo jak przedtem, ale był stanowczy.

W jasną, słoneczną niedzielę w lutym Adelajda stała w swoim pokoju przy drzwiach balkonowych i przyglądała się osiedlu. Na poręczy balkonu ucztowały wróble i trznadłe szperając w snopku, który dla nich kazała wynieść, a sikorki szarpały i dziobały kawałek łożu powieszony przez nią samą na sznurku. Potrzeba jej było trochę rozrywki i towarzystwa. Była dziś na dość dalekim spacerze, ale przygnał ją z powrotem mroźny wicher, nie był to zwykły przedwiosenny powiew, ale zawodzący, przenikający do kości zimowy wiatr. Pewnie w górach jest mroźna zawieja, a to są już tylko krótkie jej uderzenia, przepuszczone przez sito lasów, ale pomimo to przejmowały do szpiku kości. Przyglądała się ptaszynom dziobiącym jedzenie, a także osiedlu na dole. Około domów i chat wirowały lekko niebieskawe płatki śniegu, za Hamarrbó białe tumany zakręcały się w żywe słupy, które trwały nieruchomo przez kilka sekund i rozwiewały się w ostrych podmuchach wiatru. Na północnych stronach chat nawarstwiały się całe zaspasy, również na drodze gładko wymiecionej kładły się gdzieśgdzie w poprzek grube smugi białego puchu.

Nagle Adelajda ożywiła się. Od strony Hamarrbó zbliżały się jakieś sanie. Ciotka była tu już dzień przedtem, więc to nie ona. Sanie minęły osiedle i jechały drogą do dworu. Chwilami koń zapadał się w zaspach śniegu, ale w miejscach, gdzie było twardo, szedł kłusem. Ujrzała woźnicę na tylnym siedzeniu. Więc to sanie z Korsvoll! Może ktoś z miasta z wizytą, ale komu by się chciało w ten mróz jechać w te strony bez specjalnej potrzeby?

Była mocno zdziwiona, gdy z okna bawialni zobaczyła, że z sań wysiada stary Holder we własnej osobie. Syn jego, trzy lata

starszy od jej męża, był na pogrzebie ojca Daga. Ten zaś, rówieśnik ojca Daga, czuł się wtenczas niezdrów. A teraz przyjeżdża w taki ziąb!

Przypomniała sobie nagle, że ojciec Dag opowiadał jej kiedyś, iż sprawy pieniężne Holdera obecnie nieświeżnie wyglądają. Trudno teraz nawet wydostać od niego należności za drzewo i inne dostawy. A znów od ciotki Eleonory słyszała, że w jednym z licznych listów z miasta ktoś jej doniósł, iż kupcy w mieście kiepsko stoją, że jeden po drugim bankrutują.

Ta wizyta wydała się jej trochę podejrzana, ale z miłym uśmiechem powitała staruszką, a on był szarmancki jak zawsze. Po wyrażeniu ubolewania, że ojciec Dag przeniósł się tak wcześnie do wieczności, zapewnił ją, że jest równie piękna i młoda, jak dawniej.

Przyszedł go powitać i Dag. Panna Kruse otrzymała klucze od wielkiej skrzyni w sypialni ojca Daga. Nakryto dla wuja Holdera z całą pompą: srebrne nakrycia i webowe obrusy przyszły na stół. Pomimo że był to tylko kuzyn matki, Dag od dzieciństwa nazywał go wujem; często przyjeżdżał do nich i przywoził pogodny humor, dowcip i prezenty. Dag lubił go. Podczas jedzenia widać było na twarzy Holdera zmęczenie, wyczerpanie, na ustach miał wymuszony uśmiech. Był przecież w sędziwym wieku.

Gdy siedzieli po wieczery w sieni, Holder zerkał wciąż na drzwi kancelarii i w końcu rzekł skrzeczącym, starczym głosem:

— Chciałbym z tobą, kochany Dagu, zamienić parę słów na osobności.

Dag spojrział na niego zdziwiony, ale wstał bez słowa i poprosił go do kancelarii. Adelajda pozostała sama. Dręczył ją nieznośny niepokój. Dag powinien był wiedzieć o tym, co jej ojciec Dag w swoim czasie powiedział o kuzynie. Obowiązkiem jej było mu to powtórzyć, uprzedzić. Może zastukać? Poprosić na chwilę? Nie, to by zwróciło nazbyt uwagę gościa. Później, po skończonej rozmowie, szepnie mu to do ucha. Nie stanie się przecież od razu nieszczęście. Poszła do siebie. Przejął ją lęk, przeczucie grożącego niebezpieczeństwa.

W kancelarii palił się ogień; podczas mrozów w kominie był ciąg, że aż chwilami trzeszczało coś i wyło potępieńczo.

Dzień chylił się ku końcowi. Dag siedział w bujającym fotelu z rękami opartymi na biurku, a twarzą skierowaną w stronę ognia, jak zazwyczaj wieczorem po załatwieniu rachunków. Holder siedział po jego lewej stronie w jednym z ciężkich foteli, pochodzących z pracowni Jórna Mangfoldiga... Teraz miał na poły odwróconą twarz do Daga, na poły w stronę ognia. Opowiadał o złych czasach, które nastąpiły po wojnie napoleońskiej, o nędzy i niedostatkach we wszystkich krajach dotkniętych wojną i o horrendalnym ciele, jakim od siedmiu czy ośmiu lat obłożono w Anglii przywozowe drzewo: budulec i proste deski. Interes ekspedycyjny daje właściwie tylko deficyt; w ostatnich czasach nie można wydostać zaległych należności od klientów londyńskich.

— W takim razie będziesz zmuszony wycofać dostarczony towar?  
— spytał Dag.

— Jak to wycofać? — Holder spojrzał na niego zdumiony. — Towar jest już sprzedany, a tylko nie zapłacony, rozumiesz?

Tego Dag pojąć nie mógł. Niezrozumiałe: przyjąć towar, rozprzedać go dalej, a potem nie zapłacić temu, który go dostarczył. Czy prawo na to pozwala?

— Nie — odparł Holder — ale nędza w kraju łamie wszelkie prawa. Moi uczciwi odbiorcy na pewno nie otrzymali zapłaty za towar od swoich klientów i teraz są w matni.

Dag nadal nie mógł pojąć, jak to może być; przecież trzeba mieć pieniądze, jeśli się chce coś kupić. Widać, nie wszędzie jednak tak się dzieje, jak on sobie wyobraża. Dla Daga słowo „kredyt” nie istniało, określenie to było mu zupełnie obce. Naturalnie słyszał nieraz o bankructwach, ale przypuszczał, że się bankrutuje wtedy, gdy się straci wszystkie własne pieniądze. A najmniej rozumiał dla niego był fakt, że dzieje się to w Londynie, najbogatszym mieście świata.

Holder przyglądał mu się z coraz większym niepokojem i zdumieniem, aż w końcu pot mu wystąpił na czoło. Miał bowiem coś na sercu, a trudno mówić o zmiennych koniunkturach w handlu z kimś, kto absolutnie się w tym nie orientuje. Zaczął więc z innej beczki: opowiadał o wpływie obecnych czasów na rozwój handlu, a zwłaszcza na jego własne interesy, mówił o tym więcej, niż sobie przedtem planował. Zaznaczył niby przy-

, padkowo, że nie jest w stanie uregulować swych corocznych obrachunków z Bjórndalskim dworem.

Dag wiedział z ksiąg, że Holder od dawna zalegał w wypłacie wielkich sum, więc nie przywiązywał specjalnej wagi do faktu, że i tegoroczna należność ma być dopisana do tamtych zaległości.

Holder uspokoił się nieco, gdy zobaczył, że Dag obojętnie skinął głową po jego oświadczeniach; przez parę chwil wypoczywał, jakby po wielkim wysiłku. Następnie zaczerpnął parokrotnie głęboko powietrza i postawił dziwne pytanie:

— Czy ty wiesz, że twój ojciec miał w Hamburgu w banku srebro?

Dag spojrział na niego z zainteresowaniem.

— Tak, to jest zaksięgowane. Czyżby i w Hamburgu było coś nie w porządku?

— Nie, nie, nie o to chodzi... a czy wiesz ile tam było?

Dag był nieco zdziwiony — co to Holdera może obchodzić? Pamiętał jednak, jaka to była suma, i wymienił ją.

Holder odetchnął z ulgą, ale podbródek znów znikł w wysokim kołnierzu; starał się wyglądać na przybitego, siedział przez pewien czas w milczeniu, oblizując wargi końcem języka; prawa ręka kręciła nerwowo złotą pieczęcią przy łańcuchu od zegarka. Wreszcie chrząknął.

— Widzisz... chodzi o to, że my nie tylko nie możemy spłacać zobowiązań — tu głos jego stał się nagle beznadziejnie starczy — ale obawiam się, że w ogóle będzie z nami zupełnie źle, jeżeli ty nam nie podasz ręki w tych chwilowych trudnościach. Jeśli nam pożyczysz hamburskie srebro, uratujesz wielu ludzi, którzy zależą od nas i naszych wypłat. Ratując nas, umożliwisz im powrót do uczciwej egzystencji. Wielu z takich, którzy się nic na tym nie znają, w czasach koniunktury rzuciło się na handel i nadwreżyło naszą firmę, a sami leżą. Teraz właśnie są widoki na to, że przy pomocy cierpliwości i doświadczenia można z powrotem zrobić majątek. I tym sposobem — spuścił wzrok — uratowałbyś przed hańbą dom rodzinny, nazwisko panieńskie swej matki i ciotki Doroty...

Mówił to z wielkim trudem; sprawiało mu to niewymowną



przykrość. Ale co robić? Potrzeba — jak to mówią — łamie żelazo. Dag po tych słowach siedział nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w ogień. Bruzdy pod policzkami wydłużyły się ku dołowi. Nie spodziewał się, że wkrótce po śmierci ojca stanie przed taką trudną do rozwiązania kwestią... Przecież jasne było, że ojciec umyślnie nie umieścił tego srebra u Holdera. Była jeszcze gotówka w skrzyni w piwnicy, ale tę trzeba zachować, a nuż... nigdy nic nie wiadomo...

Tyle jest w ciągu roku do płacenia różnych podatków i należności, a on się tak mało jeszcze na tym zna. Złe, że to już teraz ta sprawa Holdera w niego bije. Szkoda, że nie później, gdy już będzie obeznany ze wszystkim. W niczym się jeszcze chwilowo nie orientuje. Ach, żeby tak się kogoś móc spytać o radę. Pomyślał o Adelajdzie. Ojciec jej na pewno niejedno zawierzył...

Zerwał się nagle jak oparzony, wysunął szufladę biurka. Wczoraj dopiero przyniósł na górę z piwnicy wszystkie papiery, ażeby je poprzeglądać i uporządkować. Wyszukał plik papierów dotyczących Hamburga, a resztę zamknął z powrotem w szufladzie.

Dopiero na drugi dzień przed południem, po odjeździe Holdera, gdy Dag pożegnawszy go wrócił do pokoju, zdecydowała się Adelajda na postawienie mu pytania:

— Po co właściwie tu Holder przyjechał?

Dag drgnął i w pierwszej chwili zamierzał jakby pominąć milczeniem jej pytanie, ale rozmyślił się i odpowiedział mocnym głosem:

— Po pożyczkę.

— Czy otrzymał ją? — spytała bezbarwnie.

— Tak, dałem mu hamburskie srebro.

— Wszystko? — wyrwało jej się jak jęk. Dag skonsternował się. Miała rację. Nie przyszło mu na myśl, że Holderowi mogła wystarczyć część pieniędzy. Teraz już było, niestety, za późno.

— Tak — powiedział — wszystko.

— W takim razie kiepsko muszą wyglądać jego interesy — zauważyła.

— Owszem, wspominał o tym.

A lasy wiecznie Splewałł

Drgnęła. Więc Dag dał mu hamburskie pieniądze w Całości! I mimo to, że wiedział, iż Holder jest bankrutem.

— Nie odbywa się w duży mróz tak dalekiej podróży, o ile się nie jest w wielkiej potrzebie i nie ma się noża na gardle — odparł zrozumiawszy z tonu, co ona o tym sądzi. — Zresztą — dodał cicho, oddalając się — jest to przecież rodzina mojej matki...

Uważała, że mógł tego nie powiedzieć, brzmiało to bowiem jak skarcenie jej za to, że się mieszała do jego spraw.

Od czasu śmierci ojca Daga nieraz już czuła się tu bardzo niepewna, ale w tej chwili ogarnął ją wprost lęk. Co to będzie? Dag jest bezlitosny, nieugięty w stosunku do drobnych dłużników, a nagle bez zastanowienia pożycza wielką sumę... Czegóż się tu jeszcze można po nim spodziewać?

Podczas następnych dni Dag stał się nieprzystępny bardziej niż kiedykolwiek, jakby nawet nie widział dzieci. Gdy go o coś pytały, nie dawał odpowiedzi.

Któregoś wieczoru siedział w sieni przy kominie. Adelajda weszła i usadowiła się cicho z robotą w fotelu. Aż serce jej się ścisnęło, gdy ukradkiem patrzyła na niego. Coś wprost niesamowitego biło od jego zgarbionej postaci: włosy zwieszały mu się dziko wokół czoła, oczy błyszczały gorączkowo, niesamowicie spod na pół przymkniętych powiek, a silne, niebezpieczne ręce były splecione w tak mocnym uścisku, jakby ich właściciel musiał się z trudem wielkim sam trzymać na uwieży. Ten człowiek naprzeciw nie tylko budził lęk, był także nieszczęśliwy.

Po raz pierwszy zdała sobie z tego jasno sprawę. Poza nierównością charakteru, nieobliczalnymi posunięciami, kryło się w ostatnich czasach jakieś dręczące go nieszczęście. Tak, był głęboko, bezgranicznie biedny.

Łzy przesłoniły jej oczy i zanim sobie zdała sprawę z tego, co robi, zapytała:

— Dlaczego nie możemy... inaczej ze sobą żyć? Rozwarł szeroko oczy, jakby dostrzegł coś zagadkowego w ogniu, następnie podniósł z wolna głowę, starając się jakby pochwycić raz jeszcze to, co powiedziała. Po chwili wyprostował się, wreszcie wstał z fotela i odwrócił się do niej.

— Bo nie mnie kochałaś wówczas, gdyś wychodziła tu za męż.... — Powiedział te słowa tak, jakby każde rozgniał w zębach i jakby w tej chwili pękło jego wewnętrzne napięcie, odwrócił się i znikł w ciemnościach; słyszała, jak ryglował za sobą drzwi sypialni.

To, co widziała przed chwilą, owa drżąca od namiętności postać, ściągnięta bólem twarz, ciemne od nienawiści oczy, ten obraz odcinający się ostro na tle płonącego ognia — był to chyba najstraszniejszy widok, jaki oglądała w życiu. A te słowa, straszne, druzgocące słowa, które w nią cisnął!... Tak, zdruzgotał ją, zniszczył — teraz już się wszystko naprawdę skończyło!

Następnego ranka Dag wziął narty i poszedł w las. Nie wracał przez wiele dni. Były one najokropniejsze w jej życiu. Miała niewyraźne uczucie, że owo ohydne oskarżenie, jakie jej rzucił w twarz, musi mieć jakąś podstawę; napędzało jej to do głowy tysiączne myśli, jedna za drugą, przypuszczenia, domysły bez początku, końca, ładu i składu... Poza tym stale żyła w lęku, czy po raz drugi mąż nie popełni wariackiego czynu, jak owa wyprawa na Górę Śmierci, bo wówczas nie zobaczy go już nigdy.

Medytowała nad tym całymi godzinami, łamała sobie głowę, co go mogło urazić. Może pytanie o Holdera, może wysnuł z tego wniosek, że ona, Adelajda, ceni nade wszystko pieniądze, i to było powodem, że wyszła za niego. Ale nienawiść w jego oczach zauważyła już przedtem. Może się dowiedział, że była przedtem zaręczona z kim innym, ale chyba nie przypuszcza, że była za-kechana w starym, schorowanym aptekarzu. Wpadała w coraz większą rozpacz, a poza tym dzień i noc dręczył ją lęk i obawa...

Któregoś wieczoru, gdy się już kładła do snu, usłyszała otwieranie drzwi wejściowych... Tak, to były jego kroki... Przeszedł się i skierował się do sypialni, ale nie był to jego zwykły, mocny, szybki chód, wyczuwało się w nim zmęczenie... Był to dwunasty wieczór od dnia, kiedy poszedł do lasu...

Sama nie wiedząc dlaczego, podeszła do lustra i — ujrzała w nim drętwe rysy swej babki. Tak. Babka wyglądała tak, jak ona w tej chwili. Drżąc cała z przerażenia, odsunęła się. Tak, tak się zmieniała w ostatnich czasach, postarzała się, nie wiedząc wcale o tym.

"•

Co to jej ojciec Dag powiedział? — Aha — jeżeli będzie miała jakie wątpliwości, niech się zwróci do ciotki Eleonory; to rozumny człowiek.

No tak, na pewno jest rozumna. Ale Adelajda nie lubiła sposobu ciotki — mówienia wszystkiego bez ogródek. Ale w tym wypadku nie ma innego wyjścia. Pojedzie więc jutro do Borg-land, pozwoli się zasypać gradem zarzutów, niech to tylko ułatwi znaleźć wyjście z tej strasznej sytuacji, z tego ponurego labiryntu życiowego.

O Daga nie potrzebuje się tej nocy więcej lękać... Zasnęła od razu. Po raz pierwszy od długiego czasu.

XLVI

IYozwały się

drzwi wejściowe w Borgland, ciotka Eleonora wyszła na próg i przyjaznym wzrokiem obserwowała Adelajdę, jak zsiadała z konia i wchodziła na schody, podczas gdy parobek zabierał wierzchowca do stajni.

Adelajda czuła się nieco lepiej: przespana noc, uspokojenie z powodu powrotu Daga i przejażdżka na świeżym powietrzu ożywiły ją. Czując na sobie badawczy wzrok ciotki, szła możliwie różnym krokiem przez niezliczony szereg pokoi do niebieskiego gabinetu. Była to południowa strona i słońce wpadało tu, przedzierając się przez lekkie zasłony w oknach.

— Wiesz, kochanie — zrobiła jej ciotka niby zarzut na wesoło — że to doprawdy nie wypada, stara kobieta, prawie czterdziestoletnia, a chodzi z takim rozmachem jak młode dziewczę...

Ale nie mówmy o tym.

Nie bardzo było jej do żartów, ale z grzeczności musiała twarz wykrzywić w rodzaju uśmiechu. Ciotka, od czasu kiedy stała się panią na Borgland, lubiła umilać ludziom życie żarcikami.

— Gdy żyje się w radości od rana do nocy, nie ma się swoich kłopotów, tego by tylko brakowało, aby się dla bliskich już nic

z tej radości nie zostawiło — odpowiedziała jej kiedyś ciotka, gdy Adelajda podziwiała jej dobry humor... Usiadła na krześle, a Adelajdzie podsunęła poduszki na kanapie.

— Miałam jutro do ciebie jechać, ażeby porozmawiać o tym, co ci leży na sercu — powiedziała już całkiem poważnie — pójdę i przygotuję coś do zjedzenia dla ciebie, a ty się tymczasem wypłacz, wtedy nie zajmie nam to czasu podczas rozmowy. — Po tych słowach wyniosła się z pokoju, a od drzwi rzuciła jeszcze współczujące spojrzenie na zaskoczoną jej domyślnością Adelajdę.

Wróciła po pewnym czasie z tacą zastawioną herbatą, ciastem, konfiturami i przeróżnymi słodyczami. Postawiła to wszystko na stole.

— Wolalam sama podać, nie chcę, ażeby dziewczyna tu wchodziła i widziała twoje przygnębienie.

Nalała herbatę, a po skosztowaniu jej usiadła wyprostowana jak świeca naprzeciwko Adelajdy.

— No, jazda! Zaczynaj! Pozamykałam wszystkie drzwi, nikt nam nie przeszkodzi. Więc chodzi o Daga i ciebie? Adelajda zdumiona podniosła głowę.

— No, no — zaczęła ciotka w tonie na pół żartobliwym, na pół poważnym — wcale do tego nie potrzeba wnikliwości i spostrzegawczości, ażeby zauważyć, że wy sobie wzajemnie utrudniacie życie. A przecież dość już przeszłaś. Nie masz potrzeby upajać się tym i twierdzić, że tylko ciebie spotykają nieszczęścia, jak to niektórzy zwykli mówić, i nazywają to potem prześladowaniem losu. Jesteś za rozsądna na to. Rozumiesz wiele. Chciałabyś temu położyć jakoś koniec i na ten temat chcesz ze mną pomówić.

Ciotka umyślnie przeplatała ton żartobliwy z poważnym, aby ją nakłonić do mówienia. W istocie! Na Adelajdę bardzo mile działały te słowa, lekka pieszczota, gładzenie po ramionach i głowie; przypomniało jej to dzieciństwo u surowej babki i wizyty ciotki, która w tę sztywną atmosferę wносиła zawsze trochę wesela, ciepła i światła.

Adelajda zaczęła wreszcie opowiadać. Początkowo okrążała sedno sprawy ostrożnie, z daleka. Nie domawiała, nie kończyła zdań, ale ciotka tak jakoś umiała pokierować rozmową, że w końcu zwierzyła się ze wszystkiego, co ją dręczyło. Panna Ramer,

zazwyczaj sztywna, przysuwała się coraz bliżej do Adelajdy, i Opierając się ręką o poręcz kanapy, objęła ją ramieniem i słu chała uważnie, pochylona naprzód, jakby nie chciała uronić ani jednego słówka. W spojrzeniu jej i wyrazie twarzy tak żywo odbijały się słowa siostrzenicy, jak gdyby jej własne życie od nich zależało.

W swoim czasie panna Eleonora otrzymała od ojca Daga rejen- ; talnie poświadczony papier, że wolno jej mieszkać aż do śmierci w Borgland; wszystko tam było dokładnie ustalone i opisane. Więc to, że ma dbać o „brata Lorenca" aż do jego śmierci, i to także, jakie prawa będzie tam miała w wypadku, gdyby mały Dag przejął Borgland jeszcze za jej życia. Stary Dag obiecał jej, że w każdym razie będzie miała byt zapewniony. Powiedział jej kiedyś, że wywdzięczy mu się całkowicie, jeśli po jego śmierci będzie miała oko na Daga i Adelajdę oraz na ich synów, jeśli doczeka ich dojrzałości.

Czuła się tu więc jak na swoim; ale nie była człowiekiem lubiącym przyjmować cośkolwiek bez odpłaty. Nie zapomniała też owych słów starego. Z natury miała specjalne zdolności do kierowania i interesowania się losem innych. Czuła się bardzo zobowiązana w stosunku do Adelajdy, a w myśl ostatniego życzenia zmarłego — również i w stosunku do jej męża. Choć bardzo kochała swą siostrzenicę, nie pozwalała nigdy uczuciom górować nad trzeźwym sądem, a wiedziała na pewno, że sprawa dzisiejsza ma wyjątkową wagę.

Gdy Adelajda skończyła swą spowiedź przytoczeniem gorzkich słów męża, który jej zarzucił, że wychodząc za niego, nie kochała go, panna Eleonora kiwnęła potakująco głową i powiedziała tak cicho, jakby do siebie:

— I tak było w istocie rzeczy.

— Co? — Adelajda drgnęła jakby wyrwana ze snu i spojrzała na ciotkę przerażona.

— Było tak przecież — powtórzyła panna Ramer z całym spokojem, nie dając się wyprowadzić z równowagi reakcją siostrzenicy.

— Co masz na myśli? — Chciała się zerwać, ale ciotka położyła rękę na jej ramieniu i powstrzymała łagodnym ruchem. —

Siedź, kochanie. To jest bardzo poważna sprawa, nad którą musimy się dobrze zastanowić. — Mówiła cicho, ale stanowczym tonem.

Adelajda patrzyła na nią wciąż jeszcze przerażona... bo co ciotka właściwie ma na myśli?

Słońce tymczasem przesunęło się dalej na południe i oświetlało lekko kark Adelajdy i postać ciotki. Panna Ramer pokiwała głową parę razy, zaczerpnęła głęboko powietrze, jakby tak daleko zawędrowała myślami, że zapomniała o oddychaniu...

— Tak już jest — powiedziała, patrząc w dal ponad siostrzenicę przez okno wychodzące na wschód — tak się dzieje w życiu. Zapominamy o najbliższych.

— Jak to rozumiesz? — spytała wreszcie Adelajda.

— W tej chwili zupełnie o czym innym myślałam — odparła, jakby nie wiedząc, co mówi.

— O czym innym? — Adelajda była zupełnie wyprowadzona z równowagi. Przybyła tu w śmiertelnym żalu i bólu, ażeby zasięgnąć rady i znaleźć pociechę, a zamiast tego słyszy, że to, co było według niej czymś wprost szalonym, wariackim — było prawdą! A teraz znów ciotka myśli o czym innym w ogóle!

— No tak — rzekła ciotka, nalewając sobie filiżankę zimnej herbaty — o czym innym, ale mającym związek z tym, coś mi powiedziała.

— Piła przy tym wolniutko herbatę, pragnąc prawdopodobnie zyskać na czasie.

. — Czy doprawdy przypuszczasz, że ja Daga nie kochałam? — głos Adelajdy załamywał się z przerażenia.

— Coś w tym rodzaju — brzmiała sucha odpowiedź.

— Czy przypuszczasz może, że wyszłam za niego tylko z miłości własnej?

— Czynimy to wszyscy właśnie wtedy, gdy przypuszczamy, że kochamy innych, ale nie to miałam na myśli.

— Więc kogóż mogłam kochać?

— Swego teścia.

Adelajda jak piorunem rażona padła na sofę, potem zerwała się, zaczęła zapewniać rozpaczliwie, że tak nie było, a w końcu tak się rozplakała, że ciotka jej nie mogła uspokoić. Panna Ramer powiedziała na zakończenie:

— Jak się uspokoisz, zastanów się nad tym. Po dłuższym milczeniu i cichym łkaniu w chusteczkę, Adelajda spytała cicho:

— Czy przypuszczasz, że Dag to miał na myśli?

— Nic innego nie mógł mieć na myśli.

— Ale skądże by mu to przyszło do głowy?

— Właśnie to ci chciałam wytłumaczyć. To jest nawet dość proste, ale nie wiem, jak do tego podejść. — Ciotka wstała, pochodziła po pokoju, spojrzała na zaśnieżony krajobraz za oknem, na południowych zboczach śnieg już zaczynał lekko topnieć, poprawiła coś koło mebli i dołożyła drzewa pod kominek. W końcu siadła:

— Czyś ty zauważyła, jak twój mąż ostatnio upodobił się do swego ojca?

— Tak.

— Coraz bardziej będzie go przypominał. Nie tylko zewnątrz. Na pewno ma te same cechy charakteru, ale nigdy nie miał sposobności do wyładowania swych sił życiowych. Czyś ty kiedy o tym pomyślała?

— Nie.

— Gdy mieszkałam w młodości na wsi, nieraz to obserwowałam, a również i później w mieście, w sferach kupieckich. Tam, gdzie ojciec jest człowiekiem czynu, a syn jest przy nim i musiałby z nim walczyć o swoje miejsce, tam syn zostaje w cieniu. Prawdziwy mężczyzna odczuwa potrzebę odpowiedzialnej pracy, chociażby to miała być praca tylko dla rodziny, żony i dzieci. Poczucie odpowiedzialności jest najsilniejszą podporą w życiu mężczyzny, daje mu zadowolenie i odciąga od różnych nałogów, w które może popaść. Weź dla przykładu ojca Daga. Można by przypuścić, że dawniej chciwość jego była oparta tylko na pragnieniu rządzenia. Otóż nie! Podłożem tego było wrodzone poczucie odpowiedzialności rodowej za całe jego otoczenie... Oczywiście, było też w tym sporo zapału i przesady młodzieńczej. Ale i w zmaganiach późniejszych lat mogłaś zauważyć, że jego myśli wciąż krążyły koło powagi wielkich obowiązków. To był jednak błąd. W całej tej krzątaninie dla zabezpieczenia innych

— zapomniał o najbliższym człowieku; zresztą wszyscy czynimy to samo. Wiesz sama, że rodzice nie lubią z dziećmi rozmawiać



o swych walkach życiowych. Dlatego też każdy musi sam taką walkę rozpocząć na nowo, i to jest przyczyną, że ludzkość tak wolno posuwa się naprzód. Ojciec Dag zapomniał albo nie zauważył, że syn dorósł i nie ma sposobności do spożytkowania swych najlepszych sił, i nie może się wykazać własnym poczuciem odpowiedzialności, które po ojcu odziedziczył. Wprawdzie zajmował się niby eksportem drzewa, pilnowaniem lasów, ale wszystko to czynił pod kierunkiem i wskazaniem ojca. Nie miał samodzielnego pola pracy. Może nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, ale czuł się nieswojo, był niepewny, nieśmiały, wiesz sama, jak nieobyty i dziki. Jego wypadek w górach spowodowany był na pewno nie tylko bólem po stracie synków, ale także i zwątpieniem w siebie samego. Czuł się już pewniejszy, miał synów — pewną odpowiedzialność w życiu — a tu los mu nagle to wydziera. Po tamtym wypadku oboje, ty i ojciec Dag, mieliście podejrzenie, że z jego głową jest coś nie w porządku. Więc tak się ułożyło, żeście oboje byli jakby przeciwko niemu. Coraz bardziej ulegałaś pragnieniu, ażeby trzymać się ojca Daga, a zaniedbywałaś to, co było twoim obowiązkiem: zdobycie zaufania męża. W ten sposób i on stracił tę odrobinę pewności siebie i odpowiedzialności, które mu życie pozostawiło: obowiązek dbania o żonę. Spoglądasz na mnie z przerażeniem, Adelajdo, ale nie przerywaj mi, proszę, daj mi się wypowiedzieć... Zdawało ci się, że spełniasz wszystko, co do ciebie należy, umilając mu czas spędzany w domu śpiewem i grą na harfie i nie odmawiając mu siebie, swego ciała. Ale tyś go traktowała jak smarkacza, niedorostka, i to z biegiem lat coraz jawniej, coraz wyraźniej. Gdy wracał z lasu, nie przerywałaś rozmowy z jego ojcem, nie pytałaś, jak się czuje, nie okazywałaś żadnego zainteresowania jego osobą. Obserwowałam was, ale uważałam, że z twojej strony może jest to przesadny wstyd okazywania czułości w obecności ludzi. Po twojej dzisiejszej spowiedzi widzę, że to jedno z drugim ma związek.

— Rozumiesz teraz, dlaczego rzucał na ciebie nienawistne spojrzenia, widząc cię wiecznie pochłoniętą rozmową z jego ojcem? Jemu właśnie więcej niż komukolwiek było potrzeba czułości i pokrzepienia, ciepłych, dobrych słów, tymczasem wciąż tylko przyczyniałaś się do tego, aby go coraz bardziej pogrążyć

w nieśmiałości. Nie wyjaśniam ci tego, broń Boże, aby cię ganić, ale chcę ci tylko jasno powiedzieć, co o tym myślę. Wcale się nie dziwię zresztą, że po twoich przejściach i doświadczeniach życiowych z takim ojcem jak twój, stary Dag pociągnął cię. Wybacz, że ci to mówię. Było zupełnie naturalne, że twoja umartwiona dusza zachwycała się takim mocnym człowiekiem... Byłaś pod jego urokiem. Zaczęło się to zapewne już wówczas, podczas pierwszej wigilii, spędzonej w Bjórndał. Gdyście się potem tak bardzo zżyli, na pewno czułaś się bardziej szczęśliwa, niż sobie sama nawet sprawę zdawałaś. Nawet wtedy, gdy ci się zdawało, że martwisz się o męża, szczerze — duszą i sercem — kochałaś starego. Taką miłością nigdy nie darzyłaś swego męża.

Adelajda zapatrzyła się w okno, nic nie widząc. Siedziała oparta o kanapę. Zdawało jej się, że całe jej istnienie zostało podważone... Wszystkie serdeczne wspomnienia o ojcu Dagu stały się jakieś bezbarwne, nieczyste nawet.

Ciotka po chwili ciągnęła dalej:

— Potem wrócił z lasu Dag, już po śmierci ojca. Spędzał przy zwłokach całe dnie i całą ostatnią noc. Czepiał się go, jeszcze nie rozumiał siebie, ani tego, co się wokół niego działo, gdyż znikł ten, który wszystkim kierował, nawet nim samym. Cierpiał tym bardziej, że nie zdążył na czas, ażeby się z nim pożegnać. Po pogrzebie był do niczego, nawet brak mu było energii, ażeby wybrać się do lasu. Ale życie samo wciąga nas w swój nurt — tym razem pomogły w tym dzieci.

— Następnie widział, że interesanci zwracali się do ciebie i tobie wręczali pieniądze. Dopiero wówczas się zorientował, że był pomijany w ciągu całych lat, naprzód przez ojca, a potem przez ciebie. Widział, jak prowadziłaś książki, domyślił się, że ojciec ciebie w to wtajemniczył, a nie jego, i że w swoim zadowoleniu i egoizmie nawet nie odczuwasz, jak bardzo go to może boleć. Więc skorzystał z przysługującego mu prawa: odebrał ci to, ale nie umiał sobie z tym poradzić, szedł po omacku.

— Z książek widział, że dłużnicy, którzy za życia ojca płacili punktualnie, obecnie zalegają, nie biorą go na serio, tak samo jak ty i wszyscy inni we dworze. Zorientował się, jakie należy zająć wobec tej sprawy stanowisko: zaczął objeżdżać dłużników, dając im do zrozumienia, że nie pozwoli z siebie kpić.

Od tego czasu stał się ostry, nieprzystępny, ażeby przed ludźmi i sobą dowieść, że nie da się lekceważyć.

— Twój mąż, Adelajdo, nie jest już teraz dawnym Dagiem Bjórndalem, który z fuzją na ramieniu beztrąsko szedł w las; jest człowiekiem, który się może zgubić z powodu swej przekory, tak jak o mało nie zgubił się stary z powodu chciwości. Ta dobroć i hojność dla Holdera mogła mieć źródło w miłości Daga do matki i ciotki, ale możliwe również, że jej podłożem jest upór. Może widział w książkach, że Holder od paru lat zalega z opłatami i że ty na pewno o tym wiesz, a nikt nie pokwapił się, ażeby go poinformować. Możliwe, że mając żal do ciebie o to, w ten sposób się zemścił. To wszystko, co przecierpiał przez całe lata, a czego powiązać w przyczynach i skutkach nie potrafił, nagromadziło się może w ten wielki ładunek nienawiści do ciebie. Ma do tego niebezpieczne skłonności. Sama chyba wiesz wszystko, co było: wariackie wspinanie się na Górę Śmierci, obecnie ta historia z Holderem, a poza tym ta odpowiedź, dana tobie wczoraj!

Zbliżyła się do Adelajdy, która była całkowicie złamana, ujęła ją za rękę. Oczy panny Ramer pełne były blasku.

— Słuchaj, dziecko, człowiek najniżej upada, gdy nad sobą płacze! Głowa do góry, Adelajdo! Prawdziwą pociechę trzeba sobie samemu wywalczyć! Idź teraz od razu do Daga i rozmów się z nim! Zapomnij o tym, że jesteś bardziej wykształcona, więcej wiesz i umiesz niż on. Może to właśnie było największą zaporą pomiędzy wami. Bo tyś się uczyła czego innego niż on, szłaś w innym kierunku. Może nie czytał w swoim życiu tyle, co ty, ale zna się dobrze na tym, o czym ty znów nie masz pojęcia. W tym sedno sprawy. Jeszcze się dość namozolisz, zanim będziesz w stanie podążyć za biegiem jego myśli, gdy go bliżej poznasz. Człowiek spędzający lata całe w lesie, górach albo w kręgu ciężkiej, fizycznej pracy — musi rozmyślać o najważniejszych sprawach życia. Ja sama, chociażby, wiele się nauczyłam od tutejszych leśnych i górskich ludzi. Ugnij się i złam swoją pychę z miłości do niego, jeśli go jeszcze naprawdę kochasz. Jeżeli go nie kochasz — zbędne jest to całe gadanie. Mogę się mylić w tych przypuszczeniach, które snułam; ale wątpię, chyba nie.

„Jedwabny” koń tańczył na swych zgrabnych nogach, niosąc Adelajdę w siodle wzdłuż alei borglandzkiej, a następnie gościńcem na północ do Bjórndal. Przyglądała się połyskującej sierści pięknego zwierzęcia: niejasno jej gdzieś tkwiło w pamięci, że to kochane zwierzę przywitało ją dobrymi, jasnymi ślepiami, gdy schodziła ze schodów pałacu. Ale nic więcej nie pamiętała. Słowa ciotki Eleonory zabrały jej całą świadomość i uniosły bardzo daleko.

Stuk kopyt po drewnianym moście na początku alei prowadzącej do Bjórndal zdawał jej się echem minionego życia. Wyprostowała się; powiew chłodnego wiatru odczuła jak orzeźwiający zastrzyk. Puściła lejce i koń szedł lekko i zgrabnie pod górę ku dworowi; z wolna wracała jej świadomość tego, co ciotka mówiła. Uprzytamniała sobie słowo po słowie — ale do każdego twierdzenia ciotki dodawała własne komentarze... Tak, tak, Dag był innym człowiekiem niż wszyscy, człowiekiem, który czyni to, co chce, wbrew nakazom ojca. Rządzą bowiem żywi, a nie umarli.

XLVJJ

./•Idelajda zamknęła drzwi prowadzące do pokoju Daga. Było to drugiego wieczoru po wizycie w Borgland. Ciotka przysłała w dzień po chłopców i kazała powiedzieć, że ich zatrzyma u siebie na noc. Adelajda wiedziała, że ciotka to umyślnie tak ułożyła. Jedną rzecz zataiła przed ciotką: że Dag przeniósł się po śmierci ojca do jego sypialni. Uważała to za osobistą obrazę i trudno jej się było do tego przyznać, wprost nie mogło jej to przejść przez gardło. Ciotka widocznie przypuszczała, że małżonkowie prędzej dojdą do porozumienia, gdy dzieci nie będzie.

Ale Dag po jej wyjeździe do Borgland znów poszedł do lasu i jeszcze nie wrócił; poza tym ona sama nie czuła się na razie na siłach do przeprowadzenia zasadniczej rozmowy. Ciotka wzbudziła w niej uczucia i myśli, które jeszcze nie dojrzały. Uginała się pod ciężarem winy. Starła się usunąć od siebie napomnienia

ciotki, myślała o jakimś pogodzeniu się z mężem bez przykrej rozmowy. Bo gdy tylko wyobrażała sobie między nimi spotkanie — zaraz stawał jej przed oczami Dag rzucający w nią owe straszne i gorzkie słowa. Nie zniosłaby po raz drugi widoku takiego wyrazu twarzy. Od tej chwili wprost go się bała, a słowa ciotki również nie dodały jej odwagi. Niby zmora ciążyło to na niej przez całą ubiegłą noc. W ciągu dnia starała się odsunąć te myśli od siebie, ale teraz pod wieczór znów zaczęły wracać. Była obok w pokoju Daga przed chwilą, popatrzyła na puste łóżeczka dziecięce i jego wielkie łoże. Mróz ją przejął, taki stamtąd wiał chłód i ciemność. Zdawało jej się, że wszystko, co tu niegdyś żyło i ruszało się, umarło po wieczne czasy.

Poczuła się lepiej, gdy wróciła do swego pokoju i zaryglowała drzwi. Widziała go przed sobą... Siadywał tu nieraz przed kominkiem. Jakie to dziwne! Po dwunastu latach małżeństwa właściwie wcale go nie zna. Dusza jego pozostała dla niej zakrytą kartą, a z tych ciemności i zagadkowego labiryntu wylaniały się ku niej te same, dziedziczne przywary, które nieodstępnie towarzyszyły młodości ojca Daga (opowiadał o tym Adelajdzie): mściwość, upór, brak serca.

Jednak trudno było wierzyć, ażeby Dag był pozbawiony wszelkich uczuć. Rozpacz po śmierci synków dowodziła czego innego, tak samo jak stosunek do bliźniąt i psów; przecież i do niej nieraz potrafił odnosić się serdecznie — miała czasem tego drobne dowody. Nie, ojciec Dag miał rację; mąż jej miał dobre serce, tylko że do jego duszy była tak bardzo daleka i trudna droga. Przypomniało jej się stare przysłowie, że nienawiść zamyka serca ludzkie.

Z poczucia własnej winy za pogrążenie męża w ten ponury stan obudził się w niej dławiący lęk przed tym wszystkim, co jej może grozić, co może uderzyć w nią z nieznanych głębin jego duszy, a co jest dziedzictwem po nieugiętych, dumnych, mściwych przodkach... Nagle drgnęła. Czy to nie odgłos zdejmowania nart i ustawiania ich przy drzwiach wejściowych? Tak! Ktoś szedł ku drzwiom.

To kroki Daga, ale nie zmęczone, wlokące się obojętnie jak podczas ostatniego powrotu — tylko stąpanie żywe, młodzieńcze, szybkie. Słyszała, jak zdejmował i wieszał kurtkę, szedł przez

kancelarię do kuchni, po chwili wrócił, zdjął obuwie, położył kilka drewnianych pod kominkiem. Słyszała, jak przyszła dziewczyna z kuchni, a wreszcie brzęk szkła. Widocznie kazał sobie podać coś gorącego do picia, tak samo jak to czynił ojciec, gdy wracał zziębnięty z lasu.

We wszystkich tych odgłosach było zdecydowanie. Oto pewny siebie dziedzic wielkich włości przyszedł z lasu i rozgrzewa się przy własnym ognisku domowym.

To właśnie obudziło w niej dojmujące pragnienie uwolnienia się od owej męki i powrotu do prawdziwego życia. Posunęła się na palcach aż do samych drzwi i łowiła w napięciu najlżejszy szmer i ruch.

Dała się całkiem otumanić twierdzeniom ciotki, że kochała właściwie ojca Daga. Ależ nie! To niezupełnie jednak tak było; sprawa nie jest tak prosta, jak się ciotce zdawało. Owo narzucone jej niespodzianie mniemanie panny Ramer zamroziło jej cały aparat myślowy; ale teraz zaczęła się spod tego wyzwalać. Jak oskarżony lęka się zetknięcia z sędzią, tak ona obawiała się rozmowy z Dagem. Teraz napadła ją dręcząca obawa, że Dag pójdzie do siebie, a ona nie zdąży zejść i rozmówić się z nim. Od pewnego czasu bardzo dbała o swoją powierzchowność. Teraz podeszła do lustra, przyglądała włosy i poprawiała stanik.

Zawahała się przez chwilę, biorąc klamkę. Musi zejść kompletnie opanowana. Nie wolno jej dać się unieść namiętności i nierozwadze. Otworzyła drzwi i zamknęła cichutko za sobą, potem z wolna zeszła na dół.

Dag siedział w kręgu ognia na dawnym miejscu ojca. Nic nie było w jego twarzy z owego przerażającego, nieszczęsnego wyrazu, gdy nienawiść wykrzywiła mu rysy. Miała przed sobą spokojną, zamysłoną twarz, ale wyraz był taki surowy, nieruchomy, taki chłód i nieugięta wola biły z niej, że aż drgnęła.

Gdy wchodziła, Dag akurat właśnie wstał. Ani jeden muskuł nie drgnął na jego twarzy. Kierował się ku sypialni.

— Czy nie mógłbyś poświęcić mi trochę czasu? Chciałam z tobą pomówić — powiedziała to cicho, zbolalym, łagodnym głosem.

Zatrzymał się, oparłszy lewą rękę o stół. Na cieniu, który padał na ścianę, zdawał się być jeszcze większy niż zazwyczaj, bar-

dzień rozrośnięty w ramionach. Bruzda na policzku zarysowała się ostro w blasku ognia — biegła w nieznacznym zakrzywieniu w kierunku kącików ust. Był to jakby zaczątek uśmiechu.

Weszła i ona w krąg światła i zatrzymała się tuż przed nim ze złożonymi rękami, z podniesioną głową. Czuła się i dziś tu — jak niegdyś — tylko przelotnym gościem. Dag tu przynależał od pierwszego tchnienia. W jego żyłach płynęła ta sama krew, co w ludziach, którzy ten dom przed wiekami zbudowali. A ona? Przybyła tu parę lat temu jako dorosły człowiek i korzeniami tu nie tkwiła. Ostoją jej był ojciec Dag, z chwilą gdy go zabrakło, straciła oparcie.

Ale musi się z nim pożegnać, zanim uda się do swojej izby w samotność lub przeniesie się na dobre do ciotki w Borgland. Chciała wytrwać do ostatniej chwili i być uczciwa aż do końca w stosunku do Daga i do siebie samej. A potem niech się wszystko skończy.

' Ten miękki, nie znany mu ton jej głosu spowodował, że podniósł głowę i słuchał, ale gdy potem milczała, spojrzął na nią z uwagą. Twarz jego nadal pozostała nieruchoma, ale obojętność ustąpiła jakby słabemu współczuciu. Wytrzymała jego spojrzenie nie drgnąwszy powieką.

— Czyś ty przypuszczał, że ja się kochałam w twoim ojcu? — spytała, przymuszając się do spokoju.

Spojrzął na nią zaskoczony, kiwnął głową prawie niedostrzegalnie.

— Tak — ciągnęła dalej — kochałam go i kochać będę aż do śmierci, bo był człowiekiem mocnym i dobrym. Ale i ciebie kochałam, o ile pozwalałeś mi na to sam i o ile wypadki i nastroje naszego pożycia małżeńskiego dopuszczały do tego. Nieraz zlewały mi się wasze obie postacie w jedno, widziałam w was obu wszystkie zalety, które cenię... Droga mi była twoja niezwykła, inna niż wszystkie młodość, wszystko, co było we mnie młode i szczere, dążyło do ciebie, zaś siła charakteru ojca twojego była wypoczynkiem dla mych starganych nerwów i lęku przed życiem, który tkwił we mnie, wlokąc się jak ponura pozostałość z poprzedniego, bezradosnego życia.

Dag pozornie był nieporuszony, ale widziała, że słucha uważnie. W głosie jej nie było już wymuszonego spokoju, gdy mówiła;

— Złożona i skomplikowana była moja miłość, a już na pewno nie była doskonała, bo powinno się jednego, i tylko jednego człowieka nosić w głębi duszy i serca. — Aż sama się przeraziła tonu swego głosu, który brzmiał tak jakoś błagalnie. Teraz dopiero zrozumiała, że otwarte postawienie kwestii, rozmówienie się z Dagem, mogło cały ich stosunek całkowicie wyjaśnić i odpowiednio ułożyć, doprowadzić do upragnionego pojednania. Obudziłby się w nim człowiek obowiązku, któremu mogłaby zwierzać się ze wszystkiego, z którym mogłaby omawiać każdą sprawę... A przy tej dojrzałości i sile pozostałby w nim zawsze urok młodzieńczy, objawiający się pogodnym i rozbajająco dobrodusznym uśmiechem. Na pewno byłby taki, gdyby znalazł się ktoś, kto by obudził w nim wiarę we własną moc i podtrzymywał na duchu. Czyż właśnie teraz, kiedy on może na nowo zdobyć całe jej serce i spojść rozbitą istotę w mocną jedność, miałaby go stracić? Teraz, kiedy po naukach i rozmowach z jego ojcem, i po własnym gorzkim doświadczeniu dojrzała i wyrobiła się i byłaby w stanie być prawdziwą pomocą? Teraz, kiedy czuła, że w końcu mogłaby mu się oddać całą duszą i ciałem, bez zastrzeżeń?

Drgnęła... Dag wstał, podszedł do komina, pchnął wystający korzeń nogą tak gwałtownie, że aż iskry się posypały. Jego obojętność i brutalna energia były dla niej czymś tak przykrym, że odczuła je jak uderzenie sztyletem w serce. Oto miała godną odpowiedź na swe słowa, a równie i na to, co myślała i czuła. Zdawało się jej, że się dławi, cały pokój zaczął z nią wirować, podłoga uciekała spod nóg. Po dłuższej chwili odetchnęła z trudnością i odzyskała przytomność. Spojrzała na Daga. Od kominka padał na niego jasny blask ognia, ciemniał i rozświeślał na nowo. Światło i ciemność zdawały się walczyć ze sobą. Adelajda miała wrażenie, że widzi oto nie walkę płomieni, ale jest świadkiem zmagania wewnętrznych jego duszy. Może i tam jasność walczy z ciemnością. Płomienie pod kominkiem nikły, malały, aż wreszcie tliły się już resztki drewna, trzeszcząc cicho. Kontury postaci Daga coraz bardziej zacierały się w ciemnościach, od czasu do czasu oświeślał go jakiś jaśniejszy płomyk. Zdało jej się, że widzi postać z opowiadań ojca Daga. Groźny wspaniały potomek dawnych przodków żył w postaci, na



którą padało czerwone, migocące światło zamierającego ognia: myśliwy o czujnym oku i uchu, wiecznie tropiący po lasach grubego zwierza. Cichy, urywany oddech zdradzał wzmagające się napięcie.

Zamarł ostatni błysk ognia, zapanowała ciemność. Odsunęła się odruchowo, słysząc, że się do niej zbliża, ale zanim zdołała to uczynić, wziął ją mocno w ramiona.

Księżyc zaglądał do sypialni. Kotara od strony okna w wielkim łóżu była odsunięta i światło w całej pełni padało na poduszki. Adelajda odwróciła głowę w stronę księżyca i szeptała przez sen jakieś niezrozumiałe słowa. Spała dalej. Złociste jej włosy rozsypywały się po poduszce. Chyba po raz pierwszy od czasu dzieciństwa położyła się do łóżka bez czepka.

Dag siedział oparty o poduszki w kącie łóżka, tak jak to zwykł czynić setki razy w chatach leśnych na pryczy albo na chruście przy ognisku. Siedział wówczas i wpatrywał się godzinami w żar ogniska.

Tu zaś zapatrzył się w twarz Adelajdy. Jeszcze nigdy na żadnej twarzy nie widział takiego spokoju. Przyjemnie było patrzeć na to. „Dużo ostatnio rozmyślała, a pewnie mało spała” — przemknęło mu. On natomiast spał już dość. Tak, za wiele cennych godzin życia przespał — doszedł do wniosku.

Nim zjawił się księżyc, mówili jeszcze długo w ciemnościach w łóżku. Adelajda powtórzyła mu wiele trafnych uwag, które poczyniła o nim panna Ramer. Tak się mu potem wszystko jasne i lekkie zdawało, że wcale nie mógł zasnąć. Najchętniej by wstał i sam się sobie przyjrzał w tym nowym oświetleniu.

Przysunął się do Adelajdy i przyjrzał uważnie jej twarzy. Znikł gdzieś zimny, zacięty wyraz, policzki były młode, jakby brzoskwiniowym puszką pokryte, a usta poruszały się w oddechu lekko, delikatnie. Jakaż ona piękna! Nieprawdopodobnie piękna. Miała tak pięknie zarysowane brwi, długie ciemne rzęsy i przecudne, rozpuszczone włosy!

Tak jak podczas nocy spędzanych w lesie — patrzył w błądy księżyca... Ach tak. Powiedziała, że potrzebuje człowieka, który byłby dla niej mocną ostoją. Uniósł w górę całe swe szerokie ramię, przez chwilę padało na nie światło księżyca. Potem usu-

M A laay wiecznie i plewają

nęło się w ciemność, księżyc oświetlał już tylko jego twarz — czoło pełne było głębokich zmarszczek, które pojawiły się z nadmiaru trosk, myśli, i wyężenia sił fizycznych na polowaniu i stałym przebywaniu na powietrzu podczas każdej pogody i pory roku. Były to także zmarszczki wyryte wiekiem i twarde rysy niewzruszonej woli. Ale oczy były czujne, otwarte, młodzieńcze. Znów spojrział na Adelajdę takim wzrokiem, jakby trzymał tu straż nocną nad ogniskiem — nad ogniskiem płonącym w głębi jego serca.

XLVJJZ

7

z-j adne jeszcze lato

nie wydawało się Adelajdzie takie uroczne, jeszcze nigdy nie czuła się tak pewna siebie, nigdy świat dla niej nie był tak piękny jak w owym okresie, kiedy ona i Dag wreszcie odnaleźli się wzajemnie. Od tej pory i ona sypiała w tradycyjnej sypialni, a w pokoju swoim przebywała tylko podczas dnia. Zaczęła spisywać stare gadki, przypowieści i legendy, które słyszała od ojca Daga i Unn Hamarrbó lub znalazła w pamiętnikach Teresy i panny Doroty. Z czasem czuła się tak, jakby istotnie należała do rodziny Daga i jego całego starego rodu — wrastała w to miejsce, zżywała się coraz bardziej z przeszłością i terażniejszością, a wobec tego, że posiadała, jak zwykle kobiety, rozwinięty zmysł praktyczny — pilnie obserwowwała swe otoczenie.

I Dag również się uspokoił. Zżycie się z Adelajdą i wszystko to, czego się od niej dowiedział o ojcu, dały mu pewność siebie i równowagę ducha, wiarę we własną moc i wartość; z czasem stał się silnym, zdecydowanym człowiekiem. Namawiał ciotkę i Adelajdę, ażeby zapraszały gości z miasta, krewnych i znajomych, i raz do roku odbywał się bal w Bjórndal w wielkiej sali, a także w Borgland. Wieczory wigilijne były znów tak uroczyste jak dawniej, wróciły rozdzwonione jazdy nad ranem do kościoła — i Dag już się nie jękał przy czytaniu wersetu. Promieniowały z niego siła i spokój, i radość.

562

Wprowadził również na nowo stary obyczaj, którego zaniechano za czasów surowych rządów ojca: wzywał do dworu na jesieni, przed rozpoczęciem robót zimowych, wszystkich drwali w celu wręczenia im narzędzi i naradzenia się nad tym, co ma być danej zimy wykonane. Narady te odbywały się w starej izbie i kończyły się wielką ucztą — jedzeniem gęsto zakrapianym trunkami. Dag z nimi razem siedział i ucztował.

Były to ciężkie lata, ceny na rynku spadły, powodując wiele strat. Ale Dag jakoś znajdował na wszystko radę. Gdy ceny zboża i drzewa poczęły się zniżać, zabrał się intensywnie do hodowli bydła. Kazał naprawić stare budynki i obory letnie, a przy tym gruntownie wykorzystał łąki i pastwiska. Gdy stawki celne uniemożliwiły wywóz do Anglii budulca krótszego niż na pięć czy sześć łokci, zaczął jeździć po swych posiadłościach, zarządził regulację rzeki i w ten sposób umożliwił spław i większych pni. Gdy szło o wykonanie jakiejś pracy — pierwszy był do tego, tak jak ojciec.

Ale mimo wszystko coś w zakamarkach jego duszy pozostawało zamknięte, niezrozumiałe i budziło niepokój Adelajdy. Był, mianowicie, zbyt pobłażliwy względem Holdera i innych ludzi. Widocznie ową surowość w pierwszym roku po śmierci ojca w stosunku do biedoty spowodowała tylko przekora, a może niepewność siebie. Teraz zniknęła w zupełności.

Minęły lata, był rok 1826. Chłopcy mieli już po jedenaście lat i wszędzie było ich pełno: w lasach i na pastwiskach. Początkowo Torę był przywódcą i organizatorem tych wypraw, ale z czasem mały Dag prześcignął go. Był jeszcze wciąż kanciasty, chudy, zbyt wysoki na swój wiek, ale ludzie twierdzili, że zaczyna już z tego wyrastać.

Matka przez parę lat kierowała ich nauką, już dawno obaj umieli czytać i pisać, i rachować, starała się im dać poza tym pewne wiadomości z zakresu innych nauk... Skarżyła się nieraz Dagowi, że za dużo włóczą się po polach i lasach.

— Daj im jeszcze trochę swobody, zanim pójda do pastora na konfirmację — odpowiadał — bo już potem będą musieli zacząć inne życie.

Marzeniem Adelajdy było, ażeby jeden z nich — wszystko jedno który — ukończył szkołę w mieście i potem może został ofi-

cerem. Najlepiej, żeby to był ten, który z czasem ma objąć Borgland. Ale nie odważyłaby się zaproponować tego mężowi. Powiedzenie jego, że po confirmacji mają rozpocząć inne życie, miało pewnie znaczyć, że potem zaprzęgnie ich i zaznajomi z pracą w domu i w polu. Trudno jej było z tym się pogodzić, w każdym razie nie dla obydwóch, niemniej tak wyglądało, jakby się miało na tym skończyć.

Jeden z woźniców wracających z miasta przywiózł Dagowi przykrą wiadomość: Holder potrzebuje pieniędzy. Stary Holder umarł w ostatnim roku i syn prowadził interesy. Był to człowiek również nie pierwszej młodości, miał bowiem czterdzieści siedem lat.

Woźnica powiedział Dagowi, że Holder sam przyszedł do czeładnej, ażeby mu to powiedzieć. Z tego Dag wynioskował, że Holdera widocznie bieda porządnie przycisnęła. Uważał, że samemu najlepiej pojechać do miasta i dowiedzieć się.

Po drodze wiele rozmyślał. Uprzysięgał sobie, jak to ojciec w ostatnich latach życia o wszystkim myślał i jak rządził swym bjórndalskim państwem, że wszystkie chaty drwali były w porządku, nigdzie zgniłej belki, wszyscy byli zaopatrzeni w potrzebne do pracy narzędzia bez względu na to, gdzie kto mieszkał, chociażby najgłębiej w lasach. Zabezpieczył pannę Ramer J aż do końca życia. Pomagał Holderowi w ten sposób, że wpłaty należne od niego odsuwał z roku na rok, tymczasem pożyczał mu jej nawet pieniądze, ażeby jakoś dopomóc w przebyciu trudnego okresu. Ale ledwo stary Holder umarł, już syn jego żąda znowu pieniędzy i stałej pomocy. Tak nie można, trzeba być stale na posterunku i pracować, nie zwracając uwagi na to, czy się jest bogatym. Tam, gdzie nie ma chęci do pracy, jak u Holdera, tam nic nie pomogą ani rada, ani pieniądze.

Nie uszło jego uwagi, że Adelajda rości jakieś ambicje co do jej kształcenia synów. Nie, z tego nic nie będzie. Zaprzęgnie się ich do pracy zaraz po confirmacji, a do tego czasu niech poznają dobrze las i jego życie. Dobra to szkoła życia dla młodzieży, niech przepracują pewien czas w pocie czoła... Nic bardziej godnego pogardy niż ludzie nie mający siły w rękach i niezdolni do żadnego fizycznego wyczynu.

Serce zabolalo Daga, gdy wjeżdżał od strony sklepu w podwó-

rzę domu Holdera. Rodzina Holderów od przeszło stu lat zajmowała się kupiectwem. Tutaj urodziły się jego dzielna matka i anielsko dobra ciotka Dorota. Obie tu się chowały i przebywały aż do wyjazdu do Bjórndał.

W dawniejszych latach panował tu wielki ruch, pełno było zawsze ludzi, pojazdów i koni — obecnie stało tylko parę szkap, a poza tym było pusto. Zdecydował jadąc tu, że uderzy ręką-w stół i powie Holderowi krótko i węzłowato, iż nie ma co liczyć na Bjórndał: ani na towar stamtąd, ani na gotówkę. Ale gdy porównywał dzisiejszy wygląd tego domu z tym, co było w dawnych latach, gdy przyjeżdżał tu z matką i ciotką i przebywał w otoczeniu dobrobytu i świetności, serce mu się krajało. Czyżby ojciec odmówił pomocy, gdyby w tej chwili był na jego miejscu? Ojciec, o tyle więcej jeszcze z tym domem związany niż on?

W drodze doszedł do wniosku, że nie wolno pozwolić żyć w ten sposób Holderowi, nie wolno tego tolerować... Zresztą ma obowiązki wobec najbliższej rodziny i tylu ludzi żyjących we dworze. I tak w tych ciężkich czasach niełatwo jest dojść ze wszystkimi do ładu. Niejeden z właścicieli posiadłości musiał w ostatnich latach sprzedać na łeb, na szyję swe mienie. Tak! To prawda! Ale — z drugiej strony — nie miałby serca dopuścić do licytacji całego dobytku rodziny Holderów.

Dag przywiązał konia, zawiesił mu worek z owsem na szyję i rzucił badawczym okiem na stare budynki domu handlowego. Pełno tu było schodów i galeryjek. Niejeden z przodków oglądał sobie ten podwórzec, ale na pewno żaden nie był w tak przykrej sytuacji.

W kantorze powiedziano mu, ażeby poszedł na górę do mieszkania. Służąca zaprowadziła go do bawialni. Dag wiedział, że mieszkała tu jego matka, ale nie przypuszczał, że rodzice jego właśnie w tym pokoju przed półwieczem doszli do porozumienia.

Otworzyły się drzwi, wszedł zażenowany Holder. Nie bardzo mocno trzymał się na nogach i powitał żywo kuzyna, gestykulując i zasypując go gęsto słowami o nowych bankructwach w Londynie. Przy tym bezustannie się usprawiedliwiał. Służąca przyniosła wino i szklanki. Holder napelnił je i sam duszkiem wypił. Dag nie tknął swojej.

Holder nalał sobie drugą i wychylił tuż za tamtą.

— Przywiozłeś pieniądze? — spytał lekko, prawie pobłażliwie. Dag patrzył ponuro przed siebie i od czasu do czasu rzucał z boku spojrzenie na gospodarza.

— Ile ci potrzeba?

Holder wymienił jako tymczasową, konieczną zaliczkę, tak wysoką sumę, że Dag z miejsca otrzeźwiał i zapomniał o wszystkich uczuciowych powiązaniach. Holder ciągnął lekkim tonem, jakby od niechcenia, że nadarza się okazja zrobienia świetnego interesu, i wszystko potem będzie dobrze. Gdy następnie Dag mu jeszcze raz taką sumę pożyczy, to dom handlowy Holderów powróci do dawnej świetności. Już jego w tym głowa. Ojciec był zbyt drobiazgowy, za mało miał odwagi, dlatego tak wszystko się pokręciło. Jeśli się wielka okazja nadarza, trzeba z całą energią chwycić ją za włosy.

Dag podniósł się.

— Przyjechałem, ażeby upomnieć się u ciebie o pieniądze — powiedział zimno — co ty mi na to odpowiesz?

Holder cofnął się razem z krzesłem i przez dłuższy czas siedział wytracony z równowagi. Następnie oparł się o poręcz, opuścił bezradnie ręce wzdłuż fotela i wyciągnął nogi przed siebie.

— Tu nikt o nic się nie może upominać, bo tu niczego już nie ma.

Dag był jedynym człowiekiem w ostatnich czasach, który udzielał jeszcze Holderowi kredytu, więc też on jeden miał prawo rozporządzać tym, co tu jeszcze zostało. Dał wskazówki swemu adwokatowi. Kazał sporządzić akt, według którego dwudziestoletni syn młodego Holdera będzie prowadził nadal — bardzo ostrożnie — tylko sklep, a eksportowy dom miał być zupełnie zlikwidowany. Wszystkie pokoje i pomieszczenia — poza paroma dla ojca i syna — zostaną wynajęte. Jeśli sklepu w ten sposób nie da się prowadzić, wówczas wszystko zostanie wystawione na licytację. Adwokat po spisaniu dokumentu uśmiechnął się.

— Powinno to się już było stać za życia ojca pańskiego. Tak więc większa część bogactwa, które niegdyś przywędrowało do Bjórndal wraz z Teresą i jej siostrą, została Hoiderum zwrócona i roztrwoniona.

## XLIX

A-tóregoś jesiennego dnia 1830 roku siedział Dag w kancelarii. Gdy weszła Adelajda, szybkim ruchem odsunął papiery, które leżały przed nim, i przykrył je książką.

Adelajda bardzo się zestarzała w ostatnich czasach. Zniknęła z latami jej druga młodość i w codziennym życiu z całej postaci biła jakaś sztywność, która nie pozwalała ludziom swobodnie zbliżyć się do niej.

Podeszła do męża, siadła w fotelu i oparła ręce o biurko.

Dużo czasu upłynęło od chwili, kiedy Dag odebrał jej prowadzenie ksiąg. Adelajda podczas jego nieobecności nieraz musiała przyjmować od ludzi rachunki za wywiezione drzewo albo spłaty i procenty od dłużników z okolicy. Załatwiała te sprawy i wносиła do księgi. Z czasem tak się ułożyło, że raz ona, a raz mąż prowadzili rachunki, jak się trafiło.

Było coś w jej sposobie prowadzenia ksiąg, w jej zapytaniach lub obliczeniach, które na luźnych kartkach zostawiała dla niego, co się Dagowi nie podobało — miało posmak drobiazgowości i chciwości na pieniądze.

Przypisywał to wieloletniej biedzie w czasach pierwszej młodości Adelajdy i pewnemu podobieństwu jej do babki, która żyjąc w bardzo trudnych warunkach materialnych, musiała każdy grosz mocno trzymać. Ale przecież to było bardzo dawno, powinna już o tej drobiazgowości zupełnie zapomnieć i żyć się z nowymi warunkami bytu. Nie pomyślał o tym, że pożyczki dawane nieopatrznie Holderowi mogły ją naprowadzić na tę drogę.

Zawracała mu też głowę różnymi drobnymi sprawami. A to, że drwale zabierają to i owo z kuchni, a to znów ci, którzy coś majstrują w spiżarniach, wyławiają stamtąd przysmaki. Właśnie teraz przyszła z taką sprawą. Odpowiedział jej na to:

— Niejedno widzimy, Adelajdo, ale nie trzeba takich spraw brać do serca. W tak wielkim gospodarstwie jak nasze, dzieją się różne rzeczy, trudno wszystko brać pod uwagę.

Zazwyczaj lubiła, gdy tak stanowczo występował, ale w ostatnich czasach zauważyła w nim wiele nie znanych dotąd cech

charakteru. Nie po to wszakże przyszła do niego, ażeby mówić o tych drobiazgach. Więc też ciągnęła dalej:

— Tej jesieni nikt jeszcze nic nie zapłacił: ani procentów, ani rat, chyba wiesz o tym?

Dag przez chwilę zastanawiał się nad czymś, jakby go to pytanie nieco zaskoczyło, i potem odpowiedział równym, spokojnym głosem:

— Nie przejmuj się takimi sprawami. Sam ogłosiłem, że rezygnuję w tym roku ze wszelkich opłat. Po takich zbiorach, jak tegoroczne, każdy ma dość własnych kłopotów. — Po tych słowach ściągnął surowo brwi. Spojrzał w otwartą książkę przed sobą i sięgnął po leżące pod nią papiery, ale cofnął rękę. Adelajda drgnęła, gdy nagle się zerwał. Wyraz jego twarzy w tej chwili był ponury, chodził wielkimi krokami po pokoju tam i z powrotem. Doszedł do okna, wyrztał na dwór, odwrócił się z powrotem ku pokojowi i stanął.

— Często bywałem u tych ludzi w południowych gminach i wiem, jak żyją, stale mają na karku poborcę i wójta. Uważam za niedopuszczalne, ażeby ci ludzie, żyjąc w tak ciężkich warunkach, mieli w pocie czoła uprawiać dla nas pola, których wcale nie potrzebujemy.

Adelajda zdziwiona przyglądała się mężowi i młodzieńczemu zapałowi, z jakim bronił tej sprawy.

— No dobrze, ale przecież musimy myśleć o przyszłości i o naszych synach — powiedziała w końcu.

— Widocznie głębiej, niż sądziłem, tkwią w tobie wspomnienia młodości, pamięć niedostatku, w jakim żyłaś, skoro tu, w Bjórndal, o przyszłość się boisz. Wiedz więc, moja kochana, że Holder już strat nam nie będzie przysparzać. Również gotówkę ulokuje się w bankach, a nie u niego. Chybaś to zauważyła z książek i wiesz, że majątek nasz stale się powiększa. Wiesz również, że możemy teraz spławiać budulec długości dziesięciu łokci i że to się bardzo dobrze kalkuluje... Poza tym obserwowałem naszych chłopców przy pracy, przy każdej robocie, którą im dawałem i podczas wypraw ze mną do lasów. Są wytrzymali z natury i mają respekt dla ludzi, którzy coś potrafią, takich słuchają bez zastrzeżeń. To mnie uspokaja co do ich przyszłości, a i ty możesz być zupełnie spokojna. Gdy chłopcy nauczą się



sami pracować, w przyszłości będą rozumnie rządzić i szanować ludzi. A tego tu tylko potrzeba. Jest tu gdzieniegdzie grunt kamienisty i stromy, ale jest również i dobra, żyzna ziemia, poza tym wiele lasu do wyrąbania, a Borgland przynosi sporo dochodu w latach urodzajnych. Dag zbliżył się o parę kroków:

— Nie wolno być skąpym, bo to tylko psuje krew. Trzeba na pewne rzeczy patrzeć przez palce, nikt tu u nas nie zabierze więcej, niż potrzebuje. Niepotrzebnie się tym przejmujesz. O łąkami wiadomo, nikt tu w okolicy nie cierpiał głodu, dopóki cokolwiek było we dworze. Jeśli więc ktoś zabiera coś ze spiżarni albo kuchni, to widocznie, wzorem mojej matki, panna Kruse pozwoliła na to.

Adelajda oparła się o fotel. Po raz pierwszy słyszała Daga wypowiadającego tyle słów naraz; widocznie głęboko to przemyślał. Czuła, że właściwie wszystkie te słowa były zwrócone przeciwko niej; ostatnie zdania, skierowane bezpośrednio do niej, odczuła jako nagane.

Wiedziała bowiem — sama to spisała — jak troskliwa była matka Daga o ludzi ze dworu i osiedla, zwłaszcza o tych, którzy potrzebowali pomocy; pozornie była ostra i surowa, a w gruncie rzeczy bezgranicznie dobra.

Widocznie Adelajda dużo myślała nad tym, co jej Dag powiedział, bo wieczorem w łóżku, gdy światło było już zgaszone, zaczęła o tym mówić:

— Gdybym ja tak szła do ludzi jak twoja matka, na pewno by tego nie chcieli ode mnie..

— O tak, na pewno — odpowiedział Dag. Długo milczała i w końcu dodała, a głos jej przy tych słowach brzmiał jakoś inaczej niż zwykle:

— Więc co mogę na to poradzić, co mam robić? Nastąpiło dłuższe milczenie.

— Gdybyś była taka, że najbliższe otoczenie zwracałoby się śmiało do ciebie, przyszliby za nimi i inni. Mają na pewno sporo rzeczy, z którymi chcieliby się do ciebie zwrócić; jesteś przecież bardzo mądra i wykształcona. Przecież prości ludzie wciąż mają zmartwienia: a to z powodu dzieci, a to bydła, a to choroby,

a to znów niedomogów życia codziennego, ale trzeba by im trochę okazać serca, ażeby mieli odwagę zwrócić się do ciebie.

Były to te same słowa, których często używał ojciec Dag. Ona je właśnie podsuwała dalej mężowi, przypuszczając, że sama jest dobra i współczująca. A teraz on jej rzuca w twarz tak surową ocenę.

— Czy uważasz, że jestem bez serca? — spytała w końcu, zachłystując się słowami.

— Masz je... ale... widzisz... jest zamrożone...

Adelajda tak długo myślała nad tymi słowami, aż poty na nią uderzyły. Tak, teraz dopiero stało się jasne, teraz w nocy, gdy kończyła czterdziesty ósmy rok życia, że dotychczas serce miała tylko dla siebie, a nie dla innych.

Jest dzielna, ale w gruncie rzeczy nie przekracza granic przeciętności. Patrzyła w swym życiu niezliczone razy na ludzi, których długi trapiły niczym zmora i którzy całe życie nie byli w stanie ich się pozbyć. Nie rozumiała, nie docierało to do jej świadomości, że można im ulżyć, zwalniając ich po prostu na cały rok od opłat. Nigdy jeszcze nie słyszała, ażeby ktoś kiedykolwiek wpadł na tak dziwaczny pomysł.

W tych ostatnich latach bardzo Daga kochała, ale nigdy nie czuła tego tak silnie jak dziś. Wciąż brzmiały jej w uszach jego słowa, że serce ma zamrożone. I gdy potem go spytała: — Co mam robić? — głos jej brzmiał miękko i czule.

Bez wahania odrzekł:

— Odtając dla najbliższego otoczenia, reszta sama przyjdzie. Wiele lat temu Adelajda postanowiła pomagać pannie Kruse w zarządzaniu domem. Bardzo się sama do tego garnęła, ale jak zwykle, pozostało tylko postanowienie; w tym wypadku, jak i w wielu innych.

W dwa dni po tej rozmowie przybył do Bjórndal pewien człowiek z południa i chciał mówić z Dagiem. Dag przyjął go w sieni i Adelajda słyszała u siebie każde słowo. Przybył tu nie po to, ażeby się uskarżać, ale dlatego, że ma coś na sercu, co mu spokoju nie daje. Najbliższy sąsiad jest winien Dagowi dwa razy tyle, co on, a został zwolniony w tym roku z opłaty. Znaczący więc, że tamten został zwolniony z wpłacenia sumy jeszcze raz

większej niż on. Nie przychodzi się uskarżać, broń Boże, ale chce tylko zapytać, jak ta sprawa właściwie wygląda, bo on jest pokrzywdzony, dostał bowiem o połowę mniej niż sąsiad.

Dag pozwolił mu się wypowiedzieć, ale nie był w stanie usiedzieć na miejscu i wysłuchać obszernych wyjaśnień i usprawiedliwień tego człowieka. Gdy wstał, tamten też się podniósł z miejsca i kręcił się z nim w kółko, nie zwracając uwagi, iż Dag — bez słowa — coraz ciaśniej go okręża. Spotulniał więc, nie<sup>^</sup>ył w stanie mówić i tylko trzął głową otumaniony.

Dagowi się zdawało, że sprawiedliwie postąpił z ludźmi, a tu naraz takie oto gęganie jako rezultat jego trosk o ludzi. Oparł trochę może za mocno swą rękę na ramieniu tamtego — musiał go jednocześnie przytrzymać, bo byłby kucnął — i spytał:

— Czy ty wiesz, coś ty wiózł całą drogę od domu aż do Bjórndal? Naturalnie nie wiedział.

— Szatańskie nasienie, którego musisz się strzec: zawiść. Pamiętaj, jeżeli ona cię w swe łapy dostanie, nie będziesz już potem miał spokojnego dnia w życiu. Zawiść i zazdrość zniekształcają ludzkie charaktery, czynią z ludzi kaleki. — Tamten chciał coś rzec na swoje usprawiedliwienie, ale Dag mu przerwał: — Nie będę słuchał żadnych usprawiedliwień. Zresztą nie jesteś wyjątkiem. Wielu ludzi cierpi na tę chorobę. Idź teraz do domu i zajmuj się gospodarstwem, pilnuj żony i dzieci, myśl o bydle, pracuj i — z Bogiem!

Tamten ulotnił się czym prędzej, ale będąc już w progu, wykrztusił, że to jego stara winna, bo go do jazdy namówiła.

— Precz! — krzyknął Dag i zatrzaskał za nim drzwi.

Ł'

I rudno człowiekowi od razu zmienić swą naturę, ale przy dobrych chęciach — po pewnym czasie można sporo osiągnąć, tym bardziej jeżeli ma się jakiś cel, do którego się dąży. Słowa ojca Daga podziałały na Adelajdę jak piękna, podniosła melodia, która napawa człowieka

błogością, a sercu daje uciszenie — ale nie było w tym idei, która mogłaby ją pobudzić do czynu, bodźca, który by ją skłonił do pracy nad sobą. Łagodny ton, jakim były wypowiedziane, działał kojąco — to wszystko. Mąż zaś wygarnął bez ogródek, po prostu, co o niej myśli, i wskazał drogę postępowania — drogę prowadzącą przez jej serce, przez uczucie. Więc powoli, dzień po dniu, zaczęła to serce otwierać, a wewnątrz jego tajało w ciepłych promieniach mężowskiej dobroci.

Zacząła od panny Kruse. Poprosiła ją, ażeby od czasu do czasu przekazała swą pracę wieczorną komu innemu i gdy Daga nie będzie, przyszła do niej z robótką na pogawędkę. Panna Kruse naprzód się przeraziła tym szalonym pomysłem, ale z czasem, dzięki taktowi i kulturze Adelajdy, stała się serdeczna i cieszyła się potem przez cały dzień na te godzinki pogwarek: były dla niej odnowieniem najpiękniejszych w jej życiu wieczorów, spędzonych w pokoju panny Doroty, kiedy sama była jeszcze małą dziewczynką.

Radość jej rozpromieniała i rozgrzewała Adelajdę, i powodowała w niej nowe serdeczne odruchy. Gdy się zbliżyły ze sobą, dowiedziała się Adelajda od niej mnóstwa szczegółów o doli i niedoli ludzi we dworze i w osiedlach drwali. Opowiadał to i owo dawniej i ojciec, ale było to bardziej powierzchowne. Panna Kruse знаła ludzi od wewnątrz. Przychodzili do niej, aby się jej zwierzyć ze wszystkich swoich kłopotów... Pod koniec zimy omawiały wspólnie, jak by zaradzić ich biedzie i niedoli. Doszło do tego, że i Adelajda zaczęła brać bezpośredni udział w życiu swego najbliższego otoczenia. W ten sposób spełniła obowiązek nałożony na nią przez ojca Daga.

Pewnego marcowego wieczoru Dag siedział w kancelarii i palił długą fajkę ojca. Na dworze był mróz i padał śnieg; pod kominem palił się ogień.

Skończyli przed chwilą kolację w jadalni; jedli razem z chłopcami, którzy już poszli do swego pokoju, a Adelajda gawędziła z panną Kruse w sieni.

O ileż przyjemniej ułożyło się życie w ostatnich czasach! Chłopcy, jak to chłopcy, dawniej nieraz tak się bili, że ojciec musiał ich siłą rozdzielać, biorąc jak młode psiaki za kark —

obecnie, od czasu jak się wzięli do pracy fizycznej, spowaźnieli. Zawsze przy czymś majstrowali: to w lesie, to w swojej komorze — koło broni czy narzędzi. Kochali się, tworzyli jedno serce i jedną duszę. Dag zasięgał informacji u ludzi, z którymi pracowali, i słyszał same pochwały. Chętni do pracy, do pomocy, grzeczni, odporni i wytrzymali na ból. Małego Daga trzeba było nieraz hamować w zapale, bo zuchwały młodzik brał się do najcięższych robót, myśląc, że jego siły pozwolą mu imać się każdej pracy. Dag był o nich zupełnie spokojny. Powierzył ich ludziom zaufanym i mądrym, którzy nie będą się z tym liczyli, iż to jego synowie, i powiedzą im, co trzeba, bez ogródek. Również i Adelajda odnalazła — jak się wydaje — właściwą drogę życia. Owa drobiazgowość, która zaczęła się w niej rozwijać, teraz jakby znikła. Dag stwierdził to z żywym zadowoleniem.

Sklep w mieście prosperował jakoś nie najgorzej. Najmłodszy Holder niewiele był wart, ale zdawał się brać do serca dobre rady Daga i adwokata. Za to z jego ojcem było ustawiczne zmartwienie. Stale się uskarżał na niewygody nowego życia. W małym mieszkanku nad sklepem czuł się jak w więzieniu i najchętniej wcale nie wychodził z domu. Dag stale mu tłumaczył, że wszystko to stało się z jego własnej winy; jeśli chce, może w każdej chwili przenieść się do Borgland, gdzie miejsca jest dosyć; na to Holder odpowiedział mu, że Dag postąpił z nim wcale nie po chrześcijańsku, a teraz pod koniec życia chciałby może zrobić z niego chłopca? Dagowi bardzo się nie podobał ton, jakim powiedział słowo „chłop”, ale w gruncie rzeczy rad był, że go nie będzie miał stale na karku.

Dag siedział bez ruchu, oparłszy nogi o brzeg kominka. Puścił wodze myślom i wkrótce wszelkie zmartwienia z Holderem i inne troski uleciały z dymem do komina. Zjawiły się inne obrazy. Jak to już nieraz bywało, powędrował myślą do Góry Śmierci. Jak inaczej z takiego szczytu wyglądał świat! Jak inaczej życie — oko w oko ze śmiercią! Wprost nie do pojęcia, że ludzie tak się wzajemnie dręczą i depczą po sobie podczas tej krótkiej drogi, prowadzącej przez życie do śmierci. Ale czyż on nie był taki sam, czy nie grzązł całe lata w nienawiści? On, który był tam przecież i widział Górę Śmierci — zdołał jednak zapomnieć o nauce, jaką stamtąd wyniósł. Ale teraz wszystko pojmował

jeszcze wyraźniej niż wtedy, bo sam dojrzał i pogłębił wiedzę o życiu. Wybrnął z labiryntu nienawiści i nabrał jasnego poglądu na świat.

Na przykład ten człowiek z południa ze swymi bezczelnymi żądaniami.

Sprawę tę Dag raz jeszcze przemyślał. Dopiero teraz zrozumiał, jak wyjątkowa jest jego własna sytuacja materialna. Może właśnie ten jasny, wykrystalizowany pogład na życie i szerokość swoich horyzontów zawdzięcza temu, że nigdy nie potrzebował walczyć o byt? Oczywiście, nieobca mu była ciężka praca, ale nigdy nie miała charakteru walki o zdobycie kawałka chleba. O to już walczyli jego przodkowie. On tylko korzystał z ich zdobyczy, z ich osiągnięć. Pierwszy z rodu, który już nie stał pod przymusem takiej walki.

Ostro osądził owego człowieka za zawiść, ale na pewno ten biedak niewiele w swym życiu przeżył beztroskich dni. Cóż to dziwnego, że taki człowiek staje się zgorzkniały i drobiazgowy?...

Dag wstał i zaczął chodzić po pokoju. Z opowiadań Adelajdy o rozmowach z ojcem mógł wywnioskować, że ojciec jego w końcu doszedł do przekonania, iż człowiek nie zmuszony przez los do walki o byt, ma większe i cięższe do spełnienia obowiązki względem Boga niż ci, którzy z trudem zdobywają kawałek chleba. I że te obowiązki bogacza nie polegają na górnolotnych słowach, ale na niesieniu ulgi bliźnim tu na ziemi... Ojcu tak ta sprawa leżała na sercu, że nie czekał, aż Adelajda mu to powtórzy, ale odszukał go sam na Skarfjell, ażeby mu to powiedzieć. Zwalczył w sobie onieśmienie, które odczuwali nawzajem wobec siebie, ponieważ gnało go coś niepoohamowanie, ażeby się z nim podzielić nowym, z trudem zdobytym pogładem na życie. Wtedy to, owej nocy, zaziębił się w mroźnym wietrze i z gór przyniósł sobie śmierć. Ostatnie to było widzenie z ojcem, a słowa człowieka, który już jest poświęcony śmierci, trzeba uważać za święte.

Dag wysunął szufladę i wyciągnął plik papierów. Były to te same, które w pewien pamiętny dzień jesienny z tą samą myślą wyjął był i wsunął pod książkę, gdy weszła Adelajda. Wsadził je teraz do kieszeni, zamknął szufladę i — zamyślił się. Następnie zbliżył się do okna i wyjrzał w noc. Wczesna wiosna, ale nie było

jej jakoś widać. Wprawdzie w początkach miesiąca było ciepło przez dłuższy czas, nawet lód na rzece i górskich jeziorach zaczął pękać i kra płynęła obficie. Ale potem znów się zrobiło zimno i rozpoczęła się na nowo sanna. Z daleka dochodził tu szum rzeki i trzask pękającego lodu. Wciągnął w płuca oszałamiający zapach przedwiośnia i świeżego śniegu. Czas pomyśleć o wykonaniu zamierzonego planu, trzeba pojechać do miasta, do prawnika. Jutro robi to nieodwołalnie.

Dusza ludzka posiada czasem głębokie tajemnice, o których nawet najbliżsi nie mają pojęcia.

Adelajda miała wrażenie, że coś drzemie w duszy Daga głębiej niż to wszystko, co знаła. Klucz do owej tajemnicy był na jej oczach, ale ona go nie widziała. Troje ludzi zbudziło ojca Daga z duchowego uśpienia i ci sami także i na niego wywarli mocny wpływ. A stało się to jeszcze w latach młodości, gdy się kształtują poglądy, i do których się wraca chętnie przez całe życie, jak długo umysł pracować może.

Dag miał bardzo wyostrzony zmysł spostrzegawczy: więcej widział i lepiej rozumiał postępowanie ojca, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. I rozmyślał godzinami nad tym przy nocnym ognisku w lesie. Na szczytach gór widzi się tyle tylko z małostkowości ludzkiej, ile się jej we wrażeniach z dolin i z własnych przeżyć tam ze sobą przyniesie. Ale wrażenia te rozumie się i ocenia lepiej, kiedy się je rozważa z dala od ludzi.

Dag był z natury człowiekiem zamkniętym w sobie, milczącym, i nikt nie wiedział, jakie są jego zapatrywania na ludzkie sprawy. Wówczas na Skarfjell, nałożył na siebie twardy, ironiczny nieledwie uśmiech, gdy ojciec powiedział: „Chciwość, nieustanna żądza gromadzenia majątku — utrudniają ludziom współzycie”.

Przez wzgląd na ojca nie chciał o tym mówić z Adelajdą, ale musi wreszcie dać wyraz swym poglądom na życie — naprzód w czynie, a potem dopiero ujmie to w słowo.

Zamknął okno i poszedł do drzwi prowadzących do sieni, ale po drodze zatrzymał się i przejrzał w lustrze: na skroniach siwiały mu już włosy i pięćdziesiątka była już za pasem, ale trzymał się prosto jak młodzieniec: dziecko lasów i przestrzeni, świeży duszą i ciałem.

## LI

Irlosk zerwany! Ze wszystkich stron zbiegli się przerażeni ludzie. A najgorsze:

jest tam dziecko! W chwili kiedy to się stało, gromada chłopców bawiła się na zmurszałych deskach, bo dzieciaki muszą wszędzie wleźć, zwłaszcza tam, gdzie się coś dzieje. Po tym moście od dawna już nie jeździły wozy; starsi doświadczeni ludzie ostrzegali, że pękające lody na wiosnę zniosą belki, bo przegniły w niektórych miejscach. Zapewne właśnie dlatego dzieciaki chciały się tam koniecznie bawić. Most stał, odkąd żyły, więc jeszcze i ten jeden dzień wytrzyma. I tak przyszło do nieszczęścia.

Wszyscy jednak starsi chłopcy wyratowali się, uciekając na brzeg rzeki; pozostał tylko mały Iver Tjernbraaten, który był z natury tak powolny, że nigdy nie mógł zdążyć na czas i wpadł. Zatrzymał się, chwytając się kurczowo okrytego lodem środkowego pala, i nie mógł się teraz ruszać ani w tył, ani w przód. •Pod nim pędziła wezbrana rzeka, kry lodowe uderzały z hukiem o szczątki mostu i z szumem torowały sobie drogę pomiędzy palami. Przed mostem utworzył się zawał i spiętrzał wodę, lada chwila ostatnie pale i resztki mostu zostaną porwane przez krę.

Po obu brzegach rzeki zebrali się ludzie i z przerażeniem patrzyli na młode życie, skazane na straszną śmierć w nurtach wody. Malec był bezwzględnie stracony. Nikt przecież nie odważy się wejść na szczątki wiszącego w powietrzu mostu albo przedostać się tam łodzią, sterując między zwałami kry. Zbierał się coraz większy tłum. Zbiegały się kobiety, mężczyźni, dzieci ze wszystkich stron, ale nikt nic nie mógł pomóc; stali bezradni, słuchali łoskotu płynącej kry i rozdzierającego serce krzyku biednego dziecka. Wzbierająca woda i kra zabierały ze sobą pal za palem.

Po ponurym, ciemnym niebie gnały ciężkie chmury. Zapadał wieczór.

Nagle od strony południa nadjechał gościńcem jakiś człowiek; widocznie ujrzał z daleka zbiegowisko przy zerwanym moście, bo zatrzymał konia.

Od razu go poznali. Paru wyrostków pobiegło ku niemu, ażeby opowiedzieć o strasznym wypadku.



Dag Bjórndal wracał właśnie z miasta. Wysłuchawszy chaotycznego opowiadania zasapanych chłopców, od razu skierował się w stronę mostu. Ludzie odetchnęli. Nie dlatego, ażeby przypuszczali, że coś może pomóc, ale tam, gdzie ktoś z rodu Bjórndalów był bezradny — z innych spadała już cała odpowiedzialność. Dag zatrzymał się w miejscu, gdzie droga spada stromo ku zatoce, i nie schodząc z sań, spojrzął w dół. Wszyscy byli pewni i czekali na to z napięciem, że potrząśnie bezradnie głową. Ale Dag spoglądał na rzekę, to w górę, to w dół i drapał się w czoło.

Tonące dziecko uległo widocznie przez chwilę zamroczeniu — może z lęku — bo ucichło, ale nagle znów rozległ się przeraźliwy krzyk, że po wszystkich przebiegł dreszcz.

Dag zjechał z drogi ku brzegowi w miejsce zatoru. Widocznie chciał się lepiej rozejrzeć w sytuacji. Obraz Bjórndala w saniach na tamtym brzegu, odcinający się ciemną plamą na tle wieczornego nieba, zdawał się być w oczach zebranych tu ludzi jakby zjawą z zaświatów i zwiastunem wydarzeń przechodzących rozum ludzki.

Ludzie z tej strony rzeki podbiegli do niego, ale trzymali się w przyzwoitej odległości. Byli jednak na tyle blisko, że widzieli jego wysuniętą ku przodowi twarz i wyteżony wzrok, wpatrzony w wodę, ręce ściągające lejce w celu utrzymania uwagi konia. I tych także ogarnęło przecucie zbliżających się wielkich wydarzeń. Widzieli, że wzrok jego spoczął na czymś w górze rzeki i śledził nieustannie zbliżanie się czegoś. Przypominały im się krążące legendy i gadki o niepojętej wprost śmiałości i szaleńczej odwadze bjórndalskich panów... Ale nikt nie umiałby przytoczyć takiego faktu, że ktoś z tego rodu odważył się przedsięwziąć błyskawiczną jazdę pomiędzy zwałami płynącej kry. Stali tu skupieni, zgromadzeni wokół niego, nie przypuszczając, że on na podobną sposobność właśnie czeka. Przecież to szaleńczy wyczyn, wariacka odwaga, porywać się na coś podobnego w momencie, kiedy woda tak silnie wezbrała i przegniłe belki i pale są jedyną ostoją przeciwko naporowi żywiołu... Dag to wszystko doskonale widział, ale...

Kobieta, która dotychczas stała opodal niweczonych szczątków mostu, obecnie przepchała się przez tłum do Daga, lamentując na cały głos:

M A lasy wiecznie Śpiewają

— Boże wielki! Czy nie ma już ratunku dla mego dziecka? Dag z uwagą śledził wielki kawał kry pędzącej w kierunku mostu. Kra osiadła pomiędzy palami. Mniejsze kry przyłączyły się do niej i spiętrzyły się za nią na szczątkach mostu. Trzeszczało to i kołysało we wszystkie strony, a woda pod mostem pędziła i przynosiła ze sobą coraz więcej lodowych zwałów, jedne wpadały na drugie.

Malec znów zaczął przeraźliwie krzyczeć. Trudno wprost było słuchać. Matka dziecka, łkając, wciąż powtarzała te same, rozpaczliwe słowa.

Synowie Daga też byli kiedyś w tym wieku, co ten nieszczęsny malec. Mój Boże! Tak bardzo ich wtedy kochał. Powziął decyzję. Jakby w odpowiedzi na lamentsy matki — szepnął:

— Więc naprzód, w imię Boże!

Po tych słowach puścił lejce i smagnął batem konia. Zjechał pędem w dół: śnieg leciał na wszystkie strony; wjechał na lekko zamarznąłą rzekę, koń chciał stanąć na powłoce lodowej, ale natrafił na wodę, która wysoko trysnęła spod niego; jedna noga końska tkwiła w wodzie; trzy były na wierzchu, ale pomimo to parli naprzód w piekielnej jeździe. Dag wychylił się na prawo, wyciągnął ramię jak najdalej i przyciągnął chłopca do siebie, i w tej samej chwili runęły ostatnie przesła... Wszystko: koń, sanie, kra i przesła, wszystko gdzieś zapadło w nieprzenikniony, piekielny wir...

Czy istotnie tak było?... Nikt potem nie umiał tego powiedzieć. Ale wszyscy patrzyli na to szeroko otwartymi oczami.

Minęło sporo czasu, zanim ktokolwiek był w stanie się ruszyć. W końcu jednak poszli, jeden za drugim — szary, beznadziejny orszak, roztapiający się z wolna w ciemnościach wieczoru — wzdłuż rzeki w dół...

Ktoś był na tyle przytomny, że zdołał zaprząć konia i pojechał na północ, ażeby dać znać w Bjórndal o wypadku.

Tej nocy wyruszyło stamtąd wielu ludzi na wozach z płonącymi pochodniami. Rozjechali się w obie strony rzeki; jedna grupa udała się na północ, druga w kierunku południa — w celu przeszukania całej okolicy.

Adelajda całą noc wychodziła na balkon i wyteżała zrozpa"

czone oczy w kierunku wzgórzystych stron Hamarrbó, Gdy chciała już powrócić do pokoju, zauważyła nagle/słabe migotanie światelka od. strony lasu. Co pewien czas znikало i znów się pojawiało; można już teraz było wyraźnie dostrzec palące się pochodnie.

Schodzili wolno, bardzo wolno ze zboczy. Adelajda przymknęła oczy; zachwiała się na nogach. Opanowała się siłą woli i znów patrzyła. Skręcili na podwórze Hamarrbó, blask pochodni rzucał refleksy na domy, budynki. Teraz zatrzymali się... Dlaczego?

Wydawało jej się, że słyszy dźwięk dzwonu jak echo dzwonu z pogrzebu ojca Daga, coś w jej sercu mówiło, że wstępują po Unn, ażeby czuwała przy zmarłym. Dag nie żyje!

Mały Dag znalazł ojca w jednej z bocznych, cichych zatok. Szukał go tam razem z drwalem Marcinem. Wynieśli go razem z dzieckiem, które jeszcze mocno ramieniem otaczał.

Lewą skroń miał strzaskaną prawdopodobnie krą albo padającym przesłem, uderzenie musiało spowodować śmierć. Gdyby nie to, byłby się wraz z malcem uratował — twierdził Marcin. — Nieraz bowiem jeździł przez pękający lód, który się pod nim załamywał. Wiedział dobrze, co mu grozi, ale nie mógł patrzeć na zmaganie się dziecka z żywiołem. Miękkie miał serce...

Po drodze wstąpili nie tylko po Unn; pojechał też ktoś po pannę Ramer do Borgland. Wiedzieli, że będzie potrzebna pani domu.

Adelajda leżała na podłodze bez przytomności, gdy ciotka weszła do jej pokoju. Dopiero na trzeci dzień z wielkim trudem mogła zejść do oficyny. Tam ułożono zmarłego, bo Unn wiedziała, że w tej izbie przebywał najchętniej. Może i co innego miała na myśli... Cały czas aż do przybycia Adelajdy utrzymywano ogień pod kominem. Dag leżał na swoim łóżku, prawą stroną odwrócony do komory, lewą do ściany. Blask ognia nadawał twarzy ciepły koloryt. Wydawała się w tym oświetleniu żywa, młodzieńcza. Adelajda długo stała zapatrzona w jego rysy, aż w końcu padła szlochając na łóżko. W nogach łóżka siedziała Unn Hamarrbó z zastygłym obliczem. Miała już ponad siedemdziesiątkę, ale pomimo to spełniała sumiennie obowiązek czuwania przy zmarłych, jak za dawnych czasów jej babka, Ane Hamarrbó.

»7\*

W drzwiach stanęła panna Ramer. Miała siedemdziesiąt dwa lata, mocno się zestarzała w ostatnich czasach. Włosy jej były srebrnobiałe, głos starczy. Ale wyrażała się jasno i rozsądnie. Podeszła do siostrzenicy, gdy ta przestała na chwilę płakać, wzięła ją mocno pod ramiona i podniosła. Nie wolno opłakiwać śmierci takiego człowieka, jakim był Dag. Dał życie swe za kogoś — spełnił największy czyn, jaki człowiek na tej ziemi spełnić może!

Adelajda wspomniała przepowiednię Ane Hamarrbo, którą przeczytała w pamiętniku Teresy. Od drzwi rzuciła jeszcze długie spojrzenie na twarz Daga, odcinając się ostro w kręgu płomieni na tle poduszek...

## LII

Łużo czasu upłynęło, zanim Adelajda przyszła do jakiejś równowagi ducha po tym ciosie. Gdy potem, było to już pod koniec lata, opuściła swój pokój, ludzie patrzyli i nie poznawali jej. Ogromnie się zmieniła i postarzała — i na twarzy, i w postawie.

Syver Bakpaa wciąż jeszcze — pomimo podeszłego wieku — rześki i energiczny, kierował pracami gospodarskimi na roli i w ogrodach — i w Bjorndal, i w Borgland — w taki sposób, jak go w swoim czasie nauczył stary Dag. Do pomocy miał Evena Steinruda; umówione było, że gdy któregoś dnia umrze, Even będzie jego następcą. Kierownictwo nad drwałami i pracami w lesie objął Marcin. Wszystko więc szło nadal zwykłym trybem.

Chłopcy z młodzieńczym zapałem asystowali przy każdej robocie; poza tym wędrowali z psami i fuzją na ramieniu tymi samymi szlakami po lasach i bagnach, górach i dolinach, które przemierzał ich dziadek, aż do późnej starości, a ojciec aż do ostatnich dni życia. Nocami sypiali na pryzkach w chatkach leśnych lub przy ognisku pod gołym niebem, tak samo jak wszyscy z ich rodu.

Któregoś wieczoru Adelajda siedziała nad księgami. Była jesień, padał deszcz. Wiatr wył i gwizdał w kominie, krople deszczu rytmicznie uderzały o szyby. Adelajda zdołała nieco przyjsć do siebie. Ciotka Eleonora często ją odwiedzała i przypominała jej za każdym razem słowa ojca Daga, które jej niegdyś Adelajda powtórzyła: „Cokolwiek człowieka spotyka — powinien zawsze się podnieść i dążyć naprzód, wciąż naprzód, przez całe życie”.

Powpisywała różne pozycje do ksiąg, bo zaległości było dużo. Jej silna i zdrowa natura przemogła rozpacz i na nowo zaczęła się dobrze czuć w kancelarii. Tak-! Widocznie te małe, magiczne znaczki, cyfry, były czymś, do czego człowiek z pokolenia na pokolenie ma upodobanie we krwi. Wobec tego, że spadł teraz na nią obowiązek czuwania nad majątkiem, postanowiła dbać z całą sumiennością i akuratnością o dobro synów.

Akurat obliczyła, z jakimi sumami zalegają dzierżawcy z dolin, jakie to daje procenty i o ile się z czasem będzie mogło powiększyć konto w banku. Nagle usłyszała zajeżdżający powóz na podwórze i głos panny Kruse i jakiegoś mężczyzny. Wyszła do sieni. Był tam jakiś pan z miasta, twarz jego wydała się jej znajoma, ale dopóki nic wymienił swego nazwiska, nie mogła sobie przypomnieć, kto to jest.

Był to rejent Daga, a w swoim czasie również i pełnomocnik starego Daga, ojciec zaś jego był rejentem przodków Bjórndalów. Świetnie więc orientował się w stosunkach pieniężnych rodziny. Powiedział, iż przybył, ażeby z Adelajdą niejedno omówić, ale jest zdrożony, pogoda była psia; naprzód musi się przebrać. Panna Kruse zaprowadziła go do niebieskiego gabinetu w nowym budynku.

Jedli potem obiad przy pięknie nakrytym stole w jadalni; rejent był człowiekiem światowym, umiejącym ciekawie opowiadać o podróżach po obcych krajach. Chłopcy słuchali go z wielkim zainteresowaniem, a i dla Adelajdy ten powiew wielkiego świata był odświeżający. Jednocześnie zadawała sobie w duchu pytanie, co go mogło skłonić do odbycia tej dalekiej, męczącej podróży.

Adelajda i rejent przeszli potem do kancelarii. Rejent dostał tam tradycyjny kieliszek wina, fajkę i tytoń. Następnie skiero-

wał rozmowę na wydarzenia ostatnich czasów i w końcu na sprawę, z którą tu właściwie przyjechał.

Dag podczas ostatniego pobytu w mieście był u niego — miał ze sobą wszystkie weksle i listy zastawne na południowe gospodarstwa. Powiedział, że chce zrezygnować z tych należności, i żądał ażeby rejent poświadczył to urzędowo na papierach i przysłał mu do podpisu, a następnie wręczył dłużnikom. Powiedział, że ma dość pieniędzy dla siebie i rodziny, więc nie ma powodu dręczyć i wymagać procentów i rat od biedaków.

Rejentowi podczas całej jego praktyki nic podobnego się nie zdarzyło. Przecież to nonsens, to niedorzeczność darować takie sumy! Dlatego też odpowiedział Dagowi, że wypisanie tych rezygnacji jest bardzo skomplikowane i będzie musiał mieć trochę cierpliwości — aż do następnego przyjazdu do miasta. Umyślnie to zrobił, ażeby dać Dagowi czas do namysłu: tymczasem wypadki potoczyły się innym torem. Od chwili śmierci małżonka minęło pół roku. Umyślnie się nie zjawiał, ażeby jej nie molestować po tym nieszczęściu. Ale teraz przyjechał i przypuszcza, że Adalejda będzie mu chyba wdzięczna za takie pokierowanie sprawą i da mu — w zamian za uratowanie takiego majątku jej i synom — jakiś słuszny udział.

Delikatnie dał jej do zrozumienia, że wie o owym wypadku w swoim czasie w górach, jak i o tym, że od tego czasu Dag bywał często... hm... nieobliczalny... Zaznaczył również, że dlatego tak często upadają wielkie rody, bo jeden marnuje lekkomyślnie to, co drugi zebrał w pocie czoła. Dużo dobrego powiedział o ojcu Dagowi: był przezorny, doświadczony, szlachetny! Szkoda więc, ażeby dzieło jego życia poszło w ten sposób na marne.

Adalejda nie wiedziała, jak się ustosunkować do tej sprawy. Ze Dag nosił się z jakimś dziwnym zamiarem, można było wywnioskować z jego osobliwego nastroju w ostatnich czasach. Wszystko, co jej rejent tłumaczył, było zrozumiałe, jasne i — słuszne. Ona również w głębi duszy nie mogła pojąć, jak można takie wielkie sumy darować ludziom. Nawet już i to było dla niej niepojęte, że Dag zeszłej jesieni sprolongował dłużnikom spłatę procentów na cały rok. Niedawno postanowiła, że zejdzie do piwnicy i zbada wszystkie papiery znajdujące się w kufrze.'

W tej całej rozmowie i rozważaniach na ten temat jedno tylko było jasne i przejrzyste: cyfry. A z cyframi trzeba ostrożnie! — mawiała jej babka. Trzeba być bardzo dokładnym, nie wolno ich ani umniejszać, ani skreślać.

Gdy odprowadzała rejenta poprzez sień do nowego domu, była przekonana, że prawnik ma rację. Ale potem w ciągu bezsennej nocy wciąż miała przed oczami twarz Daga; mocną w wyrazie — jak wtedy w kancelarii, gdy jej tłumaczył niesprawiedliwość faktu, że biedni dłużnicy muszą grosz do grosza zbierać na procenty dla nich, którzy tych pieniędzy właściwie wcale nie potrzebują. Wiedziała z obrachunków w księgach, że doprawdy jej i synom te pieniądze wcale nie są bezwzględnie potrzebne... No, tak. Dobrze... Ale to uspokaja, gdy się ma taką sumę w zapasie.

Spojrzenie Daga rye dawało jej spokoju. Widziała jego oczy bezustannie w sobie utkwione, na jawie i nawet podczas krótkich chwil drzemki, były jasne, zdecydowane i bardzo poważne. O świcie wstała i posłała powóz do Borgland po ciotkę.

W tej samej chwili, gdy rejent wchodził do pokoju na śniadanie, przyjechała ciotka. Cierpiała w ostatnich tygodniach na nogi i chodziła o lasce.

— Jestem — powiedziała — staram się jak najprędzej umrzeć, ale śmierć jakoś się nie śpieszy. Jeszcze z roczek musisz mieć cierpliwość.

Adelajda zareagowała uśmiechem na wisielczy humor ciotki i siedli do śniadania. Adelajda następnie poprosiła rejenta, ażeby na nią poczekał w sieni, bo chce przedtem coś z ciotką omówić.

U siebie w pokoju zdała relację pannie Ramer z celu przyjazdu rejenta i spytała, jak się ciotka na to zapatruje.

— Odbierz od niego wszystkie papiery i poślij tego pokątnego doradcę jak najszybciej do diabła — odrzekła rzeczowo ciotka.

— Jak to?... Przecież...

— Nie ma tu żadnego przecież, jeśli chcesz mieć w grobie spokój

— przerwała jej ostro ciotka. — Naprzód niech tamten sobie pójdzie, a potem pomówimy.

Adelajda musiała zejść, przeprosić rejenta i odesłać go z "tym, że zatrzyma u siebie papiery i przemyśli całą sprawę.

Panna Eleonora poczekała dłuższą chwilę i dopiero gdy usłyszała turkot odjeżdżającego pojazdu, pokuśtykała ze schodów i weszła do kancelarii. Siadła w fotelu i czekała.

Adelajda spojrzała na nią badawczo zza biurka:

— Więc co mam robić?

— Zbudzić się! — odpowiedziała ciotka surowo. — Zacząć pojmwować człowieka, z którym płodziłaś dzieci. Rozwiń pierwszy papier z brzegu i pisz to, co ci dyktuję: „Stosownie do woli mego męża, Daga Bjorndala, dług został zapłacony w sumie...”, potem wypisz cyfrę i podpisz.

Adelajda przyglądała się twarzy ciotki, tak bardzo już zmarszczonej, i jej srebrnym włosom. Czyżby umysł jej już począł szwankować? Może rozum ucierpiał pod wpływem zbliżającej się starości?

— Czy jesteś pewna, że Dag?... — zaczęła.

— Zupełnie — odpowiedziała ciotka ostro. — Nie jestem jeszcze ani ślepa, ani głucha. Wiem, do czego zdązał. Wiesz sama, że Borgland i Bjórndal nie są obciążone żadnymi długami. I wiesz chyba, co to znaczy w czasach, w których wszystkie posiadłości aż po uszy tkwią w długach? Te dwa dwory mają kiedyś odziedziczyć twoi synowie, jeżeli będą, jak tego oczekiwał twój mąż, pracowici i dzielni. Wystarczy im to w zupełności. A jeśli zechcą trwonić ojcowiznę — to i tamtych pieniędzy nie starczy na dług. Największą sztuką życia jest przewyciężenie chciwości. Ojciec Dag starał się przemóc swoją naturę, ale syn poszedł jeszcze dalej.

Po tych słowach podniosła się ociężałym ruchem z fotela, opierając się na lasce. Jej słowa brzmiały twardo i sucho:

— Przyjeżdża taki mądrała z miasta i chce sądzić o zdrowym rozumie Daga. Oczywiście, jeśli pieniądz jest jedyną wartością życia, to Dag nie miał dobrze w głowie; ale jeśli przykazanie życia głosi: trzeba się stać człowiekiem serca, to Dag był mądrzejszy i lepszy od wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam w ciągu swoich długich lat.

Ciotka wyszła, a Adelajda pisała, pisała...

Jesienny wichur zerwał się z gór, ale powstrzymały go lasy. Z całą siłą grzmiał i huczał ponad domami osiedla wysoko w górze, a potem pognął daleko w świat.

584

SPIS RZECZY

A LASY WIECZNIE ŚPIEWAJĄ

Część pierwsza 7

Część druga 141

DZIEDZICTWO NA BJÓRNDAL



Część pierwsza	267
Część druga	357
Część trzecia	447